



J. I. KRASZEWSKI

HRABINA COSEL

TOM PIERWSZY



WARSZAWA, E. WENDE i S-KA
Poznań, Fiszer i Majewski. Łódź, Katowice,
Ludwik Fiszer. Toruń i Siedlce, Tow. Wyd. „Ignis”

Okladkę wykonał Kamll Mackiewicz
Odbito w Zakł. Graficznych
„Drukarnia Bankowa”
Warszawa, Mo-
nuszki 11
1925

I

Na królewskim zamku w stolicy saskiej jakby wszystko wymarło, cicho było, ponuro i smutno. Noc była jesienna, ale w końcu sierpnia zaledwie gdzie niegdzie liść żółknie na drzewach i rzadko wieją wiatry chłodne, dni bywają weselsze jeszcze, a noce jasne i ciepłe...

Tego wieczora jednak dęło z północy i chmury czarne, poszarpane, długie wlokły się jedna za drugą, a na ołowianem tle jeśli mignęła gdzie gwiazdka na chwilę, zgasła wnet w gęstych obłokach. U Georgenthor, w bramach zamkowych, na dziedzińcach przechadzały się strażę milczące. Zwykle jasne okna królewskich mieszkań, z których światła i muzyka buchały ochoczo, stały czarne i zamknięte. A była to rzecz niezwykła za panowania Augusta zwanego Mocnym, bo pan to był mocen do wszystkiego: łamał podkowcy i ludzi, smutek i złą fortunę, a jego nic złamać nie mogło. W całych Niemczech, ba, w całej Europie słynął świetny dwór królewski, przy którym gasły wszystkie inne; nikt go wspaniałością, smakiem wytwornym i rozrzutnością pańską nie przeszedł, nikt mu nie dorównał.

W tym roku wszakże August doznał klęski. Szwed mu wydarł elekcyjną polską koronę; król, zrzucony niemal z tronu, wygnany z królestwa, wrócił na kurfirstowskie gniazdo, opłakiwać swe straty... wysypane próżno miliony i srogą niewdzięczność Polaków... Sasi nie mogli pojąć, by tak szla-

chetnego i miłego pana można było nie uwielbiać i nie dać się zań zabijać.

August mniej to jeszcze od nich rozumiał. Wyraz niewdzięczność nieodstępnie towarzyszył każdemu Polski wspomnieniu; wreszcie unikano już nawet mowy o niej, o królu Szwecji i o tych wypadkach, które August Mocny poprawić kiedyś obiecywał sobie.

Drezo po powrocie Augusta już się nawet bawić zaczynało, ażeby swego pana rozweselić; tylko tego wieczora tak dziwna cisza zapanowała w zamku; dlaczego? nikt nie wiedział. Król przecież do żadnego ze swych zamków nie odjechał, w Lipsku jeszcze się jarmark nie rozpoczął; mówiono nawet w mieście i na dworze, że naprzekór Szwedowi, August nakaze bale, karuzele i maskarady, aby mu dowieść, że swej chwilowej przegranej nie brał tak bardzo do serca.

Rzadcy przechodnie, przesuwający się około zamku ulicami, spoglądali na okna i dziwili się, iż tak wcześnie cisza i ciemność zapanowały u króla. Ktoby był wszakże, minawszy bramę wielką i pierwsze podwórze, mógł się wcisnąć na drugie, przekonałby się, iż zamek spał tylko jednym bokiem, a we wnętrzu jego wrzało jeszcze życie...

Straże tu nie wpuszczały nikogo...

Na pierwszym piętrze, mimo wichru, okna były szeroko poodmykane, z za obsłon, któremi napół tylko były okryte, rześiste światło jarzące migotało, odbite mnóstwem zwierciadeł, a chwilami dobywał się śmiech homeryczny z wnętrza sali, leciał w dziedziniec, przestraszając chodzącą wartę, która słuchać go stawała, i obiwszy się o szare mury... pozwoli słabem obumierał echem...

Śmiechom tym towarzyszyły gwary to słabsze to silniejsze, rosnące, przechodzące w mruczenie i milczenie... Nagle, jakby po przebrzmiałej mo-

wie, zrywały się znowu oklaski i znowu huczał śmiech homeryczny, królewski, rozłożysty, purpurowy, śmiech istoty, która się nie lęka, by ją kto posłyszał i drugim szyderczym odpowiedział śmiechem... Za każdym wybuchem straż, która z halabardą chodziła, pod oknami stawiała, żołnierz podnosił oczy do góry, wzdychał i spuszczał je na ziemię...

Strasznego coś było w tej uczcie nocnej, wśród zamku śpiącego, wśród burzliwego wichru i milczącej stolicy...

Tam król się weselił.

Od powrotu z Polski takie uczty wieczorne, nie tłumne, w gronie kilku poufanych ludzi — nazwijmy ich przyjaciółmi — bywały częstsze niż dawniej; August Mocny, zwyciężony przez dziwaczego, półgłówkiem zwanego Karola XII, wstydził się oczu pokazywać w licznych zebraniach: zabawy i roztertargnienia potrzebował, zbierał więc około siebie ulubieńców kilku... Naówczas przynoszono węgryna złocistego, po którego umyślnie słano na Węgry co roku, ustawiano puhary i pili tak aż do dnia, aż do snu, aż do chwili, gdy wszyscy z krzeseł pospadali, a króla, Hoffman pod rękę, śmiejącego się, do łóża odprowadzał.

Do tego grona wybranych kapłanów Bachusa madjarskiego, niewiele osób było przypuszczonych: poufali tylko i zaufani a ulubieni Augustowi, gdyż król po kilku puharach, dla tych, których niecierpiał, mówiono, był niebezpiecznym. Siłę miał Herkulesową... gniew olimpijski a władzę nieograniczoną... W dniu powszednie, zrana, gdy się pogniewał, oblicze mu tylko zaszło jakby krwawą łuną na chwilę, i oczy błysły, i wargi zadrżały, odwracał się, nie patrząc na tego, co go tak rozpromienił; ale po kielichu... niejednen wyleciał oknem i na kamieniach dziedzińca padł, by nie wstać.

Tak ludzie mówili. Gniew jego był rzadki, ale jak piorun straszny. W zwykłym życiu nie było łagodniejszego pana, ani słodszeo, ani łaskawszego dla wszystkich. Uważano nawet, że im kogo mniej znośił, tem dlań uśmiejch miał miłszy, a w przededniu zaprowadzenia na Königstein, gdzie często dziesiątkami lat faworyci siadywali, August ściszał ich jeszcze jak najlepszych przyjaciół. Tak szlachetna to była natura, pragnąca ludziom los ich osłodzić.

A bawić się, toć przecie panu potrzeba było koniecznie... cóż dziwnego, że czasem do zabaw sprowadzano dwa głodne niedźwiedzie, żeby się jadły, lub podpajano dwóch zawziętych nieprzyjaciół, żeby się z sobą gryźli... Ten rodzaj rozrywki najmiłszym był panu... a gdy się dwóch Vitzthumów, Friesenów lub Hoymów zawzięło jeść z sobą po kielichach, śmiał się do rozpuku... Niewinne to było roztargnienie.

Królowi poróżnić ich z sobą przychodziło bardzo łatwo, bo wiedział wszystko: kto się w kim kochał, kto kogo nienawidził, ile mu z kasy wzięto niedozwolonym sposobem; nawet co zamyślał który z dworaków, jeśli nie wiedział, to odgadł... Kto mu to szeptał, donosił, kto zdradzał, próżno sobie łamano głowy; kończyło się na tem, że nikt tu już nikomu nie wierzył, że się brat obawiał brata, że mąż się krył przed żoną, że ojciec lękał się syna... a król August Mocny śmiał się z tego motłochu!

Patrzył zgóry na komedję życia, nie gardząc w niej olimpijską rolą Jowisza, Herkulesa i Apolina... wieczorami zaś Bachusa.

Tego wieczora właśnie król się czuł tak smutnym i znudzonym, iż wszystkich ministrów, ulubieńców i dworzan postanowił poić i spowiadać, aby się choć trochę rozchmurzyć.

W pośrodku oświeconej sali, której jedną ścianę zajmował srebrem i puharami jaśniejący bufet, z królującą srebrną o złotych obręczach baryłą; długi stół obsiedli towarzysze wybrani królewskich zabaw: przybyli właśnie z Rzymu hrabia Taparel Lagnasco, z Wiednia Wackerbarth, wreszcie domowi Watzdorf, którego zwano chłopem z Mansfeldu, Fürstemberg, Imhoff, Friesen, Vitzthum i Hoym, i niezrównany w żartach niewyczerpanego dowcipu, zawsze surowy i poważny a umiejący rozśmieszyć choćby się na płacz zbierało, Fryderyk Wilhelm baron Kyan...

Król siedział z rozpiętą na piersiach suknią i kamizelą, podparty na łokciu i smutny. Piękną jego twarz, zwykle jasną, oblekała jakby mgła nadchodzącego smutku. Wypróżniony kielich stał przed nim... Kilka flasz próżnych świadczyły, że biesiadować nie teraz dopiero poczęto, przecież na twarzy króla nie widać było skutku boskiego napoju... Bursztynowy płyn nie rozrzucił mu ponurych myśli.

Dworzanie baraszkowali między sobą, harcując słowy, aby pana rozbawić: nic to nie pomagało; August siedział zamyślony, jakby nie słuchał. A był to stan rzadki u niego... bo chciał roztargnienia i szukał rozrywki. Zukosa spoglądali nań niespokojni towarzysze.

W drugim końcu stołu siedział niepozorny, posępny Kyan i jakby króla prześladować chciał, także się na łokciu sparł, nogi wyciągnął i w sufit patrząc, wzdychał.

Był tak smutny, że się wydawał śmiesznym...

— Słuchaj — szepnął Fürstemberg, trącąc łokciem Wackerbartha (oba już byli dobrze podchmieni), — widzisz ty najjaśniejszego pana? Złe jest, nie może go dziś nic rozweselić... jedenasta godzi-

na... do tej pory powinienby już być w różowym humorze... Nasza wina...

— Ja-m tu gość — odparł Wackerbarth, ruszając ramionami — to nie moja rzecz: wyście, znając go lepiej, środki skuteczniejsze obmyśleć powinni.

— Znudził się Lubomirską... oczywista rzecz... — dodał z boku Taparel.

— Nie, bo, przyznam ci się, że i tych Szwedów strawić trudno — szepnął pocichuteńku Wackerbarth. — Ja mu się nie dziwię.

— E! e! Szwedów! zapomnieliśmy tymczasem; pobije ich tam za nas kto inny, mamy pewność, my przyjdziemy tylko zbierać owoce... — począł, trącając w kielich Fürstemberg — nie Szwedy go gryzą... ale już Lubomirskiej ma dosyć... trzeba mu inną znaleźć.

— Czyż o to trudno? — szepnął, ramionami ruszając, Wackerbarth...

— A! no, trzeba wam było znowu w Wiedniu drugą Esterlę wyszukać... — rozśmiał się Lagnasco.

I poczęli szeptać tak cicho, że ich już słyszeć nie było, bo król zdawał się przebudzać, jakby ze snu, i wodził oczyma po swych towarzyszach, aż wzrok jego padł na tragicznie rozpartego barona Kyan i król parsknął homerycznym śmiechem.

Nie potrzeba było więcej, ażeby cała sala za nim powtórzyła śmiech echem, choć połowa ze współbiesiadników wcale nie wiedziała, z czego najjaśniejszy pan roześmiać się raczył.

Jeden Kyan się nie ruszył, nie drgnął.

— Kyan! — krzyknął król — co ci jest? czy cię kochanka zdradziła? czyś goły, czy ci nieprzyjaciół wpili się do boku? Wyglądasz jak Prometeusz, któremu niewidzialny sęp szarpie wątrobę!

Kyan odwrócił się jak drewniana lalka i westchnął straszliwie. Stojący koło niego kandelabr

o sześciu świecach do połowy zgasł od tego westchnienia i dym świec rozszedł się po sali.

— Kyan! co ci jest? — zapytał król.

— Najjaśniejszy panie — odparł baron, — oświadczenie nie jest mi nic. Nie jestem ani głodny, ani zakochany, ani dłużny, ani zazdrosny, ale rozpacz mnie morduje.

— Cóż się stało? — mówił — począł król.

— Nad nieszczęśliwym losem najukochańszego naszego monarchy boleję! — odparł poważnie Kyan — tak jest! Urodzony do szczęścia, z bożem obliczem, z herkulesową siłą, z sercem wspaniałem, z męstwem niezłomnem, stworzony, aby świat ci u stóp leżąc służył... nie masz nic.

— Tak, to prawda — rzekł August, chmurząc brew.

— Piętnastu nas tu siedzi i rozbawić cię nie umiemy; kochanki cię zdradzają i starzeją się, wino kwaśnieje, pieniądze ci kradną, a gdy wieczorem radbyś odetchnąć w wesołym kółku, przynoszą ci wierni poddani twarze grobowe. Nie powinnaż mnie, co cię kocham, rozpacz porywać!

August się uśmiechnął, ręką drżącą pochwycił puhar i stuknął nim o stół. Z za kredensu wybiegły dwa karły... jak jeden i stanęły przed królem.

— Słuchaj, Tramm — zawołał August, — każ po dać gąsior ambrozji! Kyana robię podczaszym. Wino, któreśmy pili, podprawione było wodą.

Ambrozję zwał się węgryz królewski, który Zichy sam dla Augusta z najlepszych winogron nie wyciskanych robić kazał; było to wino nad winą, niby syrop ciągnące się, zdradziecko słodkie i łagodne, a mogące powalić olbrzyma.

Tramm z towarzyszem znikli, a po chwili ukazał się czarny murzyn we wschodniej odzieży, na srebrnej tacy niosący gąsior ogromny. Wszyscy wstali i witali go pokłonem, król spoglądał.

— Kyan, gospodaruj — zawołał.

Kyan wstał... karły niosły na drugiej tacy kieliszki, ale te się nie podobały podczaszemu; szepnął im coś i małemi kroczkami za bufet pobiegli, a po chwilce zjawili się z nowem szkłem różnego kalibru.

Z powagą urzędnika, która zna ważność zleconych sobie obowiązków, Kyan jął ustawiać kielichy.

W środku stał piękny, smukły, przyzwoitej objętości, królewski: dokoła wieńcem otaczały go nieco mniejsze ministerjalne kielichy, poza niemi drobniejszych rozmiarów jak na żart, niby naparstki, w znacznej liczbie cisnęły się kieliszeczki... śmieszne. Wszyscy patrzeli ciekawie.

Kyan powoli ujął gąsior ogromny, aby w nim nie poruszyć osadów i ostrożnie nalewać zaczął. Napełnił najprzód wszystkie drobne. Niewiele one napozór brały, ale ich był lik tak znaczny, że nim wszystkie ponalewał, gąsior się bardzo opróżnił. Kolej szła na ministerjalne. Wśród powszechnego milczenia podczaszy sumiennie i te wszystkie nalał spełna. W gąsiorze ubywało, ubywało i gdy przyszło nalać kielich królewski, wina zabrakło. Kilka kropel z mętami wlał Kyan do niego, stanął i spojrzał na Augusta.

— A! dobry z waćpana podczaszy! — roześmiał się król — dla ciebie ja jestem ostatni. Cóż to ma znaczyć?

Śmieli się otaczający.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się, stawiając opróżniony gąsior na stole Kyan, który wcale nie stracił przytomności i humoru, — jest to przecie nie nowina, ale rzecz powszednia: com ja tu zrobił z winem, twoi ministrowie robią codziennie z dochodami państwa. Najprzód sobie każdy mały urzędniczek swoją kieszeń nalewa, potem starszyna o sobie pamięta, a gdy przyjdzie królewski puhar, tylko męty pozostały.

Król uderzył w dłonie, patrząc szydersko po przytomnych.

— Kyan! twoje zdrowie! Przypowieść Ezopa godna. Ale niechże dla mnie drugi gąsior podadzą.

Murzyn niósł już na tacy ambrozię. Śmieli się wszyscy, bo król się śmiał, ale jakoś kwaśno; zukośa spoglądano na Kyana, który najmniejszy kieliszeczek wziął i zdrowie Herkulesa saskiego okrzyknął.

Padli wszyscy podchmieleni na kolana... hałas powstał ogromny, kielichy podniosły się do góry.

Król swój kielich ku baronowi wypił i postawił.

— Mówmy o czem innem — zawołał.

Fürstemberg wstał.

— Najjaśniejszy panie — rzekł, — godzina nadchodzi, w której o niczem mówić się nie godzi, tylko o tem, co dniowi i nocy króluje... o kobietach.

— Doskonale — poparł król, — każdy niech swoją kochankę opisze... Fürstemberg zaczyna.

Szydersko uśmiechając się, wymówił król te słowa; po twarzy Fürstemberga przebiegł grymas dziwny.

— Dane mi pierwszeństwo — odezwał się młody towarzysz króla i ulubieniec — dowodzi tylko, że przed okiem argusowem naszego najmiłościwszego pana nic się ukryć nie zdoła. Zna mnie, kłamać mu nie potrafię i wystawia na upokorzenie. Najjaśniejszy paniel—dodał, ręce składając, Fürstemberg—proszę o uwolnienie mnie od wizerunku kochanki.

— Nie! nie!—poczęto dokoła.—Portret być może bez podpisu... jeśli osoba ukrytą być musi, ale rozkaz pana święty i nieodwołalny. Maluj, Fürstemberg!

Wszyscy potrosze wiedzieli, dlaczego tak nieochoczo brał się do opisu młodzieniec. Była to chwila krytyczna w jego życiu, udawał bowiem wielką miłość dla przeszło czterdziestoletniej wdowy po

jednym z Friesenów, która słynęła z tego, że z pod różu i bielidla twarzy jej widać nie było. Wdowa była bogata, Fürstemberg właśnie grosza potrzebny, wszyscy wiedzieli, że się z nią nie ożeni, a jednak na balach dworskich, na maskaradach, w przejażdżkach ciągnęła go za swym wozem.

Gdy się Fürstemberg ociągał, nagle tak i tupać poczęto, iż król nakazać musiał milczenie i, wskazując na Fürstemberga, powtórzył:

— Niema litości, maluj tę malowaną kochankę, której palisz ofiary.

Dla nabrania odwagi młody roztrzępaniec wychylił swój kielich do dna.

— Kochanka moja jest najpiękniejszą w świecie — zawołał — możeż mi kto zaprzeczyć, znaż kto, co się ukrywa pod tą maską, którą dla śmiertelników oczu nakłada? Moja kochanka należy do bóstwa... bo jej jednej nie zagraża to, co wszystkim innym... piękność jej dojrzała, jaka jest, pozostanie na zawsze. Ząb czasu skruszy się o marmurowe jej kształty...

Śmiech mu przerwał.

Obok niego siedział Adolf Hoym. Mężczyzna był pięknie zbudowany, ale twarzy niemiłego wyrazu. Małe jego oczki świdrujące, gdy się w człowieka wpatrywał, cechowała przenikliwość jakaś trwożna. Zbladły i wyżółkły... w tej chwili dopiero po ambrozji nieco rumieńca nabierał. Hoym słynął z donżuanstwa, ale jego miłostki od lat kilku były tak tajemnicze i skryte, że już myślano, iż się ustatkował. Chodziły wieści, że się ożenił, ale żona jego nie pokazywała się nigdzie, nie widział jej nikt... siedziała podobno na wsi.

Hoym, który miał słabszą od innych głowę, a był już zmęczony, przez dni kilka dotrzymując królowi w nocnych jego biesiadach, widocznie był mocno napity. Poznać to było łatwo po mimowolnych

głowy jego ruchach, po wysileniach, z jakimi dźwigał ręce ociężałe, po uśmiechu ust krzywym, po przyrzymkających się powiekach i całej postawie zdradzającej, że sobą władać przestał.

Była to najmilsza gratka dla króla i jego towarzyszków, ministra od akcyzy schwytąć w takim stanie ubłogosławionym, gdy rozum języka powstrzymać nie może.

— Kolej na Hoyma!—rzekł król. — Hoym — dodał—znasz mnie, niema wymówki. Wiemy wszyscy, żeś wielkim znawcą i wielbicielem wdzięków niewieścich, że bez miłości żyć nie możesz; poza te ciębiany nie wychodzi nic. Spowiadać się!

Hoym głową na wszystkie strony wykręcał, a ęka próżnym bawiła się kielichem.

— He! he!—zaśmiał się.

Zcicha nalał mu wina Kyan.

Minister machinalnie podniósł kielich do ust wypił z tą bezrozumną chciwością właściwą już napitym, których szatańskie pali pragnienie.

Lice mu zaszło purpurą.

— He! he!—począł, bełkocąc—chcecie wiedzieć, jak wygląda moja kochanka... ale ja, mili panowie, nie mam i nie potrzebuję mieć kochanki, bo mam żonę bogini!

Roześmieli się wszyscy chórem, król tylko ciekawie, poważnie wpatrując się w niego, słuchał.

— Śmiejcie się—mówił Hoym,—kto jej nie widział, ten nie widział Wenery, a myślę, że i Wenus obok niej wydalaby się praczką z przedmieścia. Mogęż ja ją opisać? W jednym jej oku czarnem jest tyle potęgi i wdzięku, iż żaden śmiertelny nie może przeciw mu się nie potrafi. Postać jej, Praksytelesu, kłóbtoby zawstydziła... na jej uśmiech niema wyrazu, bo to bóstwo surowe i straszne i ten uśmiech nie kwitnie codziennie.

Kiwali głowami przytomni niedowierzające.
Hoym chciał przerwać, król uderzył o stół.

— Opisz-że ją lepiej: to są westchnienia, nie obrazy.

— Któż opisze doskonałość—dodał Hoym z podniesionemi w sufit oczyma... — Wszystkie piękności ma, a żadnej wady.

— Gotówem uwierzyć, że piękna—zawołał Lagasco,—jeśli niestały Hoym od trzech lat się w niej kocha i po cudzych kniejach nie poluje.

— Przesadza! pijany jest!—przerwał Fürstemberg. — Jako? piękniejsza od księżnej Teschen?

Hoym ruszył ramionami, trwożliwym okiem mierząc króla; ale król rzekł spokojnie:

— Tu niema innych względów nad prawdę... piękniejsza od Lubomirskiej?

— Najjaśniejszy Panie! — krzyknął, unosząc się, Hoym—księżna jest kobietą piękną, a moja żona jest bogini. Na całym dworze, w całym mieście, w całej Saksonji, w Europie drugiej takiej niema.

Śmiechem ogromnym, olbrzymim, szalonym zabrzmiąta sala.

— Jaki zabawny Hoym pijany!

— Jaka pocieszna akcyza pijana!

— Co za nieoszacowany człowiek!..

Król się nie śmiał, Hoym widocznie był pod wpływem ambrozji, zapomniał się, gdzie był i przed kim to mówił.

— Śmiejcie się—zawołał—znacie mnie przecie wszyscy; sami mnie Don-Żuanem nazywacie: oddajecie mi sprawiedliwość, że na piękności nie wieściej nikt się lepiej nie zna nade mnie. Dlaczegożbym miał kłamać?... To bóstwo nie kobieta dość jednego jej oka, aby w najzimniejszym łonie pożar zapaliło; jej uśmiech...

To mówiąc, spojrział mimowoli na króla. Wyrza

warzy Augusta, chciwie słuchającego wykrzykników i śledzącego każde jego słowo, przeraził go tak, że niemal się z trwogi wytrzeźwił. Radby był się cofnął... lecz nie mógł sobie zadać kłamu i, jak tężały, zamilkł, pobladszy...

Próżno śmiechami i wywoływaniem starano się go zmusić, by szedł dalej. Hoym ze strachu oprzytomniał, ręka jego machinalnie obejmowała kielich, ale oczy trzymał wlepione w ziemię i zamyślił się dziwnie.

Na znak króla Kyan nalał mu ambrozji, stuknięto w kielichy.

— Piliśmy boskiego naszego Herkulesa zdrowie! — zawołał Fürstemberg, — teraz zdrowie Najjaśniejszego Apolina naszego...

Niektórzy pili na klęczkach, inni stojąc; Hoym wstał, chwiejąc się, i musiał oprzeć się o stół. Skutek wina, który na chwilę trwoga zawiesiła, powracał. W głowie mu się kręciło: wypił duszkiem.

Poza krzesłem królewskim stał Fürstemberg, którego król Fürstchen przez pieśczętę nazywał w swych miłosnych wycieczkach zwykle za towarzysza miewał. Apolo odwrócił się ku niemu:

— Fürstchen — rzekł cicho, — akcyza nie kłamie, d lat kilku zamyka i tai się ze swym skarbem: trzeba go zmusić, aby nam ją pokazał... Użyj takich środków, jakich chcesz, niech kosztuje najdrożej, ale ją trzeba widzieć.

Fürstchen się uśmiechnął, szło to bardzo i jemu innym na rękę. Panująca dotąd królewska kochanka *en titre*, księżna Teschen*), miała przeciwko sobie wszystkich przyjaciół obalonego przez nią wielkiego kanclerza Beichlinga, po którego upadku ałać na Pirnajskiej ulicy odziedziczyła... a Für-

*) Cieszyńska.

stemberg, choć w swoim czasie służył Lubomirskiej przeciwko innym paniom dobijającym się serca króla; gotów był Augustowi służyć przeciw wszystkim w świecie. Piękność Lubomirskiej niezbyt świetna, nieco przekwitająca, jej pańskie obejście się i ton zaczynały nudzić króla, który wołał rezolutniejsze, śmielsze, żywsze charaktery w kochankach... Fürstemberg odgadł to wszystko z wejścia i mowy króla. W jednej chwili odskoczył od jego krzesła i znalazł się poufale sparty o poręcz Hoyma, nachylony do jego ucha...

— Kochana akcyzo—zwołał głośno,—wstyd mi za ciebie, kłamałeś bezwstydnie i to wobec króla jegomości; żartowałeś sobie z nas i z niego. Przypuszczam chętnie, że żona takiego łotra jak ty i kobieciarza, nie może być koczkodanem, ale do Wenery i bogini, a nawet do księżnej Teschen ją porównać, to były żarty!

— Com mówił—rzekł z gniewem—to była prawda! *Tausend donner wetter! Potz und Blitz!*

Śmiano się z rubasznego wykrzyku, ale przy biesiadzie poufalej król wszystko przebaczał; po pijanemu prości śmiertelnicy chwyтали go za szyję i całowali, nie lękając się, by ich Goljat zdusił w objęciach...

— Stawię tysiąc dukatów w zakład, o!—krzyknął Fürstemberg—że żona twoja od innych dam dworu piękniejszą być nie może...

Hoymowi dolewano wina... akcyza piła z rozpacz...

— Trzymam zakład! — zgrzytnął zębami blady i pijany—trzymam...

— Sędzią... ja będę sędzią! A sądu zwlekać się nie godzi—wyciągając rękę, dodał August.—Hoym natychmiast sprowadzi tu żonę i na pierwszym balu u królowej ją przedstawi...

— Hoym! pisz! Kurjer królewski powiezie list do Laubegast...

— Pisz list... natychmiast!—zaczęto znowu wołać ze wszystkich stron...

W jednej chwili podsunęto mu papier, Fürstemberg gwałtem wcisnął pióro, król wzrokiem naglił do wykonania. Nieszczęśliwy Hoym, w którym chwilami odzywała się trwoga mężowska i pamięć zalotności królewskiej, sam nie wiedział, jak dyktowany mu rozkaz przybycia do Drezna żonie napisał, i w mgnieniu oka wyrwano mu go z rąk... ktoś po wschodach zbiegł w dziedzińce, aby królewski posłaniec natychmiast z nim do Laubegast wyruszył.

— Fürstemberg — szepnął August — ja widzę po Hoymie, że jeśli się wytrzeźwi dziś, rozkaz odwoła: trzeba go spoić na śmierć, by nogą ani ręką nie ruszył...

— Jest już tak pijany, że się o życie jego lękam — dodał książę.

— A ja nie — spokojnie rzekł król, — czyżby już Hoyma nikt w świecie zastąpić nie był w stanie? A takibyśmy mu pyszny z mnóstwem palm i wieńców pogrzeb sprawili...

Uśmiezek króla tak podziałał, iż koło Hoyma kółko się skupiło z kielichami; wyzywano go, wymyślano toasty, dolewano ambrosję różnemi z flaszek podstawionych kryjomo dobywanemi płynami, i w pół godziny... Hoym błady jak trup, z głową zwieszoną, z usty okropnie otwartemi, spał, leżąc na stole... Hajduty królewscy na dany znak poniesli go do łóżka. Dla ostrożności wszakże raczej niż z troskliwości o zdrowie, zamiast w lektyce odnieść go do domu na Pirnaiską ulicę, położono go z jednym z gabinetów królewskich i dodano na wartę Cojanusa olbrzyma, który miał rozkaz nie

puszczać go do domu, gdyby się obudził. Hoym jednak wcale się nie przebudziwszy i stękając tylko przez sen ciężko, bezprzytomny przeleżał do rana. Na sali, po wyniesieniu tego trupa, rozpoczęła się dopiero bachanalja przy zamkniętych drzwiach, w ciasniejszym kółku, której świadkami były tylko zwierciadła sali.

Król był w najpiękniejszym humorze, a promienistość tego oblicza odbijała się na twarzach dworzan jego. Już się miało dobrze na brzask, gdy dwaj hajdacy nareszcie ostatniego ze wszystkich i Augusta Mocnego jak dziecię do łóżka zanieśli.

Zarzucicie mi przesadę w obrazie! Niestety! wszystkie jego rysy, aż do najdrobniejszego, są prawdziwe...

Fürstemberg został sam na ruinach, prawie zupełnie trzeźwy, zdjął perukę tylko, aby ochłodzić głowę, i zamyślił się głęboko... mówiąc do siebie:

— Będziemy tedy mieli nowe panowanie... Lubomirska nadto się też wdawała w politykę... mogła opanować króla... Naco mu rozumna kochanka? niech go tylko bawi i kocha! to jej powołanie...

Zobaczymy Hoymową...

II

Laubegast leży nad samym Elby brzegiem, o dobrych parę godzin od Drezna. Mała wioseczka już naówczas miała kilka domków, widocznie przez możniejszych postawionych i panujących okolicy. Kryły się one w starych lipach i bukach, w czarnych sosen i jodeł gałęziach.

Pałacyk Hoyma, do którego on się czasami z domu swojego wykradał, aby tu spędzać wieczory i część dnia, a czasem nawet całe pod nieobecność króla tygodnie, wyglądał jak wszystkie

owego czasu, z wysokim dachem i poddaszami na sposób francuski, z wyginanemi ozdoby i floresami po murach. Sprowadzeni ze stolicy mularze okrasili go jak najstaranniej i o ile znieść mogły skromne pałacyku rozmiary. Znać było wielką troskliwość pana o upiększenie miejsca tego. Mały dziedzińczyk opasywała krata żelazna w słupach muryowanych, na których stały piękne wazony kamienne, na wznioślejszych nieco, przy bramie, grupy aniołków trzymały latarnie. Wchód do domu z galerją kamienną, przybraną w wazony i figurki, okrywały piękne kwiaty. Dom wyglądał pańsko z za drzew, ale smutnie jak klasztor, jak pustkowie.

Nie było tu życia, ani licznych sług, ani ruchawego dworu. Dwóch starych kamerdynerów, kilkoro czeladzi pokazywało się czasem około pałacyku, a nad wieczorem niekiedy z książką w ręku wychodziła z niego postać, której cała ludność Laubegastu z za płotów i krzaków z trwogą i podziwem się przypatrywała. Było to w istocie dziwne w tym zapadłym kącie zjawisko, któremu właściwszym pobytem zdawała się sama stolica.

Nikt nie widział tu nic podobnego, ani mógł marzyć o takiej piękności. Młodziuchna kobieta, wysokiej i szlachetnej postawy, biała jak marmur, z czarnemi, jasnemi, bystremi oczyma, gdy szła ulicą w majestacie swej młodości, piękności i dumy... mimowolnie trwoga ogarniała patrzących na nią nawet ukradkiem, takiego coś w sobie miała królewskiego i rozkazującego. Chciało się na twarz padać przed nią.

A była smutna przy tej powadze, jak żałobny posąg zdjęty z grobowca. Nigdy się nie uśmiechnęło jej oko ni usta, nigdy nie spojrzała weselej w niebo... Spoglądała na ziemię czarną, na szare Elby wody, na kwiatki, których ani zrywała, ani

się poila ich wonią. Zdawała się nieszczęśliwą, może była tylko znudzona. Wiedziano, że od lat kilku siedziała tu tak zamknięta, nie widując prawie nikogo, oprócz siostry Hoyma Vitzthumowej, której brat też rzadko przystępu do żony dozwalał. Wiedział zapewne, że i ona chwilowo miała szczęście być w łaskach u króla, a nadzieję pozostania w nich dłużej, która się nie ziściła. Strzegąc żony od wpływu dworu i intryg jego, własną nawet siostrę od niej usuwał. Vitzthumowa ruszała ramionami pogardliwie i wszystko było jej jedno.

Ale bratowa śmiertelnie się nudziła. Całą jej zabawą były książki pobożne marzycieli protestanckich, które czytała skwapliwie i ustronne przechadzki pod nadzorem starego kamerdynera.

Życie to było jednostajne i ciche jak grób, ale zato namiętności w niem nie wywoływały burzy. Hoym zrazu bardzo czuły, z natury bałamut i bałamuctwem dworu podżegany, znużył się żoną i zapomniał już o niej. Kochał ją jednak po swojemu, zazdrośnie, i chciał ten skarb mieć zatajony przed oczyma ludzkiemi. Tylko, gdy króla i dworu nie było w Dreznie, pani Hoym miała pozwolenie na krótko przybyć się rozerwać w stolicy, która wówczas śmiertelnie nudną była.

To kilkoletnie zamknięcie napoiło ją dumą, żółcią, goryczą, smutnemi myślami, pogardą dla świata i ascetyzmem dziwnym. Wystawiała sobie życie swe jako skończone, zamknięte... jako wyczekiwanie równie samotnego zgonu, a była jak anioł piękna i nie miała jeszcze skończonych lat dwudziestu czterech, i ci co ją zdala widzieli, nie daby jej z twarzy, dziecinnej niemal, ani ośmnastu, tak dziwnie wyglądała młodo.

Panią Vitzthum, która w gorętszem życiu postradała świeżość i część młodego wdzięku, ta

nieśmiertelna dziewiczość bratowej gniewała. Gniewały ją inne jeszcze w niej przymioty: szlachetna duma cnoty, oburzenie na zepsucie, pogarda intrygi i kłamstwa, królewski majestat, z jakim z góry swej potęgi spoglądała na ruchliwą, śmiejącą się, pełną fałszu bratową. Gdyby nie była bratową, możeby jej nawet życzyła upadku i upokorzenia. Hoymowa nie lubiła jej wzajemnie, wstręt do niej czując instynktowny. Dla męża okazywała teraz niemal chłodną pogardę... przez samą panią Vitzthum, pocichu szepczącą nieraz tajemne skandali, wiedziała Anna Hoym, że mąż nie był jej wiernym. Mogła go łatwo jednym czulszem wejrzeniem u stóp swych położyć, znała swą potęgę, była jej pewną: nie chciała. Wydał się jej już zbyt nikczemną istotą, aby się o niego starać było warto. Przyjmowała go zimno, odprawiała obojętnie; Hoym się burzył, ale z żoną gdy przyszło do otwartej kłótni, czuł się tak słabym, że zwycięstwa szukał w ucieczce.

Tak płynęły smutne a długie dni w Laubegast... Nieraz Annie przychodziły myśli słomianą wdową powrócić nazad do Holsztynu, do Brockdorf, do rodziny. Lecz rodzina nie była jej bardzo przychylną, ojca i matki nie miała oddawna, a księżna Brunświcka z domu Holstein Plön, czyby ją była znowu przyjęła? Głośnie tam było i pamiętne znalezienie się szesnastoletniej jeszcze Anny, którą książę Ludwik Rudolf w zapale uwielbienia dla jej piękności cudnej, chciał pocałować i — dostał publicznie prawie policzek...

Nie miała się więc gdzie podziąć biedna a piękna Anna.

Pomimo zepsucia dworu i sąsiedztwa Drezna, w którym trudno było ukryć przed oczyma ludzi taką gwiazdę pierwszej piękności, kilka lat prze-

chadzając się ponad brzegami Elby, nad którymi nieustannie krzyżowały się dworskie powozy, kawalerowie konni, wojskowi i cała próżniacza czereda otaczająca panującego, Anna tak się umiała przysłonić w tem swem ustroniu, że ją żadne niemal nie spostrzegło oko.

Oprócz jednego...

Tym jednym był młody Polak, który raczej wisiał niż trzymał się na dworze Augusta, a dostał się nań prawie mimowoli i mimowoli tu dość nudne wiódł życie.

Gdy August Mocny po raz pierwszy jechał do Polski i przy biesiadzie w oczach zdumionych pań, co na jego wyruszyli spotkanie, srebrne gnióti w rękę puhary, łamał talary i kruszył podkowy; przy obiedzie w Piekarach po odbytej ceremonji przed cudownym obrazem, na widok tych popisów siły pańskiej, źle jakoś wróżyć się zdającej przyszłości Rzeczypospolitej, ozwał się zniechcenia pono książdz biskup kujawski, iż jednego młodego chłopaka znał, który niemal tak samo mógł dokazywać. Piknęło to króla jegomości, zarumienił się, acz tego po sobie nie dał znać, zwłaszcza że to były dopiero początki jego w Polsce — rzekł tylko, iż ciekawy był widzieć współzawodnika w sile, bo go jako żywo nigdy w życiu nie spotkał. Obiecał książdz kujawski ubogiego onego szlachetkę, pochodzącego bodaj z wielkiej a niegdyś bardzo możnej rodziny Zaklików, królowi, gdy przybędą do Krakowa, po koronacji przedstawić. Ale rzecz, przy tulu innych ważniejszych poszła w zapomnienie i biskup-by jej nie wznawiał, postrzegłszy się, iż niezręcznie z tą paralełą wystąpił, gdyby sam król nie naparł się i nie przypomniał, a nie wymagał natarczywie, aby mu owego pana Rajmunda Zaklikę koniecznie na oczy pokazano.

Chłopak tylko co był szkoły jako tako u jezuitów dokończył, wałęsał się, sam nie wiedząc, co począć z sobą. Do wojskaby był rad szedł, ale pocztu sobie za co kupić nie miał, a inaczej staremu szlachcicowi nie wypadało. Po długich więc poszukiwaniach w mieście udało się Zaklikę odkopać gdzieś poniewoli pasującego się z piórem przy kancelarji. Gdy przyszło go stawić przed królem jegomością, nie było ani przyodziewku dostatecznego, ani szabelki, ani pasika. Biskup go marszałkowi dworu rad nierad musiał kazać oporządzić od stóp do głowy i dopiero sam obejrzawszy, że mu wstydu nie zrobi, trzymał w pogotowiu. Król najczęściej z tą siłą przy ucztowaniu występował, gdy był dobrej myśli. Znowu tedy dnia jednego dzbany miętosił i podkowy sobie przynosić kazał, które dworscy zawsze na ten eksperyment w pogotowiu trzymali. Siedział biskup cicho, aż król do niego znowu: „a gdzież wasz siłacz, mój ojczy?” Począł nalegać: sprowadzono Zaklikę.

Chłopak był wyrosły jak dębeczak, smukły, rumiany, hoży, skromny jak dziewczyna i nie wydawał się wcale takim Herkulesem. August, spojrzawszy nań, począł się uśmiechać. Że był szlachcic, przypuszczono go do ucałowania ręki pańskiej. Rozmówić się z nim inaczej jak po łacinie było trudno, bo po niemiecku ani po francusku słowa jeszcze wówczas nie rozumiał. Szczęściem tu słów nie było potrzeba. Stały dwa puhary srebrne jednakowiusieńkie przed królem; wziął August jeden w szeroką dłoń, palcami objął, pocisnął i jak liść zgiał i zdusił. Było na dnie wino: trysnęło wierzchem.

Szydersko się uśmiechając, podsunął sam drugi Zaklice i rzekł: — Probuje, jeśli puhar zgnieciesz, twój będzie.

Nieśmiało zbliżył się chłopak do pańskiego stołu, garść nastawił i objął blachę twardą; chwilę się niby ważyło, co będzie, krew mu uderzyła do głowy... i puhar poszedł w kawałki. Na twarzy królewskiej odmalowało się niezmierne zdumienie, ale żywsze jeszcze nieukontentowanie, które i we wzroku na biskupa rzuconym znać było. Panowie przytomni jęli dowodzić, że puhar z cieńszej był blachy, albo nadkruszony...

Wziął król podkowy łamać jak obwarzanki, kazano Zaklice i kruszył je leciuchno, nie wysilając się. Dobył August talara bitego, zmocował we dwóch rękach i złamał tuż. Dano Zaklice bodaj grubszego hiszpańskiego, trochę się chłopak namyślał; ale już się też i rozpałił, a to mu sił dodało: przepołowił i talara.

Chmura popłynęła któlowi po czole i markotny się stał dwór pański, że do takich nieprzyzwoitych zapasów przyszło. Kazał król Zaklikę nagrodzić, oba puhary mu darował; a potem namyśliwszy się, powiedział, żeby go do dworu wzięto. Dano mu jakiś urzędzik przy dworze, ale nazajutrz na ucho szepnął ochmistrz, by się nigdy nie ważył z siłą popisywać, ni chwalić, aby z nim nie było źle, bo to rzecz zakazana.

Uwiśł tak przy drodze ów niebożątko Zaklika; dano mu kilkaset talarów pensji, barwę co się zowie wspaniałą, żadnej roboty, wiele swobody, ale za królem, gdzie się on ruszył, jeździć musiał. A że to było, jak mówi przysłowie, pokorne cięło, dobrze mu było. Król wprowadzie słowa doń nie przemówił, ale o nim pamiętał, pytał i nakazywał, by mu na niczem nie zbywało. Swobody miał chłopiec dosyć, a że wśród tego szwargotu niemieckiego wciąż musiał siedzieć lub francuszczyzny słuchać, jał się obojga języków uczyć bystro i we

dwa lata już niemi dobrze w gębie obracał. Ano z tego próżnowania i że żyć z szoldrami lubił, bo tak ich zwał, *salva reverentia* dla która jegomości, gdy pora była potem, około Drezna pieszo scho-
dził wszystkie wioski i laski. Natura była ciekawa, drapał się i po górach na drugim brzegu Elby tak urwistych, że z nich spojrzawszy... *abyssus vocat*. Nigdy jednak szwanku nie poniósł.

W jednojęto z tych przechadzek trafił Rajmuś Zaklika do Laubegastu i znalazłszy pod bezpańską lipą chłodek, rozłożył się tam obozem na swoje nieszczęście... właśnie o tej godzinie wyszła Anna hrabina Hoym na swą samotną przechadzkę. Gdy ją chłopak ujrzał, odrazu zamarł z admiracji; tchu mu w piersi zabrakło. Oczy tań, myśląc, że mu się śni i że taka istota chyba istnieć nie może. Siedział w miejscu biedaczysko do nocy, patrząc, a patrząc... i napatrzeć się nie mogąc. Zdawało mu się, że się oczyma napasie dosyta, a im dłużej pa-
rzył, tem więcej widzieć pragnął. Zrodziła się w duszy tęsknota... czy szal, dosyć, że do Laube-
gastu jak opętany latać zaczął, w głowie mu się wszystko przewróciło.

A że się nikomu nie zwierzał, nie było mu też komu poradzić, iż na taką chorobę jedno jest tylko lekarstwo; w ogień samemu nie iść, ale z ognia uciekać.

Tak się chłopczysko rozmiłowało, że wychudło i zgłupiało. Kobiety, służące u dworu u pani Hoy-
mowej, które wyszpiegowały go a domyśliły się pewno, co mu jest, jęły w śmiechy z niego, po-
wiedziały o tem i pani. Śmiała się i ona i zoba-
czyła go niewidziana, a może się jej go i żal zro-
biło, ale kazała do siebie przywołać i surowo go
zgromiła, że się niepotrzebnie włóczył, a zakazała,
aby więcej nogą około dworu nie postął.

Ze przy tej rozmowie nikogo nie było, a chłopca głupota jego znać ośmielała, odpowiedział na to, że przecież patrząc, nie grzeszy i że oprócz widzenia pani nic nie żąda, a dodał, iż choćby go tam i ukamienować miano, musi przyjść, gdyż mu srodze tęskno.

Nagniewała się, tupiąc nóżką, pani Hoymowa, grożąc, iż go mężowi przeskarży, a nic go to nie nastraszyło. Potem się kilka tygodni z tej strony, z której ją widzieć mógł, nie pokazywała. Chodziła od Elby, póki raz nie postrzegła, że Zaklika poszyję w wodę się schowawszy, mimo zimnej rzeki, stał tak ukryty, aby tylko ją zobaczyć. Rozgniewała się tedy strasznie i poczęła wołać na ludzi, aż Rajmuś nurka dał i zniknął. O mało naówczas nie utonął, bo go kurcze porwały i odzież mu namokła ciężyla, ale się wyratował. I jakoś go nie było widać, ano nieprawda, bo sobie inną obrawszy kryjówkę, oczy trucizną tej piękności paśł i paśł. Już czy jejność o tem wiedziała czy nie, nie było słyhu, a nie mówiono więcej o Zaklice. Że zaś we dworze mało się o niego troszczono i król byłby może nawet rad, żeby gdzie karku nadkręcił, nikt o chłopcu nie słyszał. Robił i chodził, jak chciał.

Raz tylko zawezwano go do dworu, bo król dużemu koniowi z wielkiego gniewu, w jaki wpadł, głowę jednem cięciem odrąbał. Chciał tedy okazać August Mocny, iż tego nawet ów sławny Zaklika nie dokaże. Przyprowadzono szkapę starą z pod dragona, twardokościstą. Dawano pocichu do zrozumienia Zaklice zawczasu, aby, jeśli mu łaska pańska miła, koniowi dał pokój, lub nie tak bardzo się zamachiwał. Temu było już wszystko jedno, a gdy raz na siłę szło i pot poczuł — jak to mówiono — nikt go nie pohamował. Wobec tedy króla,

penów i wielkiej ciżby osób, poprobowawszy tylko żelaza i dobrawszy klingi, koniowi łeb zwałił jak brzytwą... Mówli, że go potem tydzień ręka bolała w ramieniu — ale nic — król słowa nie rzekłszy, ramionami ruszył tylko i zapito konfuzję. Na Zaklikę nikt i nie spojrzał już, a dworscy słudzy, których miał przyjaźniejszych, szeptali mu, że mógłby się wynosić gdzie cichaczem, bo go przyłada małem czem spotka ciupa na Koenigsteinie.

Rajmuś ramionami ruszył a wcale się tego nie zląkł... Królewskiego tyle było zwycięstwa, że koniecznie chciał go jeszcze próbować, wiele wina strzyma; ten zaś czystą wodę tylko pijał, czasem szklanekę piwa, wina kieliszeczek — dalej nie mogąc. Więc próżne było przykazywanie królewskie, pij a pij. Gwałtem prawie wleli mu puhar węgrzyna, od którego jak padł, tydzień odchorował, i o małego z tego świata nie wzięła gorączka. Ano potem do siebie przyszedł i bodaj do ogromniejszej jeszcze siły, na którą się z nim nikt próbować już nie śmiał.

I znowu chodził na wygląkanie owo dziecinne pod ogród w Laubegaście. A miłość ta uczyniła go innym człowiekiem: spoważniał bardzo, uczyć się począł i powierzchownie nawet odmienił... Anna, hrabina Hoymowa, która o wszystkim mówiła mężowi i jego siostrze, o nim nigdy nie wspominała, zdając się go już nie widzieć, ani wiedzieć o nim...

W Laubegaście kończył się dzień zawczasu, z mrokiem zamykano bramy i drzwi na klucze drągi, jak było we zwyczaju naówczas; psy spuszczano na podwórza z łańcuchów, słudzy szli z kurami spać, a pani choćby dłużej przy świetle czas nudny spędziła nad książką, nikt o tem nie wiedział...

Tej nocy właśnie gdy rozpustowano na zamku, a w odkrytych polach jesienny wiatер buiał, w Laubegast tak go słyсhać było, łamiącego drzew gałęzie i miotającego lipami, iż o śnie ani było myśleć.

Piękna Anna rozebrawszy się, czytała biblję, bo to było jej czytanie najulubieńsze, zwłaszcza Apokalipsa i listy świętego Pawła... Toż myślała a rozmyślała nad niemi, często płacząc nawet.

Było już późno w noc i druga świeca jarząca dopalała się w jej pokoju, gdy tętent dał się słyszeć za domem, a potem jakby kto bramą żelazną targał, i psy ujadać zaczęły tak straszliwie, iż nieuleknionego ducha pani poczuła się strwożoną. Rzadkie były już wówczas napaści na dwory, zwłaszcza pod stolicą, ale się przecie trafiały. Rozpuszczone żoldactwo, połapani gwałtem żołnierze, którzy później zbiegali i po górach się kryli, tułając, dopuszczali się czasem gwałtów, choć je szyją później płacić im przyszło, gdy na nich oblawy zwołano.

Poczęła więc dzwonić Anna i cały dwór się pobudził, ale mimo to, brama nie przestała dźwięczeć ani psy ujadać... Poszli tedy ludzie z bronią w dziedziniec i dopiero zobaczyli, że tam się ze dworu królewskiego posłaniec miotał a krzyczał i tuż za nim sześciokonny powóz stał z lokajami i służką. Psy wzięto na łańcuchy, wrota otwarto, posłaniec list oddał...

Gdy go jej przyniesiono wśród nocy, sądziła zrazu, iż coś złego stać się musiało: pobladła nieco... poznawszy jednak rękę męża, choć zmienioną, na liście uspokoiła się. Przyszedł jej tylko na myśl los kanclerza Beichlinga, który nagle ze szczytu łaski poszedł jednej nocy do Koenigsteinu i zabrano mu wszystko, co miał. Sam Hoym nieraz pocichu spowiadał się jej z tego, iż królowi nie wierzy i nie

będzie się nigdy czuł bezpiecznym, dopóki majątku i głowy za granicę nie wyniesie.

Dowiedziona to było rzeczą, iż król, gdy najczulszym się okazywał, najwięcej się go obawiać było potrzeba, uspić bowiem pragnął, nim ofiarę swą stracił ze szczytu i lubował się, patrząc na tragiczną fortuny zmianę. Myślała więc Anna, azali los kanclerza nie spotkał jej męża, którego kraj cały nienawidził za wprowadzenie akcyzy, i nie-przyjaciele nań szczuli ze wszech stron.

Zdziwiła się niezmiernie, postrzegłszy na bilecie męża, ręką acz widocznie zmienioną i pośpieszną kreślonym, rozkaz, aby natychmiast przybyła... poślanym po nią powozem. Ani się było podobna opierać dla oczu ludzkich... a i ciekawość też wiodła... Kazała więc sługom czynić natychmiast przygotowania do podróży... i nie upłynęła godzina, gdy już w powozie siedziała i wrota cichego dworu w Laubegast nazawsze się za nią zamknęły...

Myśli dziwne w drodze ją opanowały... Czowała się przejętą jakimś strachem i smutną tak, że się jej na łzy zbierało. Nie wiedziała, co jej groziło i czy jej co zagrażało, trwożyła się wszakże. O powrocie króla i dworu, po kilkoletniej niebytności, wiadano wszędzie. Z niemi razem powracały do Drezna intrygi, podstępny, wyścigi o łaski i znaczenie, w których się różnemi środkami posługiwano. Działy się tam rzeczy napozór lekkie i wesołe a w istocie tragiczne...

W chwili gdy ofiary z jękiem padały w lochy i ciemne przepaści, balowa muzyka przygrywała weselu tych, co zwyciężyli... Nieraz zdała patrzyła Anna na siną górę Koenigsteina, pełną tajemnic i ofiar...

Noc była ciemna bardzo, lecz powóz poprzedały pochodnie dworskie i konie pędziły... ani opa-

trzono się, jak stanęła karetą na bruku i domu przy Pirnajskiej ulicy. To też choć ministra oczekiwano, ludzie się pospali i nierychło się ich było można dobudzić. W domu tym, w którym Hoym zajmował pierwsze piętro, pokoiów nawet swoich Anna nie miała. Były tylko dla przyjęcia klientów naznaczone i sypialnia pańska, która wstręt wzbudzała w Annie... Zresztą kancelarje i całe izby papierów... Gabinet ministra przytykał do ogromnej sali, ozdobnej wprawdzie, ale ciemnej, ponurej i smutnej. Nie zastawszy męża w domu, tem więcej się zdziwiła hrabina Anna; ale słudzy ją pewnili, iż to była *noc królewska*, i że przy tej zabawie zwykle przeciągał się pobyt zamku do dnia białego i dłużej, niekiedy dni i nocy parę. Zmuszona szukać przytulku i odpoczynku, hrabina musiała dziś po raz pierwszy w tym domu męża, w którym nigdy prawie nie bywała, znaleźć sobie jakiś kątek. Obróciła gabinet z drugiej strony kancelarji ministra położony, oddzielony od innych pokoiów i tu sobie prawdziwie łóżeczko obozowe ukłaść kazawszy, zaryglowawszy się ze sługą, próbowała usnąć nieco. Ale sen nie spłynął na powieki znużone, drzemała tylko chorobliwie, budząc się i zrywając za najmniejszym szelestem...

Dzień już był biały, gdy usnąwszy głęboko na chwilę, przebudziła się, słysząc w gabinecie otwierające się drzwi i stąpanie. Sądziła zrazu, iż to był chód męża i w cichości co najprędzej poczęła się z pomocą sługi ubierać...

Ubiór to był poranny, zaniedbany, który jej wdzięku dodawał. Znużenie podróży, niepokój, gorączka, podniosły królewski wdzięk i blask urody zachwycającej. Z niecierpliwością odryglowała drzwi, które ją dzieliły od gabinetu, otworzyła je, i stanęła w progu.

Naprzeciw niej, zamiast męża, stał człowiek zupełnie jej nieznajomy, którego postawa i twarz wielkie na niej uczyniły wrażenie.

Był to mężczyzna w czarnej, długiej sukni protestanckiego duchownego, niemłody, z głową wypelzłą i błyszczącą, około której nieco siwych włosów rozwianych jakby aureolę wiązało. Zżółkła skóra przylegała do kości jego czoła, tak, iż żyły rysowały się wszędzie wypukło... Siwe oczy głęboko wpadłe, usta uśmiechnięte goryczą, spokojna pogarda świata, pogoda i powaga przytem, nadawały tej twarzy ani pięknej zresztą, ani znaczącej, coś tak wybitnego i zajmującego oczy zdumione, iż mimowoli oderwać ich od niej nie było można.

Patrzała na niego Anna, ale i on jakby zjawiskiem tej kobiety przerażony, stał nieruchomy z wlepionemi w nią oczyma, w których mimowolne malowało się uwielbienie dla cudownego boskiego tworu, podobnego aniołom...

Stał i usta mu drżały i ręce się podniosły napół zdumieniem, napół jakimś ruchem niezrozumiałym, który i odpychać mógł i błogosławić...

Dwie te istoty, zupełnie sobie nieznane, badały się tak chwilę oczyma... Duchowny cofał się zwolna... Anna oglądała się, szukając oczyma męża... Już miała nazad wstąpić za próg gabinetu, gdy duchowny, spojrzawszy na nią wzrokiem litości pełnym, zapytał:

— Kto ty jesteś?

III

— Jabym to prędzej was mogła spytać, kto wy jesteście i co tu w domu moim robicie?

— W domu waszym? — powtórzył zdumiony duchowny — jakto? więc żoną jesteście pana ministra?

Anna głową dumnie dała znak potwierdzający. Duchowny spojrzał na nią wzrokiem pełnym najwyrazistszej litości, patrzył długo i dwie łzy zakręciły mu się pod zmarszczonemi powieki: złożył ręce jakby z rozpacz i zwątpienia.

Anna poglądała nań z ciekawością. Niepozorna ta postać zszarzana, zmęczona, życiem złamana, zdawała się ożywiać, wyszlachetniać, uczuciem jakimś wielkiem wyrastać, stała się poważną i majestatyczną. Dumna pani czuła się przy niej onieśmioną, małą, zdziecinniałą, niemal pokorną. Milczący starzec promieniał jakimś natchnieniem wewnętrznem. Nagle oprzytomniał, obejrzał się strwożony i krok postąpił naprzód...

— Dlaczegoż ty, którą Wszechmogący stworzył dla chwały swej, jako pięknej cnoty naczynie, ty pełna blasku istoto, podobna aniołom, nie otrąśniesz pyłu z nóg twych skalanych dotknięciem nieczystego Babilonu i nie uciekniesz, rozdarłszy szaty białe, z tego ogniska zepsucia i rozpusty? — zawołał jakby nagle rozogniony miłosierdziem. — Dlaczego ty tu w tym ogniu trwasz? kto cię weń wrzucił? kto był tym niegodziwym, co tak piękne dziecko boże cisnął w ten świat plugawy?! Cemu nie uciekasz? dlaczego stoisz niestrwożona a może niewiedząca o niebezpieczeństwie? dawno tu jesteś?

Anna zrazu osłupiała, słuchając, lecz głos staro-ego takie na niej czynił wrażenie, iż uczuła się może pierwszy raz w życiu podbitą i onieśmioną. Oburzał ją ten ton duchownego, a nie mogła się zań pogniewać. Nim otworzyła usta, on mówił dalej:

— A wiesz-że ty, gdzie jesteś? a wiesz, że ta ziemia, na której stoisz, chwieje się pod stopami twemi? że te ściany się otwierają na rozkazy, ludzie nikną, gdy są zawadą, że tu życie człowieka nie waży nic... dla kropli rozkoszy?

— Cóż za przestraszające obrazy kreślisz, mój ojciec — odezwała się wreszcie Hoymowa — i dla czego mnie niemi chcesz zatrwożyć?

— Bo z czystego czoła i oczy twych, dziecko moje — rzekł duchowny — widzę, żeś bezpieczna, niewinna i nieświadoma tego, co cię otacza: tyś chyba tu niedawno?

— Od kilku godzin — uśmiechając się, odpowiedziała Hoymowa...

— I nie tu przeżyłaś dzieciństwo i młodość twoją, bobyś tak nie wyglądała — uśmiechnął się boleśnie stary — nieprawdaż?

— Dzieciństwo spędziłam w Holsztynie... od lat kilku jestem żoną Hoyma, ale mnie trzymał odosobnioną na wsi... ledwie mi zdawało się, że widziałam Drezno...

— A nic chyba nie słyszałaś o niemu... — dodał stary i wstrząsnął się. — Wszystko, co mi mówisz, przeczytałam na czołe twem, w wejrzeniu — rzekł smutnie. — Bóg mi czasem daje zażyć głęboko w duszę ludzką... Niezmierną litością zostałam objęty, widząc cię, piękna pani; zdało mi się, że patrząc na nią białą, rozkwitła w ustroniu, którą stado rozhukanego bydła ma podeptać. Było ci kwitnąć, gdzieś wzrosła, i wonieć pustyni a Boga...

Zamyślił się głęboko. Anna postąpiła, przejęta, kilka kroków ku niemu... w jej oczach i postawie widać było wzruszenie.

— Ojciec mój — rzekła — ty któż jesteś?

Stary zdawał się nie słyszeć, tak się zadumał głęboko. Powtórzyła pytanie.

— Kto ja jestem? — rzekł — kto ja jestem? nędzna istota greszna i wzgardzona, na którą nikt nie patrzy, lub się z niej wszyscy śmieją. Jam głos wołającego na puszczy... jam ten, który przepowiada upadek, zniszczenie, dni pokuty i niedoli... Kto ja jestem? — naczynie w ręku bożym, przez

które czasem przechodzi głos z góry potężny, aby go ludzie nie słyszeli lub ośmieli. Jam ten, za którego czarną suknią biegają ulicznicy, rzucając na nią błotem, ten którego poroctw nikt nie słucha... nędzarz wśród bogaczy... ale praw i czysty przed Panem... ale spokojny wśród szalów, z modlitwą na ustach wśród rozpusty.

I zamilkł, ostatnie słowa wymówiwszy głosem gasnącym... Spuścił głowę.

— Dziwne zrządzenie — odezwała się Anna, nie odstępując od niego — po kilku latach spokoju na wsi, w ciągu których mnie szmer ledwie od stolicy dochodził, przybywam nagle powołana przez męża i w progu spotykam was jakby przestrożę i oznajmienie... Nie jesteście to palec boży?

Wstrząsnęła się i dreszcz przebiegł ją całą.

— Zaprawdę dziwne! — powtórzyła.

— Opatrzne... — rzekł stary — a biada tym, co litościwej bożej nie słuchają przestrogi... Chcesz wiedzieć, kto ja jestem? nikt! ubogi od kościoła kaznodzieja, który coś zgrzeszył na kazalnicy i którego pomsta panów ziemskich ściga... Zowie się Schraim... Hrabia Hoym znał mnie niegdyś w dzieciństwie, przybyłem go prosić o przemówienie za mną. Grożą mi. I oto jak się tu dziś znalazłem... Ale kto was tu sprowadził? kto wam tu przybyć dozwolił?

— Własny mąż! — rzekła Anna...

— Proś go, niech cię uwolni — szepnął, oglądając się trwożliwie duchowny. — Widziałem piękności tego dworu, bo je tu ludowi na ulicach pokazują jak lalki... tyś nad nie wszystkie piękniejsza stokroć... Więc biada ci, jeśli tu pozostaniesz... okolą cię siecią intryg, osnują jadowitemi pajęczynami, uspią, upoją... zawrócą głowę melodią pieśni, ukołysz serce bajaniem... złudzą oczy bezwsty-

dem... oswoją ze sromotą, aż jednego dnia, spój-
niona, znużona, osłabła... polecisz w przepaść...

— Nie — zawołała — nie jestem tak słabą, jak
sądzicie, ani tak spragnioną życia... Nie, świat ten
mi się nie uśmiecha, patrzę nań zgóry... niżej on
ode mnie...

— Aleś go oczyma duszy tylko i przeczuć wi-
działa — odparł Schramm — nie wierz sobie, uciekaj
z tego piekła... Królewskie w niem posęgi popadły
się na węgiel i obrukały sadzami... Idź stąd... idź,
idź; szkoda ciebie i białej niewinnej duszy twojej...

To mówiąc, ręce wyciągał, jakby ją chciał wy-
gnać i przyspieszyć odejście; ale Anna stała nie-
zatrwożona, szyderski razem i litości pełen uśmiech
błąkał się po jej ustach.

— A gdzież ucieknę? — zawołała. — Los mój po-
łączony jest z losem tego człowieka... oderwać go
odeń nie w mocy mojej... Ja wierzę w przeznacze-
nie, stanie się, co mi wyznaczono... tylko nie śpią-
cą i nie pijaną owładną mną, nie osłabłą i zwy-
cięzoną, ale chyba im panować będę...

Schramm strwożony spojrzał, stała pełna dumy
i siły, uśmiechnięta szydersko i królująca...

W tej chwili otworzyły się drzwi i hrabia Adolf
Magnus Hoym wszedł zmieszany, powoli, w progu
wahając się jeszcze, do własnego gabinetu.

Za stołem wśród świetnego towarzystwa wczor-
ajszego niekorzystnie się już wydawał; dziś po
białym dniu, po nocnej gorączce i zmęczeniu wy-
glądał gorzej jeszcze... Mężczyzna był ogromnego
wzrostu, barczysty, silny a niezgrabny. Nic szlachet-
nego nie zadawało mu wdzięku, twarz pospolita
podznaczała się tylko błyskawicznymi zmianami kon-
wulsyjnie po niej przebiegających wyrazów z sobą
najsprzecznějších. Oczy szare to ginęły w po-
więkach, to wyskakiwały, ogniem tryskając, usta

śmiały się i krzywiły, czoło marszczyło i wypogadzało, jakby potajemna władza targała we wnętrzu sznurami, które całą postać zmieniały... I w tej chwili, ujrzawszy żonę, zdawał się być pod wrażeniem najsprzeczniejszych jakichś uczuć. Uśmiechnął się jej i w chwilę, jakby gniewem chciał buchnąć, nasrożył się... ale się zwyciężył i zawahawszy, wsunął żywo do gabinetu.

Na widok Schramma ściągnęły mu się brwi gwałtownie i złość wystąpiła na twarz...

Szaleńcze, fanatyku, komedjancie przebrzydły—zawołał nie witając się nawet z żoną—znowuś nabroń, znowu do mnie przychodzisz, abym cię wyciągnął z topieli? Ha? nieprawda? wiem wszystko, pójdiesz precz od kościoła... na wieś, tam, na pustynie, do prostaczków... w góry...

Wskazał ręką.

— Ja ani chcę, ani myślę cię bronić!—dodał, zapalając się—podziękuj Bogu, jeśli cię dwóch drakonów odprowadzi gdzie do kąta, bo tuby cię dalej co gorszego spokać jeszcze mogło... Ha! myślicie!—ciągnął dalej, zapalając się minister, który przystąpił do Schramma tuż, jakby go już sam miał porwać za kołnierz—myślicie, że tu, na dworze wolno wszystko, i że to, co wy nazywacie słowem bożem, nieocukrowane, możecie podawać ustom do słodczy nawykłym? że wy tu możecie grać rolę natchnionych apostołów nawracających pogań?... Schramm... mówiłem ci sto razy, ja ciebie nie ocale... gubisz się sam...

Duchowny niezachwiany bynajmniej, spokojny, stał, patrząc ministrowi w oczy.

— Ale ja jestem kapłanem bożym—rzekł—jam poprzysięgał dawać świadectwo prawdzie, a każe mi być męczennikiem dla niej... niech się stanie...

— Męczennikiem! — rozśmiał się Hoym—toby

było zawiele szczęścia; dadzą ci pięścią w plecy i, oplwawszy, wyświeca.

— Więc pójdę—odezwał się Schramm—ale dopóki tu jest, ust nie zamkuję...

— I kazać będziesz głuchym!..—szydersko dodał minister, ruszając ramiony. — No, dosyć tego, rób, co chcesz... ratować cię nie mogę i nie myślę; tu dobrze, gdy każdy ocali siebie... Jam ci to przepowiadał, Schramm... milczeć trzeba umieć, umieć pochlebiać lub ginać podeptanym... Cóż chcesz, przyszły takie czasy: Sodoma i Gomora... Bywaj mi zdrów, bo czasu nie mam.

W milczeniu pokłonił się Schramm, popatrzał na żonę Hoyma z politowaniem, na niego z milczącym zdziwieniem i skierował się ku drzwiom. Hoym od żony, na którą także był spojrzał, ode-rwał wzrok ku niemu...

— Żal mi cię—burknął krótko—idź, zrobię, co mogę, ale zatop się w biblji i trzymaj język za zębami: ostatni raz ci to radzę...

Schramm prawie nie słuchając wyszedł... małżonkowie zostali z sobą sam na sam...

Hoym nawet nie przywitał się z Anną, oddaw-na źle z sobą byli; widocznie nie wiedział, od czego począć rozmowę... zakłopotany stał i zły... Chwy-cił rękoma dwa końce peruki swej i targał...

— Pocóżeś, hrabio, kazał mi tu przybyć tak nagle?—zapytała Anna z wymówką i dumą.

— Poco?—podnosząc oczy zawołał Hoym, po-czynając wzdłuż i wszerz biegać po gabinecie jak opętany—poco? bom był szalony! bo mnie ci nie-godziwcy spodi, bo nie wiedziałem, com robił! bom głupi, bom warjat! Tak! warjat!—powtórzył.

— Więc mogę powrócić?...—spytała Anna.

— Z piekła się nie powraca!—zaśmiał się Hoym— a waćpani z łaski mojej w piekle jesteś: to istne piekło!

Rozerwał na piersiach kamizelkę, jakby go dusiła, i padł na krzesło...

— Al tak! istotnie oszaleć przyjdzie — mruknął — lecz z królem niema wojny...

— Jakto? król?

— Króll Fürstemberg! wszyscy! wszyscy! nawet Vitzthum, kto wie, własna może siostra... spiknięci na mnie. Dowiedzieli się, żeś ty piękna, żeś ja głupi, i kazali mi panią pokazać!

— Któż im o mnie powiedział? — zapytała ciągle spokojna Hoymowa.

Minister nie mógł się przyznać przed nią, iż sam popełnił tę winę, za którą przychodziła pokuta; zgrzytnął zębami, tupnął nogami i zerwał się z krzesła... Złość jego ustąpiła nagle wcale odmiennemu usposobieniu, pobladł, stał się zimnym i szyderskim.

— Dosyć tego -- rzekł cicho, zniżając głos — mówmy rozsądnie. Co się stało, tego naprawić nie potrafię... Wezwałem panią, bom musiał ją tu ściągnąć; król chciał, a Jowisz piorunuje tych, co mu się śmia sprzeciwiać... Dla jego zabawki musi służyć wszystko... królewskimi stopy depta skarby cudze i rzuca je w śmieć... Na to niema ratunku, jak na śmierć...

Zniżył głos i umilkł, jakby słuchał, czy się kto nie odezwie.

I począł znowu zwolna chodzić po pokoju.

— Założyłem się z księciem Fürstenbergiem, że pani jesteś najpiękniejszą kobietą ze wszystkich tych, które tu z profesji pięknych role grają. Nieprawdaż, żeś był głupi? Pozwalam byś mi to pani powiedziała... Najjaśniejszy nasz pan ma być zakładu naszego sędzią... i wygram tysiąc dukatów...

Anna zmarszczyła brew, odskoczyła z najwyższą wzdrgadą, odwracając się od niego.

— Nikczemny waćpan jesteś, panie hrabio —

krzyknęła w gniewie. — Jakto? wy! wy, coście mnie jak niewolnicę trzymali zamkniętą, skapiąc mi powietrza i światła, wyprowadzacie innie teraz jak komendantkę na scenę, abym wam wygrywała zakładki blaskiem oczu i uśmiechami? To najwyższa podłość!

— Nie szczędź pani wyrazów, mów, co chcesz — rzekł Hoym z boleścią — wart jestem, zasłużyłem... Wszystkiego za mało na potępienie mnie! Miałem najpiękniejszą istotę w świecie, która kwitła i uśmiechała się dla mnie samego tylko, byłem dumny i szczęśliwy... szatan mi kazał w kielichu wina rozum utopić...

Załamał ręce: Anna zamilkła i patrzała.

— Ja jadę do domu — rzekła — ja tu nie pozostanę, wstydziłabym się sama siebie... Konie! powóz.

Rzuciła się ku drzwiom: Hoym stał uśmiechając się gorzko...

— Konie! powozu! — powtórzył — ale waćpani nie wiesz chyba, gdzie jesteś i co cię otacza? Jesteś niewolnicą, nie możesz stąpić kroku; nie rękę, żeby straż nie stała u drzwi domu. Gdybyś ośmieliła się wymknąć, dragoni pójdą złapać cię i odprowadzić... nikt nie odważy się wieść... nikt nie uzuchwali ratować... Waćpani nie wiesz, gdzie jesteś?

Hrabina załamała ręce z rozpaczą, Hoym patrzył na nią z jakimś uczuciem niewysłowionej zazdrości, żalu, bólu, szyderstwa i niepokoju.

— Nie — rzekł, dotykając zlekka jej ręki — posłuchaj mnie pani; nie jest jeszcze może tak źle, jak ja mówię, jak przeczuwam; mówmy z flegmą i rozsądnie... Gina tu ci, co chcą być zgubieni... Pani możesz nie być piękną, gdy zapragniesz, możesz się stać odstręczającą, surową, straszną... możesz dla ocalenia mnie i siebie... **przybrać postawę odrażającą...**

Tu zniżył głos...

— Znasz pani historję naszego najmiłościvszego pana a króla Augusta? — zapytał się z dziwnym uśmiechem. — Pan to wspaniały, hojny... sypiący złotem, które moja akcyza ze spleśniałego chleba ubogich wyciska... Niema drugiego tak wspaniałomyślnego monarchy... niema, któryby potrzebował bawić się drożej, nieustanniej i dziwaczniej. Łamie podkowy i kobiety, i rzuca je na ziemię; kanclerzy, których ścisnął wczoraj, zamyka na Koenigsteinie... Dobry i łaskawy pan, uśmiecha ci się do ostatniej godziny, aby rusztowanie osłodził... Serce ma najłagodniejsze, tylko mu się sprzeciwić nie trzeba...

Mówił coraz ciszej, a trwożliwemi oczyma biegał dokoła...

— Znasz pani historję jego! a! ciekawa bardzo — szeptał dalej — lubi kobiety coraz świeże... coraz świeże, jak smok ów w baŕce, żyje dziewicami, które mu przerażeni mieszkańcy do jego jaskini wiodą... a on je pożera... Ktoż jego ofiary policzy? Waćpani może słyszałaś ich imiona... ale obok znajomych, trzykroć tyle zapomnianych... Król ma dziwne smaki i upodobania: kocha się dwa dni w ałasach, a gdy mu się one znudzą, gotów na łachmany polować... Ludzie wiedzą o trzech królowych z lewej ręki, jabym ich naliczył dwadzieścia... Königsmarck jest jeszcze piękną, Spiegiel nie jest wcale stara, księżna Teschen w łaskach... ale już wszystkie go znudziły. Szuka, kogoby pożarł! Dobry pan! łaskawy pan! — dodał śmiejąc się — wszakże zabawić się musi, wszak dlatego na świat przyszedł, aby mu służyło wszystko; piękny jak Apollo, silny jak Herkules, lubieżny jak Satyr... a straszny jak Jupiter...

— Dlaczegoż mi to waćpan rozpowiadasz? — wybuchnęła oburzona Anna — maszże mnie za tak nisko upadłą, bym na skinienie pańskie dała się

sprowadzić z drogi honoru! Waćpan mnie nie znasz! to obelga!

Hoym patrzył z politowaniem na nią.

— Znam moją Annę — rzekł z uśmiechem — lecz znam dwór, pana, ludzi, co nas otaczają, i urok, jaki ich otacza. Gdybyś pani kochała mnie, byłbym spokojnym...

— Aleś przysięgała wam, to dosyć — odezwała się z dumą kobieta — nie pozyskałeś serca, ale masz słowo. Słowo jest czemś więcej niż serce, bo serca ja nie jestem panią, a słowu memu jam królową. Takie kobiety, jak ja, nie łamią przysięgi...

— Łamały i takie dla blasku korony — rzekł Hoym — księżna Teschen jest wielką i dumną panią.

Anna ruszyła ramionami z pogardą.

— Mogę być żoną, nie chcę być kochanką — zawołała — sromu na czołe nosić nie umiem.

— Srom! — rzekł Hoym — a! to piecze tylko chwilę, goi się rana i nie boli, choć piętno zostaje na wieki...

— Waćpan jesteś obrzydliwy — przerwała kobieta z gniewem. — Sprowadzasz mnie tutaj sam... i karzysz takimi groźbami...

Wzruszenie nie dozwoliło jej mówić dłużej. Hoym się zbliżył z pokorą:

— Daruj mi — odezwał się — głowę straciłem, nie wiem, co czynię i co mówię... to dzikie domysły i strachy... Jutro jest bal na dworze... Król pan rozkazał ci być na nim, zostaniesz przedstawioną królowej. Mnie się zdaje — zcicha począł spuszczać oczy — waćpani możesz, co zechcesz, nawet nie być piękną... Ja chętnie załlad przegram... Będzie ci łatwo stać się śmieszną... niezgrabną. U króla wiele waży elegancja, dowcip, żywość... cóż łatwiejszego jak okazać się zaniebdaną, niezręczną, milczącą, roztargnioną i tępą? Rysy twarzy to nic

jeszcze... Drezno pełne jest pięknych kucharek... August jest wytwornym znawcą, wymaga wiele... Pani mnie rozumiesz?

Anna odwróciła się od niego w milczeniu wzgardliwem, postępując ku oknu.

— Kazesz mi więc grać komedję dla ocalenia swojego honoru, postawiwszy go na kartę, o tysiąc dukatów! — zawołała z uśmiechem ironicznym — ale ja niecierpię fałszu. Wacpana honorowi nic nie grozi... Anna Konstancja Brockdorf nie jest jedną z tych kobiet, co się na łaskę pańską biorą i dają spodlic dla garści brylantów. Nie masz się czego obawiać... bądź spokojnym... Litość mnie bierze nad wami! Ja na tym balu nie będę...

Hoym zamilkł i pobiadł.

— Pani na balu tym być mysisz — rzekł głosem stłumionym — tu nie idzie już o żadne dziecinne niebezpieczeństwo, ale o głowę i fortunę, o przyszłość moją... Król kazał...

— A ja nie chcę! — odparła Anna.

— Sprzeciwisz się jemu? — spytał Hoym.

— Dlaczegoż nie? panem jest wszystkiego oprócz domu i rodziny, które do Boga należą... Coż mi uczyni?

— Al! wam nic — rzekł niespokojnie minister — nadto dla pięknych pań jest grzeczny; ale ja pójdę na Koenigstein, majątki nasze zabierze fiskus, rozdrapią faworyci... nędza, śmierć.

Zakrył sobie oczy rękoma.

— Wy go nie znacie — szeptał cicho — on się uśmiecha i jaśnieje jak Apollo, ale jak bóg piorunów straszny... Nie przebaczył nigdy nikomu, kto śmiał zwątpić, że jest wszechmocnym. Pani będziesz na tym balu, lub ja zginę...

— A sądzisz pan, hrabio Hoym — odparła Anna — iż ta groźba waszej zguby jest dla mnie tak straszną?

Ruszyła ramionami i poszła znowu do okna...

Hoym posunął się za nią, blady.

— Na miłość bożą, o sprzeciwienu się woli króla mowy być nie może... zaklinam was.

Kończył te słowa, gdy do drzwi zapukano żywo i służący wpadł zatrzymując się w progu. Minister brwi ściągnął i nasrożył się.

— Hrabina Reuss i Vitzthum!

Ściągnawszy usta z gniewu, Hoym pośpieszył do progu; chciał służącego wysłać z odpowiedzią odmowną, gdy poza nim spostrzegł piękną, wypogodzoną, arystokratycznych rysów twarz hrabiny, a poza nią żywo szpiegujące go oczy siostry.

Zdawało mu się, że o wczorajszym wypadku i o przybyciu żony jego nikt jeszcze w mieście nie wiedział; odwiedziny dwóch tych pań przekonywały go na nieszczęście, iż popełniony po pijanemu błąd, którego sobie darować nie mógł, już się musiał stać pośmiewiskiem powszechnem. Hrabina Reuss nie byłaby się pewnie inaczej ruszyła, by wdowi dom ministra odwiedzić.

Zmieszany nadwyraz, dał znak słudze, który odstąpił, a cała postać majestatyczna hrabiny, która się była wstrzymała w progu, pokazała się w czarnych sukniach koronkami okrytych. Hrabina Reuss biała, świeża, rumiana, form nieco pełnych, ale bardzo wdzięcznych, z uśmiechem łagodnym na różowych usteczkach, nie miała w sobie nic przerażającego; przecież na widok jej blada już twarz Hoyma, zdawała się blednąć jeszcze: zmieszał się, jakby w niej groźbę zobaczył...

Siostra jego, pani Vitzthum, towarzysząca hrabinie Reuss, mogła to łatwo dostrzec w oczach brata. Na obu jednak kobiecych twarzach wykwitły tylko wzamian dwa uprzejme uśmiechy.

— Hoym! doprawdy, mogłabym się gniewać na

ciebie — ozwała się słodkim, wdzięcznym, melodyjnym głosem hrabina Reuss — jaaże to być może! Zona twoja przybywa nam tu do stolicy, a ja nie wiem... a ja przypadkiem od Hülchen dopiero dowiaduję się o tem.

— Jaki? — krzyknął minister, nie posiadając się ze zniecierpliwienia — i Hülchen już wie o tem?

— Al — zawołała wchodząc pani Reuss — i ona i cały świat i wszyscy o tem tylko mówią, że narazcie masz rozum i biednej kobiecie za kratami więdnąć nie dasz.

To mówiąc, posunęła się ku Annie, badając ją oczyma, rozpatrując się w niej, jak znawca pięknych koni patrzyłby na zwierzę na targ wyprowadzone.

— Jak się masz, droga hrabino? — rzekła, wyciągając ku niej obie ręce. — Jakżem rada, że cię tu powitać mogę, gdzie jest właściwe miejsce twoje. Pierwsza się tu zjawiam, ale wierz mi, że nie ciekawość mnie tu sprowadza, tylko chęć usłużenia ci. Jesteś jutro na balu u królowej... pustelnico moja śliczna... przybywasz dziś, nie znasz Drezna... każże mi sobie pomóc. Ja i Vitzthum niepokoiłyśmy się zawczasu o ciebie... Biedna ty nasza strwożona ptaszyno...

W czasie tego przemówienia, ta, którą hrabina Reuss nazwała spłoszoną ptaszką, stała tak dumna i jasniejąca słą, wcale niezatrwożona, jakby tu panowała oddawna.

— Dziękuję wam pięknie — odezwała się spokojnie — właśnie mąż mi powiedział, że mam być na balu. Lecz jestże to koniecznością, czy nie mam prawa zachorować choćby ze strachu, że mnie tak nadawczajne szczęście spotyka!

— Nie życzyłabym ci tego pretekstu używać — odpowiedziała hrabina Reuss, którą Hoym ze swojego gabinetu, podawszy jej rękę, przeprowadzał

właśnie do ponurej sali audjencjonalnej — nikt nie uwierzy w chorobę, popatrzysz na ciebie, co wyglądasz jak Juno pełna blasku, zdrowia i siły; nikt nie da wiary przestachowi, boś nieulekniona.

Vitzthumowa wzięła pod rękę Annę i, korzystając z tego, że ją brat wyprzedzał nieco, szepnęła na ucho:

— Kochana Anno! nie masz się zaprawdę ani czego trwożyć, ani wymawiać: raz przecie wyjdiesz z tej niewoli, którą dla ciebie oplakiwałam. Zobaczysz dwór, króla... świetność naszą, której równej niema w Europie. Ja ci pierwsza winszuję. Jestem przekonana, że los najszcześniejszy cię czeka...

— Jam tak do mojego więzienia i ciszy nawykła — cicho rzekła Anna — iż mi już nad nie nic więcej nie było potrzeba.

— Hoym mój — dodała Vitzthumowa — spali się z zazdrości!

I śmiać się poczęła do rozpuku.

Trzy panie, którym towarzyszył pomieszany minister, stały wśród sali jeszcze, gdy służący odwołał Hoyma, za którym się drzwi gabinetu zamknęły. Hrabina Reuss pierwsza usiadła, pochylając się ku pięknej gospodyni.

— Droga moja — szepnęła — bardzom rada, że pierwsza cię witam rozpoczynając życie nowe. Wierz mi, mogę ci się przydać na co... Hoym niechający podstawił ci pod nogi podnóżek, po którym wyniść możesz wysoko... Jak anioł jesteś piękna!

Anna zmilczała chwilę.

— Sądząc, żem ambitną, mylisz się, kochana hrabino — odezwała się zimno — płochę lata przeżyłam, wiele myśleć musiała nad sobą i światem, siedząc w samotni mojej. Wzdycham tylko, aby do niej i do mej biblij powrócić.

Reuss się rozśmiała.

— Wszystko to się zmieni — rzekła, wdzięcząc się do gospodyni. — Na teraz myśmy o ju rze szem ubraniu. Vitzthum patrz i złożmy walną radę, jak ją ubrać mamy, bo sama gotowa sę zaniedbać. Tobie powinno iść przecie o honor domu brata.

— Jakkolwiek się ubierze — odezwiała się Vitzthumowa — zawsze będzie najpiękniejszą. Teschen z nią walczyć nawet nie może, jest zwiędła. Na całym dworze niema żadnej, coby nie zgasła przy Annie. Mnie się zdaje, że jak najskromniejszy ubiór będzie jej jak najepiej do twarzy... niech inne się sadzą na róż, bielidło i fiołki... jej dość, choćby dziewiczej sukienki...

Rozmowa o gałgankach stała się żywą, przerywaną, gorącą, polemiczną. Hrabina zrazu nie mieszała się do niej, słuchając tylko dwóch przyjaciółek, zbyt czułych, by ich załęcie się nią nie budziło podziwienia i pewnej obawy. Powoli jednak i ona uległa magnetycznemu pociągowi, jaki strój ma dla niewiast, wrzuciła słowo i śmiechem przerywany spór toczył się już coraz weselszy...

Hrabina Reuss z niezmierną bacnością przysłuchiwała się każdemu słowu pani Hoym, tajemnie przypatrywała się jej z jakimś niepokojem dziwnym; zdawała wrzucać pytania, chcąc w odpowiedziach coś więcej usłyszeć nad to, co one zawierały. Anna przeszła wkrótce z rozdrażnienia ранego w stan jej wickowi właściwy, zaczęła dowcipkować i śmiać się, rzucając z wielką łatwością słówkami iskrzącymi tysiącem ostrych brylantów. Z odwagą, ze szczerością niezwykłą opowiadała o sobie, swych uczuciach i przeczuciach. Pani Reuss przykaskiwała. Po kilkakroć chciała ją uścisnąć, tak się ucieszyła zwawością młodzieńczą tego umysłu, który w spokoju i ciszy całą dziewczę zachował potęgę.

— Cudowna Anna nasz! zachwycająca! nie-

zrównana!—wołała. — Jutro wieczorem cały dwór u kolan jej leżeć będzie. Hoym wcześniej powinien sobie przygotować pistolety. Teschen zachoruje i omdleje znowu, ona co tak jest skłonną do mdłości odkrywających jej wdzięki!

Vitzthumowa śmiała się... Reuss opowiadała z tego powodu młodej pani, jak księżna Lubomirska zdobyła serce króla omdleniem na widok jego upadku z konia. Omdleli naówczas oboje, bo i król także, ranny mocno w nogę, stracił przytomność. Przebudzenie było rokoszne... bo August klęczał u nóg jej, gdy po raz pierwszy otworzyła oczy...

— Niestety!—dodała Reuss—dziś, gdyby nawet napadły ją mdłości, królby się może raczej przestraszył, niż uradował niemi. Przeszły pierwsze zapady. Na jarmarku lipskim najjaśniejszy pan puścił sobie cugie i dokazywał z francuskimi aktorkami. Co gorzej, mówią, że się szalenie zakochał w księżnie Anhalt-Dessau... od której tylko doznał niełitościwej oziębłości... Fürstemberg słyszał od niego niedawno, że serce ma wolne i gotówby jakiej niechęci uczynić z niego ofiarę.

— Spodziewam się — rzekła obrażona nieco Anna—iż mnie, kochana hrabino, nie posądzisz o to, bym stała w rzędzie z francuskimi aktorkami, choćby po drugiej stronie księżny się znalazły... Serce królewskie wcale niewesołym jest darem, a moje coś więcej warte niż resztki po księżnie Teschen...

Reuss zarumieniła się mocno.

— Cicho! cicho! dziecko jasieś—odezwiała się, oglądając—któż ci mówi o tem. Paplemy o wszystkim... dobrze, byś na wszystkie wypadki była przygotowana. Vitzthum i ja przyślemy ci kupców naszych i szwaczki... Jeśliś swoich brylantów nie wzięła z domu, albo ci ich braknie, Meyer poży-

czy w największym sekrecie, jakich tylko zapragniesz, niewidzianych tu na dworze. Usłużny jest i grzeczny...

To mówiąc, wstały obie i poczęły ścisnąć Annę, która je, milcząc, do drzwi salonu przeprowadziła... Hoym już się nie pokazał, w gabinecie pełno było urzędników od akcyzy.

U schodów na dole stała karetka hrabiny Reuss, do której wsiadły obie. Jakiś czas milczały zamyślane. Vitzthum pierwsza przerwała to zadumanie.

— Co ty wróżysz? — spytała.

— To nieuchronne — szepnęła hrabina — to konieczne: Hoym od dziś dnia za wdowca się uważać może. Anna dumna jest... będzie się szczęściu opierać długo, ale nie króla więcej nie drażni nad taki opór, z którym walczyć musi. Jest jak anioł piękną, śmiałą, dowcipną, dziwną; wszystko to przymioty, które nie tylko ciągną ale i wiążą. Droga moja, będziemy z nią teraz jak najlepiej, nim pochwyci w ręce wodze; potem byłoby zapóźno... Ja ciebie, ty mnie wspomagaj: dajny sobie ręce. Przez nią króla mieć będziemy, ministrów, wszystko. Teschen zgubiona, co mnie niewymownie cieszy; u tej nudnej, sentymentalnej księżnej nigdy nie zyskać nie mogła. Ma też dosyć: syn uznany, księstwo nadane, bogactwa ogromne; królowała nam zadługo. Schodzi z pola, król się nudził, a jeśli kiedy, to teraz, gdy jest tak nieszczęśliwym, pociechy potrzebuje i rozrywki. Fürstemberg, ja i ty trafimy w to nareszcie, że ją obalim. Dość mamy wszyscy tej cudzoziemki. Trzeba tylko całą intrygę prowadzić rozumnie, ostrożnie, może powoli, bo Anna szturmem się wziąć nie da: nadto jest dumna.

— Biedny Hoym — zaśmiała się Vitzthumowa, — jeśli będzie miał rozum...

— Zyszcze na tem: nie kochał jej oddawna rozpustnik—przerwała hr. Reuss — choć jesteś jego siostrą, mogę przed tobą mówić otwarcie. Sam zresztą zgotował sobie ten dramat, którego padnie ofiarą.

— Posadzam Fürstemberga!

Hrabyna Reuss zmierzyła ją bystrem, przelotnem wejrzeniem i w oczach jej błysnęło na chwilę coś, jakby iskierka szyderstwa: ruszyła ramionami.

— A, są osoby predestynowane—rzekła z ironią. Nagle, po kobiecemu jakoś, zaśmiała się głośno.

— Wiesz—dokończyła—powinna włożyć suknię pomarańczową i korale. Włos ma kruczy, cerę dziecianej świeżości, będzie jej cudnie do twarzy. Uważałaś, jaki to ogień w tych oczach!

— I jaka duma! niestety!—dodała Vitzhumowa.

— Niech-no króla zobaczy! — zakończyła pierwsza—niech August zapragnie się jej podobać, rękę ci: i głowę i dumę straci.

IV

Przy Pirnajskiej ulicy, naówczas jednej z najparadniejszych, małego, murami obwiedzonego i ściśniętego Drezna, stał pałac Beichlinga, niegdyś kanclerza a dziś wieźnia stanu na Koenigsteinie. Księżna Lubomirska, z domu Bokunówna, stolnikówna litewska, rozwiedziona z mężem, ukochana przez króla Augusta II, uczyniona księżną Teschen po urodzeniu słynnego kawalera de Saxe; w nagrodę zapewne, iż się przyczyniła do upadku kanclerza, po którym ogromny spadek rozchwyтали dworacy pańscy, dostała pałac Beichlinga darem i w nim wspaniała swą umieściła rezydencję. Jeżeli nie odpoczywała w darowanych jej także dobrach Hoy-

erswerda i innych majątnościach na Łużycach, siedziała naówczas w pałacyku na Pirnajskiej ulicy lub bawiła się zakładaniem ogrodów na Frydrychstadzie. Owe pierwsze lata gorącej miłości i rycerskiej zalotności, gdy piękny król nie mógł dnia przeżyć bez drogiej Urszulki, gdy śliczna księżna konno wylatywała na spotkanie królewskiego kochanka, strojna w saskie kolory i jaśniejąca blaskiem swych lat dwudziestu; owe lata szczęśliwe przebyte w Warszawie, przewędrowane w wycieczkach po Niemczech, prześpiewane na wspaniałych balach drezdeńskich i lipskich, zdawały się bezpowrotnie minione.

Od tego balu karnawałowego w Lipsku, gdy niemiłosierna królowa pruska, Zofia-Karolina, karząc zalotność Augusta II, który do znajdującej się w jej orszaku księżnej Anhalt-Dessau zwrócił swe zapale, sprowadza razem pod oczy bałamutnego Don-Zuana trzy jego dymisjonowane kochanki: Aurorę Königsmarck, hr. Esterle i panią Haugwitz... aby króla razem i księżnę Teschen Lubomirską wprawić w kłopot i zawstydzić; od tego balu, co się najczulszemi później ukończył zapewnieniami stałego przywiązania, księżna Teschen, jakby po strasznem *memento mori*, nieustannie miała na myśli jedno: że może, że musi być jak inne zdradzoną przez niestatego a znudzonego Augustynka... (Augustynkiem poufale zwano króla jegomości i „*mein lieber Augustin*” piosenka popularna, do niego się stosowała...). Król wprawdzie, mimo pokątnych bałamuctw bez liku, zawsze okazywał księżnie Teschen wielką miłość w słowach i poszanowaniu. Urszulka miała nad nim władzę i umiała władać ze zręcznością wielką, wodząc go na złotych paskach, białą rączką kierowanych; ale czuła w duszy, że król lada chwila miał się od niej oderwać nazawsze...

Zwierciadło pokazywało jej jeszcze rysy twarzy wdzięczne i resztki świeżości, które starannie pielęgnowała, ale piękność ta i blaski nie miały już uroku nowości dla króla, który łatwo się nudził i coraz czegoś świeżego dla rozbawienia potrzebował. Bawiła go rozmowa pięknej księżnej, jej zręczność w zabiegach dworskich, jej polityka pokryta gazą płocności kobiecej, jej perfumowana przewrotność i gra poplątanych intryg, które prowadzić na swą korzyść umiała. August przyjeżdżał do niej jeszcze na parę godzin, ale dziś już, gdyby ją jak niegdyś zapytała królowa, kiedy odjeżdża z Drezna, nie śmiałaby odpowiedzieć zuchwale, że przybyła z królem i z królem tylko napowrót wyjedzie. Mgłą smutku powlekły się jej śliczne łzawe oczy niebieskie, pełne melancholji i łudzące charakterem łagodnym, gdy w istocie księżna żelazną miała wytrwałość w postanowieniach i zabiegach... Z każdym dniem większa opanowywała ją trwoga, azali nie przyjdzie rozkaz opuszczenia Drezna i wieku.stego z królem rodziaku.

Nic się napozór nie zmieniało, nic jej nie brakło; szanowano ją jeszcze jako panią na dworze, a w oczach dworaków czytała bliski swój upadek; łapała szyderskie ich półśmiechy i ukradkowe złośliwe spojrzenia.

Urszula, był czas, że kochała Augusta, kochała go bardzo gorąco; ale naówczas sądziła, że dla niej usatkuje się płochy, że kiedyś może być królową; złudzenia te dziś się rozwiały i uszły. Los wszystkich ulubienic pana miał i musiał ją spotkać. Rozczarowana, ostygła, odzyskiwała jeszcze dawną wesołość i zalotność, gdy królowi podobać się cnciała; później zamknięta w domu, płakała pocichu kryjomo i zemstą zawczasu już pierś się jej podnosiła... Coraz częstsze bywały teraz listy

do prymasa Radziejowskiego... Ale król znał niebezpieczeństwo narażenia sobie siostrzenicy pierwszego dostojnika Rzeczypospolitej i wysilał się na przekonanie jej o swem stałem przywiązaniu. Tymczasem szpiegowano księżną pilnie... Król nim zasłużył na pomstę, już się jej lękał...

Miłość ze strony Augusta II zmieniała się w czczą galanterję: czuć ją było lodem i chłodem... Księżna Teschen zajmowała pierwsze miejsce po królowej w dworze, ale w sercu, narówni z królową, była mu już obojętną.

Marzenia o Koloandrowych miłościach przeciągnęły jak wiosenne obłoki, duma tylko po nich obrażona została.

Gdy stolnikówna litewska rzucała rodzinną ziemię, marzyła o tronie: tron rozsypał się w próchną... pozostawał wstyd chybionej rachuby i sromotne położenie kobiecy bez męża i domu... Zapłacił onę za chwilę szafu bogatemi podarkami tytułów, ziemi i złota... chwila triumfu była krótką i znikomą, wstyd został wiekuisty.

Księżna Lubomirska nie mogła tak powrócić do Polski.

Biedna kobieta, lękając się co godzina opuszczenia i wyroku, co ją miał stracić z wyżyny, na której się chwiała, myślała o sobie... Nudziła się też... a chłopię, które jej kilka razy na dzień przyprowadzano, przyznane dziecię królewskie, przychodziło w uścisku pięć gorące łzy, z którymi się matka tała... Księżna Teschen nie miała prawa nazywać się nieszczęśliwą, ale już się nią czuła... Dziecię jej miało zapewnioną przyszłość, ona żadnej.

Pałac przy Pirnaiskiej ulicy jeszcze dawnym obyczajem zgromadzał codzien tłumy dworaków, pięknych pań i zalotnych kawalerów. Zwłaszcza ostatnim król zdawał się nietylko nie wzbraniać,

ale ułatwiać przystęp. Możeby był rad, aby który z nich pozyskał sobie serce, już mu ciężące przywiązaniem zbyt ławem...

Niecierpliwiło to Augusta Mocnego, który w życiu nigdy nie płakał, iż księżnę widział zawsze we łzach i tam, gdzie szukał roztargnienia, znajdował nieskończone wyrzuty.

Księżna, jeszcze pozornie w łaskach, miała szczerych czy nie, przyjaciół i donosicieli; wiedziała codziennie o każdym kroku, uśmiechu i słowie... szpiegowała go zazdrośnie. Z owej uczt nocnej, gdy wyciągnięto z Hoyma przyznanie się do pięknej żony, gdy go na zakład wyzwano, gdy posłano do Laubegast po piękną Annę, księżna Teschen miała sprawozdanie dosłowne... Niespokojna, w gorączce chodziła, myśląc, czy ma się na balu u królowej znajdować, stanąć do pojedynku tego, lub pogardliwie, rzuconą rękawicę niepodniesioną zostawić.

Rano około jedenastej doniesiono o przybyciu pani Hoymowej. Nikt jej nie znał jednakże, nikt nie widział, nikt opisać nie umiał. Wszyscy zgadzali się na to, że była piękną; wiedzano, że urodzona w roku 1680 była rówieśnicą Lubomirskiej, ale rodzaju i niebezpieczeństwa tej piękności nikt opisać nie umiał.

Po stolicy biegały najrozmaitsze wieści. Kyan wielitościwy miał się odezwać:

— Nie pytajcie, czy piękna, byle do ostatniej nie była podobną...

Księżna czuła to także: nie szło o piękność, tylko o wrażenie nowe...

Tego dnia ranny zastęp gości u księżnej był mniejszy niż kiedykolwiek, wszyscy biegali po wieściach, nowiny roznosząc i polując na nie.

Mówiono, że król, jak zwykle gdy mu szło

o świetność zabawy, sam jak najstaranniej balowy program oznaczył... i niecierpliwił się już o zakład Fürstemberga i Hoyma. Mówiono, że panna Hülchen i hrabina Reuss już troskliwie intrygowały, aby Hoymową w swe sieci uwikłać i łaski jej sobie zapewnić.

Vitzthumowa zapewniała głośno, iż jej bratowa zagasi wszystkie urodą...

Księżna szła w miasto, odbierała raporty swych wiernych, rozpaczała i płakała. Trzy razy potrafiła króla, chcącego zerwać, zatrzymać; teraz zdawała się godzina stanowcza... Łamała ręce: nagle myśli dziwaczna jej przyszła... spojrzała na zegar... Dom Hoyma niebardzo był daleko od jej pałacu... Szepnęła coś służącej... zarzuciła gęstą czarną zasłonę na oczy od łez czerwone, i cicho zbiegła po schodach do sieni. Tu stały dwie lektyki i gotowi dwaj drażnicy... rzuciła się w jedną z nich... Ludzie, którym szepnęła słówko służąca, zamiast iść ulicą poszli tyłem ogrodami. Zielonych jeszcze drzew gałęzie osłaniały ścieżkę wąską i pustą, na której wychodziła także furtka z ogrodu Hoyma. Niewidzialny ogrodowy otworzył ją dla wyskakującego z lektyki księżnej, która obejrzawszy się, wbiegła wprost na górę do Hoyma pałacu... W sieniach czekał już na nią młody człowiek, który jej schody wskazał...

Przez ciemny korytarz zakwefiona i nie mogąca dać się poznać, choćby ją kto napotkał, Lubomirska dobiegła do drzwi wskazanych i zapukała...

Nierychło je otwarto. Zdaje się, że służka, która ostrożnie uchylała drzwi, chciała tylko zobaczyć, kto przyszedł i nie byłaby wpuściła nadbiegającej, ale księżna Teschen jedną rączką wpuściła w jej dłoń kilka dukatów, drugą popchnęła zlekka, obejrzała się, w które drzwi iść dalej, i pobiegnęła.

Anna Hoym przechadzała się samotna po pokoju, który dla niej urządzać miano, gdy nieznana postać zakwefiona ukazała się na progu... Zdumiona temi niespodziewanemi odwiedzinami, cofnęła się, marszcząc i gniewna.

Lubomirska odrzuciła czarny kwef, stanęła i oczy wlepiła ciekawie, słowa nie mówiąc z Hoymową, zdyszana, przejęta, patrzyła... wargi jej ścinały się drżały, bladość okrywała lica... Obejrzała się lekliwie dokoła i szukając podpory, na bliską kanapkę zemdlona upadła...

Anna pobiegła ku niej, przybyła i służąca... obie podniosły omdlałą...

Oslabienie jej trwało tylko chwilę, porwała się jak obłąkana, oczy znów wlepiła w rywalkę i, milcząc, wskazała na służę, aby odeszła...

Zostały sam na sam.

Cała ta scena, po kilku rannych scenach następująca, niepokojem napełniła przybyłą i tak już strwożoną kobietę. Po długim spokoju na wsi rozpoczynało się dla niej gorączkowe jakieś życie, wśród którego opamiętać się było trudno.

Lubomirska wyciągnęła ku niej bladą, zimną rączkę drżącą.

— Daruj mi — rzekła głosem słabym — chciałam cię zobaczyć, chciałam przestrzec. Pędził mnie tu głos obowiązku... sumienia...

Anna milczała, ciekawie się w nią wpatrując.

— Patrz na mnie — dodała — rozpoczynasz dziś nowe życie, które ja kończę. Byłam jak ty niewinną, szczęśliwą, spokojną, szanowaną, w zgodzie z sumieniem i Bogiem... Miałam tytuł książęcy, męża lepiej niż to, imię niepokalane ojca i rodziny... Przyszedł ukoronowany człowiek, który mi to odebrał wszystko jednym uśmiechem. Berło i koronę kładł u nóg moich, oddawał serce... Poszłam za

nim... spójrz na mnie... Ja dziś nie mam nic: imię pożyczane, złamane serce, stracone szczęście, wstyd na czole, niepokój w duszy, przyszłość groźna i troska o los dziecięcia. Na świecie nema dla mnie nikogo... krewni się nie przyznają do mnie, ci, co się czołgali u nóg mych, jutro znać nie będą. On! on!... odepchnie jak obcą...

Anna, słuchając, zatumieniła się.

— Pani! — zawołała głosem przerywanym — dlaczegoś widzisz dla mnie niebezpieczeństwo, którego ja sama dojrzeć nie mogę? Ja cię nie rozumiem... Kto pani jesteś?

— Wczoraj królowa, dziś nie wiem kto — odparła Teschen.

— Ale ja nigdy żadnej korony nie miałam pragnienia, każda skroń pali — zawołała Anna — dlaczegoś spotykać mnie mają te groźby?

— Przestrogi — przerwała Lubomirska — daruj mi, twej skroni przystała korona, ludzie za wcześnie ci ją dają; jam chciała odsłonić złoty jej wieniec i wewnątrz pokazać cierniowy...

— Mylisz się pani — rzekła spokojnie Hoymowa — nie sięgnę nigdy po żadną koronę, nadto jestem dumną. Musiałabym ją zanieść z sobą do trumny, albo jej nie dotknę nigdy... Uspokój się pani...

Teschen padła na kanapę, spuściła głowę i zaczęła płakać rzewnie. Łkanie jej obudziło litość w Annie, zbliżyła się z ciekawością i współczuciem...

— Wszystko, co mnie tu od rana spotyka, jest niezrozumiałem — odezwała się z cicha — chciałabym się wyrwać stąd jak najrychlej. Któż pani jesteś?

— Teschen — odparła przybyła cicho, podnosząc oczy — słyszałaś o mnie, domyśl się, dlaczego cię tu ściągnięto... Świeżej twarzy potrzeba znudzonemu panu...

Anna krzyknęła z oburzeniem:

— Podlił frymarczą więc nami jak niewolnicami...
a my...

— Ofiarami ich jesteśmy...

— Nie! ja nie będę, ja nie chcę być ofiarą —
przerwała Hoymowa — uspokój się pani; jam tak
dumną, że nędzę raczej zniosę niż upokorzenie...

Teschen spójrzała na nią, popatrzała długo
i westchnęła.

— Nie będziesz ty, będzie druga: godzina moja
wybiła... lecz choć ty, choć jedna, jeśli masz siłę,
pomścij nas wszystkie, odepchnij, rzuć im wzgardą
w oczy. To woła o pomstę do Boga...

Zarzuciła kwef na oczy, podała rękę w milczeniu.

— Jesteś ostrzeżoną, broń się...

Biegła ku drzwiom z pośpiechem, a Hoymowa
stała jeszcze, słowa wyrzec nie mogąc... Zjawisko
znikło.

Na schodach czekał na nią ten, co ją wprowadził.
Gzybko posunęła się ku lektyce, gdy zapuszczając
zasłonę, w oknie jej ujrzała bladą twarz młodego
wojskowego, który drżący i niespokojny w nią się
wpatrywał.

Twarz młodego oficera była piękną i arystokra-
tyczną, pełną wyrazu, męstwa i energii; lecz w tej
chwili zgroza i ból ją zmieniały. Zdawał się oczom
swoim nie wierzyć. Mimo dwóch tragarzów, którzy
lektykę podnosić mieli od ziemi, zbliżył się do
okna.

— Księżna Urszulo — zawołał wzruszony — mam
te oczom mym wierzyć, jestże to podobna? Was-
te to widzę ukradkiem wyrrywającą się na jakąś
schadzkę zapewne... Mówcie, zaklinam; całą prawdę
mi powiedzcie, abym natychmiast siadł na koń i wię-
cej nie wrócił. Księżno! pani! ja szaleje z miłości
dla was... a wy... — zakrył oczy...

— Wy szalejecie, to prawda! — popędliwie przer-

wala — szalejecie tak, żeście ślepi, bo mogliście widzieć, że wychodzę od Hoymana, w którym się przecie zakochać nie mogłam.

Pochwyciła go za rękę...

— Chodź przy mnie, chodź ze mną, nie puszcze cię, aż się wytłumaczę: nie chcę, abyś i książę mnie w tej chwili opuścił i obwiniał... tegobym już przeżyć nie mogła.

Piękne, załzawione oczy księżnej, zwrócone ku młodzieńcowi, którego rękę pochwyciła, mówiły tyle, iż smutek znikł z jego twarzy, która rozpromieniała.

Pobiegł więc posłuszny za lektyką aż do palacu. u schodów podał rękę księżnie i razem weszli na pokoje. Znużona i złamana, chwytając się za głowę, księżna padła na kanapkę, rozkazując towarzyszącemu jej, aby usiadł przy niej.

— Widzisz mnie książę w gniewie i oburzeniu! wracam od tej... od tej, którą tu sprowadzili szkaradni nieprzyjaciele moi, aby mnie wygnać, aby mój wpływ obalić. Słyszałeś już o Hoymowej?

— Nie słyszałem — odparł młody książę (którym był Ludwik Wirtemberski) — nie słyszałem nic nad śmiechy z biednego Hoyma, którego spojono na to, aby go zmusić do pokazania żony...

Tak, umiano obudzić ciekawość w Augustcie, osnuto intrygę — poczęła księżna, ożywiając się coraz bardziej. — Widziałam ją, jest piękną... jest niebezpieczną, może być dwa dni królową...

— Al! tem lepiej! tem lepiej! — porywając się z siedzenia zawołał książę Ludwik — pani będziesz wolną...

Teschen rzuciła nań okiem badawczem, młody chłopak zarumienił się; nastąpiła chwila milczenia. Podala mu rękę, którą on pochwycił z zapalem. Trzymał ją jeszcze przy ustach, gdy z drugiego pokoju ze śmiechem suchym, przykrym, złym... wpadła

klaszczać w ręce, osóbką małą, niepiękną, nieco do
księżnej podobną, chociaż o wiele od niej brzydszą...

Wiek trudno było z twarzy rozpoznać; mogła
zarówno mieć lat dwadzieścia kilka i o dziesięć
więcej. Znać z niej było, że nigdy świeżą nie była
mogła się też dopótna nie zestarzeć. Nosiła jedną
z tych twarzy, co są staremi w dzieciństwie i niby
młodemi w starości. Szare jej oczki, złe, szpiegujące,
ostre, kręciły się i biegały; usta miała pełne szy-
derstwa, każdy rys zdradzał ruchliwą, gorączkową
kwoczkę i nieznośną intrygantkę. Strój, nadzwyczaj
staranny i pstry, obmyślany był tak, aby jedyną
piękność jej podnosił: figurkę zgrabną i w pasie
przeciętą, nóżkę maleńką i kibić zręczną. Żwawo
okręciła się na trzewiczku ku księżnie, klaskając
w dłonie, w chwili, gdy zawstydzony książę Wir-
tembergi usta od ręki odrywał.

— Bravi! bravissimi! ale niechże ja nie przeskła-
zam — krzyknęła ostrym głosem baronowa Glase-
napp — *nous sommes en famille*, niema się co mnie
wstydzić. Siostrunia bardzo słusznie rejteradę sobie
ubezpiecza wojskową osłoną... bo... bo podobno
bliżamy się do chwili, w której przyjdzie rejtero-
wać z serca króla i dworu! Dobry wódz zawsze
obie zapewnia drogę do odwrotu...

— Mała ta, zwinna pani, niecierpiana od całego
dworu, który roznoszonymi plotkami starała się kłó-
cić i różnić, była stolnikówna litewska, panna Bo-
runówna, rodzona siostra Lubomirskiej, żona (na-
menczas) barona Glasenappa, ale tylko z imienia,
dyż w czułych była stosunkach ze sławnym Schu-
enburgiem. Na dworze tym zawsze się trzeba było
pytać nie o nazwisko męża, ale o imię ulubieńca.

— Z kochaną siostrunią bardzośmy się dawno
nie widziały — rzekła, papląc pośpiesznie — ale
w chwili niebezpieczeństwa zjawiani się zawsze:

tak i teraz... Słyszałaś Teschen — dodała śmiejąc się złośliwie — sprowadzili Hoymową... Ja ją widziałam raz... wprzód nim król nadjechał, gdy była w Dreźnie, przepowiedziałam naówczas, że jak Helena trojańska komuś będzie nieszczęściem przyczyną... Piękna jak anioł, brunetka, co dla blondynek jak Teschen, zawsze najniebezpieczniejsze... żywa, dowcipna, zła, dumna... a nosi się jak królowa! Wasze panowanie skończone...

Rozśmiała się głośno...

— Ale ty do książęcych tytułów masz okrutne szczęście — poczęła, nie dając nikomu przemówić słowa. — No! ja... ja ledwie mogłam z biedą złapać chudego pomorskiego barona, a ty miałaś Lubomirskiego, masz Teschen i już na zapas starasz się o Wirtemberskiego...

Młody chiopak stał zarumieniony i gniewny. Teschen spuściła oczy, ale cicho przez zęby szepnęła:

— Znalazłabym jeszcze czwartego, gdybym tylko chciała.

— Jeśli chcesz, ja ci jego imię na ucho powiem — przerwała zrywając się i biegnąc do siostry baronowa. Przy ożyła obie dłonie do ust i rzuciła jej w ucho: — książę Aleksander Sobieski, nieprawdą? ale ten się nie ożeni! a Ludwiczek gotów; staraj się go zatrzymać.

Ze wstrętem odwróciła się księżna Teschen od siostry, która przeglądając się w zwierciadłach, biegła już po pokoju... oczyma śledząc dwie istoty, którym rozmowę z taką złośliwością podsłuchano, przerwała.

— Jeśli Teschen będzie miała rozum — rzekła — może jeszcze z tego przesilenia wyjść zwycięsko Hoymowa prostytutka, zrazi króla... s, odoba mu... z twarzy, ale dumą go odepchnie; po niej Teschen znowu wyda się miłą i dobrą... Cóż robić, fantazjom

króla trzeba umieć przebaczać. Ci ludzie mają troski nadludzkie i nadludzkie przywileje... Przykro mi tylko — mówiła ciągle nie przestając — że cię tak wszyscy już wzięli na żęby, że hrabina Reuss i Hülchen już nowemu bóstwu składają ofiary; że Fürstemberg a nawet szwagierek Vitzthum akcyzie gotowi złote rogi przyprowadzić... Biedny Hoym! jeśli go żona porzuci, doprawdy, gdyby nie pewne obowiązki, poszłabym za niego, aby mu osłodzić wdowieństwo... Ale rozpustnik stary, ani mnie, ani żadnej nie zechce...

W tem miejscu nieutamowanej gadaniny baronowej Glasenapp, książę Ludwik pożegnał się, a uścisk ręki, jakim go obdarzyła księżna Urszula, nie uszedł oczów baczących Glasenappowej, która mu dygnęła zdaleka.

Dwie siostry zostały sam na sam, milczenie trwało chwilę.

— Nie powinnaś tego brać tak tragicznie — poczęła Glasenappowa, ruszając ramionami — rzecz była doskonale przewidziana oddawna... Król się zaudził blondynką... ty masz księstwo, masz Hoyerswerdę, masz miliony, brylanty, pałac po Beichingu, wyposażenie dla syna... masz twą piękność, masz resztkę młodości... i księcia Ludwika, który się z tobą gotów ożenić... Przyznam ci się, że jeszczebym się na twój los pomieniała, oddając ci Schulemburga w dodatku.

— Ale ja go kochałam! — płacząc znówu, przerwała Teschen.

— Al! to już przeszło... wiem! — odparła baronowa Glasenapp — kochałście się wzajemnie, ja sądzę na mniej pół roku, wśród którego on cię z dziecięć razy zdradził pocichu, a ty jego! wiele? ja nie wiem! ale żeś zdradzała! o! ręczę!

— Siostro! — zawołała z oburzeniem Teschen.

— No, ani razu! A jednak, patrzcie, wśród tej

miłości dla niego umiałaś sobie na zapas w odwodzie postawić Wirtemberga i dziś, gdy tak się przydał, masz gotowego! Przyznam ci się, mnie złą nazywają i przewrotną: jabym tego nie potrafiła... Ja, dopiero gdy się do podrapania skłóciła z Glasenappem, wyszukałam sobie Schulemburga. Mnie bo się nic nie wiedzie... i wszyscy mnie niecierpią, co ja im oddaję z lichwą!

Poczęła się śmiać sucho.

— Słuchaj, Lubomirska— ozwała się po chwili— królowie przy rozstaniu miewają zwyczaj żądać zwrotu darowanych diamentów... ostrzegam cię więc, byś swoje w bezpiecznym złożyła miejscu...

Sporzrzała na siostrę, która się jej zdawała nie słuchać.

— Będiesz dziś na balu?...—dodała.

Wyraz bal wstrząsnął Lubomirską, która powstała nagle.

— Na balu!... tak!—poczęła zamyślona—potrzeba być na balu... tak! pójdę, cała w czerni, w żałobie, bez klejnotów, w grubej sukni... toby było... uderzające... lecz, powiedz, Tereniu... będzie mi żaloba do twarzy?

Glasenapp rozśmiała się.

— Niezawodnie... żaloba jest wszystkim do twarzy; lecz jeśli myślisz, że tem rozczulisz Augusta i dworaków poruszysz, milisz się mocno... Śmiać się będą! Oni tragedji nie lubią... Pójdiesz w żałobie!—powiedzą, żeś dojrzała do trumny; pochowają z lekkiem sercem...

— Bądź-co bądź! w żałobie! pójdę w żałobie!—powtórzyła Teschen—ale pójdę... stanę przed nim jak widmo milczące...

— A że Hoymowa będzie rumianą, wesołą i świeżą, znikniesz jak widmo niepostrzeżona... Wierz mi... przeszłości powrócie niepodobna...

Spojrzała na zegar.

— A! jak późno! żegnam cię... do balu! Ja także będę na nim.. ale na drugim planie, jako widz, który aktorom przykłaśnie... Bądź zdrowa!

V

Parami wchodziły damy, wiedzione przez mężów lub krewnych. Po nadzwyczajnej świetności strojów nie było się można domyśleć klęsk wojny, jaka kraj z Saksonją połączony dotykała, ani wyczerpania skarbu: król miał strój brylantami okryty, ogromne guzy diamentowe, szpadę z wysadzaną niemi rękojeścią, trzewiki nawet ze sprzączkami lśnąciami diamentów rosą... Majestatyczna jego postać jakby odmłodzona, promieniejąca, więcejby przystała zwycięzcy, niż zmuszonemu do walki o koronę z nieprzyjacielem zawziętym...

Na sukniach pań błyszczaly także mnogie klejnoty... a wiele z tych piękności wcale ich nie potrzebowały. Królowa ukazała się nareszcie, ubrana dosyć skromnie; August z galanterją i poszanowaniem na spotkanie jej pośpieszył: muzyka zabrzmiała fanfara... Głównych aktorek dotąd nie było...

Już pan zaczynał brew olimpijską marszczyć i oglądał się na Fürstemberga tym wzrokiem, którego wyraz był mu dobrze zrozumiałym, gdy u drzwi wchodowych, pomimo poszanowania dla osoby króla, dał się słyszeć szmer tłumiony... Ludzie rozstępywać się zaczęli, oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę... Fürstemberg szepnął:

— Ida!

Jakoż po chwili ujrzano bladą, zżółkłą twarz hrabiego Hoyma, który wiódł pod rękę żonę...

Nigdy, może na tym dworze, nawykłym do oglą-

dania piękności, bardziej olśniewająca postać się nie ukazała.

Hrabina Hoym wśród tych wielkich pań szła z majestatem królowej na czele, nieulekniona, spokojna, poważna, piękna tak, iż z ust wszystkich jeden cichy okrzyk podziwienia wyrwał. Król trzymał w nią od wniścia wlepione oczy.. ale się z jej wzrokiem nie spotkał... Małac być przedstawiona królowej, dała się wieść ku niej, nie zdając wcale być przejętą blaskiem tego dworu, ani apolińską pięknnością króla, który widocznie stanął tak, aby się z jak największym wdziękiem pani przybyłej przedstawił. Zniecierpliwienie drgnięciem odmalowało się na pańskiej twarzy...

Hoym, jak skazany na śmierć winowajca, wiodł żonę... Nieprzyjaciele jego i akcyzy napawali się męczarnią wcale nietajoną i dobitnie odgrywającą się w twarzy wypaczanej co chwila inaczej. Królowa podniosła oczy łagodne na Hoymową, popatrzyła na nią i uśmiechnęła się jej wdzięcznie, ale z litością, jakby nad losem tej piękności. Westchnienie nawet wyrwało się z jej piersi...

Zaledwie pierwsze te formalności dopełnione zostały, muzyka zabrzmiała polskiego i król z żoną tańce rozpoczął.

Księżnej Teschen nie było jeszcze... Z innych pań nie brakło żadnej i chora nawet panna Hülchen, owa Egerja Augusta przemogła ból, aby nasycić ciekawość.

Pierwszy taniec się kończył, gdy nowy szmer u drzwi coś niezwykłego zapowiadał: rozstąpili się widzowie... król zwrócił oczy... w progu stała, jakby wahając się czy ma wejść, księżna Teschen.

Ubrana była cała w czerni żałobnej... August, ujrzawszy ją, zniecierpliwiony nieco pośpieszył na spotkanie.

— Kogóż to księżna straciłaś? — zapytał szydersko — że się nam zjawiasz w tych szatach tak do zabawy niestosownych?

— Ciebie, najjaśniejszy panie — cicho odpowiedziała Urszula, — i to nie od dziś dnia.

Oczy ciekawych, zrazu zwrócone na księżnę, wprędce ku Hoymowej znowu się skierowały... Kobiety nawet przyznawały zgodnie, zaprzeczać temu niepodobna było, iż hrabina Anna wszystkie przechodziła blaskiem posagowej piękności swej... Czarne jej oczy ciskały wprawdzie pioruny i błyskawice i groźnie przyświecały sali balowej; lecz obok nich ginęły wszystkie inne... jak gwiazdy przy słońcu.

August zdawał się napawać widokiem ślicznej niewiasty... W chwili gdy hrabina Vitzthum oderwała ją od brata, zbliżył się król do Hoyma i uderzył go poufale po ramieniu, dając znak Fürstembergowi, aby podszedł ku nim.

— Kociany hrabio — rzekł — sprawa wasza z księciem rozstrzygnięta... wygrałeś tysiąc dukatów, Fürstemberg jutro ci je zapłacić powinien... Wiesz więc wygranej i żony, jest ona niezaprzeczenie najpiękniejszą na naszym dworze... *Vox populi* mój wyrok potwierdzi pewnie... szczęśliwy Hoymie!

Patrząc jednak na Hoyma przyjmującego, z głową spuszczoną, w pokorze, to powinszowanie, trudno się było domyśleć, by mógł być tak bardzo szczęśliwym. Przedstawiał on raczej obraz upokorzonego, zgnębitego, własną winę odpokutowującego człowieka, który z bólu ryknąć nie śmie i wstrzymuje go w sobie... Fürstemberg skłonił się w pokorze, szydersko spoglądając na króla...

— Widzę, najjaśniejszy panie — szepnął niedo słyszonym głosem — że wyrok królewski i skrzypki za pana mego zapłacić muszę...

August zwrócił się doń, podając mu dłoń do pocałowania.

— Nie skarż się Fürstemberg, płac tysiąc, a weź ze skarbu dziesięć za to, żeś mi nastreczył i widzenie takiego arcydzieła natury... — rzekł król.

Księżna Teschen siedziała osamotniona, odbiegła już już wszyscy; postrzegł to August i wedle zwyczaju, by ośłodzić każdemu upadek, lub przez resztkę przywiązania do niej, skierował się ku księżnie. Wielkie było zdumienie nieobeznanych z obyczajami dworu, gdy ujrzeli najjaśniejszego pana idącego w tę stronę. Wprawnejsze oko hrabiny Reuss i panny Hülchen, dojrawszy ten manewr, umiało z niego wniosek wyciągnąć.

— Teschen upadł! — rzekła hrabina cicho do towarzyszek — król poszedł ku niej...

Starzy dworzanie króla, którzy widzieli go w przededniu niełaski Beichinga ściskającego kanclerza, zrozumieli także, co ta czułość dla księżnej Teschen znaczyć miała. August okazywał jej więcej niż kiedykolwiek przywiązania i szacunku...

— Wiesz pani — rzekł przyglądając się jej czarnym sukniom i kwefom — jesteś dziś tak piękna mimo tego stroju, iż mi przypominasz ów turniej warszawski, gdym cię widział zemdloną z trwogi o mnie...

— Ale Hoym! Hoym jest piękniejszą ode mnie, od turnieju, od wspomnienia i omdlenia: nieprawdaz? — ozwała się księżna ironicznie.

— Hoymowa może być sobie piękną, jak chce i najpiękniejszą — odparł August — są rzeczy od piękności piękniejsze, to piersi, w których czule biją serca... Kochana księżno... nie rób z siebie widowiska... wróć do domu, wióz suknię niebieską, w której ci tak do twarzy, i czekaj na mnie z wieczorzą...

Na leco blade księżnej Urszuli wystąpił rumieniec żywy.

— Królu moji panie mój! — zawołała, zapominając się — miałażby to być prawda? August moimby pozostał...

— Proszę cię... nie wątp o mnie — dodał poważniej król — naciężnym miał kłamać?

W istocie król nie kłamał tym razem, piękność pani Hoym zrobiła na nim wrażenie wielkie, lecz zarazem napełniła jakąś trwogą. Charakter energiczny tej kobiety malował się w każdym jej ruchu, wejrzeniu, skinieniu; czuł on, że przy niej część swej potęgi u nóg Omfali złożyćby musiał. Twarz Anny mówiła: muszę królować; twarz Urszuli: kochałam cię panię i mrę z żalości... Hoymowa wydała mu się nazbyt poważną i smutną, a wielkich tonów król miał dosyć... Dlatego pośpieszył pocieszyć księżnę, bo w żadnym razie nie chciał jej tracić i poddać się przeczuwanemu jarzmu kobiety, która wcale ochoty podbicia go nie okazywała.

Hrabina ubrana była z wielkim smakiem i wytwornością, nie miała wprawdzie klejnotów, lecz przyozdobienie głowy, krój sukni, dobór barw, podnosiły nadzwyczajną jej piękność. Współczesne portrety przedstawiają ją z owalem twarzy nader kształtnym, nosem małym, drobnymi ustami, oczyma wielkimi, czarnymi i niezmiernie wyrazistymi, z rysami delikatnymi, z bujnymi czarnymi warkoczami. Ręce, popersie, kibić, odpowiadały twarzy, po której bladość i rumieńce żywe zmieniały się, wchodząc i znikając w mgnieniu oka...

Wystawiona na wejrzenia kilkuset osób, Anna Hoym wcale niemi nie była zmieszana; w pierwszej chwili milcząca i poważna, oswoiła się wnet z dworem i tym blaskiem, który się jej wydał

rzeczą powszednią. Wprawdzie książęcy dwór, na którym młodość spędziła, nie dochodził świetnością drezdeńskiemu, lecz formy w obu znalazła też same...

Księżna Teschen usłuchała natychmiast rozkazu króla. triumfująca niemal znowu, i rzuciwszy okiem omdlałym ku niemu, wysunęła się z sali. Po małej chwili August stał u krzesła hrabiny Hoym. Jakiś czas wpatrywał się w nią milczący. Anna, spostrzegłszy go, powstała. Żądał, aby usiadła... usłuchała go, nie przesadzając w poszanowaniu.

Było obyczajem dworu, że gdy król okazał do rozmowy ochotę, wszyscy się nieco usiępowali, aby mu swą ciekawością nie byli natrętni, i tym razem odeszli wszyscy, a hrabia Hoym także pociągnął z lekka przez Vitzthuma, który właśnie tę chwilę dobrał, aby z nim o czemś ważnem się rozprawić, odejść musiał.

— Hrabino, jesteś pierwszy raz na moim dworze — ozwał się król grzecznie, pochylając ku niej — lecz jej ukazanie się prawdziwym dla niej jest triumfem. Cieszę się tą nową gwiazdą na mojem niebie.

Anna podniosła głowę dumnie.

— Najjaśniejszy panie! wśród ciemnej nocy lada ogień czasem wyda się gwiazdą, lecz po chwili zagasa. Umiem ocenić łaskę Waszej Królewskiej Mości, lecz tylko łasce przypisuję te wyrazy.

— Powtarzam tylko, co dookoła słyszę! — odparł August.

— Al najjaśniejszy panie — śmiejąc się, dodała Anna — ludzie zwykle widząc po raz pierwszy, źle widzą. Nowość bawi.. to tylko prawdziwie piękne, co po latach wielu jeszcze się tak, jak pierwszego dnia, wydaje.

Królowi zdało się, iż piękna pani przymawiała

mu, przypominając grzeczność okazaną księżnie Teschen: zamilkł chwilę.

— Pani jesteś nazbyt skromną — rzekł.

— O! nie, najjaśniejszy panie — żywo przerwała Anna — do piękności nie przywiązuję wagi.

— Ale piękność twarzy zwiastuje też piękną duszę — rzekł August.

Anna spuściła oczy. Król jej nie odstępował.

— Po długiej samotności, którą Hoym ten niegodziwy męczył panią, kryjąc swój skarb — mówił po chwili August — dwór się jej dziwnie wydawać musi.

— Bynajmniej — zawołała Anna — młodość moją spędziłam na mniejszym wprawdzie, lecz dającym zmniejszony obraz tego, jaki każdy dwór przedstawia; w wszystkie one, najjaśniejszy panie, są jednym.

— Czem? — spyta król.

— Doskonale graną komedią — odpowiedziała Hoymowa.

— A ja jakąż w niej gram rolę?

Z uśmiechem ironicznym popatrzyła nań chwilę.

— Być może dyrektora trupy, którego wszyscy oszukują i odzierają.

August zdziwiony nieco, półuśmiechem odpowiedział:

— Znajdujesz, pani, że tu jest wszystko udaniem?

— Jakżeby mogło być inaczej? — westchnęła Anna — królowie prawdy nie słyszą...

— Być może — mówił August — i dlatego szukają często i serca i ust, coby im spragnionym choć kroplę tego nektaru dać mogły.

— A znajdują — dokończyła Anna — tylko może usta, co zreźniej nad inne umieją saczyć truciznę.

— To mi dowodzi — odezwał się król grzecznie — iż pani nie lubisz ani dworów wielkich, ani życia na nich... i smuci mnie bardzo, boś sobie

wiele obiecywał, zatrzymując ją wśród nas, byś blaskiem swych oczów trochę posępne dni naszych niebo wyjaśniła.

— Najjaśniejszy panie — odparła żywo Anna — byłabym tu fałszywą nutą: nie umiem tak śpiewać jak drudzy; głos mój zawsze jeden, a tu co chwila ton inny.

Dla przzerwania tego toku rozmowy, król wesoło począł robić różne uwagi nad otaczającymi paniami i panami. Anna postrzegła z nich, iż August lepiej daleko znał charaktery, skłonności i tajemnice życia otaczających go ludzi, niż się spodziewać mogła.

— Widzisz, pani — dodał kończąc — że ta kome-dja dworska dla mnie nie ma pono tajemnic i to mi ją czyni może tylko zabawną, iż się tym ludziom zdaje, że mnie oszukują, że mną kierują, że mnie oślepić mogą.

— Tak bogowie patrzą na ziemię — zakończyła Hoymowa.

Król z bogów zdawał się zadowolniony. Pierwszy raz gdy to mówiła, wzrok jej spotkał się ze wzrokiem Augusta, wyrażającym bez ogródki uwielbienie i zapal. W oczach Anny malowała się tylko zimna ciekawość i obawa.

Po tej rozmowie król odszedł zwolna. Badano go zdaleka. Fürstemberg pierwszy się znalazł na drodze.

— Najjaśniejszy panie, jeśli śmiem spytać teraz, czy najpiękniejsza jest także...

— Najdowcipniejszą — dokończył król. — Hoy-mowi powiedzieć trzeba, ażeby się nie ważył żony z Drezna zabierać. Nadzwyczaj miła... trochę jeszcze dzika, ale to przejdzie zczasem.

Hovm spoglądał zdaleka... Jemu najtrudniej było odgadnąć myśli Anny, do której teraz z **pośpiechem**

nadbiegły hrabina Reuss, panna Hülchen i Vitzthumowa, otaczając ją kołem.

Król spostrzegł to dworowanie i ruszył ramionami.

— Już się kłaniają wschodzącemu słońcu — szepnął do Fürstemoerga — lecz boję się bardzo, żeby się nie zawiodły intrygantki.

Fürstchen spojrzał zdziwiony.

— I ty się mylisz i one się mylą — rzekł August spokojnie, nachylając się mu do ucha. — Hoymowa śliczną jest, od stóp do głowy ją egzaminowałem: posąg grecki ożywiony... ale nadto energiczna i bystra i zbytby panować chciała. Kilka dni miłego z nią stosunku to dosyć... nie dobijam się o nic więcej. Piękność mnie nęci, charakter przeraża.

Fürstemberg stanął mocno zdziwiony, król poszedł dalej.

W czasie tych scen nikt nie zwracał uwagi na głowę bladą młodego człowieka, która górowała we drzwiach ponad ściśniętym tłumem. Oczy jej niespokojne chodziły za każdym krokiem Anny, a gdy król zbliżał się do niej, zapalały się ogniem strasznym i drgały w powiekach. Hoymowa kilka razy wzrokiem potoczyła po sali i nie dostrzegła tego nieszczęśliwego w tłumie, co ją otaczał. Dopiero po odejściu króla, odetchnawszy nieco swobodniej, zadumana, przyglądając się ludziom co ją otaczali... przypadkiem dojrzała... Zaklikę. Poznała go.

Wzrok jej zatrzymał się na twarzy bladej długo, pobladła sama, zmieszana nieco. Niepewna, czy się nie myli, spojrzała znowu... znalazła oczy wlepione jeszcze w siebie... Nie było wątpliwości, milczący jej wielbiciel z Laubegast przywłókł się aż tu za nią. W wyrazie jego twarzy zdawała się czytać politowanie, smutek, trwogę.

Ta głowa nieznanego niepokoiła ją... co chwila

biegła oczyma szukać jej, pragnąc, ażeby znikła i znajdowała jak kamienną, jak do muru przyrosłą, jakby trupią, zawieszoną u góry z tym wyrazem litości i strachu. Dlaczego biedne to oblicze jakiegoś włóczęgi więcej ją zajęło niż jaśniejące królewskie, niż nadskakujące jej dworacze, na to sobie sama odpowiedzieć nie umiała. Czula, że jakiś tajemniczy węzeł przeznaczeń dziwnych łączył ją nicią niewidoczną z tą istotą innego świata...

Byli-li to oczekujący godziny wyroku kat, czy chwili skazania czekająca ofiara, Anna nie wiedziała; lecz mówił jej głos jakiś wewnętrzny, niepozbyty, dręczący, że między tym nieznanym a nią, snuje się przeznaczeń jakichś przyszłych przepowiednia. Jak groźba, jak widmo tkwiła nad nią ta blada głowa, w której oczy łyskały i gasły; stawiała się coraz straszniejszą, coraz bardziej przerażającą, ilekroć wzrok jej utkwiony w siebie spotkała, dreszcz po niej przebiegał.

Śmiała się z siebie, a echo duszy odpowiadało jej jękiem.

W takim usposobieniu został ją kwaśny i żółtkły Hoym, który rękę podawał do wyjścia. Lecz chciał, by się właśnie skierowali ku tym drzwiom i tłumowi, ponad którym widziała owo widmo dokuczliwe... Ludzie się rozstępowali przed nimi. W cawili gdy przechodzili próg, spojrzała z trwogą i obok siebie postrzegła przylgniętego do ściany... nieznajomego z Laubegastu. Otarła się prawie o niego z obawą i, poglądając na niego, chłopak, spotkawszy jej oczy, przypadł jakby nieumyślnie na jedno kolano; czuła, jak chwycił kraj sukni jej i do ust przycisnął. Gdy się zwróciła w tę stronę, już go nie było.

Przed nią stała hrabina Reuss i prosiła Hoymów na wieczerzę do siebie, tak uprzejmie, że minister nie umiał odmówić.

Fürstemberg stał za nią. Pojechali więc z balu wprost do hrabiny, gdzie w małym kółku zwykle najdostojniejsi panowie godzinę jakąś spędzali. Tu królowała owa słynna Egerja Hülchen, dojrzałych lat panna, której król słuchać lubił i rad jej zasięgał; tu się gromadzili ci, co pragnęli władzy lub chcieli się przy niej utrzymać. Król August śmiał się z tej kliki, ale niewidzianemi sprężynami władała ona nim i dworem.

Hrabina Reuss z domu Friesen należała do głównych postaci, działających u dworu Augusta II. W jej domu odbywały się najważniejsze narady, dotyczące się obalenia jednych a podniesienia drugich faworytów pana: tu przepowiadano nieochybnie łaski, jakie miały spotkać piękne panie i przeczuwano najtrafniej chwilę, gdy niestały król afekta swe w inną stronę miał obrócić.

Hoym świadomym był dobrze tego, iż hrabina Reuss, przeczuwając nową faworytę, zawsze zabiegała naprzód, by jej względy i zaufanie pozyskać; razilo go więc nadskakiwanie hrabiny widoczne, każące się domyslać, iż w Annie widziała następczynię księżny Teschen: okazać jednak gniewu i to, że grę zrozumiał, ani mógł, ani chciał. Pani Reuss przez pannę Hülchen i swe stosunki miała wpływ ogromny na dworze, narazić ją sobie było to zyskać nieprzyjaciela niebezpiecznego. Udał więc Hoym, iż nic nie widzi, nie domyśla się niczego i poszedł na wieczór do Reussowej.

Tu towarzystwo w saloniku było ożywione, ale w przyległym gabinecie dopiero, do którego wsuwały się i wysuwały pani domu, jej przyjaciółka, Fürstemberg i inne zaufane osoby, cicho mówiono o interesach. Większe kółko rozprawiało o galanteriach, strojach i plotkach, które dla nikogo nie były tajemnicą. Zdaniem powszechnem czułość króla dla

Teschen zwiastowała pewnie z nią rozstanie. Z wielu względów jednak musiał August II ją oszczędzać. Wiadome były jej stosunki z Sobieskimi, pokrewieństwo z Radziejowskim i wpływy, jakie w Polsce miała, a tych właśnie król najmocniej potrzebował.

W gabinecie Reuss spytała przyjaciela Fürstemberga o rozmowę z królem, o wrażenie, jakie na nim uczyniła Hoymowa.

— Znam dobrze mego pana — odezwał się Fürstemberg — a szczególnie jego usposobienie dla kobiet. Hoymowa dumnie mu i ostro się zaprezentowała, trochę go to odstręczyło chwilowo, ale piękność jej przemawia do jego zmysłów, a zmysły zawsze na nim biorą prędzej czy później przewagę; lęka się jej i tem goręcej pragnąć będzie... a czego chce, to mieć musi. Hoymowa nie zdaje się skłonną do odegrania roli łatwej kochanki; wypotrzebuje swą siłę, gdy ją zdobędzie: niema wątpliwości, iż król się podda.

— Sądziś więc, że jej panowanie nadchodzi?...

— O ile go znam, myślałbym, iż się ono zbliża; król w tej chwili pragnąłby fantazję zaspokoić, ale w związku trwale nie wchodzić; od niej zależeć będzie, jak swą sprawę poprowadzi.

— Domyślasz się książę jej charakteru?

— Tylko przeczuwać go można — rzekł Fürstemberg — sędzę, że ani mąż, ani najbliżsi jej nie znają, a może nawet ona sama siebie taką, jaką będzie, gdy okoliczności ją wyniosą. Dziś jest to kobieta dumna, szlachetna, charakter energiczny... dowcip żywy... zdolności wielkie.

— Ale daż ona wpływać na siebie i kierować? — spytała Reuss.

Książę się zamyślił.

— Wiem tylko — rzekł — że z rozzumnymi wolę mieć do czynienia, niż z temi, co nie wiedzą, co

czynią. Drogę jednych można przewidzieć, drudzy lecą bezrozumni i — szukać ich a gonić — trudno!

Stali jakiś czas męczący, Reuss dała mu znak, aby wyszedł; zadumana przeszła się kilka razy po gabinecie i wróciła do salonu. Tu manewrowała tak, iż się zbliżyła do Anny, że ją wyciągnęła z kółka, wprowadziła nareszcie do gabinetu i posadziła przy sobie.

— Kochana hrabino Anno! — rzekła poważnie, kładąc jej rękę na kolanach — jeśli masz cierpliwość i pobożanie dla starej przyjaciółki, posłuchaj mnie i pozwól mi mówić otwarcie. Nikt tu nas nie słyszy, jesteśmy same, chcę ci być radą i pomocą. Dosyć znasz i dwór, i czasy, i siebie, ażebyś się domyśliła, że nie darmo chciano twego przybycia do Dreżna. Król jest znudzony tą Teschen, a musi się w kims kochać: to jest jego naturą... bądźmy pobożający dla tak wielkiego i dobrego pana, któremu świat tę jego słabość wybacza; źle czy dobrze, ale tak jest i inaczej być nie może. Nam, co króla otaczamy, pozostało jedno: ze złego tego tyle, ile można dobra i korzyści dla wszystkich wyciągnąć. Możesz zająć naświecniejsze stanowisko przy królu, to nie ulega wątpliwości... ale trzeba się śpieszyć i wiedzieć co czynić.

— Kochana hrabino — rzekła Anna — ambicji nie mam, w bogactwach się nie kocham: mam męża i pragnę zostać uczciwą kobietą.

— Nicbym przeciwko temu do zarzucenia nie miała — uśmiechając się, mówiła Reuss — ale pozwól sobie powiedzieć, iż nie widzę przyczyny, dla którejbyś męczennicą zostać miała. Hoym jest niemiły, zużyty rozpustnik, który ci wiary nie dotrzymuje; kochać go niepodobieństwo; prędzej czy później odezwie się serce.

— Stłumię głos jego.

— Raz i drugi, ale przyda lata tęsknoty i zmęczenia... rzucisz się w objęcia czyjeś z rozpaczy i nie będziesz szczęśliwą. Znam świat, to zwykła kolej nasza; król jest miły i piękny: życie z nim może być rajem.

— Ale król jest płochy i niestały, a takich związków, takiej miłości chwilowej, kaprysu nie pojmuję; brzydzę się nią, odpycham! To nie dla mnie.

— Słowo, kochana Hoym — rzekła Reussowa — związki te zawsze się obiecują być trwałe, kobiety są sobie winne same, jeśli się one zrywają. Napróznobyś go usiłowała związać choćby przysięgą, bo z niej go rozwiąże jego sumienie lub pierwszy lepszy księżyna. Rękojmię trwania da ci twój własny rozum, takt i wdzięki. Meza i kochanka trzeba umieć utrzymać u nóg i związać: to nasza rzecz.

Hoymowa ruszyła ramionami.

— Biedna to miłość, którą na paskach i wędzidlach trzymać trzeba — zawołała — takiej nie chcę. Szczerłość za szczerłość, kochana hrabino — rzekła cichszym głosem — mnie nic nie potrafi ująć, tylko serce. Nie zaręczam za siebie, choć pragnę zostać Hoymowi wierną, ale tylko miłością pozyskaćby mnie można... W chwili gdy pokocham, porzucę Hoyma i jawnie stanę przy umiłowanym; a ten, co mnie kochać będzie, musi być mężem moim.

— Ależ króll króll

— Choćby i królem był — zawołała Hoymowa.

— Przecież wiesz, iż król jest żonaty, chociaż z żoną nie żyje.

— Musiałby jej się wyprzysiąc, a mnie przysięgać — dokończyła Anna. — Al taką jak Esterle, Königsmarck, Teschen, ja nie zaspokoje się rolą.

Wstała, mówiąc to, i majestatycznym krokiem przeszła się po pokoju; Reussowa zamilkła; nie było już co mówić więcej.

— Uczynisz, jak ci się zda i zechcesz — rzekła — ja, jako dobra przyjaciółka, miałam za obowiązek cię przestrzec i dać dobrą radę; zostanmy więc do-
breimi przyjaciółkami i nie mówmy o tem: dodam tylko słowo. Stanowisko, którem wzgardzasz i o któ-
rem mówisz z taką obojętnością, nie jest tak nik-
czemnem i podrzędnem, jak sądzisz. Królowie kla-
niać ci się będą, możesz rządzić krajem i wielu
złemu zapobiec, ludzi ratować i czynić szczęśliwych...
to przecież coś warto.

— Honor mi droższy nawet nad to wszystko —
odezwiała się Hoymowa, — nie mówmy o tem.

Reussowa w milczeniu rękę jej uściśliła i w isto-
cie nie mówiąc już więcej, wyszły razem z gabinetu.
Kobiety, znajdujące się w salce, spójrzały na nie,
chcąc coś z twarzy odgadnąć. Anna była purpurową,
a Reussowa jak pergamin bladą; obie jednak uśmie-
chały się łagodnie, jakgdyby burza przeszła i zo-
stawiła po sobie pogodę żadną chmurką niezaćmioną.

Pod oknami mignął blask pochodni towarzyszą-
cych wieczorami powozom króla, Fürstemberg się
wychylił; król to w istocie jechał znudzony do Te-
schen i wydawał się w blasku tych światel smutny,
jakby był skazany na najcięższą karę. Zobaczywszy
w oknie a raczej domyśliwszy się przyjaciela, August
dał mu znak ręką rozpaczliwy i powozy znikły na
zakręcie ulicy.

VI

Adolf Magnus Hoym, zajmujący naówczas miejsce
odpowiadające dzisiejszemu ministrowi skarbu, nie miał
przyjaciół ani u dworu, ni w kraju. Nienawidzono
go szczególnie za wprowadzenie, po tylu innych
uciążliwych, najuciążliwszego podatku akcyzy. Sasi-
bronili się, o ile mogli i umieli, opierali się królowi,

a król, któremu nigdy nie starczyło na nieobrachowane jego wydatki, ukrywał złe gniew, jaki wzbudzał w nim ten opór. Doradzano mu szlachtę, która się najtrudniejszą do pokonania okazywała, pozbawć reszty praw i otoczyć się obcymi, którzyby żadnych z nią stosunków i z krajem nie mieli.

Rady tej w części już usłuchał August II i większa część jego ministrów i ulubieńców wzięta była z obcych krajów... Włosi, Francuzi, Niemcy z innych prowincyj grali tu główne role. Hoym, człowiek zimny, niezblągany, zręczny w wyszukiwaniu coraz nowych docnodów dla króla, który to na Polskę, to na wojsko, to na uczty i na ulubienice miliony tracił, z powodu zręczności tej w wyciskaniu grosza był w wielkich łaskach. Ale im nie dowierzał, bo p przykład Beichlinga i kilka innych czynił go ostrożnym... wypatrywał tylko chwili, gdy będzie mógł, naładowawszy kieszenie, z głową i majątkiem uciec z pod panowania saskiego. Hoyma mało kto znał zbliska, wiedziano, że był gwałtowny, zwinny, chciwy, rozwiąły i pojętny, że nie przywiązywał się ani stale, ani gorąco do nikogo. Najlepiej ze wszystkich znała go może siostra hrabina Vitzthum, która z wielką ostrożnością władała nim i kierowała, i dobywała z niego, co jej było potrzeba.

Oprócz Beichlinga, dziś zamkniętego na Koenigsteinie, przyjaciół nie miał Hoym, miewał tylko sprzymierzeńców. Nienawidził go marszałek Pilug, niecierpieli inni, Fürstemberg był z nim źle także.

Gdy po zakładzie kazano Hoymowi żonę przywieźć i pokazać ją na dworze, nie ulitował się nikt nad nim, nie pożałował go żaden: śmiano się raczej i przedrwiwano.

Nazajutrz, po balu, Hoym musiał być u króla ze sprawozdaniem. Akcyza wprowadzona znajdowała opór na prowincji. Szczególniej na Łużycach coś

ię tam szlachta głośno przeciwko niej opowiadała... Król żadnego oporu nie znośł. Po raporcie Hoyma... namarszczony August Mocny rzekł do ministra:

— Jedź mi dziś jeszcze, natychmiast. Każ krnąbrnych rozpędzić, dośledź tych, co stoją na czele i w mojem imieniu zrób porządek. Jedziesz natychmiast, bez żadnej wymówki.

Hoym, dla którego osobista jego bytność na Łużycach nie zdawała się ani potrzebną tak dalece, ani nawet pożyteczną, chciał zrazu króla przekonać, iż mógłby się kimś wysłużyć i nie ruszać z Drezna, gdzie ważniejsze wstrzymywały go zajęcia.

— Niema ważniejszego nic nad złamanie oporu tych pyszałków, którym się zdało, że ja z nimi w układy wchodzić mogę... Jedź, waćpan, natychmiast, weź dragonów z sobą... Jeśli się poważą zgromadzać, rozpędzić sejmiki... Powiedz im, by się nie zapatrywali na szlachtę polską, bo ja tego u moich poddanych nie ścierpię, a i w Polsce damy rady wkrótce szlacheckiej bucie...

Hoym jeszcze chciał się tłumaczyć, lecz August nie słuchał, powtórzył po kilkakroć:

— Jedź natychmiast! natychmiast! — Wreszcie, popatrzał na zegar:—za dwie godziny powinienś, waćpan, być na drodze do Bydyszyna.. chcę tego tak będzie.

Z królem rozmawiać wolno tylko po pijanemu, naówczas kto się nie lękał, aby go udusił, ścisnął go, całował, a inni i popychali; August śmiał się, na trzeźwo miał jedną wolę i jedno słowo tylko.

Hoymowi ta wyprawa na Łużyce, nazajutrz po pału, nadzwyczaj była podejrzana; znając króla, słów i to, co się tu działo, był pewnym, że wyędziano go umyślnie, aby do jakiejś intrygi nie wawadzał, by dać królowi swobodę w zbliżeniu się do jego żony. Cóż na to mógł poradzić? nic. Po-

wierzyć siostrze dozór, było to pijakowi dać klucz od piwnicy... przyjaciela nie miał, stał bezbronny... Czuł, że wszyscy spiknięci byli na niego. Przybywszy do palacu, rzucił papiery o stół... rwał jakiś czas perukę na głowie i rękawy sukni; otworzył drzwi z trzaskiem i pobiegł jak opętany do nowego żony apartamentu.

Była sama. Ciekawem okiem zmierzył pokoje, ja najdrobniejsze otaczające przedmioty. Złość malowała się na bladej jego twarzy... Anna patrzała na niego spokojnie, będąc nawykłą do scen podobnych.

— Ciesz się, pani... — zawołał — byłem tak głupi, że cię tu sprowadziłem, teraz robisz ze mną, co chcesz... Zawadza cię do intrygi, król mnie odprawia precz; muszę jechać za godzinę. Zostaniesz, pani, sama...

— I cóż to ma znaczyć? — pogardliwie odpowiedziała Hoymowa — czy straż wacpana polizbuję dla upilnowania mojego honoru?

— Myślę jednak, że mógłbym się przydać tu na coś, choćby dla powstrzymania zachwalstwa ich i bezwstydu — krzyknął Hoym, stukając o stół pięścią. — Nie wyprawiliby mnie, gdybym im nie zawadzał. W tem wszystkiem czuję palce kochanego Fürstemberga, który mi dziś, śmiejąc się szydersko, tysiąc dukatów zapłacił, a wiem, że od króla dostał dziesięć za tę piękną myśl sprowadzenia tu mej jeźmości.

— Hoym! — krzyknęła, podnosząc się, Anna, której oczy zaiskrzyły się — dosyć tych obelg, idź... jedź... rób, co chcesz... zostaw mnie w pokoju. Sama się obronić potrafię... Dość tego, powiadam ci: dosyć mi tego.

Hoym zamilkł, ponurym wyrazem osnuła się twarz jego, zegar przypominał mu nadchodzącą odjazd godzinę.

— Nie potrzebuję panią ostrzegać—zawołał—wiesz, co ją tu czekać może, dodam tylko, że bezcześci nie zniosę... Wolno Vitzthumowi i innym pobić, ja nie mam ich dobroduszości.

— Ani jam tak nisko upadła, panie Hoym—przerwała Anna—jak te panie... Zdradzać nie będę, bobym siebie poniżyła: jeśli życie jeszcze mi nieznosniejszem uczynisz, porzucę cię jawnie i głośno...

Hoym nie odezwał się więcej. Zdawał się u progu wahać jeszcze, chciał mówić, szarpał znowu perukę, ale tuż pukano do drzwi, królewski posłaniec przypominał mu godzinę odjazdu...

Z zamku śledzono chwilę, gdy Hoym będzie przez most przejeżdżał... posłano za nim, aby pokryjomu nie wazył się wracać... Wedle ułożonego planu hrabina Reuss miała zaprosić do siebie Annę; król mógł tam przybyć niespodzianie, *incognito*... Vitzthumowa została zaraz wyprawioną potajemnie dla spełnienia tej misji, ale Anna odmówiła stanowczo. Napróżno zapewniano ją, że nikt w świecie o jej bytności wiedzieć nie będzie; domyślała się już ułożonego z królem spotkania i wręcz wypowiedziała to siostrze mężowskiej.

— Jesteś nadto domyślna i ostrożna--roześmiała się Vitzthum—ażebym klamać chciała przed tobą; pomyśl, iż król, ciekawy poznać cię bliżej, a wiedzący o każdym ruchu i kroku... zjawiłby się u Reussowej. A jeżeli dla nakarmienia tej ciekawości przyjedzie tu do ciebie, do pałacu, cóż zrobisz? Królowi drzwi nie zamkniesz, wszystkie się przed nim otworzą. Przyzwolicieże to będzie i piękniej, gdy sam-na-sam z tobą spędzi kilka godzin?... Co na to ludzie powiedzą?

Anna pobiła.

— Ale król nie może być tak... — zabrakło jej

wyrazu — tak... natarczywym, król będzie miał wzgląd na sławę moją! To być nie może! toby było...

— Ja ci powiadam, że może być wszystko... że król jest znudzony i ciekawy i że nie rozumie oporu i odmowy. Kobiety nauczyły go uległością swą despotyzmu... Król tu przyjedzie, jeśli ty u Reussowej nie będziesz...

— Wiesz-że ty o tem? — spytała Anna — skąd?

— Ja nie wiem nic, ale znam mego pana — śmiejąc się dziwnie, szepnęła Vitzthum — pamiętam pewien wieczór... własnego życia...

To mówiąc, westchnęła.

Anna załamała ręce.

— A więc tu jak na gościńcu od rozbójników zbrojnym być trzeba?... Znajdę sztylet i pistolety... ani żelaza, ani prochu nie lękam się...

Rozdrażnioną wielce, Vitzthumowa starała się uspokoić i w śmiech wszystkie s rachy obrócić.

— Powinnaś wiedzieć to — rzekła — że August nigdy w życiu żadną przemocą względem kobiety się nie splamiał. To nie jest w jego charakterze... uprzejmy, grzeczny, natarczywy, zoyt jest pięknym i miłym, by się do takich środków miał uciekać...

Po drugiej rozmowie Vitzthumowa zdołała ją nakoniec nakłonić, aby razem wieczorem do Reussowej jechały. Z tą triumfalną wiadomością pobiegła do domu i do przyjaciółki. Fürstemberg ją zaniósł do zamku.

Król zapowiedział, że na chwilę pojedzie do księżnej Teschen, a powracając ekwipaże do zamku odeśle z pochodniami, sam zaś lektyką, którą Fürstemberg miał kazać nagotować, *incognito* zanieść się każe do hrabiny Reuss.

Nim opiszemy dalszy przebieg tej wielce, w najważniejszych szczegółach nawet, prawdziwej historii, musimy skreślić czytelnikowi, równie wier-

ny wizerunek bohaterki naszej, Anny hrabiny Hoymowej.

Była sierotą samą na świecie, wyszła zamąż zmuszona a przynajmniej niechętna... pożycie z mężem wprędce stało się nieznośnem, młodość w części już spłynęła męczeńsko. Każda inna w jej miejscu radaby była skorzystać z nastęrczającej się swobody, świetnego losu choćby nietrwałego, który potem zapewniał wdowieństwo w dostatkach, a może nawet małżeństwo inne i blaskiem pokrywające obłęd chwilowy; ale Anna wychowana była w surowych niegdyś zasadach, oburzało ją lekkomyślne postępowanie tych kobiet, które godziły się na to, by znudzonemu panu za zabawkę służyły. Pojmowała i przypuszczała rozstanie się z nieznośnym Hoymem, bo do niego czuła tylko wstręt i nienawiść, ale nie rozumiała go inaczej, jak skutkiem *mitości* króla i dla króla i... *wiekuistego z nim ślubu...*

Ta myśl, gdyby ją była wypowiedziała komu, obudziłaby śmiech tylko... Chcieć zakuć w wiekuiste kajdany człowieka tak płochego jak August, zdawało się czystem niepodobieństwem. Anna, widząc go rozdzielonym z żoną, rozumiała, że to jest możliwem.

Król był pięknym, starał się być miłym, po Hoymie mógł się jej podobać bardzo; blask korony i potęgę dodawał mu uroku, nie dziw też, że Anna miała dla niego sympatję, że jej serce uderzyło. Pomimo, iż czuła, że z nimby być mogła szczęśliwą, nie przypuściła na chwilę, aby to szczęście inaczej jak małżeństwem i przysięgą urzeczywistnić się mogło...

W tych kilkunastu godzinach, jakie od balu upływały, wśród wyraźnego zewsząd nacisku intryg, mających na celu zbliżenie jej do Augusta, Anna rozmyślała, zastanawiała się, ważyła i powiedziała sobie:

— Mogę być jego, lecz muszę być królową.

Opór jej Vitzthumowej był raczej już obrachowanym niż istotnym. Chciała umyślnie drożyć się z sobą, aby się stać drogą, mając niezmiennie postanowienie raczej zerwać wszystko, niż stać się igraszką intrygi. Czuła się silniejszą nad nią, zwierciadło pokazywało jej urodę i krasę młodości, w oczach króla czytała wrażenie, jakie na nim uczyniła, postanowiła korzystać z tego...

— Nie spodzę się nigdy! — wołała sama do siebie — raczej zostanę nieszczęśliwą Hoymową, niż Augusta kochanką: będę jego żoną lub mu obcą...

W tem wszystkiem było już poddanie się losowi, chodziło tylko o warunki... Nikt jednak naówczas ani mógł przypuszczać, że Hoymowa w duchu już przystała na zerwanie z mężem, rachowano na przyszłość tylko.

Młoda kobieta roiła... a marzenia są niebezpiecznymi towarzyszami w samotności.

Niekiedy rumieniąc się sama przed sobą, przyznawać musiała, że ten tak krótki pobyt na dworze już ją zmienił i wywarł na nią wpływ zgubny...

Duma i chęć panowania budziły się w niej zwolna i duszę, skłonną do poddania się im, opanowywały.

Gdy nadszedł wieczór i godzina, w której miała się ukazać na wieczorze u Reussowej, Anna ubrała się jak najstaranniej, z niewymuszoną ale smakowną elegancją. Moda wieku dozwalała jej cudnych kształtów ręce, obnażone do ramion, i prześliczny tok karczku, i utoczone marmurowe odsłonić piersi... Cera nie potrzebowała tielidla ani różu, była świeżości wiosennej, a krew to ją oblewała purpurą, to śnieżną zostawiała po sobie białość. Czarne krucze sploty włosów, utrefione wdzięcznie, podnosiły jeszcze blask płci przejrzystej i jak atlasy

delikatnej. Lecz wszystko to było niczem przy oczach, pełnych ognia i uroku czarodziejskiego... Oczy te, gdy się wpiły w człowieka, mogły go doprowadzić do szaleń, mówiły więcej niż ona sama kiedykolwiek usta wymówić mogła. Był w nich ten nieokreślony wdzięk tajemniczości, nieznadany, nęcący, niepokojący, który ciągnie jak wejrzenie bajecznego bazylijska, co jednym zabijało błyskiem.

Przejrzawszy się w zwierciadło Anna, znalazła się sama tak piękną, iż się swej postaci uśmiechnęła... Ubrana była czarno, a ponsowych wstęg pęki odżywiały strój fantastyczny i malowniczy. Vitzthumowa, która zajechała po nią, ujrzawszy ją z progu pokoju, krzyknęła z podziwu: znalazła ją tak piękną, tak piękną, iż nawet rzucenie pod stopy jej korony nie byłoby jej zdziwilo...

— I ty mówisz — zakrzyknęła, ręce łamiąc — że chcesz w zaciśnięciu przemącić się z moim bratem... a stroisz się w takie wdzięki przeciw królowi?

— Już ciż — odparła zimno Anna — żadna kobieta dobrowolnie brzydką się nie czyni.

— Aleś ty mistrzyni wieka i rady do stroju nie potrzebujesz... No, jedźmy...

Ten sam okrzyk i ciche szepty radosne przywitały ją u pani Reuss. Piękność jej, która na balu była już zwycięską, tu wydawała się promieniącą. Wszystkie te panie, co się nie wyrzekły były pretensji do wdzięku, poczuły się teraz staremi i zwiędłymi. Anna, o której wiadano, iż ma lat dwadzieścia cztery, wyglądała na ośmnaście. Była to Diana starożytna z całą swą dumą dziewczęcą i surowością leśnego bóstwa, co się zdala od oczów tłumu schowało...

Nikt się tak nie cieszył jak hrabina Reuss, bo jej widokom odpowiadało to najlepiej. Annę otoczono kołem, zawczasu czcząc ją jak królowę i sta-

rajać się jej laski pozyskać. Fürstemberg, poprzeczający króla na chwilę, zobaczywszy Hoymową, odłupiał.

— Znam króla — rzekł, — ta kobieta robi z nim, co zechce, jeśli się potrafi opierać.

Annę prowadził instynkt i wedle jej uczyć nie było potrzeba.

Po chwili drzwi się otworzyły dyskretnie od gabinetu, król wszedł. Od progu już szukał tej, którą chciał widzieć; ujrawszy ją, zarumienił się, pobiadł, zmieszał i, zapomniawszy o gospodyni, przybiegł ją najprzód przywitać. Na czole jego nie pozostało śladu smutnych przygód ze Szwedami, niewdzięczności polskiej, milionowych straci, zdrad i zawodów.

Anna przywitała go zdala ceremonjalnie i chłodno, ale strój już sam mówił wiele. Czciała się podobać, to było oczywistem i dawało dobrą nadzieję.

Pomimo doznanego wrażenia, król chciał zachować wszystkie formy grzeczności i względów, należnych płci pięknej. Chociaż niecierpiał hrabiny Reuss, usiadł przy niej na chwilę, rozmawiając bardzo uprzejmie, ale oczów od Anny nie odrywał. Na osobności poszeptał coś z panną Hülchen... potem uśmiechnął się do Vitzthumowej, naokół obdarzył wejrzeniami i galanterją wszystkie przytomne panie bez wyjątku. W czasie tego ceremonjalnego obchodu pani Vitzthum miała czas ująć bratową pod ramię i zaprowadzić ją do gabinetu pod pozorem jakiejś pilnej, ciekawej rozmowy. Był to strategiczny manewr dla ułatwienia królowi słodkiego *tête à tête*, bo jak tylko August ukazał się w progu i zagaił kilku słowy rozmowę z Hoymową, pani Vitzthum poczęła się wysuwać powoli ku salce i znikła.

Drzwi zostały wprowadzić otwarte i podniesiona

portjera dozwalała przechadzać się po salonie paniom oglądać zdala oblicze Najjaśniejszego Pana, ale nikt nie mógł stąd posłyszeć, co mówili między sobą.

August już dziś wczorajszej obawy zapomniał, widocznie był rozplomieniony.

— Pani jesteś dziś jeszcze piękniejszą a zupełnie inną niż wczoraj! Pani jesteś czarodziejką... — zawołał, nie hamując się wcale.

Hoymowa się skłoniła.

— Najjaśniejszy Pan tak znanym jesteś ze swej pobłażliwości i grzeczności dla kobiet, iż najpochlebniejszym jego wyrazom trudno uwierzyć — odezwiała się Anna.

— Wymagasz pani przysięgi na wszystkie bóstwa Olimpu przysięgam jestem gotowy... Tak pięknej kobiety nie widziałem w życiu i zdumiewam się wielkości losu, który takiego anioła oddał w ręce mojej obrzydliwej akcyzy.

Anna mimowoli się roześmiała, pierwszy raz z pod warg różowych wyszedł rząd białych jak perły ząbków. Uśmiech ten nadał nowy wyraz całej jej fizjognomji, stała się jeszcze bardziej uroczą... Dwa małeńkie dołki, jakby wyciąłowane, ukazały się na rumianych policzkach i znikły... Twarz oblała chwilę karminem... bladła zwolna i przechodziła w ton jakby blaskiem wewnętrznym ogrzany...

Król spojrział na ręce, a namiętnie lubił piękne ręce całować, i ledwie się mógł powstrzymać od przyciśnięcia ich do ust. Były to arcydzieła snycerskie... W głowie mu zawracać się poczynąło...

— Gdybym był tyranem — zawołał — Hoymowym wrócić tu nie pozwolił, bom zazdrosny o tego Wulkaną...

— Wulkan jest też zazdrosny — odparła Anna...

— A Wenus przecież go kochać nie może?

Milczenie było odpowiedzią. długo król czekał.

— Jeśli nie miłość, są inne kajdany, co wiążą może silniej nad nią: łańcuchy obowiązku i przysięgi.

Król się uśmiechnął.

— Przysięgi? w miłości?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, w małżeństwie.

— Ale są małżeństwa świętokradzkie — rzekł August — a za takie uważam, gdy się piękność łączy z taką nieznośną szpetotą... Bogowie naówczas złamanie przysięg rozgrzeszą.

— Ale dama ich skruszać nie dopuszcza.

— Surową pani jesteś.

— Więcej niż się może zdaje Waszej Królewskiej Mości.

— Przerażasz mię, hrabino!..

— Was, Najjaśniejszy Panie? — uśmiechając się poczęła Anna... — nie sądziłam, abyś Wasza Królewska Mość miał się tem choć cokolwiek czuć dotkniętym... Cóż ta surowość może pana mego obchodzić?

— Więcej niż się pani zdaje — podchwycił król, własne jej powtarzając wyrazy.

— Tego zrozumieć nie mogę — szepnęła po-cichu Anna.

— Janto? więc pani nie chcesz widzieć tego, że ja od wczoraj pierwszem jej wejrzeniem zosta-łem podbity?

— Moja zdobycz — odpowiedziała Anna — za-pewne nie potwa do jutrzejki... Wasza Królewska Mość dzierży tę sławę z bogami, że łatwo kochać i zapominać umiesz...

— Nie — zawołał król czule — potwarze to są... Cóżem winien, że nigdy nie trafiłem na serce, na umysł, na piękność, coby mnie stale przywiązać mogły. Nie ja niewiernym jestem... mnie zdradzają.

Codzienną spada z tych bogiń jedna zasłona... codziennie gaśnie urok jeden... cud staje się powszedniem zjawiskiem, anioł traci skrzydła... a w sercu zamiast miłości, znajduję załotność i chłody... Cóżem winien?... Wierz mi, pani—dodał, unosząc się coraz, — ja szukam, do kogobym całe życie mógł należeć, komubym mógł zostać wiernym; gdybym znalazł to serce, tę kobietę... oddałbym się jej cały.

— Trudno temu uwierzyć — szepnęła Anna — a trudniej jeszcze przypuścić żywą taką doskonałość, coby Waszej Królewskiej Mości godną była.

— Wierz mi, pani — przerwał August, — że ja w tej chwili w was widzę...

— Po dniu białym, niestety, inaczejbym się wydała, a po kilku dniach białych... zgasłby urok nowości... ani mi łaska Waszej Królewskiej Mości zawrócić może biedną głowę, bo się jej czuję niegodną.

— Pani jesteś zachwycającą — zawołał August, sięgając po jej rękę.

Anna chciała ją cofnąć, lecz etykieta na to nie pozwalała; król, pochwyciwszy białą rękę, pieścił ją i całował tak długo, że nareszcie, z całem poszanowaniem dla Jego Królewskiej Mości, Anna, w płomieniach stojąc, by z salonu kto nie zobaczył tego zbliżenia ich do siebie, musiała zlekka ją wyrwać...

August wstał, cały wzruszony.

— Nie mogę się od pani oderwać — rzekł, — będę zapewne musiał w pomoc niedołężnym zapałom, które, jak widzę, żadnego na niej nie czynią wrażenia, wezwać moję władzę królewską. Niech mi się pani nie waży wyjeżdżać z miasta, aresztuję ją... Co się tyczy Hoyma, tylko wstawienie się jej może jego los osłodzić. Dziś miałbym ochotę...

Nie dokończył. Anna nie myślała się jakoś wstawiać...

Rozmowa byłaby się przeciągnęła nie wiem jak długo, gdyż August był niezmiernie ożywiony, gdyby pani Reuss, niewiedomo z jakiego powodu przyspieszywszy wieczerzę cukrową, nie weszła na nią zaprosić króla, który rękę podał Hoymowej. Był to raczej podwieczorek tylko na sposób wło ki, złożony ze słodczy, owoców i wina... Król najpierwszy wychylił za zdrowie żony ministra... Fürstemberg baczna na Najjaśniejszego Pana zwracał uwagę...

— Teschen przepadła! — rzekł na ucho Vitzthumowej.

— I mój brat także! widzę to jasno — szepnęła piękna pani — byle bratowa rozum miała...

— Byle go nie miała nadto... — dodał Fürs'temberg... — Patrz pani, jak wygląda zimną i panią siebie; król z całą usilnością oczarowania nie potrafił jej pono głowy zawrócić, a sam mi się wydaje już nieprzytomnym...

Po tej *colazione*, od której wstawał każdy gdy chciał, panie się znowu powysuwały, a August zrećźnie bardzo rozmową swą usiłował zatrzymać Hoymową... Została, nie wyrrywając się, była wesołą, swobodną, lecz i Fürstemberg i król wiedzieli dobrze, iż była zupełnie panią siebie i że świetny triumf, jaki odniosła, wcale jej upoił. Pierwszy to raz w życiu trafiło się Augustowi spotkać z kobietą, która jego miłości nie uległa tak skoro jak inne, i wcale nie zdawała się chcieć z niej korzystać.

Ubodło go to mocno.

Przytomność i lodowaty chłód tej kobiety zaczynały go gniewać... ale zarazem rezzarzały powziętą miłość.

W pierwszej chwili zamyślał tylko z panią Hoymową zawiązać kilkodniowy galanteryjny stosunek, któryby pod zasłoną tajemnicy nawet lśniącej Te-

sehen nie wyrugował z serca; postrzegał teraz, że z tą piękną panią daleko trudniej przyjdzie... niż zrazu rachował...

Anna śmiała się, żartowała, była bardzo zabawna; widocznie starała się na wszelki sposób króla usidlić, lecz sa na stawila mu się prawie coraz zimniejszą, śmieszszą i nieprzystępniejszą. Zamiast postępować jak zwykle z Jowiszowem szczęściem przyspieszonymi kroki do celu, król August widział się coraz dalej od niego.

W końcu rozmowy, gdy się stał natarczywszym i nie osłaniając swego zapachu, dopraszał się kącika w sercu... pięknej pani, zupełnie już z nim oswojona Anna odpowiedziała dobitnie:

— Najjaśniejszy Panie, daruj mi, lecz zmuszasz do niemilego wyznania. Jestem jedną z tych nie-szczęśliwych, słabych istot, którym duma służy za całą ich siłę. Jeśli Wasza Królewsza Mość sądzi, iż olśniona urokiem, którego potęgę uznaję, zapomnę, com sobie winna, że maą chwilowy szaf ołwładnie i dla uroków jego przyszłość zniknie z oczów, mylisz się, Najjaśniejszy Panie: Anna Hoym nie będzie nigdy niczyją, nawet królewską kochanką chwilową... Serce moje odda się całe, na zawsze, lub... nigdy...

To mówiąc, wstała od stołu szybko i przeszła do salonu.

Wkrótce potem król z Fürstembergim wyminał się z mieszkania hrabiny Reuss, która, dostrzegłszy go, wybiegła za nim na schody. Na twarzy Augusta nie było wesołości i nadziei, pochmurny był i smutny. Hrabina Reuss poznała z wiarą, jak się rozeszli z Hoymową, udała nie-mierne ubolewanie nad tem; lecz w rzeczy nie była wcale gniewną na Annę, stosunek jej z królem trudniej zawarty, stałszym być obcowan.

łostki krótkie, któreby księżny Teschen nie obalily wcale, nie odpowiadały jej myśli; przez Annę spodziewała się i ona pewniejszego wpływ pozyskać.

— Kochana hrabino — szepnął król, odchodząc — staraj się zmiękczyć ten posąg. Piękna jest jak Wenus, to prawda, lecz i serce ma z marmuru.

Nim pani Reuss odpowiedziała, król począł schodzić ze schodów. Rozmowa z poufnym przyjacielem jak Fürstemberg w innym już była tonie.

— Kobieta jest zachwycająca — rzekł król — ale przerażająca razem: jak lód zimna...

— Najjaśniejszy Panie! trzeba czasu... Kobiety są różnych umysłów i temperamentów, coś dziwnego, że się broni...

— Broni! ale ona wyraźnie mówi, że wiekuistych chce ślubów...

— Każda miłość z początku myśli, że powinna być wiekista, i każdej się przyrzeka... że nią będzie.

— Z tą nie przyjdzie łatwo — dodał August. — Teschen była daleko powolniejszą.

— Najjaśniejszy Panie, ale między niemi porównania niema...

— Niestety! to prawda... Teschen jej nie dorównywa... Poślijcie Hoymowi rozkaz, aby mi się wracać nie ważył...

— Ale coś on tam robić będzie? — rozśmiał się książę.

— Niech robi, co chce, niech ze szlachtą się kłóci, niech im bałamuci żony — przerwał król, — nadewszystko niech zbiera jak najwięcej pieniędzy, bo mam przecucie, że moja nowa miłość wiele ich kosztować będzie. Taki brylant musi być koniecznie w złoto oprawnym...

— Jaki? Najjaśniejszy Panie, już miłość?

— Wściekła! Fürstchen, rób, co chcesz... Anna być musi moja...

— A Urszula...
— Żeń się z nią.
— Dziękuję...
— Ożeń z nią, kogo chcesz... zrób, co się podobają... to rzecz skończona...
— Już, Najjaśniejszy Panie?—zapytał ksiązę ze złe utajoną radością.
— Zrywam... zerwę... Hoyma ozłocę... ciebie... ją...
— Ale skąd tyle złota weźmiemy!
— Na to Hoyma rozum—odparł król, — p'iszcie mu, niech sam się o akcyzę rozprawia, niech śledzi, bada, jeździ, egzekwuje, byle nie wracał.
— Aż gdy już nie będzie miał pocół — szepnął ksiązę,—to się rozumie.

Król westchnął... weszli do pałacu, August wprost udał się do sypialni, smutny i zamyślony. Ostatnia kampanja nie tyle go zgryzła, co niepowodzenie tego wieczora.

VII

W ten sposób rozpoczęło się na dworze Augusta II jedno z panowań kobiecych, które dluzej nad inne trwać miało.

Całe miasto i dwór śledzili z niespokojnem zajęciem przebieg sprawy, której koniec łatwym był do odgadnięcia.

Nie przyszedł im jednak tak rychło, jak ludzie sądzili, z innych wnosząc wypadków. Hoyma posyłanemi po niego kurjerami wstrzymywano coraz dluziej, nie pozwalając mu powracać.

Codzień hrabina Reuss, pani Vitzthum, ksiązę, wymyślali najrozmaitsze pozory dla zbliżenia króla do pięknej Anny; codzień pani Hoym była z nim śmielszą i poufalszą, ale August od owego wieczora u hrabiny Reuss nie postąpił ani na krok, nie usły-

szal me rane go nad to, co mu naowczes zapowiedziała. Piękna Anna nie ustępowała wcale, chłód jej, przytomność i panowanie nad sobą wkońcu wszystkich niepokoić zaczynały. Obawiano się, aby się król nie zraził, nie odstąpił, aby nie skorzystało ze znużenia jego dla ułatwienia innego wyboru. Pani Hoym, ilekroć ją badano, odpowiadała chłodno, że może być żoną, lecz nie chce zostać kochanką. Wymagała, jeśli nie ożenienia, któremu stała na przeszkodzie królowa Krystyna Eberhardyna, to uroczyściego zapewnienia, iż król ją poślubi, jeśli owdowieje.

Warunek był zaprawdę dziwny i niezwyčajny; w innym czasie, na innym dworze, wśród mniej płochych ludzi, byłby się wydawał niemożliwym, przecież król August, gdy mupierwszy raz o nim doniósł Fürstemberg, nie odpowiedział ani słowa.

— Przyznam ci się—rzekł do niego w kilka godzin potem—żem znalazzony temi przedłożonemi konkurami: raz przecie skończyć to potrzeba...

— Zerwać?—spytał książę.

— Zobaczymy—lakonicznie odezwał się król.

Więcej nawet zwykły jego powiernik nie mógł się dowiedzieć.

Tegoż dnia król August kazał ze skarbu przynieść do gabinetu sto tysięcy talarów w złocie. Wór był ogromny, i dwóch go ludzi musiało dźwigać, choć silnych i barczystych. Gdy go złożono na ziemi, król rękę wyciągnął, chwycił za sznury i brzegi i podniósł bez trudności. Była to próba tylko... Fürstemberg nie śmiał się dopytywać o przeznaczenie tego skarbu, bo król był chmurny i opryskliwy... W przeddzień August widział się z Hoymową w bażantarni, dokąd ją przyjaciółki na przechadzkę wywiozły. Mówił z nią, chodząc, długo, był niezmieennie czuły, lecz pani oblawała go chło-

dom i gdy odjeżdżał, Vitzthumowa zapewniała, że na twarzy jego wprawdzie skrywanego, lecz straszniejszego gniewu nie widziała nigdy jeszcze.

Widocznem było dla wszystkich, iż się stanowcze wypadki zbliżały. Król był milczący. Jeździł niemal codzień do księżnej Teschen, która tonęła we łzach, gdy jej donoszono o Hoymowej, i osuszała je zobaczywszy Augusta. W tej niepewności przeszło kilka tygodni, czas, który się dworskim wydał niezmiernie długim. Nie wiedzieli, komu się kłaniać i dokąd iść z hołdami i plotkami. Naostatek Hoymowi już nie pozwolono, ale nakazano wracać, bo w skarbie dawała się czuć niebytność jego: on go najskuteczniej zasiłał.

Właśnie tego dnia, gdy się z powrotem spodziewano ministra, król z owemi stu tysiącami talarów w karcie, kazał wieczorem jechać do pałacu Hoyma...

Była szara godzina i dzień jesienny a mglisty. Hrabina Hoym sama jedna w domu chodziła zamysłona po swoim saloniku, dość niewykwintnie przybranym. Nie przyjmowała u siebie innych odwiedzin nad kobiece, zdziwiona była mocno, usłyszawszy męskie głosy na schodach, a bardziej jeszcze, gdy bez żadnego oznajmienia otwarły się drzwi i wszedł król.

Drzwi natychmiast zamknęły się za nim. Przerażona tem zjawiskiem, które nic dobrego nie zapowiadało, śmiała kobieta cofnęła się kroków kilka. Na stoliku leżał zawsze od pierwszych dni jej pobytu w Dreźnie pistolet nabity: był to jej nieodstępny towarzysz.

Śmiano się z niej, bo go tam wszyscy u niej widzieli. Gdy król wszedł, Hoymowa chwyciła pistolet i wsunęła go pod chustkę, którą była okryta. Jakkolwiek ruch ten był żywy i zdawał się niepostrzeżonym, oka królewskiego nie uszedł.

— Nie potrzebujesz, pani, żadnej obrony — zawołał — a ta, którąś sobie wybrała, naniebry przydatną nie była...

Anna wlepiła w niego oczy, nie mogąc przemówić jeszcze.

— Słuchaj mnie, pani — kończył August, rzucając wor złota na ziemię z taką siłą, iż perły i dukaty rozsypały się, brzęcząc po posadzce — mogę cię obsypać złotem, dostojenstwami i tytułami...

W tej chwili przyniesione z sobą wziął dwie podkowy i zgruchotał je w rękach, rzucając kawały ich na kupę złota.

— Ale mogę — dodał — to, co mi się opiera, złamać, jak kruszę to żelazo. Masz, pani, do wyboru: złoto lub żelazo, pokój i miłość, lub wojnę.

Anna stała, obojętnie patrząc na kupę złota i połamane żelastwo.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwała się po chwili — ja się nie lękam śmierci, ani pragnę złota. Możesz mnie zgnieść jak te podkowy: woli mojej nie złamiesz. Złoto jej nie roztopi. Dlaczegoż nie przynosisz mi jednej rzeczy, która mnie poruszyć i zwyciężyć może? — twego serca?

August podbiegł ku niej.

— Masz je oddawna! — krzyknął.

— Nie widzę tego i nie czuję — poczęła powoli Hoymowa, — serce się objawia czynem: serce, co kocha, nie może pragnąć zbezczescić to, co ukochało. Nie będę tać ci, królu, kocham cię! Nie mogłam się oprzeć tej miłości, ale jej nie splamię...

Król żywo poskoczył ku niej i ukląkł; Anna uciekła w drugi koniec sali.

— Posłuchaj mnie, królu.

— Rozkazuj.

— Anna Hoym inaczej twoją nie będzie, jak gdy się godną twej miłości uczuje...

— Więc warunki? mów! jakie są warunki?

— Przrzeczenie ożenienia na piśmie.

August, słysząc to, zamilkł, spuścił głowę, brwi zmarszczył.

— Anno — rzekł — to dla ciebie samej niebezpieczny warunek: wierzaj mi.

— Nie odstąpię og niego; życie zań dam, nie odstąpię. Moja cześć tego wymaga. W myśli i nadziei będę żoną twoją lub... nie dotkniesz mnie, bo strzałem sobie odbiorę życie.

Król coinał się krok...

— Dobrze więc — rzekł — chcesz tego, mieć będziesz...

Anna krzyknęła radośnie.

— Reszta jest niczem przy tem — odezwiała się głosem, w którym brzmiało szczęście. — Muszę mieć rozwód z Hoymem.

— Jutro każę go w konsystorzu podpisać — pośpiesznie dodał król. — Cóż więcej?

— Z mej strony więcej nie mam nic — przyklękając przed królem, złamanym głosem odezwiała się Anna — dla mnie tego dosyć...

— Ale niedość dla króla, dla mnie — podchwycił August, porywając ją w objęcia, z których zsuwając się na ziemię, Anna się zwolniła.

— Najjaśniejszy Panie — krzyknęła, — wierzę twojemu słowu królewskiemu; lecz nim się dam dotknąć siebie, muszą pęknąć okowy, co mnie wiążą; rozwód musi być ogłoszony, przrzeczenie twe podpisane. Jestem żoną Hoyma, przysięgam mu wierność i dochowam jej.

August, milcząc, w rękę ją pocałował.

— Czyń, co ci się podoba, co cię uspokoi... dam twój niewolnik, tyś pani moja! Dzisiaj przyjeżdża Hoym... rozstań się z nim... jutro pałac dla ciebie gotować każę; sto tysięcy talarów rocznie

i całe moje dwa królestwa u nóg twoich, a z nie-
mi, ja...

Anna, widząc go klęczącego, zlekka pocałowała
go w czoło i odskoczyła.

— Do jutra!

— Mam wyjść? — spytał August.

— Do jutra!

Podala mu rękę.

Król posłuszny wstał, pocałował ją i skierował
się ku drzwiom wzdychając. Na posadzce sali kupa
złota rozrzucona została.

Tejże nocy hrabia Hoym powrócił, pobiegł do
drzwi żony i zastał je zamknięte; powiedziano mu,
iż pani spała, była chora i budzić się zakazała.

W przedłużonej nad wolę swą i potrzebę po-
dróży, hrabia coraz mocniej niecierpliwił się i nie-
pokoił o żonę. Miał wprowadzić swoich zauszeników,
którzy mu regularnie codziennie donosili o każdym
jej widomym kroku i ruchu; lecz ze wzmianek
o odwiedzinach i przejażdżkach, w których zawsze
prawie i siostra jego pani Vitzthum udział brała,
nic bardzo zdrożnego wnosić nie mógł. Czuł po-
mimo to, iż intryga związana rosła i plątała się
coraz silniej, grożąc jego pożyciu małżeńskiemu,
ale do kogo miał się uścać, aby się o to upomnieć?
U góry stał król, a króla lękał się Hoym nad wy-
raz wszelki, bo go lepiej znał nad innych. Jego
pozorna słodycz, dobroć, łagodność nie łudziły go
wcale. Los swojego dobroczyńcy Beichlinga miał
ciągle na oczach. Największą rękojmnią dłań był
charakter żony, jej duma i miłość dobrej sławy.

Przybywając do Drezna, nie wiedział o niczem
więcej nad to, co mu usłudzi jego szpiegowie do-
nosili; w samem mieście od ludzi dworu niewiele
się spodziewał dowiedzieć.

Godzina spóźniona, a choć na zamku król bie-

siadował jeszcze, Hoym się już tam dostać nie ku-
sił; pojechał więc do domu i drzwi żony znalazłszy
zamknięte, sam udał się na spoczynek po podróży.

Nazajutrz rano oblegli go urzędnicy od akcyzy;
król przysłał, aby się stawił do zamku, tak, że nie
widząc się z Anną, wyruszyć musiał.

Nadzwyczaj słodko i uprzejmie przyjął go król,
uściskawszy (był to znak najgorszy). Wymawiał mu
nawet, że się tak długo w podróży zabawił, cho-
ciaż sam starał się o to, aby była przedłużoną;
udał, że wcale o tem nie wiedział.

Hoym z zadziwieniem spojrzał królowi w oczy.
Nie mówiły nic.

— Masz nieprzyjaciół na dworze, to rzecz oczy-
wista — szepnął August uderzając go po ramieniu
— chciano cię od mojego boku oddalić; ale nie
lękaj się, masz też we mnie silniejszego nad nich
przyjaciela, a ten krzywdy ci nigdy uczynić nie da.

Hoym podziękował za łaskę pańską. W rozmo-
wie o akcyzie i skarbie król stęknął na niedosta-
tek pieniędzy.

— Hoym kochany, na wszelki sposób musisz
się mi ich starać, potrzebuję ogromnie wiele.

Było około południa, gdy z tej audjencji, która
mu wiele dała do myślenia, do domu powrócił.
Zaledwie się za nim drzwi gabinetu zamknęły, gdy
drugie od sali się otwarły i Anna, ubrana czarno,
jaśniejąca pięknnością, spokojna i poważna, weszła,
drzwi te zamykając na klucz za sobą.

Hoym podbiegł ku niej żywo: przyjęła go chłod-
no i zdaleka trzymając.

— Czekałam was, panie hrabio — rzekła głosem
swobodnym, — przychodzę mu podziękować za wszy-
stko dobre, jakiegom od niego doświadczała, i za-
pewnić, że wspomnienie o tem zachowam na zaw-
sze; ale zarazem muszę mu wyznać, iż małżeństwo

nasze, na wzajemnej sympatji nie oparte, nie dając ani dla was, ani dla mnie rękojmi szczęścia, zmierzając do rozłączenia się: kilka lat ciężkiej próby nie pozwalają lepiej wróżyć na przyszłość. Trzeba się rozstać, panie hrabio. Znasz mnie pan, iż jestem otwartą i lubię postępować jawnie. Jego królewska mość uczynił mi ten zaszczyt, iż oświadczył się z przyjaźnią dla mnie: godzien jest, bym jej nie odtrąciła. Kocham go i postanowiłam być posłuszną. Zdradzać jednak waszmość pana nie mogę i nie chcę; przychodzę żądać rozvodu, który honor waszego imienia ocali. Nie możemy postępować inaczej. Jeśli rozwód z dobrej woli pan przyjmiesz, możesz być pewien mojej przychylności dla siebie i będę się starała być mu pomocną we wszystkim; jeśli zechcesz mi przeszkadzać i sprzeciwiać się, nie zmieni to mojego postanowienia, a zmusi zapomnieć o mojej wdzięczności dla niego, pamiętać tylko, że szczęściu memu stajesz na przeszkodzie.

Hoym, który od pierwszych wyrazów urzędowego i chłodnego przemówienia żony swej wszystkiego się domyślił, cofnął się jak piorunem rążony. Obawiał się on wszystkiego, ale nie przypuszczał, ażeby rzeczy już w tej chwili zaszły tak daleko.

Błada jego twarz okryła się siną niemal czerwonością; krew go dusiła, chciał kilka razy mowę przerwać i wybuchnąć: Anna trzymała go ostrym wzrokiem na miejscu, dopóki nie dokończyła. Hoyma oburzała i treść jej słów, a nadewszystko chłód, obojętność, z jaką je wymawiała.

Bawiła się sznurami swej sukni, koronką rękawa, chusteczką, którą mięła w białych palcach.

Hrabina przestała już mówić, gdy Hoym, w którym gniew się burzył niewysłowiony, jeszcze wyjąknąć słowa nie umiał.

— Mościa pani — krzyknął z namiętnością, podnosząc pięść do góry — wywdzięczasz mi się łaskawie za to, żem cię z zapleśniałego kąta wyciągnął... Odegrzałem zmiję... Rzucasz, waćpani, męża i dom uczciwy, aby pójść na łaskę i niełaskę najlekkomyślniejszego z ludzi.

Anna nie dała mu mówić dalej.

— Dosyć, panie hrabio, wiem odrazu, co mówić będziesz, ale wiem też, co czynię. Staranie o mój los mnie zostawcie. Mojego postanowienia nic nie zachwieje. Proszę go o jedno tylko, o wybór: chcesz-li z dobrej woli przystać na rozwód czy nie? mamy zostać przyjaciółmi czy wrogami? tak czy nie?

Hoym był najbałamutniejszym, najrozpustniejszym z ludzi tego dworu, na którym rozwiążność zwała się galanterją; stosunek jego z żoną był jak najgorszy, miłość dla niej ostygła; w tej chwili jednak gdy pomyślał, że ją ma postradać, żal, zazdrość, gniew, opanowały go aż do odjęcia mu przytomności.

Wedle zwyczaju swojego, gdy był w złości, począł szarpać odzież i perukę, latać po gabinecie, rozbijając krzesła i bijąc o stoły. Łamał ręce, stał w oknie patrząc bezmyślnie w ulicę; to znowu przypadał groźny do hrabiny, która nań nieulekcioną czekała z uśmiechem prawie pogardliwym; zaczynał mówić i przerywał, biegając znowu. Miał zupełnie pozór oszalałego człowieka, który już nie wie, co czyni.

Stosy papierów rzucił pod nogi i deptał niemi, stół obalił. Cała ta pasja, którą może chciał przerazić żonę, najmniejszego na niej nie wywarła wrażenia. Anna, niemal szyderczo patrząc nań, cofała się milcząca i czekała. Nie mogąc wreszcie doczekać się odpowiedzi, głosem spokojnym odezwała się:

— Widzę, że pan nie możesz się tak prędko zdecydować, co sobie obierasz, pokój czy wojnę; daję więc czas do namysłu. Przypominam tylko wam, że wojna ze mną i królem może być cokolwiek niebezpieczną; masz do wyboru albo wzrost lub upadek.

I wyszła, nie czekając już odpowiedzi.

Hoym latał ciągle, rwąc na sobie odzież, siadał, wstawał, rozpaczał i byłby tak przetrwał nie wiem jak długo, gdyby go nadchodzący Vitzthum nie rozbudził z tych szalów.

— Co ci jest, Hoym?—zawołał—co ci się stało?

— Co się stało? a! wy to lepiej z pewnością wiecie ode mnie, kochani przyjaciele, coście mi tę miłą zgotowali niespodziankę. Anna mnie rzuciła królowi jeszcze i tej potrzeba było. Pocóż szła za mnie? dlaczego mi dała tych kilka lat szczęścia, ażeby niegodnie zdradzić, zesromocić w oczach ludzi i wystawić na szyderstwo...

Vitzthum dał mu się wyburzyć.

— Słuchaj, Hoymie — rzekł — bardzo pojmuję, że ci pięknej Anny żal być może, ale nigdy nie miałeś jej serca, a bałamuciłeś się tak, iż wątpię, żebyś i ty ją tak bardzo ubóstwiał. Jest to sprawa miłości własnej. O honor nie idzie, bo żona cię porzuca. Mówmy rozsądnie, ja przychodzę tu z poleceniem od króla.

Hoym namarszczył się, odskoczył i zamilkł.

— Cóż najjaśniejszy pan każe? — mruknął ironicznie.

— Żąda, abyś dozwolił na rozwód z żoną, za co ci łaskę i wdzięczność swą przyrzeka — dodał Vitzthum. — W przeciwnym razie, moj kochany Hoym, bardzo mi cię żal, ale muszę ci oznajmić, iż się narażasz na najgroźniejsze następstwa. Masz wybór, z królem do walki stanąć nie możesz. Naj-

mniejsza przykrość, wyrządzona hrabinie, uważaną będzie za obrazę majestatu.

— Ale pocóż chcecie mojego zezwolenia? — wybuchnął Hoym — wszakże król i bez niego uczynić może, co mu się podoba. Konsystorz jemu, nie mnie będzie posłusznym. Ja tu nic nie znaczę... Zabiera mi, com miał najdroższego, niech bierze, ale niech nie żąda, abym jeszcze za to mu dziękował.

Vitzthum się uśmiechnął.

— Jest to dowód łaski króla, że chce na to przyzwolenia twego, co i bez niego mieć może. Widzieć w tem powinienesz chęć zatrzymania cię na stanowisku.

— Bom mu potrzebny! — mruknął Hoym.

Vitzthum usiadł na kanapie.

— Kochany hrabio, namysł się — rzekł — gdy wyjdę stąd, będzie po czasie.

Hoym znowu biegał i co spotkał, wywracał, wkońcu śmiać się począł, ale bolesnym śmiechem, pełnym goryczy, i padł w krzesło...

— Hoym, król czeka na odpowiedź? — zapytał Vitzthum.

— Wszakże nie mogła być wątpliwą — odparł minister — szyderstwem jest pytać odartego z sukni o pozwolenie zatrzymania jej, grożąc mu pałką nad głową. A więc naturalnie, kochany szwagrze, zanieziesz odpowiedź najjaśniejszemu panu, że jestem mu nadzwyczaj wdzięczny, iż raczył mię od ciężaru tej kobiety uwolnić; że zgadzam się na wszystko, zem rad, szczęśliwy, wesół i całuję pańską rękę jego. Przecież to honor niepospolity ofiarować najjaśniejszemu panu od ust nadgryziony owoc... cha! cha!

— Gdybyć wypił szklankę zimnej wody — szepnął Vitzthum biorąc za kapelusz — he?

Ze współczuciem podał rękę Hoymowi.

— Wierz mi — rzekł cicho, — ty jeszcze lepiej na tem z łaski żony wychodzisz niż inni. Powiem królowi, że się zgadzasz... ochłoniesz i odbolejesz.

Vitzthum przypomnieć sobie zapewne musiał, mówiąc to, własną swą przygodę z siostrą Hoyma, która krótką chwilę szczyciła się łaską najjaśniejszego pana.

Na odpowiedź męża oczekiwał sam król w zamku, lecz zniecierpliwiony wkońcu, kazał się zanieść do pałacu Hoyma i wszedł do pokojów Anny... Vitzthum miał się udać na zamek, gdy mu oznajmiono, iż król o trzy kroki nań czeka. Z postawy i uśmiechu ulubieńca, August poznał zaraz, iż Hoym się upierać nie będzie. Piękna Anna niepokojnie biegła do posła.

— Byłeś, hrabia, szczęśliwszym niż ja?

— Szczęśliwszym nad panią nikt być nie może — odparł kłaniając się Vitzthum — ale byłem cierpliwszym. Dałem się wyburzyć Hoymowi i na wszystko się zgodził.

Radość błysnęła w czarnych oczach Anny, o mało nie rzuciła się na szyję Vitzthumowi.

— A! przynosisz mi pan swobodę i szczęście — zawołała — nie umiem ci odwdziżyć.

Na stoliku złote stało pudełeczko, chwyciła je i podała Vitzthumowi.

Król pobiegł je zobaczyć i wyrwał mu z rąk gwałtownie.

W pudełku była minjatura Anny, przed kilku laty zrobiona.

— A! — zawołał król — przepraszam, to za mało dla ciebie, Vitzthum; prawem królewskim konfiskuję, wzamian daję ci dwadzieścia tysięcy talarów; tego wizerunku nikt prócz mnie mieć nie może i nie będzie.

Anna rzuciła się królowi na szyję.

Nazajutrz w konsystorzu oboje, hrabia Hoym i hrabina, podali się o rozwód, stając przed nim w osobach swych umocowanych; królewski rozkaz przyśpieszył ogłoszenie wyroku, który trzeciego dnia został przybity na wszystkich placach, po gmachach i publicznych miejscach, bo tak Anna żądała.

Tegoż dnia hrabina wyniosła się z pałacu męża do przygotowanego dla niej domu w bliskości zamku, który naprędce połączono w kilkanaście godzin przybudowaną galerją krytą.

Wiść o tym wypadku piorunem pierwszej chwili rozeszła się po mieście. Pani Hoym rzuciła zarazem nazwisko męża i od majątności swej rodziny w Holsztynie, kazała się zwać panią Cosel. August poprzysiągł jej, że u cesarza Józefa wyrobi tytuł hrabiowski, a zamiast domu, który czasowo zajmowała, przyrzekł w kilka miesięcy wznieść pałac czarów i tysiąca nocy.

Nigdy oddawna żadna z ulubienic króla tak jego umysłu, serca i namiętności nie opanowała. Całe dnie prawie spędzał u niej, stał się niewi-
dzialnym... zapomniat o całym świecie.

W pierwszej chwili zaraz księżna Teschen, z którą król z wyszukaną czułością i zřecznością do ostatniej chwili się obchodził, dowiedziała się o wszystkim. Rozwód Hoymowej, jej przeniesienie się pod zamek nie zostawiały najmniejszej wątpliwości o tem, iż panowanie księżnej było skończone. Ze strony króla ustały wprawdzie nadskakiwania i odwiedziny, lecz księżna Teschen pozostała swobodną, panią swej woli i nielaska nie dotknęła jej więcej w niczem, pozbawiła tylko widoku króla i nadziei przyszłości.

August musiał ją oszczędzać, choćby dla kar-

dynała Radziejowskiego, na którego wpływ miała przeważny; a ten sprawom króla bardzo być mógł szkodliwym... Pomimo szpiegów, jakich Vitzthum z rozkazu pana nasadził dokoła pałacu księżnej, o zamiarach jej nic się dowiedzieć nie było można. Próbowano przez Glasenappową, nienawidzącą siostrę, dobyć z niej tajemnicę, którą w żalu zdradzić mogła, ale księżna Teschen milczała i płakała. Nikt nie wiedział, czy pozostanie w Dreźnie, zamieszka w Hoyerswerda, lub zechce się udać do Polski. W domu najmniejszych przygotowań do podróży widać nie było, życie szło trybem zwykłym, dwór tylko dawniej świetny i liczny znacznie się zmniejszył. Ci, co pozostali wiernymi księżnie, posadzani byli o szpiegostwo; towarzystwo więc milczące ją otaczało i wieczory upływały smutnie.

Jeden książę Ludwik Wirtemberski teraz częściej i dłużej tam przebywał.

Intrygi dworskie, na chwilę skierowane na obalenie panowania księżnej Teschen i wzniesienie pani Cosel, po zwycięstwie jej inny wzięły kierunek.

Fürstemberg, którego król w początku tych stosunków używał do nich, ustąpić musiał miejsca Vitzthumowi, odgrywającemu rolę usłużnego pośrednika. Dwa stronnictwa nieprzyjazne zaczęły się coraz jawniej zarysowywać wśród napozór sfornego dworu Augusta II-go. Staraniem było dobrego króla najtroskliwszem nie dopuścić, aby wkoło niego w zgodzie żyli z sobą ludzie. Obawiał się tego i, o ile mógł, przykładał do poróżnienia ich z sobą. Jątrzył ich naprzemiany okazywanymi jedynym łaskami szczególnymi, to dając się drugim dorozumiewać, iż mieli w tamtych nieprzyjaciół. Widok pokrzywionych i marsowo zukosa na się spoglądających twarzy cieszył go i ubezpieczał.

Jedni w ten sposób skarżyli na drugich, dowiadywał się o nadużyciach ze wszech stron i cała strategia króla polegała na podsycaniu niechęci, na uniemożliwianiu zgody.

Vitzthum, o którym wspomnieliśmy, zajmujący w sprawie pani Cosel miejsce powiernika, był, jakżeśmy mówili, szwagrem Hoyma. Rodzina ta, pochodząca z Turyngji, była już oddawna w służbie saskiej. Wielki sokolniczy, hrabia Fryderyk Vitzthum von Eckstädt, miał naówczas niespełna lat trzydzieści. Służył na dworze od pазia i od dzieciństwa przyjaźnił się z Augustem. Odbывał z nim podróże owe po Europie, w których tyle przygód i ciekawych doznał, a po upadku wielkiego kanclerza Beichlinga w roku 1703 dostał wielkie sokolnicostwo, dworski urząd, który brat kanclerza zajmował, nim go w Koenigsteinie posadzono.

Vitzthuma król lubił nad innych, może dlatego, że się go wcale nie obawiał; nie był to wcale gejusz, nie był zabiegliwy bardzo człowiek, uprzejmy, życzliwy, łagodny, usługowy, zresztą doskonały dworak i piękny bardzo mężczyzna. Szczególniej w rycerskich ćwiczeniach, ulubionych królowi, celował Vitzthum, jeździł doskonale konno, strzelał, gonił do pierścienia, a gracz był tak namiętny, iż gdyby mu wolno tylko było, grałby dzień i noc bez przerwy. Odznaczał się też nie złośliwym ale miłym łowcipem i wesołością. Mówiliśmy już, jak szlachta saska ostrożnie, ale uparcie starała się królowi uszanowaniem opierać, gdzie szło o jej przywileje. Vitzthum był tej szlachty przy dworze potajemnym i zręcznym obrońcą. Poufałość, jakiej mu król dozwalał, szczególnie przy ucztach i winie, dawała mu zręczność powiedzenia czasem skutecznego słowa, które uchodziło za żart, a w istocie było bolesną i gorzką prawdą.

Wyjawszy tę straż interesów szlacheckich, Vitzthum do niczego się nie mieszał, od intryg stronił, ambicij nie miał, a królowi służył jak przyjacielowi.

Obok i poza Vitzthumem stała siostra Hoyma, żona jego, jedna z najczynniejszych intrygantek na dworze, w którym kobiety tyle przynajmniej, jeśli nie więcej niż mężczyźni rządziły. Pani Vitzthum była naówczas jeszcze bardzo świeżą i ładną... słusznego wzrostu, jak większa część Saksonek arystokratycznych rodzin; oko miała szafirowe, płeć świeżą, nosek odrobinę zadarty i wesołość często zbytęzną, bo ją po śmiechu poznawano zdaleka. Śmiała się dziecinnym piskliwym śmiechem. Pani Vitzthum jak grą bawiła się dworem, szpiegowała przez miłość sztuki, podsłuchiwała, nosiła plotki, zastawiała sidła, rzucała ludźmi, zapalała namiętności, wzbudzała kłótnie, wadziła, godziła, a mimo to wszystko prowadziła dom, męża, gospodarstwo i interesa wybornie, i bez niej częstoby zabrakło grosza. Miała do gry namiętność taką jak mąż, ale grała ostrożnie i szczęśliwie, nabywała dobra i popychała męża, za którego musiała mieć ambicję, bo jemu na niej zbywało.

Vitzthumowie nie należeli właściwie do najpotężniejszych ulubieńców króla, przez których ręce szły wszystkie sprawy państwa; stali oni na stronie i napozór niżej od Fleminga, Fürstemberga, Pfluga i innych, niemniej jednak wiedzieli najskrytsze tajemnice, wpływali na sąd króla o ludziach i groźni być mogli nieprzyjaciółom.

Vitzthum działał jako narzędzie żony posłuszne. W początkach panowania pani Cosel stanęli też z nią w stosunkach, które obiecywały, że będą dzielić jej wstręty i przyjaźni i natchnąć ją potrafią jednemi i drugimi.

W kilka dni po przeniesieniu się Cosel do domu pod zamkiem, dwór cały uczuł, że nowa królowa nie będzie tak powolną, łzawą i mdlejącą jak księżna Teschen: nowe życie wstąpiło we wszystkich. Dumna a piękna pani głosiła się drugą żoną królewską i występowała już jak królowa.

Sam August był tylko w początkach najposłuszniejszym jej wielbicielem. W pięknej główce kobiety, którą trafił zbliżył do tronu, szczęście objawiło się upojeniem.

Zima obiecywała się być najświetniejszym z dawno pamiętnych karnawałów.

VIII

Nie zbywało ówczesnemu dworowi Augusta II na zabawnych i oryginalnych figurach, których jedynem powołaniem było króla smutek rozpędzać i nudom nie dawać przystępu do najjaśniejszego pana.

Codzienną zrana, z tak zwanego naówczas Starego Miasta, które się dziś właśnie Nowem nazywa, przejeżdżał na koniu w najpocieszniejшем ubraniu, znany od uliczników do ministrów, wszystkim mieszkańcom, kuglarz a trefniś pański Józef Fröhlich, który się tytułował nadwornym jego królewskiej mości artystą figlarzem. August w dobrym humorze będąc kiedyś, kazał nawet wybić medal na cześć jego z napisem: *Semper Fröhlich nunquam Traurig*. Fröhlich z obowiązku tak się nałożył do śmiechu, iż i drugich śmieszył i sam się śmiał od rana do wieczora.

Już sama jego postać, gdy w urzędowym stroju z własnego domu przy moście, zwanego Blazeńskim (Narrenhaus), udawał się na służbę, zdolną była najsmutniejszego rozweselić. Fröhlich był mały okrągły, rumiany, nosił się w rodzaju fraczka hanswur-

stowskiego, a takich fraków miał, z łaski króla, różnego koloru, dziewięćdziesiąt dziewięć. Na głowie ogromny śpiczasty z piórem kapelusz, z tyłu zaś nakształt klucza szambelańskiego dźwigał ogromne srebrne naczynie, mające kształt kluczowi podobny, które w istocie za dobry puhar służyć mogło, bo ważyło sześćdziesiąt uncyj. Był to podarek króla, a ile razy Fröhlich przyzwany do nocnej uczty pił, musiał pić ze swego szambelańskiego klucza.

Jako trefniś byłby znużył może jednostajną wesolnością swoją, gdyby z obrachowanym artyzmem nie miał umyślnie przeciwstawionego kontrastu w osobie niejakiego kammerkurjera barona Schmiedel, który grał rolę melancholiczną. Schmiedel i Fröhlich jako Heraklit i Demokryt nieskończone z sobą wiodąc spory, zabawiali Augusta i dwór jego. Gdy się obu wyczerpało conceptów, min i siły, na podstawkę byli trefnisie podrzędni, tak zwany Sautmagen i Leppert z Lipska. Dodajmy olbrzyma Cojanusa, dwanaście par karłów ze sławnym Hante na czele i Trammem, murzynów, albinosów... a dalecy będziemy od poznania nawet tej małuczkiej części dworu, która ku poufalej pańskiej zabawie służyła.

Słowny Kyan dowcipniś nie inną też tu grał rolę, a widzieliśmy przy pierwszej uczcie, jak król go szacował. Fröhlich był przy swej wesoloci człowiekiem roztropnym i wcale niezłym. Powoli sobie grosza ciął, żył oszczędnie, śmiał się może pocichu z tych, co się z niego głośno śmieli i wśród tego ukropu dworskiego, w którym się wiele parzyło, wychodził jakoś cało.

Rano do dnia Fröhlich w swojej jace i kapeluszu udawał się do zamku, a często bardzo późno powracał do gospodyni, która domu jego pilnowała.

Do błazeńskiej kamienicy rzadko kiedy kto za-

pukał, bo i gospodarz w niej był gościem. Dziwnie się więc wydało pannie Locie, dojrzałej jejmościance na usługach Fröhlicha, gdy jednego dnia jesieni, o brzasku prawie, bo słońce jeszcze nie było weszło, ktoś począł dobijać się do drzwi.

Nadworny kuglarz nastawił ucha; nie był jeszcze ubrany, koń nie gotów, a sądził, że przez jaki osobliwszy kaprys król, do rana się zahulawszy, przysyłał po niego. Lota, wyjrzawszy przez szybę we drzwiach, nabrała tego samego przekonania, zobaczywszy barwę dworską; w progu stał młody, słusznego wzrostu mężczyzna.

Zmierzywszy go od stóp do głów oczyma, Lota spytała, czegoby chciał.

— Chciałbym kilka słów pomówić z panem Fröhlichem — odparł przychyli.

— Czy od króla?

Na to nie było odpowiedzi.

Że się różne poselstwa tajemnicze trafiały, Lota nie śmiała odmówić przystępu i wpuściła nieznanego na górę, gdzie Fröhlich przed zwierciadłem już się w swój strój urzędowy przybierał.

Dla niego było to także dziwne zjawisko: gość czy posłaniec. Odwrócił się ku nieznanemu i natychmiast wchodząc w swą rolę, w wielkich krygach i przesadnych ukłonach powitał go jako ekscelencję. Nic mniej do ekscelencji nad tego biedaka podobnem być nie mogło: blady, zbiedzony młody człowiek stał w progu, dusząc kapelusz w rękach.

— Czem mogę służyć waszej ekscelencji? — zapytał wpółzgięty Fröhlich.

— A, panie Fröhlich — odezwał się cichym głosem przybyły — nie żartujcie sobie z biedaka... dla mnie wy prędzej będziecie ekscelencją niż ja dla was.

— He? he? — spytał Fröhlich — ja dla was; czy król was przysyła? nie!

— Nie, przychodzę sam i proszę was o chwilę rozmowy sam - na - sam!

— O audjencję? he? — podchwycił, pusząc się, Fröhlich—*donnerwetter!* czy przez sen, sam o tem nie wiedząc, nie zostałem ministrem? Na naszym dworze (cytl) wszystko być może. Ministrowie się tak gryzą, iż ich wkońcu nie stanie, a naówczas ja i waćpan możemy dostąpić tych dostojęństw. Ja sobie zawczasu ministerjum skarbu i akcyzę wymawiam.

Gdy gospodarz to mówił, na twarzy przybyłego, mimo wesołego wyzwania, ani promyk jaśniejszy nie błysnął; stał chmurny i milczący.

— Chwila rozmowy sam-na-sam? ze mną?... akorduję... W całym domu niema nikogo oprócz Loty, która gotuje śniadanie, i hausknecht'a, który konia drapie.

Siadł w krześle, rozparł się i począł udawać dyguitarza przyjmującego klienta.

Przybyły zbliżył się, nierozśmieszony wcale.

— Panie Fröhlich — rzekł, — zdziwisz się mocno gdy się dowiesz, że ja do was przychodzę w sprawie bardzo poważnej.

— A toś się o drzwi omylił!

— Nie — rzekł nieznajomy — wcale nie... widuję waćpana codzień na dworze, z twarzy jego wyczytałem, żeś dobry człowiek i serce masz ludzkie.

— Kochanie! pewnie chcesz pieniędzy pożyczyć — przerwał Fröhlich, trzepiąc rękoma — ale cię uprzedzam, że z tego nic nie będzie. Wszystkiem szafuję: radą, śmiechem, ukłonem, grzbietem, czem chcesz; ale pieniędzmi! No, nie mam. Król goły, jakże chcesz, żebym ja pieniądze miał?

— Ani mi się śniło prosić was o to.

— Al — oddychając, rzekł Fröhlich — to czegoż u licha możesz ode mnie żądać? Żebym cię sztuki jakiej nauczył? Naprzykład jak się z jednego jajka sto pięćdziesiąt łokci wstażki wyciąga?...

— I to nie — odparł przybyły.
— Szukasz mojej protekcji? — spytał Fröhlich.
— Byćby to mogło — smutnie rzekł nieznajomy
— gdy kto innej nie ma.

— To się choć do błazna udaje! — roześmiał się stary. — Ale dalipan, Schmiedel, jako baron i kamerkurjer lepiejby ci przystał; widzę z barwy, że należysz do dworu, ale akcent masz obcy. W tem niema nic dziwnego, bo tu wkrótce Sasa na saskim dworze z latarką szukać przyjdzie. Ktożes ty?

— Jestem Polak, nazywam się Rajmund Zaklika.

— Polak, więc szlachcic, to się rozumie — rzekł Fröhlich — siadajże, szanuję szlachectwo... a żem ja mieszczanin, będę stał.

— Nie żartuj, panie Fröhlich.

— Nie mogę, udławiłbym się własnym językiem, gdybym nie żartował. Ale czas krótki, czas drogi: mów, szanowny Polaku, co ci jest? choryś? ja-m nie doktor.

Jakaś chwilę Zaklika na odpowiedź się zebrać nie mógł, tak humor Fröhlicha widocznie go nękał.

— Pozwól mi pan o sobie kilka słów powiedzieć.

— Kilka? dobrze.

— Dostałem się na ten dwór wypadkiem... slyszaleś pan o mnie pewnie. Trafiło mi się nieszczęście łamać podkowy, giąć puhary i ścinać koniom łby na wzór najjaśniejszego pana... kazano mi za to wisieć przy dworze.

— Już wiem, wiem; przypominam — roześmiał się Fröhlich — nie zazdroszczę ci, kochany panie; jakże?

— Zaklika...

— Kochany panie „Unglücku” — kończył Fröhlich. — Ale któż był tak... prostodusznym, by ci mógł radzić mierzyć się z królem... Trzeba być bardzo... domyśl się... by sobie tak smutną obrać rolę.

— Od czasu jak wiszę u dworu... życie mi

obrzydło... ludzie mnie omijają, przyjaciela nie mam, opieki... nikogo...

— A wiesz, że za opiekuna i za przyjaciela mnie chcieć wybrać, to równie szczęśliwa myśł, jak łamać podkowyl! Człowiecze, gdybym mógł łamać kowadła... nie skruszyłbym słomy ze strachu, abym nie obudził zazdrości: pięknie się wykierowałaś...

— Stało się — szekł Zaklika — nie mam tu nikogo.

— I jesteś w dodatku Polakiem, gdy tu teraz imienia Polaka wymówić się nie godzi... Nie chciałbym być w twoj skórce...

— Właśnie, że mi w niej niewygodnie, myślałem że choć Fröhlich się nade mną ulituje...

Stary trefniś wielkie wytrzeszczył oczy, twarz jego pomarszczona stała się nagle poważną i smutną, założył rękę na piersiach... potem przystąpił do Zakliki, wziął go za rękę i począł mu puls macać... jakby był doktorem...

— Boję się, kochany Unglücku, czy ci się w głowie nie pomieszało... — rzekł cicho.

— Byćby to mogło! — uśmiechając się, odezwał Zaklika...

Fröhlichowi twarz się znowu wyjaśniła jakby z nałogu...

— O cóż ci idzie? — spytał.

— O to, aby mnie ze służby dworskiej najjaśniejszy pan uwolnić raczył...

— O to najłatwiej — rzekł Fröhlich pocichu, — zrób głupstwo jakie, postawią rusztowania na Nowym Rynku i będziesz dyndał. Jest to sposób krótki, łatwy i skuteczny.

— Na to jeszcze czas — odparł Zaklika.

— Cóż myślisz robić, gdy cię uwolnią? powleciesz się do swego kraju z niedźwiedziami borykać?

— Nie, zostanę tu.

— Czy ci jaka Drezdenka wpadła w oko?

Zaklika mocno się zarumienił...

— Nie — rzekł — mogę dawać lekcje fechtów i konnej jazdy, mogę się gdzie do jakiego wojska zaciągnąć...

— Czy mrzesz głodem na dworze?

— Nie, mamy wszystkiego dosyta...

— Czy ci nie płacą?

— Owszem...

— Dlaczegoż ci źle?...

Zaklika się zmieszał.

— Nie mam tu co robić, jestem niepotrzebny...

— Panie Unglücku, ja cię nie rozumiem, chcesz czegoś nienaturalnego: masz chleb i spokój a szukasz biedy...

— Może — odparł krótko Zaklika — ale się wszystko znudzi...

— Szczególniej, gdy komu dobrze i nie ma nic do roboty — dokończył Fröhlich. — Jednakże ja w tem wszystkim nie widzę, jakbym ci mógł być pomocnym?

— Najłatwiej... stoję często przy drzwiach pomiędzy pańskim dworem; lada conceptem zwrócić możesz na mnie uwagę, a pod dobrą chwilę, król miewa różne fantazje.

— A jeśliby mu przyszła taka, żeby cię kazał powiesić? — spytał trefniś.

— Waćpanbyś mnie obronił...

Fröhlich przeszedł się po pokoju, włożywszy spiżasty swój kapelusz z piórem na głowę, a ręce w kieszenie.

— *Donnerwetter!* — zawołał — zaczynam się do rozumiewać po raz pierwszy, że ja tu jestem potęgą, kiedy się ludzie zgłaszają moją protekcję. Waćpan mi otworzyłeś oczy! Przez samą wdzięczność cośbym rad uczynić dla niego... Któż wie... mówią,

ze Kyan zostanie komendantem Koenigsteinu, ja mogę być przynajmniej kasnodzieją nadwornym lub radcą w konsystorzu! Zaczynam nabierać ambicji...

I upadłszy w krzesło, Fröhlich śmiać się począł... popatrzał z politowaniem na Zaklikę...

— Świat przewrócony! *donnerwetter!* szlachcie polski oddaje się w protekcję trefnisa... a Szwedzi, którzy żyją śledziami, biją Sasów, którzy się karmią szwininą!

Plasnął w ręce... Na to hasło wpadła Lota, stając w progu z polewką winną na talerzu...

Fröhlich dał komicznie znak Zaklice, aby zamilkł i skłonił mu się jak minister, który audjencję zamyka... Wejrzeniem pożegnawszy go, Zaklika, smutny, spuścił się ze schodów.

Dziwaczną zaprawdę powziął był myśl udania się pod opiekę wyśmiewanego trefnisia, lecz konieczność i rozpacz zmusiły go do tego. Biedny chłopak śmiertelnie był znużony swą rolą komparsa na dworze... snulo mu się po głowie, że swobodny, mógłby może inną odegrać... Sprawa Hoymowej, która nagle zmieniła się w pania Cosel, ściągnęła go z przechadzek od Laubegastu do miasta... Śnił, niezrażony niczem, że mógłby jako dworzanin zostać przyjęty do domu... tej, w której czarne oczy patrzeć było dlań największem szczęściem.

Tak dziwaczne miłości, jak ta, która Zaklikę opanowała, rzadko się na świecie trafiają. Rajmuś nie pragnął nic, tylko patrzeć na swe bóstwo. Nie śniło mu się nigdy nawet o żadnem większem szczęściu nad to... Chciał być jej stróżem, wartą, niewidzialnym obrońcą... domyślał się, że musiała mieć nieprzyjaciół... lękał się o nią, pragnął zyskać jej zaufanie i całego siebie, choćby życie, oddać na jej usługi i ofiarę. Chłopak był dziwnego temperamentu: powolny napozór, ale upartej i niezłomnej

woli. Śmiał się sam ze swej miłości dla tej, która się zwała królową, a uczucia tego zgasić w sobie nie mógł. Szczęśliwe czasy w Laubegast, gdy ukryty, mógł ją śledzić oczyma i odgadywać jej myśli, teraz mu rajem się wydawały. W Dreźnie twarz pięknej królowej rzadko miał szczęście dojrzeć na chwilę... Widywał ją przejeżdżającą konno z królem, wsiadającą i wysiadającą z powozu, w teatrze, jeśli się potrafił między dworzan gdzie wcisnąć: tego wszystkiego było mu mało. Roił, że się tam kiedyś musi dostać do jej domu. To był dlań najwyższy szczyt szczęścia, jedyne ostatnie pragnienie... Dla dostąpienia go byłby nietylko trefnisiowi się pokłonił, ale daleko większe zniósł upokorzenie...

Miłość biednego chłopca dla tej idealnej piękności nic zresztą nie ma w sobie tak dziwnego; daleko osobliwszem mogłoby się to wydać, że Cosel, która go parę razy widziała zdaleka, Cosel z całą swą dumą, że świeżą miłością dla piękного Augusta, w szczęściu, które ją upajało, parę razy zadała sobie pytanie: Co też z tym dziwakiem z Laubegastu się stało? Parę razy oczyma go szukała w tłumie. Z jej strony była to tylko litość, ale i litość w tych istotach szczęśliwych, które się poją ambrosją życia, jest bardzo niezwykajnem uczuciem.

Cosel nie była wcale czułą: była namiętną, energiczną, zuchwałą, ale serce jej niełatwo się litością poryszyć dawało. Przecież ten pokorny szaleniec, co po szyję zanurzał się w wodę, aby na nią popatrzeć, przypominał się jej mimowolnie. Pochlebiali to jej piękności. Uśmiechała się rada temu wspomnieniu, o którym nigdy nie powiedziała słowa nikomu.

Myliłby się, ktoby sądził, że rozmiłowany August II dla pięknej Cosel wyrzekł się swych nocnych uczt z przyjaciół. Z wielu rachub i względów by-

ły one dlań potrzebą i nalogiem w dodatku. Wśród upojonych dworzan siało często królewskie słowo niezgodę, która była panowania narzędziem; a zrzeczne badanie dobywało z rozweselonych wyznania, na któreby się trzeźwi nie zdobyli. Jak z Hoyma udało się wycisnąć wizerunek jego żony, tak z innych niejeden skrywany grzeszek król wyciągnął. Dnia tego znowu wieczorem była hulanka na zamku. August był teraz w najlepszem humorze, myślał o tem, jak swe bóstwo otoczyć Olimpem wspałałości, zbytku, rozkoszy, zabawy. Sprawy poważniejsze zabierały część dnia, wieczorem pijano.

Hoym, który został przy akcyzie, przy ministerstwie, przy pięćdziesięciu tysiącach talarów, którym dobry król otarł łzy jego po stracie żony, należał znowu do wszystkich biesiad nocnych. Hoym, był potrzebny, gdyż na wszystko i nadewszystko potrzebne były pieniądze, a on jeden dostarczać ich umiał.

Wyczerpały się środki wyciśnięcia ich ze zubożonego kraju, umysł jego zdobywał się na wyszukiwanie nadzwyczajnych źródeł dochodów. Opodatkowywano, co nigdy dawniej nie płaciło, ściągano grosz cudownemi wymysły, król nagradzał hojnie tych, co go mł dostarczali.

Lecz najgenialniejszy nawet umysł wyczerpuje się przy nieustannie powtarzanych wymaganiach, uciekać się więc trzeba było do środków gwałtownych i hazardowych. Upadek wielkiego kanclerza, do którego i polityczne przyczyniły się wypadki, w znacznej części spowodowany był rozgłosem o niezmiernych zebranych przezeń bogactwach. Królowi zrobiono nadzieję miljonowego po nim spadku. Tymczasem skończyło się to na pałacu, darowanym księżnie Teschen, na kilku wioskach i na pół miljonie talarów, które był królowi nie-

gdyś pożyczył, a tych mu już oddawać nie było wcale potrzeby. Reszty półtoramiljonowej fortuny kanclerza rozdzielili między siebie jego nieprzyjaciele, Fürstemberg, Pilug, może Flemming. Król, co się wiele spodziewał, nic nie dostał.

Drugim środkiem dostarczenia królowi sum bieżących, jakich jego fantazje wymagały, było urojenie ówczesne, powszechną będące chorobą: wiara w tajemnicę robienia złota. August, jak inni panujący, na alchemję chorował. Nie powątpiewano bynajmniej, że istniała cudowna tynktura, mająca siłę przerabiania wszystkich kruszców na złoto, a przerabiano złoto prawdziwe na dymy i popioły.

Kanclerz Beichling wierzył, jak wszyscy marzyciele, w to, że się złota w retorcie dorobić można, i on i wielu innych karmili w Augustie II myśl tę, że znajdą człowieka, co mu będzie w garnuszku smażył miliony, tak nieodbitcie do szczęścia potrzebne.

Na dworze przychodziły chwile zapału do alchemji, w których nie mówiono o niczem, prócz o tynkturze i robieniu złota. Miał pracownię alchemiczną kanclerz, miał drugą Fürstemberg, do której król sam przychodził, mieli je i inni miłośnicy wielkiego dzieła.

Chodziły podania o różnych szczęśliwych mędracach, którzy tynkturę permutującą kruszce posiadały.

Jest rzeczą pewną, iż Beichling nie byłby obalonym, bo królowi pieniędzy dostarczać umiał, gdyby Fürstemberg nie mówił Augustowi, że znajdzie człowieka, który mu złoto będzie *robił*, i zrobi go daleko więcej, niż kanclerz mógł z kraju wycisnąć.

Tym mędrce, na którego Fürstemberg rachował, był prosty aptekarczyk z Berlina, którego początkowa historia dość jest ciemną, ale późniejsza

najlepiej dowodzi, że złota wcale robić nie umiał, choć tracił je z przyjemnością wielką i gustem. Na lat kilka przed temi wypadkami Jan Fryderyk Böttiger, Sas rodem ze Schleiz, zabawiał się w aptecę w Berlinie fabrykacją tynktury, czyli, jak inni chcą, miał on sobie daną gotową przez jakiegoś awanturnika, zowiącego się Laskarysem i archimandrytą klasztoru greckiego w Mitylenie. Fryderyk I pruski rad był sobie tego szacownego złotoroba przyswoić i naturalnie do klatki zamknąć, żeby tajemnicę sam tylko mógł posiadać. Böttiger uszedł do Saksonji, Prusy domagały się wydania, ale i król August potrzebował pieniędzy: schwyciono więc drogiego człowieka do Drezna.

Fürstemberg sam pracował z nim nad tynkturą i wielkiem dzieleni, a król najmocniej wierzył, iż lada dzień złoto się z tygla posypie.

Głaskano, pojono, obsypywano Böttigera obietnicami i łaskami, ale trzymano go pod strażą. Upływały lata, wywrócono z pomocą tej nadziei tynktury Beichlinga... tynktura nie mogła się jakoś usmażyć. Posyłano królowi do Warszawy merkurjusz i różne ingredjencje gła zrobienia złota, do którego trzeba się było przygotowywać modlitwą, pobożnością i czystością ducha; król August spowiadał się, siadał nad tygłem i nic nie wysmażył. Szczęściem pies sflukł merkurjusz przysłany przez Böttigera do Warszawy, użyto innego i niepowodzenie roboty przypisać się dało psu, nie ludziom. Böttiger siedział ciągle straszliwie znękany, jak w więzieniu u Fürstemberga na zamku, potem w forcie na Koenigsteinie, gdzie mało nie oszalał, i znowu potem na zamku... przy wszelkich wygodach... a no, złota nie robił. Cała ta historia nieszczęśliwego alchemisty należy do charakterystyki wieku. Ten więziony adept, tynktura, tygłe, w których ma

się wytopić złoto na wojny i maskarady, król godzinami pracy „po spowiedzi” z Fürstembergim nad tynkturą... a potem odpoczywający u księżnej Teschen — są to nieoszacowane rysy obrazu wieku...

Böttiger korespondował z królem, i król oświadczał się dla niego z miłością wielką. Böttiger w więzieniu dawał bale, obiady i przez trzy lata ostatnie kosztował króla czterdzieści tysięcy talarów!

Gdy Cosel na tron po księżnie Teschen wstąpiła, zastała sławnego alchemika znowu na zamku, w baszcie, na tarasie, otoczonej ogródkiem... zajętego ostatecznem wykończeniem formuły złotodajnej. Oczekiwanie było wielkie, nikt nie wątpił, że Böttiger wreszcie tajemnicę odkryje... Szczególna rzecz, zastrzegął on sobie, ażeby nie spożytkowano złe jego wynalazku: „aby pieniędzy nie obracano na zbytki, na grzeszne czyny, na niegodziwą rozrzutność, na niepotrzebne i niesłuszne wojny, i tego rodzaju dzieła nieprawości”... Powiadał, że posiadającemu *arcanum*, „nie godziło się służyć panu, któryby był publicznym jawno grzesznikiem i małżeńską łamał wiarę lub niepotrzebnie krew rozlewał”...

Zdaje się, że tym sposobem obwarowując robienie samo złota, aptekarczyk szukał sposobu, jakimby się z niepowodzenia uniewinnił...

W dniu tym, w którym Zaklika oddał się pod opiekę Fröhlicha, właśnie wieczorem przypuszczonym był „nadworny kuglarz” do zabawiania towarzysztwa... Leżało mu na sercu, by młodzieńcowi usłużyć, który w nim nadzieję pokładał... łamał nad tem głowę, ale nie był w swej roli. Umiał dla siebie coś wyzyskać, dla drugich nigdy o nic nie prosił. Czuł, że mu w tem z ręczności brakło... Król przyjmował u pani Cosel Fürstemburga, Vitzthuma i kilku zwykłych towarzyszy wieczornych. Pani Rouss, Vitzthum i Hülchen składały dwór nowej pani.

Po wieczerzy Fröhlich musiał pokazywać sztuki... Śmiano się do rozpuku... Między innemi udawał alchemika, który miał robić złoto i przyniósł w tyglu trochę śmiecia. Z tego król August się nie roześmiał i owszem, pochmurną stała się twarz jego. Cosel już coś zasłyszała o Böttigerze, jęła więc rozpytywać pocichu. Nie rad się król przyznawał do tej tajemniczej słabości, chociaż naówczas podzieliali ją z nim najuczeńsi ludzie wieku.

— Fröhlichowi — szepnął król — wolno się śmiać nawet ze mnie... a więc i z rzeczy tak poważnej, jak tajemnica robienia złota. Ten, który ją niezawodnie posiada, ale dotąd nam odkryć jej nie chce, o mało nie wyrwał się z rąk naszych... Udało mu się wymknąć na ziemie cesarskie i ledwieśmy go stamtąd wydobyć potrafili... Przekona się wkońcu, że posłusznym być musi... trzymamy go pod silną strażą...

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Fröhlich, — dopóki przy nim niema tak silnego człowieka, któryby każdego czasu mógł go pochwycić i któregooby się obawiać musiał, niema też pewności, że nie zbiegnie. Najjaśniejszy Pan sambyś był dlań najlepszym stróżem lub człowiek, coby miał równą siłę Herkulesową... ale takiego drugiego na świecie niema...

— Mylisz się Fröhlich — rzekł August — był lub jest na moim dworze człowiek prawie jak ja silny...

— Nigdy o nim nie słyszałem!

W ten sposób August przypomniał sobie Zaklikę, którego zupełnie z oczów był stracił. Nazajutrz kazano go szukać i znaleziono...

Biedny Rajmuś korzystał z tej zrzeczności, by króla prosić o uwolnienie od służby... August potrząsał głową.

— Nie uwolnię cię, bo mi jesteś potrzebny — zawołał — mam skarb, który chcę twej sile i pocziwo-

ści powierzyć; pójdziesz na dwór pani Cosel... będziesz czuwał nad jej bezpieczeństwem... jeździł za nią, chodził i strzegł, choćby życie przyszło ważyć, aby włos z głowy jej nie spadł. ①

Zaklika uszom nie wierzył... zarumienił się, zamilkł i pokłonił, nie pytając więcej. Los usłużył mu lepiej niż Fröhlich.

Pani Cosel zdumiała się i zaczerwieniła, zobaczywszy go w liczbie ludzi swojego dworu... Zrazu oburzyło ją to, ale dowiedziawszy się, że był przysłanym przez króla, zmilczała. Król tegoż wieczora wytłumaczył, dlaczego przysłał jej Zaklikę... Na ustach prawie miała piękna pani swą przygodę w Laubegastie, ale nie powiedziała jej królowi... i Zaklika pozostął na swem miejscu.

Fröhlich, zobaczywszy go w kilka dni potem, tłumaczył się przed nim, iż ma się nie udało dotąd uwolnić go ze służby...

— Na miłość Boga! panie Fröhlich — zawołał Zaklika, — ja już zostaję, gdzie jestem, i proszę się o mnie nie troszczyć.

IX

Któżby się wpośród tych wszystkich płochych zabaw i sieci intryg domyślić mógł nawet odgrywającego dramatu, w którym August II tak nieszczęśliwą i smutną grał rolę? Były to właśnie lata najazdu szwedzkiego na Polskę, lata zwycięstw Karola XII, a miłostki króla pocieszały go po przegranych bitwach na chwiejącem się tronie. Wśród tych nieszczęść czarne oczy hrabiny (mianowana już była nią przez cesarza Józefa I) pocieszały Augusta... sypiącego krociami na budowanie pałacu dla ulubienicy, gdy wojsk nie było czem utrzymać.

Wśród szalów i hulańek walił się ów gmach

dwóch państw, których gruzy herkulesowych ramion króla ugiąć ani humoru jego zachmurzyć nie mogły... Saksonja wycieńczała się na utrzymanie Polski, której zrzeczenie się ostateczne z każdą chwilą było konieczniejszem...

Pomiędzy dwiema bitwami wydawano bale i maskarady, król wracał do Drezna i szukał w tych szatach zapomnienia swych strat i upokorzeń...

Przy muzyce balowej dawano instrukcje tajnym posłom, szpiegom i intrygantom, którzy na rzecz Augusta starali się napróżno sprzymierzeńców pozyskać. Nadzwyczajna siła owego saskiego Herkulesa nie objawiała się najglówniej w kręconych sztabach i łamanych podkowach; największą siłę okazywał pewnie, mogąc podolać nieszczęściom, które nań spadały, intrygom, ucztom, płochym miłostkom i zamętowi, jaki go otaczał... Z pola bitwy powracał do Cosel, od Cosel uciekał do gabinetu, gdzie się tajne krzyżowały depesze, balowano wieczorem, uczłowano nocą. Aby długie lata życia takiemu bez chwili spoczynku starczyć duchem i ciałem, trzeba było niechybnie wyjątkowych sił, jakimi August był obdarzony.

Z pogodną zawsze twarzą okazywał się zdziwionym tłumom, i największe niepowodzenie nie zarysowało jednej na czole jego zmarszczki.

Panowanie pięknej Cosel, które miało trwać krótko, zanosło się na długie lata. Hrabina uważała się, otrzymawszy od króla obietnicę ożenienia na piśmie, za drugą, za prawdziwą jego żonę. Postępowanie jej słoowało się do tego... Na jedną chwilę prawie nie odstępowała Augusta, była z nim zawsze i wszędzie, gotowa w podróż i na wojnę. Żadne niebezpieczeństwo jej nie odstraszało...

Wpředce umiała poznać charakter Augusta i dojrzeć sieci snujących się intryg dokoła; ze spo-

kojem umysłu i wesołością niezachwianą niczem bawiła go, rozrywała, rządziła nim i z każdym dniem większą uzyskiwała władzę.

„Jawnem wkrótce było dla wszystkich, iż z Cosel wojować nikt nie mógł, ani pomyśleć przeciw niej działać. Jeśli płochy król na chwilę zapomnieć o niej potrafił i ostygł oddaleniem, Cosel umiała przyspieszyć spotkanie i w kilka godzin władzę swą dawną odzyskać... Piękność jej szczęściem zdawała się spotęgowaną. Napróżno oczy zazdrośnych kobiet śledziły w niej zmiany, znużenia, przekwit; jakby nieśmiertelną obdarzona młodością, kwitła coraz piękniejsza.

W następnym roku zaraz król obok zamku kazał wznieść pałac dla hrabiny. Było to cudo i arcydzieło... Zwano go pałacem czterech pór roku. Na każdą z nich osobne przeznaczono tu pokoje: chłodne na lato, ciepłe, wesołe i słoneczne na zimę... Pierwsze z nich ubrano w marmury, drugie wysłano kobiercami. Sprzęty i ściany świeciły od złota, chińskich lak, jedwabów, koronek, co tylko najwykwintniejszego i najdroższego znano naówczas w Europie. Wojsko było niepłatne, lecz pałac cudowny...

Świetnym balem otwarły się jego podwoje, a Cosel, okryta brylantami, zwycięska, piękna jak bogini, białą rękę podała temu na znak wdzięczności, którego mężem pocichu zwała. Płochy August, choć sobie zawsze pewnych słabostek pozwalał, w Gosel był najmocniej zakochany... Czarem płonęły jej oczy, a cudzoziemcy, co ją na szczycie chwały i wielkości widzieli wówczas, z zachwytem mówili o niej.

Z niezmierną zręcznością Cosel rozpościerała swą władzę, jednała przyjaciół, zawiązywała stosunki; lecz nie mogła uniknąć obudzenia niechęci,

zazdrości, obawy w ludziach, którzy wszechmoc jej trwożyć się mieli prawo... Chwila działania przeciw tej, którą wprowadzono na tron, lękając się spokojnej i łagodnej księżny Teschen, nie wybiła jeszcze...

Każdy dzień nowym był dla niej triumfem... Napróżno duchowieństwo, zgorszone tem jawnem króla przywiązaniem, poczęło z namowy niektórych dworaków, grzmieć z kazalnicy przeciwko pięknej Betsabe... Gerber, sławny naówczas kaznodzieja, jednego dnia odmalował ją tak wiernie ludowi, iż szmer się wszczął w kościele, w którym przebrzmiewało jej imię.

Przez cały dzień nie mówiono w mieście, tylko o Cosel Betsabe... Wieczorem doniesiono królewskiej ulubienicy o napaści kaznodziei. August, przychodząc do niej wesół, zaczął ją we łzach...

— Co ci jest, moje śliczne bóstwo? — zawołał chwytając ją za rękę.

— Sprawiedliwości królu! — zaczęła, łkając i zanosząc się od płaczu — mówisz, że mnie kochasz... Gdybym miała twe serce, broniłbyś nieszczęśliwej... Publicznie obelgami mnie obrzucają...

— Cóż się stało? począł król niespokojny.

— Żądam ukarania Gerbera! — trzeba przykładu przeciwko zuchwałstwu, które nic, nawet korony poszanować nie umie.

Rzuciła się na kolana przed panem.

— Gerber z kazalnicy opisał mnie, jako Betsabę...

Król się uśmiechnął.

— Ja nią nie jestem, ja nią być nie chcę! ja-m prawdziwą żoną twoją, panie mój! — wołała Anna, obejmując go — ukarz go, uczyn przykład...

Na ten raz August nie wziął do serca urazy pani Cosel.

-- Kapłan ma jedną w tygodniu godzinę — rzekł, — w której mu wszystko, co chce, mówić wolno: ja przeciw niemu nic nie mogę. Gdyby zeszedłszy z ambony, szepnął jedno słowo, byłby ukarany niechybnie... Tam, miejsce go broni...

Gerber pozostał nieposkromionym, jednakże więcej historii o Betsabie nie powtarzał...

Wśród największych klęsk, jakimi były odznaczone te lata, rozwijała się owa miłość królewska... Dziki Karol XII z ostrzyżoną krótko głową, w ogromnych butach za kolana, żołnierz surowy i bezlitosny, niesprawiedliwością jakąś losu gnębił pięknego króla w koronkach, aksamitach, harcującego pod złocistą zbroją przeciw niemu. Opowiadano o nim bajeczne dzieje... August słuchał i milczał. Gwałtem pędzone do pułków gromady Sasów, dawały się bić i rozpierzchały... W Polsce, mimo Flemmingów, Przebendowskich i Dąbskich, słabł urok króla najwspanialszego w Europie, który z zaciętymi usty myślał tylko, jakby kość swą całą z niebezpiecznej gry wycofać... Dawna kochanka pana, hrabina Königsmark, wysłana w potajemnem poselstwie, nic dokazać nie mogła... Karol XII mówić z nią i z nikim nie chciał...

Szczęście z każdym dniem opuszczało Augusta II... Böttiger złota nie mógł zrobić, Hoym go dostarczyć, a Cosel milionów potrzebowała. Ludzie zbiegali w góry i do wojska się zaciągać nie chcieli... a Gerberowie z ambony krzyczeli przeciw rabunkowi ludzi i gwałtom...

Szlachta z największą w świecie pokorą nie chciała się ze skóry dać odzierać...

Często biedny król musiał być w bardzo złym humorze... Trwało to jednak krótko, Cosel się uśmiechała... wesołość wracała na pańskie oblicze...

Wieczorem eżtóry części świata tańczyły ka-

dryle w pałacu czterech pór roku... August z Cosel Azję przedstawiali... Dawne przyjaciółki pięknej pani, które spodziewały się przed nią panować i rządzić, wszystkie prędko bardzo podejrzanemi się jej stały, potem nienawistnemi. Hrabina Reuss, Hülchen, nawet zręczna Vitzthum... dostały odprawę... Cosel nie chciała sprzymierzeńców, nie potrzebowała ich, czuła się silną i silniejszą nad wszystkich...

Strach ogarniał dwór cały...

Jeden tylko Vitzthum pozostał w łaskach u pana, w łaskach u pani; Vitzthum, który nie zajmował się polityką, nie dobijał się urzędów, a króla kochał jak brata.

Lata biegly niepostrzeżone, pełne mnogich przygód, niepowstrzymane w pędzie... Fortuna, której zmiany spodziewano się co chwila, która powinna się była znużyć prześladowaniem najwspanialszego z monarchów, nie dawała mu chwili pokoju... Szwed zwyciężał, gnał, pędził i groził już zrzuceniem z tronu... August bronił się, bolał, bawił i przeciwności losu zalewał wesołością i winem... Pocichu intrygowano.

Łowy, biesiady, maskarady, bale, teatr... wszystko nakoniec przerwała wieść... o zbliżających się do Saksonji Szwedach. Karol XII gnał nieprzyjaciela aż do jego gniazda. Popłoch stał się straszliwy.

Po przegranej pod Frauenstadt, zjawiały się luźne gromady rozpierchłych zbiegów, które chwytało, wieszano i strzelano za niedopełnienie obowiązków... Nieład opanował wszystko... Dnia pierwszego września Szwedzi pokazali się w Saksonji... August nakazał mieszkańcom z dobytkiem chronić się w góry, na Śląsk, do Czech, ale już było za późno. Karol XII we dwadzieścia tysięcy ludzi wtargnął, zapowiadając bezpieczeństwo życia i mie-

a... Bronić się nie było podobna, musiano kar-
ć... Szwedzi rozleli się po całym kraju, garstka
zostałych wojsk Augusta ścigana, uchodziła aż
do Wüzburg. Drezno, gdzie dowodził Sindendorf,
i Herdze Königstein i Sonnenstein starały się utrzy-
ać i miały załogi saskie.

Z Karolem razem nowy król polski Stanisław
Leszczyński przybył do Saksonji... Z Drezna po-
chodziło, co żyło... królowa do rodziny w Bey-
uth, matka jej z wnukiem do Magdeburga, a póź-
niej do Danji. Lipsk ze strachu łupieży wypłynął
i stał się pustynią; wywieziono towary, a sam
transport beczki złota kosztował. Dopiero za-
wieszenie Karola XII dozwoliło jarmark Święto-
chalski otworzyć.

Karol zwołał sejmik saski do Lipska, aby z nie-
kontrybucję wycisnąć. Szlachta, chcąc się od
niej uwolnić, przedstawiła królowi szwedzkiemu,
oprócz obowiązku stawienia się z koniem na woj-
nę, innych ciężarów nie była obowiązana ponosić.
— A gdzieście byli z waszemi rycerskimi
siłami, kiedy ja wchodziłem? — spytał Karol XII. —
aby szlachta swój obowiązek spełniła, mnieby
nie było. Gdy na dworze ucztować trzeba i hu-
ć, nie brak ani jednego szlachcica, a gdy za kraj
płacić, siedzą w domu... Tylko od was, panowie
szlachta, żądam kontrybucji; możecie ją sobie wziąć,
jeśli chcecie... ale inni będą wolni...

Po zrzeczeniu się zupełnem korony polskiej na
rzecz Leszczyńskiego, podpisany został traktat al-
tstański 1706 roku, a tymczasem w Polsce się
walczyło... i August nie przyznawał się do tego,
nie podpisał... Udawał, że wysłani dla zawarcia
traktatów, Imhof i Pfingsten przekroczyli dane im
pełnomocnictwo i, ratując honor swój, zasądził ich
więzienia...

August, który w istocie pokój ten, ocalając resztki, zawrzeć musiał, zapierał się go potem zupełnie, gdyż w świecie surowo go bardzo sędzono; upadek był straszny, a wydanie Patkula dobijało go w oczach wszystkich... August sam czuł, że dźwignąć się będzie bardzo trudno, i głuszył w sobie wspomnienie tego haniebnego ratunku...

Mimo obietnicy opuszczenia Saksonji po zawarciu pokoju, Szwedzi przez rok cały pozostali tutaj...

Triumfujący Karol XII przyjmował tu posłów wszystkich państw niemieckich i Anglii. August, który na placu boju zrazu był w Polsce, i po wygranej pod Kaliszem ożywiony nadzieją, że się poprawią sprawy, zwoływał znowu szlachtę, wkrótce jednak zmuszony był opuścić Warszawę, Kraków i wracać do Saksonji.

Pani Cosel, która zrazu towarzyszyła królowi w bitwach, obozie, wśród niewygód kampanji, poprzedziła go do Drezna. Taka była wola króla. Zaklinała go, aby jej dozwolił przebrać się po męsku i walczyć przy swym boku. Na to August odparł grzecznie, iż z dwóch najdroższych mu rzeczy: korony i Cosel, chce choć jedną ocalić i widzieć bezpieczną.

Zaklice, który na krok nie odstępował swej pani, powierzył król odprowadzenie jej do Drezna... Rajmuś nie spał, nie jadł i z zapalem zakochanego spełniał więcej własne swe natchnienia niż rozkazy. Cosel rzadko nań nawet okiem rzuciła. Chora i smutna wracała do stolicy. Lecz raz tu przybywszy chwyciła władze w białe rączki i, silna królewską miłością, rządzić się poczęła jak królowa, wbrew Fürstembergom, namiestnikom i wszystkim, którym król jakieś powierzył zwierzchnictwo... Pomnożyło to liczbę jej nieprzyjaciół.

Wśród wojny i krwawych scen jej, August nie przestał być sobą; miłość zawsze w jego życiu zajmowała najważniejsze miejsce... Tracił królestwa, ale zdobywał serca...

Panowanie hrabiny Cosel urozmaicało się epizodami, wśród szczęku broni odegrywanymi. Namętność do niej żyła jeszcze w sercu króla, lecz ile razy się od niej oddalił, wracał do płochych swych obyczajów. Biedny, zwyciężony, teraz więcej niż kiedykolwiek potrzebował się bawić, a dworacy, dla których Cosel była straszną, sprzyjali chętnie wszystkiemu, co go dla niej oziębiać mogło...

Odsunięty przez nią Fürstemberg, hrabina Reuss i cała klika nierzy,aciół, szukała już środków, jakby władzę Cosel podkopać i obalić ją mogli. Anna ufała nazbyt w swe wdzięki i przewagę, by się o to troszczyła zbytnio. Donoszącym jej o tem, odpowiadała niedowierzającym uśmiechem... Węzeł, który ją łączył z królem, wzmocniło przyjście na świat dwóch córek... Dumna pani mówiła sobie, iż drugiej jej podobnej August znaleźć nie może: ona jedna mogła podzielać wszystkie jego zabawy i nie wzdrygnąć się ani igrzysk, ani strzałów, ani szalonej jazdy, ani obozowań pod gołym niebem...

A jednak już w czasie pobytu w Warszawie serce jej mówiło nienadaremnie, że została zdradzoną. Król, wykradając się przed nią, zawiązał był stosunek z córką francuskiej kupcowej, do której sklepiku na wino uczęszczali oficerowie... Anna groziła, dowiedziawszy się o tem, królowi, że mu z pistoletu w łeb wypali; król śmiał się, całował jej rączki i przebłagać potrafił. W istocie mimo tych zalotów kochał ją, ze wszystkich ulubienic tronu była mu najmilsza; ona jedna bawić go nieustannie umiała... z nią jedną był szczęśliwym!

Niespokojna o króla, wróciwszy do Drezna, Co-

sel pocieszała się tem jedynie, że otoczona własnym dworem wielbicieli, na których jej nigdy nie zbywało, choć się z nich wyśmiewała nielitościwie, dokuczała wymaganiami swemi namiestnikowi Fürstembergowi... Wojna, wydatki, zniszczenie kraju, stracona korona, nie zmieniły bynajmniej życia Cosel, nie zmniejszyły zbytków... Utrzymywano po królewski hrabinę, pieściono Böttigera, który lada dzień miał zrobić złoto. Fürstemberg jeździł otoczony gwardją, śpiewacy i kapela włoska kosztowały tysiące, a tymczasem Karol XII zajmował Saksonję... i Patkula wydawano na śmierć męczeńską.

August wśród tych klęsk z wypogodzoną twarzą grał rolę półboga.

Wśród szczeru oręża, podpisawszy traktat, hańbę swą, August II... powrócił do stolicy; a zaledwie powozy stanęły w dziedzińcu zamkowym, wprost udał się go pałacu hrabiny Cosel.

U drzwi jej apartamentu zastał wiernego Zaklikę, który, wsparty na poręczy krzesła, w głębokiej zadumie był zatopiony... Ujrawszy króla, Rajmuś się porwał, wstrzymując Augusta.

— Najjaśniejszy panie! hrabina chora... lekarz co chwila spodziewa się... przyjscia na świat...

Zlekka odepchnawszy go, król wszedł... W pokojach głęboka panowała cisza... U drzwi sypialni usłyszał August płacz dziecięcia.

Cosel, biała jak marmur, wysiłona cierpieniem, nie mogąc przemówić słowa, wyciągnęła obie ręce, wskazując mu dziecko, które staruszka trzymała na ręku. Król wziął je i pocałował, zowiąc swoim... Potem przystąpił do łóża i usiadł, czoło kryjąc w rękach...

— Anno — rzekł, — świat mną wzgardzi i ty mnie kochać nie będziesz... Szczęście opuściło Augusta, jestem zwyciężony... pobity... wyzuty ze wszystkiego.

— Augustcie — z płaczem odezwała się Anna, ręce łamiąc, — biednego i nieszczęśliwego, gdyby był kajdanami obciążony, mocniej jeszcze kochać będę...

— Al potrzebuję tej pociechy... — dodał król ponuro — nieprzyjaciel aż tu mnie ściga, sprzymierzeńcy są bezsilni... Zwycięzcy nikczemnie kłania się świat cały... on tu panuje, nie ja... Jestem najnieszczęśliwszym z monarchów...

Na takich żalach zbiegła godzina pierwsza pobytu w Dreźnie, chora potrzebowała spoczynku, królowi go dać nie mogli już zbiegający się ze wsząd wojskowi dowódcy i urzędnicy... W korytarzu, wiodącym do pałacu czterech pór roku, zastał ich: Flemminga, namiestnika Fürstemberga, Pfluga, Hoyma i całą gromadę, przerażonych kłeskami, które na Saksonję spadały... Otoczono go kołem. Wszyscy szukali w twarzy jego oznak bólesci i zniekania: król był tylko nieco zmęczony i znudzony. Ani postawa, ani wejrzenie nie zdradzały nieszczęścia, jakiego doznawał... Egoizm w nim głuszył wszystko... dopóki sam czuł się całym, nie bolało go nic... nie rumienił się niczem...

Dnia 15 grudnia 1706 roku przybył August do Dreżna... nazajutrz zniknął... Samotrzcę z Pflugiem i jednym sługą był już konno w Lipsku... trzeciego dnia jechał do Karola XII, pewien, że jasnością oblicza i wielkością swą na niezbłaganym Szwedzie wyrobi lepsze pokoju warunki.

Dowiedziawszy się, iż król saski jedzie doń, Karol XII chciał być grzecznym i wyjechał przeciwko niemu... Dwaj królowie rozminęli się w drodze... August przybywszy do Günthersdorf, gdzie stał hrabia Piper, dowiedział się, że w Altrandstadt (o pół godziny drogi) króla szwedzkiego nie było. Dziwnie wydać się musiał dwór i obóz suro-

wego, postrzyżonego Karola XII ufryzowanemu Augustowi...

Spotkali się dwaj monarchowie na schodach. Nigdy może dwa charaktery z sobą sprzeczne wyraziście się w postaciach nie malowały. Karol XII wyglądał na purytanina; Sas na dworaka Ludwika XIV. Zjadli wrogowie przywitani się z wielką serdecznością. U drzwi pokoju wszczęły się ceremonie, kto ma wniść przodem; kłaniali się oba długo. Karol XII puścił pobitego przed sobą. Nastąpiły najczulsze pocałunki i ściskania rąk, a potem rozmowa w oknie, która trwała godzinę, której nikt nie słyszał, z której August II wyszedł blady i zmęczony...

Dzień ten spędzony z Karolem XII zaciężył na życiu króla; nie wspominał o nim nigdy... Naza jutrz milczący powrócił do Lipska, gdzie Karol XII etykietalnie krótką oddał mu wizytę... W traktacie jednak nic pono się nie zmieniło...

Rok następny ciężko się rozpoczął dla króla. dusiła go ta Szwedów przytomność na saskiej ziemi, chciał się ich pozbyć, choćby największą ofiarą... Pomiedzy Altrandstadem, Moritzburgiem, Lipskiem starając się o ratyfikację traktatu, spędzał August dni upokorzenia.

Król saski w złocistej sukni à la française, w *allonge-peruce* utrefionej starannie, okryty klejnotami, obok Karola XII z ostrzyżoną krótko głową w sukiennym mundurze granatowym ze stalowemi guzami, w butach za kolana i łosiowych spodniach... spotykali się, wywzajemniając grzecznościami, ale Karol XII nie dopuścił rozmowy do polityki i interesów... Te obrabiał Piper i Cedernhiölm... Karol XII między innemi zapewniał króla saskiego, że oś lat sześciu prawie długich swych butów nie zrzucał; nie miał czasu... August się uśmiechał.

Zaproszenia do stołu w Lipsku Karol XII nie przyjął nigdy. August, choć mu spartańska polewka szweda nie smakowała, zasiadał z nim i męczył go, bo u stołu Szweda nigdy słowa nie mówiono. Jedli wszyscy w milczeniu... a obiad trwał godzinę...

Po podpisaniu traktatu, parę miesięcy królowie nie wcale nie widywali z sobą. Karol XII jednak wychodzić z Saksonji nie myślał. Znużony wkońcu August II, mówiąc, że spotykając nawet Szweda w Lipsku, udawał, iż go nie widzi.

Miał biedny król w istocie wiele na głowie, nie chcąc tej nieprzyjacielskiej załogi... Musiał polować, kochać i płatać intrygi dworaków, aby o swej edzie zapomnieć...

Dwór był zawsze równie świetny... Karol XII eustannie odbywał mustry swoich żołnierzy: August II wydawał bale... Trół mu tylko spokój i rozkoszne sny nieżnośny Fürstemberg, ówczesny przypadkowy namiestnik w Dreźnie...

O tym nieprzyjaciółu terazniejszym Anny Cosel, kilka słów powiedzieć musimy... Wśród dworu Augusta, złożonego z cudzoziemców i Niemców różnych krajów, dlatego, by wpływ saskiej szlachty zsunąć, Fürstemberg w istocie zrazu obco się wydał. Przybył tu z cesarstwa, był katolikiem i bardzo gorliwym, nie zalecał się wielce charakterem, ani nadzwyczajnymi zdolnościami; lecz miał śmiałość, wesołość, mowę głośną, dowcip żywy i dar mawiania królowi największych niedorzeczności. Fürstemberg grał tu rolę magnata i arystokraty, zajmował się najpilniej walką skrytą z nieprzyjaciółni i wiązaniem intryg coraz nowych. Wierny Abbia Reuss był narzędziem. Dom jego i towarzyswo służyło Fürstembergowi... Ani się spostrzegł, ażu przeznaczony na odpiertanie szlachty saskiej i jęże, jak sam się jej dał związać. Schwycili go

Friesenowie przez hrabinę Reuss i zaprzęgli do swojego wozu...

Cosel po swem wyniesieniu wprędcę uwolniła się z więzów Vitzthumowej, pani Reuss i jej kółka; zdawało jej się, że potrzebować ich nie może, a nie chciała nawet z pozoru za narzędzie im służyć... Oziębienie i zerwanie stosunków było hasłem do wypowiedzenia podziemnej wojny.

W czasie nie ymości król sapiegowano każdy krok Anny, powtarzano każde jej słowo, tłumaczono każdą czynność, aby się tem później posłużyć przeciw niej u króla... Pora działania jeszcze nie była przyszła... Fürstemberg zetał i wstrzymywał innych... Powrót króla był triumfem Cosel...

W czasie, gdy jeszcze z łóżka nie wstawała, a chciała mieć ciągle Augusta przy sobie... jednego rana oznajmiono królowi, iż pilne decyzje przysły z Warszawy (gdzie król zawsze miał jeszcze stronników). Chciał wyjść, Cosel prosiła, aby ministra Bose wpuszczono z niemi do jej sypialni. Nic w tem nie było nadzwyczajnego: despotycznej woli jej, wyrażającej się gwałtownie, król ulegał... Wpuszczono pana Bose.

Z trzech tego imienia na dworze Augusta znanych wesokich urzędników, wchodzący z ceremonialnemi nader i niezmiernie niskiemi ukłonami Bose był najstarszym, a jak mówiono, najmądrzejszym...

Zaczął od uczczenia majestatu, zgławszy się tak, iż tylko perukę jego król mógł widzieć, a ta nie należała do najwykwintniejszych. Taką samą czcią powitał piękną chorą, która cała w puchach i koronkach zagrzebana, wyglądała jak blada na śniegu różyczka...

Pod pachą niósł Bose papiery.

Cichuténko szepnął królowi:

— Pilne, z Warszawy...

Oba z nim ustąpili ku jednemu oknu, które nieco roztwarte było, gdyż inne grube okrywały zapy. Cosel nie spuszczała ich z oka. Dosłyszała ten wyraz z Warszawy i badała zdala twarz króla, aby z niej wyczytać, co znalazł w tych papierach. Bose z uszanowaniem w dwu chudych, kościstych palcach, wyglądających z mankietów nakrochmalonych, podawał Najjaśniejszemu kopertę po kopercie... Zrazu szła jedna po drugiej, poważne, z wielkimi pieczęciami... Cosel nie ruszała się z łóżka i trzymała spokojnie głowę spartą na ręce.

Wtem Bose coś szepnął i wręczył królowi list mały, niezgrabny, podejrzany. Król rozerwał kopertę, rzucił nań okiem, uśmiechnął się i zarumienił: mimowolnie wzrok jego pobiegł na Cosel.

Anna usiadła niespokojna.

— Co to za list? — spytała.

— List, w sprawach kraju; cóż chcesz? — rzekł król.

— Proszę mi go pokazać! — krzyknęła chora.

— Nie potrzebaj! — rzekł zimno król, czytając dalej.

Twarz Cosel zapłoneęła; zapominając o przytomności szanownego staraszka, który się celnął, jak piorunem rażony, zakrywając oczy, Anna w koszułki skoczyła i wyrwała papier z rąk Augusta... Król się zmieszał, spojrział na radcę, ten stał w pokornej postawie człowieka, który nie wie co począć z sobą.

Cosel pożerała list oczyma, w największym gniewie rozrywając go w kawałki. Przeczucie nie omyliło jej: list był od Henriety Duval, którą król, oszukując Cosel, poznał w Warszawie, a donosił Augustowi o narodzeniu córki, która później być miała sławną ową hrabiną Orzelską... Biedna matka kończyła, pytając króla, co maże uczynić z dziećciem.

— Niech je wrzuci do wody! niech je utopi! — krzyknęła Cosel — tak jakbym ja ją utopiła, gdybym mógł!

Król śmiał się, Anna zaczęła płakać. Bose z nowymi pokłony, widząc, że nie w porę przyszedł, cofał się ku drzwiom.

— Cosel, na Boga! uspokój się! — rzekł król przystępując do łóżka...

— Jakto? ty, któremu ja poświęciłam wszystko którego jestem żoną, która ciebie jednego kocham.. śmiesz mnie zwodzić, zdradzać...

Nie pierwszy to był wybuch zazdrości Anny która odgrażała się za każdym króla bałamuctwem i nie dawała spokoju Augustowi, aż u nóg jego przebaczenie prosił i poprawę przyobiecał.

Przebłagać ją tym razem było trudno, August całował ją po rękach napróżno.

— Cóż chcesz, żebym uczynił? — zawołał.

— Jeśli słowem jednem odpowiesz tej niegodziwej, jeśli dasz znak życia i zajęcia nią — krzyknęła Cosel ze wzrastającą popędlivością — biorę pocztę jadę do Warszawy, zabiję matkę i córkę, przysięgam!

Król przyrzec musiał i dać słowo rycerskie, i się nie odezwie, że zapomni, i własnemu losowi zostawi swych kaprysów ofiarę...

Tak naostatek skończyła się ta scena, o której Bose nikomu nie wspomniał, bo nikt nad niego nie lękał się więcej narazić niepotrzebnie wszechmocy pani. Jego polityka zależała na tem, by choć cicho i takimi drogami, na którychby go nie doszedł i dostrzec nie mógł. Ludzi wielu miał go za prostodusznego staruszka: mówił mało i udawał, że nic nie wie.

X

O przygodzie tego poranku niktby pewnie nie wiedział, lecz wieczorem król bardzo zmęczon

ebrał w małej jadalni zwykłe kółko zaufanych, by się z nimi rozerwać... Zapijano pamięć Szweda. O drugim czy trzecim puharze, [bo tam kielichów nie używano, król się śmiać zaczął, patrząc na Fürstemberga.

— Wielka szkoda — rzekł, — żeś ty w miejscu starego Bosego z papierami z Polski nie przyszedł: wylbyś się może z Cosel pogodził, zobaczywszy ją w tym stroju, w jakim się przedstawiła staremu.

— Cóż to było? — zapytał książę — wszak hrabina z łóżka nie wstaje?...

— To też w koszuli z niego się porwała, aby i z powodu listu tej biednej Henrjety zrobić najkropniejszą scenę... Zazdrosną jest jak żadna, nie dziwiłbym się wcale, gdyby kiedy w przystępie j pasji dotrzymała mi dawno danego słowa i strzeża... Pistolet jej nigdy nie opuszcza.

Fürstemberg się obejrzał ostrożnie, aby się przeonać może, czy niema zdrajcy między nimi: byli tylko swoi, o których wiedział dobrze, iż Cosel nie nawidzą.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się z uśmiechem dwuznacznym, — hrabina Cosel, będąc tak zazdrosną o serce Waszej Królewskiej Mości, co kogo nie zadziwi, powinnyaby przynajmniej sama wodu do podejrzeń i zazdrości nie dawać...

Król podniósł powoli głowę, zmarszczył brwi, odął usta i spytał zimno:

— Mój Fürstembergu, kto coś podobnego mówi, winienby dobrze rozważyć swe słowa i rozrównać następstwa... Na tem, coś powiedział, zamykać się nie można; powinienś się wytłumaczyć. Książę spojrział po towarzyszach.

— Ponieważ słowo mi się wyrwało, naturalnie powinienem je muszę. Przecież nie ja jeden, ale i tu wszyscy patrzyliśmy na postępowanie hrabiny

w czasie niebytności Najjaśniejszego Pana... Proszę spytać, jak się hrabina bawiła tutaj, boć pałac był pełen zawsze... gości pełno, wielbicielei mnóstwo, a starszy hrabia Lecherenne w nadzwyczajnych łaskach, prawie z pałacu nie wychodził. Niekiedy widywano go z bratem lub bez brata, wymykającego się około północy... Codzień na obiedzie, codzień na wieczerzy...

Ci dwaj Lecherenne, hrabiowie, z których starszy był bardzo pięknym, postaci pańskiej, wielce wykształconym i pełnym dowcipu mężczyzną, a młodszy mało mu ustępujący, kawaler maltański i do stanu duchownego przeznaczony, od kilkunastu miesięcy przybyli szczęścia szukać na dwór drezdeński. Widząc, skąd płyną łaski, przywiązali się szczególnie do hrabiny Cosel, a za jej protekcją, król ich szambelanami mianował. Spodziewali się smac dalszych łask i pozostali w stolicy saskiej. Dwór widział już w nich niebezpiecznych współzawodników, gdyż król chętnie się cudzoziemcami otaczał... Dlatego Fürstenberg rzucił to podejrzenie, aby zarazem i Cosel zaszkodzić i pozbyć się starszego Lecherenne, którego zdolności mogły podnieść wysoko.

Król August wysłuchał Fürstenberga z pozorną obojętnością, lecz i on i wszyscy przytomni, co znali, jak umiał w sobie tłumić wrażenia, i z każdego drgnięcia nauczyli się odgadywać, postrzegli, że strzała uwięzła.

— Co mi ty prawisz, Fürstenberg—odparł August. — Zazdrość mówi przez ciebie! Cosel cię nie lubi! Chciałżeś, aby zamknięta wśród czterech ścian nudziła się? Potrzebowała rozrywki, Lecherenne jest dosyć zabawny...

— Najjaśniejszy Panie! — odparł namiestnik z udaną prestoną — wszakże to, com powiedział, wymknęło

mi się prawie mimowolnie. Nie myślałem wcale donosić o tem Na jaśniejszemu Panu; mając łaskę Waszej Królewskiej Mości, fawory hrabiny mniej cenię. Lecz przykroby mi było, jako przywiązanemu słudze, miłość tak stałą, tak gorącą, tak wielką, widzieć opłaconą niewdzięcznością...

Sposępniał August... Puhary stały nalane... rozmowa się przerwała, król wstał.

Po wrażeniu, jakie to uczyniło na królu, Fürstemberg zmiarkował, że sprawę przegra. Ile razy August chciał się pozbyć której z ulubienic swych, rad był, gdy mu się nastęrczała zřeczność; nasylał nawet dworzan, aby mieć pozór do gñiewu i rozstania: gñiew jego dowodził, iż Cosel nie była mu wcale obojętną.

Tego dnia hrabina wstała po raz pierwszy. Nie chcąc przedłużać wieczornej uczyty, August skinieniem pożegnał swych gości i wszedł do gabinetu.

Fürstemberg i dworacy pozostali zafrasowani, książę wszakże dodawał sobie odwagi, udawał, że się uśmiecha, i choć trwoga ogarnęła go o następstwa... nie chciał się do niej przyznać.

W chwili gdy się ta rozmowa toczyła u stołu, niewidzialny świadek mimowolnie ją podśluchał. Zaklika, o którego wierności i przywiązaniu do siebie Anna najmocniej była przekonana, używany był przez nią zwykle do odnoszenia biletów do króla, gdy je do rąk jego własnych doręczać było potrzeba. Znużona samotnością, właśnie napisawszy do króla, wyprawiła go z listem, gdy zasiadano do puharów. Przerywać zabawy królowi nie wolno było. Służbie jednak raz na zawsze wydano rozkazy, aby Zaklikę wpuszczano. Niewidziany, wszedł właśnie i stał za ogromnym kredensem, wyczekując chwili, gdy się do króla będzie mógł zbliżyć, w czasie kiedy Fürstemberg opowiadał o Lecherennie.

Niebezpieczeństwo grożące, jak mu się zdawało, Annie, dało mu odwagę wycofania się. Nie oddając biletu królowi, pobiegł Zaklika nazad do pałacu i zapukał do sypialni.

Cosel знаła go dobrze, był to jedyny sługa, któremu ufała, placąc mu niekiedy uśmiechem. Gdy wszedł, z bladej twarzy jego wyczytała, że coś złego stać się musiało.

— Mów! — zawołała, podbiegając — król! nie stało się coś królowi?

— Nie — odparł Zaklika — mozem winien, że tu powracam; lecz oto czego byłem świadkiem, com słyszał i co donieść, zdaje mi się, powinienem być pani...

To mówiąc pośpiesznie drżącym głosem powtórzył oskarżenie Fürstemberga. Cosel wysłuchiwała go zaronien ona, zmieszana, obrażona; odebrała w milczeniu list z jego rąk, skinęła głową i dała mu znak, aby odszedł... Serce jej było gwałtownie... Sama nie wiedząc dlaczego, wysunęła się z sypialni... Za gabinetem, który go od sali przedzielał, usiadła w pustce ogromnej, którą tego wieczora, jak zawsze oświecono, choć nikt nie miał być przyjętym. Ściany sali okrywały portrety i obrazy z życia Augusta II: jeden z nich przedstawiał obchód królewskiej koronacji.

Łzaweni oczyma machinalnie się wpatrzyła weń Cosel... gdy kroki słyszeć się dały, po których poznała Augusta... Szedł szybko, szukając jej wszędzie, bladej był, zmieszany, gniewny...

Cosel powstała i jakby nie widząc go, zbliżyła się do obrazu.

— Al! — odezwał się August, w którego głosie przebijał się gniew źle hamowany — cóż to, raczysz pani wpatrywać się w mój wizerunek? To chyba omyłka? Nie mogę przypuścić, abym na ten honor zasługiwał jeszcze...

— Najjaśniejszy Panie — odparła Cosel dosyć spokojnie, — byłoby śmiesznością, abyś Wasza Królewska Mość znając, co go wyższym czyni nad innych ludzi, przypuszczał, że ktoś inny moje oczy po nim zwrócić na siebie może!... Najpłochsza z kobiet nie popełniłaby nic podobnego. Jak możesz, Wasza Królewska Mość, mieć podobne podejrzenia?

— Tak — przerwał król głosem drżącym, — dotąd pochlebiałem sobie... sądziłem... myślałem... ale pozory mylą, a dziwactwa kobiet są najczęściej niezrozumiałe...

Mowa króla, tłumiony gniew, uradowały Annę: czuła zazdrość w nim, która dowodzi przywiązania, udała jednak obrażoną.

— Nie rozumiem was, Najjaśniejszy Panie — odezwała się, — co znaczą te tajemnicze wyrazy? Nie sądzę, bym do nich powód dać mogła. Racz mówić jaśniej, niech przynajmniej wiem, z czego się mam usprawiedliwiać i uniewinniać...

— Usprawiedliwić, uniewinnić — przerwał król gwałtownie, tak że Cosel się ulękła — ale są sprawy, z których się uniewinnić niepodobna! Myślałaś pani ukryć je przede mną... tymczasem, mam dowody...

— Dowody! przeciwko mnie! — Cosel załamała ręce. — Auguście! — zawołała — to sen, to marzenie, to męczarnia! Mów, ja cię nie rozumiem... Jam niewinna...

Rzuciła się na szyję królowi, który zrazu odepchnąć ją chciał; pochwyciła go za suknię, z rozpaczą porwała rękę i zaczęła płakać.

— Zlituj się nade mną! mów! Niech przynajmniej wiem, za co mam cierpieć... jaki niegodziwy oszczerca śmiał mnie zbójceją potwarzą dotknąć!

Nierychło gniew króla, który po winie bywał wściekłym czasami, Cosel ukołysać potrafiła; lzy go wreszcie zmiękczyły; posadziła go przy sobie.

— Królu mój, panie, wytłumacz mi, co twój gniew wzbudziło — poczęła błagającym głosem, — widzisz, co się dzieje ze mną... Ja szaleję z bólu! Powiedz mi, odkryj. Więc nie kochasz mnie chyba? Szukasz pozoru, byś się mnie pozbył... Al! dawniej, dawniej miłość twoja była taką, że nawet błądy mi przebaczyła: dziś.. serce twe gdzie indziej.

August już był ochłonał.

— Dobrze — zawołał — chcesz wiedzieć, powiem wszystko: wychodzę z zamku, gdzieśmy z Fürstembergiem rozmawiali.

— Al! z nim, nic mnie już nie dziwił to mój wróg — przerwała Cosel.

— Książę mi powiada, że całe miasto było zgorzzone postępowaniem twym z Lecherennem...

— Lecherenne! — śmiejąc się, powtórzyła, ruszając ramionami Cosel...

— Lecherenne — mówił król — nie zdawał sobie nawet pracy ukrywania swych uczuć dla was! przyjmowaliście zakochanego w mej nieoytności, codziennie siadywał wieczory całe, widywano go.

Cosel przybrała minę poważną, chłodną, kobiety obrażonej.

— Tak jest — rzekła — wszystko to prawda: Lecherenne zakochany jest we mnie, ale ja śmiałam się z tego i śmieję. Bawił mnie czułościami swemi słuchała ich, żartując sobie z niego! Nie sądzę bym zawiniła wielce! Nie kryłam się z tem, bo nic do ukrywania nie miała... Myślisz więc, królu że dosyć jest kochać się we mnie, aby być kochanym?... A to okropne — dodała, ręce łamiąc. — Więc lada taki Fürstemberg słowem złośliwym przeważyła ufność twą dla mnie! wiarę w serce Cosel...

— Padła na sofę, płacząc. Król już był złamany przykląkł przed nią i ręce jej zaczął całować...

— Cosel! przebacz mi — zawołał — nie byłbym

zazdrosnym gdybym cię nie kochał. Znam Fürstemberga... prawda, jest to najjadowitsza żmija, jaką wyhodowałem na dworze... Daruj mi! Nie chcę, aby moją Annę podejrzewać nawet śmiano, aby dała powód do potwarzy.

Anna płakała ciągle.

— Królu — mówiła łkając — jeśli potwarców dopuścisz do tronu, pamiętaj, nie skończą oni na nas, na mnie; język ich dotknie twojej świętej dla nas osoby, bo dla nich nie ma nic świętego...

— Bądź spokojna, bądź spokojna — odparł król — przyrzekam, daję słowo, nie dopuszczę, aby mi kto śmiał co rzec na ciebie.

Tak się ta scena skończyła czułościami, zapewnieniami najuroczystszeimi z obu stron. Cosel musiała dać słowo, iż Fürstembergowi nie okaże tego, iż imienia oskarżyciela się dowiedziała.

Dzięki więc przytomności Zakliki, Cosel odniosła zwycięstwo.

Uspokojony zupełnie król wrócił na zamek, a na-
zajutrz słowa nie przemówił do Fürstemberga, omi-
jając go widocznie. Przez W. Mistrza dworu kazał
August Lecherennowi dać znać, by tego samego
dnia służbę opuścił i z Drezna wyjechał.

Rozkaz ten padł tak niespodzianie na młodego
hrabiego, iż zrazu nie wiedział, czy mu ma wierzyć.
Komendant miasta kazał mu go powtórzyć, dając
dwadzieścia cztery godziny czasu.

Lecherenne, strwożony, pobiegł, nie wiedząc, co
zaszło, do pałacu hrabiny. Zaklika poszedł o nim
oznajmić swej pani. Zarumieniała się z trwogi i nie-
pokoju.

— Powiedz mu, waćpan — rzekła cicho — iż nie
mogę przyjmować tych, którym król zakazał się po-
kazywać przed sobą... Powiedz mu — znizyla głos, —
że mi żal szczery, iż odjeżdża...

Te mówiąc, zdjęła pierścień z palca, który król niedawno jej był darował.

— Daj mi ten pierścień ode mnie—rzekła zniżonym głosem, odwracając się od swego powiernika.

Zaklika zbladł.

— Pani hrabino—ośmielił się odezwać stłumionym i cichym także głosem — racz mi przebaczyć, to pierścień od króla.

Cosel, która niecierpiała, by się jej kto śmiał sprzeciwiać, odwróciła się ku niemu z twarzą groźną i brwiami namarszczonemi, tupnęła nogą:

— Nie o radę was proszę, ale wydaję rozkaz: masz go spełnić!

Zaklika, zmieszany, wyszedł, chwilę się zatrzymał za drzwiami. Przed kilku laty za dowód nadzwyczajnej siły otrzymał był od czeskiego hrabiego, który u dworu przebywał, kosztowny pierścień z podobnym kamieniem. Jakies przeczucie kazało mu zamienić je: poszedł ze swoim do Lecherenna, a hrabiny dar ukrył przy sercu.

Czwartego dnia potem król, w czasie gdy Cosel ubierała się, wszedł do jej gabinetu. Anna zwykle pierścień ten nosiła na palcu, oko zazdrosnego kochanka dojrzało jego zniknięcie.

— Gdzie jest mój pierścień ze szmaragdem? — zapytał.

Cosel z wielką przytomnością umysłu zaczęła go szukać niespokojnie na gotowalni, na posadzce, w całym pokoju. Twarz króla okrywała się coraz krańniejszym rumieńcem.

— Gdzież się podział? — powtórzył.

Cosel zwróciła się do służącej.

— Ale ja go od dni czterech na ręku u pani nie widzę — szepnęła służka.

August policzył iż od wyjazdu Lecherenna,

którego bytności u drzwi Cosel wiedział dobrze, właśnie cztery dni upływało.

— Nie szukajcie go nadaremnie — odezwał się zyderczo, — mógłbym może powiedzieć, gdzie się odział.

Cosel mimowolnie się zmieszała. Król wybuchł gniewem. Nie chciał słuchać tłumaczeń nawet. Służące wybiegły, aby nie być świadkami tej sceny, a głos pana rozlegał się po pałacu. Trwoga garnęła wszystkich.

Cosel miała zemdleć już i łzy dobywały się jej oczów, gdy do drzwi zapukano: nim miała czas się zwrócić ku nim Anna, spostrzegła bladą i smutną twarz Zakliki.

— Pani hrabina raczy mi darować, że wchodzę — rzekł — służące mi mówiły, że szukały napróżno ierścienia, ale ja przed godziną go około gotowni znalazłem i czekałem tylko chwili, aby oddać. Król rzucił okiem i zamilkł.

Cosel ani spojrzała na Zaklikę, ani odezwała się do Augusta; włożyła powoli pierścień na rękę rzucawszy wejrzenie gniewu pełne na kochanka, wyszła do drugiego pokoju.

Nie potrzeba było więcej nad to, aby uspokoić króla i zmusić go do przeproszenia na klęczkach obrażonej pani, która niełatwo przebłagać się dała.

Król cały dzień zabawił w pałacu, nie mogła więc nawet kazać przywołać Zakliki, aby się przed nią wytłumaczył. Chciał wynagrodzić swą popędliwość, podejrzenia i niewiarę, czuł się upokorzonym winnym. Cosel przyjmowała zimno tłumaczenia, łaskała trochę i odpowiadała na czułości tylko przygnacją i pokorą, które nieszczęśliwego Augusta do rozpaczyny przyprowadzały. Nad wieczór do niego piękna pani jakoś się przebłagać dała i pokój został przywrócony.

pierścień, przeznaczony dla Lechrenna: Rajmund obudził się jak ze snu, zobaczywszy go przed sobą w białej ręce drżącej.

— Pani — rzekł — ja przyjac go nie mogę... nie! przypominałby mi tylko, żeś dla mnie była nad miarę okrutną.

W tej chwili pierścień znikł, ujęty drugą ręką, a biała dłoń zbliżyła się do ust Zakliki, który ją z zapalem, przykięknawszy, ucałował; potem jak szalony wypadł z pokoju Cosel, która została sama, zadumana, ze łzą w oku.

— Tak kochają biedni ludzie — rzekła w duszy, — królowie inaczej...

Wśród tych scen przedłużało się zajęcie Saksonji przez Szwedów. Karol XII w wymaganiach swych niczem się złamać nie dawał. Dla króla był bezlitosnym i szyderskim, dla szlachty ostrym, dla kraju ciężkim, bo lud żołnierze jego wyłapywali i gwałtem zaciągali do szeregów. Cóż było począć z człowiekiem, który proszony na łowy i biesiady, posyłał swój dwór, a sam jechał nowozacieężnych mustrować? Na żadnym balu, koncercie, maskaradzie być nie chciał. Pokój był podpisany, Patkuł wydany, a Karol XII siedział i siedział na saskiej ziemi.

Tyle upokorzeń, tyle ofiar wyczerpały cierpliwść aż do rozpacz. Zuchwałstwo Szweda, który we dwadzieścia lub trzydzieści koni jeździł po zawojowanym kraju, żadnemi się nie otaczając ostrożnościami... budziło oburzenie w umysłach śmielszych wojaków.

Jednego ranku hrabia Schulenburg zameldował się do króla, w chwili, gdy był na radzie z ministrami. Starego wojaka zaproszono na nią, ale mówić nic nie chciał, prosząc o osobne posłuchanie.

Flemming, Fürstemberg i inni ustąpili po chwili: zostali sami-na-sam.

— Cóż mi powiesz, generale? — zapytał August, — może szczęśliwą przynosisz nowinę, że Szwedzi wychodzą?

Uśmiechnął się boleśnie.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — chwilę pomyślawszy, odezwał się Schulenburg — byłby może jednak środek pozbycia się ich.

— Przyznam ci się, że go nie widzę, chybaby Pan Bóg zesłał wojsko swoje z Michałem Archaniołem na czele pod twoją komendę.

— Królu — przerwał Schulenburg, — zdaje mi się, że z trochę rozpaczliwej odwagi obeszlibyśmy się bez archaniołów. Szwedów rozsianych po całej Saksonji jest dwadzieścia kilka tysięcy, garść to tylko, którą jeden śmiałek straszną czyni. Tego śmiałka pochwycić, a reszta nie będzie dla nas straszną.

— Co ty mówisz? pochwycić? wśród pokoju? nieobawiającego się, ufającego nam!

— To właśnie czyni słuszną naszą zemstę możliwą — odezwał się Schulenburg. — Z oficerami naszej jazdy, schronionemi przy granicy Turyngji, rekognoskowałem jego kwaterę. Słabo jest obwarowaną. Mogę nocą napaść nań i porwać go. Zawiozę go do Königsteinu... niech go oblegają: nie dam się tam. Zresztą głowa króla ręczyć mi będzie za bezpieczeństwo i podpisze mi naówczas taki traktat, jak my zechcemy.

August słuchał z uwagą.

— A jeśli ci się nie powiedzie? — zapytał.

— Nie powiedzie się naówczas mnie, a nie wam, Najjaśniejszy Panie — rzekł generał. — Ja kraj chcę ocalić i Europę od młodego drapieżcy, który ją gotów ogniem niszczyć i mieczem.

— Generale — mruknął król, — zdaje mi się, że ci się śni; w żadnym razie, ja rycerski obyczaj

Wypadek ten wzmocnił w Augustcie wiarę w nią i zwiększył jej potęgę: nieprzyjaciele zniknąć musieli.

Po północy już król udał się do swego gabinetu dla narady z oczekującymi nań ministrami. Karol XII ciążył nad niemi brzemieniem nieznosnym; lekceważenie jego dla Augusta, wstręt dla tego pięknego bohatera, dolegały wszystkim zarówno. Czuli się w nim dotknięci. Dzięki młodzik, bo Karol XII nie miał nad lat dwadzieścia kilka, wydawał im się rodzajem Atyli, świętokradzko burzącym wspańiałość tego żywota, blasków i świetności pełnego.

Zaledwie król odszedł, Cosel porwała się z siedzenia, na palcu jej jaśniejący szmaragd przypominał jej Zaklikę.

Zadzwoń! królowa. Karzeł, który wszedł, bo i ona, jak prawdziwa królowa, karłów miała na posługach, wysłany został po Zaklikę.

Obyczajem swym wierny Rajmuś siedział na straży w przedpokoju, czytając jakąś odartą księgę. Zobaczywszy karła, domyślił się, że przyszła sądu godzina. Ocalił on Cosel, ale samowolnie; wiedział, że mu to za grzech będzie poczytane i zdrzał. Czuł się szczęśliwym, że ją uratował i czuł winnym. Drżący i onieśmielony, stanął w progu; Cosel w sukni rozpuszczonej, z rozwitemi na ramionach włosy czarnemi, piękna jak bóstwo, dumna jak wszechwładna pani, przechadzała się po sali. Na widok Zakliki zmarszczyła brew i stanęła przed nim groźna.

— Kto ci pozwolił zmieniać moje rozkazy? popełniać tajemnie nieposłuszeństwo? mieć za mnie przebiegłość, o którą cię nie proszą? Co to jest za zuchwalstwo?

Zaklika stał długo niemy ze spuszczonei oczyma, zwolna podniósł je na hrabinę.

— Przyznaje się do winy—odezwał się głosem spokojnym—tak, zgrzeszyłem... Przypomnisz sobie pani Laubegast i pobożność z jaką zdaleka wpatrywałem się w twoje oblicze. Niech mnie to uczucie szalone i niedorzeczne, dochowane do dziś dnia, tłumaczy. Chciałem cię ocalić, pani!

— Ja nie potrzebuję pomocy niczyjej, aby być ocaloną—zawołała surowo Cosel;—w słudze żądam posłuszeństwa i nic więcej; rozumu nie chcę... a uczuciem służalców gardzę. To obraza dla mnie. Zaklika spuścił głowę.

— Gdybym słowo powiedziała królowi, jutro byłbyś zamknięty w Königsteine, lub powieszony na rynku. Któż ci powiedział, że mnie nie więcej boli to, iż Lecherenne pierścienia nie otrzymał, niż to, żeś mnie z chwilowego zakłopotania, jak ci się zdaje, wybawił?

— Lecherenne pierścień otrzymał—rzekł Zaklika, po którym te bezlitosne wyrzuty osłiznęły się jak wody po skale.

— Jaki pierścień?—spytała Cosel.

— Zupełnie do tego podobny; miałem go danym za okaz siły przez czeskiego magnata Sternberga w przeszłym roku: przeczuwając, iż król o pierścień swój zapytać może, oddałem własny.

Cosel stanęła zdumiona i popatrzyła na Rajmunda, który głowę miał na piersi spuszczoną.

— A! należy ci się nagroda! — szepnęła zmieszana.

— Nie, tylko przebaczenie — odparł Zaklika,—nagrody żadnej nie przyjmę.

I cofnął się pod same drzwi, opierając o nie. Długo i dziwnie spoglądała nań Cosel. Jakaż zmiana zaszła w jej uczuciach! Zrodziła się litość, ale duma ją w pierś nazad wtłoczyła.

W milczeniu postąpiła do Zakliki, podając mu

szanując najwyżej, na nieprzyjaciela w ten sposób zdradziecki, podstępny, napaśćbym nie dozwolił: nie mogę — dodał, zapalając się. — Nienawidzę go, zadławiłbym go, gdyby mi się dostał w ręce, ale go chwycić wśród nocy, ale go napadać, gdy mi ufa: nie! Generale, to nie Augusta Mocnego rzecz

Schulenburg ponuro nań spojrzał.

— Zawszeż się z tobą, królu, po rycersku obchodzono? — zapytał.

— Wolno jest gburom, jak ten młodzik, czynić, co chcą, to są nieokrzesani barbarzyńcy; ale August, którego lud zowie Mocnym, a monarchowie Wspaniałym, nie dopuści się tak niskiego czynu.

Stary wojak wesał pokreślił, kłaniając się.

— A gdyby się go nieposłuszny żołdak dopuścił? — zapytał.

— Musiałbym nieprzyjaciela bronić i sam go uwolnić — zawołał August — to nie ulega wątpliwości.

— Jest to nadzwyczaj rycerstwo i pięknie — rzekł Schulenburg niemal ironicznie — ale...

Nie dokończył i skłonił się nisko.

Odchodzącego król ujął za rękę.

— Kochany generale, proszę cię, rzuć tę myśl i nie mów o niej nikomu. Nie, nie chcę tym kosztem zwycięstwa.

Schulenburg podniósł zbladłe oczy, jakgdyby pytał niemi, czy wydanie Patkula, czy uwięzienie Inhoffa i Pfingstena, szlachetniejszymi były czynami nad krok, którego się August wzdręgał.

Krół zrozumiał może ten wyrzut niemy; domyślił się, co znaczyło milczenie, bo po twarzy krew mu falą purpurową przebiegła.

Schulenburg stał smutny.

— Czemu rozpaczliwem ratować się musimy — mruknął pod wąsem — pospolitemi środkami za

żóno. Kość trzeba rzucić o życie lub śmierć. Nie mamy do stracenia nic... Stracona korona jedna, która kosztowała miliony; złamana druga, a po niej zacząłki tylko: cóż dalej będzie?

August z uśmiechem na ustach przeszedł się po gabinecie.

— Wiesz co będzie dalej? — spytał — oto uzuschwalony młodzik pójdzie dalej. Kilka zwycięstw dały mu szaloną, zuchwałą, nieopatrzną odwagę... rozbije się z nią o jakiś zuchwały zamiar, bo sił zachować nie będzie. Dlaczegoż mamy się płamić, by przyspieszyć tylko to, co nieuchybne? co nieodwołalne? Czemu nie znieść cierpliwie przeciwności, aby później korzystać tylko z tego, co kto inny dokona? Karol XII wzbity jest w pychę; klania mu się Europa przełękła... trzeba ją w nim karcić, i dać jej się rozbujać, aż się sama o mury roztrzaska.

— A tymczasem Saksonja... Najjaśniejszy Panie!

— Al lud ucierpił zapewne — zawołał August, — ale, generale, lud jest jak trawa, którą, gdy bydlę strąca, na przyszły rok zielenią jeszcze odrasta.

— Toć ludzie! — rzekł Schulenburg.

— Gmin — odparł król, — w jakież rachunek kto pierze masy i tłumy?

Zmilkli tedy, a generał króla pożegnał. Już w progu wstrzymał go jednak.

— Mówiłeś z kimś o tem? — zapytał.

— Oficerowie moi pierwsi mi tę myśl poddali — szepnął Schulenburg, — wiem, że ją podziela goścąco Flemming, jak ja utrzymując, że przeciw zaradzieckiemu najeźdźcy wszystkie środki są dozwolone.

— Wiedzą więc wszyscy? — niespokojnie powtórzył król.

— Ode mnie nikt — poważnie rzekł generał, — i od drugich może.

— Każcie milczeć! na bogu niech mi nikt z tego nie wychodzi.

General skłonił się znowu... król siadł w krzesło zadumany.

Po wydaniu Patkula to rycerskie uczucie było przynajmniej rzeczą szczególną...

XI

Zuchwale kręcenie się Karola XII po Saksonii nie w jednym Schulenburgu obudziło myśl pochwycenia go i pomszczenia się klęsk kraju. Oprócz Flemminga, hrabina Cosel nieulekniona, śmiała, mściwa, myśl tę karmiła w cichości i spiskowała potajemnie. Cały jej dwór, związany przysięgą, pracował nad tem. Ona to pierwsza przez oficerów, którzy tajemnie oglądali kwaterę Karola XII i przypatrzyli się jego wycieczkom w kilka koni, poddała myśl tę Schulenburgowi... Nie wspominała o tem królowi, wiedząc zgóry, iż on śmiałego tego planu nie przyjmie. Szła pełna zemsty kobieta dalej niż inni spiskowi, żądając, ażeby Karola XII pochwyczonego natychmiast zabito. Myśl ta rozgorączkowywała ją, roznamietniała, nie dawała jej spoczynku.

Lecz ilekroć zdawa nawet i jakby przypadkiem starała się króla wybadać, August mówić o tem nie dawał. Trzeba więc było po za nim prowadzić sprawę. Nieprzyjaznego Cosel ale śmiałego Flemminga zyskano dla tej myśli; gorąco popierał ją Schulenburg i ofiarował jazdę swą do wykonania.

Cosel utrzymywała, że gdy rzecz będzie dokonana, August oburzy się może, ale skorzysta, a nikt w Europie nie ujmie się za awanturnikiem.

Skrycie bardzo umawiano się, snuto, zabiegano, wreszcie Schulenburgowi polecono wybadać króla.

Po wyjściu jego z gabinetu, choćby nikomu się nie zwierzał, z twarzy jego poznaćby było łatwo, że projekt został odrzucony. Wieść się o tem rozeszła wkrótce.

Cosel jednak wcale się tem nie zraziła; czuła w sobie siły stanąć nawet przeciwko królowi i walczyć z nim o to.

August tajemnic dla niej nie miał; tegoż wieczora wydał jej rozmowę z Schulenburgiem. Hrabina porwała się z siedzenia.

— Jaktó! nie przyjałeś, królu?... nie chcesz spróbować przynajmniej odebrać swych strat na tym zbójcy?

— Znajdzie się, kto mnie pomści — rzekł król, — mam to najmocniejsze przekonanie; nie mówmy o tem.

Ze zmarszczonego czoła zmiarkowała Cosel, iż nie pora była się sprzeczać, zaczęła więc zabawić inną rozmową. Dworskie plotki wystąpiły na scenę.

Oddawna domagała się od króla, aby ją kiedy do pracowni alchemika zaprowadził. Böttigera trzymano naówczas w baszcie narożnej w zamku, z której był widok na Elbę i dalekie, lasem okryte jej brzegi. Kilkanaście lat już więziony biedak, wśród tej niewoli utrzymywany był ze wszelkimi względami, należnemi temu, od kogo się wiele złota spodziewa.

Fürstemberg co chwila łudził króla, że cel jest prawie dopięty. Sam on pracował z więźniem, to we własnej pałacowej swej chemicznej kuchni, to na tarasie. Böttiger miał tam mieszkanie wygodne, prawie wspaniałe, ogród pełen kwiatów i drzew zamorskich, stół na srebrze, u którego mnogich gości przyjmował, a dla rozrywki pozwolenie przechadzki po całych czarnych gankach długiej galerji, która zamek i twierdzę otaczała i służyła królowi także

do tajnych jego wycieczek. Oswoiwszy się ze swym losem, widząc, że z pod straży wydobyć się nie potrafi, Böttiger, bawił się już raczej i ludził Fürstemberga, niż na serio myślał o złocie. Wyczerpał wszelkie formuły, przeczytał wszystkie książki, wypróbował wszelkie recepty: napróżno!

Widząc, jak Cosel jest wszechmocną, więzien, skarbiąc jej łaski zdążyć, codzień jej z najpiękniejszych swych kwiatów bukiet posyłał.

Hrabina pragnęła go raz widzieć; król zwłóczył i odmawiał. Tego dnia była tak natarczywą, tak czułą zarazem, tak piękną, iż August wstał, podał jej rękę i rzekł:

— Chodźmy do Böttigera!

Nie było nikogo pod ręką, coby mu oznajmił te odwiedzin. Król przez okno zobaczył Fröhlicha w śpiczastym kapeluszu opędzającego się dworakom, którzy go napastowali: śmiech się rozlegał dokoła.

August skinął na trefnisia.

— W sam raz posel do oznajmienia o takich odwiedzinach—zawołał,—wysłę go przodem, ażeby mój alchemista miał czas przywodzić suknię, lub żebyśmy go w zbyt nieprzyzwoitem nie zastali towarzystwie.

Böttiger, o którego dobry humor dbano, przyjmował nawet i pieć piękną.

W progu ukazał się Fröhlich.

— Na dziś, ale tylko do wieczora mianuję cię szambelanem—roześmiał się król,—ażebyś nie powiedział, że darmo dzwigasz klucz tak ciężki. Idź i oznajmij Böttigerowi, że bogini Diana odwiedzi go wraz ze mną.

— Z Marsem, Apolinem i Herkulesem... — dodała Cosel, uradowana.

— Cały więc Olympus — rzekł Fröhlich z ukłonem,—a gdzież się on tam pomieści!

Fröhlich z wielką powagą wyszedł, laską torując sobie drogę, czarnym gankiem ku baszcie narożnej.

Dnia tego właśnie wesołe towarzystwo zabawiało się u stołu alchemisty. Kieliszki i dowcipy krążyły.

Książę Fürstemberg, wielki przyjaciel Böttigera, sławny amator alchemji Tschirnhausen, sekretarz i nadzorca Nehmitz, znajdowali się wśród gości. Grubemi mury otoczony pokój krążył w baszcie, który całe jej piętro zajmował, a służył więźniowi do przyjęcia gości, urządzone był ze smakiem i wytwornością prawie pańską. Ściany okrywała jedwabna materja perska w kwiaty, złotemi laseczkami ujęta, ożywiały je zwierciadła, zappełniały sprzęty lakierowane i złoczone. Stoły i szafki zdobiły brzozy w smaku epoki. Małeńkie schodki w grubym murze, do których utajone wiodły drzwiczki, łączyły bawialnię tę z pracownią na dole, a drugie z sypialnią w wyższem piętrze.

Wśród swych gości Böttiger wyróżniał się piękną postawą, wesołą twarzą, z której tryskało szybkie pojęcie i dowciw swobodny i wesoły. Ubrany starannie, wydawał się raczej majętnym szlachcicem w odwiedzinach, niż owym sławnym więzionym człowiekiem wielkich tajemnic, wychudłym nad tyglami. Nie znać na nim było tego, co przeżył, ani wytężenia sił na odsłonięcie wielkiego arkanu. Przy kielichu był najjowialniejszym z biesiadników, w towarzystwie najwymowniejszym żartownisiem. Właśnie gromadka gości wychylała kielich za jego powodzenie, a aptekarczyk miał jej odpowiadać, gdy poseł królewski w śpiczastym kapeluszu i ponosowym tego dnia fraku zjawił się w progu.

— Al Fröhlich! Fröhlich! — zawołali biesiadnicy — cóż ty tu?

— Przepraszam, nie jestem dziś prostym Fröhlichem, jak się panom zdawać może. Podobalo się

jego królewskiej mości kreować mnie na godzinę dwadzieścia cztery szambelanem i w spełnieniu tej funkcji wysłać z oznajmieniem, że bogini Diana wraz z Herkulesem zaszczyli Böttigera zjawieniem się swoim. *Dixi.*

Stuknął łaską o podłogę; wszyscy zerwali się o stołu. Böttiger z Nehmitzem i zawołanym chłopakiem poczęli co najprędzej stół oczyszczać. Otwarte okna, gospodarz posłał po bukiety. Tschirnhausen który znał dobrze gospodę, otworzył drzwiczki i spuścił się do laboratorium, aby ukryć się przed królem. Inni rozpieczętowali się bocznymi gankami wiedząc, że czarnym gankiem król iść będzie: pozostali tylko Böttiger, Nehmitz i książę.

Z niezmiernym pośpiechem ustawiono sprzęt w porządku, posypano posadzkę kwiatami, bukiety z pomarańczowych kwitnących gałązek wziął Böttiger w ręce i stanął w progu.

Zjawienie się hrabiny Cosel w całym blasku piękności rozświeciło komnatę, u której wniósł więzień przyklęknął.

— Bóstwa się na klęczkach przyjmuje — rzekła — a ofiarą im tylko kadziła i kwiaty!

Mrok wieczorny natychmiast rozbiło wniesione światło.

Z uśmiechem przyjawszy z rąk gospodarza bukiety, Cosel podziękowała mu uprzejmie, rozglądając się ciekawie i dziwiąc, że tu nie było najmniejszego śladu „wielkiego dzieła”.

Król, który wszedł za hrabiną, wytłumaczył jej to pocichu.

— Ale ja właśnie bym tam być chciała, gdzie się w pocie czoła, z modlitwą na ustach, dokonywa wielka tajemnica.

— Pani — odezwał się Böttiger — jest to jasknia tak straszna, wyziewy jej tak są niezdrowe

pozór tak smutny, iż bóstwu zstąpić do tych piekieł się nie godzi.

— Ale ciekawość kobieca! — westchnęła Cosel i spojrzała na Augusta.

Król oddał to wejrzenie Fürstembergowi: książe ruszył ramionami.

— Pani hrabina nie nawykła chodzić po tak ciemnych i ciasnych schodkach — dodał.

Nie zważając na opór i wahanie się, Cosel odezwała się do Böttigera:

— Bóstwa rozkazują, prowadź nas i poprzeczaj.

To mówiąc, zwróciła się do drzwi, gdy gospodarz w przeciwnej ścianie pocisnąwszy brązowy guz w niej utkwiony, otworzył skryte wniście i z kandelabrem w rękę stanął w nim.

Nie sprzeciwiał się August, milczący. Szli więc wszyscy po ciasnych i niewygodnych schodkach, zamkniętych żelaznemi drzwiami od pracowni. Gdy je Böttiger otworzył, ukazała się ciężkimi sklepieniami, szczerbami od dymu, okryta izba obszerna, jakby ze starego zapożyczona obrazu. Przy grubych słupach jej było kilka pieców, na których stały ostygłe retorty i tygle; rozmaity sprzęt doświadczalnych kształtów, mnóstwo flasz i słoików okrywały mury; na kilku stołach nagromadzone były stare księgi o mosiężnych klamrach, pergaminowe zwoje, zapisane arkusze i najróżniejszych kształtów narzędzia.

Wszystko to razem wyglądało tajemniczo, pośsepnie, dziwnie i obudzało jakiś strach w hrabinie, która się na ramieniu króla zwiesiła.

Böttiger, podniósłszy do góry światło, stał milczący. August z pewnem poszanowaniem rozglądał się w tej pracowni wielkich nadziei, która wszystkim jego marzeniom dostarczyć miała siły, by się w ciążo obróciły.

Gdy tak leżał, wstrząsnął po izbie i król posnął się kroków kilka ku stolowi, obo jego zatrzymało się z uwagą na przedmiocie, który wśród papierów się znajdował.

Było to kilka jasnej barwy filiżaneczek, które wielkiemu znawcy i miłośnikowi porcelany, najjaśniejszemu panu, co zamieniał ludzi za wazony japońskie, wydały się wschodnim wyrobem.

— Böttiger! — zawołał — co to jest! porcelana japońska, a kształty nie jej: skądże ty to wziął? To przecie osobliwość rzadka!

— Najjaśniejszy Panie — kłaniając się nisko, odparł gospodarz — to zabawka moja... Próbowałem sobie z przywiezionej mi glinki zrobić coś naksztali porcelany.

Król pochwycił żywo podane mu naczynie piękne go koloru i w milczeniu oglądał je, ważył, przeciw światłu w nie patrząc począł niedowiedząco.

— Jakto? utrzymujesz, żeś ty to zrobił? ty?

Böttiger sełylił się i z ziemi podniósł rozbitych kilka skorupiek podobnych, potem z za papierów dobył kilka maseczek i podał je Cosel i królowi.

— Ale to najsłodsza w świecie porcelana! — zawołał król zachwycony.

Böttiger milczał.

— Tyś wynalazcą, tyś odgadnął ich tajemnicę! — kończył August; — nim zrobisz złoto... na Boga, rób mi porcelanę! Za jeden serwis w Chinach z meblami herbami zapłaciłem pięćdziesiąt tysięcy talarów!... Prusak mnie zdarł i wziął mi kompanię najpiękniejszych ludzi za wazy o'brzymie... a ty możesz robić porcelanę i milczysz!

— Najjaśniejszy Panie, to była próba!

— Która ci się najszczęśliwiej udała... Dla Diany pierwszy serwis zrobi Böttiger i złoży u jej stóp. Widząc, jak król zachwycał się wyrobem Bötti-

gera, wszyscy się zbliżyli dla oglądania go; lecz oprócz Cosel i Augusta nie unosił się nikt. Fürstemberg myślał w duchu, że, robiąc porcelanowe łupinki, Böttiger zaniedba tynkturę.

Król, który się bawił gorąco wszystkim, ucieszył się bardzo swą porcelaną. Niewiadomo, czyby go więcej uradowała wieść o wyjściu z Saksonji Szwedów. Zabrał s sobą pierwszy kubek, dając go Cosel do schowania i, wyraziwszy całe swe zadowolenie Böttigerowi, zabierał się do wyjścia. Ażeby uwolnić najjaśniejszego pana i Cosel od niewygodnych schocków, gospodarz otworzył drzwi, które wprost wiodły do jego ogródka i król, poprzedzony przez służbę, która tu już czekała, udał się znów ku czarnym gankom do zamku wiodącym. Dzień to był pamiętny w historii Saksonji, która w istocie kopalnię złota zyskała w wynalazku przypadkowym Böttigera, długo pod karą śmierci zachowywanym w jak największej tajemnicy.

W kilka dni potem daleko dramatyczniejsza scena poruszyła Drezno całe. Chociaż Schulenburg wyrzekł się zupełnie myśli pochwycenia Karola XII wskutek pierwszej swej z królem rozmowy, śmielsza daleko Cosel i ze swej strony Flemming wcale jej nie rzucali. Nieopatrzność Karola XII codzień prawie nastręczała zrzecznosc wykonania śmiałej tej myśli: brakło ludzi i przygotowań.

Tymczasem zuchwały i ufny swemu szczęściu i odwadze Karol XII, jakgdyby wiedział o tych pokuszeniach, jakgdyby z nich się uragał, najswobodniej wędrował po kraju nieprzyjacielskim.

Nikomu nawet na myśl przyjść nie mogło, ażeby śmiał sam rzucić się w paszczę nieprzyjacielowi i zjawić w samym Dreznie. Krok taki mógł w zbolalym narodzie wywołać rozpacz, gdyby naród ten nie był zbytciem i rozwiązłością przesady i zepsuty.

Dnia pierwszego września, w ten sam dzień, gdy ratyfikację traktatu z cesarzem o swobody dla protestantów śląskich podpisał, Karol XII wyjechał z Altrandstadt. Szedł on wślad wojsk swoich, które już od piętnastego sierpnia poczęły były pod dowództwem Rhenskyö d'a, na Śląsk ciągnąć, ku Polsce i dalej ku północy. Znaczniejsza część sił jego już była nareszcie opuściła Saksonię, kilka pułków tylko pod Lipskiem zostało. Około Meissen w Oberau Karol dnia szóstego września stał główną kwaterą. Pięknego dnia jesieni konno wyruszył na przejażdżkę: jadący z nim ze wzgórza ukazali mu w mgłę wieże kościołów Drezna.

Karol XII stał długo zamyślony, patrzył, milczał, naostatku odezwał się do szczupłej garstki, która mu towarzyszyła:

— A no, tak blisko już jesteśmy; trzeba by tam dojechać.

Było z południa między trzecią a czwartą, gdy u brama Drezna stanął ten gość niespodziewany. Wrota twierdzy zamknięte były, Karol XII oznajmił się oficerowi, jako posłany od króla szwedzkiego trabant. Zaprowadzono go z towarzyszami na główny odwach; przechodzący właśnie Flemming, poznał go przerażony.

Mysł, którą oddawna nosił w sobie, zdawała się domagać sama spełnienia. Karol XII był bezbranny, kilku ludzi mu tylko towarzyszyło, wpadł sam w ręce nieprzyjaciela. Flemming w pierwszej chwili prawie głowę postradał, umiał się jednak poskromić, i na zapytanie o króla, ofiarował się towarzyszyć do niego.

W tej godzinie August II zwykł się być często zabawiać w zbrojowni, dokazując rozmaite sztuki i ćwiczenia siły. Tym razem był tu także z hrabką Cesel, która go na krok nie odstępowała,

i trzaskał żelastwo w silnych rękach, które siły tej tylko na zabawkę użyć umiały.

Sniech wesóły rozlegał się pod sklepieniami gmachu, gdy zapukano do drzwi.

Król zawołał:

— Wnijsź!

Spojrzał ku drzwiom, oczy hrabiny zwróciły się ku nim także, i osłupiał, ujrawszy Karola XII. Flemming, który szedł za nim, królowi i Cosel rozpaczliwe dawał znaki, do zrozumienia łatwe; żądał tylko skinienia, aby zwołać ludzi i nieopatrzonego gościa pochwycić.

August stał jeszcze jak nieprzytomny, gdy Karol XII pośpieszył go uściskać, z wesołem:

— Dobry dzień, bracie!

Cosel wytrzymać nie mogła, twarz jej zapłonęła cała: chwyciła króla za suknię.

— Królu, to przeznaczeń godzina! Jeśli stąd wyjdzie cało... tyś winien.

Karol XII, zdaje się, że słowa te dosłyszał, twarz jego przybrała wyraz surowy i pytający. August zwrócił się z zimną krwią do hrabiny:

— Proszę, rozkazuję, zostaw nas samych.

Hrabina z niecierpliwością, właściwą swemu charakterowi już miała otworzyć usta, gdy król powtórzył stanowczo, marszcząc brew:

— Odejdź!

Cosel ustąpiła, gniewne rzucając wejrzenie na Karola XII, który stał bardzo spokojny, rozpatrując się po zbrojowni. W rozpacz, przechodząc, chwyciła Flemminga, któremu też pałały oczy. Flemming wzruszył ramionami. Augusta wzrok nakazywał obojgu milczenie. Z wielką spokojnością król przyjął gościa tego.

— Wieleśmy słyszeli o sile waszej — odezwał się szydersko nieco Karol XII, — radbym widzieć jeden z tych cudów, które tak łatwo czynicie.

Na ziemi leżał pręt żelazny, August go podniósł.

— Dacie mi rękę waszą — rzekł z uśmiechem, — nie lekając się, bym ją obraził.

Karol szeroką dłoń namuloną podał w milczeniu: August począł skręcać pręt i opasał nim rękę króla. Spojrzeli sobie w oczy. Żelazo jak posłuszny sznurek owinęło się około ręki. W chwili gdy na węzeł je ujął August, z uśmiechem zerwał to pęto i rzucił je na ziemię. W milczeniu przypatrując się tej sztuce zięczności i siły, Karol po zedł za swym przewodnikiem po zbrojowni. Broni było pod dostatkiem.

— Macie żelaza dość — rzekł lakonicznie Szwed, — co za szkoda, że ludzi wam do niego brakuje.

Ze zbrojowni, która leżała w obrębie twierdzy nieopodal od bastionu Böttgera, poszli królowie oba do zamku razem. Karol XII chciał powrócić do Dreźnie rodzinę swego nieprzyjaciela odwiedzić; okazywał on dla niej i wprzódby tem większy szacunek, im wybitniej odmawiał wszelkich względów Augustowi II.

Tymczasem z odwachu po mieście rozeszła się wieść o przyjeździe Karola XII do Dreźnie, w towarzystwie zaledwie kilku jeźdźców.

Inną jego oludziło nadzwyczajne zajęcie... protestanci szczególniej, słysząc, co uczynił dla ich współwyzwalców na Śląsku, cisnęli się, aby go zobaczyć. Ten młody dwudziestokilkuletni był nówce dla porządku Europy... Dwór, Flemming, co otaczało i przywiązane było do losów Augusta II, wzburzone było zachwalstwem bohatera, który uragał zwyciężonemu, z usłokiem triumfatora wciśniętą się bezbronny do jego gniazda... Flemming rozpromieniony, Co el rozgorączkowany... odgrążali się... Pierwszy z nich porządkiem kazał zwołać ludzi załogi, aby, chociażby mimo woli Augusta, nie-

przyjaciela pochwycić; Anna porwała pistolet i odgrażała się, że wybiegnie w ulicę, aby mu w łeb wypalić...

Poruszenie było ogromne, powszechne... widoczne już po drodze do zamku, którą August z Karolem przybywał. Jeden król zachował swą niewzruszoną twarz jasną i pogodną, którą zdawał się nakazywać wszytkim spokój... Zdawał się nie przygotowania, które i oka Karola XII ujść nie mogły. Szwed jednak ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu i odwagi...

Nie usiłował wcale skrócić swoich odwiedzin, nie śpieszył się z powrotem, a że August rad był zatrzymać go także, może dla wypróbowania jego odwagi i cierpliwości, odwiedziny to przeciągnęły się bardzo długo. Karol poszedł pokłonić się królowej, prosił, aby mu pozwolono uściskać młodego kurfurstę... podwieczorku jednak odmówił chłodno. Pół godziny siedzieli na zamku, w czasie której Flemming miał czas zebrać ludzi, porozstawiać ich i na wypadek, gdyby król w Dreźnie zatrzymać nie dozwolił nieprzyjaciela, wysłał na własną odpowiedzialność oddział jazdy, który na drodze do Meissen miał go opasać i pochwycić.

Gdy Karol XII był jeszcze u królowej, Flemming potrafił króla wywołać.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł gwałtownie, — jest to jedyna chwila, w której wszystkich swych krzywd pomścić możesz... Karol XII w twoich rękach...

— Ułny w mój honor — odparł August — i dlatego włos mu z głowy nie spadnie.

— Najjaśniejszy Panie — dorzucił Flemming, — toby była śmieszność unosić się wspaniałomyślnością względem człowieka, który takie zadał ci kleszczyki... Ja mimo twojej woli go pochwycę, choćbym miał za to stracić głowę.

— O głowę twoją mi nie idzie — rzekł spokojnie August — ale o coś większego nad nią: o mój honor królewski. Ani mi się waży nic przedsiębrać!

— Na własną rękę? — pochwycił Flemming.

— Nie masz własnej ręki, gdzie jest moja — rzekł August, marszcząc się.

— Nie pozostaje mi tylko skruszyć szpadę, którą służyć wam nie mogę.

To mówiąc generał chciał dobyć ją z pochwy, gdy August go powstrzymał.

— Flemming, nie zapominaj, że ja tu jestem, że o moją sprawę idzie, i że nikt tu rozkazywać nie ma prawa... oprócz mnie.

Odwrócił się groźny, generał zamilkł, spojrzeli na siebie, Flemming kipiał.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł, — stracisz i drugą koronę, tak postępując...

To mówiąc, wymknął się, a król powrócił spokojny do żony, przy której zostawił gościa. Karol XII ani spojrzał na wracającego, chociaż mógł się domyślać, iż za drzwiami radzono o nim...

W czasie, gdy się to działo na zamku, Cosel chciała koniecznie wybiec w ulicę, i znaleźć miejsce, aby strzelić do Karola XII. Zaklika, który ją widział poruszoną do nieprzytomności, wszelkimi sposobami starał się ją powstrzymać, szczególnieją uwagę, że lud widział w Karolu możnego opiekuna protestantów i mógł się zburzyć w jego obronie. Takie było usposobienie większej części społeczeństwa, które wylało się na ulicę, a pojmując je, August II musiał się też powstrzymać od wszelkiego gwałtu, lękając wzburzenia ciżby.

August II kazał sobie podać konia, aby towarzyszyć nieprzyjacielowi. Ulice napelnione ludem, okna pełne głów ciekawych... nadawały miastu niezwykły pozór. Głuche, dziwne milczenie towa-

rzyszyło przejeżdżającym; zdaje się, że tłumy oddech przytrzymały, aby usłyszeć choć słowo z rozmowy... ale rozmowy nie było... Wszystkie oczy wlepione były w Karola, który jechał spokojny, nie okazując po sobie najmniejszej oznaki jakiegokolwiek uczucia; obok niego August posępny i zadumany, ale majestatyczny. Wprost ulicami, przez które ledwie przecisnąć się było można... zwrócili się do bramy ku Meissen wiodącej. Król posłał, rozkazując, aby na cześć Szweda trzykrotnie z dział na wałach uderzono... Na pierwszy dział odgłos, gdy Karol XII zwrócił się dziękując, August przyłożył obojętnie rękę do kapelusza, z uśmiechem. U wrót i w chwili wyjazdu powtórzyły działa salwę... Karol XII chciał tu pożegnać gospodarza, lecz August znał nadto dobrze Fleminga i swoich, by się nie domyślił, iż na drodze postawią zasadzkę. Jedynym sposobem ocalenia Szweda od napaści a razem honoru własnego, było przeprowadzić go tam, gdzie już niebezpieczeństwo żadne grozić mu nie mogło...

Przeprowadził więc król gościa w milczeniu, obok niego jadąc, pół mili aż do Neudorf. Tu rozstali się, podając sobie ręce. Karol XII puścił się szybkim kłusem w dalszą drogę, August pozostał chwilę zamyślony, spoglądając przed siebie i wążąc: źle czy dobrze postąpił, idąc za głosem honoru.

Stał jeszcze na gościńcu wśród zarośli, które za wsią po wytrzebionych lasach zostały, gdy Fleming nadbiegł konno gniewny, z zapalonemi oczyma.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał, — jeżeli sądzisz, że Europa podziwiać będzie wspaniałomyślność twoją, i myślisz, że zapłacisz jej wypuszczeniem Karola za uwięzienie Patkula, myślisz się... Rozśmieją się ludzie z tego bohaterstwa... Tego

arwi chciwego młocnika trzeba było we własnej skapać posoce...

— Milczeć, Flemming! — zawołał król groźnie. I sam jeden podążył do miasta.

U wrót pałacu czterech pór roku zsiadł z konia... tu go czekała Cesel, gniewniejsza od Flemminga, zalana łzami, zrozpaczona.

— Nie przystępuj do mnie... — zawołała — popełniłeś błąd, dźwuciłeś moją radę; nie chcę cię widzieć. Dwadzieścia latka miljonów ze skarbu, składowie set tysięcy ludzi... śmierć twych oficerów, wstyd swój, wszystko mogłeś pomścić i nie chciałeś, nie umiałeś; lekałeś się... Staza kobieta byłabym złaśnie; pomsty się chwyciła na twem miejscu...

Król posłł na kanapę i dał się hrabinie wygnieć, nie odpowiadając słowami; dopiero gdy znużona padła, płacząc, z a śledzenie, rzekł zimno:

— Plamie rąk zemstą nie chciałem; pomści się za mnie kto inny.

Nazajutrz jednak sam on widząc, jak wszyscy inni wyrzucili jego zbytnią powolność, kazał zwołać radę wojenną. Rada z Flemmingiem razem objawiła zdanie, iż człowieka, co tylekroć wymagałami swemi pogwałcił prawa narodów, godziło się, mając w ręku, uwięzić i wymusić na nim inne pokroju warunki, tak jak on je na znękanym Auguste wymógł bezżelaznie.

Król zmilczał.

Mówiąc, że o tej radzie później posłyszawszy w Wiedniu posel szwedzki, rzekł z pogardą: „Jestem pewny, że urządzili tam nazajutrz, co wczoraj zrobić należało...”

XII.

Jeszcze król szwedzki nie opuścił ziemi saskiej, gdy August, pocieszając się po wypadkach, które

tak snutne na długo ślady zostawiły po sobie, z największą wspaniałością rozpoczął zabawy, na które wprawdzie czasu było dosyć, ale pieniądze wszelkimi sposoby musiano zdobywać.

Cosel była naówczas na szczycie swej wziętości i panowała despotycznie królowi i królestwu. Wszystkie zachcianki uwolnienia się od jej rządów rozbijały się o namiętność Augusta dla niej. Cosel towarzyszyła mu ciągle; ona poddawała coraz nowe zabaw pomysły, a znając króla, spocząć mu nie dawała na chwilę, aby nuda i znużenie nie miały czasu go opanować. Ona królowała wszędzie w blasku odmłodzonej piękności, uwielbiania przez cudzoziemców, uznana przez wszystkich, co ją widzieli w tej epoce, niezrównaną i czarującą.

Wkrótce po odjeździe Karola XII, po balach i karuzelach, zgromadziwszy na swym dworze mnóstwo cudzoziemców, posłów, błędnych rycerzy całego świata, August wyprawił wspaniałą uroczystość strzelania do ptaka. Obok Augusta w złotej zbroi, wszędzie na białym koniu swym ukazywała się amazonka w najwykwintniejszych strojach, zdumiewająca zręcznością we władaniu rumakiem, w obejściu się z bronią, w bieganiu do pierścieni. W tych ćwiczeniach, w których króla zachwycala, nauczyła się celować. Przytomny król Peterborough nie umiał wyrazów znaleźć dla odmalowania swego zachwyty. Ukazanie się jej na placu witały strzały z moździerzy. Król wydawał się jej pierwszym dworzaninem, najświetniejszy krąg panów, magnatów, dostojników ją otaczał. Ona była królową zabaw, ona kierowała niemi; jakże nie miała upewnić się, że władza jej nigdy ustać nie mogła.

Gdy pocziwy i szczerze jej przyjazny Haxthausen, gdy rzadko odzywający się Zaklika, któremu mówić nie było wolno, wspomnieli czasem,

zalecając baczność na przyszłość i przypominając płochosć króla, Cosel marszczyła się i zrywała.

— Jestem jego żoną — odpowiadała, — mógł porzucić kochankę, ale nie będzie śmiał małżonki. Zresztą wie, co go w takim razie czeka: strzelę do niego i sama się zabiję.

Królem kurkowym został na strzelaniu ten poseł angielski M. Robinson, który z rąk pięknej Cosel otrzymał nagrodę. Obchodzono wielką ucztą to zwycięstwo.

Tak skończył się ten rok nieszczęśliwy zabawami bezustanku, następującymi po sobie. Cosel je wymyślała, król wykonywał. Nieprzyjaciele hrabiny nie śmieli już ust otworzyć, choć skarb był wycieńczony i kraj jęczał pod ciężarem wymysłów Hoyma.

Na wielkanocny jarmark do Lipska towarzyszyła królowi Cosel. Jarmarki te nad wszystko lubił August II, zrzucał naówczas królewską pychę z siebie, mieszał się z tłumem, ocierał o lud, szukał rozrywek najgminniejszych i z fajką w ustach po całych dniach widywano go w ulicach miasta, często w towarzystwie, które wcale dostojności królewskiej nie przystało. Dwór naówczas stawał u Apfel'a czyli, jak wówczas mówiono, w gospodzie pod jabłkiem, bo dom kupca miał za godło jabłko złote. Szalano tam dnie i noce, zwabiając obcych i aktorki, przybyłe z wędrującymi teatrami.

Cosel mogła tylko pilnować swego pana, aby zbyt daleko się nie posunął w tej hulance zapamiętałej, ale powstrzymać go od niej nie mogła. Nawet gdy Karol XII był jeszcze w Saksonji, a jarmark, opłaciwszy się stu tysiącami talarów, zebrał się pod jego opieką, August się musiał zjawić na nim. Z całego świata awanturnicy i awanturnice zbierali się na ten mięsopust szalony... Król roz-

rywki nawykł był szukać wszędzie, gdzie tylko mógł ją znaleźć.

Dnia dwunastego maja w Dreźnie obchodzono dzień imienin króla, na który przybyli książę Eberhard Ludwik wirtemberski i Hohenzolern; pito więc śmiertelnie i nazabój, strzelano, jeżdżono, polowano, a Cosel niezmordowana towarzyszyła zawsze i wszędzie królowi.

Na starych słowiańskich sadybach łużyckich w Niżycy leży odwieczna osada u stóp góry, którą „stołpami” niegdyś zwano. Dziwną natury igraszką, wyparte z łona ziemi siłą jakąś potężną, sterczą tu bazaltowe słupy czarne, ściśnięte jakby ręką duchów, obrobione w foremne olbrzymie kryształły. Na tych skałach, które żelazo z trudnością pożyć może, przed wieki wznosił się gród panujący i broniący u stóp jego rozłożoną osadę. Z wierzchołka góry, z której wnętrzości wychodzą czarne słupy, wzrok sięga w dalekie kraje dokoła; na południe widać wyniosłości lasami okryte gór saskich i czeskich, ku zachodowi sterczy grzebień miedzianych gór Saksonji; bliżej, jak olbrzymie ucięte piramidy widać zamkowe skały, na których siedzą Sonnenstein, Dittersbach... Ohorn, na wschód lasy i góry Hochwaldu: w linii dalej mającej osady czeskie.

Stary zamek stołpeński, który biskupi mejsenscy posiadali i ozdabiali, starając się go ukrzepić, stał jeszcze, wspaniale acz smutno, przedstawiając się oku ze swemi śpiczastemi wieżycami, często nawiedzanemi od piorunów, ogromnemi murami okólnemi, basztami i bazaltową podstawą, którą go natura opasała. Przy zamku znajdował się zwierzyniec... w pobliskich lasach nie brakło zwierza. August II, gdy go jednostajność nudziła, przejeżdżał się chętnie po kraju.

Jednego lipcowego dnia pięknego, nim skwar

dopiekać za to, jak konie do przejazdu stały gotowe pod zamkiem. Dniem wprzód jeden ze współbiedniaków opowiadał królowi o dziwnej górze, ze słupów jakby żelaznych zbitej, na której stał stołpeński zamek. Król go sobie nie przypominał, chciał go zobaczyć.

Rosa jeszcze okrywała drzewa i trawy, a słońce zwolna podnosiło się nad opary ziemi, gdy konie rżały już u ganków, a służba liczna związała się, czyniąc przygotowania do drogi. August miał siadać na konia, gdy od Cosel posłany przybiegł Zaklika z zapytaniem, gdzie najjaśniejszy pan udać się miał zamiar.

— Powiedz twej pani, że jadę widzieć Stolpy — rzekł król — a jeśli chce, niech mnie dogoni, bo czekać dla skwaru nie mogę i nie doczekałbym się, nimby ze strojem skończyła.

Cosel ledwie z łóżka wstała, niecierpliwie wyglądała oknem, gniewając się już, iż jej znać nie dano o wyprawie. Gdy Zaklika przyniósł odpowiedź, a razem ujrzała króla siadającego na konia, ubodło ją to mocno, iż czekać nie chciał. Kazała siodłać konie; zaproszono Haxthausena i kilku młodzieńców: wszystko w pół godziny miało być gotowem. Cosel postanowiła pokazać królowi, iż się długo stroić nie potrzebuje, aby być piękną. Chciała go dopęścić, nim u Stolpów stanie. W pół godziny zaproszeni towarzysze wyprawy stali z końmi, biały arab Cosel z długą grzywą, z siodłem, ponsowym aksamitem obitym i kucem złotem, rżał z niecierpliwości. Piękna pani wybiegła i zdumiała swych wielbicieli. Strój jej był dziwnie do twarzy. Na głowie miała kapelusik niebieski z piórami białem i lazurowym, na sobie żółtokor tegoż koloru, cały szamerowany złotem; biała szeroka suknia z tyf-tyku, brązowana złotem, dopełniała stroju. Sko-

czyła na konia, który przysiadł dla niej i wstał zaraz cały drżący, rwąc się do biegu. Wodzącym uśmiechem piękna królowa powitała swych towarzyszków.

— Panowie!—zawołała, wznosząc do góry rączkę stojącą w bicz, którego rąkojeść połyskiwała drogiemi kamieniami.— Król jegomość wyzwał mnie do wyścigu. Jest pół godziny, jak ruszył; choćby konie popadały, a ja-m miała szyję ściągnąć, lecim, co konie wyskoczą! Kto mi sprzyja, za mną!

To mówiąc, zuchwała amazonka zwróciła konia ku bramie, ściągnęła cugle, zmarszczyła brwi i pomknęła wprost na ulicę. Troskliwi o nią, Zaklika z jednej, koniuszy jej z drugiej strony, stanęli, aby w przypadku konia pochwycić i śmiałą rycerkę ratować mogli. Reszta towarzystwa sunęła za nią. Biały arab pomknął odrazu chyżo; zatętniał most pod kopytami koni, przelecieli stare miasto, w prawo droga wiodła na lasy do Stółpów. Szczęściem gościniec był szeroki i piaszczysty, chwila poranna i orzeźwiająca... konie wypoczęte i silne. W milczeniu sunął w tamanie pyła błyszczącej orszak hrabiny, jakgdyby wichor go pędził. Arab wyścigał inne konie, Cosel z czarnem okiem, w którem ogień jakiś palał, z zarumienioną twarzą, z uszy półotwartemi, zdawała się napawać tą jazdą szaloną.

Przelatywali góry i lasy, łąki i ciche puste pola, gdzie niegdzie nad drogą wydarte; kraj w tej stronie mało zasiedlony naówczas, wendyjskie tylko wioski z ich chatami o drewnianych podsieniach i wysokich dachach migwały w sadach wiśniowych. Po drodze gdzie niegdzie spotkany wieśniak zdębmował czapkę przed zjawiskiem cudownem... a nim na zapytanie o króla mógł odpowiedzieć, jeźdźcy mu w kurzu obłokach znikali.

Konie okryły się pianą, koniuszy po godzinie takiego biegu zaklinał, by się zatrzymać. Cosel słuchać nie chciała, w ostateku zwolniła nieco biegu i u wrót starej chaty sama zatrzymała białego. Stanęli wszyscy... konie dyszały i parskaly. We wrotach od podwórka stała kobieta żółta, wynędzniała, okryta plachtą, podparta na kiju. Popatrzała na jeźdźców z jakąś obojętnością, jakby innego świata istota, i odwróciła oczy.

Raz tylko wzrok jej spotkał oczy Cosel, a piękna królowa wewnątrz zadrżała od niego.

Spytano kobiety o orszak królewski: potrząsła głową.

— Alboż wiem, co król i co królewskie? — zapytała. — My królów nie mamy... nasi pomarli.

Mówiła to zwolna, obojętnie, mową łamaną i akcentem obcym.

W chwili gdy ją rozpytywać zaczęto, z chaty wyszedł w granatowym przyodziewku z wielkimi guzami mężczyzna lat średnich, z włosami długimi, w krótkich spodniach i pończochach; zdjął kapelesz pokornie i gości pozdrowił czystą saską niemczyzną.

Zawiadomił on, że król przed trzema kwadransami może w istocie przejeżdżał drogą, ale parł tak konia, iż go pewnie dogonić nie było podobna, chyba by gdzie spoczywał, a do Stołpów nie potrzebował król wydychać.

Cosel straciła nadzieję wyścignienia go, spytała o krótszą drogę, choćby być miała najgorszą; ale żadnej nie było, gdyż w prawo doliny były przernięte trzęsawiskami i gęstymi zaroślami, których by konie przebyć nie mogły.

Cosel skoczyła z siodła, dając chwilę spoczynku swym towarzyszom. Gorąco dopiekało, rzucili się wszyscy do wody: Niemiec ofiarował się z piwem...

Na ten raz i wiejski ów napój przykwaśniały wydał się wyśmienitym...

— Cóż to za kobieta? — spytała Cosel gospodarza, wskazując żebraczkę stojącą ciągle o kiju w bramie i wcale nawet nie okazującą ciekawości dla pięknej pani.

Niemiec wzruszył ramionami pogardliwie.

— To jest... Słowianka... Wendka! Nie mogę się jej stąd pozbyć... Mówi, że ten dwór niegdyś do jej ojca należał... Mieszka tu gdzieś nieopodal w ziemiance wykopanej, a raczej rękoma wydartej pod górą; nie wiem, czem żyje, a chodzi mi po polach całe dnie i mruczy: któż wie, pewnie szatańskie jakie zaklęcia! bo to niezawodnie czarownica... Chciałem jej zapłacić, by sobie poszła gdzie dalej, ale się ruszyć stąd nie chce, mówiąc, że to ojców jej ziemia i że na niej umrzeć i kości złożyć musi. Nieraz nocą, gdy burza ryczy, ona śpiewa, a nam dreszcz chodzi po skórze, słysząc ten głos... I nie bardzo ją wypędzać można — dodał coraz ciszej — umie ona wiele, zaklęcia ma na szatanów, że jej służą, i czary straszne.

Po chwili z westchnieniem dodał:

— I prorokuje przez szatana... a doprawdy nie myli się nigdy...

Cosel, zaciekawiona, zwróciła ku niej oczy i podbiegła... Ona jedna była tak śmiała, bo reszta towarzystwa na wzmiankę o czarach rozsunała się i rozpierzchła, ustawiając nieco opodal.

— Jak jej imię? — spytała Niemca.

Zawahał się gospodarz i tak cicho, że go ledwie usłyszeć było można, szepnął:

— Mława.

Choć Cosel z trudnością rozeznała głos jego słumiony, stara ruszyła się, jakby posłyszala swe imię; podniosła głowę wychudłą dumnie, sirzepnia

długimi włosy, które ją wkoło obwieszały i zdawała się obrażona szukać oczyma czarnemi winowajcy, co śmiał wymówić jej imię.

Cosel, nie zważając na podziw tych, co ją otaczali, z wolna zbliżyła się do starej. Przez chwilę śmiało patrzyła sobie w oczy.

— Kto ty jesteś, stara? — spytała wkońcu Cosel — żal mi twych siwych włosów, sponiewieranych w pyle i nędzy twej; powiedz, dlaczego jesteś tak biedna? jak?...

Mława potrząsa głową.

— Ja nie jestem biedna — odezwiała się dumnym głosem — ia w sobie noszę jasnych lat pamiętkę, ja tu jeszcze jestem, czem był mój ród dawniej: królową...

— Ty? Królowa?... — rzeźmiła się Cosel.

— Tak! mogłam być nią, bo krew królów tej ziemi starych płynie we mnie, tak jak ty... chociaż królowa jesteś, możesz być jutro nędzną, cą mnie podobną... Na świecie wszystko możliwe...

— Jakich królów, jakiej ziemi? — zaczęła zadumana Cosel — ty?

Stara podniosła rękę i wskazała kraj dokoła.

— Wszystko to było nasze... wszystko, pókiście wy nie przyszli i ziemi nie skuli, a nas nie wybili jak dzikiego zwierza. Bo myślny byli dobrzy i szliśmy z chlebem, solą i pieśnią, a wyście szli z żelazem, żugwią i śmiechem... I siedliście i rozmnożyło się plemię Niemców i wyparło nas z ojcowizny... To ziemia moja! — powtórzyła zadumana — i choć tu żyć nie mogą, ja umrzeć tu muszę... Stąd ducza do swoich znajdzie drogę...

— Umiesz wróżyć? — spytała Cosel po chwili, jakby gorączkową ciekawością zdjęta.

— Jak komu... jak kiedy... — obojętnie rzekła Mława.

— A mnie?

Stara popatrzała na nią długo i z politowaniem.

— Poco ci wróżba?—spytała — kto doszedł tak wysoko, ten tylko spaść może... nie pytaj...

Cosel pobladła, ale uśmiechem chciała okazać męstwo, choć się jej wargi trzęsły a łzy nabiegały do oczów...

— Cóż mi powiesz? ja się niczego nie boję—rzekła. Umiem szczęściu patrzeć w oczy, jak w słońce, potrafię spojrzeć w ciemności...

— A gdyby noc była długa... długa?...

— Nie będzie wieczną—odparła Cosel.

— Któż wie? kto wie?—szeptała Mława i wyciągnęła dłoń.—Pokaż mi rękę.

Hrabina nieco się cofnęła, lękając, by jej dotknąć nie chciała: naówczas wierzono w czary.

— Nie bój się, moja piękna—spokojnie odparła Mława,—nie zbruczę ci białych paluszków.., oczyma tylko jej dotknę...

Posłuszna Cosel zdjęła rękawiczkę, i śliczna, biała, jak z kości słoniowej utoczona dłoń błysnęła pierścieniami okryta przed oczyma zdumionej kobiety... Chciwie zmierzyła ją wzrokiem...

— Śliczna rączka! warta, by królowie ssali z niej słodycze; ale, dziecko moje... straszne na niej znaki... Ta dłoń niejedną raz dotknęła twarzy, która na nią zuchwale spojrzała? nieprawdaż?

Cosel zarumieniała się, Mława, głową wahając, zamyślona stała.

— Cóż mi powiesz? — szepnęła niespokojnie hrabina.

— Jedziesz do przeznaczeń twoich? Któż uniknął kiedy losu? kto kiedy przepaść zobaczył? Po długiem szczęściu czeka cię dłuższa, o! dłuższa pokuta... czeka cię niewola... dni nieprzeżyte, nocv nieprzespane, łzy niepolichzone... będziesz z dziećmi

bezdzienna, będziesz z mężem wdową, będziesz królową a niewolnicą, będziesz wolna i odtrącisz swobodę... będziesz... o! nie pytaj...

Cosel błada była jak marmur, ale się jeszcze uśmiechać chciała: usta się jej krzywiły.

— Com ci przewiniła—rzekła—że chcesz mnie przerazić?

— Ja się lituję nad tobą—odezwała się Mława.
—Poco było chcieć wglądać w duszę moję... tam piołuny tylko rosną, ze słów gorycz płynie. Żal mi cię.

Spuściła głowę stara.

— Ty jedna! Co ty jedna, to tysiące na tej ziemi przeboleło, przejęczało i pomarło bez mogiły i proch ich wiatry rozwiały... Jak ty, jęczały tysiące długą a długą niewolą: ojcowie moi, dziadowie moi, praszczury nasze, królowie; jam już ostatnia. Niemiec wypędził mnie z domu.

Nie mówiąc nic, Cosel dobyła złoty pieniądz i chciała go położyć na ręce starej, ale ta się cofnęła.

— Nie wezmę—rzekła, — jałmużny nie chcę, a dług wasz zapłacicie kiedyś inaczej, licząc go tam!

Podniosła palec do góru i, zerwawszy się, otulona płachtą, powiokła się poza płoty na łąkę.

W czasie tej rozmowy towarzysze Cosel stali w oddaleniu, podziwiając jej odwagę; Niemiec gospodarz także wpatrywał się w tę scenę, od której tylko ciche dochodziło go mruczenie. Nikt nie śmiał spytać Cosel, dlaczego była tak błada, dlaczego zamysłona chwiciła konia za grzywę i siadłszy, rzuciła mu prawie cugle na szyję, dając iść jak zechce.

I jechali znowu, lecz nie cwałem, nie pogonią; konie parskwały. Zdała ukazały się śpiczaste, piętrzące się wysokie wieże. Koniuszy cicho wymówił:

— Stolpen.

Po godzinnej prawie drodze zdążyli do stóp zamku. Naprzeciw palisady z bazaltów czarnych stała tu cała kalwakata króla, oczekując zdala już dojrzanej hrabiny.

August wyszedł naprzeciw niej, śmiejąc się.

— Godzinę najmniej czekałem!—rzekł.

— A jam z pół godziny zmarnowała z jakąś żebraczką, której sobie wróżyć kazałam! — odpowiedziała Cosel.

Król, zdziwiony, spojrzał na nią.

— I wywróżyła?—zapytał.

Anna popatrzała nań i łzy jej z oczów pociekły. Było to tak dziwne zjawisko, że August się zmieszał i nastraszył. Uśmiechem i czułością starał się jej wesołość zwykłą przywrócić.

— Co za wspaniałe stare biskupów dawnych mejssenskich zamczysko! — rzekł, wskazując na mury.

— Szkaradne! okropne! straszne!—odezwiała się Cosel, wstrząsając. — Dziwi mnie, że król mógł tu jechać dla zabawy, gdzie groza i wspomnienia katastrof i wojny królują.

— Bo, pani moja—przerwał August,—oczy twe śliczne i najposępniejszą dla mnie mogą rozjaśnić okolice; z tobą mi wesoło wszędzie.

I podał jej rękę, na której Cosel, zamyślona, wsparła się i zwiesiła. Poszli tak razem wokół starego zamczyska. Hrabina była milcząca, król pogodnego oblicza; któż wie? myślał może, gdy mu na Sonnen-i Königsteinie ciasno było z więźniami, tu niektórych umieścić i dlatego zamek okrażywszy dokoła, zapragnął wniknąć do środka. Cosel go zatrzymała.

Stała w progu, patrząc na czarne wieże i mury. Król poszedł dalej. Oglądał wieżę Donata, zajrzał do izb, gdzie niegdyś były katownie; przy-

patrzył się Janowej wieży, zbudowanej przez biskupa Jana VI i klucznik, idący przodem, pokazał mu znowu katownie drugie, podziemie, zwane „Dół Mniszy” (Mönchsloch), w którym karano zakonników, więzienia „Richtergehorsam” Janowe i loch „Burgverliess”, do którego skazanych po drabinie spuszczano. Wszystkie one były w dość dobrym stanie, lecz puste. August oglądał je z ciekawością zaostrzoną, jakby w nich szukał śladów ludzi i męczarni; naostatek rzuciwszy okiem na mury forteczne, wyszedł powoli.

Zastał Cosel tam, gdzie ją zostawił, w niezwykłym pograżoną zadumaniu i z przestraczem niekiedy rzucającą okiem na wieże zamkowe.

— Cel dzisiejszej przejażdżki wcale nie wesoły — ozwała się głosem zmienionym, — nie można jej nazwać rozrywką. Chociaż nie widziałam zamku, robi na mnie wrażenie bolesne: zdaje się, że słyszę jęk ludzi, co tu cierpieli.

August się uśmiechnął.

— Nie, stało się to niewinnie — rzekł opojętnie, — trudno mieć czułość dla wszystkich. Ale skądże ci, piękna hrabino, te czarne myśli przychodzą? Odwróćmy się plecami do zamku i idźmy do zwierzyńca. Kazałem tam pod namiotem rozstawić stoły... napędzą nam zwierza, ożywisz się i będziemy przyklaskiwali, jak zwykle, twej zięczności.

Jak król rozkazał, stało się: u wnijscia do zwierzyńca, pod wspaniałym namiotem tureckim, który pamiętał wiedeńską wyprawę, stoły były w gotowości. Cosel zajęła pierwsze miejsce. Słońce się było podniosło i dopiekało silnie, powietrze ciężkiem się stało do oddychania i skwar czuć było nawet w usposobieniach wesołego zwykle towarzystwa, które się rozbawić nie mogło. Kyan, który przybył z królem, smutny i zwieszony nad

milczem, nie próbował błysnąć dowcipem zawsze gotowym. August nie lubił w swoim otoczeniu takiego pogrzebowego milczenia; prędko więc obmiesiono jedzenie, pozdejmowano srebra i łowczowie przynieśli strzelby, z którymi wszyscy weszli w głąb zwierzyńca.

Cosel poszła także z królem, ale z namarszczonemi brwiami: przypisywano to przepowiedni obłąkanej kobiety, na którą nastęrczyła się sama niepotrzebnie. W uszach jej w istocie brzmiały wyrazy białej Mławy, prorokujące straszną przyszłość, a choć w tej chwili nic w świecie domyślać się jej nie dozwalało, Cosel posępną była i smutną. August za nią okazywał niezwyčajną wesołość i, jakby naprzekór, unosił się nad pięknością Stołpów i mocą warowni, która u granic saskiego kraju mogła stać na jego straży.

Nad wieczór już, po zabiciu kilku sarn i dzików, król siadł na koń. Cosel jechała przy nim, ale gdy wyruszyli od stóp góry i mijali już miasteczko, z zachodu nadciągnęła chmura czarna, przed którą znowu do zamku schronić się musiano. W mieście nie było innego gotowego na przyjęcie królewskich gości schronienia. Więc, choć od wieków zamek kurfirstów nie przyjmował, musiano zardzewiałe drzwi komnaty okrągłej w Janowej wieży otworzyć. Służba pomieściła się, chroniąc od ulewy i deszczu, pod bramą Donatową i w murach pustych twierdzy. August i Cosel schronili się do starej komnaty sklepionej.

Kilka stołków drewnianych, ławy i stół dębowy, składały cały sprzęt tego smutnego więziennego mieszkania. Cosel, wszedłszy doń, obejrzała się, wzdrygnęła i przytuliła do króla.

— Panie mój—rzekła, — jakże tu okropnie, jak smutno, jak trupem czuć to ; usił

Gdybym był przeczuł, że się tu schronić będziemy musieli, byłbym choć jedną izbę przybrać kazał. Cóż chcesz, nikt tu prócz mnichów i więźniów a ich dozorców, nie mieszkał. Nie jest to miejsce rozkoszy: mury, choć nieme, czuć przeszłością.

Jakby dla zwiększenia wrażenia tej chwili na umyśle kobiety, która może pierwszy raz w życiu strwożoną się czuła, nadeszła ulewa z gradem, tłukąc w okna oprawne ołowiem, sypiąc jakby kamieniami po dachach i błyskawice, następujące bez przestanku po sobie, zdawały się wciskać do izb wnętrza. Z ogromnym bukiem i przerażającą jasnością na wieżę Donatową uderzył piorun, objął ją płomieniem i zlał się ku ziemi. Cosel krzyknęła z trwogi, król stał nieporuszony... ognia wszakże nie wzniecił grom z góry i po nim puścił się tylko deszcz rzęsy.

Pół godziny wrzał tak wicher z u'ewą ponad zamkiem, kulka jeszcze piorunów padło w bliskości, aż na zachodzie żółtym pasem oświecone pokazało się niebo i ciężar chmur czarnych na wschód się cały przewalił.

Deszcz skończył się jakby rosą cichą, słońce znów z za poszarpanych chmur końców jasnymi promieniami strzeliło.

Cosel odetchnęła.

— Al jedźmy, panie mój — zawołała — jedźmy, jedźmy: ja tu nie mogę oddychać!

W chwilę już siedzieli wszyscy na koniach i, orzeźwieni powietrzem burzą ochłodłem, zdążali nazad ku miastu. Gdy przyszło przed chatą, u której stała Mława zrana, przejeżdżać, Cosel szukała jej oczyma, ale tam jej już nie było. Opodał nieco czatowała, zdaje się, aby króla zobaczyć. Milcząc, rzuciła okiem na Cosel i z politowaniem uśmiech-

nęła się do niej jak dawna znajoma: August konia spał, odwracając się ze wstrętem.

Tak codzień nową jakąś rozrywką starał się czas skrócić sobie, odepchnięty od korony, co go tyle kosztowała, król August II. Miał on nienawiść do Karola XII, narzekał na przeciwnie losy, lecz nic nie dorównywało jego niechęci ku niewdzięcznym Polakom. Im wszystkie przypisywał nieszczęścia swoje i ci, co tajemnie mu sprzyjając, przybywali się pokłonić jeszcze, jakby przeczuwając przyszłość, doświadczała od niego gniewów, jakie miał w sercu dla całego kraju. Król siłacz, co o sławę bohatera wojownika był zazdrosny, który się malować kazał we zbroi i rycerskiej postawie, nie mógł zapomnieć, że go zwyciężył młodzik niepozorny i we własnym kraju mu się rządził.

Potrzebował podnieść swą sławę nadwreżoną jakimś czynem i, wysługując się razem cesarzowi, wybrał się jako ochotnik z małą garstką ludzi przeciw Francuzom do Flandrii. Zachowując jak najściślej incognito, wmieszał się w dwór księcia Eugenjusza Sabaudzkiego. Tu chciał koniecznie błysnąć odwagą, zyskać oklaski i narażał się osobiście do tego stopnia, iż go książę Eugenjusz i książę Marlborough musieli odwodzić, by próżno nie święcił tak drogiego życia.

— Na wojnie — rzekł król — trzeba być trochę kalwinistą i wierzyć w przeznaczenie.

Złośliwi ludzie szeptali z tego powodu, że król, mimo świeżo przyjętego katolicyzmu, podobno w nic nie wierzył. „Powiadają, że August wiarę zmienił — pisze Loeu, — mógłbym to przypuścić, gdyby ją kiedy miał”. To pewna, że już po przyjęciu katolicyzmu, ogromnemu psu faworytowi, bodaj temu, co stłukł szacowną flaszkę z merkurjuszem Böttigera, różaniec kładł dla zabawy na szyję...

Niedługo wytrzymałszy na wojnie, która dlań była rozrywką, przewidując, że oblężenie Lisle za długo się pocągnąć może, zatęsknił król do Saksonji — i Cosel.

Jednakże w ścisłym incognito, pod imieniem hrabiego Torgau wstąpił do Brukseli, gdzie jak najpilniej mu było zaprosić sobie na wieczór tancerkę Duparc, do sławnego naówczas restauratora Vernus, pod znakiem obfitości. Cztery panny z opery, król, Vitzthum, Bauditz i hrabia W... zabawiali się do rana; a August pannę Duparc do Drezna zaprosił.

Znać mu już hrabina była coraz obojętniejszą, a życie tak ciężkie do dźwigania.

XIII

W czasie niebytności króla namiestnik Fürstemberg i hrabia Flemming zmówili się i podali sobie ręce, aby się starać z pod panowania Cosel wyzwolić. Rozkazywała im jak królowa, obchodziła się z nimi z dumą kobiety, ufnej w siły swoje, szafowała pieniędzmi jak dziecią, które nie zna ich wartości. Przewaga, jaką miała nad królem, prze-rażała wszystkich i obóz nieprzyjaciół z każdym dnem powiększał się. Żadna z ulubienic królewskich nie miała takiej potęgi, wiary w siebie, i nie umiała tak długo niestalego Augusta II utrzymać przy sobie. Można było znieść fantazję pańską, ale dać się ugruntować władzy, która wzmagala się codziennie, stawało się niebezpieczeństwem dla wszystkich. Gorączkowo pragnął dwór cały kimkolwiek zastąpić Cosel, a obalić ją konieczni. Hrabina raczej domyślała się tego, niż wiedziała o knowaniach, ale gardziła nimi. Gdy jej donosił o nich wierny Zaklika, który się przysłuchiwał, co po dworze krążyło, Cosel śmiała się pogardliwie.

Powoli gromadziły się, skupiały wszystkie siły nieprzyjaciół, chociaż nie śmieli jeszcze wypowiedzieć jawnie wojny. Czekano w królu pewnych symptomów, któreby oznajmiły znużenie i wskazały, że walka da się rozpocząć z nadzieją zwycięstwa. Z jednej strony stały sprzymierzone siły ludzi nadzwyczaj zręcznych i przebiegłych, w intrydze dworskiej od młodości wyćwiczonych, przez zepsute i chytre kobiety posilkowanych; z drugiej Cosel du ona, zarozumiała, szlachetna, ufna w swe siły i wdzięki, w swe urojone żony nazwisko, w węzeł, który stanowiły przyznane jej dzieci... kilku przyjaciół nie mających znaczenia i kilka osób dwubarwnych, co gościły w obu obozach, wyczekując przewagi jednego, aby się doń przyłączyć. Zanosilo się na wojnę długą, ale przeciwnicy Cosel mieli przy zawziętości cierpliwość i w charakterze króla pewność skutku pomyślnego.

Cosel musiała się wreszcie przykrzyć ze swemi fantazjami, nienasyconą żądzą przepychu, królewską dumą i charakterem porywczym. Dotąd król znajdował w nim zabawę, lecz przebrana miara lada chwila mogła szale na stronę drugą przeważać.

Można powiedzieć, iż wszystko, co było na dworze znaczniejszego i więcej znaczącego, stało w obozie przeciwnym. Księżę Fürstemberg, hrabia Flemming, hrabia Reuss, panna Hülchen, Vitzthumowa łączyły się teraz do zajadłych przeciwniczek. Nieznoszna Glasenappowa wkłęciła się do domu hrabiny po to tylko, aby ją szpiegować i plotki od niej wynosić.

Korzystając z niebytności króla w czasie jego pobytu we Flandrji, namiestnik ze swej strony, Flemming, oddzielnie zmówili się na to, aby króla namieszczeniami o zbytkach i przepychu dworu hrabiny powoli do niej zniechęcać.

Odmalowali wymagania jej w tak przesadnych barwach, że August, znudzony, polecił pewną położyć jej tamę. Chwycił się tego Fürstemberg, oparłszy się kilka razy rozkazom wszechwładnej pani, która, gdyby nie stan jej niedozwalaający szukać z nim spotkania, odgrażała się opoliczkować go publicznie. Znający charakter pani Cosel mogli uwierzyć, iż spełniłaby to, co obiecywała. Nieosiężne słowo Flemminga ściągnęło nań także burzę i groźby.

Pochlebiali sobie jednak oba, wiedząc z listów Baudtza o zaproszeniu panny Duparc do Drezna, że panowanie faworyty mogło przeminąć i że pora przyszła stanowczo przeciwko niej wystąpić.

Tymczasem król od obozu przybywszy do Drezna, nie spojrzawszy na Fürstemberga, poszedł wprost do pałacu czterech pór roku, gdzie zastał Cosel znowu ledwie wstającą z łóżka po chorobie, piękną, a nie kiedy, czując a splakaną.

— Al! panie — zawołała rzucając mu się na szyję — zawsze pragnę i pragnęłam powrotu twojego, choćby godzinę tylko trwało oddalenie; ale nigdy może nie tęskniłam tak jak teraz. Wybaw mnie od prześladowania. Jestemże jeszcze panią twego serca, czyś mnie już z niego wyrzucił, aby ci ludzie mogli się pastwić nade mną!

— Kto? — zapytał król.

— Twoi najlepsi powiernicy i przyjaciele, ten opój przebrzydły Flemming, ten przewrotny świętoszek Fürstemberg, uczynili mnie pośmiewiskiem... spikali się na to, by mnie chorą, życia zmartwieciem pozbawić. Panie! ratuj mnie, lub powiedz, czyś już wyrok wydał na mnie.

Po długim niewidzeniu Cosel odzyskała wdziękiem niezrównanym, jaki posiadała, dawną swą władzę nad królem: August zaczął ją uspokajać.

— Fürstembergowi i Flemmingowi uszu natrę...
sądzę, że i chora zbyt wzięła do serca to, co może
bez zlej woli...

— Bez zlej woli!.. ale to są śmiertelni wrogowie
moi, tak jak tu wszyscy... nimi tylko jestem oto-
czona. Zazdrośni, radziby mnie wyrwać z twojego
serca.

Cosel płakała, król łez nie lubił i starał się ją
ukołoić.

Gdy po kilkogodzinnym pobycie wyszedł do
zamku, był już pod urokiem i na pierwszy wyraz
oskarżenia, z którem Fürstemberg wystąpił, odpo-
wiedział mu sucho, aby jutro szedł hrabinę prze-
prosić; księżę zamilkł.

— I ty i Flemming winniście; ale niecierpię kłótni
i swarów u mnie; jutro musicie być u niej; pogodzę
was.

Flemming, który sobie czasem pozwalał królowi
się sprzeciwiać, odparł:

— Najjaśniejszy Panie, toby było dla mnie zbyt
upokarzającym!

— A jednak przez to przejść musisz—odpowie-
dział król,—inaczej musiałbyś chyba ze dworu usta-
pić: nie obeszłoby się bez kłótni przy pierwszym
spotkaniu. Cosel nie przebacza łatwo, a ja awantur
nie lubię.

Napróżno general się oburzał i parskął, spojrzeli
po sobie z Fürstenbergiem... chwila nie była na-
deszła jeszcze, trzeba było się poddać króla roz-
kazom.

Niedalej jak nazajutrz król obu powołać kazał
do palacu czterech pór roku: musieli stawić się oba.
Cosel była zarumieniona od gniewu i dumna jak
królowa. August sam wprowadził winowajców.

— Sądzę — rzekł, — że tylko nieporozumienie
mogło być przyczyną, iż hrabina mi się uskarżała

na niewzględne z nią obejście. Podym zastrzeż wspomnienie to... hrabina zapomni, panowie, jako grzeczni i szanujący pleć piękną, nie weźmiecie jej za złe, jeśli tam słówko jakie w żelu rzuciła. Proszę to puścić z obu stron w niepamięć.

Gdy król to mówił, z obu stron zmierzono się oczyma. Cosel wzrok był jeszcze gniewu pełen i oburzenia. Fürstemberga nienawiści, Flemminga chytrego szyderstwa. Skłonili się jednak oba grzecznie bardzo, a mruczenie ich można było wziąć za komplement.

Z obu stron nie łudzono się wcale szczerością zgody, wiedzano, że to był rozejm do czasu, i że walka rozpocznie się przy pierwszej do niej zrzeczności. Po tem urzędowem przednapieniu, którego i sam król pewnie czuł pozorność, księżkę i generał, przemówiwszy kilka słów obojętnych i chłodnych, odeszli. Król pozostał u Cosel. Pięć już lat trwała miłość jego stała, przynajmniej powierzchownie, dla piękniej hrabiny; oczekiwano co chwila przesytu i zmiany: napróżno. Hrabina Reuss i Vitzthum, kandydatki do tronu, na różno upatrywały zaćmienia blasku jej piękności; była to jedna z tych dziwnych istot, obdarzonych niemal nieśmiertelną młodością, których liś marmurowego żadna boleść wyszczerbić nie może. Pokątne miłości króla nietrwały, gminne, mogły go rozrywać, ale nie potrafiły zastąpić przywiązania do kobiety, która miała za sobą i charakter szlachetny i umysł wykształcony, i wszystko coby ją wśród tysiąca innych odznaczyć mogło. Hrabina Cosel August, pełen próżności, mógł się pochwalić przed światem, mógł ją pokazać i chlubić się zdobyczą; wszystkich innych musiał się wstydzić. Żadna z tych, co poprzedziły Annę, nie dorównywała jej ani pięknnością, ani umysłem, ani charakterem. Napróżno

chciano coś znaleźć przeciwko niej, coby choć do zręcznej potwarzy dostarczyło oręża; złość czuła się bezsilną, bo życie, pani Cosel jawne całe, nie miało żadnych tajemnic; niezmierna pycha tylko i powtarzane jej napomnienia, że jest żoną i królową, całą winę stanowić mogły.

Wkrótce po tej scenie zręczni nieprzyjaciele w inny sposób postarali się króla z nią poróżnić. Zaproszenie tanecznicy Duparc do Drezna dało im w ręce oręż. Wiedzieli, jak Cosel była zazdrosną i ile razy August musiał od niej znosić najprzykrzejsze wymówki i groźby z powodu bałamuctw swoich. Użyto Glasenappowej. Zamawiając pannę Duparc, król nie przyznał się wcale, kim był, poznała go pod imieniem hrabiego Torgau, a przybywszy do stolicy, biegła napróżno, szukając tego nazwiska... Miała ona tu ciotkę w teatrze...

Ta zaprowadziła ją do szambelana Murdachs, dyrektora zabaw królewskich, który był o wszystkim uwiadomiony. Zdziwiła się ciotka niezmiernie, gdy pan szambelan przyjął Duparc ze szczególnymi względami, ofiarował się zaraz wszelkie jej żądania spełnić i wyraził życzenie, aby wystąpiła w balecie księżnej Elidy, który właśnie przygotowywano na powrót królewski. Wszystko to miało być dziełem hrabiego Torgau, w którym ciotka i panna zaczęły się już króla domyślać. Domyślano się go więcej jeszcze po bezimiennych darach, jakie jej przysłał.

Cały dwór zaraz wiedział, że Duparc, ujrawszy króla w teatrze i poznawszy w nim hrabiego Torgau, omdlała z radości; że król aktorowi Beltour kazał ją ratować, i że Cosel uraziła się tą wielką troskliwością Augusta o zdrowie awanturnicy.

— Zdaje mi się, Najjaśniejszy Panie -- odezwiała się hrabina urażona, -- że to jest abytek łaski,

opiekować się tak nieznana jakąś istota, weale zapewne nie zasługująca na te względy.

August się obraził i odparł sucho:

— Prawda, że nieraz mi można było wyrzucać zbytek dobroci dla osób, które jej nadużywały; sądzę wszakże, iż ta Duparc skromniejszą będzie.

Scena w loży się odbywała. Cosel, nie poskramiając ani ruchów, ani głosu, rzuciła się w głąb na siedzeniu, wołając:

— Wasza Królewska Mość masz szczególny gust do ulicznic.

Lękając się, aby z tych słów scena nie wybuchła publiczna, o którą nie było trudno, król wstał i wyszedł do loży królowej, z którą był brat jej, margrabia Brandenburg-Bareuth.

Chwilę, wystawiona na oczy całego dworu i sztyderskie uśmiechy, hrabina przesiadywała ze spuszczoną głową, zawołała, że jej się robi słabo, kazała podać lektykę i powróciła do domu. Tym razem król, który sobie w fantazjach swych zawadzać nikomu nie dawał, rozgniewany, ani poszedł do niej, ani się kazał dowiedzieć.

We łzach, w rozpacz, w gniewie, Cosel spędziła wieczór cały. Już się gościa żadnego spodziewać nie mogła, gdy późno w noc wdarta się prawie przemocą baronowa Glasenappowa.

Nieprzyjaciółom hrabiny zdawało się, że już rozjątrzoną, podbudzając jeszcze do wybuchów zazdrości, których król widocznie na ten raz znosić nie chciał, zdolają przyspieszyć zerwanie.

Duparc wprawdzie nie mogła się mierzyć z Anną, ani się jej kiedy śniło by dostąpiła tego szczęścia; lecz szło tylko o to, aby obalić panią Cosel lub przynajmniej zachwiać jej potęgę. Glasenappowej powierzono rolę bardzo dla niej właściwą. Wbiegła, udając nadzwyczajną litotę i współczucie, a za-

ślawszy Annę we łzach leżącą na kanapie, przypadła do niej, szczebiocząc:

— Nie możesz uwierzyć — zawołała, — jak mi się serce ściska nad losem twoim. Wiem wszystko, widziałam! oburzam się... boleję... ale to nie koniec. Nie wiesz nic. Król brawuje cię... zaraz po wyjściu twem zapowiedział panu Murdachs, żeby kazał do niego zanieść wieczerzę i ma na nią Duparc i trzy inne aktorki zaprosić. Wiem to z najlepszych źródeł: po teatrze król poszedł do szambelana. Duparc przed nim na kolana upadła... przy wieczerzy król był w najlepszym humorze i zapewne tam jest dotąd, odprawiawszy trzy inne aktorki, którym dano po sukni i po sto talarów.

Cosel wysłuchiwała plotki, zlekka odtrącając natarczywą Glasenappową.

— Wcale mnie to nie dziwi — odpowiedziała, — nie sądzę, bym była zazdrosną, przeżyłam już wiele: odnowioną miłość dla księżnej Teschen i Henrietty Duval i innych wiele, ale płaczę nad poniżeniem króla, który sobie większą niż mnie krzywdę czyni.

To mówiąc wstała Cosel z kanapy, ocierając łzy; przybycie improwizowanej tej przyjaciółki, pośpiech jej, dały uczuć hrabinie podstępna intrygę i skutek sprawiły przeciwny, pozornie ją uspokoiły.

Glasenappowa napróżno usiłowała gniew w niej rozbudzić: wrzał on w sercu, lecz nie występował na usta... Cosel potrafiła się pokonać.

— Kochana baronowo — rzekła wkońcu, — zbyt stoję wysoko, ażeby mnie kaprys króla miał dotknąć; nie jest on pierwszym, nie będzie pewnie ostatnim... my, kobiety, powinniśmy być do nich przywykłe. Wstydzę się za króla, ale nie sądzę, ażeby mi to serce jego wydrzeć miało.

Nazajutrz król ochłonął z tych zapalów, zrana

nie przyszedł wcale wprowadzić do Cosel, lękał się jej porywczosci, posłał na zwiady Vitzthuma.

Vitzthum nie należał dotąd do żadnych intryg przeciw Annie, żył z sobą dobrze. Przyszedł jakby od siebie dowiedzieć się o jej zdrowie. Znalazł ją całę niespodzianie, starszą córeczkę trzymającą na kolanach, smutną ale spokojną. O wczorajszym wypadku nie wspomniała mu ani słowa; on także zapytawszy, jak się miała, nie śmiał potrącić o drażliwe wspomnienie.

— Jestem zdrowa, jak hrabia widzisz — ze sinutnym uśmiechem odezwala się Cosel — czy znac co po mnie? powiedz mi.

— Pani jesteś zawsze piękną.

— Hrabia jesteś zawsze dobry i grzeczny.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych. Vitzthum, widząc, że ona pierwsza nie pocznę pewnie o królu i Duparc, zabawił chwilę i powrócił oznajmić, iż Cosel znalazł nadspodziewanie spokojną.

Zdaleka cała partja przeciwna z niezmierną ciekawością oczekiwała, czy król zbliży się do Cosel, wczoraj okazawszy jej gniew tak wyraźny. Nad wieczór August poszedł.

Wieść gruchnęła i twarze się przedłużyły. Rachowano nieco na gwałtowność hrabiny jeszcze.

Tymczasem i ona i August okazali przy spotkaniu zbyt wiele rozważli, aby do zerwania przyjść mogło. Król nie chciał porzucić Anny, nawykł do jej towarzystwa, a choć gwałtowna miłość dla niej dawno już była wygorzała w sercu niestałem, nałóg w niem pozostał. Do Duparc przyznać się nie mógł. Cosel sądziła się żoną, była matką i postanowiła, naśladowując królowę, znieść bałamuctwa męża.

— Zrobiłaś mi wczoraj niemiłą scenę w teatrze — odezwał się król, — nie znoszę takich publicznych swarów, które mnie i wam nie przystały.

— Najjaśniejszy Panie, moja miłość dla was...
— Niechże będzie rozsądną — przerwał król.
— Miłości cechą, że rozsądną być nie może —
dodała Cosel. — Ja również niepodobnej rzeczy
wymagam od miłości pana mego, to jest, żeby
była stałą.

— Ja zaś od was, byście śmiesznej pozbyli się
zazdrości.

— Nie dawaj do niej powodu, Najjaśniejszy Pa-
nie — szepnęła Cosel.

Król ramionami ruszył.

— Dzieciństwo.

Cosel powstrzymała się od wybuchów, wiedzia-
ła, że jej nic nie grozi.

Stosunki z królem nie zmieniły się wcale, stały
się tylko mniej serdecznymi: galanterja ceremonjal-
na nieco zastąpiła dawną miłość.

Glasenappowa przyszła drugiego dnia oznajmić,
iż Duparc ciągle ma z królem schadzki, że król
obsypuje ją podarunkami. Hrabina przyjęła to zimno.

Towarzystwo hrabiego Reuss i Fürstemberg,
którzy się spodziewali innego przebiegu tej spra-
wy, zrozumiało, iż Cosel z ofiarą uczuć swych,
przemağając charakter, zadając gwałt uniesieniom,
postanowiła się utrzymać. Przestraszyło to nieprzy-
jaciół. Cosel, jaką znali, nietyłe zdawała się nie-
bezpieczną: ta znowu pamiętająca o sobie, trudniej-
szą się stawiała do obalenia.

Scena dramatyczna z Duparc, omdlenie jej za
kulisami, upadnienie do nóg króla, wieczerza u Mur-
dachsa, cała ta historia karnawałowa, z której usi-
łowano wysnuć coś wielkiego, skutek zrobiła zu-
pełnie przeciwny; król, który się w pierwszej chwi-
li niecierpliwił zazdrością Cosel, później znalazł
w niej dowód namiętnego przywiązania. Pochlebia-
ło mu to... klócili się niemal codzień o pannę Du-

parc, ale spory czułością się kończyły... August nie przyznawał się do winy.

— Moja droga hrabino — mówił, uśmiechając się, — tworzysz sobie fantazje jakieś, aby się dęczyć niemi. Dlaczegoż sądzisz, że mam kochać inną? Jakież dowody? Czy mniej jestem czuły, chętny, posłuszny i dogadzający wszystkim twym zachceniom? czy na chwilę znalazłaś mnie oziębłym? Czyż mi nie wolno spojrzeć na kobietę, przemówić do niej, żebym zaraz o zakochanie się posądzonym nie był? Nie kryję się z tem wcale, mówię otwarcie: gdybym cię nadwyraz wszelki nie kochał, porzuciłbym dla tych nieustannych zazdrości...

Cosel odpowiedziała wpółżartem:

— Wiem, że cię męczę wymówkami, ale muszę mieć ciągle i baczne oko na miłostki mego pana... Pomimo to, nie zda się na nic moja podejrzliwość i obawy, będę oszukana i ja, i tysiąc równie jak ja zazdrosnych.

Król się uśmiechnął, ta rola jakiegoś Jupitera pochlebiała mu... tłumaczył się, gniewał niby i stawał coraz czulszym... Duparc też nie umiała go długo zająć, bo to była istota, która tylko tak zepsutemu i zdziczałemu panu jak król chwilowo chyba podobać się mogła.

Gminne obejście się jej i towarzyszek teatralnych obudzało w najjaśniejszym panu tem większe pragnienie przyzwoitszego towarzystwa... W krótkim przeciągu czasu Cosel nietylko odzyskała władzę dawną, ale z przerażeniem tych, co na jej zgubę czyhali, zdawała się ona rosnać i ustalać.

Najlepszym dowodem, że hrabina nie straciła nic w sercu króla kochanka, były w następnym roku odwiedziny króla duńskiego Fryderyka IV, powracającego z Włoch, i po drodze chcącego wi-

dzieć królową Eberhardynę, swą ciotkę. August, który chwycił każdą taką zręczność nastroczającą się do tracenia pieniędzy na uroczystości i zabawy, zdumiewając niemi Europę, postanowił z przepychem jak największym przyjąć swego dostojnego siostrzeńca.

Sam on obmyślił plan świetnych zabaw, jakimi go chciał zachwycić, a dawna poddanka króla duńskiego (rodem z Holsztynu), hrabina Cosel, wyznaczoną została do grania w nich pierwszej roli. Prawda, że teraz nawet jeszcze hrabina była zawsze najpiękniejszą, że jej nieprzyjaciele nawet nie mogli odmówić wdzięku, jakim wszystkich czarowała. Szczególnie w takich razach, gdy trzeba było wystąpić w postaci bogini, czarodziejki, królowej, Cosel postawą, majestatem, urokiem, przewyższała, co ją otaczało. Król zdawał się niejako uniewinniony, że składał hołdy tak wyjątkowej istocie.

Jak tylko dowiedziano się w Dreźnie o dniu przybycia Fryderyka IV, ułożony został program na cały czas jego pobytu. Pierwszego wieczora wysłano na spotkanie młodego kurfirsta, księcia Fürstemberg, namiestnika, hrabiego Flemminga, Pfluga z całym orszakiem szambelanów, paziów, dworzan, oddziałem wojska i muzyką.

Część tylko dnia tego hrabina Cosel musiała pozostać w domu, aby królowej w oczach siostrzeńca nie wyrządzić bolesnej przykrości. Król w świetnym bardzo orszaku dworu wyjechał o dwie mile na powitanie i wprowadził do Drezn, wśród bicia z dział, napływu ludu, dźwięku muzyki, oświetlenia ulic i gmachów czarodziejskiego. Gwardje od złota lśniące ustawione były przy zamku... U wielkich schodów królowa z synem czekała nań i, wzięwszy między siebie króla, prowadzili go na górę: za nimi szedł król sam.

W wielkich apartamentach dworu zgromadzone czekały nań damy, które królowa przedstawiała. Ale całe to przyjęcie urzędowe trwało bardzo krótko; król duński, po rozmowie z ciotką i z rodziną, dał się wziąć Augustowi pod rękę i wieść do mieszkania, które dlań było przeznaczone. Tu zabawili chwilę... i przejściem krytem, łączącym zamek z pałacem hrabiny Cosel, udali się do niej dla spędzenia wieczoru... Uroczysta wieczerza, z całym ceremonjałem dworu Augusta, który, na wzór Ludwika XIV, kochał się w obrzędach, połączonych z przepychem, zastawiona była w zamku, w wielkiej sali. Wszyscy urzędnicy dworu, krajczowie, podczaszowie, podkomorzowie, pазie w galowych ubiorach, pełnili swe obowiązki u stołu...

Król duński siedział między królem a królową, a pierwszy toast wzniesiony powitały działa z wałów... Na galerjach grały muzyki, sale zielenią i kwiatami strojne połyskiwały złotem, obrazami, kryształami, bogactwy, jakim żaden może dwór w Europie nie zrównał.

Dokoła stołu, którego serwis złoty i wysadzany kamieniami był prawdziwem dziełem sztuki, jak żywe kwiaty snuły się najpiękniejsze damy dworu Augusta, a wśród nich piękniejsza od wszystkich Cosel, cała okryta diamentami! Pas jej, sznury, naszyjnik, przepaski włosów, bransolety, świeciły temi kroplami rosy, w których wyglądała jak nadziemskie jakieś zjawisko.

Król duński, na którym jej piękność uczyniła wielkie wrażenie, a który był grzecznym i sądził, że się tem przypodoba gospodarzowi, nie mógł znieść, ażeby stała, i prosił, by jej usiąść dozwolono... Na skinienie króla podano taboret hrabinie, a że inne panie stać musiały, pomnożyło to ich gniew, oburzenie i zazdrość.

Pobyć króla duńskiego trwał dni czterdzieści, ale wyobraźnia króla starczyła na napelnienie ich coraz odmiennymi zabawami, ułożonemi z tą sztuką, jaka Augustowi była właściwą. Nikt lepiej nie umiał urozmaicić zabawy, urządzać niespodzianek, zachwycać pomysłami dziwaczными i był to może jedyny talent niezaprzeczony, który współcześni i potomni w nim uznają.

Zabawy dworu były równie kosztowne i wyszukane, naśladowano je później długo, ale nikt w tem Augustowi dorównać nie mógł. Karnawałowe igrzyska drezdeńskie, którym często za plac popisu służyły podwórce zamkowe lub rynek stary miasta, gromadziły dworaków i szlachtę, przymuszoną jak najkosztowniej o własnym groszu występować, przywdziewając stroje najrozmaitszych narodów.

Myśliwskie zabawy były też najrozmaitsze: ściąganie jeleni po lasach psami konno, szczwanie dzików w zwierzyńcach pod Dreznem, polowanie na zające, bażanty i kuropatwy w Wielkim ogrodzie, hece z niedźwiedziami w podwórcach zamkowych, szczucie lisów w zagrodach około pańskiej rezydencji. Najulubieńszymi łowy Augusta II były dziki.

Igrzyska rycerskie, karuzele, uganianie do pierścieni, piesze turnieje, strzelanie do celu przy pochodniach w umyślnie na to urządzonych strzelnicach na Zwingerze, w rynku i t. p. zmieniały i urozmaicały myśliwstwo. Cel urządzono w ten sposób, iż trafny strzał zapalał fajerwerk i tysiące rakiet ulatywało do góry. Rozdawano nagrody, często bogate, czasem szyderskie, jak na przykład lisie ogony dla niezręcznych. Szlichtady w sankach najdziwniejszych kształtów należały także do najulubieńszych rozrywek.

Zabawą, która dotrwała później na bogatych dworach w Polsce do końca XVIII wieku, były tak

zwane gospody i jarmarki. Piękne panie przebie-
rały się za oberżystki, wiwandjerki, kupcowe i czę-
stowały gości. Przebierano się za chłopów, za cy-
ganów. Jarmarki te odbywały się najczęściej w nocy,
przy świetnych iluminacjach, a w budach niektóry-
ch ustawiano teatry marjonetek.

Gdy August szlichtadę zapowiedział a śnieg ta-
jać zaczął, tysiące wozów wieśniaczych na gości-
niec zwoziło śniegi.

Maskarady i reduty w olbrzymiej sali zamkowej,
w Zwingrze, na rynku odznaczały się też niezwy-
czajną świetnością. Salę olbrzymią oświecało siedm
olbrzymich także kryształowych żyrandolów, w któ-
rych do pięciu tysięcy woskowych świec zapalano;
obok niej w sali andjencjonalnej zastawiano dla
zaproszonych gości ośmnaście ogromnych stołów
okrytych wykwintnemi potrawy i napojami. Na
maskarady wpuszczano, ktokolwiek odziany był
przyzwoicie i imię swe podał u wnijsia.

Niekiedy przy dobrym humorze maski ruszały
na miasto, wpadały do spokojnych domów i prze-
straszały mieszkańców, a swoboda karnawałowa
nie dopuszczała zamknąć im drzwi przed nosem.
Ze wszyscy aż do woźnicy i sług maski mieli na
twarzy, któż mógł odgadnąć, czy się król między
maskami nie znajduje?

Francuski teatr, włoska opera, balety, koncerty,
które ogromne sumy kosztowały, przyczyniały się
do uprzyjemnienia czasu. Niektórzy śpiewacy, mu-
zycy, brali sumy znaczne, a widowiska te rocznie
przeszło osiemdziesiąt tysięcy talarów kosztowały
skarbu królewskiego.

Wojskowe zabawy, przeglądy, manewry, uda-
wane wojny, służyły też jako środki uprzyjemnie-
nia czasu. Zakładano obozy w okolicy, i zamiast
szaleć w stolicy, szalano pod gołym niebem. Każdy

dzień odznaczał się inną uroczystością, wymagał nowych przyborów i strojów, ale na to król nie zważał wcale; komu byłaznaczona rola na igrzysku, musiał się do niej stosownie wyekwipować na owe Jowiszowe gody, Marsowe igrzyska, święto Diany, Merkurego targowice i t. p. Lecz któż to zliczyć i opisać potrafi!

Czas pobytu króla duńskiego cały ten szereg uroczystości wywołał. Król August chciał mu dać pojęcie swej wspaniałości i bogactwa. Dla hrabiny Cosel była to jedna z najświetniejszych chwil triumfu. Jej barwy kładli królowie, cyfry jej świeciły w fajerwerkach, wieszaly się wśród zielonych wieńców; ona rozdawała nagrody, ona wiodła damy do pierścienia, gdyż w ćwiczeniach tych wprawna celowała, i niejeden strzał szczęśliwy zjednał jej naówczas oklaski. Piękna pani jaśniała szczęściem. Król mógł się nią pochlubić, wnikała w jego myśli, poddawała mu plany, pomagała do wykonania najdziwniejszych programów. Ze wszystkich wszakże uroczystości najwspanialszy był pochód bogów i bogiń, który już raz w 1695 roku był wykonany, a teraz powtórzono go świetniej jeszcze, kosztowniej i z niezrównanym przepychem.

Król duński brał w nim udział także jako Jupiter, król August był Apollinem, hrabina Cosel przedstawiała Dianę otoczoną najpiękniejszymi nimfami orszakiem. Za nią postępował złocisty wóz triumfalny, w którym jechała muzyka. Nawet królowa nie mogła odmówić przystającego jej miejsca w świątyni Westy, jako kapłanka tej bogini.

August w istocie mógł jeszcze naówczas przedstawiać Apollina, tak piękną zachował postać, tak jeszcze oblicze promienne... tak ledwie przeżyte losy po posagowem jego obliczu, nie zostawiając śladów, spłynęły.

Wszyscy znużeni, ledwie mieli dość sił, by tej zabawie podołać. Cosel była niezmordowaną, król w swym żywiole. Piękna hrabina nie oddaliła się na chwilę, nie znikła nigdy, szukając ciszy i spoczynku, stała u boku króla uśmiechnięta i poila się kadzidły, od których zawrócić się mogła głowa biednej kobiecie.

Dla niej jednej sprawiono kobiecie wyścig do pierścieni, który był triumfem nowym. Obaj królowie dnia tego nosili jej godła, kołory i cyfry, król duński ją prowadził, August szedł po prawej stronie, podkomorzy dworu po lewej.

Z łoży patrzyła królowa...

XIV

Wyścig ten do pierścieni, w którym Cosel okazała nadzwyczajną zręczność i niezmierną odwagę we władaniu koniem i ćwiczeniach tak płci jej niewłaściwych, zdawał się w królu Augustcie, który z nią razem triumfował, rozżarzać jeszcze uczucia.

Tłumy wybranych gości wpatrywały się w to widowisko, któremu dzień najpiękniejszy, najjaśniejsza pogoda i łagodne powietrze towarzyszyło.

W łożach i na galerjach, otaczających podwórzec, w którym się bieg ten odbywał, widać było tysiące twarzy, głów ciekawych i stroje najwykwintniejsze. Piękna amazonka z licem rozpłomienionem, zręczna, zwinna, gibka, miała nadzwyczajne szczęście.

Królewscy widzowie przyklaskiwali, obaj królowie bogate dla niej przygotowali nagrody... nikt nie zważał na twarzy reszty dworu posępne, na żółkłe oblicza dam, na szepty poza wachlarzami, na dziwną ciszę tłumu, który tał uczucia swoje.

W kącie wpośród dworu króla i urzędników.

k którzy czynnego nie brali udziału w zabawie, stał Zaklika, wierny sługa hrabiny, jedyny może z tych, co przywiązaniem niezłomnem płacili jej za dobrodziejstwa i kaprysy. Służba u hrabiny Cosel nie była wcale łatwą ani przyjemną, ale pan Rajmund służył raczej własnemu sercu, niż hrabinie. Zaklika się kochał i nie mógł nawet smagany widokiem jej fantazji, dumy, pogardy, wyrwać z serca tej namiętności szalonej: zżył się już z nią, stała się w nim chorobą, co podtrzymywała życie. Zaklika nie miał innego celu nad tę miłość bez przyszłości.

I on dumny był ze swojej Anny Cosel, chociaż te ponawiane triumfy jej niepokoiły go instynktowo. Obawiał się tak szalonego szczęścia, wiedząc, jak na serce Augusta, na liłość jego, na wdzięczność, na nic rachować nie było można, gdy go nowa opanowała namiętność.

Dokoła Zakliki, który stał przy murze, w cieniu skupieni byli starzy dworzanie Augusta. Z tej kupki ani jeden okrzyk nie dał się słyszeć, ani jeden oklask: nic, coby zdradzało uwielbienie dla pięknej, a dnia tego najpiękniejszej królowej turnieju.

Przy Zaklice, osłoniętym występem kolumny, znalazło się kilku nieznanych mu osobiście ludzi. Jeden z nich, choć świeżo ogołony bardzo starannie, siwym już był i starym; drugi zdawał się być cudzoziemcem; kilku innych stanowiło z nimi gromadkę. Mówili pocichu, lecz słowa ich mimowolnie ucho Zakliki chwytало.

— Pięknaż bo jest, piękna, ta kochanka króla waszego — odezwał się cudzoziemiec, — prawdziwy królewski kasek... i zdaje się, że już dla tej musi się najjaśniejszy ustatkować?

Stary figlarnie się uśmiechnął i westchnął cicho.

— Gdy na to patrzę — rzekł, — przypominam

sobie dawne czasy, i myślę, co też to ja jeszcze zobaczę, bo na tem się nie skończy, panie szambelanie. Boję się, by te triumfy ostatniemi nie były; przeżyłem wiele, pamiętam na szczycie chwały uroczą Aurorę... pomnę wdzięczną Esterle... zdaje mi się, że widzę jeszcze śliczną Spiegel i miłą księżną Teschen. Z nich wszystkich ta się wprowadzie jakimś ękwilibrem nadzwyczajnym trzyma najdłużej, lecz żeby króla miała przywiązać na wieki, temu nie wierzę!

— Mówiono mi wszakże, iż król jej przyrzekł ożenienie... — szepnął cudzoziemiec.

— Sądzę, że się niem i księżna Teschen łudziła, że się go i piękna Aurora spodziewała; lecz naszej zacnej, dobrej królowej Bóg życia przedłuży, a śliczna rycerka pójdzie za innemi.

— Chyba nieprędko! — zaśmiał się cudzoziemiec.

— A któż to odgadnie? — szydersko szeptał stary. — Spójrz, waćpan, na rząd tych pięknych jeszcze twarzy niewieścich, na których licach zazdrość się pali. Z małym wyjątkiem te panie wszystkie miały swe dni królowania... a tam w kąciку u dołu, widzisz tę kupkę francuskich linoskoków i tancerek; tam stoi Duparc, która dziś dzieli serce pana z tą amazonką, choć nic nie ma za sobą, chyba, że stokroć od niej brzydsza jest a swawolniejsza. Któż zaręczy, że jutro z ciżby nie wybierze sobie nasz najjaśniejszy coś jeszcze... dziwniejszego...

Za Zakliką stali także dworacy: tu nie ukrywano niechęci.

— I owszem — mówił jeden z przyjaciół i zauszników Fürstemberga — niech sięga jak najwyżej, tem bliższy upadek... Wzbija się w łaski i wzbija w dumę, królowi staje się obojętniem swem coraz nieznosięjszą; możnaby niemal obliczyć chwilę, gdy runie.

— Tak! tak! — dodał drugi — a nie będzie to pewnie ciche rozstanie, jak z tamtymi, bo ta nosi pistolet nabity i papier z królewskim podpisem. Zgubi się niechybnie, bo się będzie opierać i bronić.

— My to już jednak prorokujemy od ład trzech i dotąd nie spełniły się prorocтва nasze — rzekł pierwszy, wzdychając.

Dalej nieco widać było barona Kyan, zamyślnego bardzo. Dowcipny stary dworak słuchał i słyszeć nie chciał: zaczął go ktoś o zdanie.

— Nie jestem astronomem, kochany panie — rzekł, — bym mógł rozrachować, kiedy gwiazdy wschodzą i zachodzą, a wiem tylko, że są i gwiazdy stałe...

W jednej z łóż hrabina Reuss i Vitzthumowa, panna Hülchen, a ztyłu Glazenappowa, siedziały ponure i milczące... Reuss westchnęła.

— Sameśmy winne — odezwała się do Vitzthumowej. — Król nie widzi od kilku lat, tylko stare znane twarze: nie umiałyśmy się o nic postarać.

— Niecierpię tej kobiety — przerwała Vitzthumowa — ale zmuszoną jestem przyznać, że po niej znaleźć coś trudno.

Stara Reuss rozśmiała się szydersko.

— Nie znasz ani ludzkiej natury, ani charakteru króla — rzekła spokojnie. — Po blondynce Teschen musiała się podobać wasza bratowa; po jej kruczych warkoczach, znowu złocistych będzie szukać, a że ta udaje boginię, zasmakuje w chłopiance lub w takiej Dupare, która papple mu jak przekupka.

— A! już zresztą naszemu królowi się nie dziwię, że pęt swych nie umie rozplątać; ale król duński, patrz pani, jak słodkie oczy ku niej wznosi.

— Jak dumnym zgóry, olimpijskim wzrokiem ona mu odpowiada.

— Gdyby mi się nie chciało płakać, śmiałabym się z tej oszalałej awanturnicy — szepnęła Hülchen.

— Miljony kosztuje ta perła Saksonję.

Te i podobne rozmowy słysząc było prawie wszędzie, lecz szmer nie mógł dojść do uszu pana. a choć August domyślał się może uczuć obecnych na turnieju osób, nic dlań zabawniejszem być nie mogło nad widok tej tłumionej zazdrości: był to także rodzaj hecy, wielce mu upodobanej.

Po turnieju i strzelaniu do celu, po świetnej wieczerzy, która już była pożegnalną, gdyż król duński nazajutrz wyjeżdżał do Berlina, a August mu towarzyszył, zagasły światła i hrabina Cosel w stroju, jaki miała na igrzyskach, powróciła do pałacu...

Twarz jej pałała jeszcze ogniem triumfu, zapалу, ale zarazem gorączki i znużenia; uczuła się słabą i, zrzucawszy z siebie klejnoty, padła na sofę spoczywać.

W pałacu było cicho, dalekie ledwie stapanie dawało się słyszeć niekiedy w przedpokojach. Ta cisza, po wrzawie, okrzykach i muzyce następująca nagle, dziwnie ją usposabiała. Czuła się równie na duszy, jak na ciele, zmęczoną... Niczem nieusprawiedliwiony w tej chwili smutek ją owładnął.

Wśród triumfu spotkała parę razy szyderski wzrok Flemminga i ten ją przejął do głębi; była w nim jakby niema groźba, którą ona tylko jedna zrozumieć mogła. Wyraz jego oczów odbił się jej na sercu; gniew i trwoga w niem gościły. Nie miała powodu dla obojga, a pozbyć się ich było dla niej niepodobieństwem.

Napróżno przypomnieniem króla i wszystkich dowodów czci, jakich tego dnia doznała, usiłowała ponure rozbić myśli; obłok, co na nie zaszedł, wisiał na duszy chmurą czarną. Oczy zachodziły łzami... Tak nieraz w chwili największego szczęścia zjawia się przyszłości przecucie.

Niema, stężała, z oczyma wlepionemi w ścianę, na której wisiał portret królewski, siedziała tak długo... Dnia tego nie spodziewała się już zobaczyć Augusta, nazajutrz rano razem ze swym gościem miał jechać do Berlina. Tam nowe go czekały uroczystości, nowe twarze, nowi ludzie.

W korytarzu, którego schody łączyły się z galerją do zamku wiodącą, dały się słyszeć kroki: nie mógł to być kto inny prócz Augusta... Cosel zerwała się z siedzenia i pobiegła do zwierciadła, aby suknie rozrzucone poprawić. Bujne jej włosy czarne nie dały się ująć ręce niewprawnej, i gdy król ukazał się na progu, Cosel trzymała je w białej dłoni, drugą osłaniając i podnosząc spadającą z niej suknię.

Z pierwszego wejrzenia Cosel poznała, że August przychodził do niej w tym stanie, w jakim go rzadko widywała, a jak najmniej widzieć lubiła.

Uroczyste żegnanie siostrzeńca, którego dwóch dworzan z wielkiem uszanowaniem na łóżko zaniosło, odbyło się ogromnemi puhami. Król, jakkolwiek nawykły do nich, nie wyszedł z tej walki cało. Szedł wprawdzie bez pomocy szambelana, który go do drzwi doprowadził, starannie pilnując, aby równowagi nie stracił, ale w gabinecie Cosel oczyma zaraz szukał siedzenia i rzucił się na nie skwapliwie. Twarz była okryta rubinowym rumieńcem, oczy przyćmione, mowa stała się niewyraźną.

— Anno — rzekł — chciałem cię pożegnać... Ha! miałaś dziś dzień triumfu, jaki rzadko która kobieta otrzyma. Podziękujże przynajmniej.

Roześmiał się król.

Cosel zwróciła się ku niemu z twarzą smutną.

— A! panie mój — rzekła — czyżem ja ci codziennie tak samo nie powinna dziękować... Lecz gdybyś był widział te zawistnych oczy, które na mnie

patrzały, te zazdrośnie ścięte usta... pojąłbyś, że wróciłam smutna.

August wciąż się uśmiechał.

— Tragi-komedia życia — rzekł obojętnie. — Ja miałem mego Karola XII, ty masz twego Flemminga! Każdy ma coś, co go boli, a życie... to życie... Bądź mi wesoła!

— Nie mogę... — odezwała się Cosel.

— Dla mnie! — odparł August.

Cosel wpatrzyła się w niego i powoli, raczej przymus i rozważa, niż uczucie wywołały różowy uśmiezek na małe usta...

— Gdybym na ciebie tylko, panie mój, wciąż patrzeć mogła; gdybym cię miała zawsze u mojego boku — odezwała się, siadając przy nim powoli, — byłabym samym śmiechem i jednym weselem: radabym cię nie puścić na krok od siebie, trzymać skutego uściskiem. Niestety, wyrwiesz mi się sam. polecisz w świat, a któż wie, jakim powrócisz?...

— Byle nie tak pijanym, jak dziś jestem... — ze śmiechem zimnym odparł August — wino lubię, ale panowania jego nad sobą nienawidzę...

— A kiedyż pan mój powróci? — spytała Cosel.

— Spytaj... astrologów: ja nie wiem. Jedziemy do Berlina. To jedno mnie cieszy, że Brandeburgi po drezdeńskich fetach wydadzą się bardzo chudo. Będzie nas Fryderyczek bawił żołnierzami i wygłodzi przy stole. Berlin po Dreźnie! cha! cha! — zawołał król — to mnie niezmiernie cieszy: jadę umyślnie, żeby się napawać zwycięstwem... Zgóry jestem go pewny.

— A wróc mi tylko Wasza Królewska Mość wiernym i stałym — dodała, jedną zawsze myślą zaprzątnięta Cosel.

— Z Berlina? — śmiał się August — tam mi żadne nie grozi niebezpieczeństwo, ani tobie... najcenniejszy z dworów i najnudniejszy w dodatku.

— A Dessau? — szepnęła Cosel.

Król pokiwał głową.

— To prawda, że była bardzo ładną; lecz gdyby była katoliczką, powinna by zostać mniszka... Nie rozumiała wcale galanterji, obrażała się pół-słowem... Nie, ja takich nie lubię.

August spróbował się podnieść i potarł ręką po czole tak nieostrożnie, iż zsunął utrefioną perukę nieco; Cosel mu ją poprawiła: począł całować ją w rękę.

— Moja Cosel — dodał — jadę, a mam jedną prośbę do ciebie; pojednałem cię z Flemmingiem, zawrzyjcie pokój wieczny: przestańcie się jeść wzajemnie.

Anna zmarszczyła się.

— Najjaśniejszy Panie, racz to zapowiedzieć Flemmingowi, nie mnie. Uchybia mi ciągle, jest zajadłym nieprzyjacielem moim. Hrabina Cosel, żona Augusta...

Król, słysząc to, dziwnie się uśmiechnął, oczy jego blysnęły dziko.

— Hrabina Cosel—dokończyła dumnie Anna — nie powinna, nie może ulegać jakiemuś Flemmingowi, ani się go lękać, ani mu ustąpić.

— Ale ja tych wojen niecierpię...

— Każ mu być mi uległym, poleć mu, by mnie, matkę twych dzieci, szanował, to będzie sposób najlepszy utrzymania pokoju.

Po tych słowach, na które król już nic nie odpowiedział, nastąpiło nieme pożegnanie. Cosel z czułością zwiesiła się na szyi króla, który szukał podpory w kolumnie, aby go to nie zachwiało... Hrabina podała mu rękę, kilka tylko kroków dzieliło ode drzwi, za progiem czekali szambelanowie. Z pochmurnem czołem król wysunął się od Cosel.

Któż może odgadnąć, co wówczas działo się

w tajemniczych głębinach pańskiej duszy, czy istotnie pragnął zgody na dworze, czy chciał, by na nim trwała wojna? Tegoż wieczora kazał przywołać Flemminga: szyderski był i podrażniony.

— Cosel mi się skarży na ciebie, stary — rzekł żartobliwie, — powinieneś jej ulec, wiele rzeczy nie słyszeć, a przebaczyć drugie tyle. Znasz kobietę... przecież ja umiem znosić od niej...

— Najjaśniejszy Panie! — odezwał się Flemming, który z królem do zbytku poufałym bywał. — Najjaśniejszy panie! to wcale co innego: miłość pani Cosel płaci Najjaśniejszemu Panu za te utrapienia.

— Więc mojej nie liczysz? — spytał król.

Flemming się sklonił nisko.

— Wasza Królewska Mość wiesz — odezwał się. — Żem ja w rachunkach nie mocny: lepiej się do liczby nie pociągać.

— Ale bądźże dobrze z Cosell — powtórzył August.

— Najjaśniejszy Panie! to trudno: dworakiem jej być nie potrafię, pochlebiać i kłamać nie umiem, a kłaniać mi się trudno, bo mam grzbiet stary.

Na tę mowę król śmiechem odpowiedział.

— To prawda — dodał, — że cię ona nie lubi; powiada, żeś do małpy podobny, a ja tego nie znajduję.

Flemming podniósł głowę, z oczu mu się iskry posypały, zabelkotał coś i umilkł.

Gdyby był król przedsięwziął na wieki poróżnić ich z sobą, zręczniejszy nie mógł postąpić.

Tu miejsce może nieco bliżej dać poznać człowieka, który na losy przyszłe bohaterki tego opowiadania wpływ wywarł tak stanowczy.

Hrabia Jakób Henryk Flemming był jednym z ludzi, co się najdłużej umieli utrzymać w łaskach króla Augusta i, wedle świadectwa współczesnych, najsilniej w nich stali.

Mówiono powszechnie, iż Flemmingowi zawdzięczał polską koronę. Jedna z jego kuzynek bliskich, córka feldmarszałka Flemminga, od roku 1684 wyszła była za mąż do Polski za podskarbiego, kasztelana chełmskiego Przebendowskiego: przez nią generał zawiązał najprzód w Polsce stosunki. Flemming był człowiekiem na swój czas wykształconym i więcej jeszcze dyplomata niż żołnierzem, choć obrał zawód wojskowy. Przebiegłym był i chytrym, jak wszyscy znakomici dyplomaci tamtych czasów, a w polityce trzymał się systemu Machiawela: wszystkie środki dobre mu były, byle go wiodły do celu.

Na dworze Augusta Flemming, który już wówczas marzył o wyłącznym wpływie i opanowaniu króla, starał się zrecznie pousuwać wszystkich, którzy z nim mogli współzawodniczyć. Zawadzał mu naówczas Hoym, nad którego ruiną pracował pocichu; lękał się wpływu Cosel i gotów był ją kimkolwiek innym zastąpić: niebezpiecznym zdawał się Schulenburg, i na tego już dawno miał oko.

Flemming miał pod ręką ludzi, którymi tamtych postanowił zastąpić, kreatury swoje, mające mu zawdzięczać stanowiska, czyhające na objęcie miejsc opróżnionych: Watzdorf, Manteuffel, Wacke-barth, czekali i służyli mu wiernie. Zarozumiały i pewien siebie Flemming do swych zaufanych zwykł był mawiać: „Moją zasadą jest: okoliczności tworzą ludzi, każdy do wszystkiego jest zdolnym, byle mu się sposobność trafiła spróbować. Ja najlepszym tego jestem przykładem. Zrazu sposobilem się tylko do stanu wojskowego i nie miałem innego pragnienia, tylko kiedyś pułk dostać, a jednak doszedłem do tego, że jestem pierwszym ministrem i feldmarszałkiem (został nim dopiero w roku 1711), choć w żadnem nigdy nie zasiadałem kolegium.

Rządę, mogę powiedzieć, Polską i Saksonją, obu krajów ustaw nie znając, a mimo to z obowiązków tych wywiązuję się z honorem".

Zarozumiałość ta i zuchwalstwo były podobno głównym przymiotem i charakterem Flemminga. Nierychło się jakoś przekonać zdołano, że wojskowym jego talentom brakło doświadczenia, a ministerjalnych nie miał wcale. Z powierzchowności był to człowiek żywego temperamentu, rzeźwy, wesoły, hulaka, coś żołnierskiego mający w obeiściu; rozkazujący śmiało, krótko i stanowczo. Gniewał się łatwo i dowcipnym żartem rozbrajał, bo lubił wesołość i dowcip. O trzy lata tylko starszy od króla, był jego przyjacielem poufajym, towarzyszem zabaw, powiernikiem. Zdarzało mu się po szumnej zabawie nadużyć czasem względem Augusta dozwolonej poufalości, ale zawsze to umiał naprawić.

Flemming żył po książęcemu, trzymał służbę ogromną i sto koni na stajni. Przedpokoje jego były pełne zawsze ministrów, dygnitarzy, cudzoziemców, jak u króla. Łatwo mówiąc po francusku, po polsku, po łacinie, umiając pracować i nie opuszczając dlatego hulanek, mogąc nie spać, umiając pić i nie upijać się, zdrzemnąć na kwadrans w krzesło i wstać orzeźwionym, musiał pozyskać niezmierny wpływ na dworze, gdzie się wszyscy bawili tylko i intrygować umieli. Człowiek był żelazny, a mimo żywości, pozornie flegmatyczny i zawsze pan siebie.

Wyglądał wcale nie pięknie: niskiego będąc wzrostu, przysadzisty, otyły, z twarzą naperzoną, czerwoną, ale rysów dosyć czystych. Wedle zwyczaju owych czasów nie nosił peruki, ale własne włosy długie, w które wplatał parę loków.

Pieniądze robił, dobrami handlował i o kieszeni nie zapominał: nie wahał się nawet przy więk-

szych interesach wymawiać sobie tak znacznego porękawicznego, iż raz się król o tem dowiedziawszy, że wziął pięćdziesiąt tysięcy talarów, powiedział mu:

— Słuchaj, Flemming, wiem, coś wziął; to już dla ciebie za wiele: musisz mi połowę oddać.

I tak się stało. Jak to dobrze pana i sługę maluje!

Walka z człowiekiem, który się umiał posiadać i panować nad sobą, dla kobiety tak namiętnej a powodzeniem długiem wzbitej w pychę, była rzeczywistem niebezpieczeństwem. Wreszcie poza Flemmingiem stał cały zastęp nieprzyjaciół hrabiny Cosel, a co gorzej zjadliwych jej nieprzyjaciółek: pani Przebendowska, siostra cioteczna generałaministra, cała klika hrabiny Reuss, utrapiona Glasenappowa, Vitzthumy, rodzina Hoymów i te nawet jejmoście, które pozornie udawały przyjaźń dla pani Cosel, choć niczego tak nie pragnęły, jak widzieć ją upokorzoną.

Długie lata szczęścia budziły zazdrość, jątrzyło to, że przeciwko niej znaleźć nie mogli, coby ją w oczach króla poniżyło. Wśród tego rozpustnego dworu, w którym stosunki zawiązywały się tak łatwo i rozrywały tak prędko, nikt jej otoczonej zawsze gronem wielbicieli nic zarzucić nie mógł, szpiegi najpilniejsze nic nie potrafiły wysledzić, potwarz nawet nie miała się do czego przyczepić. Cosel mogła być dumna, bo istotnie przewyższała otaczające ją towarzystwo kobiece charakterem i szlachetnością postępowania. Tak, jak w początkach nie chciała zdradzić męża i domagała się od króla przyrzeczeń zaślubienia na piśmie; tak potem nie dopuściła się przeniewierstwa, będąc nieustannie zdradzana. Ciągłe powtarzanie, iż się uważała za żonę króla, nie kochankę, do rozpacz przy-
prowadzało te panie.

A im dłużej pracowały na próżno, tem rosły gniewy, niecierpliwość, zawziętość. Jątrzone więc Flemminga, a w pomoc mu stawali Fürstemberg, i ten którego Cosel uważała za przyjaciela, którego nie lękała się wcale i ufała mu, Vitzthum nawet. Ostatni był przez żonę, której ulegał, popchniętym, i więcej przez lekkomyślność niż przez niechęć, zaciągnął się do szeregu przeciwników hrabiny Cosel.

Plan był ułożony. Należało tylko znaleźć piękną twarzyczkę, któraby niezrażona losem swych poprzedniczek, chciała chwilowo zająć smutne, upokarzające miejsce u boku Augusta II. Znano króla, że zalotności ulegnie, ale ociężałemu nieco trzeba było oszczędzić pół drogi, wyszukać pięknej pani, któraby pierwsza wyzwalała go do zalotów. Rozesłano na wszystkie strony na zwiady.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Biblioteka Groszowa Wendego.

Pragnąc uprzystępnąć jak najliczniejszemu czytelnikom możliwość nabywania taniej i dobrej książki, postanowiliśmy, pomimo ciężkich warunków wydawniczych, wydawać „Bibliotekę Groszową Wendego“, której każdy tomik będzie kosztował zaledwie 95 groszy, a więc dostępny będzie niemal dla każdego.

„Biblioteka Groszowa Wendego“ poza wartościowymi utworami piśmiennictwa polskiego autorów tej miary, co J. I. Kraszewski, A. Dygasiński i inni, obejmie szereg utworów literatury obcej, francuskiej i angielskiej na pierwszym miejscu. Ukażą się mianowicie, jako tomy „Biblioteki Groszowej Wendego“, nieporównane i pełne głębokiego artyzmu dzieła Josepha Conrada (Korzeniowskiego); pociągające egzotycznym tłem, bezpośredniością i barwnością utwory Jacka Londona; oryginalne i przeniknięte nawskroś głęboką filozofją katolicyzmu dzieła G. K. Chestertona; arcydzieła subtelного znawcy duszy ludzkiej Guy de Maupassant'a i t. d.

Pomimo niezmiernie niskiej ceny tomów „Biblioteki Groszowej Wendego“, pragniemy, aby owa tania książka w niczem nie ustępowała wydawnictwom droższym; dlatego też każdy tom cechować będzie nie tylko staranny wybór ciekawej i wartościowej treści, ale również i wysoki poziom przekładu, wiernie oddającego w języku polskim walory artystyczne oryginału, oraz wielka dbałość o estetykę wyglądu zewnętrznego książek.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI E. WENDE i S-ka

WARSZAWA — KRAK. PRZEDM. 7/9

Cena zł.

<i>Caine Hall</i> — Koziół ofiarny — powieść, str. 287. . . .	3.90
<i>Chesterton G. K.</i> — Napoleon z Notting-Hill — powieść, str. 288	4.80
<i>Conrad J. (Korzeniowski)</i> — Fantazja Almayera — po- wieść, str. 212	5.—
— Murzyn z załogi „Narcyza” — powieść, str. 214 . . .	5.50
— Sześć opowieści — nowele, str. 311	7.50
— Między lądem i morzem — nowele, str. 269	6.—
<i>Erenburg I.</i> Juljo Jurenito — powieść, str. 397. . . .	6.—
<i>Grubiński Wacław</i> — Lwy i św. Grojosiaw — nowele, str. 177	4.20
<i>Iwaszkiewicz J.</i> — Hilary syn buchaltera — powieść, str. 178	3.50
<i>Kaden-Bandrowski J.</i> — Przymierze serc — nowele, str. 243	4.—
<i>London J.</i> — Bóg Ojców Jego — nowele, str. 196. . . .	4.20
— Martin Eden — powieść, 2 tomy, str. 327 i 289 . . .	9.—
— Na szlaku — nowele, str. 236	4.20
— Odszczepieniec — nowele, str. 163	4.20
— Odyssea północy — nowele, str. 253	4.—
— Opowieści mórz południowych, str. 245	4.20
— Prawo białego człowieka — nowele, str. 152	3.—
— Serce kobiety — nowele, str. 251	4.20
— Syn słońca — nowele, str. 262	4.20
— Wilk morski — powieść, 2 tomy str. 270 i 244 . . .	6.50
— Zew krwi — powieść, str. 136	2.—
— Przygoda — powieść.	4.80
<i>Maupassant G. de</i> — Życie — powieść, str. 303 . . .	4.50
— Piotr i Jan — powieść, str. 186.	3.—
<i>Samozwaniec M.</i> — Na ustach grzechu	2.40
— Malowana żona	3.—
<i>Strug A.</i> — Mogiła nieznanego żołnierza — powieść, str. 411	5.20
— Odznaka za wierną służbę, str. 118	2.60
— Pieniądz — powieść, str. 459.	5.20
— Kronika Świeciechowska — nowele, str. 246. . . .	4.—

List zwrotny

DO KSIĘGARNI E. WENDE i S-ka

w Warszawie,

Krak. Przedm. 9.

Upraszam o łaskawe nadsyłanie w miarę ukazywania się

12 tomów Biblioteki Groszowej Wendego

począwszy od №

Należność w kwocie Zł. 9.95 przesyłam jednocześnie przekazem (P. K. O. 137) proszę pobrać za zaliczkę *).

Imię i nazwisko

Adres

*) Wyrazy niepotrzebne proszę wykreślić.

Zamówienie księgarskie.

Do księgarni E. Wende i S-ka

w Warszawie,

Krak. Przedm. 9.

J.I. KRASZEWSKI

95
Groszy



HIRABINA
COSEL

J. J. KRASZEWSKI

HRABINA COSEL

TOM DRUGI



WARSZAWA, P. WENDE I S-KA
Pomnik, Piesze i Kurowski. 2512, Katowice,
Lódź, Piesze, Toruń i Siedlca. Tow. Wyd. „Ignis”

Okładkę wykonał Kamil Machlewicz
Odbito w Zakł. Graficznych
„Drukarnia Bankowa”
Warszawa, Mo-
stowski 11
1985

Gdy król August zabawiał się z obojętnością człowieka, który wierzy w przeznaczenie, Karol XII także szedł naprzeciw zgotowanego mu losu. Z garścią ludzi wśród nieznanego mu kraju, rzucił się na nieznaną sobie potęgę i z męstwem lwiem a nieopatrnością młodzieńczą stanął na polach pod Poltawą.

Bitwa ta o losach wielu krajów i ludzi rozstrzygnęła była stanowczo. Król August powracał z odwiedzin w Berlinie, ciesząc się, że nie został zwyciężonym przez dwór, który się wcale o przepychach nie ubiegał, gdy z Polski od księżnej Teschen wysłany kurjer przywiózł mu pierwszy wieść szczęśliwą o pobiciu na głowę Karola XII. W pierwszej chwili król zdawał się osłupiały, rzekł się uroczyście polskiej korony, a słowo swoje wyrzeczone w obliczu Europy chciał poszanować. W tym momencie wahania nadbiegł Flemming.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał — wymuszone orężem układy nic nie znaczą; potrzeba wrócić do Polski. Leszczyński nie jest królem, tysiące rąk znajdziesz na obronę praw swoich. Trzeba się zjawić tylko, by zwyciężyć...

Tyłu ofiarami okupiona korona była ponętną dla kurfirsta. Wiązały się z odzyskaniem jej plany monarchji dziedzicznej, okupionej ofiarą prowincyj, które niby usta zamknął zazdrosnym sąsiadom. Cudobyt z rzeczypospolitej część tylko miała pozostać

złama z Saksonią, starając się o odzyskanie państwa; odzyskać więc koronę miało być to bądź to bądź, aby ją z elekcycją na dziedzinę przetrąbić.

August przyznał z Flemmingiem, że pokój i układy i zrzeczenie się korony nie nie były warte, należało zebrać tylko ludzi i iść do Polski. Flemming i jego przypaście, dawni zwolennicy Sasa, mieli mu dopomóc; nie wątpliwo bynajmniej o szczęśliwym wyprawie powodzeniu... Z Polski przybyli w zaprosiny Denhoff, marszałek konfederacji sandomierskiej, i Szaniawski, biskup kujawski. Z siostrzeńcem swym Fryderykiem August miał czas w Dreźnie umówić się już przeciwko Szwedowi; brandeburski Fryderyk nie był też przeciwko skojarzeniu się z saskim, za czem do niego król umyślnie jeździł, i tak stanęła liga, którą później trzema spojeniem rękoma trzech Fryderyków upamiętniły medale.

Mało miał czasu August zabawiać się w miłośki, gdy szło o odzyskanie korony. Zaledwie przybywszy do Drezna, otrzymał wiadomość o bitwie pod Poltawą, którą pierwszy drukiem ogłosić kazał, pobiegł do sprzymierzeńca pruskiego, aby z nim pomówić o warunkach. W czasie krótkiego pobytu w Dreźnie Cosel zaledwie przywitał i pożegnał. Tu stały rzeczy gorzej niż kiedy. Flemming czuł się silnym dzięki wypadkom. Hrabina pisywała do niego kilkakroć z żadaniami różnemi w czasie niebytności króla; odpowiedzieć kazał, że nie myśli ich spełniać i że ma co ważniejszego do czynienia. List ostry od Cosel zdart w oczach posłańca i podeptał, rozkazując powiedzieć jej, on go pisał, że się jej skarż i groźb nie lęka. Był to bolesna wyzwana, których Anna ścierpieć nie mogła. Drugiego czy trzeciego dnia potem, gdy Flemming, z Anną jadąc, spotkał ją przy zamkowej ulicy, z konia wzruszać był zmuszony, Cosel wy-

chyliła się z powozu i rąca ze złości, pięścią
na grożąc, zawołała:

— Powinieneś pan pamiętać, generale, kim
ty jesteś, a kim ja! Wacpan jesteś sługą króla,
który spełniasz rozkazy; ja-m tu pania; chcesz wać-
pan wojny ze mną, przyrzekam, że ją mieć będziesz.

Flemming roześmiał się z pozorną grzecznością,
rękę do kapelusza przykładając.

— Nie toczę wojen z kobietami — zawołał —
a czynię to, co mi dobro mojego pana nakazuje;
ani się myślę kłaniać, ani kobiecym ulegać kaprysom.

Z okna karety posypały się wyrazy niepohamo-
wanego gniewu. Flemming, nie zważając na nie,
konia spał i ani patrząc na hrabinę, pojechał da-
lej. Przyczem wojskowi, będący przy Flemmingu,
znieważyli ludzi hrabiny. Zakłóca się już brał do
szabli i byłoby przyszło do krwi rozlewu, gdyby
rozsunniejszy ktoś ze dworu króla nie wpadł mię-
dzy nich i Flemminga służby nie rozpedził.

Rozpoczęła się tedy wojna na dobre, Cosel, płą-
cząc z gniewu, czekała na króla.

Nadjechał August rano bardzo, a na drodze
snać już wiedział, co zaszło, bo gdy Flemming
przyszedł do niego z raportami, rzekł mu:

— Ze też wy, stary żołnierz i dyplomata, z jedną
kobietą w zgodzie żyć nie umiecie.

— Przepraszam, Najjaśniejszy Panie — zawołał
generał — żyję z wielu w najlepszej, ale z temi, co
się za boginie i królowe mają, nie umiem w isto-
cie. Ta kobieta rujnuje kraj na fantazje dziwaczne...
i żadnej zasługi uszanować nie umie.

— Ale tę kobietę ja kocham i wymagam dla
niej poszanowania.

— Nikt jej nie uchybiał, dopóki sama nie rozpo-
częła obojętnie ze wszystkiemi się obchodzić.

Król zmilczał, Flemming rzekł w podobnym tonie:

— Życie cięsa, a i cięsa i jeszcze głodną zęba.
dziki umysł, nienasycona pycha i chciwość. Jeżeli
Wasza Królewska Mość słabym dla niej jesteś, nę,
co tron otaczamy, mamy obowiązek wyzwolić z tych
więzów.

August zagadał o czem innem. Po krótkiej na-
radzie poszedł do Cosel; ta go oczekiwala, ale
z wybuchem gniewu i wyrzutami, czego August
nie lubił.

W progu już z płaczem rzuciła się ku niemu.

— Królu mój, panie! ratuj! Flemming się obcho-
dzi ze mną, jakbym była najostatniejszą z kobiet.
Łzy mnie publicznie, listy, które piszę, drze i rzu-
ca pod nogi; oświadcza się, że mnie stąd wygna;
wystawia na pośmiewisko. Wybieraj, królu: albo ja
lub on ustąpić musimy.

August ze śmiechem ją uściśnął.

— Uspokój się, hrabino, za żywo rzeczy bie-
rzesz: Flemming mi w tej chwili potrzebny: muszę
go oszczędzać.

— A ja? — zapytała Cosel.

— Al wiesz przecie, że bez ciebie niema dla
mnie życia, ale jeśli mnie kochasz, coś przecie mi
powinnaś poświęcić.

— Wszystko oprócz czci mej — zawołała Cosel.

— Z Flemmingiem trzeba się zgodzić.

— Nigdy!

— On cię przeprosi.

— Ja nie żadam tego, chcę być wolną od wi-
dzenia tego człowieka.

August wziął ją za rękę.

— Moja kochana Cosel — odezwał się zimno, —
dziś chcesz być wolną od Flemminga, jutro toż sa-
mo będzie z Fürstembergim, a gdy ich wypędzę,
z Pflodtem i Vitzthumem z jakim żyć nie umiesz.

— Bo jak pręci cię? Najjaśniejszy Panie,

nie sprzyja mi na dworze: wszyscy są nieprzyjaciółmi moimi.

Zaczęła płakać, król zadzwonił i, mimo protestów gospodyni, rozkazał zawołać generała Flemminga.

Dobra chwila upłynęła w milczeniu i dąsach, Cosel chodziła gniewna po sali, nim generał nadszedł. Wchodząc, wcale się nie skłonił gospodyni, zwrócił się do króla.

Cosel, tyłem do niego stojąc, cała w płomieniach, ledwie się pohamować mogła.

— Mój Flemming, jak mnie kochasz — odezwał się August, — wiesz, jak ja w mojem gospodarstwie niecierpię waśni: przeblagam piękną hrabinę i podajcie sobie ręce.

— Nigdy w świecie! — przerwała Cosel — nie podam ręki nikczemnemu dworakowi, który się ważył uchybić bezbronnej kobiecie.

— Nie lękaj się, pani — zawołał Flemming, — ja też żołnierskiej dłoni nie myślę jej narzucać: kłamać nie umiem, a przeproszać nie będę.

Król wstał gniewny.

— Generale, uczynisz to dla mnie.

— Ani nawet dla was, Najjaśniejszy Panie. Jeśli ci się podoba, rzucam służbę.

— Waćpan jesteś podły, jesteś nikczemny — zakrzyzczała, zapominając się, Cosel, — łaski Najjaśniejszego Pana uzuchwalily cię... lecz z Drezna niedaleko, chwala Bogu, do Königsteina.

— Cosel, na miłość Boga! — przerwał August.

— Najjaśniejszy Panie, pozwól mi także być szczerą, i ja kłamać nie umiem... powiem mu w oczy, co o nim trzymam. Zapowiedział mi wojnę, ja mu ją wypowiadał.

— Z panią hrabiną wojować nie myślę — rzekł Flemming, — mam coś lepszego do czynienia. Mi

łość dla niego oznaczać może w istocie do wypowiedzenia jej wojny, bo pami kraj uszczuplił i byłoby z czego wojsko wystawić, koronę odzyskać, gdyby wacpani zbytki ukrócić.

— Flemming zapominasz się! — zawołał August, który całej tej wyrazów szermierki słuchał bez wstrętu, pomimo że ją niby zahamować usiłował.

— Idź, wacpan, precz z mojego domu! — krzyknęła Cosel, tupiąc nogą.

— Dom to nie jest wasz i niema tu ani jednej rzeczy, któraby do niej należała; jest to pałac króla pana mego, a ja bez jego rozkazu nie wyjdę — odparł Flemming.

Cosel zaczęła płakać, szarpiąc suknię na sobie.

— Widzisz, królu, słyszysz, na to ja zesłam, że mnie w oczach twych lada sługa, najemnik bezczestci, a ty stoisz niemy, obojętny, nie umiejąc ani mnie obronić, ni mnie pomścić.

Zalamana ręce. Król łagodnie i spokojnie podszedł do Flemminga.

— Pami generale — rzekł — ja cię proszę o zgodę: to niemożne. Oboje mi jesteście drodzy, potrzebni. Mamże ja cierpieć za waszą popędlliwość?

— Wasza Królewska Mość nie potrzebujesz ani słuchać, ani parzeć na to; zostawić możesz sprawę naszą nam samym: los ją rozstrzygnie wkrótce.

Wyczerpawszy wszystko, co tylko mogła powiedzieć, Cosel rzuciła się na kanapę z oznakami gniewu. Król, nie widząc śródka ani uspokojenia rozgniewanego także i trzęsącego się Flemminga, ani złagodzenia rozjątrzenia hrabiny, podał rękę generalowi i odprowadził go do drzwi.

Nim wyszedł Flemming, okiem pełnem zemsty i groźb rzucił na hrabinę, której wejrzenie odpowiedziało mu takimiż obietnicami. August zaczął się przechadzać po sali zamkniętej, znać było jednak

ze zajęty może sprawami wojennymi. Cień tej kłótni nie brał tak bardzo do serca.

Cosel i ku niemu wejrzała okiem, w którym wyrzuty gorzały.

— Al królu — rzekła — na to ja zeszła, na to, aby mnie twoja służba w oczach twych obrzucała takiemi wyrazami! To mój los. Flemming poszedł sztychować z tej, którą wybrałeś, którą, mówisz, że kochasz... i ja słabsza jestem od niego.

— Kochana hrabino — odpowiedział król spokojnie, — wszystko co mówisz, dowodzi tylko, że mojego nie znasz położenia. Flemming w tej chwili jest, jak prawa ręka, potrzebny w Polsce; zrazić jego dla siebie jest wyrzucić się korony. Tego po mnie wymagać nie możesz i tego ja, jako król, nie uczynię. Przekonałaś się, że nie odmawiam ci ani najwyższej czci, ani miłości, ani ofiar... ale wszystko ma granice. Wprzódym nim kochankiem zostałam Cosel, bytem królem.

Namarszczona, straszna, wściekła, Cosel rzuciła się do Augusta.

— Kochankiem! Mam przecie na piśmie przyrzeczenie twoje: ja nie jestem kochanką, ja drugą żoną twą jestem.

Skrzywił się August.

— Tem więcej interesów moich, korony mej i czci strzec pani powinnaś.

Gniew się we izach znowu rozplynał. August kilka razy spojrział na zegarek.

— Nie jestem panem czasu mego — rzekł — tysiące spraw na mojej głowie. Muszę wkrótce jechać do Polski. Kochana hrabino, uspokój się, Flemming jest porywczy, ale mnie kocha i robi to, co mu każe...

Na tę obietnicę Cosel nic nie odpowiedziała, chmurna, w milczeniu podala dzień królowi. August wyszedł.

Wkrótce po tej scenie mowa już była o wyjeździe do Polski. Hrabina, która zwykle towarzyszyła wszędzie królowi, tym razem dla słabości udać się z nim w tę podróż nie mogła.

Wiedziała dobrze, jakie jej tam groziło niebezpieczeństwo. Król mógł znaleźć w Warszawie księżnę Teschen, chociaż najmniej powrotu do dawnych stosunków lękać się było można, bo w życiu Augusta taka zgoda była bezprzykładna, i to ją drażniło. Więcej trwożyła się o kobiety inne, które nieprzyjaciele jej mogli królowi stręczyć, aby go od niej odciągnąć.

Król, jakby dla oszczędzenia wałk i sporów hrabinie, brał z sobą do Warszawy Flemminga. Kto wie, czyby nie wolala mieć go tu w Dreźnie przesładowcą, niż przy boku króla nieustannym podszczuwaczem i wrogiem: nie było jednak środka zapobieżenia temu.

Król dosyć czułym był do ostatniej chwili rozstania, a zapewniał, że najsurowsze wyda rozkazy Fürstembergowi, aby się dla niej jak najwzględniej zachowywał. Dla złagodzenia gniewu przypominał jej z uśmiechem, że przecież mogła się uważać za zwycięską, gdy przeciw woli i stręczeniu Flemminga, chcącego narzucić mu Wackerbarth'a, na jej prośbę baronowi Löwendahl, krewnemu Cosel przez żonę, dał wielkie marszałkowstwo dworu po Pflugu. To właśnie obudzało postrach i gniew Flemminga.

Cała klika nieprzyjazna hrabinie Cosel, na wieść, iż Flemming towarzyszy królowi, że hrabina zostaje, przyklasnęła z radością, czując, że się rzeczy zmienić muszą, że wpływ Flemminga i jego intryga, starania Przebendowskiej, muszą kogoś w miejscu Cosel postawić. Upadek jej był już przewidziany.

Baron Löwendahl, który winien był wyniesienie się swe kuzynce, wcale nie obiecywał jej zawdzię-

czyć za to. Dano mu o używanie się na dworze i w łaskach; czuł, że Cosel traciła wpływ, rychło więc chwycił się strony tych, którzy go popierać mogli. Zguba hrabiny była już poprzysiężoną, gdy ona jeszcze ani się jej domyślała, ani chciała przypuścić, aby król po najuroczystszych przyrzeczeniach, po tylu latach pożycia, mógł ją tak zdradzić jak inne.

Gdy przyjazny jej baron Haxthausen, jedyny człowiek, który jej dobrze życzył i w przyjaźni został wiernym, stawiał jej przykłady Aurory Königs-marck i księżnej Teschen, których dzieci zostały uznane, co nie przeszkodziło rozstać się z matkami, Cosel kazała mu milczeć.

— Teschen i Königs-marck były kochankami króla; ja mam od niego przyrzeczenie ożenienia: ja jestem żoną jego.

Jeszcze przed odjazdem Augusta do Warszawy hrabina dostrzec mogła, jak liczny niegdyś dwór jej, przyjaciele, goście, opuszczali pałac czterech pór roku. Pustki w nim były teraz. Wymawiano się różnie, nikt nie śmiał jawnie zrywać: usuwali się wszyscy.

Jedna zjadliwa Glasenapp, która stąd wynosiła plotki, powtarzała wyraz każdy, umiała ze słowa wysnuć to, czego w niem nie było, gościła tu najczęściej. Znając jej charakter, ostrzegano hrabinę.

— Znam ją—odpowiadała,—wiem jaką jest, ale cóż mi ona szkodzić może? co wyszpiguje u mnie? Moje postępowanie nie lęka się ani szpiegów, ani potwarzy... nie taję się z niczem, nie potrzebuję ukrywać.

Nigdy może słodszy, miłszy, czulszy nie był August, jak przy pożegnaniu z hrabiną. Cały dzień spędzili razem. Cosel już wyjeżdżać nie mogła, ani mu towarzyszyć, osłabienie czyniło ją

smutna, gorzka i gorzkość ustąpiła; była wcale kobietą słabą, pragnąca wspomnień, które ją do litości pobudzić.

Z Augustem wszakże najmylniejszy to był rachunek. Urokiem dlań były żywosc, wesołość, śmiałość, śmiech, zafirość, zuchwalstwo: wszystko co na zmysły działało; uczucie dlań było rzeczą nieznaną; odrywał je czasami, nie miał go nigdy. Po najczulszych z paniami rozmowach, których Vitzthum nieraz był świadkiem, za drzwiami śmiał się z nim ze swych frazesów i galanterji w najcyfliczniejszy sposób.

Rozczulić go choćć było najpewniejszym sposobem odstręczenia i znudzenia. Cosel czuła w sercu nieopisaną trwozę; chwytala za ręce króla, całowała je, oblewała łzami, prosiąc, aby się nie oddalał, aby o niej nie zapominał. August odpowiadał wyzyskanemi wyrazami, ale z tych wonnych oświadczeń wiał chłód trupi.

Był to koniec długiego kilkoletniego szalu, z którego ostygł oboje. Lecz w kobiecie zostało przywiązanie, wdzięczność, pamięć, czułość: w królu panowało znużenie. Zamiast się litować jej smutkowi, rad był uciec od niego; lzy go niecierpliwiły, nudziła boleść, wymówił męczyny.

Cosel nie umiała już być wesołą i trzpiotowatą, jak niegdys, gdy z nim razem dosiadała konia, dojeżdżała jelenia, bawiła się, dobijając kordelasem dzikiego zwierza, lub strzelała do tarczy o lepszą.

Wdzięk jej nie zmienił się wcale, lecz w oczach króla spowsełniał. Cosel miała ten rodzaj najrzadszej piękności, która się nawet czasowi opiera, której ból nie może zetrzeć, wiek nie odejmuje blasku, lzy nie gaszą; lecz dziś ani czarodziejskie oczów wejrzenie, ani uśmiech, co do stóp jej ciągnął, nie miały władzy nad Augustem. Oczy te str-

ciły, moc swoją, utracić powzię. Zatem stała się pospółką kobietą, bo król nowości i niespodzianki ją opuścił.

Zbyt też zająłwały Augusta ułłady polityczne, odzyskanie korony, jednanie sobie zwolenników, zapewnienie sprzymierzeńców, ubezpieczenie na tronie, ażeby mógł myśleć w chwilach spoczynku o czem innem, jak o rozrywce.

Przyszła godzina rozstania: Cosel płakała, król pocieszał, zapewniał ją o wydanych Fürstembergowi rozkazach; zaprzysięgał wierność niezłomną i zniknął.

Nigdy hrabina nie uczuła tak mocno samotności, jaka ją otoczyła, nigdy się też ona nie objawiła tak zastraszającą, tak znaczenia pełną jak teraz. Po wyjeździe króla pałac, około którego stały tłumy, przedpokoje, w których o miejsce było trudno; wieczory, na które się cisnęli wszyscy i mieli za szczęście być przyjętymi, wszystko to stało pustką: Cosel nie miała nikogo.

W dzień przylatywała roztrzępana, złośliwa i gadatliwa Glasenapp, na obiad przychodził poważny Haxthausen. Wśród dnia u progu zjawiało się kilku biedaków z prośbami, którzy zasłyszeli o potęgze hrabiny, a nie wiedzieli o jej zachwianiu.

Nic nie brakło napozór, przecież już tu czuć było ruinę. Pierwszych dni każdy posłaniec przynosił listy królewskie i każdy je wioził do niego. Ani się domyślała Cosel, że nim wyszły, rozpęczętowywano je w kancelarji księcia Fürstemberga i wysyłano pod kopertą Flemminga, aby w nich wybór mógł uczynić: król nazbyt był zajęty, żeby się o nie dopytywał.

Z ciżby przyjaciół został jeden może najwierniejszym, a ten nosił suknię i imię sługi. Był nim Raimund Zaklika, który ze swą panią przeżył i prze-

był i wszędzie jej było. Kłopot nie z tego działo się, co czuć za gardło zaciwca, co śmiał hucieć obrażać; trzeba było tylko skinienia jej, by z rąk tych olbrzyma wyszedł nieżywym ten, kogo by one ujęły...

Kilka razy spojrzawszy nań w chwilach stanowiących, Cosel znajdowała go tak strasznym, tak wzburzonym, iż go powstrzymywać musiała.

Zaklika nie miał prawa ani się nawet odezwać z tem, co czuł, lecz Cosel go rozumiała i wiedziała bardzo dobrze, iż nań rachować mogła. Gdyby miała zabić Flemminga, byłby z najzimniejszą krwią dopełnił rozkazu i bez jęknięcia poszedł na szubienicę. W jego oczach była ona zawsze tą samą świetną gwiazdą, którą raz pierwszy zobaczył błyszczącą z pomiędzy gałęzi starych lip w Laubegaście. Owszem, stawiała się dlań piękniej, coraz, i całkiem szczęściem jego było, że na nią kilka razy niedługo mógł popatrzeć.

Tak smutno i milcząco było w Dreźnie, gdy król podzielił wesół i najlepszych pełen nadziei do Warszawy. Flemming był z nim, a pani podskarbińska Przebendowska go poprzedziła.

Nie tajono się z tem wcale, iż w Warszawie miało dla króla wyszukać nowej pani. Nie wymagało od niej wiele: ani tak niebezpiecznego wdzięku, jaka miała Cosel, bo ten groził zbyt długim i stałym przywiązaniem, ani wielkiego dowcipu, bo królowi dosyć było wesołości, trzpiotowstwa, co go zabawić mogło; ani serca, bo król tylko przedwstępne sceny odegrywał z tego tonu. Dosyć było trochę młodości, śmiałości wiele, załotności, która by się narzuciła, imienia i wychowania, aby ona przynajmniej z Cosel ważyć się mogły...

Z temi instrukcjami wyjechała pani podskarbińska do Polski, a w Warszawie nie brakło jej w cze

wybierać. Serdeczna przyjaźń łączyła kuzynkę Flemminga z marszałkową Bielińską, której dwie córki: wielka podkomorzyna litewska Marja Denhofiowa i hetmanowa Pocijowa, miały dosyć wdzięku i doświadczenia, aby je w liczbie kandydatek śmiało można pomieścić.

Pierwszego zaraz dnia pojechała pani podskarbiną do przyjaciółki. Bielińska przyjęła ją z czułością wielką. Znano jej wpływ na Flemminga, a jego władzę nad królem; podskarbinie służyło wszystko, co się starało o łaski pana.

Do narady poufnej nie mogła użyć nikogo, coby ją lepiej zrozumiał i chciał jej usłużyć, nad wielką marszałkową.

— Serce moje! — rzekła — przybyłam z wielu kłopotami na głowie, sądzę, że mi w nich będziesz pomocą.

— Podzielę je z tobą chętnie — odpowiedziała marszałkowa.

— Z królem mamy biedę — szepnęła Przebendowska. — zakochał się i dał opanować kobiecie, która już od lat kilku nim włada.

— Komuż to mówisz? znam tę Cosell! — przerwała Bielińska. — A czemuż się król Teschen nie trzymał?

— Dlatego, że on żadnej długo nie może być wiernym. Cosell musimy się pozbyć, a w jej miejsce dać mu inną. Król jest zadowolony.

Marszałkowa zamyśliła się mocno.

— Znaleźć łatwo — odpowiedziała — lecz jakże ostrożnym być należy, aby w nowe nie wpadł wiezy.

Pani Przebendowska została u przyjaciółki na obiedzie. Obie córki marszałkowej nań przybyły, obiedwie były młode i ładne. Pocijowa młodsza, zwinna, słabiutka się wydawała, ale z oczów jej ogień tryskał, z ust dobywały się wybuchy śmiechu.

Denhoffowa niewzruszonego wzroku, zięcina, uduwiała melancholiczną, chociaż podszyta była trzpiotem i ta powaga przybrana źle pokrywała charakter płochy, żądze życia i używania niezmierną.

O obu tych paniach już naówczas szeptało się na ucho historje, które tylko za czasów Augusta w Polsce, pod wrażeniem przykładów, jakimi miano przed oczyma, prawdopodobnemi się stawały. Z oczów Denhoffowej patrzył dowcip i złośliwość, ale przysłonięone skromnością tak przesażoną, iż się podejrzaną stawała.

Pani Przebendowska mówiła o rzeczach obcych, nie spuszczać z oka obu pięknych sąsiadek. Ciekawie dopytywano o króla... Pani Potciejowa przypominała sobie jakiegoś brata Friesena... Mówiono coś i o Cosel, ale po cichu. Po obiedzie młode panie wyrwały się z młodzieżą ukonną przejeżdżąc, gdyż obiedwie namiętnie lubiły hasać i dokazywać na koniach; panie starsze zostały same.

Przebendowskiej nie tajnym był zły stan interesów marszałkowej... To też zaraz nad nim utyskiwać zaczęła... Wzdychały obie.

Marszałkowa zbliżyła się poufnie, biorąc za rękę przyjaciółkę.

— Proszę cię, widziałas córki moje? Maryni wcale jest świeża i ładna, serce ma dobre... potulna, łatwa... Jak ci się z twarzy podoba?

— Bardzo wdzięczny ma buziaczek — rzekła Przebendowska.

— Hetmanowa jej nie ustąpi, ale to żywe srebro, jak ją widzisz drobną, słabuchną napozór... to koniak prawdziwy...

Podskarbina myślała coś, gdy marszałkowa, zmieniając głos, dodała:

— Przecieżemmy przyjaciółkami od dzieciństwa

moją napróżną - rzuciła z wyrzuceniem. -- Jeśli już ktoś ma być tak szczęśliwy, że króla mieć będzie kochankiem, czemużby mu choć nie pokazać Marysi?

— Nie sądziłam, ażebyś tego sobie życzyła...

— Dlaczego? Denhoff smutny małżonek i niemłody, jest z nim najnieszczęśliwszą... Jeśli króla rywalem mieć nie zechce... Marynia się rozwiedzie...

— Ale czy ona zechce?

— Ja ją skłonię! ja ją zmuszę! -- odezwała się troskliwa matka. -- Dla nas byłoby to prawdziwem szczęściem. Interesa nasze w najgorszym stanie. Uchowaj Boże co na mojego męża, runie wszystko...

Pani Przebendowska ani obiecywała, ani odmawiała.

— Obaczymy -- dodała -- obaczymy... Nie trzeba nic mówić Marysi, póki nie zmiarkujemy, czy się królowi podoba. Cosel była porywczą i zazdrosną, po niej potrzeba mu isioty łagodnej, wesołej, potulnej.

Nie znajdzie nic stosowniejszego nad moją Marysię, ręczę ci!

Po długich szeptach i naradach dwie przyjaciółki rozstały się w jak najlepszej zgodzie, a marszałkowa odprowadziła podskarbinę aż do powozu.

W kilka dni potem król i Flemming nadjechali. Przebendowska mieszkała w jednym domu z nim, mogli więc poufnie mówić tego wieczora i szepnęła mu o Denhoffowej.

Trochę skrzywił się generał, bo zasiyszał był coś o różnych dawniejszych trzpiotowstwach, a było ich sporo i głośnych: ale czyż to być mogło zawadą?

-- Królowi -- rzekł -- dosyć pokazać się umiejętnie, dość trochę wyzwać go załotnie; zmudzony

jest: wznieść go, która zechce. Żeby więc inna nie wzięła... trzeba mu tę nastreścić.

Przebendowska opisała charakter i powierzchowność swej protegowanej.

— Ale daż się ona skłonić? — spytał Flemming.

— Gdyby to mogło być wątpliwem, mam matkę jako sprzymierzeńca — cicho odpowiedziała kuzynka.

Nazajutrz generał chciał poznać sam panią Denhoff, nimby się coś postanowiło. Wieczorem zawiozła go siostra do marszałkowej. Bawiono do późna. Pocijowa i Denhoffowa śpiewały; ostatnia przybierała minki melancholiczne i smętne potrzebujące pocieszenia nieszczęśliwej istoty. Flemmingowi się to nie podobało, bo i król w tem się nie kochał. Lecz po kilku dniach poszukiwań wrócić musiano do Denhoffowej, znajdując ją mniej niebezpieczną, niż inne. Nauczony doświadczeniem, Flemming lękał się najwięcej ambicji i chęci panowania. Denhoffowa płochą była, zalotną; lecz ani zazdrosną, ani marzącą o władzy: lubiła żyć.

Postanowiono próbę.

Flemming wszakże musiał się wprzód rozmówić z Vitzthumem. Uchodził on za przyjaciela Cosel, chociaż już staraniem żony znacznie był dla niej ochłódl. Flemming miał przewagę wielką w sprawach kraju, ale tam, gdzie szło o kobiety i rozrywki, Vitzthum przedował: król bez niego nie robił nic. Byli z sobą poufali: bez pomocy jego obejść się nie było można.

Generał przystąpił wprost do rzeczy.

— Cosel nam wszystkim dokuczyła, król nawet jest nią znudzony: trzeba mu dać inną.

— Jak się wam podoba — odezwał się Vitzthum z ukłonem — wiecie, że ja się do tego nie mieszam, ani narzucam jego ulubienic, ani go od nich od-

sięgnęłam. Właśnie pobiła ją i otworzyła drzwi; dajcie mi pomóc!

— Al to być nie może, wy musicie być z nami — zawołał Flemming.

Nadchodząca Przebendowska usilnie też nalegać zaczęła na Vitzthuma.

Nic nie pomogło.

— To nie moja rola — odparł stanowczo, — nie przeszkadzam, ale pomagać nie będę: mówię to stanowczo. Nie mogę wyjść z mojego obyczaju, nie mieszałem się nigdy do intryg, a dziś do nich jestem za stary.

— Jesteś przyjacielem Cosel — dodała Przebendowska.

— Ani przyjacielem jej ani wrogiem — śmiejąc się rzekł Vitzthum, — jestem neutralnym i chcę nim pozostać.

Próżno Flemming zabiegał, pochlebiał, ośmielał: Vitzthum pozostał niewzruszonym i wyszedł niepokonanym.

Podskarbina znajdowała, że się i bez niego obejść potrafi.

Nazajutrz u dworu zbliżyła się do króla, który ją dosyć lubił.

Miała twarz wesołą i figlarną.

— Najjaśniejszy Panie, kolej podobno na Polskę?

— Jakto? kochana podskarbino?

— Po Lubomirskiej Cosel... po Cosel trzeba wybrać kogoś w Warszawie.

— Ale ja hrabinie Annie chcę zostać wiernym.

— W Dreźnie — odpowiedziała podskarbina, — ale w Warszawie i gdy jej niemal!

Potrząsała głową.

Król się uśmiechnął.

— Czyś się też Wasza Królewska Mość w teatrze choć przypatrzył naszym paniom? — spytała.

— Nie dowiedz...

— Więc ja się nie odwracam od pani z złośliwą uwagą; Waszej Królewskiej Mości: ładniejszej, miłszej, lepszej nad nią doprawdy tu niema... i słeczny buziaczek i młodziuchne to... i rączki ma bardzo ładne.

— Któż to taki? — zapytał król.

— Denhoffowa, z domu Bielińska — szepnęła podskarbina — siostra hetmanowej Pocięjowej.

— Nie przypominam sobie, bym ją widział — rzekł August, — lecz jako wielbiciel wdzięków niewieścich, przyrzekam pani, iż na pierwszych asambloch postaram się o poznanie tak zachwycającej, jak mi pan malujesz, istoty.

— Zasługuje na to... przekonasz się Wasza Królewska Mość — dodała, odchodząc, pani podskarbina i wracając prędko. — Gdybyś Wasza Królewska Mość zaszczycił mnie jutro bytnością swoją na skromnej wieczerzy, możebym mu ją potrafiła zaprezentować.

Król August spojrzał, a zdaje się, że podskarbina nie dostrzegła wzroku, jakim ją zmierzył; byłaby się może zarumieniała, tak widocznie szyderskie było to wejrzenie, powiadające jej, że wie już wszystko i że daleko otwarciej mówićby z nim można. Uśmiech przebiegł po ustach i znikł.

Tegoż samego dnia marszałkowa Bielińska posłała po córkę, zamknęła się z nią i z podskarbiną na godzin kilka. Gdy się rozchodziły, Denhoffowa zmieszana była niezmiernie, ale szczęśliwa razem i trwożna. Zapominała się ciągle, szła, wracała, szeptała coś matce, nie trafiła do powozu. Widocznie straciła głowę. Matka musiała ją upominać, aby starała się być panią siebie. Małeńka osóbką nawykła do poufalszego towarzystwa, w którym królowała, zawsze pewną będąc, iż co uczyni, po-

dobrze się nam, lekka się była waga i przyborów do nowość szyciów, które się jej zdawało niepewnem. Nie sprzeciwiała się wcale woli matki, lecz tyle z tem było zachodu! a trzpiot ów tak nie lubił wielkich zachodów...

Przebendowska i Flemming, jako brat i siostra, mieli jedno gospodarstwo. General w Polsce niemal wspanialej jeszcze występował niż w Dreźnie, miał z sobą cały dwór, służbę, a potrzebując nieraz ugościć króla, wiedział, że dlań wystąpić świetnie było koniecznem.

Skrócone wieczerza stała się balem bardzo wytwornym. Król, wchodząc, znalazł już piękne grono kobiet, wśród którego wystrojona i wylekła, zmieszana, onieśmiewiona, a nawet mniej pięknie, niż zwykle, wyglądająca siedziała pani Denhoffowa. Podskarbina tak ułożyła wszystko, że król, zbliżywszy się do niej, rozpoczął rozmowę wesolą, która poszła dosyć źle. Uważano, że król wcale nie okazał, żeby mu się owa piękność podobać miała.

Po wieczerzy zaagrała muzyka, zaczęto tańcować; król wziął ciągle jeszcze nie mogącą przyjść do siebie Denhoffową, która tańcowała niezręcznie, zmyliła się parę razy i zmieszana tem, wydała się niekorzystnie.

Słowem, wrażenie, jakie zrobiła, wcale nie odpowiadało temu, co obiecywała Przebendowska.

Wieczorem król powracał do pałacu z Vitzthumem.

— Widziałeś — rzekł do niego — chcą mnie tu zbałamucić; ale dopóki takie jak Denhoffowa będą tego próbować, hrabina Cosel nie ma się czego obawiać.

Vitzthum był w dobrym humorze.

— Al Najjaśniejszy Panie — odwrócił się, — nie

Idzie tu pewnie z zastępami Arabów, Czeł, który może zostać w Dreźnie, a pani Denhoff w Warszawie. Wasza Królewska Mość ma dwa domy i dwa państwa: jedno w Dreźnie, drugie tu; należałoby i wypada dla kompletu, mieć i dwie panie. Polacy, jak słyszę, skarżą się, iż im się krzywdzieje przez Czeł, chcieliby, abyś Wasza Królewska Mość tegoż też tu sobie upatrzył. Gdyby Polka wyłącznie miała zawałdnać sercem, skarżyliby się Sasi: trzeba więc serce rozdzielić na dwoje, i pół roku kochać w Saksonji, pół w Polsce, aby dwa kraje zadowolić.

Król się śmiał.

— Zartuj sobie — rzekł, — dobrze ci będąc spokojnym, a ja przez każdego posłanca odbieram list z wyrzutami; tu z drógiej strony kuszą mnie... i nie wiem co z sobą zrobić.

— Niech sobie krzyczą — odparł Vitzthum, — król powinien tylko to robić, co mu się podoba.

Na to nie trzeba było namawiać Augusta. Ze strony marszałkowej, gdy raz odhryła się możność ściągnięcia króla, nic nie zostało zaniedbanem. Nazajutrz proszono na wieczerzę króla z małym towarzystwem poufanych. Pani Denhoff z siostrą zabawiły go śpiewem przy klawicymbale, i dość szczęśliwie powiodła się scena z Atysa i Sangardy.

Denhoffowa ośmieloną była i szła ze radą pod skarbiny, która zaleciła jej, żeby sama króla wyzwała nieco; śpiewając swą arię, oczów nie spuszczała z niego, tak że czule wyrazy pieśni zdawały się ku niemu kierowane. Król lubił być wyzywany i rozczulać się porządk, przystąpił i nie skąpił słów miłych, na które Denhoffowa tylko spojrzzeniami omiatającemi odpowiadała. Usłużna matka, śmielsza siostra, mówiły za nią i tłumaczyły, tak, że król otoczony niemi, zdawał się ze wszystkiemi trzema

romans rozpoczynać. Wzięto się doń natarczywie. Nie było ceremonij, pani Bielińska naprowadzała rozmowę na wesołe przedmioty i królowi dom się podobał. Zaczawszy bywać, powoli nawykł do oczów pani Denhoff, które od jego wejrzeń nie stroniły, i rakochał się tyle, o ile August mógł się kochać. Pani Przebendowska, cierpiąca zawsze, mogła już dokonawszy tego wielkiego dzieła, położyć się w łóżko i spoczywać.

Król odbierał ciągle listy od Cosel, której umyślnie donoszono o wszystkim; listy pełne goryczy i wymówek, na które odpowiadał zrazu pilnie, później coraz rzadziej grzecznościami i zapewnieniami.

Z nich już mogła się ona przekonać, że na serce króla rachować było złudzeniem; liczyła na jego przyrzeczenia, zobowiązania, na słowo... I ta rachuba zawieść ją miała.

W rozmowach z Vitzthumem król okazywał zniecierpliwienie, przebiegała się w nim chęć uwolnienia się z więzów hrabiny Cosel, której się obawiał. Flemming przeczuł to.

Jednego wieczora przy winie, gdy król począł wzdychać, roześmiał się.

— Miałbym ochotę—odezwał się—przypomnieć Najjaśniejszemu Panu stare dzieje; służą one czasem na pożytek nowym.

— Naprzykład? — spytał August.

— Onego czasu—począł Flemming—elektor saski, nim jeszcze poznał piękną Aurorę, pokochał córkę Schöninga, wspaniałą Rechenberg. Dokuczyła mu ona wkrótce, trzeba się pozbyć jej było. Naówczas elektor saski prosił o przyjacielską usługę kanclerza Beichlinga. Beichling rozpoczął romans z Rechenbergową i króla ze szpon puściła.

— Chciałbyś tego samego środka użyć z hrabiną Cosel? — spytał król—wątnie, żeby się powiodł.

— Masz goźby chcecie me spróbować.

— Kogoż chcesz nią uszczęśliwić? — dodał Angust.

— Wybór zostawiłbym przenikliwości Waszej Królewskiej Mości — rzekł Flemming.

Przechadzając się po pokoju milczał król i uśmiechał się szydersko.

— Wybór to trudny, bo Cosel mało ma znajomych, co by się nawet zbliżyć do niej ośmielili. Trzeba użyć barona Löwendahl'a, który jako krewny i protegowany, ma łatwy przystęp. Gdybym mógł jej zdradę zarzucić, miałbym wyborny pozór do zerwania.

— Spróbuję użyć Löwendahl'a — szepnął generał. — Wprawdzie zawdzięcza jej wiele, lecz więcej jeszcze winien królowi, a idzie mu o to, żeby upadek Cosel jego nie pociągnął za sobą. Zrobi, co mu się poleci...

Wskutek tego pięknego planu poszedł list do Dreżna polecający Löwendahl'owi, aby usiłował hrabinę Cosel skompromitować. Dawano mu do zrozumienia, iż w ten sposób przysługę uczyni osobie, która się za to potrafi odwdziżyć. Takich to środków zaczęli ludzie o wielkiej spoki nie wahali się używać, gdy im szło o dogodne fantazje, o spełnienie planów, o wyniesienie się i zemnię.

II

Gdy król w Warszawie z matką i za rozkazem pani Przebendowskiej składał hołdy Denhoffowej, odgrywającej komedię pod dyktowaniem daleko od niej zręczniejszej matki; Cosel jak osłupiała, za ledwie wstawszy ze słabości odbytej, słuchała codziennie doniesień, któremi ją z Warszawy karmiono. Flemming starał się o to, ażeby była o wszystkim zawiadomiona. A że król obawiał się zazdrości jej

gwałtowność charakteru, słuchano ją szpiegami, którzy każdy krok, myśli i słowo pilnie postrzegali...

August rad się był jej pozbyć, chciał razem unikać rozgłosu i wrzawy; żałował czasami pięknej Cosel, ale nadto był słabym, kłamliwym, żeby się osmielej oparł intrydze. Świeże twarze robiły z nim, co chciały, bawiła go nowość i po raz setny rozpoczynane też same amory, które się zawsze kończyły dla niego uśmiechem i ziewaniem, dla tamtych łzami.

Przykład Königsmarck, Teschen, Spiegel, Esterle, które się potrafiły pocieszyć i znalazły pocieszycieli, uspokajał go co do Cosel, chociaż widział on sam wielką między tamtymi a nią różnicę. Wszystkim im mógł jakąś słabość zarzucić, tej żadnej; ale Cosel groziła odebraniem życia królowi, potem sobie; pogrożka jej nie była czerem słowem. Można się jej było obawiać. Nakazano więc w Dreźnie mieć oko na Cosel i wszelkie jej kroki, lękano się, ażeby nie chciała przybyć do Warszawy; Flemming znał słabość króla, bo sam z niej korzystał, dysgracjonowany gwałtem przybywszy doń i odzyskując dawne stanowisko. Ukazanie się Cosel, jej piękność, wyższość, władza nad królem, wszystko zniszczyć mogły i obalić.

Wielkiemu marszałkowi Löwendahl'owi szepnięto, by szczęścia próbował. Cosel miała klejnoty, dobra, domy, była jeszcze młodą i piękną... Szło zresztą o to, aby jej zarzucić niewiarę.

Jednego poranka Flaxhausen, przyjaciel hrabiny, zastał ją we łzach i płomieniach; podbiegła ku niemu łamiąc rękę oburzona.

— Uwierzyszżebyś pan?... — zawołała — ten niegodziwiec, ten nieczestny, który mi wszystko jest...

... Löwendahl, w tej chwili śmiał mi swą mi-

kość... ka, zagroziłam mu, że do króla napiszę, i na szczęście, że policzka nie dostał.

Haxthausen zaledwie mógł ją uspokoić; drżał z oburzenia i gniewu, a łzy się jej z oczów toczyły.

— Al przed kilku miesiącami! — rzekła — nie śmiałyby być uczynić mi tej obelgi.

Krok ten Löwendhał'a był jakby znakiem dla hrabiny, że jej godzina wybiła. Słyszała już o Denhoffowej, a znano ją tu i całą rodzinę z dawnych jakichś głośnych przygód po świecie.

— Królewskie listy — odezwala się do Haxthausena — znacznie zmieniło. Słyszaleś pan co o Denhoffowej?

— Mówią o tem — rzekł Haxthausen.

— W jakież błoto go wciągnęto! — zawołała smutnie i zamilkła.

Flemming, który całą sprawą kierował, powrócił do Drezna, król mu polecił pozbyć się zwolna hrabiny, ale postępować z jak największą względem niej delikatnością.

Przybycie jego razu przeraziło Cosel, lecz po kilku dniach przekonawszy się, iż przyjechał w usposobieniu wcale odmiennem i unikał wszelkiego powodu do zaisc nowych, uspokoiła się nieco.

Czarodziejski pałac czterech pór roku król chciał mieć wolnym; szło o to, ażeby hrabina ustąpiła z niego, jeśli można dobrowolnie.

Posłano z tem łagodnego Haxthausena, który smutnie i ciężkie swe poselstwo sprawił z jak największem poszanowaniem i względami dla hrabiny. Z wielkiem podziwieniem jego, Cosel odezwala się

— Król mi go dał, więc i odebrać może. Miejsce to nadto mi lepsze czasy przypomina, ażebym żyć w niem mogła: wyniosę się chętnie.

W tej chwili wydano rozkazy. apakowano rzeczy

najęto dom przy Monastrasse i w kilka dni hrabina przejechała na nowe mieszkanie.

Tu już pusto było zupełnie, dworacy szczęścia i żebracy łask opuścili ją wszyscy. Wiadomość o wygnaniu hrabiny z tego raju napętniała nieprzyjaciółki jej radością. Był to znak niechybny zerwania. Cosel jednak nie wierzyła w nie, przed swemi poufałemi powtarzała, że jest żoną, i że król opuścić jej nie może. Jeszcze w roku 1705, August w chwili, gdy był rozkochanym w niej, darował piękną wioskę u brzegu Elby, Pillnitz; Cosel miała tu dom i ogród u brzegu rzeki, gdzie czasem w skwary letnie po kilka dni spędzała.

Położenie było piękne: las i drzewa otaczały ją dokoła, góry osłaniały od północy, u stóp pałacyku płynęła Elba, wśród której gęstemi krzewami zarosła wyspa, jak kłęb zielony, jak kosz pełen kwiatów przyglądała się w wodach. Lecz godzin kilka dzieliło Drezno od Pillnitz i pusto było dokoła.

Król coraz bardziej wymagający napisał do Flemminga, iż chce swej Denhoffowej Drezno i jego wspaniałości pokazać, nie życzy więc sobie ani dla Cosel, by się z nią spotkała, ani dla niej, by na porywczosć hrabiny narażała się; trzeba było skłonić Cosel do opuszczenia Drezna i zamieszkania w Pillnitz.

Haxthausena używano zwykle do tych układów, których Flemming dla uniknięcia waśni nie podejmował się osobiście; zaproszono więc przyjaciela domu i generał pokazał mu pismo królewskie, zalecające Cosel z Drezna wyprawić.

— Zmiluj się, pan—rzekł grzecznie — pomóż mi; król chce przybyć do Drezna, a nie będzie mógł tego uczynić, dopóki Cosel jest tutaj. Denhoffowa mówi mi o tym, że zycie nie będzie pewne, póki

nieprzejacowaną tu szuje. Samemu królowi tylekroć groziła hrabina pistoletem, że i król radby ją widzieć gdzieś nadziej; jak wierze, nie lubi on spotykać się z temi, których dotknął lub obraził. Wiem, że Cosel ma innie za wroga: nie byłem nim nigdy — dodał Flemming — rozgniewała mnie chwilowo: dziś to zapomniane. W położeniu, w jakim się ona znajduje, uchybiłbym jej nie chciał, ani przyprowadzać ją do ostateczności. Iść, pan, skłoń ją, niech dobrowolnie Drezno opuści, abym nie potrzebował ślać do niej rozkazu, co by jej większą uczyniło przykrość.

Haxthausen, wysłuchawszy tych słodkich wynurzeń Flemminga, poszedł.

Cosel była w doskonałym humorze, Haxthausen zaczął od żartów:

— Wiesz pani — rzekł — iż się nie mogę wydziwić złemu gustowi króla, który uchodził dotąd za człowieka wytwornego smaku. Nie znam pani Denhoff, ale z tego, co o niej wiemy, zdaje się, iż ta fantazja prędko przejdzie. Czasem po białym chlebie zachceiwa się spleśniałego razowego, ale po kilku kaskach, do pierwszego się powraca. Tak samo pewien jestem, że pani wrócisz z chwałą na dawne stanowisko, bylebyś nie chciała króla drażnić i zniechęcać ku sobie.

Cosel domyśliła się, że przychodził z jakimś poleceniem.

— Czy znówu jaką wolę królewską mi pan przynosisz, obwiniętą w tę bawelną pochlebstwa?

Haxthausen popatrzał smutnie i głową dał znak, że tak było w istocie.

— A więc mów pan...

— Byłem u Flemminga — rzekł — pokazał mi rozkaz króla, który chce, byś pani na czas pobytu jego tu z Denhoffową wyjechała się do Pillnitz. Sądzę,

to to i dla pani samej będzie przyjemniejszem, niż patrzeć...

Lzy stanęły jej w oczach; spuściła oczy.

— Al tak mi trudno! tak trudno! — zawołała cicho. — Wiem, żeś mi pan życzliwym, że w jego słowach niema zdrady, a tu jej się od wszystkich i wszędzie obawiać potrzeba; jednak, nie wiesz pan, ile mnie to kosztować będzie.

Zaczęła chodzić po sali, zakrywając chustką oczy. Dawna gwałtowność i gniewy opuściły ją, płakała i chciała się ze łzami przed obcem okiem oślonić, potem otarła je żywo.

— Widziałeś pan sam ten rozkaz króla, nie zmyśliłi go oni?...

— Daję pani słowo, widziałem go.

Rumieniec wystąpił na twarz, gniew powrócił.

— Nie znają mnie — zawołała, — drażnią, aż do wściekłości przyprowadzają, aż do okrutnej, szalonej zemsty obudzą. Wiedząż oni, do czego ja dojść mogę, gdy raz gniew mna owładnie? Myślą, że poszanuję ich, jego nawet, tego człowieka, który sądzi, że mu korona daje prawo uragać uczuciom i pomiatać ludźmi?

Haxthausen słuchał milczący.

— I to wszystko — dodała — spotyka mnie dla jednej Denhoffowej, której ulubieńców na palcach liczą wszyscy, bo się nie kryła wcale z nimi!... Prawdziważ godna ulubienica dla króla... Chcieli go więc poniżyć i zbezcześcić, dając mu taką kobietę. O! ci ludzie, ci ludzie!...

I znowu płakać zaczęła.

— Mogłażem się tego spodziewać? jakże nie miałam wierzyć mu — mówiła, łkając, — przysięgał mi, był dla mnie najczulszym, miałam jego serce; poświęcał mi, co miał najdroższego: nie wahał się uznawać mnie przed światem, tyle lat szczęścia...

spokoju, ukołysały serce, uwierzyłam, byłam przyszłości pewną. Trzy kolebki łączyły nas z sobą, kochał swe dzieci, dał im imię swoje, nie wstydził się słabości dla mnie... Ja-m go kochała, on mi nie wyrzucić nie może; byłam mu wierna: jednego wejrzenia nie rzuciłam na nikogo, serce mi nie uderzyło, prócz trwogi o niego... Życie, obyczaj, wszystkom zastosowała do jego upodobań, służyłam mu jak niewolnica. A dziś, dziś, po latach tylu, mamże go stracić, pozostać sama, sierotą, bez opieki, bez słowa pożegnania, bez wyrazu współczucia! Al ten człowiek nie ma serca. Serca? — poczęła śmiejąc się — nigdy go nie miał: rozpieszczone dziecko szczęścia, ze wszystkiego robi sobie zabawkę tylko, igra z ludźmi, z uczuciami, z tem co dla innych święte, a co dla niego rozrywką jest i śmiechem. A któż kiedy pochwali się, że znał tego człowieka — dodała, — jak anioł dobry, umie być jak szatan zimnym i bezlitosnym; w pocałunku kryje nienawiść, w uśmiechu osłania zemstę: słowa mu z ust płyną słodczy pełne, aby uspiły ofiarę. Reszta świata zda mu się stworzoną na to, aby miał o co oprzeć nogi i usnąć wygodniej, a gdy mu spokoju trzeba, gotów pozabijać żywych, by mu się z pod stóp nie ruszyli.

Oczy jej gorzały, Haxthausen słuchał, nie śmiejąc przerywać, przejęty tą wymową goryczy pełną.

Pół godziny trwały te wybuchy namiętne, coraz zmieniając ton; naostatku znużona padła, ale znać było gorączkę, która ją trafiła. Umilkła.

— Pani — odezwał się poseł — któżby się mógł dziwić twemu gniewowi? jest on naturalnym i dowodzi serca. Nie możesz, pani, wątpić, iż ja pragnąłbym innego ci losu oznajmienie przynosić lecz jestże środek zaradzenia temu? W tej chwili nie ma innego nad cierpliwość i ostrożność, ażeby so-

bie drogi do powrotu nie zamknąć. Znasz, pani, najlepiej zmienny umysł króla: nikt nigdy nad nim tak długiego i stałego nie wywierał wpływu. Możesz go, pani, odzyskać, trzeba dziś myśleć o jutrze i dlań się zachować.

— Radźże mi, radź, mój dobry, jedyny przyjacielu — odezwała się wzruszonym głosem do Haxthausena.

— Ale mi pozwól, pani, być szczerym — rzekł poseł.

— Mów otwarcie.

— Flemming jest dla pani, jeśli nie zmienionym, to przynajmniej lepiej, łagodniej, względniej usposobionym, niż był kiedykolwiek; trzeba go w tem usposobieniu utrzymać. Któż wie? na dworze zmienia się co chwila wszystko: możesz mu, pani, być potrzebną. Jeżeli dziś zachowasz się łagodnie, król będzie wdzięczny i uczyć się może wzruszonym. Straszono go ciągle odróżkami pani, pistoletami, zemstą, gniewem... Nieprzyjaciele pani mieli je ciągle na ustach. Król sam zaczął się obawiać, a Denhoffowa nie odważyła się ruszyć do Drezna, lękając się o życie. Dopóki król sądzić będzie, że pani jesteś tak rozdrażniona, nie zbliży się do niej nigdy. Najlepszą więc rachubą jest okazać się łagodną. Masz, pani, przykład na hrabinie Königsmarck — dodał, — potrafiła ona łagodnością swą zachować stosunki przyjaźni z królem i z księżną Teschen, pozwolono jej zostać w Dreźnie, widywać go; gdy przeciwnie Esterle swym uporem zamknęła sobie wstęp do dworu.

— Ale jakże mi pan śmiesz — zawołała gniewnie — stawiać takie przykłady! Esterle! Königsmarck! to były metresy króla: ja jestem żoną jegol... nie równaj mnie, pan, z niemi...

Haxthausen zamilkł.

— Zresztą masz pan słuszenie, nie chce się gniewać; chcę się okazać łagodną i posłuszną; pojedę jutro.

Już posel miał wstać uradowany, aby odejść z tą dobrą nowiną, gdy Cosel wybuchnęła nagle uderzając nogą.

— Nie będą śmieli zmusić mnie do tego; król sam nie odważy się na to... to nie może być! nie!

Haxthausen począł ją łagodzić, uległa mu; ale zaledwie ją przekonał o potrzebie powolności, wracała do oporu i burzyła się.

Trzy czy cztery razy zmieniała zdanie; naostatek znużonemu już tą walką Haxthausenowi powiedziała:

— Nie pojedę; zostanę; niech gwałtu użyją, jeśli się ośmiela.

— Namysł się, pani, na Boga; proszę panią... cóż powiem Flemmingowi?

— Powiedz mu pan, że jechać nie chcę.

Nie było co robić, baron poszedł do generała z tą smutną nowiną i z opisem całej swej rozmowy.

Flemmingowi przykro było, że łagodnym sposobem nie mógł uczynić: siły widocznie użyć nie chciał. Po długich namysłach, prosił Haxthausena, ażeby raz jeszcze poszedł do niej.

Baron miał siostrę niezamężną Emilję, która przy nim mieszkała, osobę poważną i łagodnego charakteru; tym razem nie poszedł sam, wziął ją z sobą. Oboje starali się w ciągu kilku godzin przekonać ją, iż nic nie traciła na łagodność; a mogła, buntując się, szkodzić sobie.

Cosel to się godziła i przystawała, to znów oburzała na ten bezduszny despotyzm. Trzy razy wychodzili już, mając jej słowo, że odjedzie dobrowolnie, i za każdym odwoływała ich ode drzwi.

Widocznie rachowała i, ważąc wszystko, nie mogła być pewną, co dla niej lepszym być może.

Flemming, dowiedziawszy się o tem, że hrabina ostatecznie odmówiła, dał jej jeszcze dwa dni do namysłu.

Trzeciego dnia pojechał do niej.

Zameldowano go hrabinie, która wyszła w czarnej sukni z zapalającymi oczyma, ale z postawą dumną.

Flemming przedstawił się jej z całą etykietą dworską i chłodem wytrawnego dyplomaty.

— Stawiasz mnie pani w najprzybliższym w świecie położeniu — rzekł spokojnie, — im pewniejszy jestem, żeś mnie pani liczyła do nieprzyjaciół, tem mocniej usiłowałem jej oszczędzić przykrości; wstrzymałem rozkaz króla kilka dni: przykoszę go pani. Jeśli nie zechcesz usłuchać, nie będę winien, iż zostanę zmuszonym spełnić go w jakikolwiek bądź sposób. Jest to rozkaz pana mego. Król jest w drodze i nie chciał pani zastać w Dreźnie.

Stojąca przy oknie Cosel zobaczyła oddział konny trabantów, który przed jej mieszkaniem nadciągnął i ustawił się w ulicy; błysnęły jej oczy zarne, ale się pohamowała.

Spojrzała na list.

— Jadę natychmiast! — rzekła z lekkim ukłosem — możesz pan zaufać słowu mojemu.

Flemming schował list, uklonił się i wyszedł, trabanci pojechali za nim.

W godzinę potem, hrabina Cosel, płacząc, ukryta w powozie, jechała do Pilnitz. Wszystko to doznało się wprzód, niżeli król wyjechał z Warszawy. Jakkolwiek płochy i bez czucia, nie chciał zerwać z hrabiną Cosel, nie okazawszy jej ewnych względów, należnych po tylu latach powścią; niepokoiło go to, iż nie miał powodu do

zerwania, że okaże się winnym, nie mogąc z tej strony znaleźć winy.

Gdy Löwendahl'owi tak się nieszczęśliwie powiodło w oświadczeniach miłości, wyprawiono do układow jakichś Watzdorfa i usłaznego ale nie zgrabnego van Tinen, którego król używał ale nie cierpiał.

Watzdorf, niemniej wstrętliwy Augustowi, zwanemu chłopem z Mansfeldu przez niego, był grubzani i niezgrabny.

Watzdorf na dworze niewiele znaczył, ale Fleming go bronił i nim się opiekował. Jednego dnia gdy się go najmniej spodziewać mogła hrabina zjawił się w Pulnitz.

Jedyną jego wymówka, że się znaleźć nie umiał i z halasem zaraz wpadł do domu kobiety, która się już nie lękała, było to, że przybył pijany. Po drodze do Drezna wcale go nie wyrzeźwiała: polecono mu układy z hrabiną Cosel, wystawiał więc sobie, że mając losy jej w ręku, mógł pozwolić sobie, co się podoba.

Już po wujściu do pokoju bez oznajmienia poznała hrabina chłopca z Mansfeldu.

— Kochana pani — zawołał, śmiejąc się od progu, — jestem posłany przez króla jegomości, po winnaś mi pani być rada. Przywożę jej doskonałą nowiny. Król, któryby mógł i nic pani nie da i w żadne targi nie wchodzić, jako pan miłościwy życzy sobie rozstać się z obopólnem zadowoleniem i zgodą: słyszy pani?

— Słyszę, panie hrabio, ale nie rozumiem — dumnie rzekła Cosel.

— A jaka zawsze śliczna! — dodał Watzdorf zbliżając się i uławszy najprzód rękę; namyslił się nagle podniósł głowę, znajdując, iż lepiejby w twarz pocałować.

Ale nim to mógł spełnić, Cosel cofnęła się krok i swoim zwyczajem głośny, silny, piękną rączką dała mu policzek.

Watzdorf stał chwilę zdumiony.

— To tak? — zapytał.

— Tak — odpowiedziała Cosel, pokazując mu na drzwi — król powinien był wiedzieć, że takiego gburę za posła do mnie nie godziło mu się wybierać.

Watzdorf potarł się tylko po twarzy i zamilkł, położył kapelusz i został.

— Niech to idzie w zapomnienie — rzekł, — ja nie jestem mściwy, a zresztą, policzek z tak pięknej rączki nie bezcześci... owszem...

Chłop z Mansfeldu został nawet potem na obiedzie i usiłował sprawić swe poselstwo, ale w sposób najniezgrabniejszy w świecie; obiecywał bowiem hrabinie najświetniejsze warunki, wymagając jej serca.

Rozśmiała mu się w oczy i pojechał wytrzeźwiony jak zmyty.

Cosel chciała się skarżyć listownie królowi na Watzdorfa i Löwendahl'a, odradzono jej to: Watzdorf zapnował się naówczas finansami, dostarczał pieniędzy; walka z nim była trudną.

Nastano później van Tinen'a, o którym na dworze rozpowiadano, że się w niej szalenie kochał, a Cosel go dosyć znosiła, ale van Tinen życzliwszy dla niej, nienawistny był królowi; pozwalał sobie zbyt wiele... dawał mu rady mentorskie i zniecierpliwiał go do tego stopnia, iż król, który po trzeźwemu go znosił, wieczorem raz o mało go własnymi rękoma, a raczej nogami nie zabił.

Vitzthum, który doskonale znał temperament króla i jego usposobienie dla osób na dworze się znajdujących, spotkawszy van Tinen'a na progu portyku, w którym August siedział już po wielu kielichach, przestrzegł go, żeby nie wchodził.

— Król nie lubi cię: nie włącz mu w oczy.

Van Tinen nie usłuchał dobrej rady, wszedł August się skrzywił. Po chwili van Tinen, ośmielony, począł rozprawiać: król milcząc odwrócił się od niego: ten zaszedł z drugiej strony, włożył po samą rękę olbrzyma, który milcząc patrzył na zgóry. Przytomni, widząc jak oczy Augusta błyszczały, radzi byli ostrzec nieopatrznego, który się zdawał wyzywać niebezpieczeństwo.

Król jakiś czas nie mówił słowa, oddychał ciężko, słuchał szczebiotania natrętnego, nareszcie zaczął coś mówić; van Tinen przerwał: król zamilkł. Po chwili odezwał się znova i jeszcze raz wpadł mu ze słowem van Tinen. W tej chwili, jak dzik rozżarty król zwrócił się ku niemu; ten zaczął się cofać. Szli tak, jeden następując coraz bliżej, drugiego cofając się coraz bojaźliwiej do kąta gabinetu. W chwili, gdy van Tinen oparł się jak trup biały o ścianę, król chwycił go za kołnierz, rzucił na posadzkę i począł go bić nogami, tak że zbit go na miazgę, słudzy porwawszy bez zmysłów jego leżącego, na łóżko ponieśli, i o mało życiem głupstwa swojego nie przypłacili.

Na żadnym z tych ludzi król nie mogąc zwyciężyć, coby Cosel obwiniało, zasłyszał wreszcie plotkę, że tajemną intrygę miała z bratem Lechrenna, który był uszedł za granicę. Posłano po niego, wdano się w targi, aby niewinną oczernić, ale i to się nie powiodło.

Chciano obwinieniem poprzedzić przybycie króla do Drezna, aby mieć powód do znęcania się nad upadłą.

Postępowanie to mogło ją goryczą napęłnić i rozpacz przyprować; mogła się czuć obrażoną na króla, który dozwalał ją dręczyć i nasylał torturami ludźmi.

Jednego dnia dowiedziano się w Dreźnie, że Cosel znikła z Pillnitz. Była na drodze do Warszawy. Na złamanie karku poleciały listy kresami wysłane, aby o tem oznajmić marszałkowej. Natychmiast zwołaną została rada familijna: trwoga była niezmierzona. Przybycie Cosel mogło tę całą tak szczęśliwie osnutą komedję zmienić na tragiczny dramat.

Król już był zakochany, a raczej oplątany przez te panie. Ułożono dlań scenę nową.

W godzinie, o której król zazwyczaj przybywał w odwiedziny do pani Denhoffowej, ubrana czarno, z włosami rozpuszczonemi, siedła piękna zalotnica na łóżku, z chustką do otarcia łez, których na oczach nie było, ze wzrokiem wlepionym rozpaczliwie w ścianę. Matka i siostra uznały tę pozę piękną i wielce efektowną.

Gdy król wszedł, udała, że go, w rozpaczy swej zagłębiona, nie postrzeża.

— Cóż ci to jest, piękna pani? — zapytał król troskliwie.

Denhoffowa udała, że się z płaczu zanosi, oczy suche kryjąc w chusteczce, a grała tę scenę obmyśloną z talentem wielkim. Rozczulony August począł piękne rączki całować, domagając się łez przyczyny.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekła patetycznie Denhoffowa, — zagrożona jestem zgonem! Ja tego nie przeżyję! A! umrzeć byłoby niczem, gdybym do grobu poniosła choć to przekonanie, że mi serce wasze zostało... ale... niestety... ludzie chcą mi z życiem wydrzeć razem serce twoje! Pani Cosel jedzie, przybywa do Warszawy... może się już tu znajduje... może już zguba moja została poprzysiężoną, może ty, królu, przybywasz tylko, aby mi oznajmić, że ja powinna ustąpić szczęśliwej rywalce...

— Ale cóż pani śnisz? — przerwał król zdziwiony — skąd to wszystko, mógłżebym ja panią zdradzić? Nie; pani, nierozzerwane węzły łączą nas: twój charakter pełen słodyczy, twa dobroć dla mnie są rękojmią, że ci nigdy żadna Cosel szkodzić nie może.

— Al panie mój — ciągnęła dalej Marynia — bogdaiby to, co mówisz, prawdą było, bogda, byś mi odpłacał miłością tak szczerą, jaką ja mam dla ciebie. Al umrzeć dla mnie jest mezem, ale cię utracić to nad siły... wyrzec się życia prędzejbym mogła, niż tego szczęścia, które mi się uśmiechało. Królu, jeśli mnie kochać przestaniesz, weź to życie: nie chcę go więcej.

— Ale moja droga krabino — odparł król, — byłoby z mej strony niegodziwością takie wyznanie tak słodkie wyrazić z ust twych, niewdzięcznością zapłacić.

— Dzięki ci, panie, za tak słodką nadzieję — mówiła ciągle Marynia — mimo to ja się uspokoje nie mogę, trwoga mną owłada... Ta niezdolna rywalka zbliża się... będziesz ją widzieć, pochwycę znowu tę władzę nad sercem pana mego, którą tak długo zachować umiała.

— Czekaj, się pani dręczysz — przerwał król troszkę niecierpliwie, — jakimże ją sposobem uspokoić mogę? Oweżam, pozwól niech Cosel przyjdzie, oduleriesz triumf nad nią.

— Ille, nie! — zawołała Denhoffowa — jeśli Cosel ma tu przybyć, ja opuszczam Warszawę: ta kobieta targnąć się może na mnie, najniegodziwszego gwałtu dopuścić.

Marszałkowa matka w czasie tej rozmowy stała pode drzwiami, gotowa wniknąć, gdy znak usłyszała. Marynia kaszlnęła... drzwi się otworzyły i wszedł udając zdziwioną i niewiedzącą zupełnie, że król się tu znajdował.

— Bardzom szczęśliwy, że panią widzę — zawołał król, wstając, — chodź pani i pomóż mi uspokoić córkę swą, która mnie obraża posądzeniami niesłusznemi.

— Ale o cóż idzie, Najjaśniejszy Panie?

Marszałkowa udawała zdumioną.

— Wszak podejrzenia i zazdrość są dowodami przywiązania — dodała żywo. — Nie powinno to Waszej Królewskiej Mości obrażać.

— Posłuchajże pani...

Tu król opowiedział wszystko... Marszałkowa słuchała go, dziwnie spoglądając na córkę, to na niego; minę miała skłopotaną.

— Przebaczysz mi Wasza Królewska Mość — rzekła po chwili — ja się córce mojej nie dziwię wcale. Wiadome są całemu światu pogrożki hrabiny Cosel, znany jest gwałtowny jej charakter. Wszak śmiała grozić wam nawet, Najjaśniejszy Panie!

— A więc — przerwał August — o co idzie? dla waszej spokojności wydám natychmiast rozkazy, ażeby panią Cosel zwrócono z drogi do Drezna.

Na to marszałkowa, składając ręce, wykrzyknęła przejętą wdzięcznością:

— Szczęśliwą możesz się nazwać, Marynin kochana, mając tak troskliwego o twój spokój opiekuna.

A po namyśle dodała:

— Ośmielam się jeszcze uczynić uwagę, że pani Cosel, łaskami Waszej Królewskiej Mości uzuchwalona, niełatwo kogo posłucha; należałoby kogoś wyprawić... kogoś takiego, coby umiał...

— Wybierzcie panie, kogo chcecie! — zawołał król, trochę tą sceną znudzony.

Zaczęto dziękować i rozpadać się przed Najjaśniejszym Panem, okazującym tyle dobroci, tyle troskliwości.

Marszałkowa miała już gotowego do tej wyprawy człowieka. Był to Francuz Montargon, przybyły z księstwem Polignac do Polski, który tu przy Bielińskich pozostał i wyrobił sobie tytuł szambelana jego królewskiej mości. Różnie mówiono o jego stosunkach z tym domem...

Montargon znalazł się w pół godziny gotów na rozkazy króla, który mu polecił stanowczo zawrócić z damą hrabiną Cosel.

— A jeśli by rozkazu Waszej Królewskiej Mości usłuchała nie chciała? — spytał Francuz — w takim razie co mam uczynić?

Król na chwilę zamyślon, wyraźnie kosztowało go to, do czego został zmuszony.

— Dam wałpanu w pomoc La Haye, podpułkownik małych kawaler-gardów, i sześciu gwardziolów; zdaje mi się, że to już wystarczycie powinno.

Nie tracąc czasu, posłano po pana La Haye, który z ust króla samego otrzymał dobitne rozkazy, i tejże nocy oddział, wysłany przeciwko jednej kobiecie bezbronnej, wyruszył z pośpiechem nadzwyczajnym gościncem, który wiodł z Warszawy do Drezna.

A jak czułe były podziękowania, i jak wielka potem radość z odniesionego triumfu!!!

III

Hrabina, raz postanowiwszy widzieć króla i sama w obronie swej stanąć przed nim, z małym dworem wybrała się w drogę, chcąc pośpieszyć tak, ażeby jej wiadomość o wyjeździe nie poprzedziła. Nie opuszczający jej nigdy wierny Zaklika towarzyszył w tej podróży. Cierpiał on niewymownie nadołosem swej pani, ale w naturze jego było milczeć

tem uparciej, im więcej bolał... Błady, wychudły, szerniały, jechał przy powozie, spełniając rozkazy, niemy a zły.

Przed wwiązdem z Drezna Cosel kazała go zawołać do gabinetu.

— Wszyscy mnie opuścili — odezwiała się — nie mam nikogo, na kogobym liczyć z pewnością mogła. Spojrzała nań; Zaklika stał chmurny.

— Czy i wy mnie porzucicie?

— Ja? nigdy! rzekł krótko.

— Zdaje mi się, że na wasz szlachetny charakter i poświęcenie dla mnie rachować mogę.

— Zawsze — odpowiedział uroczyście Zaklika, dwa palce podnosząc do góry, jakby przysięgał.

— Chcę wam to co mam najdroższego powiedzieć — odezwiała się, zniżając głos, Cosel, — powiedzcie mi, zaręczcie, że chyba z życiem stracicie to, co wam dam do przechowania, że nie dacie sobie tego wydrzeć siłą, że mi będziecie strzec mego skarbu, honoru mego, jak...

— Jak relikwii — rzekł Zaklika, znowu rękę podnosząc — niech pani będzie spokojną...

— I nie trzeba, by żywa dusza wiedziała o tem, co złożę w waszych rękach.

— Kaze mi pani przysiąc?

— Wierzę słowu. Trzeba jednak, abyś wiedział, co masz strzec. Mówiłam, będziesz stróżem honoru hrabiny Cosel. Gdy król mnie rozdzielił z mężem, dostałam na piśmie z pieczęcią jego przyrzeczenie, że po śmierci żony mnie poślubi, że wejdę w prawa małżonki. Inaczej, nie zgodziłabym się nigdy na takie życie. Teraz usiłować będą mi wydrzeć to przyrzeczenie, którego złamanie króla okrywa sromotą; mogą się targnąć na mnie, ale ust mi nie odemkną, ale mnie torturami nie zmuszą do wydania, gdzieś to pismo złożyła. Zamurować je?

mogą mnie wygnać; zakopac? mogą mnie oddać; na sobie nosić nie jestem pewna.

Te mówiąc, Cosel otworzyła szkatułkę hebanową, sadzoną srebrem i kością słoniową, ze szkatułki dobyła pudełko złote, a z niego woreczek skórzany opieczętowany, ze sznurem jedwabnym.

— Ty mnie nie zdradzisz? — odezwała się, patrząc mu w oczy.

Zaklika upadł na kolana i lzy mu spadły na wąsy, pocałował podaną rękę; pochwycił, oglądając się, woreczek, który złożył prędko na piersiach, i odezwał się głosem stłumionym:

— Chyba z życiem go utracę.

Cosel prędko zamknęła szkatułkę.

— Jechemy w drogę — dodała, — nie wiem, co się w niej przytrafić może, a może zdarzyć się i najmniej spodziewane i najgorsze: trzeba, byś miał pieniądze zawsze.

Dała mu zielony worek ze złotem.

— Do rachunku — rzekł Zaklika.

W kilka godzin potem Cosel z nabitymi pistoletami, które jej nigdy nie opuszczały, ruszyła w drogę.

Podróż aż do Widawy, małej miejsciny na pograniczu Śląska, szła szczęśliwie i szybko. W Widawie musiano się zatrzymać dla spoczynku; hrabina, zmęczona, miała robić obiad naprędce i zajęła najlepszą, prawie jedyną gospodę. W drugim jej końcu stało dziesiętek koni jakiegoś oddziału trabantów, który, jak się domyślano do Saksonji musiał powracać. Zaklika straż pełnił u drzwi. Montargon i La Haye zjawili się przed nim, prosząc, aby ich zameldował hrabinie, którą spotkawszy w drodze przypadkiem, radziby jej złożyć uszanowanie.

Pierwszy z nich znajomym jej nawet nie był.

Zdziwiła się niepomiata hrabina, gdy jej Zaklika to oświadczył, nawykła od niejakiemu czasu do tego, iż wszyscy od niej stronili. Na myśl jej nie przyszło żadne niebezpieczeństwo, kazała prosić.

La Haze był człowiek grzeczny i z dworem obyty, umiał się znaleźć.

Hrabina Anna pomimo niepokoju i serca ucisku, nawykła do poskramiania swych uczuć, usiłowała odegrać rolę spokojnej a nawet wesołej. Przyjęła oficerów grzecznie, uprzejmie bardzo, a że pora obiadowa się zbliżała, prosiła ich na skromny swój posiłek podróżny.

W czasie obiadu rozmowa szła dosyć swobodnie, ku końcowi Montargon, który swe posłannictwo miał na sercu, począł opowiadać o Warszawie, o tem, o owem i zwrócił się do hrabiny:

— Zdaje mi się — rzekł — że pani się niepotrzebnie w podróż tę wybrała. O ile my wiemy, król mocno zajęty i bodaj czy go to nie oburzy i nie rozgniewa. Możesz pani być wystawioną na nieprzyjemności.

Cosel na te słowa zmarszczyła brwi, cołnęła się z krzesłem od stołu.

— Jakto? pan! pan mi będziesz dawał rady? pan masz lepiej znać króla nade mnie i moje położenie i to co mi czynić wypada?

Zmieszał się Montargon.

— Pani daruje — wybałnął.

— Nie daruję panu tego — krzyknęła Cosel — bo to jest niezręczność i niegrzeczność. Dajże mi wacpan pokój z radami, których ja od niego nie potrzebuję.

Montargon pobladł, skrzywił usta.

— Ode mnie pani hrabina w istocie anibys mogła rad potrzebować, anibys ich powinna słuchać; ale gdybym miał polecenie od króla jegomości?

— Od króla? — zawołała Cosel.

— Tak jest.

— W takim razie nawet nie czuję się zmuszoną do posłuszeństwa — rzekła hrabina. Opanowali go nieprzyjaciele moi, zrobił to, czego był nie powinien uczynić i czego w tej chwili żałuje sam. Mógł król chwilowo ulec, a pewna jestem, iż sam będzie rad, że go nie posłucham. To moja sprawa.

Montargon, człowiek gładki, ale obrażony tonem, jakim go piękna podróżna zrazu poczęstowała, odezwał się głosem niby słodkim a w istocie boleśnie obrażającym:

— Wdzięcznym był pani hrabinie, gdyby mnie raczyła uwolnić od użycia nader nieprzyjemnego środka — siły.

— Jakto? — porywając się krzyknęła Cosel — waćpanbyś śmiał się targnąć na mnie?

— Mam stanowczy rozkaz króla zawrócić panią do Drezna — rzekł Montargon — i będę zmuszony być mu posłusznym.

Hrabina uniosła się porywem gniewu. Słyszała o panu szambelanie, że był synem wioskowego pisarza, i krzyknęła nań:

— Precz mi, piszczyku ty jakiś; precz! — porwała za pistolet — bo ci łeb roztrzaskam.

W progu stał już Zaklika.

Montargon, który także dobrze wiedział, z kim miał do czynienia i był pewnym, że hrabina słowa mu dotrzyma, wysunął się co prędzej, nie otwierając już ust, a La Haye, który się dotąd nie odzywał, pozostał.

Sposób, w jaki towarzysz jego dostał odprawę, był dla niego nauką; La Haye zaczął z wielką łagodnością:

— Pani hrabino, — rzekł — posłów ani ścinają, ani karzą; niech się pani uspokoi: myśmy nie winni,

te nam tak ściśle dano polecenie. Byłbym w rozpacz, gdybym się mógł najinniejszą przykrością narazić pani, ale na miłość Boga, rozkazy króla! rozkazy z własnych ust najjaśniejszego pana dla wojskowego: niema ratunku, one się spełnić muszą.

— Widziałeś pan króla? — spytała spokojnie Cosel.

— Tak jest, z ust jego własnych odebrałem rozkaz. Zaklinam panią, nie byś ratowała siebie, ale byś mnie raczyła uratować.

Ten ton łagodny rozbroił ją nieco: Cosel padła na krzesło drżąc.

— Niech się pani uspokoi: niema, jak mi się zdaje, nic dla niej groźnego w tem wszystkim.

— Jakto? a Denhoffowa?

— A! to bałamuctwo przemijające — zawołał La Haye — coś nakształt romansu króla z Duvalową, o której dziś tak dobrze zapomniał, że nie wiem, czy sobie jej imię przypomina. Pani Denhoffowa jest zamężną, mąż jej na wsi, o niczem nie wie, niema najmniejszego podobieństwa, ażeby przybyła do Drezna. Król zaś powrócić musi; zobaczysz go pani i łatwo odzyszczesz wpływ swój nad nim.

Coraz spokojniej zaczęła go Cosel o wszystko rozpytywać. La Haye umiał jej historję w takim świetle przedstawić, aby jej znaczenie zmniejszyć. Po kwadransie rozmowy hrabina grzeczne prośby dała się wreszcie pokonać. La Haye odniósł zwycięstwo, kazano zaprzęgać, wracała do Pillnitz.

Montargon już się jej na oczy nie pokazał, ale ze szczęśliwą nowiną wysłał zaraz kurjera do pani marszałkowej. Obawiając się zaś, ażeby Cosel nie zmieniła w drodze postanowienia, on i La Haye z oddziałem żołnierzy prowadzili ją niepostrzeżeni, noclegi i popasy odprawując w kilka godzin po niej, aż pod Budyszyn, skąd już spokojni mogli wrócić do dziekczynienia tych pań do Warszawy.

Montargon, który dawno tak blisko nabitego pistoletu nie widział przy głowie, snił o nim długo i mówił sobie pocichu, że drugi raz na tego rodzaju wyprawę narażałoby się nie chciał.

Tymczasem pani Denhoffowa coraz jawniejszem występowaniem przy królu i przyjmowaniem go u siebie poczęła zwracać oczy wszystkich i mowy, w których jej nie oszczędzano. Jakkolwiek wpływ obyczajów obcych dał się już wówczas czuć w Polsce, choć nie był to pierwszy skandal tego rodzaju, tu jednak ludzie poważni gorszyli się i sarkali, a poniewieranie dobrej sławy przez kobietę zamężną, pod niebytność męża, oburzało.

Raziło to tem więcej, iż współpracą i pomocnicą była matka, że świadkiem była siostra, że się raczej chlubiono tem, niż tajono z poniżeniem. Na Denhoffa, którego rozkazy króla i umiejętne intrygi trzymały oddalonego na wsi, nalegać zaczynała rodzina, ażeby żonę do siebie wezwał. Denhoff słał coraz gniewniejsze listy, coraz usilniejsze nalegania, coraz straszniejsze groźby.

Wymówek wreszcie nie stawało, wyprawiono do matkę żony, która umiała sobie wszędzie dać radę.

Nazajutrz po swem przybyciu, pani marszałkowa odezwała się do zięcia:

— Nie męczcie nas temi wymaganiami powrotu, bo z tego nic być nie może. My szczęścia całej rodziny dla twoich fantazji poświęcać nie myślimy; mamy króla w ręku, król się w Maryni szalenie pokochał. Chcesz, żebym przez śmieszna pruderja odwiozła ci ją tutaj... a nasze interesa przez to zabiła?...

Denhoff był człowiekiem trochę starego kroju, coś zasłyszał o bałamuctwach żony.

— Słuchaj, wacpań — dorzuciła pani marszał-

kowa,—masz do wyboru; albo milczeć i zostawić rzeczy jak są i korzystać z łask monarszych, co by ci do twych interesów nie zaszkodziło, lub zgodzić się na rozwód. Nuncjusz Grimani jest nam dosyć przyjazny i w Rzymie rozwód łatwo wyrobi.

— Moja pani—odezwał się Denhoff,—dzielić się sercem żony z najjaśniejszym panem nie mam najmniejszej ochoty, a prawdę rzekłszy, ledwieby mi się co z niego okroiło... bo to tam dużo ludzi do córki jejmościnej konkuruje. Dajcież mi święty pokój z łaską królewską i z królewską kieszenią, a uwolnięcie mnie od Marysi, za co jeszcze wdzięczny będę, byle prędej.

Marszałkowa była nieco zdziwiona, że pan Denhoff przystał tak łatwo i tak rezolutnie łaską pańską pogardził, ale rozmówiwszy się z zięciem i otrzymawszy podpis jego, powróciła z nim do Warszawy do Grimaniego; nuncjusz napisał do Rzymu: Klemens XI rozwód dać kazał.

Tymczasem zmarł marszałek Bieliński, który chorował dawno, i zgon ten był przewidzianym. Zostały po nim długie ogromne, majątki obciążone: interesa zawikłane i cała nadzieja podźwignięcia rodziny spoczęła w pięknych rączkach pani Denhoffowej, która gorliwie się wzięła do kasy jego królewskiej mości. Sprawiono najprzód panu Bielińskiemu jeden z najwspanialszych pogrzebów, na jakie w tym wieku patrzyła Warszawa; potem dla nieszczęśliwych sierot umiano wzruszyć czule serce Augusta II. Posypały się dary dla całej rodziny. Kronika ówczesna powiada, iż sama pani Denhoffowa nie byłaby nigdy umiała poprowadzić rokowań o nieustanne wsparcia i indemnizacje, gdyby nie rozum, doświadczenie i zabiegliwość matki, niewypuszczającej jej z opieki i czuwającej nad dobrem całej familji. Pani marszałkowa prosiła o coś

ciagle, prosila nader zrocznie, bardzo slodko i grzecznie; znajdowala zawsze tak sluszne powody, tak konieczne potrzeby, tak tkliwie umiala przemowic do serca najjasniejszego pana, iz August dawal chetnie i choc nań Sasi juz sarkali, nie bardzo uwazal na to.

Pogrzeb marszałka był tak przepyszny, iż od żałoby uwalniał; król się musiał bawić, nie śmiano utrudniać mu rozrywek i zaprawiać je tęsknotą, oddalając się od nich, tak że bardzo prędko córki, syn i marszałkowa zaczęli bywać na balach i widowiskach, które król nieustannie wydawał.

Nie szło mu to jednak w Warszawie, dokąd wszelkie wytworne przybory zwozić potrzeba było z Drezna; nie miał tu całej tej armji posługaczów, którzy go otaczali w Saksonji, rozumiejąc jego skimienia, odgadując myśli, siłać się na nowe coraz sztuki i wynalazki. Stolica Polski była ubogą, stroskunkowo w to, co zbytek i wystawę karmić miało. Król chciał pokazać w oczach swej pani, na co go stało, zdumieć ją i zachwycić. Zaczęto mówić o wyjeździe do Drezna, gdy się pani Denhoffowa obawiająca pistoletów Cosel, upewniła, że jej tam na drodze swej nie znajdzie.

Wyjazd z Warszawy całej rodziny, która szła za wozem triumfatorki, zbierając co z niego spała, nie prędzej nastąpił, aż się upewniono, że Cosel w drogę jej nie wejdzie.

Pani Denhoffowa dla pozbycia się rywalki, której w istocie więcej się lękała dla króla, niż dla siebie, udawała ciągle przerażoną, otaczała się strażami, prosiła o opiekę, kazała strzec od jakiej wymarzonej napaści.

Być bardzo może, iż nieprzyjaciele hrabiny chcący zapobiec, by wróciwszy do dawnych łask u króla, nie mściła się doznanej zniewagi, wpły

wali na panią Denhoffową, pobudzając ją do prześladowania. Dosyć, że król, który rad ją był oszczędzać, i który łagodnie dosyć obchodził się po rozstaniu z innemi ulubienicami swemi, był teraz nieustannie pobudzany do coraz nowego a coraz przykrzejszego znęcania się nad panią Cosel. Chciano się jej pozbyć w ten sposób, aby powrócić nie mogła.

Flemming nie bez przyczyny obawiał się spotkania z nią króla, iż obudzi żal w Augustcie. Jątrzone więc i pobudzano Denhoffową, która wzdragała się prześladować kobietę, i kobietę nieszczęśliwą.

Ale Flemming i Fürstemberg przestraszali ją ciągle tem, iż w Pillnitz będzie o parę mil od Drezna, że z królem spotkać się może, że naówczas pani Denhoffowa straconą zostanie ze stopni tronu, a z nią cała jej rodzina.

Tak z jednej strony nasadzając panią Denhoffową na króla, ażeby ją wygnał z sąsiedztwa stolicy, z drugiej Flemming sam przypominał mu, iż nieopatrznie, w chwili namiętności, dał na piśmie przyrzeczenie ożenienia, że tym dokumentem przechwalała się hrabina Cosel, że należało bądź co bądź, papier ten, bodaj zań opłaciwszy, odebrać, aby króla nie kompromitował.

August znalazł to słusznem: raz rozpoczynawszy prześladowanie, obudziwszy gniew i pragnienie zemsty, musiał iść dalej i odebrać nieszczęśliwej wszelkie narzędzia obrony i usprawiedliwienia.

Nie dano jej w Pillnitz spoczynku.

Watzdorf zjawił się znowu. Jakkolwiek był dla niej wstrętliwym, Cosel, nawykła teraz z pozorną przynajmniej cierpliwością znosić wszystko, musiała go przyjąć, wiedząc, że przybywa z wiedzą i za wolą króla.

Tym razem był on znacznie śledniejszy w postępowaniu z hrabiną.

— Życzę pani dobrze—odezwał się przy powitaniu,—najlepszym tego dowodem, że tu przybywam, abym dopomógł do jakiej zgody i układów. Wpłyniemy wszyscy na króla, aby jak najkorzystniej wypadło to dla pani... ale...

— Ale co?—zapytała Cosel, spoglądając nań.

— Ale ze strony pani trzebaby też trochę powolności—rzekł Watzdorf.

— Posłuchaj mnie, pan—odezwała się Cosel—byłam królową panią, bóstwem; jestem matką trojga przyznanych przez króla dzieci jego; nie dałam mu powodu do żadnych podejrzeń i zazdrości: najzłośliwsza potwarz zęby skruszyła, rzucając się na mnie. Jeśli sobie co mam do wyrzucenia, to zbytnią miłość dla króla. Po tylu latach pożycia, w ósmym roku, nagle po świeżych jeszcze przysięgach i laskach, najnikczemniejsza intryga odbiera mi nie jego serce, ale namiętność tylko. Każe mi rzec się miłości... milczę... wypędzają mnie z darowanego palacu, idę; każą mi się oddalić z Drezna, usuwam się do Pilnitz; chcę widzieć króla, zawracają mnie siłą z drogi. Pomimo to wszystko ogłaszają mnie zuchwałą, mściwą, niebezpieczną, lękają się mojej wściekłości, mówią, żeam gotowa z rozpaczy godzić na życie króla.

— Tak jest, wszystko to mówią, prawda—roześmiał się Watzdorf—ale pani możesz temu zadać kłam i spokojnie skończyć jak Teschen i Aurora.

Cosel zarumieniała się i porwała.

— Teschen i Aurora były faworytami—zawołała—ja mam przyrzeczenie ożenienia, ja byłam i jestem żoną.

Watzdorf się roześmiał w głos.

— Al kochana hrabino—rzekł z poufałością ob-

rażającą... — to są stare dzieje. Pani wiesz, co na człowieku może namiętność? Ona bywa despotyczna, człowiek wówczas nie jest panem siebie, nie wie, co czyni. August II, pan nasz najmiłościwszy, podpisał przecież zmuszony pokój altransztadzki... a ogłasza go nieważnym; podpisał też pani może przyrzeczenie ożenienia, ale do niego nie przywiązuje też wagi.

Z trudnością mogła Cosel utrzymać oburzenie swe.

— A! królowi wolno—zawołała—do słów, przyśiągi i przyrzeczeń naujuroczystszych żadnej nie przywiązywać wagi; ale ja mam go za uczciwego człowieka, który wie, co czyni i nie oszukuje siebie i ludzi... dla mnie słowo jego święte i ważne.

Zaczęła się przechadzać po pokoju. Po namyśle Watzdorf odważył się przystąpić do tego, z czem przybył.

— Niech mi pani powie otwarcie—odezwał się —jakie są jej żądania? Król ma dla niej wdzięczność i dobrą wolę... uczyni wiele; tylko znowu nie trzeba wymagać rzeczy niepodobnych, ani żartów podnosić do znaczenia, jakiego nie miały. Ten papierek królewski pani oddasz.

Żywo zwróciła się Cosel ku niemu:

— Z tem pan przybyłeś?—zapytała.

— No, muszę wyznać: tak jest.

— Wracajże nazad—odparła Cosel rozplonioną, — bo pókim żywa, nie oddam go nikomu. Jest to obrona mojego honoru, a ten mi droższy jest nad życie. Myślicie, że zgodziłabym się za wszystkie skarby i pałace Augusta, za blask jego łaski, podać mu rękę, gdybym tej obietnicy ślubu nie otrzymała?

— Ależ to była śmieszność — rzekł Watzdorf.
— Sama pani uznasz: królowa żyła i żyje. Któż jest

w prawie rozporządzać tak przyszłością? Takie przyrzeczenie w oczach prawa, ludzi, świata, nie ma wagi.

— A pocóż mi je odbierać chcecie? — zapytała Cosel—bo wam wstyd tego, że król mnie słabą, nieświadomą, uwiedzioną oszukiwał. Lękacie się, aby go ta lekkomyślność i zrada nie napiętnowała tak, jak gozdzien.

— Pani, ja przeciw królowi wyrzutów słuchać nie mogę—rzekł Watzdorf.

— To wracaj, skąd przybyłeś—zimno odezwiała się Cosel, chcąc wyjść z pokoju.

Posel poruszył się z siedzenia i wstrzymał ją.

Zastanów się, pani, do czego to doprowadził! Króla zmuszasz pani do użycia ostatecznych środków, do surowości bezprzykładnej. Wszak może użyć siły! wszak papieru tego nie ukryjesz pani tak, aby go ci wyrwać nie mogli.

— Więc niech próbuje — odparła hrabina.

— Toby była ostateczność nader smutna—kończył Watzdorf — tej właśnie wszyscy, co jej życzą dobrze, radziły uniknąć; tej ja pani chcę oszczędzić. Jeśli zmusisz do gwałtu, nie się spodziewać nie możesz; dobrą wolą otrzymasz pani...

Cosel nie dała mu dokończyć i zapytała:

— Chcesz, bym sprzedała mój honor i oceniła go na pieniądze? Zaręczam ci, że skarbiec królewski nie ma tyle, ażeby kobiety jak ja honor zapłacić. Za skarby świata go nie oddam.

Z dumą i siłą wypowiedziała te słowa.

— Chcę, żeby świat wiedział, jak niegodnie bylam oszukana, jaką niepocziwą zrobiono sobie ze mnie igraszkę.

Lzy potoczyły się jej z oczów.

— Nie! — zawołała nagle — waćpan kłamiesz, to nie jest wola królewska: nie wierzę. Czernicie kró-

ła, chcąc go obronić. Wierzę w płochość chwilową jego, ale nie zwątpiłam o sercu szlachetnem. Król nie woże tego żądać.

Posłany milczał, z wolna rozpiął suknię, zaczął szukać w pliku papierów królewskiego listu i pełnomocnictwa, które miał przy sobie; w milczeniu podał je hrabinie.

Rzuciła na nie okiem prawie pogardliwem.

— Jeśli to, co mnie podpisał i poprzysiągł, nie ma wagi — odparła, ręką papier usuwając — jakąż mam przywiązywać do tego pisma i podpisu? Jutro król może ten list kazać wam odebrać i odwołać!

Zmieszany widocznie Watzdorf, list złożył i schował nazad: litość odmalowała się na jego twarzy.

— Pani hrabino — odezwał się cicho, — jej postępowanie budzi we mnie litość; wierz jej lub nie, ja więcej nad nią dać nie mogę. Na Boga, zważ pani, na co się narażasz. Nie śmiałbym słowa jednego wyrzec przeciw królowi. Król jest jak najlepszym, najszlachetniejszym, ale w sobie musi bronić godności królewskiej, za którą przed monarchami i ludami odpowiada. Tam gdzie idzie o sprawy stanu, niema środków, jakichby nie wolno było użyć. Niech pani przypomni sobie los ludzkie wielu, wielu. Niebezpiecznie jest sprzeciwiać się królowi, gdy nim owładnie namiętność.

— Znam go lepiej od was — wrzuciła Cosel.

— Król nasz umie być dobrym, ale potrafi być strasznym — rzekł Watzdorf.

— Wiem o tem — powtórzyła hrabina.

— Zaklinam pania!

— Oszczędź pan sobie czasu i zachodu, to rzecz próżna — zaczęła Cosel spokojnie, — groźbą mniej na mnie możesz podziałać niż namową; wstydziłabym się jej ulec.

Watzdorf napróżno usiłował jeszcze przekonać

hrabinę, która spojrzawszy nań długo i pogardliwie, wyszła z pokoju. Nie pozostało mu nic na powrót do Drezna i zdanie sprawy z nieszczęśliwej znowu próby...

IV

Są istoty, które na ból patrzeć lubią, a jękom się przysłuchiwać, poić się cierpieniem i nieszczęściu uragać. Płochosć czy złość pobudką: zawsze to świadectwo mniej szlachetnych charakterów.

Nieszczęście, jakiemu Cosel uległa, uczucie zemsty i ciekawości budziło w jej nieprzyjaciółach. Prawda, że dumę swą nieraz im czuć dała, że niewiele osób zasłużyło na jej przyjaźń; lecz w owym dworze, intryg osobistych pełnym, trudno się było do kogo przywiązać.

Do natrętów, co się dopędzić nie dawali, należała baronowa Glasenapp. Cosel raz już była zmuszona dom jej wypowiedzieć, przekonawszy się, co z niego wynosiła udając przyjaźń, z której za drzwiami sama się wyśmiewała. Długo też nie pokazywała się potem, a jak najmniej spodziewać się jej było można teraz, gdy Cosel nie miała ani znaczenia, ani przyjaciół nawet w tych, co jakiś wstyd zachowali jeszcze.

Jakież było zdziwienie hrabiny, gdy nazajutrz oznajmiono jej odwiedzinę Glasenappowej. Zrazu walczyła się z przyjęciem, nie chcąc wystawiać się na urągowisko lub fałszywe zapewnienie współczucia, w które wierzyć nie mogła.

Glasenappowa, niezrażona długiem oczekiwaniem, pobiegła naokół domu, którego dół zajmowała Cosel, od okna do okna przechodząc i zaglądając, gwałtem się starała ją znaleźć i do niej docisnąć.

W ten sposób w istocie napadła Cosel, która usunęła się do swojego gabinetu, i przewiesiwszy się w otwartem oknie, zmusiła, by jej drzwi odemknięto.

— Al moja droga hrabino, nie kryjże się — zawołała, — wiem, że ty w moję dla siebie dobrą wolę nie wierzysz, lecz ja ci to przebaczam, bo się nad tobą lituję. Każżę mnie puścić! przynoszę ci plotki z miasta; nic nie chcę, tylko cię uścisnąć.

Cosel zdruzzona i zmęczona zarazem przyjęła baronową, która się rzuciła w krzesło, patrząc w zwierciadło i poprawiając potarganą w drodze fryzurę.

— Chciałam ci dać dowód, że mam serce, choć te gałgany drezdeńskie — odezwiała się — odmawiają mi wszystkiego. Niema potwarzy, którejby na mnie nie wymyślił; wierz mi, Cosel, że ja ci zazdroszczę twej samotności, bo na dworze żyć a jeszcze na takim, to się jak ja wściec potrzeba.

Zatrzymała się chwilę, siedła wygodniej, obejrzała wkoło.

— Ale tu w Pillnitz cicho, miło, ładnie i wcale — by ci źle nie było, gdyby ci choć tu spokojnie dali odetchnąć. Ja nie sądzę, żeby ci się to nie udało. Ta paskudna Denhoffowa gotowa cię i stąd wygnąć.

Cosel uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Mamy tedy tę panią w Dreźnie — poczęła paplać żywo, — a z wielkiego strachu, abyś jej z pistoletu nie postrzelila, podpułkownik Chatira i sześciu kawaler-gardów na krok jej nie odstępują. Myślę, że za tę gwardję nie gniewałaby się, nawet nie mając obawy. Oprócz tego, postawili ją u Fürstemberga, dopóki jej pałacu nie zbudują, ale nim zbudują, panowanie jej skończy się.

— Mają przecież pałac po mnie — mruknęła Cosel.

— O! ten już przeznaczony dla kurfirsta — do-
dała Glasenapp, która wiedziała o wszystkim. —
Chatira jest marszałkiem dworu, ministrem, przy-
jacielem, myślę, że i garderobiana u Denhoffowej...
Flemming wydaje słiczne wieczorki dla króla i fa-
woryty, nigdy z nich na trzeźwo nie wyjeżdżają.
Mówią, że na jednym z nich, dobrze podpiwszy,
pogłaskał Denhoffową pod brodę, zowiąc ją czule
takim epitetem, na jaki zasłużyła. Nie wzięła mu
też tego za złe... zresztą, słyszę, tak dobra, że
królem gotowa się podzielić nawet, byle nie z tak
straszną jak ty, moja Cosel, która niecierpiąc po-
działu, chciałabyś go całego sobie zagarnąć.

To mówiąc, Glasenappowa pochyliła się na-
przód, obejrzała ostrożnie, palec położyła na ustach.

— Król się nam zmienia — szepnęła, — znaliśmy
go jako bardzo dobrego pana: staje się srogim
i okrutnym.

Cosel spojrzała na nią.

— Takim względem mnie nie jest...

— O! to bardzo naturalne: wielka miłość nigdy
się inaczej nie kończy — mówiła dalej Glasenapp, —
ale słyszałaś o Jabłonowskim?

— O nikim nie słyszę, bo nikogo nie widzę —
odezwała się Cosel.

— Wiesz przecie, ile król winien był hetma-
nowi, ile wojewodzie ruskiemu, który hetmana skło-
nił na stronę króla; a wiesz gdzie dziś ruski wo-
jewoda?

Cosel spojrzała zdumiona.

— Książę wojewoda siedzi w pokoju Beichlinga
na Königsteinie. Wzięto go z Warszawy z tego sa-
meo mieszkania, w którym ojca namówił na stro-
nę naszą, i w rocznicę dnia, gdy wyjeżdżali kur-
firsta witać na granicy.

— Byćże to może! — zawołała Cosel.

— Tak i ja bym spytała może niedawno, czyż to być może — mówiła dalej przybyło — a dziś powiadam, że wszystko możliwe.

— Cóż zawinił wojewoda?

— Mówią, nie wiem, że tam na jakimś zjeździe tych pogolonych głów polskich, właśnie, gdy król brał Denhoffową, wystąpił jawnie przeciwko niemu za to, że im żony zabiera, że mieszka publicznie z cudzemi, że kraj psuje, że to zbrodnia stanął! Zbrodnia stanął — śmiejąc się i plaszcząc w rękę, wołała Glasenappowa. — Al! nieoszacowany Jabłoński! Mówią, że tym sposobem na Leszczyńskiego nawracał, iż im przynajmniej żony całe zostawi. Królowi najgorzej to dopiekało, że mu Denhoffową chciał wyrwać. Szpiegowano Jabłońskiego tak, że tam jakieś listy poprzejmowano, jakiegoś pisarza wzięto na konfesaty, jakieś papiery poznajdywano w domu, i król bez ceremonji, bez sądu, Jabłońskiego na Königstein wywieźć kazał.

Cosel słuchała obojętnie.

— Miarkujże, moja droga — dokończyła Glasenapp — kiedy około książąt wojewodów tak mało ceremonij, cóż już o innych mówić? Co my biedne znaczymy, gdy się nas pozbyć potrzeba?

Opowiadanie Glasenappowej, choć nie odezwiała się Cosel ani słowem, uczyniło na niej wrażenie. Wojewoda ruski na Königsteinie, nie sądzony, nie przekonany... i za sprawę polską więziony w Saksonji, w istocie było to coś nowego i do myślenia dającego.

Od smutnego tego przedmiotu Glasenappowa przeszła prędko do weselszych.

— Mamy świetne ciągle zabawy — rzekła — król się wysadza na nie, chociaż Denhoffowej nikt na nich nie widzi; domyślają się tylko ludzie, gdyż przed królową nigdy z odkrytą twarzą stanać nie

śmiała. Jak Teschen maskuje się i przebiera za nietoperza razem z siostrą; mamy też najwięcej maskarad i redut. Króla także nie widać nigdzie, bo musi siedzieć z nią zamknięty. Przy jednej wieczerzy Kyan, słyszę, zamiast do kielicha, zapraszał do nabożeństwa po katolicku na intencję najjaśniejszego pana, ażeby go Bóg z niewoli polskiej wyzwolić raczył.

Cosel smutny uśmiech przebiegł po ustach.

— Nazajutrz — dodała opowiadająca — ktoś pochwycił koncept dowcipnisa i przybito na Georgenthor i na kościele zaproszenie wszystkich wiernych na to nabożeństwo. Król się, słyszę, śmiał, lecz tego, co się to ważył uczynić, szukać kazano, a wątpię, by go znaleźli.

Plolla tak nieznurzona długo pani baronowa, aż czas nadszedł obiadu, na który się wprosiła. Po nim zażądała widzieć ogród i aleje lipowe. Tu, gdy się sam-na-sam znalazły, Glasenappowa zbliżyła się do ucha hrabiny.

— Macie mnie wszyscy za złośnicę, siejącą tylko niezgodę i radującą się z wyplatanego figla. O! nie przeczę, że lubię dokuczyć tym, którzy mi też dojedli niemająco; alebym rada usłużyć, gdy mi kto raz w życiu dobrą wolę okazał, a tej doznałam niegdys od was, hrabino. Żal mi was... Na dworze narażają się i odgrają przeciwko wam, jeżelibyście tego papieru wydać nie chcieli.

— Papieru? jakiego? — napozór obojętnie spytała Cosel.

— A przecież wiecie, o co chodzi, bo Watzdorf tu do was dla odebrania go był przysłany... Mówią, że jeśli nie oddacie go z dobrej woli, gotowi użyć siły.

— Bardzo dziękuję za przestrożę — odezwała się Cosel — ale ja na wszystko byłam i jestem przygo-

towną. Tego papieru, jak go nazywasz, odebrać mi nie mogą, bo go nie mam: jest w dobrych i pewnych rękach. Spodziewałam się i tej wkońcu nikczemności... złożyłam go w miejscu bezpiecznem.

Glasenapp długo patrzyła na nią, chciała widocznie z oczu wyczytać, czy prawdę mówiła, ale Cosel była nieprzeniknioną, gdy chciała... Osloniła się dumą i spokojem udanym, choć czuła w sobie wrzenie oburzenia i gniewu.

Łatwo jej było poznać i domyslać się, że Glasenappowa dlatego tylko rozpoczęła od plotek złośliwych, aby obudzić zaufanie, że wysłano ją, aby się czegoś dowiedzieć; że była szpiegiem Watzdorfa lub Flemminga. Nie mogli wysłać ani gorszego, ani mniej obudzającego zaufania...

Zabiegi całe na nic się nie przydały, Cosel, zimno wysłuchawszy zwierzeń i przestroóg, dała jej z niczem powrócić do Drezna.

Zaledwie powóz, który ją tu przywiózł, oddalił się nieco, gdy hrabina kazała zawołać Zaklikę.

Ten zawsze był w pogotowiu.

Obawiając się podsłuchaną być we własnym domu, Cosel wyprowadziła go na podwórzec i usiłowała tak prowadzić rozmowę, aby się ona wydała rozporządzeniem tyczącem domu i ogrodu.

Zaklika myśli jej odgadywał.

— Jesteśmy tu szpiegowani — odczuwała się — prawda?

— Dokola, nawet w domu za nikogo ręczyć nie mogę — odpowiedział wieray służa.

— Możnaż ich oszukać? — spytała.

— Gottlieb tu na czele — peczał Zaklika — zdaje mi się, że on do miasta jeżdżąc po zapasy domowe, raporta odwozi. Lecz niemiądry jest i spoić go łatwo, a zwieść jeszcze łatwiej...

— Gottlieb? — zawołała hrabina.

— Tak, właśnie ten, który się najwięcej z miłością swą dla pani uprzykrza... radby, ażeby się go nie obawiano.

— W mieście wszyscy cię znają? — zapytała cicho Cosel.

— E! wielu zapomniało już o mnie — podchwycił Zaklika — a dla innych toć i trochę zamaskować łatwo.

— A maszże od kogo zasięgnąć języka?

— Gdy muszę, znajdę... — rzekł wezwany.

Po tych wstępnych pytaniach, Cosel jakby dreszczem przejęta, drgnęła.

— Niema tu już bezpieczeństwa dla mnie — rzekła — muszę uciekać, ale jak? tobie ufam jednemu; mów, jak?

Zamyślił się Zaklika i milczał.

— Trudno — aruknął — ale gdy musimy...

— To nie dosyć — kończyła Cosel — ja muszę zabrać z sobą, co mam najdroższego, co stanowi dziś majątek cały. Musimy uwieźć klejnoty, pieniądze, bo to, co tu zostanie, będzie ich łupem: zabiorą wszystko.

Ani słowa na to zwierzenie się nie odpowiedział Zaklika: potarł czoło, targnął wiasa, spuścił wdół oczy.

— Mów pani — rzekł, widząc, że Cosel czeka.

— Czy mi zaręczysz, że dobiegnę przed pogonią za granicę?

— Co w ludzkiej mocy, zrobimy.

Zaklice pot kroplami na czoło wystąpił, widać było, że niepokój go dręczył, że się lękał, a nie chciał wydać z bojaźnią.

— Dawno to uczynić trzeba było wprzód — rzekł, ucinając mowę, co nie nawykł długo się wyrażać — ale co się nie zrobiło, o tem mówić już niema co: trzeba czynić, co teraz mamy przed sobą.

Złamał palce, gniotąc je, biedny człowiek, aż kości trzeszczące w nich słychać było; chmurne

czoło namarszczył; stąpał z nogi na nogę. Cosel patrzyła nań z trwożą i ciekawością, cały w sobie, energiczny, silny, małowówny, po wypieszczonych ludziach, do jakich była nawykła, na których spuścić się było niepodobna, dziwił ją, zdumiewał, lecz cieszył. Czula w nim człowieka.

Rajmund wyglądał dziko prawie, zamyślił się, nasepiwszy brwi...

— Nocą pojedę do miasta — rzekł — ja tu w domu mało się pokazuję i tak; nie każ mnie pani wołać, aż sam przyjdę, będą we dworze sądzili, żem się zamknął, co nieraz bywało. Mam łódkę, skrytą w krzakach pod wyspą, spuszczę się Elbą... Na powrót więcej czasu potrzeba pod wodę, ale i na to się znajdzie sposób. Co tam zdołam się wywiedzieć u dworu... zobaczę... Trzeba obmyśleć i resztę; wyjazd to niemała rzecz...

Mówiąc tak urywanemi słowy, wzdychał. Cosel zobaczyła w tej chwili krążącego zdala Gottlieba, który już się mógł czegoś domyślać z dłuższej rozmowy, i zaraz skinęła na niego.

Niemiec skwapliwie się przysunął.

— Ja sędzę, nieprawdaż Gottlieb, że z Pillnitz wcale piękny kąt można zrobić... Chciałabym mieć ogród, chciałabym mieć kwiaty, bo pewnie się stąd nierychło ruszę. Jeśli będziecie w mieście, to wy mi ogrodnika nastreczcie, bo Polak, któremu to chciałam polecić, wymawia się, że nikogo nie zna.

Gottlieb spojrzał na panią i na Polaka, jakby pragnął odgadnąć, czy to prawda była; skłonił się i zaczął mrużyć szybko, zaklinając, że dla swej najdroższej pani robi wszystko.

Na tem się narada skończyła, Cosel poszła do domu... Gottlieb uczepił się jeszcze Zakliki, aby co z niego wyciągnąć. Nad wieczorem Polak, jak go tam na dworze zwano, zniknął. Obudzilo to podej-

zenie szpiegów, próbowali drzwi: zastali je wewnątrz na rygiel zamknięte. Mieszkanie było na dole od ogrodu, podkradziono się więc pod okno. Naprzeciw niego stało łóżko, a na niem widać było ogromnego chłopca wyciągniętego, w ubraniu, w jakim chodził, i twarzą obróconego do ściany. Uspokoił się więc szpiegi, iż w domu był i dali mu spać dosyta. Nie było też co robić. Czarna noc zapadała powoli, tylko czerwony odbrzask nieba zachodniego w wodach Elby się odbijał, gdy Zaklika łódkę pocichu odwiązawszy od kółka, u którego była przymocowana, wsunął się w nią, odepchnął od brzegu i pochyliwszy, puścił ją z wodą. Prąd rzeki szybko ją ku Dreznu unosił. O tej porze łodzi prawie nie spotykało się na Elbie, i znać ją było dobrze potrzeba, ażeby nie wpaść na mierzyny i kamienie. W czasach gdy jeszcze błędził niczem nie zajęty po okolicach, Zaklika pływał wiele i żegluga się bawił, tak, że poza Pillnitz ku Pirnie i dalej znał wszystkie rzeki zalomy i mierzyny. Noc go więc czarna wcale nie ustraszała, a w kilka godzin ujrzał już najprzód światelka przedmieść rozrzuconych u brzegów, potem jakby jasną lunę nad zamkiem świecącą, bo na zamku zabawa była i iluminacja.

W Dreźnie będąc na dworze Cosel, Zaklika miał zręczność wielu tam poznać ludzi, serce go ciągnęło raczej ku stojącym w cieniu i na boku, niż do tych, co błyszczeli wśród przedpokojów i wnieszani bywali do intryg, lub im posługiwali. Znajomych i przyjaciół miał wielu. Nim dopłynął, myślał teraz ciągle, do kogoby się udał.

Na dworze, który nieustannie pieniędzy potrzebował, gdzie klejnoty garściami niekłym paniom sypano; bandel pieniędzy i klejnotami był jedną z potrzeb powszednich.

Miał król kredyt na znaczniejsze sumy w Wiedniu u Oppenheimerów, w Berlinie u Liebmann'a, w Dreźnie dostarczycielami i pośrednikami było dwóch Izraelitów wielce znanych miastu, z których jeden nawet grał pewną rolę i trzymał dom otwarty, a żył z przepychem. Byli to sławni Lehmann Berendt i Jonas Meyer...

Ostatni przybył tu z Hamburga w roku 1700 w początkach panowania Augusta i przekonawszy się, iż znajdzie wiele do zrobienia przy takim wiekuiście na pieniądze głodzie, osiedlił się w Dreźnie. Pierwsza to była wekslarnia i bank w tem mieście, na który król pono dał mu dom, zwany Starą Poczta, a naówczas Judenhauzen. Meyer pałac z niego zrobił, założył ogród, na pierwszym piętrze sal kilka zbytkownie wystroił i dawał czasem swym klientom bale i maskarady. Meyer zakrawał już wówczas na dzisiejszych bankierów tego rodzaju, nosił się po francusku, stroił bogato, i mawiano, że wcale niepowabny, miewał chwile szczęścia osobliwego, gdy sobie go pozyskać chciano.

Towarzysz jego, Lehmann Berendt, człowiek był wcale innego rodzaju: pochodził on z Polski i zachował cechy Izraelitom tutejszym właściwe.

Skrzętny był, skromny, cichy, niepozorny, w interesach wyrachowany, niezapierający się wcale ani pochodzenia, ani wiary, nie pragnął się mieszać do świata, w którym widział, jak drogo okupywać trzeba prawo obywatelstwa.

Kilka razy w różnych sprawach hrabina Cosel posyłała Zaklikę do niego. Lehmann na zawołanie do niej przychodził, mieli z sobą interesa znaczne.

Izraelita, który najlepszą miał zreczność poznać ludzi w sprawach pieniężnych, odgadł szlachetny charakter w Cosel; wierzył jej i był dla niej z wielkiem uwielbieniem. A że rodzina jego pono sie-

działa niegdyś w Krakowskim i on tam młode lata przepędził, a Zaklika też ten kąt kochał... rozgadywali się z sobą nieraz, Lehmann, żartując, język dawny przypominał. Czasem podać kazał winą lampkę i z Rajmusem przegawędził jaką godzinę, tak się poznali bliżej i poprzyjaźnili.

Zaklika wiedział, że Lehmann już po upadku Cosel dał jej dowody poszanowania i wierności.

Cale różny od Jonasa, który był wielbicielem króla, służką zkolei wszystkich wpływowych ministrów, który padał na twarz przed wszystkimi i chwalił, co tylko zrobili, nie brzydząc się zepsuciem dworu; Erendt wprowadzić pieniądze robił z tych ludzi, ale w duszy miał dla nich pogardę i wstręt do nich. Ta płochość i rozwiązłość, która tu stała się prawem i obyczajem, oburzała go.

Wprowadzić popisywać się z tem ani mógł, ani chciał; lecz z twarzy jego niemal czytać się dało, co o tych ludziach trzymał. Z przyjemnością odzierał ich ze skóry. Natomiast dla uczciwszych nieraz był nawet bezinteresownie pomocnym. Z tego co z sobą nieraz poszeptali pocichu, Zaklika wnosił, iż na Lehmanua śmiało spuścić może, a przynajmniej rady szukać u niego.

Gdy czołno poniżej mostu w znanym sąbiczku u gospodarza Wenda, bo ich tam na przedmieściach wielu jeszcze naówczas mieszkało, bezpiecznie umieścił Zaklika, odziewszy się po oczy płaszczem i kapelusz naciśnawszy, posunął się do miasta.

Przeszedłszy bramy, choć godzina była późna, poznał po ruchu ulic, iż w zamku zabawa być musiała. Zdała już gorejącą nad ogrodem Hesperyd w Zwingrze widać było iluminację. Król dawał zabawę maskową przy pochodniach dla Denhoffowej. W ulicach ludzie się strumieniami w różne

• strony leli, a między niemi i niejedną maskę widać było, wyglądającą z lektyki lub karety. Szał pawał wszędzie, znać było znowu dobre czasy.

Nie zbliżając się do zamku nawet, znanemi uliczkami, Zaklika, szukając zmroku, popod domami, z których niewiele oświeconych było, dostał się niepostrzeżony do Judenhauzu na Pirnaiską ulicę. Lehmann miał tu skromne na tyłach mieszkanie oddzielne. O tej godzinie prawie pewien był Zaklika, że go zastanie samego, że może sług nawet nie będzie, a szło mu o to, ażeby nikt go nie widział i nie poznał.

W istocie co żyło, poszło patrzeć na bal do Zwingru, pod golem niebem, pośród olbrzymich drzew pomarańczowych, kręcący się i szumiący z południowych krajów szaleń i wrzawą. Stara kucharka otworzyła mu i wpuściła do Lehmann, który wyszedłszy do sieni, ledwie go poznał, a otrzymawszy znak, wprowadził niepostrzeżonego od służby do swojego gabinetu wtyle domu.

Ścisnęli się za ręce w milczeniu.

Lehmann był przystojnym mężczyzną już nie-młodego wieku, siwiał, ale piękna twarz wschod-niego typu, bez zmarszczek, spokojna, malowała charakter z życiem przejednany, znający jego wa-runki i ostygły już wielce.

Czarne oczy patrzyły chłodno i rozumnie, a mi-mo ich ostygnięcia czuć było, że je coś ogrzaćby potrafiło.

Zaklika, przywitawszy go, obejrzał się niespo-kojnie; gospodarz domyślił się, o co mu chodzi, i szepnął, uderzając po rękę:

— U mnie jesteś bezpieczny; nikt was tu i nie zna i nie pozna i, gdy trzeba, nie zobaczy.

— Tegobym sobie życzył — rzekł Zaklika.

Lehmann wyszedł na chwilę, dając mu znak,

i powrócił prędko. Przysnął krzesło do stołu, posadził go i usiadł sam.

— Co się z wami dzieje? — zapytał.

— Dzieje się tak źle — odparł Zaklika, — iż gorzej już być nie może. Wygnano nas z pałacu, z domu, z Drema, a teraz idzie o to, żeby nas pono i z Pillnitz wypędzić... jeżeli nie gorzej... Nie-szczęśliwą tę sciga zemsta nikczemnych ludzi: trzeba ją ratować.

— Tak jest, tak jest — odparł Lehmann, poprawiając czarnej czapeczki, którą starym obyczajem nosił na głowie — ale siebie nie gubić.

— Myślę, że się to da pogodzić! — odezwał się Zaklika.

— Tak, tak, tylko rozumnie i ostrożnie.

— Cosel uciekać musi — dodał Zaklika.

— Dokąd? — spytał żyd z uśmiechem — chyba za morze; tu sobie panowie, wzajemnie czyniąc przysługi, oddają zbiegów.

— Sądzą, że o nas się upominać nie będą.

Lehmann pokiwał głową.

— Hrabina — mówił dalej wierny sługa — musi z sobą zabrać, co ma, bo co zostanie, wezmą chciwi następcy, jak zabrali pałac, i co w nim było.

Bankier głową znowu dał znak potakujący.

— A czy bezpiecznie, uciekając, zabierać z sobą resztę? A gdybyśmy w ręce nieprzyjaciela wpadli?

Chwycił się oburącz Izraelita za głowę.

— Jużto, wiercie mi — rzekł, — radbym hrabini z duszy dopomóc; znam jej historję, znam charakter: była to jedna perła w tem błocie. Winienem ja jej wiele i pomogę chętnie. Żyd jestem, ale serce mam i uczciwych ludzi szanować umiem; posłuchajcie mnie! panie Zakliko: siebie, dzieci i rodziny dla niej gubić nie mam prawa.

— Ja przecie, gdyby mnie na katownię naj-sroższe wzięto, nie wydam was, ani hrabina, ani więcej nikt. Chyba Bóg jeden wiedzieć będzie o waszym dobrym uczynku.

Lehmann rękę mu podał.

— Zgoda — rzekł — trzeba, żeby was tu u mnie nikt nie widział ani wchodzącego, ani wychodzącego, bo i za mną, jak za wszystkimi, szpiegi chodzą.

— Nie bójcie się o to — dodał Zaklika.

— Co mi dacie, to wam prześlę, gdzie będzie trzeba — dodał Izraelita; — rzecz jest skończona.

Jeszcze raz sobie dłonie podali.

Lehmann z szafy dobył flaszkę wina i dwa kieliszki: nalał je i siadł.

— Dziękuję wam — odezwał się Zaklika — nie zabawię długo, muszę się jeszcze o wielu rzeczach dowiadywać, wiele przygotować, a czasu mam mało.

— A o czemże dowiedzieć się chcecie? — spytał chmurno Lehmann zniżając głos. — U nas tu zawsze gospodarstwo jedno: kto na oczach u króla, kto z nim razem pije i bawi się, — w łaskach. Od rana do wieczora zabawiamy się, a co nam do zabawy przeszkadza, to zmiatamy z drogi do Königsteinu, lub gdziekolwiek bądź, byle nam nie zawadzało. Litości tu ani serca nie pytać, bo nie ma nieczulszych ludzi nad rozpustnych. Jeden pod drugim kopią, jedni drugich wysadzają; król posługuje się wszystkimi, obsypuje łaskami, gdy potrzebni, i gardzi nimi... Wszystko jedno: jest to, co było wczoraj i co pewnie jutro będzie, aż póki jaka burza wszystkiego tego razem nie zmiecie.

— Król więc zakochany? — spytał Zaklika.

— On? zakochany? — odparł Lehmann — a czyż taki człowiek kochać co może oprócz siebie? Ktoś na niego mówił, gdy swoją religję na waszą zmie-

niał, iż nie wierzy, aby cokolwiek mieniał, bo nie miał: tak samo z tą miłością, której nigdy nie było.

— A Denhoffowa?

— Al! al! — zawołał Lehmann — co ma być? pieniądze zbiera i klejnoty: król już pono myśl zawczasu, za kogo ją wyda, gdy mu się uprzykrzy. Siostrę jej hetmanową Fresenowi swatają, a ją? no weźmie Haxthausen, albo Francuz Besenval, bo już ich mają w zapasie.

Ruszył ramionami Lehmann.

— Cóż tu się chcesz nowego dowiedzieć? tu się ludzie zmieniają, nie rzeczy.

Chwilę potem jeszcze pocichu mówili z sobą, Lehmann wziął klucz, wyprowadził go do furtki ogrodowej, wypuścił go i klucz mu zostawił. Pożegnali się, mruczac. Zaklika, owinięty płaszczem, poszedł dalej... Nie sądził, aby niebezpiecznem było podesunąć się z tłumem ku Zwingrowi, chciał zobaczyć, jak to tam teraz wyglądało; zdawało mu się, że się niewidzianym przesunie.

Już był w zamkowej ulicy, pełnej przesuwających się masek, *nobles venitiens* i domin, gdy go ktoś po ramieniu uderzył...

Zwrócił się zdziwiony: za nim stał uśmiechnięty Fröhlich, stara jego znajomość. Tego dnia nie zmienił on stroju, który dlań był urzędowym, ani uśmiechu z ust, bo ten także do urzędu należał.

— Jakżeście mnie poznali? — zapytał Zaklika.

— Tu takich szerokich ramion oprócz króla i was nie ma nikt — szepnął Fröhlich, — ale cóż wy tu robicie? Słyszałem, żeście byli u dworu tej... tej, która upadła?... a teraz?

Zaklika dla utajenia się odparł żywo:

— Nie było tam co robić! opuściłem go!

— To rozumnie — rzekł Fröhlich — wszystko do-

bre, ale swój kark zawsze trzeba najwięcej szanować... Cha! cha! niech każdy ratuje się, jak może! Powróciliście więc do służby króla? czy może już Denhoffowej służycie?

— Jeszcze nie — odparł Zaklika — a jakże się ona wam wydaje?

— Mnie? — zapytał Fröhlich — ona mi się wydaje, jak te małe stworzonka czarne, co to skaczą i kają, które się zdaje łatwo zgnieść a trudno złapać.

Począł się sam śmiać i zatknął sobie usta.

— Pierwszy nietoperz, którego zobaczycie na balu, to będzie ona. Ładne cacko, ale drogo kosztuje.

Jeszcze mówili z sobą, gdy przechodzący Hiszpan w masce stanął o parę kroków od nich i widocznie przypatrywać się im i przysłuchiwać zaczął. Zaklika chciał się oddalić, gdy maska się wcisnęła, zajrzała mu pod kapelusz i pochwyciła za rękę.

Fröhlich natychmiast się wysunął.

Z pod czarnej maseczki poznać nie było można człowieka, który zmienionym głosem począł natarczywie pytać: „co tu robisz? co robisz?”

Nie miał już Zaklika lepszej odpowiedzi do dania nad tę, którą zbył Fröhlicha.

— Szukam służby — rzekł.

— To ci się twoja pani sprzykrzyła...

— Nie jest ona panią dziś i sług nie potrzebuje.

Stali właśnie w jednej z bram zamku wychodzących w ulicę, Hiszpan pociągnął Zaklikę z sobą pod jej sklepienie, którą kilka mdłych oświecało latarni.

— Szukasz służby, a jakiejżebyś żądał?

— Jestem szlachcic, szlacheckiej służby wymagać mam prawo, takiej, która się przy szabli lub szablą odbywa.

Hiszpan coś zamruczał.

— A Cosel? gdzie Cosel?

— Zapewne w Pillnitz? nie wiem.

— Chodź za mną.

— Dokąd?

— Nie pytaj, przecież się nie lękasz?...

Zaklika poszedł.

Po drodze postrzegł, iż nieznajomy prowadzi go do Flemminga.

Pomimo maskarady na Zwingrze Flemming był w domu, zapijano u niego. Maski przychodziły i wysuwały się, kilku, co woleli siedzieć u kielichów, nie ruszali się; Flemming spodziewał się nawet króla na chwilę.

Wrzawa buchała z pokoju, w którym goście się zabawiali. Hiszpan wszedł przez drzwi otwarte, szepnął coś Flemmingowi na ucho i generał zwa-wo poszedł do progu. Cichym głosem zawołał na Zaklikę, aby szedł za nim i uprowadził go z sobą do odosobnionego gabinetu. Tu cicho było i spokojnie, na stole papierów pełno. Młody człowiek, pochylony nad niemi, pisał coś szybko... Flemming wciągnął Zaklikę w ciemny kąt gabinetu, Hiszpan poszedł za nimi.

— Kiedy rzuciłeś służbę u Cosel? — zapytał.

— Kilka dni temu.

— Cóż myślała?

— Urządzała się w Pillnitz...

— I siedzieć myśli? — zapytał Flemming.

— Ja sędzę...

Patrzyli na siebie z Hiszpanem i potrząśli głowami.

— Jakżeś się z nią rozstał?...

Zaklika zmiarkował, że obudzając zaufanie, o czemś potrzebnem będzie się mógł dowiedzieć.

— Zostałem wypędzony — rzekł, — bo tam teraz mało sług potrzeba.

— A znasz dobrze Pillnitz, ludzi i drogi?
— Doskonale.
— I przyjąłbyś służbę inną?
— Czemu nie?
— Choćby, choćby — dodał Flemming — wymagała żebyś przeciw dawnej swej pani wystąpił?
— Ja nie mam pani, ani pana, oprócz króla jegości — odparł Zaklika, — bom przecie szlachcic polski.

Flemming poklepał go po ramieniu, śmiejąc się do rozpuku.

— Za dwa dni przyjdź tu do mnie! rozumiesz?...
— rzekł cicho.

— Rozumiem — szepnął Zaklika.

Flemming chciał mu coś dać, ale Rajmund się cofnął z ukłonem.

I tak się rozstali.

Zaklika zyskał na tem pewność, iż dwa dni bezpiecznych miał przed sobą; przez dwa dni można było uczynić wiele, można się było uratować.

Stąd wyszedłszy, lepiej się otulił płaszczem, zajął do miejsc kilku, pomówił z kilku poufałymi, na przedmiejściu zapukał do jakiejś chaty i tak zmarudziwszy do późnej nocy, siadł na czółno, opatrzywszy się dwoma wiosłami, i pod wodę robiąc z całych sił niemi, puścił się zpowrotem do Pillnitz.

V

Miedzy innemi wiadomościami, które Zaklika zaciągnąć, była i ta, że nazajutrz znowu maskarada wenecka na starym rynku miała się odbywać. Nie było dnia bez koncertu, bez opery, baletu, tańców i wieczery i jakiegoś widowiska... Ponieważ pani Denhoffowa, hetmanowa Pociiejowa i mat-

ka ich marszałkowa Bielińska, wszystkie bardzo lubiły muzykę i śpiewały arje włoskie... opera najczęściej je do pół-wieczora zajmowała. Sprowadzani z Włoch muzycy, śpiewacy, kompozytorowie dobrani byli tak, że kosztowny ten teatr był może jednym z najdoskonalszych w Europie. Muzykę pisał Lotti, koncerty grywał Tartini, Santa Stella występowała jako primadonna, Durastanti zwała się hrabiną sopranistek, Senesino, Bercelli, ściągnięci byli pańską zapłatą do Dreżna. Aldrovandini malował dekoracje, Bach dyrygował muzyką.

Z równem staraniem urządzony był balet, a potem komedia francuska.

Nie zbywało więc na rozrywkach. Sam król, wśród tych maskerał i redut, często zamaskowany i przebrany występował, lubiąc niespodziane przygody i znosząc nawet chętnie ich nieprzyjemności dla zabawy, jaką mu nasłreczały. Na dzień następny naznaczona była wenecka maskarada z jarmarkiem... Denhoffowa miała być jedną z gospodyń, marszałkowa i pani Pocijowa także... Król rozesał rozkazy, aby mu się kto żyw stawił i żeby na placu było tłumne. W nocy już zaczęto przygotowania, gdyż nie wówczas nie kosztowało spędzić tysiące ludzi ze wsi pobliskich i przerwać im najpilniejsze prace dla kaprysu pańskiego, któremu wszystko służyć musiało.

Przybywszy o mroku do Pillnitz i uwiązawszy czółno na swem miejscu, Zaklika znalazł jeszcze cały dwór uspiionym i niepostrzeżony wkradł się do swej izby, oczekując w niej, izby się pani obudziła.

Nie było chwili do stracenia: zaledwie się okna otwarły, przeszedł się przed niemi razy kilka, ażeby hrabinę z domu wywołać; rozmowa bowiem w pokojach była niebezpieczną. Hrabina, zoba-

czywszy go, wyszła zaraz i znalazła się u brzegu Elby.

Zaklika zdał jej szczegółową sprawę ze wszystkiego, a najpierwej ze swej rozmowy z Lehmanem. Zdawało mu się i niemożnością i niebezpieczeństwem zabierać z sobą klejnoty i pieniądze, chciał więc je o białym dniu, coby najmniej obudzało podejrzeń, jako rzeczy przeznaczone dla dzieci hrabiny zawieźć do Drezna tak, aby mógł wcześniej nazad powrócić. Ciężkie kuferki i szkatuły w innym razie byłyby wymagały kilku ludzi do dźwignia, siła nadzwyczajna Zakliki pozwalała podołać im samemu, nie obudzając podejrzeń.

Hrabina godziła się na wszystko... Konie, przez Zaklikę zgodzone, miały na nią czekać w lesie u brzegu Elby o zmroku. W domu urządzić chciał Zaklika tak, ażeby się jak najdłużej odjazdu hrabiny nie domyślano. Przepieżgi na pocztach miały być pozamawiane i była nadzieja, że nim do Drezna dojdzie o ucieczkę wiadomość, nim pogoń się puści, Cosel będzie już na ziemi pruskiej, gdzie jej, jak się spodziewała, ścigać nie zechcą.

Z wielką przytomnością umysłu zabezpieczone wszelkie drogi do ucieczki zdawały się zapewniać, iż hrabina dogonioną nie będzie. Zaklika się już cieszył, gdy Cosel oświadczyła mu, że przejeżdżając przez Drezno, na maskaradowy plac wstąpić musi...

Słyszac to, oniemiał Zaklika i pobladł.

— To być nie może — zawołał — to dobrowolne rzucenie się w paszczę! Pani będziesz poznaną... a wówczas...

Cosel potrząsała głową.

— Chcę — rzekła — i tak być musi. Znasz mnie, wacpań, że mam wolę żelazną, że jestem uparta, że nie odstępuję od tego, co raz postanowiłam. Muszę jego widzieć, muszę ją widzieć; to nie fan-

tażja, to potrzeba, to lekarstwo. Chcę spojrzeć na nich, aby stracić tęsknotę a nabrać obrzydzenia do tego człowieka, którego kochałam i kocham.

— Lecz pani narażasz się.

— Doskonale wiem, na co się narażam... — przerwała Cosel. — Mogą mnie pochwycić i zawieźć do Königsteinu, czy do jakiego tam zamczyska; mogą mnie zabić... ale ja muszę tam być. Na obronę życia mieć będę oręż przy sobie, resztę zostawcie mnie...

Zaklika zbladł, załamał rękę; lecz znając Cosel, nie odezwał się więcej.

Hrabina szybko weszła do domu, ażeby go zaraz do Dreżna odprawić z tem, co najdroższego miała... On poszedł natychmiast przez Gottlieba nakazać zaprząć do bryki, dla odwiezienia podarków i rzeczy przeznaczonych dla dzieci. Nie obudziło to szczęściem żadnego podejrzenia. Parobczak, który miał powozić, dobrany był taki, co nie znał miasta i niewiele miał w gębie języka. Zaklika zamierzał go jeszcze w drodze podpoić dla bezpieczeństwa. Sam przynosił szkatuły, okrywwszy je bielizną i sukniami, tak aby ich widać nie było... siadł na wóz i nie żałując koni, ruszać kazał. Wyprawa ta dobrze się powiodła, chłopak upił się, nim dojechali do miasta, tak, że ani ulicy, ani domu, do których się skierowali, wskazaćby był nie mógł. U furtki ogrodowej Lehmannna, którą sam otworzył, poskładawszy szkatułki i zamknawszy ją od uliczki, bezpiecznie poprzemienił je niepostrzeżony do izby bankiera. Żywa dusza nie widziała go tu... Ścisnąwszy dłoń uczciwego Izraelity, wymknął się nazad, a że chłopca znalazł śpiącego na sianie, sam ujął konie i popędził, nie popasając, do Pillnitz.

Tymczasem Cosel zegnała to spokojne ustronie, gromadziła papiery, paliła listy i musiała to wszyst-

ko dopełnić tak, aby żadna ze służek nie zobaczyła nic nadzwyczajnego i przedwcześnie wydać jej nie mogła. O zwykłej godzinie podano obiad, gdy niespodzianie pojawili się nań z Drezna hrabia Friesen i Lagnasco, zapewne z poleceniem zajrzenia, co się tam działo.

Hrabina miała tyle mocy nad sobą, iż ich prawie wesołą twarzą przyjęła, usiłując nie wydać się z tem, co nosiła na duszy. Owszem, udawała zrezygnowaną, zajętą ogrodem i domem, przywiązującą najwyższą cenę do tego spokojnego ustronia, a zobojętniałą na to, co się w stolicy dziać mogło.

Rolę tę przeplatając żalem do króla i wyrazami czułości dlań, czyniła ją tak prawdopodobną, że przybyli wcale się nie domyślali udania.

Hrabia Friesen miał interes, prosił o pożyczenie dość znacznej sumy. Cosel go lubiła, gdyż dał jej nieraz dowody przyjaźni: uśmiechając się odmówiła mu.

— Mój hrabio — rzekła, — jestem uboższą niż ci się zdaje. Król zwykle odbiera, co raz dał; każdej chwili mogę resztę utracić; nie mogę ci służyć; daruj.

Friesen przyjął to bez gniewu.

Goście, opowiadając o nowych zabawach, o królu, o pani Denhoffowej, o dworskich przygodach i wróżbach przyszłości, zagadali się do wieczora. Szczęściem musieli wracać na maskaradę obowiązkową, bo król nie przebaczyłby jej opuszczenia i pożegnali wkońcu gospodynię.

Zaczynało zmierzchać; hrabina Cosel skarżyła się przed swoim dworem na ból głowy, ze zmęczenia rozmową pochodzący, i oświadczyła, że tego dnia wcześniej się spać położy. Nakazano ciche sprawowanie się we dworze. Zaklika sam obszedł wszystkie kąty, zalecając zachowanie się spokojne. Cosel wcześniej niż zazwyczaj zamknęła się w swoim pokoju.

Gdy gęstszy mrok padł, Zaklika, który w płaszczu i przy pistoletach koło domu stróżował, obrawszy chwilę, zapukał do małych drzwiczek wychodzących ku ogrodowi. Wysunęła się czarna, zakwefiona postać i niepostrzeżona chwyciwszy rękę Zakliki, zbiegła ku brzegowi Elby. Tu czółno czekało i cicho odbiło od brzegu nie potrzebując wiosła, bo płynęło z wodą. Gęste trzciny i łozy zakrywały je przed oczyma ludzi nawet we dnie, teraz zaś nie było nikogo, co by je mógł dostrzec. O kwadrans może drogi stąd niedaleko od brzegu, na który w pustem zupełnie miejscu wysiedli, znaleźli wedle obietnicy powóz niepozorny, ze caterem kołmi i woźnicą. W owych czasach przygód dworskich i awantur miłosnych nikogo dziwić nie mogło, że w nocy wymykała się kobieta.

Zaklika, do powozu wsadziwszy Cosel, która najmniejszej nie okazywała obawy, sam siadł z woźnicą i ruszyli tak do Drezna. Tu miała już umówiony dom i gospodę u brzegu Elby, gdzie wysiąść mogli i później znaleźć mieli powóz inny i konie do pośpieszniejszej nocą dalszej podróży.

Parę mil do Drezna przebieżono bardzo prędko. Tu Zaklika spróbował jeszcze hrabinę skłonić, ażeby się wyrzekła niebezpiecznej wycieczki na rynek: odpowiedziała mu ruchem ręki i jednym słowem. Zaklika w domino ubrany, w masce, miał jej towarzyszyć, nie oddalając się na krok.

Powóz porzuciwszy u mostu, szli dalej piechotą.

Dnia tego osób było więcej jeszcze, wrzawa i weselość wzmogły się, lud drezdeński, który z tych zbytków korzystał, chętnie się bawił niemi. Domy w zamkowej ulicy postrojone były i oświecone lampami, ulica nabita powozami, ludźmi, końmi i lektykami, tak że przecisnąć się było trudno.

Hałas ten, śmiechy, pisk, od których Cosel była

odwykła, a których nigdy bardzo nie lubiła, z początku przykre na niej uczyniły wrażenie; kilka razy jakby zwątpiwszy o swych siłach, przycisnęła się do muru, nie mogąc iść dalej, to znowu jakby pchnięta myślą jakąś czy uczuciem podbiegła żywo. Zaklika osłaniał ją i czuwał nad nią.

Godzina była właśnie, gdy największy tłum na rynku się zgromadził. Na galerji ratuszowej muzyka w dziwnych strojach odegrywała fanfary, dołem roily się maski najosobliwsze.

Dokoła rynku stały w kwiaty poubierane stragany, budy, ławki, sklepiki, przy których postrojone panie we wschodnich ubiorach sprzedawały drobne fraszki, napoje i łakocie. Koło kuku z tych bud pokaźniejszych, największym ściskiem otoczonych, rozlegały się śmiechy. Illuminacja rzesista otaczających domów rzucała blaski jasne różnych barw, na jaskrawy tłum marek i domin.

Wśród nich arlekiny i poliszynele na wystawionym umyślnie teatrzyku odegrywali improwizowane farsy. Tu także widzowie stali gęstą ciżbą, bijąc w dłonie i śmiechem jednym, wielkim, napędzając chwilami rynek, głośząc muzykę.

Śpiewy, kapela, dzwonki, krzyki, śmiechy, wołania, wszystko razem tworzyło gwar straszny, w którym ucho nic rozeznąć prawie nie mogło. Zwało się to wesołością, a było kipieniem chaosu. Dla oka widok tego rynku równie był przykrym, ze swą ruchawą powierzchnią falujących głów, podnoszonych rąk, skaczących postaci okrytych łachmanami i świecidłami, w najkrzykliwszą zlanemi pstrocinę.

Czasami na tle jaskrawem wybitniej wypłynęła na chwilę figurka wdzięczna lub widmo poczwarne i wnet zaśnianały je pokrzyżowane, połamane okruchy ludzi zbitych w jedną nierozplataną masę.

Z okien kamienie wyglądały to strojne popiersia

kobiet, to szare i ciemne jakieś postacie ludzi smutnych, zmuszonych z wierzchołka nędzy patrzeć i przysłuchiwać się szaleństwu. Niekiedy trzaskały zamknięte jak piorunem drzwi kamienicy, czasem z okna wyleciał improwizowany fajerwerk, z innych sypano na wyciągnięte dłonie cukierki, owdzie piasek i kamyki.

Cosel w końcu ulicy zamkowej stanęła, jakby jej serca zabrakło znowu iść dalej. Zawahała się.

Zaklika skorzystał z tej chwili i szepnął raz jeszcze prośbę:

— Pani, wróćmy się.

Zamiast odpowiedzi, jakby popchnięta jego słowem, Cosel posunęła się żywiej ku rynkowi, oglądając wzrokiem ciekawym...

Na kilkanaście kroków przed nią stał jeden z tych *nobles venitiens*, w kapeluszu z piórem czarnym, w aksamitnej sukni, ze złotym na piersiach łańcuchem, w czarnej maseczce. Stał, wziąwszy się w bok, w postawie tak malowniczej, tak zręczny i piękny, iżby malarzowi za wzór mógł służyć. Około niego roily się maseczki, u boku jego dwóch podobnie ubranych stało, nieco się cofnawszy.

Cosel na pierwszy rzut oka poznała Augusta. Herkules Apollo nie miał równego sobie w kraju, w którym o pięknych mężczyzn nie było naówczas trudno. Zawahała się nieco... lecz wprędce, nabrawszy męstwa podstąpiła ku niemu.

Chociaż ciemny strój dosyć ją okrywał, Cosel też mogło wprawne poznać oko. Do zgonu zachowała ona majestat piękności, szlachetne ruchy, wdzięk kształtów niezrównany. Król, spojrzawszy na nią, zadrzał widocznie, lecz zdawał się oczom nie wierzyć.

Nie zaczepiając go, Cosel przeszła przed nim parę razy obok. August posunął się ku niej.

Zdawało się, że ją zaczepi: wstrzymał się z jakąś obawą. Maseczka spojrzała nań, jakby go wyzywała; August podszedł.

Dwór cały mówił po francusku i w tym języku rozpoczęła się rozmowa. Hrabina zmieniła głos, który drżał mimowolnie: August nie zadawał sobie tej pracy.

Co się działo w biednem sercu kobiety, któż wyrazić potrafi.

Zbliża przypatrywać się jej król zaczął.

— Na honor! — zawołał — piękna maseczko... pochlebiam sobie, że znam was tu wszystkie... a jednak...

— Mnie, nie...

— A wy znacie kto jestem?

— Ja was znam.

— Któż taki?

Zadrżał głos, potem nagle wyrwało się słowo i pobiegło wprost do ucha:

— Król

Król się wyprostował dumnie.

— Zły żart...

— Najsmutniejsza prawda.

August popatrzał na nią.

— Jeśli mnie znacie — rzekł — a śmiecie rzucić mi tem słowem w oczy... powiedziałbym i ja, że was znam, a jednak, nie: to nie może być.

— Nie znacie mnie — śmiejąc się, powtórzyła Cosel.

— W istocie i ja tak sędzę. Nie możecie być tą, której się domyślam, bo ta nie miałaby ani odwagi przyjść tutaj, ani pozwolenia.

— Kobieta — zapytała maska, — kobieta nie miałaby odwagi? kobieta pytałaby o pozwolenie?

I roześmiała się.

Król drgnął, jakby w tym śmiechu coś go uderzyło; chwycił jej rękę: wyrwał ją z pośpiechem.

— Interujesz mnie, piękna maseczko — edezwał się — a mówisz, że nie znasz.

— Nie znam... — odpowiedziała Cosel — nie. Niegdyś znałam kogoś, co był podobnym do ciebie, ale tamten miał serce królewskie, szlachetność pańską, duszę bohatera... a ty...

Król, jak zwykł był, gdy nim owładnął gniew, zaczerwiadł się mocno i natychmiast pobiadł.

— Maseczko — zawołał — to przechodzi coś granicę swobody karnawałowej...

— Swoboda jest nieograniczona...

— Więc dokończ — rzekł król — a ja?

— A wy...

Znowu Cosel głosu zabrakło.

— Jeśli nie jesteś katem, toś igraszką w rękę oprawców.

— Cosel! — zawołał nagle August — chwytając ją za rękę.

— Nie, nie! — wyrывая ją, krzyknęła ze śmiechem szyderskim maska. — Jakżeby ona tu być mogła i tak spokojnie znieść widok stypy na swoim pogrzebie: widziałam ją niegdyś: znam kobietę, której imię wyrzekłeś. Między mną a nią niema nic wspólnego. Tamtą źli ludzie zabili i pogrzebali: ja żyję.

Król słuchał milczący i pomieszany. Nagle Cosel zbliżyła mu się do ucha, rzuciła w nie kilka słów, których tylko śmiech suchy zaszeleścił w powietrzu, i nim August się opamiętał, znikła.

Król rzucił się za nią, lecz zręczna Cosel wmięszała się w tłum i poza osłaniającym ją Zakliką wbiegła za stojące stragany. Tu płaszcz swój cały czarny miała czas zerwać z ramion z pomocą Rajmunda i czerwoną jego podszewką osłonić ramiona, tak, że gdy drugą stroną wybiegła na rynek, nikt w niej już pierwszego nie mógł poznać zjawiska.

Zaklika napróżno ją wstrzymać usiłował, знаła dobrze z lat dawnych tego rodzaju maskaradowe jarmarki i ich obyczaje, biegła więc wprost tam, gdzie Denhoffową znaleźć się spodziewała. W trzech straganach naprzeciwko ratusza ustawionych, z których średni przystrojony był na wzór neapolitańskich *Aqua fresca*, w wieńce z cytryn i pomarańcz, siedziały: pani Pocijowa, przy której służbę odprawiał z gitarą na wstążce, stojący przy niej hrabia Friesen; pani marszałkowa Bielińska, ubrana za Wenecjankę, przy której stał na straży Montargon, i pani Denhoffowa w neapolitańskich kobiet stroju, cała okryta klejnotami.

Była to mała kobieciśka, młodziuchna, z twarzą wielce zmęczoną, na której miejsce rumieńca zastępowały róż i bielidło, z melancholicznym wyrazem, źle ukrywającym figlarność i pustotę. Budkę jej otaczała młodzież, a najbliżej kręcił się Besenval, poseł francuski, który ją dowcipami do śmiechu tłumionego pobudzał.

Cosel udało się stanąć tak zboku, że się jej dobrze mogła przypatrzeć, a z pod maski pogardliwe widać było i gniewne razem oczy. Jakby czując ten wzrok na sobie zwrócony, Denhoffowa wstrząsła się i pochyliła nieśmiało w tę stronę.

Cosel wyciągnęła rękę cudnych arystokratycznych kształtów po szklanekę limonady, którą Denhoffowa częstowała.

— Piękna gosposiu — rzekła głosem, w którym drgało wzruszenie — zlitujże się nad spragnioną... nie proszę o jałmużnę, wiem, że sobie za wszystko płacić każesz.

Pokazała jej w palcach sztukę złota.

Denhoffowa, jakby przeczuwając jakąś groźbę, drżącą ręką rozlewającą się podała szklanekę.

— Słówek jeszcze — rzekła Cosel, przysuwając się jej do ucha — spojrzij na mnie!

To mówiąc, odjęła tak maskę, że tylko Denhoffowej mogły być na chwilę widoczne rysy jej twarzy.

— Spojrzij na mnie, wraz sobie te rysy w pamięci: jest to twarz nieprzyjaciółki, której przekleństwo ścigać cię będzie, płochą zalotnicę aż na łożu śmierci. Przypatrz się mi: jest to ta, której się lękałaś, którą chciałaś osadzić w więzieniu, którą pozbawiłaś serca króla, która cię dzień i noc przeklina. Pamiętaj, że ciebie gorszy los czeka: ja odchodzę czysta, zdradzona, niewinna; ty wyjdiesz stąd zbrukana i sponiewierana bez czci, jak ostatnia z ostatnich. Chciałam cię widzieć i powiedzieć ci to słowo, choćbym je życiem miała przypłacić i rzucam ci w twarz niem: jesteś nikczemna! jesteś podła!

Denhoffowa, przełęczniona, pochyliła się i zaczęła mdleć; około straganu zrobiła się wrzawa i ścisk; król nadbiegał: Cosel wysłiznęła się z ręcznikiem i wraz z Zakliką rzuciła w małą boczną uliczkę.

Poza sobą słyszeli zmieszane głosy, tłumnie cisnące się fale ludu, i krzyki i nawoływania żołnierzy... Zaklika ścisnął w rękę pistolet, który pod płaszczem trzymał, Cosel biegła przed nim żywo. Coraz mniej wyraźna ścigała ich wrzawa, która się zmieniła w jakieś mruczenie i szum głuchy... Na sąsiednich większych ulicach przebiegały konne patrole, powozy i jeźdźcy przelatywali je żywo; znając jednak najmniejszy zakątek miasta, Zaklika mógł bezpiecznie przeprowadzić Cosel do bramy miasta.

Na nieszczęście nim do niej dojść mogli, przyszedł rozkaz z zamku, ażeby wrota wszystkie pozamykać i żadnej nie wypuszczać kobiety... Na drodze już usłyszeli o tem rozmawiające panie,

które wyjechać chciały, a którym nie dozwolono z miasta się ruszyć do jutra. Zaklika, zasłyszawszy to, pobiegł do nich i spytał, czy ten rozkaz stosował się także do mężczyzn.

— Al nie—zawołała jakaś rezolutna pani, śmiejąc się — królowi tancerk pewnie zabrakło, więc nas tu chcą gwałtem na noc zatrzymać.

Cosel, zmieniawszy płaszcz swój znowu czarną stroną, dotąd dosyć się szczęśliwie w cieniu domów potrafiła przesuwac; dalej jednak niesposób było w tym stroju iść, gdyż kobiet nie puszczano, a twarz i postawa Cosel nazbyt znane były: każdy oficer mógł się jej domyślić.

Zaklika, któremu każda chwila wydawała się wiekiem, pociągnął za sobą Cosel do Lehmann. Zabawa w zamku ręczyła za to, iż tam teraz pusto było; w istocie stary bankier sam siedział ze swą rodziną, gdy weszli pocichu i Zaklika zażądał co najprędzej jakiegokolwiek ubioru męskiego dla Cosel.

Lehmann pochwycił co miał pod ręką: płaszcz czarny i trójgraniasty kapelusz nie pierwszej mody. Z mimowolnym pełnym boleści uśmiechem jakimś, hrabina narzuciła na siebie te suknie... Lehmann błady wypuścił ich tylnymi drzwiami... U wrót, które zdala już widać było parą latarni oświecone, stało mnóstwo żołnierstwa, trabantów kilku na koniach; oficerowie, posiadawszy z nich, przechadzali się wzdłuż drogi. Zaklika wziął pod rękę hrabinę i środkiem ulicy ją poprowadził. Cosel miała spuszczoną głowę i kołnierzem zakrytą twarz.

Gdy podchodzili ku grupie żołnierzy, niektórzy z nich zwrócili się ku nim i zdawali patrzeć z uwagą, ale nikt nie zatrzymywał.

Słychać było urywaną rozmowę oficerów, śmiejących się głośno.

— Cóż znowu? czy najdroższy klejnot wykradł kto z miasta?

— Cha! cha... Szukają owszem Cosel, która swoim zwyczajem pono się na królu publicznie w rynku pomścić miała.

— Cosel! ale tej już na świecie niema!

— Ho! ho! wróci ona, bo się jej jeszcze boją.

— Gdy Teschen upadła, nikt o niej nie myślał; ta jeszcze panią, bo drżą, usłyszawszy jej imię.

Drudzy się śmieli.

Wśród tego gwaru przeszli tłum bez przeszkody, wsunęli się pod ciemne sklepienie, a gdy minęli most na fosie, Cosel lżej westchnęła: była już napół wolną.

W godzinę potem ciemną nocą toczył się szybko jej powóz gościńcem ku Prusom, a Zaklika, z pistoletami w rękach przy woźnicy, przysłuchiwał się niespokojnie, czy pogoni za sobą nie chwyci uchem.

Cosel szukano jeszcze w Dreźnie i Pillnitz.

VI

Berlin w pierwszej ćwierci XVIII wieku był za ledwie słabym zarysem tej stolicy, jaką został od niedawna. Wzniósł się on i zabudował właśnie w tej porze i był niemal nowym, a miał już charakter właściwy miasta koszar, wojska, klasztornego porządku i ciszy... Tu nic już naówczas nie szło, jak samo chciało, ale jak zgóry rozporządzone: wzrost, upiększenie, handel były nakazane, zaprowadzone i wzięte w kluby odrazu. Nic smutniej nie mogło po Dreźnie wyglądać nad ową nad-Sprejską stolicę. W ulicach widać było więcej żołnierzy niż ludu, bębny i piszczałki głośniej się słyszeć dawały niż dzwony, i koszar więcej było

niż kościołów. Po większych ulicach sterczały regularnie ustawione domy, które tam stały, nie że chciały, ale że musiały... Pusto było dosyć... Jednakże Berlin już miał pięć kwadratów i przedmieścia, rozsypane szeroko a nędzne, dokoła... Gdzie niegdzie, wśród domków i domów, pałace rodziny królewskiej odznaczały się wymuszonym wdziękiem, który wydawał się skąd inąd zapożyczony. Na Spandawskim przedmieściu świecił tak Monbijou, królowej na Stralauskiem belweder króla...

Wszystko tu było nowe, jak samo państwo: najstarsze gmachy liczyły wiek swój na lat dziesiątki. Parę posągów nudziło się w tej pustyni, para szerokich placów czekała życia i mieszkańców. Tak na Molcke-markt stał już Fryderyk I, przeznaczony pierwotnie do arsenału.

Jeden most na Sprei był już murowany, a zwanego go mostem nowym, i zamiast Henryka IV wstąpiono nań elektora Fryderyka-Wilhelma.

Pałac królewski z początkiem wieku budować zaczęto... gasił inne wspaniałością... Schluter tak go obwieszał wieńcami, iż z pod nich ścian widać nie było; że zaś po nim dwóch innych go kończyło, każdy swym smakiem: trzy smaki zrodziły rzecz niesmaczną. Berlin miał już naówczas nasiona wszystkiego, co wielkie miasta stanowi, brakło mu tylko życia i ludzi. Teatr, galerję, bibliotekę, muzea, zakładano śpiesznie, napełniano jak było można: jednakże tu, jak w Dreźnie bywało, nie poświęcano wojska porcelanie, ale zato na wagę złota kupowano żołnierzy. I to co Berlin w istocie miał najciekawszego, a w czem spoczywała przyszłość jego monarchji, to było wojsko wymustrowane jak machina, regularne jak zegarek, poruszające się jak jeden człowiek.

Tu stał ów sławny pierwszy bataljon grenadje-

rów największych na świecie, złożony z ludzi z całego świata zbieranych, mogący być wzorem tego, co z człowieka zrobić można w tym rodzaju, i do jakiej doskonałości dochodzi mechanizm militarny. Grenadjerów, tych olbrzymów, placono olbrzymio, choć na inne rzeczy wielka była oszczędność. Niektórzy z nich mieli domy własne i oprócz mustry zajmowali się handlami. Najdorodniejszy z olbrzymów tych, Jonasz Norwegczyk, którego przywieziono zgarbionym i krzywym, tu się dopiero wyprostował i stał owym ideałem żołnierza, jakim później słynął.

Berlin po Dreźnie był to klasztor po teatrze. Gdy powóz zapyłony i zblocony pani Cosel wtoczył się szczęśliwie w ulice tej stolicy, a piękna hrabina wyjrzała oknem w te piaszczyste puste aleje, na te jakby wymarłe domy, ścisnęło się jej serce; ale tu spodziewała się bezpieczeństwa, spokoju, opieki; tu chciała czekać, aż się może w losie jej coś odmieni.

Z Frankfurtu już wysłany przodem sługa najął jej przy jednej z większych ulic mieszkanie, które po pałacach, jakie niedawno zajmowała, wydało się jej nędznem i biednem, choć było tylko zimnem, niezamieszkanem i pustem.

Ale dla niej była to tylko gospoda... Zaklika siadł drugiego dnia na straży: urządzono, co było potrzeba do życia. Cosel zajęła ciemny kąt, w którymby o niedoli swojej marzyć mogła, i nowe gospodarstwo się rozpoczęło: smutne dni, długie a jednostajne.

W Berlinie wszakże incognito nikomu pozostać nie było wolno. Trzeciego dnia Cosel oznajmiono odwiedziny marszałka Wartesleben, gubernatora Berlina, a drugi marszałek Natzmer, dowódca żandarmów, często przejeżdżając się ulicą, domowi się przypatrywał.

Wszyscy byli bardzo grzeczni.

Z wysokich sfer doleciała wiadomość, że tam przybycie hrabiny, a nadewszystko przekaz na znaczne summy od Liebemanna bankiera, widziano okiem bardzo przyjaznem. Z Drezna pomimo ścisłych stosunków trzech Fryderyków nie zdawało się grozić nic, i Cosel spodziewać się nie mogła, aby ją tu jeszcze prześladować chciano.

Tu dopiero wśród tej samotności milczącej, wpośród tego miasta głuchego, które zasypiało o zmroku, wśród tej ciszy złowrogiej, cały ogrom nieszczęścia stanął przed oczyma tej, która nań była skazaną.

Goryczą zapłynęło serce. Całe dnie siadywała nieruchoma, nie mówiąc słowa, z oczyma czarnemi wlepionemi w ścianę, lub na ulicę, duchem i sercem uciekając w czasy ubiegłe.

Serce jej zadawało sobie pytanie, czy tak łatwo przestać kochać, czy tak łatwo można zapomnieć: czy za szczęście doznane tak prędko można niewdzięcznością płacić?

Charakter króla wydawał się jej poczwarną zagadką! Przypominała sobie czułość jego, dowody przywiązania, niedawne jeszcze triumfy swoje, a jego przysięgi, i nie mogła pojąć upadku.

Nie zwątpiła o królu, wątpiła o człowieku: mężczyzna cały, jak go Bóg stworzył, zdawał się jej dzikiem szyderstwem. Nie rozumiała życia, nie pojmowała przysięgi, naigrawania się ze świętości, oplwania przeszłości i zadania jej kłamu. Świat wydawał jej się czemś niezrozumiałem. Pytała własnego życia i szukała w niem winy, czując karę: nie mogła znaleźć tak wielkiego grzechu, jak była boleść.

W kilka dni kazała sobie przynieść bibliję.

W kilka dni także wszedł około południa Za-

klika, który przychodził zwykle tylko, gdy był zawołany, lub gdy musiał coś oznajmić. Stał w progu ze spuszczonei rękoma: Cosel podniosła głowę ku niemu.

Milczał długo.

— Co powiesz, Zaklika? coś niedobrego?

— A gdzież na świecie dobre! — rzekł — chodzą już koło domu szpiegi, pytają; chciałem tylko powiedzieć, abyś się pani ich strzegła. Nie myślę się, prędzej czy później zjawi się tu pewnie ktoś z oświadczeniami przyjaźni: zamknij, pani, usta.

Hrabina się zmarszczyła.

— Musisz mnie już znać — rzekła — że ja i milczeniem kłamać nie umiem. Miałam odwagę jemu i jej rzucić obelgą w oczy, będę mieć męstwo powtórzenia to każdemu, co słuchać zechce.

— Pani — odważył się dodać Zaklika, choć spuszczeniem głowy dała mu znak, że rozmowa ma być skończoną — pani, na cóż ich jątrzyć i zemstę wywoływać? I tak kłamać będą.

Nie odpowiedziała już nic uparta Cosel, z oczów spuszczonych potoczyły się dwie łzy gorzkie; Zaklika wyszedł.

We trzy dni potem młody, ładny mężczyzna kazał się zameldować do hrabiny.

Był to van Tinen.

Hrabina знаła go z tego, iż raz już był do niej wysyłany dla układów, do których chciał przyjść jak Watzdorf niewczesnemi oświadczeniami gorącej miłości. Te obelżywe oświadczenia musiała ona znosić cierpliwie, choć ją obrzydzeniem dla nikczemników napelniały.

Przyjęto van Tinena.

Oświadczył najprzód, iż się niezmiernie zdziwił, gdy będąc w Berlinie, dowiedział się o pobycie jej tutaj, o którym jakoby wcale nie wiedział wprzód.

Cosel spojrzała mu w oczy z szyderstwem.

— A gdzieś, pan, był, gdy opuszczała Saksonję?

— Ja?—rzekł van Tinen—byłem w Dreźnie nawet tego wieczora, gdyś pani pono o młodości przypisała nieszczęśliwą Denhoffową, ale gdy się to raz uciszyło, nie dowiadywałem się, dokąd się pani udać podobało.

— Tak, więc się bardzo cięszę—odpowiedziała Cosel—iż mogliście o mnie zapomnieć: nic więcej teraz nad to nie życzę.

— Ja sędzę—odparł van Tinen—że i tam radziby być pewni, iż pani wyrządzonych sobie krzywd zapomniawsza także.

Milczeli chwilę, van Tinen szepnął:

— Mógłbym pani wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy...

Zakrawało to na chęć wkradania się w łaski u Cosel, na zyskanie zaufania.

— Ja-m nie ciekawa — smutnie roześmiała się Cosel,—myślisz, pan, że mnie cokolwiek dziś jeszcze obchodzić może? Wierzyłam dawniej w tych szarów szczerłość, myśląc, że z serca się rodzą: dziś wiem, że je tworzy pycha i pustota...

— Bawimy się nadzwyczajnie—rzekł, jakby nie rozumiejąc, van Tinen.—Nie są to rzeczy nowe dla pani, która w tylu świetniejszych zabawach byłaś królową; jednakże...

Znać chciał wyznania, Cosel milczała; van Tinen, śmiejąc się, po dobrej woli opowiadać zaczął:

— Miejsca te dobrze pani znane, bo niegdyś w Laubegast pono...

— Mieszkałam tam szczęśliwsza—szepnęła Cosel,—a! to prawda.

— Flemming na równinie pod Laubegast, prawie naprzeciwko Pillnitz, dawał wielką fetę dla króla i Denhoffowej.

— A! a!—zawołała Cosel.

— Sześć naprzód pułków wyszło w pole — mówił przybyły—cała królewska lejbgwardja konna użyta była. Na wyżynach rozstawiono działa i woj-ska tak rozporządzono, ażeby dwór miał widowisko prawdziwej wojny. Jakoż udało się wszystko przepyszenie. Rozdzielone pułki postępowały, dając ognia, nacierając, a choć oprócz kilku wywróconych i podeptanych, nikomu się nic nie stało, można było przysiąc zdala, że bitwa była najzaciętsza i przelew krwi okrutny. Król przypatrywał się temu igrzysku, z jednej strony mając przy sobie Denhoffową, z drugiej hetmanową Pocielową, obie konno, jako amazonki. Otaczał go cały dwór na pysznych rumakach... Reszta dam w poszóstnych powozach patrzała, nie wysiadając z nich, a był cały świat niewieści.

Cosel uśmiechnęła się szydersko.

— Teraz mu dwie towarzyszy—rzekła,—widoczny postęp, a w odwodzie ta arjer-garda w powozach. O! rzeczywiście to wspaniale i po królewsku.

Van Tinen zniżył głos.

— W istocie te dwie—dodał—nie są wcale o siebie ani o nikogo zazdrosne. Ale wracam do mojego opisu—począł znowu:—nieopodał rozbite były wspaniałe namioty. Pod jednym z nich król obiadował, mając przy sobie: Denhoffową, Pocielową, Bielińską, i co najprzedniejsze osoby z towarzystwa.

— I pan tam byłeś?—spytała szydersko Cosel.

Van Tinen się zarumienił.

— Nie, ja-m był w drugim namiocie, ale widziałem doskonale wszystko. W czasie obiadu muzyki nam przygrywały, a na vivat były działa i tak naprzemian grzmot armat i trąby towarzyszyły wesółym okrzykom.

— Prześlicznie—rzekła Cosel—i koniec?

— Nie, to dopiero początek. Po obiedzie nastąpiła zabawa, ze stołów nie zbierano, Flemming chciał resztkami nakarmić żołnierzy; ale że chleba brakło, w każdy kawałek chleba wetknięto po guldenie i użyto ich przeszło tysiąc. Zatrąbiono wtedy do szturm... Żołnierze, stojący w bojowym porządku, posunęli się mężnie ku półmiskom, ale ci, co ich dochwycili się pierwsi, pod naciskiem drugich zostali złamani; padli: trzeci szereg pchał drugi. Stoły się wywracały, ludzie się dusili, kupy żołnierstwa wiły się po ziemi; widowisko było przepyszne: pękaliśmy od śmiechu! Trwało to póty, póki resztek potraw stało i nie zatrąbiono do odwrotu. Król zdala odpoczywał na pagórku z damami... Gdy wieczór nadszedł, w królewskim namiocie rozciągnięto kobierce; stanęły muzyki, zaczęły się tańce i trwały ochoczo do siódmej wieczorem. Flemming przez cały czas chodził z kielichem od gościa do gościa; zaklinał, całował, prosił, lał, przepijał i sam pono się najpierwszy upił. Król także zdawał się w nadto dobrym humorze, ale majestat pański umiał utrzymać, tak że nikt tego nie poznał. Przypatrywałem się z politowaniem służbowemu szambelanowi jego królewskiej mości, który stał za nim godzinę, trzymając na tacy szklankę wody, a że wprzód sam coś innego znać pił, niedobrze się mógł na nogach utrzymać, i gdyby go kto wówczas palcem trącił, byłby się niechybnie wywrócił. Nigdy Flemminga w takim nie widział humorze.

— Nie dziw — rzekła Cosel — obchodził swoje triumfy, a mój upadek.

— Nareszcie król zabierał się wychodzić — kończył van Tinen, — gdy pijany Flemming rzucił mu się na szyję z poufałością braterską, nie zważając, że tyle oczów na nich patrzyło, i ozwał się głośno,

tak, żeśmy to wszyscy usłyszeć mogli. „Bracie! Kochany bracie, kwita z przyjaźni naszej, jeżeli mnie opuścisz” *). Pani Denhoffowa, która króla na król nie opuszcza, zaczęła hamować Flemminga; ale to przychodziło z trudnością; Flemming był tak szczerze śliwie pijany, iż nie już nie widział przed sobą oprócz ludzi równie jak on napitych. Gdy go Denhoffowa za rękę chwyciła, on ją o mało nie przycisnął oburącz. Wydała mu się ładną i powiedziała jej to tak wyraziście, że aż krzyknęła z oburzenia i gniewu; ale w tejże chwili zaczęła się do rozpuku śmiać. Pomimo tych zakłęb, król i Denhoffowa dostali się na konie i pojechali. Szczęściem że zręczny loufer ścigał króla krok za krokiem; inaczej już leciał z konia. Chciano go koniecznie do powozu posadzić... rozgniewał się; koniuszego Racanitzę, który cokolwiek za ostro się brał, król pchnął precz, a na Denhoffową krzyknął: „Dajże mi, pani, pokój, znam się z moim koniem: proszę się o mnie nie troszczyć”. Jakoż w galop się puścił, co koń wyskoczy, a kawaler-gardy, dwór i co żyło za nim. Ilrabina spadła z konia, ale ją otaczający kawalerowie podchwycili... to ją jakoś opamiętało i choć konno jeździ śmiało, zajęła miejsce w powozie.

— Powinni jej byli pozwolić kark skrócić — odezwała się Cosel.

— Najzabawniejszy był Flemming — dodał van Tinen, bo po odjeździe dam i króla, jeszcze mu nie dosyć było. Okrutną miał do tańca ochotę; więc brał pozostałe służące i kręcił się z niemi raźnie, aż póki nadchodzący ranek nie przerwał tej pięknej zabawy. I Flemmingowi nic nie było.

* „Bruder, ich sage dir die Freundschaft auf, wenn du weggehst.“
Pam. con Loen'a.

— Przecież—odezwała się hrabina—nie pierwszy to raz w ten sposób się z królem obchodził. Sam król mi opowiadał, jak po pijanemu nadokazywawszy, nazajutrz do niego na zamek przyszedł i rzekł: „Słyszę, że Flemming wczoraj trochę się niedorzeczy znajdował, ale wasza królewska mość tego mu za złe nie weźmiesz”. Król do czasu śmieje się i przepuszcza — dodała, — lecz któż ręczy, że się nie dostanie kiedyś do Königsteinu; gdy mu się jego przyjaciele, tak jak on, przysłużą. Król łagodny jest baranek — rzekła, śmiejąc się szydersko — nieprawdaż, panie szambelanie, a wiecie dlaczego? dlatego, że gniewając się, popsułby sobie zabawę. Potem, gdy mu się znuży człowiek, skinie i każe, aby go więcej nie wdział: na tem komedia skończona!!!

Cosel zaczęła się przechadzać, van Tinen znikł przestraszony wyrzeczonymi przez nią wyrazami.

— Nie dziwię się tej goryczy, jaka płynie z ust pani — rzekł, — jednakże...

— Tak, masz słuszność — przerwała — gdybym i ja nie miała serca, nie miała uczucia, nie bolała na krzywdę, a targowała się tylko o jej zapłatę, mogłabym mówić inaczej. Mogłabym powiedzieć, że August ma najlepsze serce, że nie on winien ale okoliczności: pierwsza zmarszczka na mej twarzy, znudzenie po tylu latach pożycia, moje gniewy i gwałtowności tak bezprzyczynne! Boć powinienam była śmiać się z Duval, cieszyć gdy Duparc przyjechała i niewiele więcej warią Denhoffową wziąć za przyjaciółkę! Nieprawdaż, kochany szambelanie? Nie korzystałam z dobrych przykładów, jakie mi dawały pani Haugwitz, Aurora, Esterle i Teschen, chodzące z sobą pod rękę na lipskim iarmarku! w takiej zgodzie serdecznej!

Śmiała się spazmatycznie.

— Ja widocznie stworzoną nie byłam do tak dobrego towarzystwa... — dodała — nie umiałam się znaleźć, nie rozumiałam świata ani ludzi: winnam sama sobie. Sądziłam, że w piersiach są serca, że w duszy są sumienia, że miłość nie jest rozpustą, że przyrzeczenia są święte, i że królowie słowa dotrzymują. Wszystko to były złudzenia moje, winy moje i grzechy. Dlatego gdy tamte szczęśliwe... ja umieram z upokorzenia, z tęsknoty, ze wstydu.

Van Tinen, słuchając tych wyrzekań, które z ust cudnie pięknej kobiety wychodząc, wrażenie na nim czyniły mimowolne, przejmujące, uczuł się poruszonym, zmieszanym, zawstydzonym. Spojrzała nań Cosel z politowaniem.

— Słuchaj — rzekła, zbliżając się do niego — wiem, czuję, żeś ty tu nie przybył przez litość dla mnie, przez ciekawość dla siebie, ale z rozkazu.

— Pani!

— Nie przerywaj mi: słuchaj! Ja ci to przebaczam — kończyła — wam wszystkim idzie o to więcej, abyście zrobili karierę, niż byście ludźmi byli. Powtórz im coś słyszał ode mnie; niech znają głąb mojej duszy: między nimi a mną wszystko zerwane. A jeśli chcesz się zasłużyć, dodaj, żeś słyszał ode mnie, z żywych ust hrabiny Anny Cosel, iż tak jak niegdyś zapowiedziała królowi, że mu niewierność i zdradę zapłaci śmiercią, tak jeszcze dziś powtarza. Za rok, za dwa, za dziesięć, pierwszy raz gdy spotkam Augusta, w leń mu strzelę. Noszę pistolet przy sobie, nie rzucę go nigdy, aż nabój dla niego przeznaczony wyleci. Powiedz im i to, panie van Tinen.

Van Tinen pobladł śmiertelnie.

— Pani hrabino — zawołał — jest to w istocie zmuszać uczciwego człowieka do zdrady. Posadzasz mnie, pani, niesłusznie, ale ja zostaję w służbie

króla polskiego, jestem jego szambelanem, przysiągłem mu na wierność. Tego, co słyszę z ust pani, nie mogę już nie powtórzyć! Muszę! pani to powtórzysz sama innym, pochwalisz się tem, żeś mi także w oczy rzuciła tę groźbę. To nie dworactwo już, ale obowiązek każe wyznać.

— Alboż ja ci bronie? — zapytała Cosel — ja cię o to proszę. Nie będzie to rzeczą nową; August to pamięta.

— Ale to posłuży nieprzyjaciołom, na których pani nie zbywa, do nowego spiknięcia się na jej zgubę: to da im oręż w ręce.

— Alboż im na orężach zbywa? — przerwała. — Jeden mniej, jeden więcej, nic nie znaczy. Kłamstwo, potwarz, zdrada, im wszystko dobre. Czyż gdybym nawet była pokorną, uszłabym prześladowania? Podli czują we mnie istotę, co ich podłości nie znosi, nikczemni mają we mnie wroga... moja uczciwość jest dla nich wiecznym wyrzutem ich podłości. Jakże mogą przebaczyć kobiecie, co się tak jak oni skałać i bezcześcić nie chciała?

Śmiech spazmatyczny towarzyszył tym wyrazom: van Tinen stał jak na mękach.

— Widzisz — dodała — taką jestem dziś, jaką byłam w szczęściu. Nie zmieniła mnie niedola, otworzyła tylko duszę skrwawioną; nic więcej.

W czasie rozmowy oczy jej piękne to szklily się łzami, to osychały od ognia, co się w nich palił; van Tinen patrzył wkońcu, zapomniawszy swej roli, jakby na niezrównaną artystkę ze starożytnej tragedji greckiej. Miała w sobie Cosel wszystko, co stanowi Medeę, co ideał święty wcielić może w rzeczywistość. Współcześni ze zdumieniem, jak van Tinen, nieraz wychodzili poruszeni jej wymową i pięknnością promieniającą.

Gdy zamilkła, szambelan długo nie mógł się

także oderwać; z wlepionemi w nią oczyma, zdawał się walczyć z sobą.

— Nie mogłaś mnie, pani, boleśniej upokorzyć niczem nad to wyznanie — rzekł — wystawiałaś mnie na próbę. Na cóż mam to, kryć przed nią? jestem królewskim sługą, gdy powrócę z Berlina, spytanym będę; na pytanie kłamstwem odpowiedzieć nie mogę: rzecz jest zbyt wielkiej wagi. Słowa moje pochwycone zostaną i w sumieniu mem będę cierpiał, żem się do jej nieczciwosci przyłożył.

Van Tinen w tej chwili był szczerym.

— Nikt w świecie do mojego nieszczęścia nie może już nic dodać — odezwiała się Cosel. — Myślisz, że boleję nad utratą pałaców, znaczenia i łaski? Nie! nie! mnie boli to, że w żadne serce ludzkie uwierzyć już nie mogę, że widzę podłość wszędzie, że sama sobą się brzydzę i sobie nie wierzę całal! Daj mi jego serce napowrót... zrzekę się korony świata. Jam go kochała! całe życie moje w nim było... on mi był bohaterem, on mi był bogiem na ziemi; bohater stał się podszynem, bóstwo zmazało się kałem... a więc plugawy świat! i życie ohydne!

Szambelan starał się ją potłumować: płakała.

— O moje sny złote! o moje marzenia dziewicze, gdzieście się rozwiali! niema was... niemal!

— Racz się, pani, uspokoić — przerwał coraz mocniej wzruszony i pomieszany posłaniec, — nie uwierzysz, pani, jak mnie boli, żem był powodem rozżalenia jej; że moje przybycie...

— Nicś nie winien — odparła Cosel, — pokazałam ci rany, ale dawno je noszę, a każdy dzień je powiększa. Jeśli cię pytać będą, nie szczędź tej niepoczciwej Cosel.

Van Tinen nie mógł powstrzymać się dłużej, litość wzięła nad nim górę.

— Sztynim, panu — odczywał się — uchodź stąd... więcej powiedzieć nie mogę.

— Jakto? — spytała Cosel — czy i tu mi jeszcze co zagraża? Czy król Fryderyk pruski wydałby tak kobietę na męczarnię, jak król polski Patkula? Powinien przecież pamiętać, że jemu odmówiono Böttigera, gdy się o niego domagał?

Van Tinen stał milczący: zaczęte usta świadczyły, że więcej powiedzieć nie mógł.

— Dokąd uciekać? — szepnęła sama do siebie — ziemi braknie... ja daleko żyćbym nie potrafiła, tam mnie jeszcze serce ciągnie... niech zresztą zrobią już ze mną, co zechcą. Życie mi zbrzydło. Odebrali mi dzieci... nie mam nic prócz żółci, którą się karmię.

Szambelan, chcąc zakończyć tę scenę, której nie przewidywał, pochwycił za kapelusz.

— Żal mi pani szczerze — rzekł, — lecz zdaje się, że dopóki trwać będziesz w tych usposobieniach, nikt w świecie ani uratować, ani na los jej wpłynąć nie może: wszyscy przyjaciele hrabiny...

To wyrażenie ją rozśmieszyło.

— Moi przyjaciele? a pozwólże mi ich, kochany panie van Tinen — odczywała się żartobliwie.

— Masz ich, pani, więcej, niż sądzisz — rzekł gość — ja pierwszy!

— Al pan pierwszy! prawda — dodała — takich, jak pan, wielubym nabyć mogła. Przynajmniej trzech czy czterech, co mi się ofiarowali pocieszać nieszczęśliwą wdowę, aby z nią podzielić owe ogromne lupy, z których mi wkrótce nic nie pozostanie. Al takich! — takich!! — rzekła wzgardliwie.

Van Tinen był tak zmiaszany, iż nie umiając nic odpowiedzieć już, uklonił się zlekka i ściszony czarnym oczyma Cosel, wyszedł powoli z pokoju.

W Dreźnie dawnym obyczajem szło życie u dworu, zabawy były jego ostatecznym celem. Poważne strony życia dostarczały tylko do nich powodów i zřeczności, materiału i żywiołów.

Król starzał, a wiek podeszlejszy, który wiele wyczerpał i zużył, stołroć jest do zabawienia trudniejszym. W młodości bawił to nawet, co smutnemby być powinno, później rozrywka staje się posępną, wszystko czczem i pustem. To w czem dawniej człowiek widział ziarno, przemienia się w pustą łupinę. August też był coraz do rozbawienia trudniejszym. W pierwszych jego płochych amarach było coś choć chwilowo przypominającego serce, w ostatnich bawiły się tylko zmysły, — czczą galanterją francuską ze swą jedwabną, złotem naszywaną sukienką.

Zabawy następowały coraz wytworniejsze jedne po drugich, a po nich król ziewał i znajdował, że teraz nic nie miało smaku, siły, barwy ani woni. Gniewało go, cokolwiek błogi ten spokój szeregu bezmyślnych rozrywek przerywało, co mu przeszkadzało śmiać się, gdy brytany brały zrozpaczonego niedźwiedzia, lub patrzeć, jak biedny jeleń miotał się w przedśmiertnych męczarniach.

Były to także ulubione rozrywki, w które już młodziuchnego syna zaprawiał, a zdawało mu się to rycerską zabawą. Widok krwi dodawał smaku innym widowiskom, stanowił kontrast z obrazem słodkich uśmiejchów niewieścich, skoków baletniczych i pieszczącej ucho włoskiej muzyki. Aby się napać melodją, dobrze było wprzód w dziki ryk zwierzęcia się wsłuchać.

Nieprzyjaciele Cosel pracowali około króla pilnie. Unikał on o niej wspomnienia, dawał do zro-

zumienia, że niechętnie o niej słyszy: nic to nie pomagało. Zawziętość ubierała się różnie, najczęściej w pozorną obawę o króla, o jego bezpieczeństwo, o drogi spokój pański. Malowano kobietę nieszczęśliwą jako niebezpieczną.

Oddalona, swobodna, mająca w ręku środki potężne, bo wiadano, że znaczne z sobą sumy uwiozła, mogła się stać groźną.

Flemming, Löwendahl, Watzdorf, Lagnasco, Vitzthum, nie pytając króla nawet, ślali szpiegów i kreślili plany, jakby ją pochwycić, a korzystając z tego owe skaroy, jak po Beichlingu, rozszarpać.

Jednymi zemsta, drugimi kierowała chciwość. W czasie swojego panowania Cosel nie zaszkodziła z nich nikomu, wielu z nich jej byli winni wyniesienie się swoje i swobodę. Jej zawdzięczał kanclerz Beichling, że mógł resztę życia na wsi, w marzeniach, projektach i alchemicznych doświadczeniach przepędzić; Löwendahl przez nią był polecony królowi. Z pochlebców bez liku nie pozostało ani jednego przyjaciela. Jeden Haxthausen miał odwagę, nawet przeciwko radom Flemminga do końca dotrwać wiernym i nie zdradzić nieszczęśliwej; jeden Friesen nie wziął jej za złe odmowy posłków i zachowywał się neutralnie: reszta, pomimo że czas już sam winien był te uczucia ostudzić, nie miała pokoju, ażby ją zgubiła.

Jątrzone więc króla codzień, nieustannie.

Gdy van Tinen powrócił z Berlina, pod wrażeniem pięknych oczów Cosel zrazu walczył z sobą. Żał mu jej było. Nie pokazał się na dworze, ale go Löwendahl wyszpiegował i zawezwał do siebie.

— Jakżeś ją znalazł, mów — zawołał, — zdaje się nam wszystkim, iż król zachował dla niej doład pewną słabość. To jest rzecz niebezpieczna...

Nam daleko z Denhoffową i Pociętową jest lepiej. Te ani się do rządów mieszają, ani mu ludzi stręczą, ani chcą panować. Prawda, że ogromnie króla kosztują, i on sam mówi, że nigdy tyle Cosel nie wymagała, ale koniec końcem, nam z tem lepiej. Cóż Cosel? Ma jeszcze nadzieję powrotu? mówi dotąd o przyrzeczeniu ożenienia? odgraża się, że strzeli?...

Van Tinen smutnie na to odpowiedział:

— To pewna, że nieszczęśliwa kobieta.

— Nieszczęśliwa sama sobie winna! Trafiła się jej najłepsze parcie, najwierniejsi sprzyjmienciacy oszalała na tem przyrzeczeniu ożenienia, sądzi ciągle królową, królową, mieniał królową... czy i dotąd?

— Tak się zdaje, bo w niczem mi się nie widzi zmienioną — rzekł van Tinen.

— Ale mówże wyraźniej, opisz, coś widział — nalegał Löwendahl.

— Przytączę się wam, iż to, com widział i słyszał, serce mi za rwawito. Zawzięta jest, gniewna, nie przebaczy nigdy; ale w nieszczęściu swem wzbudza szacunek; jest doprawdy cudowną, jest wielką.

— Włóż tem niebezpieczniejszą — dodał śmiejąc się Löwendahl — ale zbrzydnać musiała?

— Zbrzydnać? — pochwyci pierwszy — piękniejszą jest, niż kiedykolwiek była: ani śladu łez, ani bólu na tej marmurowej twarzy. Od lat ośmiu najmniejsza zmiana w świeżości, najłżejszego zmarszczki; promienieje młodością.

— Tem gorzej — powtórzył Löwendahl — tem gorzej: król mógłby ją zobaczyć, a po zwiędłej zawczasu twarzy zce Denhoffowej znówuby na nim mogła zrobić wrażenie.

— Niewątpliwie — potwierdził van Tinen — bo je czyni na każdym.

— Mówiłeś z nią?

— Tak jest, a raczej ona mi się wylała z całą goryczą.

Powoli dał z siebie wyciągnąć szambelan, co marszałkowi wiedzieć potrzeba było i donieść, zwiększając, Denhoffowej. Jakkolwiek płocha i lekkomyślna, jakkolwiek złośliwa, bojaźliwa o siebie i bronić się pragnąca na wszelki sposób, Marynia Denhoffowa tak bardzo złą nie była, żeby kobietę nieznaną, biedną, której największą krzywdę już wyrządziła, chciała pozbawić ostatka swobody... Przykrzyło jej się to naleganie nieustanne i postrachy, byłaby się opierała może, gdyby nie pani Bielińska, która zmuszała ją być ze wszystkimi dobrze i nie sprzeciwiać się faworytom króla, aby swe panowanie przedłużyć.

Löwendahl tegoż dnia stawiał się u pani Denhoffowej, wybrał godzinę, gdy sama była z siostrą, i począł od pochlebstw, które obie lubiły. Z wielką zręcznością, niby nieumyślnie przeszedł do porównania obecnego czasu z dawnym; mówił wiele o Cosel, i zakończył tem, że miano o niej wiadomość.

Denhoffowa zapytała:

— A cóż się z nią dzieje?

— Siedzi w Berlinie, pod opieką króla pruskiego, i używa danej sobie swobody, żeby nas, króla, dwór i wszystko, co się tu działo i dzieje, w najszkaradniejszych malować kolorach. Jest to niewdzięczność czarna, aleśmy do niej nawykli.

-- Zresztą -- dodał Löwendahl -- mniejszaby o to, gdyby zawsze nie powtarzała swego, że przy pierwszym spotkaniu królowi w łeb strzeli!

Denhoffowa porwała się z krzykiem z kanapki, na której siedziała, zakrywając oczy... Pani hetmanowa ruszyła ramionami tylko.

— Ktoby się tam tego lękał, albo na to uważał — zawołała — to są brawady bezsilne.

— Takby się zdawać mogło, gdybyśmy pani hrabiny nie znali — przerwał Löwendahl, — szczególnie ja, który mam nawet zaszczyt być jej krewnym. Jest to kobieta, która nigdy nic próżno nie mówi.

— Szczęściem niema żadnego podobieństwa, ażeby się kiedykolwiek z królem spotkać mogła — dodała Pocijowa.

— Jakto? czyż pani sądzi, że ona czekać będzie sposobności a nie szukać jej? Wszak tak samo jak potrafiła raz wkraść się na maskaradę, może się dostać przebrana do Drezna, czekać na króla choćby w ulicy.

— Al! tak! tak! — poczęła gorąco Denhoffowa — ja przeczuwam niebezpieczeństwo... Król jest nieuważny, tę kobietę należy... ja nie wiem! cóż z nią zrobić?

Löwendahl ruszył ramionami.

— Kto woli swej używać nie umie, temu ją odebrać należy i uczynić niewolnikiem: rozumie pani.

— Obie kobiety zamilkły, obu przyszło na myśl, że to co teraz spotkać miało Cosel, mogło później być Maryni udziałem. Marszałek Löwendahl zdał się tego domyslać i dodał:

— Najjaśniejszy pan nigdy dla osób, które chociaż krótko kochał, nie był surowym; świadkiem te panie, jakieście tu spotkać mogły; ale są wypadki...

Na tę naradę nadeszła najzręczniejsza z nich, matka, pani marszałkowa Bielińska; pomimo wieku już dobrze dojrzałego ubrana z wielką pretensją, przeglądająca się we wszystkich zwierciadłach, poprawiająca coś około fryzury nieustannie i piękne

białe ręce okryte pierścieniami wystawiająca chętnie na uwielbienie. Powitała Löwendahla z uprzejmością poufałą, z uśmiechem, i popatrzywszy po córkach, wpadła z jednego schwyconego słówka na tok rozmowy.

Denhoffowa wtajemniczyła ją w te obawy, które przyniósł z sobą przyjaciel domu; tam gdzie szło o córki, dla marszałkowej nikły wszelkie względy: litościwa w innych razach, stawiała się mściwą i gniewną. Córki tutaj były całym jej mienniem i przyszłością: co im zagrażało, doprowadzało ją do szaleństwa.

Wysłuchawszy opowiadania, uniosła się.

— Ale, bo też szczególne zachowują względy dla prawdziwie szalonej kobiety! Król jest nadto dobry! Wyzywa go, urąga, sama winna będzie, jeśli sobie ciężki los zgótuje. Temu raz koniec położyć należy.

Małynia miała króla przestrzec... złożono to na nią: lecz po namyśle marszałkowa znalazła, iż ona tego dobrze nie potrafi uczynić.

Postanowiono więc, aby ona tylko zagaiła, a marszałkowa sama wymownie dokonała reszty.

Löwendahl w tak dobre ręce powierzywszy sprawę swej zemsty, odszedł.

Wieczorem zabawa była w ogrodzie Hesperyd. Tak się naówczas zwał podwórzec Zwingru, świeżo, wspaniale i z przepychem królewskim dokończonego; była to mała cząsteczka jakaś olbrzymiego pałacu królów, który miał doń przytykać. Ogród urządzony był obyczajem i smakiem wieku. w kwatery kwiatów poobsadzone bukszpanem, z wodotryskami, grotami i bogatą mitologiczną figurą ozdobą. Wieczorem rozsypane lampy i kolorowe latarnie czyniły go piękniejszym jeszcze, niż we dnie. Z drzew poustawiane gaje pomarańczowe,

w których przygotowano siedzenia, dozwolony pa-
rom przechadzającym się używać spoczynku w cie-
niu i ukryciu. Na balkonach galerij, otaczających
dokoła Zwinger, grały muzyki, a melodie ich roz-
chodziły się daleko z lekkim wiatrem wieczora.
Wpośrodku ogrodu rozbity namiot, jaśniejący całym
iluminacją, stanowił salę improwizowaną, w której
po wieczerzy miały się odbywać tańce.

Król przybrany był cały w niebieskie jedwabie
ze srebrem i białe koronki, a wyglądał młodo
i chciał sobie snuć młodsze jeszcze pierwszych
swych podróży po Europie przypomnieć lata. Den-
hoffowa także tego wieczora była w sukni blad-
niebieskiej i w bieli, a było jej wcale do twarzy.
Zmuszając się do wesołości, powitała króla, które-
go każdy bawić musiał, pod karą nielaski, i za-
częła od pustych żarcików. Część wieczora upły-
nęła na śmieszkach, do których Pociiejowa dobrze
pomagać umiała.

Pani hetmanowa i siostra jej były w jaknaj-
lepszej przyjaźni, a choć jedna o drugą mogłaby
była być zazdrosną, nigdy tego uczucia oznaki
najmniejszej nikt w nich nie dostrzegł. Hetmanowa
młoda, delikatna, jeszcze napozór węższa od sio-
stry, daleko była wytrzymalszą od niej. Polska
i Saksonja naówczas zdumiewała się owej sławnej
komedji podróży jej z Friesenem z Warszawy do
Gdańska i napowrót, odbytej z takim pośpiechem,
żby poczytłona znużyła. Pociiejowa ani dnia po-
niej nie potrzebowała spoczywać. Ona Denhoffo-
wej w ciężkich razach pomagała przy królu w roz-
mowie, w naprowadzaniu jej na co była potrzeba
i tego dnia podjęła się wreszcie z rozkazu matki
wtrącić coś o Cosel.

August był zmęczony i chmurny.

Hetmanowa wtrąciła coś, że dawniej za czasów

hrabiny bawił się łatwiej i z większą ochotą, że może tamtej żałować.

Pelen grzeczności król odpowiedział żywo, iż w towarzystwie tak miłych i pięknych dam niczego żałować i o niczem pamiętać nie było podobna.

Denhoffowa pochwyciła tę zręczność, by ująwszy go pod rękę, zacząć coś prawić o Cosel; lecz jak zwykle wywiązała się z tego wcale nieszczęśliwie, gdy w pomoc jej czatująca nadeszła matka: naówczas obie poczęły lament z tematu hrabiny.

Królowi się to widocznie nie podobało; spuścił głowę i nic nie odpowiadał. Chwila była, w której obie kobiety strwożyły się; wyszedł jednak z tego zamyślenia i odezwał się żywo:

— Kochana hrabino, chciej być o mnie spokojną; czuwa nade mną wielu proszonych i nieproszonych stróżów i nic mi uczynić złego nie dadzą. Nierad mówię o tem: chodźmy i wmieszajmy się do tańca.

Zamiar przypuszczenia szturm do Augusta spełził tedy na niczem. Flemming i Löwendahl powtórzyli po wieczery przy kielichach, to co te panie zaczęły niezręcznie w ogrodzie Hesperyd. Tu swobodniejszy król dał im mówić i słuchał.

Jednakże olimpijska brew zmarszczyła się kilkakroć.

— Słuchaj, Löwendahl — rzekł szydersko, — dajesz mi wprowadzić dowód wielki przywiązania do mojej osoby, ostrzegając przeciw hrabinie, która jest twą kuzynką i której winienś to, czem cię zrobiłem; powinienbym ci być wdzięczny, a jednak powiem szczerze, stajesz się dla mnie dziwnym. Staranie o moje bezpieczeństwo zostawcie mnie, proszę.

Löwendahl umyknął, podstawił tegoż wieczora wprowadzić van Tinena, z opowiadaniem o Berlinie, ale król i tego słuchał z roztargnieniem, bo go nie lubił.

Rzecz obrachowana na wielkie skutki skończyła się na niczem.

Intryganci spostrzegli, iż należało innych użyć dróg i środków.

Jakkolwiek Cosel ustronne pragnęła prowadzić życie w Berlinie, zbyt była głośną jej piękność, jej sława, zbyt ciekawą osobą, zbyt głoszony dowcip, żeby wkrótce nie zaczęto ubiegać się o jej znajomość.

Większa część osób, otaczających dwór Fryderyka, znaną jej była z pobytu kilkakrotnego w Dreźnie. Nudzono się tak bardzo jednostajnymi paradami wojskowymi, które król codziennie odbywał, i wieczorami u najjaśniejszego pana lub królowej, iż każdy spragnionym był jakiejś rozrywki.

Król sam częściej bywał w Potsdamie lub Wusterhausen, niż w stolicy, nie chybił nigdy zaciągu warty o dziesiątej godzinie, dawał potem posłuchanie ministrom, lub szedł na przechadzkę; o południu przyjmował wojskowych i cudzoziemców, potem zasiadał do skromnego stołu z królową i rodziną, pracował po południu w gabinecie i nie ukazywał się na pokojach, aż wieczorem. Tu przybywała królowa, kilka dam, kilkunastu oficerów, czasem zaproszony ktoś obcy; grywano w pikietę, lombra i tryktrak i palono tytoń; tak schodził czas w dosyć poufale, ale też i nudnem kółku do jedenaastej; o tej godzinie wszystko się kończyło zwykłe urzędowanie. W niebytności króla przyjmowała co wieczora królowa o siódmej u siebie i zapraszała czasem kilka osób na wieczerzę. Nie urozmiaćcało nic tego toku życia, chyba nader skromny wieczorek w mieście u którego z dygnitarzy. Wcale to było niepodobne do szumnego Drezna, z którego się też tu śmiano pocichu, a nadewszystko z rycerskich i wojskowych zabaw Augusta, których nikt tu nie brał na serjo. Wojsko saskie przy-

odziane w złoto, galony, lany i pióra, nie mogło się ani porównać z pruskiem, w jednakowych niebieskich mundurach zaszytem, mało strojnem, w którym czerwony mundur husarski i trochę galonu stanowiły całą ozdobę; oficerowie nawet od żołnierzy mało się różnili ubiorem. Zamiast wymyślnych chorągwi powiewała tu wszędzie jedna biała, z dumnem nad leżącym orłem godłem. *Nec soli cedit!* Naówczas dewiza wydawała się nieco zuchwałą przyszłość ją wszakże usprawiedliwiła.

Nie było na świecie dwóch charakterów mniej do siebie podobnych, sprzeczniejszych i mających większe prawo do wstrętu wzajemnego do siebie nad Fryderyka pruskiego i Fryderyka Augusta polskiego. Od czasu jak pewien wybryk nieprzyzwoity panna von Pannevitz wypłaciła królowi... policzkiem, nie spojrzał pono nigdy na kobietę i był najwierniejszym z małżonków, a rodzinę swą trzymał w tak ciasnych korbach i życie wiódł tak oszczędne, iż od jego stołu wstawało się zwykle nietylko trzeźwo, ale głodno.

Porządek w państwie, w mieście, w domu, w wojsku, posunięty był do pedantyzmu; srogość i surowość niekiedy do bezlitości: obyczaje musiały być spartańskie, bo tu wszystko szło jak zgóry przykazano. Szlachta próbowała wprowadzić nieco się opodatkowaniu opierać, ale Fryderyk zapowiedział jej zgóry, że jego władza, jak skała z brązu, nie da się pożyć niczem.

Przed jedzeniem odmawiano modlitwy, stół był mieszczański, a o balach na dworze nikt nie myślał. Jadano na glinie, a gdy obcych trzeba było przyjmować, dobywano srebra ciężkie, które znów szły do skrzyń nazajutrz.

Miewał król fantazje, lecz wcale innego, niż August, rodzaju. Po odejściu królowej od stołu, po

chudej wieczerzy, zbierali się poufali do „tabacznego kolegjum”, to jest do izby, w której król fajkami częstował. Przy fajkach wiele było wolno, a najpierw zabawiać się, biorąc którego nieszczęśliwego na zęby. Padał ktoś zawsze ofiarą. Pośrodku sali stał prosty stół, który obsiadali w wielkich mundurach ministrowie, generałowie i czasem obcy goście. Dawano wszystkim holenderskie fajki, czy kto chciał palić czy nie, i stawiano przed każdym kufel duksztyńskiego piwa. To było całe przyjęcie, bo na kosztowne wino nie myślał się król rujnować. Upoić piwem i tytoniem było wielką dla króla pociechą. Wyśmiewać uczonych, arystokrację, urzędników... główną zabawką. Żarty po piwie czasem przebierały miarę, gdy się w Wusterhausen mieszały do nich niedźwiedzie, a podszczuci zapasnicy kuflami bić się zaczęli; lecz zawsze to jeszcze nie dochodziło do ostateczności: odchorowywało wielu, rzadko kto umierał.

Na wielkie święta urządzano dysputy w tabacznym kolegjum i zadawano jako temat, że uczeni są głupcami. Morgenstern stawał na katedrze w niebieskiej aksamitnej sukni z czerwonymi obszlegami, haftowanej w zające, w czerwonej kamizelce, w peruce omal nie spadającej do kolan i ogonem lisim u boku zamiast szpady. Godzinę prawil i to króla bawiło niezmiernie.

To były jedyne dworu pruskiego zabawy. W Dreźnie wyśmiewano się z Berlina, w Berlinie Dreźnie miano za coś sąsiadującego z piekłem, bo Fryderyk polski nie wierzył w nic, a pruski po swojemu był pobożny.

Raz gdy przy wieczerzy nowo-przyjęty kamerdyner z obowiązku czytał modlitwę i przyszedł do wyrazów: „Niech cię Bóg błogosławi”, zdało mu się przyzwoitszem obróconemu do króla, przeczy

tac: „Niech was Bog błogosławi”. Nie podobalo się to królowi: „huncwot, cichut, jak napisano — zawolał — przed obliczem bożem ja taki jestem huncwot jak i ty”.

Po zabawkach w tabacznem kolegium, po chudych dworskich obiadek, których wiasna córka króla o. i. s. nam zostawiła, niejeden zapragnął innego towarzystwa, trafniejszych żartów, rozmowy wytworniejszej. Znajomi hrabiny Cosel zaczęli czasem do niej przybywać; znudzona kobieta otworzyła drzwi dla garstki tej gości i pocichu wieczorami zbierało się czasem z dworu osób kilka... cichutko, skromnie, bo w Berlinie hałasu robić nikomu nie było wolno.

Król Fryderyk, choć pewnie o tem był uwiadomiony, bo wiedział dobrze o wszystkim, co się u niego w stolicy działo, nie mówił nic. Ośmieliło to kilku młodych dworaków, kilku wojskowych do odwiedzania hrabiny. Zwykle przychodzili przed wieczrą, a że ona sypiać nie mogła i do pierwszej siadywała, gawędzono dobrze za północ. Drzwi potem otwierały się pocichu i goście rozchodzili się do domów. Nie mogła Cosel posadzać króla, pod którego schroniła się opiekę, o wielką miłość dla Augusta; zbyt wielkie były ich życia i charakterów różnice; nie wysurzegano się więc wcale w rozmowach mówić o Dreźnie, co niechęć ku niemu dyktowała.

Przynoszono tu plotki, które stamtąd dolatywały, a hrabina nie kryła niechęci swojej dla płochego Augusta. Niejedna wiadomość ciekawa dostała się stąd przez młodych, idąc do starych, aż do tabacznego kolegium, gdzie ją królowi w kłębach dymu przy piwie do ucha podano. Naówczas uśmiechał się król Fryderyk, ale głową dziwnie potrząsał i zdawał się dziwić, że Cosel była tak śmiała,

bo napozór wielką miłość i szacunek wyznawał dla wspólnego sąsiada.

Jednego wieczoru, gdy się zwykli młodszy goście zebrali u Cosel, niespodziewanie przywłókł się i stary generał, należący do tabacznego kolegium. Ostudziło to w młodszych zapal do swobodnej rozmowy, ale nie powstrzymało Cosel od powieści zwykłych i wymyślań na króla.

Stary, generał głową potrząsał i słuchał, dziwić się zdawał i niedowierzać. Dosiedział tak do północy i dłużej, a gdy się inni wynosili, pozostał nieco: zdziwiło to trochę Cosel.

Stary, który mówił mało, zbliżył się do niej, żegnając ją z wielkiem uszanowaniem:

— Pozwoli mi hrabina uczynić jedną małą uwagę — rzekł ochrypłym głosem, — bardzo się u niej przyjemne czas przepędza, ale choć drzwi zamknięte i okna, dużo stąd wychodzi na ulicę. Lada wiatr to zanieśie nad Elbę; zmarszczy się najjaśniejszy nasz sąsiad na naszego króla, że tu pod jego bokiemy takie się rzeczy prawić mogą na jego dobrego sąsiada i sprzymierzeńca: królowiby to było markotno.

Cosel się nie zmarszczyła.

— Jakto? — spytała — więc u was w domu własnym, między czterema ścianami nie wolno mówić, co kto ma na sercu?

— Mówić wolno — rzekł generał, — ale powiedziawszy, można gdzie pojechać, choćby się nie życzyło.

— Jakto! i ja?

— Kochana hrabino — rzekł, wzdychając, stary generał — nawet wamby się to mogło przytrafić. U nas tu rygor wojskowy we wszystkim... kraj to taki i porządek... Jabym wam radził grać w tryktrak lub pikietę, bo to rzecz zabawna, a za to niema biedy.

Cosel spuściła głowę smutnie.

— Myślicie, że ja to mówię jako stary gdera, któremu się coś przywiduje. A! nie, wiercie mi, że może mi kto szepnął, abyście byli ostrzeżeni.

To mówiąc, wyszedł generał powoli, a hrabina padła na kanapę, szydersko uśmiechając się sama do siebie.

Nie usłuchała jednak przestrogi, a gdy poufałe zebrano się towarzystwo, mówiła wiele, głośno, jakby wyzywając do tej surowości, której się spodziewała.

Jednego poranku zjawił się u drzwi domu generał gubernator miasta Berlina, Wartesleben. Grzecznie pokłonił się hrabinie, uśmiechnął, pokręcił głową, a potem zapytał:—czyżby to prawdą było, że hrabina życzyła sobie zmienić rezydencję i w spokojniejszym kątku w Halli zamieszkać?

— Ja, w Halli? — zdumiona przerwała Cosel — a cóżbym ja robiła w Halli?

— Wie, pani, powietrze tam jest bardzo zdrowe, widoki piękne, spokój wielki, wygody wszelkie: nic przyjemniejszego nad pobyt w Halli.

Cosel nie widziała co ma odpowiedzieć zrazu; słuchała tych pochwał, coraz bardziej zdziwiona nimi się okazując.

— Ale ja nigdy w życiu nie miałam myśli jechać do Halli.

— Rzecz to jest dziwna—odpowiedział Wartesleben, — najjaśniejszemu panu ktoś o tem oznajmił i król wydał rozkazy, ażeby tam pani wszelka opieka była dana. Rozporządzenie króla to rzecz nieodwołalna, więc najlepiej już pojechać do Halli.

Nie mogła długo słowa przemówić Cosel, patrzyła milcząca; łzy popłynęły z oczów; załamała dłonie...

— To więc jest rozkaz — odezwała się wkońcu — to wygnanie nowe... za co?

— Król sądzi, że tam pani będzie lepiej. Hrabina wie, tu w ulicach Berlina łatwo się echo rozchodzi. Każde słowo odbrzmiewa, sięga daleko; tam... w Halli nikt nie usłyszy i większa panuje swoboda.

To mówiąc, powstał.

— Hrabina może nie jutro, ale nawet pojutrze wyjeżdżać rano — dodał. — Czas jest piękny, a podróż można odbywać powoli. Lecz że drogi niezawsze bezpieczne, król jegoność ofiaruje jej kilku ludzi eskorty, którzy aż na miejsce odprowadzą. Jest to z jego strony galanteria bezprzykładna... Za to powi. na mu być pani wdzięczną.

General Wartesleben skłonił się bardzo grzecznie raz i drugi, i wyszedł, zostawiając hrabinę osłupiałą.

Raz, który ją tu dosięgł, nie mylił się, ręka z Drezna wymierzyła. Chciano ją zmusić do milczenia, do poddania się losowi, do ulegania niedoli; oburzał się w niej duch nieugięty, a każdy pocisk taki nową w niej energię pobudzał.

Tegoż dnia hrabina kazała pakować powozy, najmować konie i wierny Zaklika z nawieszoną brwią, wzdychając, pracował znowu, nie śmiejąc rzec słowa.

Gdy Cosel siadać miała do powozu, kupka ludzi zbiegła się pod jej dom, a widząc tę piękną w czerni kobietę z podniesioną głową, majestatycznym postępującą krokiem do powozu ostawionego konnymi, ludzie strwożeni rozeszli się pocichu i zdało im się, że spojrzeli na ofiarę wziętą na ruszowanie.

VIII

W ciasnej uliczce miasta Halli, w niepokąźnym mieszczańskim domu, nieopodal od gmachu, w któ-

Tym sobie niewiele wymagający kupcy tutejsi i obywatele wydawali bale, w oknach pierwszego piętra, od niejakiego czasu dziwne zjawisko zwracało oczy przechodniów.

Była to kobieta. Całe dnie siedziała w tem oknie i patrzała w niebo oczyma, które nic nie widziały, a postawa jej, rysy, wyraz twarzy, piękność anielska, smutek, co się na niej malował, zwabiały tłumy ciekawych.

Nikt w Halli nie znał tej kobiety, od niedawna zjawiała się tak w tem oknie smętna, zadumana, nieporuszona, obudzając litość i zdumienie. Całej historii nieszczęścia jakiegoś poza tą chwilą domyślać się było można.

Siedziała dziwnie zamyślona, nieprzytomna: wzrok jej nie spadł nigdy w ulicę na przechodniów, nie zbłąkał się na twarz ludzką: patrzała gdzieś w przeszłość, czy przyszłość. Czasem tylko, gdy tłum się zebrał, gdy zaszemrał, gdy młodzież szeptać zaczęła głośno, uciekała od okna strwożona.

Drzwi tego domu stały zawsze zamknięte, nie miała znajomych, nie odwiedzał jej nikt; służa przynosiła jej z sąsiedniej garkuchni jedzenie, niekiedy tylko młody, pięknie ubrany mężczyzna pukał do drzwi, targował się o wnijsiecie: puszczano go na krótko i smutny nazad odchodził. Studenci zwali go kochankiem pięknej nieznajomej, ale on nań nie wyglądał.

Nie było wówczas w Halli mowy o czem innem, prócz o tem cudnem zjawisku. Tak była piękną ta kobieta, taki wyraz smutku głębokiego miała jej oczy, taką zagadką była ta wielka pani ukryta w ubogim domku. Każdy bowiem domyślał się w niej pani; pańskąością tchnęła twarz, a gdy przestraszona odskakiwała od okna, ruchy jej zdradzały nawykłą być i pokazywać się piękną ko-

bietę. Z królewską powagą rzucała się szpiegowana w głąb pokoju i długo potem nie widać było nic, oprócz białej firanki.

Gospodarz domu pytany ostrożnie, gospodyni natarczywie badana przez sąsiadki, sługi nawet na które nalegano datkami, miały usta zamknięte. Spytani oglądali się ostrożnie, bojaźliwie i mruczeli, ruszając ramionami, że nic a nic nie wiedzą, że to była zdaleka, chora, obca jakaś niewiasta. Oprócz tych ciekawych jednak przechadzał się czasami ulicą to jakby przypadkowo zbłąkany żołnierz, spoglądając ku oknom, to jakiś człowiek nieznajomy, który tak wyglądał, jakby niedawno mundur jakiś z siebie zrzucił. Niekiedy nawet wieczorami pod przeciwległym murem zasiadali żołnierze i nieopatrzenie w ciasnej uliczce spoczywali, jakby z przypadku, choć im tam pewnie bardzo wygodnie nie było. Tą piękną nieznajomą o której najrozmaitsze krążyły domysły, była hrabina Cosel; lecz jakżeż teraz zmieniona!..

Ostatnia podróż zламala męstwo kobiety, duszę jej napełniła trwoga, odjęła nadzieję. Smutną była do szalu, rozpaczającą do obłąkania, łzawą i nadwyraz biedną. Zemsta, co ją ściagała, była tak długą, nieubłaganą, nienasyconą, że po niej już się wszystkiego spodziewać mogła, nawet śmierci.

Z Berlina jeszcze mogła w początkach swobodna ratować się ucieczką; w Halli była już niewolnicą. Zaklika, który jej aż tu towarzyszył, doniósł nazajutrz po przybyciu, iż wszystkie wyjścia z domu były strzeżone, że Halla stała się więzieniem. On chodził jeszcze wolny, ona już krokiem ruszyć się nie mogła. Chciała do kościoła w niedzielę, widziała, jak ją krok w krok ścigano: wróciła. Gospodarz domu i gospodyni byli uniżeni i grzeczni, ale im wcale ufać nie było podobna. Dom ten

usłużny urząd pruski wskazał i znać się upewnił, iż w nim niewolnica będzie bezpieczna. Mieszczanin miał liłą twarz i kose wejście, żona jego chodziła niema i blada, obawiając się słowa rozmowy.

Zaklika próbował się do nich zbliżyć, cofnęli się jak od zapowietrzonego. Drugiego czy trzeciego dnia oznajmiono szambelana van Tinen. Cosel ze wtrętem i oburzeniem kazała mu drzwi otworzyć. Wszedł nader skromny, smutny, zmieszany, jakby nie wiedział, co powie.

— Mów, pan, z czem przybyłeś — odezwała się Cosel — bo wiem, że go tu nie litość sprowadziła, ale czyjeś rozkazy.

— Mylisz się, pani — rzekł van Tinen — jedno i drugie. Wołałem ja przybyć tu, niżby miano wysłać kogo innego, któryby mniej miał na jej nieszczęście względów.

— Nie miej, pan, względów — odpowiedziała Cosel, — mów otwarcie; cierpię wiele, ale męstwo w sobie wyrabiam: na wszystko jestem gotową.

— A! gdybyś pani gotową tylko była na jedno — odezwał się van Tinen — na trochę rezygnacji i łagodności. Wszystkoby jeszcze dało się naprawić. Któż wie?

— Czegóż chcesz ode mnie?

Van Tinen westchnął.

— Ja-m posłaniec, z czem mi kazano, przychodzę: król wymaga od pani tego pisma, które jej dał niegdyś... przyrzeczenia...

— I sądzi, że mu je oddam, abym z żony spała na pospolitą zalotnicę, którą mu odpędzić wolno, gdy się nią znuży? Kochany van Tinen — dodała spokojnie — jeśli poto tylko przychodzisz, wracaj i powiedz, że Cosel nigdy a nigdy nie sprzeda swego honoru.

— Pani, na miłość Boga — począł przysłać, nie zartekaj się! Możesz upo-tem swym sprowadzić największe nieszczęście, tak jak zwrotem tego kawałka papieru odzyskać możesz womość... wszystko...

— Serce Augusta — szepnęła Cosel — a! nie! nie! nie wierzę w nie: niema go tam w tej piersi brylantami obsypanej, złotem opasanej, jak brylanty i złoto osygiej. Nie odzyskam nic, bom na wieki co najdroższe straciła! nie wierzę w niego i w ludzi!

Powtórzyła mu tylko to, co mówiła ciągle. Van Tinen nie poprzestał na tej próbie, siedział parę godzin, nie mogąc nic z niej dobyć więcej, ale litując się, pozostał dni kilka, dając czas do namysłu.

Każdego tak dnia przybywał, rzeczywiście litując się niedoli hrabiny; powtarzał pytanie, prośbę, nakłaniał, błagał, a ona z coraz większym odpowiadała mu chłodem:

— Tego papieru nie oddam, w nim honor mój, obrona moja i dzieci moich, które mi wydarto, cześć leży: umrę, ale on go mieć nie będzie.

Drugiego dnia już po przybyciu van Tinena hrabina zawołała Zaklikę, który wyglądał teraz prawdziwie jak z krzyża zdjęty. Był to szkielet człowieka: żółty, blady, obciągnięty skórą sfaldowaną, straszny a niemy. Gdy spojrzał na ludzi, od tego wzroku nienawiści pełnego, cofali się jak od groźby, czuć w nim było boleść, co szuka tylko pozoru, aby się stała wściekłością.

Straszno było mówić w tym domu, niebezpieczna nie dłuższą prowadzić rozmowę, by w niej znowy nie posądzono. Zaklika przychodził i wychodził niby coś posługując około sprzętów, coś wynosząc i z czemś wracając, i tak zrywana, rozbita toczyła się rozmowa.

Cosel powiedziała mu krótko:

— Nieprawda, wszak już jestem uwięziona?

— Strzegą nas dokoła.

— A ciebie?

— Mnie dotąd nie.

— Trzeba byś mnie porzucił i był wolnym.

Zaklika stanął i drżeć począł cały.

— Ja? Was, panią? porzucił? a cóż ja zrobię z sobą? a gdzież się ja podzieję? a do czegoż życie przywiążę? więc chyba iść i w studnię... i umrzeć.

— Nie—odparła Cosel—to nie koniec mojej niewoli; ja go znam: to początek. Potrzeba, żebyś ty był wolnym, dlatego, ażebyś mógł mnie uwolnić.

Rajmund się zadumał.

— Potrzeba? mów pani.

— Będziesz wiedział, gdzie się znajduję. Ufam ci, obmyślisz środki, postarasz się mnie uwolnić... Kilka tysięcy zostało, które Lehmann zachować potrafił; dam kartkę do niego, potrzeba, ażebyś je miał.

— Ale ja...—oburzył się Zaklika.

— Nie dla siebie, dla mnie trzeba, byś ty je miał. Spojrzała nań: skłonił głowę posłuszny.

— Najprzód idź, spróbuj, pytaj, czy cię puszczają; zdradź mnie: mów, że mi służyć nie chcesz, aby ci dali wiarę. Zrób, co chcesz. Na persiach nosisz mój skarb i poniesiesz go: ja ci go powierzam. Rozumiesz mnie. Zakliko?

Podawała mu rękę drżącą.

— Jednemu tobie wierzę! w tobie jednym ludzka dusza mieszkała. Nie zdradź mnie ty ostatni.

— Ja? oburzył się Zaklika, i oczy mu tak dziko błysnęły, że się Cosel cofnęła. — Ja? — powtórzy. i wstrząsł się. — Umrzeć mogę, ale zdradzić?

— Więc trzeba, żebyś ty był wolnym, bez podejrzenia wolnym... Idź.

Nie można było mówić długo, Rajmund wyszedł: nazajutrz go pół dnia nie było. Powrócił wieczorem, prowadząc z sobą najętego sługę i dziękował za służbę.

Cosel miała siłę odegrać scenę gniewu i wyrzutów, bo gospodarz i gospodyni słuchali pode drzwiami.

Odprawę odłożono do rana, Zaklika poszedł na miasto. Wielka miłość dla tej pani, której życie był oddał, uczyła go tego, co najmniej umiał: chytrości. Poszedł do urzędu, wzywając rady i pomocy, mówił, że chciał się uwolnić, że się urodził polskim szlachcicem i nikt go wstrzymywać nie ma prawa.

Na to rozśmiał się pruski urzędnik, który wiedział, ile szlachty polskiej pochwytywanej na granicach chodziło pod karabinami pruskiemi, ale mu nie powiedział nic. Może gdyby nie blada twarz i schudzenie, byłby mu dla wzrostu i siły zaciąg do olbrzymów zwiastował; lecz Zaklika nędznie wyglądał, a odkarmić człowieka zbyt było może kosztownem. Tu się i z tem rachowano.

Puścić go więc się nie wahano i Zaklika konia kupował na targu. Wrócił jeszcze raz do Cosel, ale już go nie podsłuchiowano, wiedząc, że się kłóci ze swoją panią, i że ją opuszcza.

— Jedź do Drezna — powiedziała Cosel, — głos wszędzie, żeś mnie porzucił i czekaj. Lehmann da ci pieniądze, trzymaj je w złocie, miej wpogotowi. Usłyszysz, co się ze mną stanie. Jeśli będę wolną, przybądź do mnie, jeśli będę uwięzioną, ratuj. Jeślibyś ściągnął podejrzenie, a pochwycią cię miano, papier, który masz przy sobie zedrzyj, połknij, ale go nie daj nikomu. Nie niszcz go póty, póki iskierkę będziesz miał nadziei, że siebie i skarb mój ocalić możesz. W ostatniej godzinie — dodała, brwi

marszcząc chmurno — zniszcz, niech zginie, jak ja ginę; ale niech oni wiedzą o tem, niech jak groźba i postrach wisi nad nimi, niech się lękają odkrycia: niech...

Słów i tchu jej zabrakło, podała mu rękę, którą Zaklika, przyklękawszy, całował długo i płakał, ale nie wyrzekł i słowa.

Gdy dłoń tę od łez jego mokrą wyrwała Cosel, załamała ręce i zawołała:

— Są jeszcze ludzie i serca...

Zaklika jak pijany, jak nieprzytomny wytoczył się z tego domu, którego drzwi się za nim zamknęły.

Nazajutrz przybywający van Tinen znalazł ją weselszą, spokojniejszą, więcej zrezygnowaną.

Zdawało mu się, że namyśliwszy się, może zwróci to przyrzeczenie, że się sama zlituje nad sobą; ale wprędce postrzegł, że się mylił tłumacząc tak jej uspokojenie. Cosel powiedziała mu, gdy wchodził:

— Mój panie van Tinen, jakże mi ciebie żal, nie będziesz w łaskach u króla, nie pokocha cię; pocziwy mój kuzyn Löwendahl, nie upoi Flemming i nie dostaniesz ani tysiąca talarów! Ja jestem taka uparta, bezrozumna, szalona! nieprawdaż?

— Więc wszystkie moje starania daremne?

— Tak, mój kochany panie van Tinen—dodała, pierścień z palca zdejmując—żał mi cię, niefortunny bogów posłańcze, chciałabym, żebyś choć mej dobrej woli miał pamiątkę: przyjm ten perścień. Świecił on tym szmaragdem lepszym życia mojego go-dzinom; nie zdał mi się dziś na nic! Przestał być pamiątką miłą, bolał mnie jak rana na ręku. Weźmij go, proszę.

Van Tinen przyjął pierścień w milczeniu. Jeszcze próbował ją skłonić, jeszcze chciał mówić, Cosel się rozśmiała dziko.

— Oszczędźże sobie pracy a mnie nudy, mój kochany van Tinen; wiem co do słowa, co mi powiedzieć możesz, ale słowa te odbite od mojego uporu próżne się toczą po ziemi. Al dosyć tego już, dosyć, niech się spełni przeznaczenie.

Jeszcze raz na wyjezdnem przyszedł ów poseł z dosyć smutną twarzą, ale już ani nagłać, ani namawiając. Cosel zdziwioną była jego powrotem.

— Żal mi pani—rzekł,—tak serdecznie mi żal pani; nie mogę przewidzieć, jaki los ją spotka; lecz...

— Wiem, że zawsze być musi smutnym dla mnie—odezwiała się Cosel—ale to bynajmniej mojego postanowienia nie zmienia. Królewskiej ręki przyrzeczenia danego mi nie zwrócę. Wolno mu było dać to uroczyste poręczenie lub nie lecz je cofnąć, królowi? słowo? dane kobiecie! oszukać ją! Ja tego nawet przypuścić nie mogę. Nie, taki Flemming lub podły Löwendahl może bez wiedzy króla chcieć je wyzyskać, aby mu je rzucić pod nogi i kazać sobie zapłacić za nie; król tego żądać ode mnie nie może. To nie jego wola.

Odwróciła się i wyszła. Tegoż dnia van Tinen odjechał.

Dziwne uczucie wioził z sobą: pierwszy raz wysłany spełniał swój obowiązek z zimną krwią i obojętnością dyplomaty, powoli stałość tej kobiety, męstwo, wytrwanie, charakter jej, robiły na nim wrażenie coraz większe, tak że zachwiał się, zawstydził roli, którą grał; litość, wstyd ogarnęły nim: czuł się upokorzonym.

Wracał, gniewając się więcej na tych co go posłali, niż na tę nieszczęśliwą, co go odprawiła z takim niezachwianem męstwem w obronie honoru.

Przybywszy do Drezna, van Tinen miał czas spocząć; dwór cały gotował się znowu na wielką

uroczystość, która się miała nazajutrz odbyć w Moritzburgu; nie wezwano go więc, aby się stawił, bo wszyscy czem innem byli zajęci, a on sam wcale się z raportem z podróży nie śpieszył. Rad był, że w ten sposób przedłuży przynajmniej niepewność co do losu Cosel, który przewidywał gorszym jeszcze, niż był obecny.

Moritzburg właśnie od niedawna, wśród lasów opodal otaczających Drezno, na wspaniałym stawie wzniesiony był dla spoczynku po łowach. Prześlicznie wśród głuchych ostępów i gęstych ścian starodrzewu wydawał się ten zameczek ze swemi wieżyczkami. Całe ówczesne towarzystwo, przy królu bawiące, zaproszone było na tę gospodę narodów czterech części świata. Mnóstwo cudzoziemców, a z dawnych króla przyjaciółek księżna Teschen, hrabina Königsmarck, obok Denhoffowej i Pociowej, seraj cały.

Placem zabawy był rodzaj wału usypanego umyślnie nad wielkim stawem, na którym wzniesiono naprędce sale i gabinety połączone z sobą galerjami i całe strojne w gałęzie i wieńce zielone. Wśród stawu miały się odbywać wyścigi wodne, regaty na gondolach sprowadzonych z Wenecji i czółnach holenderskich, dokoła zaś napędzony zwierz dostarczał dla myśliwców zabawy, bo go ścigano, pędzono, szczuto i strzelano aż na stawie.

Tyle się osób zebrało na tę uroczystość, że wszystkie pokoje zamku, zabudowania, namioty rozbite nad stawem, dwa rzędy baraków wystawionych naprędce, nie starczyły na pomieszczenie i powozy służyć musiały za gospody na nocleg, a inni spali pod gołym niebem wśród drzew... i nazajutrz rano, że niekażdy się kładł bardzo trzeźwym, peruk, szpad i trzewików, po lesie i krzakach szukać musiano.

Van Tinen wmieszał się w tłum, błądził od budy do budy; jakoś ta cała zabawa i wesołość dziać mu się wydała. Król, który tu sam gospodarzył, niezwykająnością widoku zadowolony był i wesoły. Nigdy dla dymisjowanych swych amatorów nie był bardziej uprzejmym i czułym. Denhoffowa płonęła z zazdrości, gdy mówił z księżną Teschen, Königsmarck pogardliwem okiem rzuciła na Denhoffową, gdy król jej czynił honory jarmarku.

August cały był zajęty swem dziełem, iluminacją, wspaniałością fety, którą wydał, i nie spoczął, aż gdy skończywszy po północy wykonanie programu, siadł z dobrymi przyjaciółmi do puharów i toastów.

Tu przykom puszczo no wodze, a Flemming, Vitzthum, Friesen mogli mówić dowoli, nawet o tych paniach, dla których August przed chwilą okazywał największe uwielbienie.

Przebrano wszystkie intryki dworskie i skandaliczne historyjki, o których król lepiej wiedział od innych.

Löwendahl siedział także w końcu stołu.

— Zdaje mi się, że tego gładysza van Tinena dziś tu widział—rzekł król z przekąsem.

— Wrócił z Ilali—odparł marszałek kwaśno, spoglądając na króla, który wstał i poszedł z nim w pustą kąt sali.

— Van Tinen był wysłany do Cosel? cóż przywiózł?

— Co zwykle od niej wszyscy—zamruczał Löwendahl—nikomu jej nie żał tyle co mnie, lecz z uporem tym niema ratunku.

— Trzeba było wzamian za to pismo ofiarować jej swobodę i, coby chciała!

— Powiada, że go za nic nie sprzeda.

August się zmarszczył.

— Przecież raz skończyć to potrzeba — dodał Löwendahl.

— Tak, jutro list wystosować do króla jego mości pruskiego, prosząc o wydanie hrabiny — dokończył król, — co dalej ma się zrobić, zobaczymy.

— A tymczasowo dokąd się jej Najjaśniejszy Pan udać każe?

— Niech ją zawiozą na zamek Nossen... namyśli się tam może. Nie mogę ścierpieć tej zuchwale wypowiedzianej mi wojny. Dosyć już tego. Głowę mi nią obija Denhoffowa: wiecznie o tem słyszę. Dać mi z tem pokój raz przecie!

Te słowa królewskie, wyrzeczone w zniecierpliwieniu i pod wrażeniem rozkołysanej zabawami wyobraźni, podchwyczone i nazajutrz zaraz były wypotrzebowane. Przypomniał je Flemming Augustowi.

W liście do króla pruskiego żądając wydania hrabiny, położono za powód nietylko jej śmiałe przeciw Augustowi mowy, ale oskarżenie o spisek na jego życie.

Odgróзки publiczne mogły to poniekąd usprawiedliwić.

List wyprawiono przez kurjera do Berlina.

Król Fryderyk ani chwili się nie wahał; przywołano z jego rozkazu porucznika Ducharmoi z pułku księcia Anhalt-Dessau.

— Udasz się, waćpan, do Halli — odezwał się król do niego, — znajdziesz tam hrabinę Cosel. Weźmiesz ją pod straż, na swą odpowiedzialność i odprowadzisz do granicy saskiej... tam oddasz ją w ręce oficera, który waćpana pokwituje.

Ducharmoi, młody człowiek, ale nawykły do karności wojskowej, choć mu ta rola wydała się nader przykrą, natychmiast udał się do Halli. Stawwszy tu bardzo rano, przez uczucie delikatności nie śpieszył tak bardzo z pochwytem pani Co-

sel. Przeszedł się parę razy pod jej oknami dla upewnienia, że mu nie uszła; zobaczył ją i tem się uczuł skłónniejszym do postępowania z jak największą delikatnością. Około południa wszedł do domu, który Cosel zajmowała, i kazał się jej oszajmnić.

Jakkolwiek hrabina przygotowana była do takiego końca, widok wojkowego okrył twarz jej błądoscą. Ducharmoi, skłoniwszy się, oświadczył, że ma rozkaz króla towarzyszenia jej do granicy, gdzie zostanie oddana władzom saskim.

Jak piorunem rażona stała hrabina przez chwilę.

— Co za niesprawiedliwość! co za barbarzyństwo! — zawołała i strumień łez puścił się jej z oczów.

Od tej chwili nie wyrzekła już ani słowa.

Kazano zaprzęgać powozy, zniesiono rzeczy; Ducharmoi podał jej rękę; zeszła machinalnie, posłusznie, nie patrząc na nic i na nikogo, rzuciła się w głąb powozu. Ruszyły konie, oddział jazdy pruskiej towarzyszył z porucznikiem na czele. Przez cały czas podróży do samej granicy nie dała znaku życia. Powóz się wreszcie zatrzymał; hrabina drgnęła; przez okna jego zobaczyła znane sobie mundury saskie i oddział, któremu wydana być miała. W tej chwili przywołała do siebie pana Ducharmoi, który się zbliżył do karety.

Gorączkowo zaczęła szukać po kieszeniach i dobywać, co miała kosztowniejszego przy sobie. Znalazła złote pudełeczko i piękny kameryzowany zegarek; oboje podała oficerowi.

— Weź to na pamiątkę ode mnie.

Ducharmoi się wzdragał.

— Proszę pana, błagam, weź — podała — niech to się nie stanie lupem tych obrzydłych Sasów.

Wypróżniała woreczek z pieniędzmi, przeznaczając je dla pruskich żołnierzy. Potem znowu rzuciła się w głąb powozu, zapuściła firanki i nie spytała

nawet, ani dokąd ją wieźć, ani co z nią uczynić miano.

VIII

Z dawnej służby, która ją otaczała, nie pozostawiono przy hrabinie nikogo: kobiety obce, twarze nieznane ją otaczały. Obejście się wprowadzie było dosyć łagodne i pierwsze życia potrzeby zaspokojone; lecz od chwili, gdy ją w ręce saskich żołnierzy oddano, niewola stała się widoczną... czuć ją było na każdym kroku. Noc tylko przebyła hrabina Cosel w Lipsku.

Rano urzędnik w peruce, przy szpadce, milczący wykonawca z wysoka płynących rozkazów, wszedł do pokoju, w którym noc we łzach i miotaniu się bezsilnem spędziła. Niósł z sobą rozkaz na piśmie od króla, zabrania i przejrzenia wszystkiego, co hrabina miała z sobą.

Spojrzała nań okiem pogardliwem, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę. Zabrano i opieczętowano szkatułki, papiery, kosztowności, przerzucano kufry, przebrano suknie, szukając tego, czego znaleźć nikt nie mógł. Upokarzające to przetrząsanie trwało godzin kilka, ocalało od niego ledwie to, co hrabina miała przy sobie i na sobie.

Gdy urzędnik miał już odchodzić, cisnęła mu jeszcze garść pieniędzy i kilka pierścieni w oczy Cosel, i tak milcząca, jak była w czasie ohydneho zaboru tego, co się zwało jej własnością, odwróciła się wzgardliwie.

Któż potrafi odmalować stan duszy kobiety dumnej, namiętnej, czującej się niewinną, a prześladowanej z zinnem i obrachowanem okrucieństwem? Naprzemian łzy i gniewy, to omdlenie i do szału podobne obłąkanie, śmiech dziki, obudzały nawet w sługach politowanie nad nieszczęśliwą...

Zaledwie dawszy jej spocząć chwilę, kazano znów siadać do powozu... dokąd? nie mówił nik

Oddział żołnierzy na koniach otaczał karete. jechali do wieczora, pędząc szybko. Na niebie rozognionem po słońca zachodzie, pokazały się mury zamku, wieże i powóz przez ciemną bramę wjechał w podwórze.

Cosel podniosła oczy. Miejsce jej zupełnie było nieznane. Zamek zdawał się pusty i dawno niezamieszany. Kilku ludzi oczekiwało u drzwi do niego wiodących. Sługi musiały prowadzić osłabłą po schodach wąskich, który wiodły na pierwsze piętro. W kilku sklepionych izbach znać było pewne przygotowanie dla jej przyjęcia. Były to stare mieszkania z oknami wąskimi, z ogromnymi kominy, z grubymi mury, odarte, bez ozdób żadnych, ledwie w sprzęt opatrzone a więzienny mające pozór.

Cosel rzuciła się na łóżko znękana.

Noc przeszła bez snu, w strasznych marzeniach które rodzi niewola. Miało się na brzask i niebopochmurne rumienilo się na wschodzie, sługi spały jeszcze... w korytarzu słyhać było chodzącą straszną tylko, gdy Cosel wstała i pobiegła do okna, które głęboko we framudze osadzone, dzienny blask przez szyby w ołów oprawne przepuszczało.

Widok z tego okna nie mógł jej nic w życiu wdzianego przypomnieć. Przed jej oczyma rozciągała się równina, daleko lecąca ku sinym lasom na widnokręgu. Wśród niej gdzie niegdzie sterczała kupka drzew, widać było dachy i z za zieleni słupem wspinał się dym ludzkich ognisk ku niebu. Pustota i cicho było dokoła.

Zamek stał na górze, która urwisto spuszczała się ku małej osadzie. Dołem szedł gościniec, szladowany karłowatemi wierzbami. Na gościńcu nikogo tylko z głowy spuszczonej, porykując, szło stado

łków ku pastwiskom i pastuszek obdarty je pogalał.

Okolica była nieznana.

Z sypialni, w której noc spędziła, cichemi rokami weszła Cosel do drugiej obszerniejszej komnaty.

W środku jej stał stół dębowy, przy ścianach dwie ławy i kilka stołków, na murze dwa stare, bapylone, dziko patrzące wizerunki...

Nad kominem obty, starty, widny był herb jakiś w kamieniu kuty, z którego tylko została tarcza i helmy. Za tą komnatą sklepioną, jak pierwsza, była jeszcze kragła izdebka w wieżycy z oknem na drugą zamku stronę. Tędy widać było lasy i wzgórza i osady, i znowu inny kraj nieznany, wśród którego na górach jeszcze parę gniazd rycerskich sterczało.

W kragłej baszcie było nieco sprzętu... pusta szafa w murze, a na jednej jej półce, rzucona niegdyś, niepodjęta przez nikogo, wałała się stara biblia poszarpana, rozsypana, pogryziona przez myszy i warstwą pyłu okryta.

Cosel schwyciła ją chciwie, ale księga z rąk jej się wysliznęła i kartami luźnymi rozproszyła po podłodze.

Z izby drugie drzwiczki żelazne, zaryglowane starannie, wiodły już gdzieś w tajemnicze ciche mury zamczyska, w którym głosu życia ludzkiego słyhać nie było.

Dzień się robił. Jaskółki latały koło okien, zwiłajac się u gniazd swoich. Cosel wróciła do sypialni. Kobiety już się były pobudziły, ofiarując swe usługi. Ona ich nie potrzebowała. Głód zaspokoiwszy trochę ciepłego napoju, który polknęła, sama nie wiedząc co bierze, poszła do okna. We framudze kamienna ława pozwalała usiąść i patrzeć w świat,

choć na tym świecie nie było nic, tylko szersze pole pastw i trochę zieleni.

Cosel zwróciła oczy na drogę.

Drogą sunęły się w pole wozy i szli ludzie, pędzono stada; potem tuman kurzu leciał po niej wirując, i osiadał gdzieś daleko zmęczony.

Godziny szły niepolicone. W południe zastawiono jadło. Jedna z kobiet namawiała do stołu. Cosel poszła i, patrząc na swój obiad więzienny, rozplakała się.

Imne były owe biesiady, gdy przyjmowała królów u siebie, klękających przed jej czarnemi oczyma. Oczy te nie zgasiły, ale szczęście jak mara szyderska pierzchnęło... I znowu Cosel szła do okna i znowu patrzyła na drogę, nie przyznawała się sama przed sobą do tej nadziei, że na gościńcu kogoś zobaczyć miała. Wierzyła, że Zaklika szukać jej będzie.

Ale tego dnia i następnego na gościńcu nie zobaczyła nikogo oprócz trzód, pastuszków i wozów. Nikt ku zamkowi nie podniósł oczów. Od okna chodziła do okna: dookoła dziko było i pusto. Wieczorem odarty dzieciak zbierał ziele pod murem. Hrabina rzuciła mu ocalony jakiś pieniądz i, wychyliwszy się, zapytała cichym głosem, jak się zamek nazywa? Dzieciak nie zrozumiał, nierychło się zebrał na odpowiedź; nieśmiało przebaknął: „Nossen!...” i umknął przerażony.

— Imię nawet niedobrze było jej znane. Parę razy przypadkiem niegdyś obito się o jej uszy. Wiedziała teraz, że była w okolicy Drezna i Meissen. Ona, co uwolniła Beichlinga, jego braci i współwinnych, co osładzała los Böttigera, teraz sama przyszła do gorszej niż oni niewoli.

A z niewoli tej nie było w świecie człowieka, co by ją chciał lub mógł uwolnić. Przeszedł jej umysł

wu przez myśl Zaklika, ale cóż on mógł jeden przeciw murom, strażom i królowi?

Tak trzeciego popołudnia zadumana spoglądała w dziedzińce, gdy na drodze spostrzegła jeźdźca. Jechał zwolna od strony Drezna.

Koniowi cugle puścił, rozglądał się ciekawie po okolicy; podniósł głowę ku zamkowi: zdawało się, że jeszcze umyślnie zwoinił kroku, czegoś tu szukał oczyma. Opończę miał na sobie szarą; twarz żółta, wychudła przypomniła wiernego sługę: zadrzała i poczęła białą dawać znaki chustką.

Jeździec dobył podobnej i, ocierając nią niby opylone czoło, dał też znak, iż spostrzegł ją. Było to w istocie Zaklika. Z postawy, ruchu, choć wdał się poznać go mogła. Serce jej silniej uderzyło. Ten przynajmniej człowiek jeden o niej pamiętał... ten jeszcze mógł ją ocalić.

Jadący drogą powoli się tak przesunął, oglądając na zamczysko, i znikł za obrywem góry.

Zaklika siedział zrazu kilka dni w Halli i czekał. Nie ruszał się stąd, ażeby mógł w ślad puścić się za hrabiną, wreszcie mu Prusacy precz jechać kazali. Namysłiwszy się więc, przebrawszy, ruszył do Drezna. Tu udał się wprost do Lehmann'a.

Bankier przyjął go widocznie przestraszony, blade; drzwi pozamykał i na przód pytać zaczął, czy go kto nie widział. Upewniony, iż z nikim w Dreźnie ani się spotkał, ani mówił, że rzekomo służbę porzucił, Lehmann dopiero odetchnął. Długo jednak nie przyszedł do słowa, a gdy mówić zaczął, zdawało się, iż szmeru własnej mowy się lęka.

— Wy nic nie wiecie — rzekł — kto to uczynił, trudno zgadnąć; powoli do tego przyjść musiało zapewne, ale dziś już miary jej nieszczęściu nie będzie. Król w gniewie, a królewski gniew zimny, odowaty, straszny. Gdy król zły jest tylko, prze-

chodzi na to przedko; gdy obrażony zawoła się, nieubłagany jest. Cosel zgubiona!

Zaklika słuchał tylko.

— Tak, Cosel jest zgubiona — mówił Lehmann — gdy król komu złe wyrządzi raz, już go ścigać będzie i nie dopuści do oczu swoich. Cosel mu odmówiła oddania przyrzeczenia, jakie jej dał. Ona go nie zwróci, on jej nie przebaczy. Rozkazano zabrać jej wszystko. Löwendahlowi poruczono szukać wszelkiego jej mienia, pieniędzy, klejnotów, summ. Pillnitz zabrano na skarb, inne dobra także. Król sam polecił szukać i spisać co było, aby, jak mówi, ocalić to dla jej dzieci i wyrwać jej z rąk środki pomsty i ucieczki.

Lehmann się zbliżył do Zakliki.

— Ode mnie też odebrano wszystko. Król przysłał, sprzeciwić się niepodobna: książki świadczyły.

— Jakto? wszystko! jużcić nie tę zatajoną sumę, którą mi hrabina u was odebrać poleciła?

To mówiąc, dobył zaszytą w rękawie kartkę: bankier wziął ją rękoma drżącemi.

— A wiesz ty — spytał — coby było nam dwom, gdyby tę kartkę i tę sumę odkryto? Poszedlibym do Königsteinu, a moje dzieci z torbami, Flemming, Löwendahl i inni chwyciliby radzi zrzeczność zajrzenia do mojej skrzyni żelaznej.

I ręce mu drżały.

— Więc i tę sumę im wydałeś? — zapytał zrozpaczony Zaklika, łamiąc ręce.

Lehmann patrzył nań długo, zdawał się walczyć z sobą.

— Słuchaj — rzekł, — przysiąż mi najprzód na to, co masz najświętszego, że mnie, choćby ci życie wydrzeć chciano, nie zdradzisz...

Z szuflady biurka Lehmann wydobył zastawiony u niego przez księżnę Teschen krzyż brylantowy.

— Przysięż mi na to — zawołał.

Zaklika ujął w ręce krzyż, podniósł palce do góry i zimno rzekł:

— Przysięgam. — Złożył potem krzyż do szuflady i dodał: — ode mnie ci nie trzeba było przysięgi, dość szlacheckiego słowa. Nie zdradził Zaklika nikogo i nie zdradzi.

Chmurno nawisła mu brew.

Lehmann patrzył nań a biały był aż do warg, które mu zastygły ze strachu.

— A jeśli u ciebie znajdują pieniądze, gdy cię złapią?

— Najprzód, pieniądze własne mieć mogę, choćby i od tych znaczniejsze; potem i hrabina mi je też dać mogła.

— Ale cokolwiek ona miała, to dziś fiscus zabiera; nawet podarki od niej, nawet powierzone klejnoty, cokolwiek należało do niej kiedy.

— Ja-m nigdy nic nie miał i u mnie szukać nie mogą. Dasz mi te pieniądze?

Lehman się zawahał jeszcze.

— Mogę być nieszczęśliwym przez ciebie, ja i dzieci moje; ale niech nie mam na sumieniu, żem nie ratował w nieszczęściu. Bóg jest jeden i nieszczęśliwi u Niego wszyscy równi.

Otworzył kufer żelazny, dobył worek i zaczął liczyć na stole pieniądze. Odetchnął Zaklika i otarł pot z czoła. Spalone wargi szukały napoju: znalazł wodę i wypił całą karafkę; potem siadł zadumany w końcu stołu, oparł się na łokciu i ze zmęczenia usnął.

Gdy Lehmann zajęty liczeniem zwrócił się ku niemu i zobaczył go uśpionym, zrozumiał dopiero, co ten człowiek milczący przecierpieć musiał, gdy w tej chwili pierwszej uspokojenia zdjąć go mógł taki sen nagły mimo woli i wiedzy.

Na pałacach przeszedł do drugiego krzesła Izraelita i usiadł, czekając niecierpliwie, aż się obudzi. Pragnął on bardzo, aby to jak najprędzej nadeszło, gdyż mimo litości nad człowiekiem, lękał się go dłużej mieć w swoim domu.

Zaklika, który padł ze znużenia, ale w którym dusza czuwała niespokojna, rozbudził się prędko i prawie przestraszony porwał się z siedzenia. Przetarł oczy: wstyd mu było, że się tak słabym okazał.

Rzucił okiem na pieniądze, pocichu zagarnął je do trzosa, w którym miał trochę swojego grosza i w milczeniu opasał się nim pod suknią.

Lehmann czekał, nic nie mówiąc. Gdy wziął za czapkę Zaklika, bankier się zbliżył do niego i rękę mu położył na ramieniu.

— Bogu tylko jednemu wiadomo, czy się kiedy jeszcze zobaczymy — rzekł, — żał mi was szczerze, ale jak od pocziwego czynu hamować? Widziałeś, żem się lękał, nie mniej mnie za złego człowieka mam dzieci, a dla nich żyję. Teraz przy rozstaniu nie odmów mi jednej rzeczy, ale posłuchaj wprzód. Miałem hrabiny summy znaczne i długo, w naszych rękach pieniądze się mnoży. Rachunki nasze skończone, popłaciłem wszystko, przecież w takim nieszczęściu człowiek rachować powinien inaczej: weź jeszcze to dla siebie czy dla niej i z Bogiem idź!

Wyciągnął woreczek, który trzymał ukryty pod suknią, milcząc, prawie gwałtem mu go wcisnął do ręki i dodał:

— Nie byłeś u mnie, nie znasz mnie: ja ciebie nie znam.

— To dla niej — rzekł Zaklika, ściskając go za rękę.

— Wyjdź ogrodem, a prędzej — dodał Izraelita.

Bał się, nadto będąc znajomym, pokazać w mieście Rajmund, ażby nie obmyślił, co miał czynić.

Na przedmieściu, nad Elbą zostawił był konia. Stał tam jeszcze wówczas nie jeden domek Wendów, którzy dawniej po całym byli Dreznie rozsiani, choć z nich dziś nie zostało nic. Za owych czasów gdy przy dworze wisiał, jak mówił, Zaklika, nie mając co robić, włóczył się często po przedmieściach: tu go uderzyła mowa do jego własnej podobna. Słuchał długo rozmawiających z sobą Serbów tutejszych i językiem swym zabrał z nimi znajomość. Rybak, z którym się najpierw poznał, zwał się Hawlik, zaprowadził go do swojego ubożego domu i tak zawiązała się między nimi przyjaźń, która w trwałą przeszła.

Hawlik był katolikiem, Zaklika mu dzieckotrzymał do chrztu i pokumawszy się z nim, polubił prostych ludzi. Rodzina była dosyć biedna. Niegdyś mieli tu oni spory pas ziemi, ale im się nie wiodło; z każdego ich nieszczęścia jakiś Niemiec skorzystał: sprzedawali tak kawałami ojcowiznę, aż mało co jej zostało.

Grunt Hawlika przypierał do brzegu rzeki, a ciągnął się ogrodem aż na wyniosły jej brzeg, ale mało z tej piaszczystej ziemi było pożytku. Hawlik też rolnikiem nie był, wołał stawiać więcierze, iść z niewodem lub z wędką. Czasem się też poszczęściło na ryby. Życie było ubogie, smutne; lecz się wlokło jakoś z końca w koniec roku.

Zaklika przychodził dawniej do nich często, siadał z nimi pod chatą wieczorami i tak rozmawiali długo o swej biedzie. Wend lepsze czasy pamiętał:

— Wszystko to wokół było nasze, — mówił — ale różnymi sposobami wyżegli nas z ojcowizny; teraz się swoim językiem odezwają strasznie, a wkrótce nas nie będzie, chyba na cmentarzu szukać; albo trzeba zostać, czemu nas Bóg nie stworzył, lub wy-

mierać. Po miastach nas nie dopuszczą do niczego, dość, by kto Wendem był, aby go popchnię. Maleje liczba nasza, widzimy jak giniemy, a nie na to ratunku. Znać Bóg skazał na bezpotomny zg

A gdy się im z serca wyrwała ich stara pi serbska, nie wazyli się jej nucić, chyba po no i pocichu i dzieci się jej uczyły ukradkiem.

U Hawlików stawał Zaklika, ilekroć mu trze było niewidzialnemu być w mieście, dla konia chlew, choć niepokazny, dla niego posłanie na gce, i misa kaszy na wieczrę i szklanka piwa, serca pocziwe i dłonie serdeczne.

I teraz u nich gościł, radzi mu byli. Nigdy o nic nie pytali, ani co robił, ani poco przyb tylko czy mu się na świecie wiodło, choć z twa widzieli, że nie bardzo.

Poszedł do nich nocować Zaklika i z myślą się biedzić. Nie wiedział, czy mu bezpiecznie tu pokazać, aby języka dostać, i czy go albo uwiężą lub nie zatrzymają. Rankiem nazajutrz ostrze nie się zakapturzywszy, poszedł mostem naprze Narrenhausu. Tak mu się zdało, iż Fröhlicha spikawszy, najbezpieczniej się od niego coś dowiedzieć potrafi. Stary Fröhlich o swej godzinie sz lub jechał zawsze, na zamku pełnić służbę, kt się zaczynała od śniadania. Można było być ponym, że się go u mostu o dziewiątej spotka. Większego bezpieczeństwa Zaklika usiadł na schkach domu Fröhlicha, aby go minąć nie mógł. Ja o godzinie naznaczonej stary trefniś ze swym czastym kapeluszem i srebrnym kluczem był u drzwi. Zobaczywszy siedzącego, począł go nogą trą nie poznając.

— Hej, mości panie! jakże mam nazywać? nój dom bierzecie za gospodę?

Zaklika się odwrócił i nim go poznał.

— Co się to z was zrobiło, mości Ungliuku? —
wołał — wyglądasz, jakbyś się ożenił! Hę?

— Powracam z podróży.

— Katolik! prawda? to chyba z czyścica?

— Włóczyłem się po świecie — odparł Zaklika;
— co się tu u was dzieje?

— Co? chcesz, żebym ja ci historjografem był
go, czego na wołowej skórze nie spisać? — roze-
niał się Fröhlich. — Co się u nas dzieje? dobryś!
pytaj, co się u nas nie dzieje?

Chwycił się za głowę.

— Nie wiecie, co się z moją dawną panią stało?...
— zapytał Zaklika.

— Ani nawet kto była twoja dawna pani.

— Hrabina Cosel.

Fröhlich obejrzał się i palec położył na ustach.

— Cyt! na Bogal któż to imię wspomina? przy-
rólu tego imienia wymówić nie można. Śmiać się
ema z czego, a ty wiesz, że ja śmiechem żyję
pewnie umrę ze śmiechu*).

— Ale powiedzże mi choć, co się z nią stało?

— Jakto? ty nie nie wiesz? gdzieżeś był?

— Daleko...

— Myślę, że i daleko o tem mówić muszą. Ta,
której niewoli był pan nasz lat ośm, jest pono
niewoli u niego... i potrwa dłużej jej niewola
ż panowanie trwało.

— A gdzież jest? — zapytał Zaklika.

— Mówią, że siedzi gdzieś na zamku w Nossen,
e dla niej pewnie co paradniejszego zbudują —
żeśmiał się Fröhlich z nałogu a smutnie. -- Nie!
el nie chciałbym być kobietą. Prawdę rzekłszy
mężczyzną być nie dobrze... a ci śpiewacy włoscy,

* Fröhlich ist tobie ze śmiechu umierł w Warszawie, ob.
Pobaa.

co są nijakiego rodzaju, mówią, że im też na świecie niekoniecznie wyśmienie — paplał Fröhlich — gdybym miał do wyboru, chciałbym być... osłem. Mięsa osłego nie jedzą, skóra gruba od kija broni, a gdy długouchy arję śpiewa, wszyscy uciekają i spokojni: dodaj, że apetyt niewymyślny i stara miotła żywić się umie. Możesz być szczęśliwszą istotą?

— Nossen! Nossen! — powtarzał zamyślony Zaklika, zapomniawszy o trefnisia.

— Ja o osła a ty o Nossen! co ci po tem Nossen! nie gadajmy o smutnych rzeczach: bądź zdrow!

Fröhlich, włożywszy urzędowy swój uśmiech na usta, poszedł. Zaklika został.

Łatwo mu było od Hawlików dowiedzieć się o zamku i drodze do niego i tegoż dnia, nie pokazując się nikomu, ruszył ponad Elbą wskazanym mu gościńcem.

Uradowało go to, że właśnie przybywającego zobaczyła zaraz Cosel; domyślił się jej po białej chustce, a czuł, że jej z sobą pociechę przyniesie.

W gospodzie konia postawiwszy, że tu już sami siedzieli Niemcy, Zaklika handlarza grał rolę i skórę pytał. Tak się rozgościł pod „Złotą podkową“, a niby za towarem chodząc, miał czas powoli zamek oglądać.

Były to opuszczone mury, straż przy Cosel z kilku ledwie składała się ludzi. Nie wpuszczano tam nikogo, ale pilności zbytniej nie było. Okna od mieszkania wysoko stały w murach, nikomu na myśl nie przyszło, aby niemi uciekać można; to też i straż żadnej u okien nie spostrzegł Zaklika. Żołnierze fajki palili w podwórzu i na korytarzach u drzwi hrabiny.

Od tyłów zamku podejść nawet pod okna było

łatwo, ale że góra była lysa, zewsząd widna, z gościńca mogli ludzie dopatrzeć i wydać.

Ażeby mieć pozór do dłuższego pobytu, drugiej nocy stękać zaczął Zaklika, że zachorzał i po kościach mu łamało, że pilno mu było w dalszą drogę, a tu może spoczywać przyjdzie, póki się nie wyleże.

Gospodarz z pod Złotej Podkowy wcale się nie gniewał za to, mając do żywienia konia i człowieka; owszem, znajdował, iż ostrożność radziła dobrze się wyleżeć i wypocząć, azby łamanie i darcie odeszło, ku czemu sadło niedźwiedzie w pomoc ofiarował.

Przy wieczerzy już się też rozgadać było można z panem Wuischem, który trzymał gospodę. Zaklika tak się był po sasku wyuczył, że go po wymowie ani było poznać. Szepnął mu zaraz gospodarz, iż na zamek tę panią przywieźli, która na życie króla godziła. Od niego dowiedział się też Rajmund, ilu stało żołnierzy na warcie w zamku i jakie przedsiębrano ostrożności. Dwie kobiety, starsza ochmi-strzyni i garderobiana, a oprócz tego kucharz i chłopiec składali teraz cały dwór tej pani, której wprzód y zlocista ciżba skinienia patrzała.

Prawiono dziwy o uwięzionej.

Zaklika został niepodejrzewany na drugi dzień, a że dał parę talarów gospodarzowi na zatargowane skóry, bezpieczniejszy już, poszedł z południa niby zamek oglądać i okolicę.

Od jednej strony, kędy były lasy i pusty gościniec, prawie niepostrzeżonemu przez zarośla i krzaki podkraść się było można pod mury. Z tej jednak strony czy wychodziło jakie okno mieszkania Cosel, nie wiedział i musiał to do dalszego zostawić badania.

Wieczorem wziął drugą porcję niedźwiedziego

sadła od gospodarza i położył się, myśląc, jak
mu zamydlę oczy, a pobyt w gospodzie przeciągnie

IX

Rano, gdy przy piwie grzanem siedział w izbie Zaklika, weszło trzech żołnierzy ze straży zamkowej na piwo też, z wielkim hałasem, bo dawniej żołnierstwo nie chodziło inaczej.

Zaklika w nich poznał zaraz dawniej widywanych na strażach u dworu, i jeden też z nich pilnie przypatrywać mu się zaczął.

— Hej! hej! — rzekł, spartszy się oburącz na stole — my bo gdzieś się znamy?

— Pewnie — odparł Zaklika — bom ci to ja dwukrotnie służył długo, pókim się do handlu nie rzuciłem, gdy mi ten chleb zbrzydł. Nierazem ja was też z straży u króla pana miłościwego widział.

— Al! toś ten, co łamiesz podkowyl! — zawołał żołnierz.

— Bywało to, bywało, żem i wołu za róg wsiadł, wszem, w miejscu osadził, ale teraz już i z bałwanem nie wiem czybym sztuki dokazał.

Żołnierz mu się skłonił, uśmiechając, i podpierał na stole. Zaklika o piwo dla niego zawołał: przyniesiemy już się zawiązała dobra...

— No! dostało się nam za pokutę — odezwał się żołnierz — na wartę do Nossen! koło kopyt spódnicy pilnować! Nudno, choć się powiesić! Znamy by choć byli dodali hrabinie z parą ładnych dzieł, czat, ale ochmistrzyni pięćdziesiąt lat, garderobiana ze czterdzieści. Nawet na tej pustyni nie o ochoty z niemi pobaraszkować.

— A długoż będziecie tu siedzieć?

— Któż to może wiedzieć? Już ze snu czuję, że wiek puchnie, bo niema co robić, tylko o mur pomyśleć i chrap...

-- W kartyby można grać -- rzekł Zaklika.

-- Z kim, o co? mało co przy nas grosza i ocho odpadła...

Ziewnął, pijąc piwo, znajomość pożyteczna została zrobiona. Gdy żołnierze po piwie szli do zamku, Zaklika, zagadawszy się niby, odprowadzać ich zaczął, coraz dalej, coraz dalej, aż do bramy, aż dziedziniec i tak nie postrzegłszy się, aż na kolarze się wsunął.

Reszta żołnierzy, biwakująca na słomie, nie zdziwiła się przybyszowi; owszem, radzi mu byli: siadł z nimi do gawędy i rozruszał znudzonych... Znałszy się karty, przegrał im parę talarów... Dopieroż byli radzi. Gdy odchodził, ciekawość go niby zięła zamek zobaczyć i tak jawnie się poszedł zejść pod mury, ani mu kto słowo rzekł. Oficer grał w miasteczku i grał na gitarze córce rzeźnika. Jednakże tego dnia więcej nad to dokazać mu nie udało.

Zaklika, chorując ciągle, targując skóry, marując, starał się wkraść do zamku: nie posadzano go wcale, jednakże trudności były wielkie, z samego położenia wynikające. Część zamku, w której osadzono hrabinę, przytykała do drugiej prawie takiej; mieścił się w niej oficer i stary murgrabia z rodziną, który zawiadywał ruiną. Przez żołnierzy trafił z nim zawiązać znajomość Rajmund i stał się go poznać bliżej. Człek był obarczony rodziną, chciwy i skąpy. Częstując go za swój grosz, wywiedziało się powoli, w którą stronę okna mieszkania hrabiny wychodziły i że drzwi żelazne od strony, od której miał klucze murgrabia, otwierały się na wielką salę, w której zdawna niepotrzebne rządowe papiery składano, mając kiedyś do zamku sądy i urzędy powiatowe przeprowadzić. Zaklika wielką okazywał ciekawość ku starym gmachom,

radby był zamek oglądać, ale na to stary dozorca
zaliczał. Innego dnia rozgadali się o hrabinie
a Polak usiłował ku niej zajęcie i litość obudzić
w murgrabim. Popatrzyli na siebie...

— Hrabinie — rzekł Zaklika — pozostało wielu
przyjaciół na dworze i są ludzie, co zapewniają
że kiedyś może jeszcze do władzy powrócić. Nie
dziwiłbym się, panie Herzog, gdyby który się tu
zjawił i waćpanu piękny grosz ofiarował za to, że
byś tylko chwilkę rozmowy z hrabiną ułatwił.

Spojrzał na starego Herzoga, który sobie dłoń
nią brodę gładził, mrużąc.

— Cóżbyście wy poczęli w takim razie? — za-
pytał Zaklika.

— Byłaby to djabelska pokusa — odparł stary —
zrobiłbym jak Luter: palnąłbym diabła w łeb ka-
łamarzem.

Ale stary się uśmiechał.

— A gdyby wam dano trzydzieści talarów? —
spytał Rajmund.

— I za talarów trzydzieści poszedłbym na
szubienicę — rozśmiał się Herzog. — Wielkim pa-
nom to się może upiec, gdy co podobnego zrobisz
ale chudych pacholków wiodą na rynek i po-
stryczek.

— Al nie takąż to wielka winowajczyni hrabi-
na, ani takby to wielka była wina dać jej pomo-
wić dwa słowa z przyjacielem... Takto się gada —
dodał Zaklika — aby się gadało; a no gdyby się
przyjaciel znalazł, dałby pewnie i pięćdziesiąt.

Herzog popatrzył wielkimi oczyma, usta jak d-
świstania ściągnął i brodę pogładził. Minę mia-
śmieszna, sama myśl pięćdziesięciu talarów szła
mu jak napój mocny do głowy.

— Jeśli asinǳiej wiesz o takim przyjacielu hra-
biny, co mógłby dać bitych, twardych talarów

pięćdziesiąt, to mu ode mnie powiedz, niech przyjdzie: pogadamy.

Obejrzawszy się wkoło, Zaklika rzekł:

— Masz go przed sobą.

— Tegom się zrazu domyślał.

— Obawiać się nie macie czego, żołnierze mnie znają i jestem z nimi dobrze. Zaprowadzicie mnie do sali w tej godzinie, gdy kobiet niema przy hrabinie, gdy ona sama: zapukamy do drzwi... rozmowa długa nie będzie.

— Gayby nie te baby, co przy niej są — mruknął Herzog, — wszystkoby było łatwem. To nieszczęście, że one się tam mieniają i jedna zawsze siedzi.

— Niech je obiedwie żona wasza zaprosi.

— A! baba o niczem wiedzieć nie powinna.

— Spodziewam się — rzekł Zaklika, — ależ ona może zaprosić, nie wiedząc dlaczego... to wasza sprawa...

— Narady te trwały długo. Herzog, człek już bywały, do takich robót wiele okazywał zdolności, byle grosza dostał. Zdało mu się też, iż nieszczęśliwa kobieta nie mogła być tak ważnym więźniem stanu.

Jednego tedy dnia, gdy hrabina przechadzała się po sypialni, usłyszała zrazu nieśmiało, potem coraz wyraźniejsze do drzwi żelaznych w baszcie pukanie. Z bijącym sercem pobięła do nich i ze swej strony uderzyła w nie. Natychmiast zamek się odryglował, drzwi w zawiasach uchyliły i Zaklika się w nich ukazał.

— Mam tyle tylko czasu, aby pani oznajmić, że jestem tu i będę w okolicy; będę czuwać, a co uczyni się tylko da, zrobię.

— Ułatwić ucieczkę! ucieczkę! — poczęła żywo Cosel — umrę, zaduszona tem powietrzem. Staraj się, płąć, czyń, co chcesz!

— To dlań jest prawie niepodobnem, a przynajmniej wymaga czasu — żywo rzekł Zaklika; — spuście się na mnie, iż uczynię, co tylko w mocy człowieka. Z okna, które wychodzi na tył od baszty, spuście sznurek szary; ponieważ drugi raz rozmowa może być niepodobną, szukajcie na nim kartki. Oznajmię, co zrobię.

Herzog naglił. Zaklika worek z częścią pieniędzy wsunął hrabinie i szepnął:

— Jedną sługę trzeba kupić. Stoję w gospodzie na dole „Złota podkowa”...

Drzwi się za nim zamknęły, bo kobiety mogły nadejść; ale w hrabinę duch wstąpił: skłonna do modlitwy, podziękowała Opatrzności, składając ręce i szepcząc dziękczynne wyrazy.

Zaklika, ten sługa biedny, na którego ona zgóry swojego królewskiego majestatu zaledwie spoglądać raczyła, nie zdradził jej przeciel

Herzog wziął pięćdziesiąt bitych talarów z nieukrywaną radością. Łatwe ich zdobycie zlakomiło go... Powiedział sobie w duchu, że należało tę dojnę krowę spożytkować i wyciągnąć z niej, co tylko się da. Nietyle więc teraz Zaklika za nim, ile on za Zakliką gonił.

Ten już osnuwał projekt uwolnienia hrabiny, a wykonanie prawie mu się zdawało możliwem, choć wielkiego potrzebowało przygotowania.

Herzog z chęcią go nazajutrz oprowadził po zamku i pokazał mu całą dawną budowę. Była ona niegdyś obronna, a ze starych murów, podcieni, przejść, pozostały ganki, któremi i na zamek się dostać i z zamku dobyć było można. Jedna taka wycieczka wychodziła prawie na gościniec, a choć jej dawne drzwi zawałone były gruzami, oczyścić je było łatwo.

Ale niedosyć było z zamku wyjść; należało

obmyśleć środki ucieczki szybkiej do granicy i miejsce schronienia, którego by August nie mógł osiągnąć tak łatwo. Stosunki ówczesne z dworem cesarskim i pruskim nic na ich opiekę rachować nie dozwalały. Zaklika sądził, iż gdyby się udało przebyć Śląsk i dostać do Polski, tam jeszcze najbezpieczniejsze znalazłoby się schronienie. Chociaż stosunki jego z krajem oddawna były zerwane, miał znajomych, krewnych i powinowatych, a wiedział, że Sas, oprócz stronników, miał też mnogich nieprzyjaciół.

Zebrać jednak konie, ludzi i wszystko, co było potrzeba do ucieczki, wcale niełatwem się zdało w Saksonji, gdzie dwór miał szpiegów i czujne oko na wszystkich.

Zaklika przywiązał kartkę do sznura nazajutrz i oznajmił, iż idzie się starać a przygotowywać do uwolnienia hrabiny. Z Herzogiem zaś na wyjeździe w cztery oczy pogadał, nie wyjaśniając mu nic, a łakomiąc obietnicą nie pięćdziesięciu już, ale choćby tysiąca, jeśliby do ważniejszej sprawy przyszło.

— Z tysiącem talarów cichusieńko moglibyście wyciągnąć gdzieś nad Ren, wysławszy wprzód rodzinę i żylibyście we własnej chacie, jak u Boga za piecem.

Stary nie odpowiedział, głową trząśł.

Z żołnierzami na wyjeździe napiwszy się piwa i pożegnawszy ich do widzenia, pod pozorem, że tu znów za skórą przybędzie, Zaklika ruszył nazad do Drezna. Pieniądze, jakie mu Lehmann wyliczył, mogły na wszystko starczyć, lecz ucieczka musiała je wyczerpać; myślał więc, że gdyby się tylko do Polski udało dostać, tamby już innego trzeba szukać ratunku.

Cosel została po odjeździe jego z rodzajem go-

raćzki, wyczekując nowych wieści. Codzień biegła do okna, ściągała sznurek próżny, spodziewała się jakiejs wiadości. Nie obrachowywała trudności. Zdało jej się, że człowiek ten musi i powinien ją natychmiast uwolnić, gdy mu objawiła wolę swoją; tymczasem przedsięwzięła zyskać jedną ze sług, którą jej narzucano.

Obiedwie były chmurne i nieprzyjazne; młodsza wszakże miała poruszenia litościwsze i łagodniejszą twarz. Z nią czasem choć kilka słów przemówić było można. Cosel nie miała zwyczaju inaczej się obchodzić nawet z osobami obcymi, tylko jak królowa do wszystkich mówiła ty i zapewniała o swe łasce. Chodziła, choć uwięziona, zawsze w tym majestacie dawnej wielkości, czując się małżonką króla.

Nieinaczej też odzywała się i do Magdaleny młodszej sługi, z którą jednak powoli do łagodniejszego zeszła tonu. Nie potrafiła jej jednak sobie przyswoić, aż narzekając na jej towarzyszkę i obudzając między nimi nienawiść. Pieniężne podarki potajemne podziały lepiej jeszcze, ale miesiąc upłynął, nim potrafiła się o jej życzliwości dla siebie zapewnić.

Zakłiki zpowrotem widać nie było. Utrudniało mu w Dreźnie zachody to, iż go powszechnie znano, i że szukanie powozu a koni musiało podjęcie obudzać. Trzeba było nadzwyczajnej przebiegłości jego, ażeby wszystko to zebrać, skupić człowieka dostać i wcale na siebie oczów nie zwrócić. Przez Wenda swego porobił znajomości w Budyszynie i tam założył główną kwaterę.

Tym sposobem znikł z oczów dworu, a za pretekst służyło mu, iż to dla jednego z panów polskich przysposabiał, którego rychło już z Königssteinu miano uwolnić, aby miał czem powracać do kraju.

Wiele to jednak zabrało czasu, i jesień przyszła i zima, a w tej porze ucieczka była trudniejszą, drogi gorsze, ślady do wynalezienia łatwiejsze. Zaklika dostał się do Nossen, prosząc o cierpliwość do wiosny. Herzog kazał sobie zapłacić znowu, lecz drzwi otworzył, gdy Magdalena przypuszczona do tajemnicy, stała na straży. Mogła się więc Cosel rozmówić dłużej i umówić dokładniej, tak że ucieczka na pierwsze dni wiosny odłożona została. Nie było wątpliwości, iż Herzog, skuszony zapłatą, ułatwi ją.

Zima w tym roku była długą i ciężką, a tego rodzaju przedśwzięcia, gdy się wloką i odkładają, czas do rozmysłu i strachu zbyt ni dają pomocnikom. Herzog, nieco podpiły, wybąknął coś przed żoną: resztę ona z niego dobyła. Niewiasta prze-myślna znajdowała, że kto zdradza, ten już na wsze strony zdradzać i wszelką możliwą korzyść ze swej niepoczciwości ciągnąć powinien. Zdaniem jej więc było, udać zdradę, aby pieniądze dostać, a wydać Zaklikę i hrabinę, żeby miejsca i łaski nie postradać: tem lepszem się to zdawało, że w takim razie nigdzie się już wynosić nie potrzebowali.

Herzog brodę gładził, nic nie mówiąc: uśmiechała mu się ta trafna myśl zacnej małżonki. Czekało tylko wiosny. Cosel uspokojono nieco nadzieją swobody przy zbliżających się świętach Bożego Narodzenia; hojnym podarkiem ujęła obie dwie kobiety. Zaklika świętować miał z Serbami swoimi między Budyszynem a Dreznem.

Hrabina tak pewną była Magdaleny, iż się przed nią mimowolnie zdradzała; chciała, by jej towarzyszyła, gdyby z wiosną co się w losach jej miało odmienić. Kobiecie to wszystko wiele dało do myślenia: strach ją ogarniał. Walczyła z sobą... Pod pozorem widzenia się z rodziną wyprosiła się

na dni kilka do Drezna. Siostra jej była przy dworze Denhoffowej; pojechała do niej. Tu naradzili się z sobą niewiasty i z narady wypadło, ażeby wszystko zanieść do pani marszałkowej Bielińskiej, a nagroda wspaniała nie minie.

Można sobie wystawić przerażenie kobiet, gdy jak piorun spadła na nie wiadomość, iż Cose mogła się ratować ucieczką. Wnet zawołano Löwendahla. Pierwszym skutkiem było przyaresztowanie obu kobiet.

Tegoż samego dnia jeszcze nowy oddział żołnierzy poszedł zmienić stojący w Nossen; podwójono strażę, wzięto murgrabiego i okutego zawieziono do Drezna. W nocy, pod oknami, zaciągnęły warty. Cosel, budząc się, znalazła w przedpokoju oficera nieznanego, który wraz z urzędnikiem poleconem miał przetrząśnienie papierów, rzeczy, przeszukanie mieszkania, wypróbowanie drzwi i zamków.

Na widok tych groźnych przygotowań gniew nie owładnął, lecz cóż mogła przeciwko sile?... Nie śmiała pytać o nic, a lękała się, żeby Zaklika nie został odkryty i uwięziony. Szczęściem po nazwisku nikt go nie znał, miał bowiem ostrożność zwać się wcale inaczej, a z opisu twarzy trudno było go ścigać.

Kartka Zakliki, którą hrabina z pomocą sznurka ściągnęła, zręcznie przez nią została zniszczona w obecności tych, co ją odebrać chcieli. Dowód zamierzonej ucieczki nie było żadnych, oprócz powieści służącej. Jednakże życie w Nossen od tego dnia stokroć stało się nieznośniejszem. Przysłano sługi nowe, wylekłe i obchodzące się z hrabiną z surowością nielitościwą. Broniła ją tylko dumą i milczenie.

Po wyjściu urzędnika pozostały oficer, min

bardzo nasępionej twarzy, litościwszego serca niż
inni, zbliżył się do hrabiny ze współczuciem.

— Pani hrabina nie przypomni sobie pewnie
młodszego chłopca, którego nieraz na straży przy
królu towarzyszącego w lepszych czasach najjaśniejs-
zemu panu widziała — rzekł cicho. — Pełnię tu
ciężki i ciężki obowiązek; tylko dlatego się nie
wymawiając od niego, abym mógł pani oszczędzić
nieco boleści. Al nie pogarszaj pani położenia swego.

Cosel dumnie nań spojrzała.

— Chcesz mi dowieść współczucia — zawołała,
— powieć mi co odkryto? kto? jakim sposobem?

— Szczegółów nie wiem — odezwał się oficer,
— rozkazy wyszły od króla przez marszałka Lö-
vendahla. Służbę całą zmienić kazano. Dozorca
zamku wzięty na śledztwo i badanie.

— Kto więcej?

— Zdaje mi się, że oprócz sług nikt — rzekł ofi-
cer. — Będę przychodził codzień — dodał — będę
nad miarę surowym przy ludziach, ale w czem po-
trafię, pomogę i radbym przynieść ulgę.

Skłonił się i wyszedł.

W trwodze i niepewności upłynęło dni kilka.
Zaklika, który w Dreznie dowiedział się z odgłosu
powszechnego, iż zamiar ucieczki z Nossen odkry-
to... przycisnął się, czekając, azali jego ścigać nie
będą. Rozumiał to dobrze, iż mu się pokazać oko-
ło Nossen nie można, a czuł zarazem, iż oznajmić
miał hrabinie, że jest wolnym, że zatem na
niego jeszcze liczyć może.

Nocami więc, przebrany za żebraka, przekradł
się do zamku. We dnie z sąsiednich zarośli do-
patrzył, że w oknie sznurka nie było i żołnierz pod
ciem przechadzał się na straży. Trudnem się stało
znajmienie o sobie hrabinie, łamał głowę napróżno,
jak tego dokaze. Włócząc się mimo mrozu i śniegu

po okolicy, drugiego dnia napotkał wózek wędrownego przekupnia, który po wsiach i miasteczkach rozwodził towary zwykłe na podarki wili Bożego Narodzenia. Handel naówczas nie był tak ożywionym jak dzisiaj, wędrowni przekupnie dostarczali ze stolicy wymyślniejszego towaru.

Zjeżdżał zwykle z wózkiem lub na plecach noszoną króbką przekupień do gospody wsi i miasteczka; schodziły się kobiety rozpatrywać w towarze. Do znaczniejszych domów przybywał sam handlarz i rozkładał swój towar pokuszający.

Ujrzawszy ciągnącego ku Nossen starego z Drezna znanego mu przekupnia, Zaklika go zatrzymał. Przypomnieli się sobie, bo u niego dla swoich Wendów nieraz podarki kupował.

— W Nossen — rzekł — możecie, mości Treue, zrobić dobre interesa: na zamku siedzi hrabina Cosel. Choć uwięziona, sług koło niej dosyć, a głośno pewnie ma i podarki na święta zrobić zechce. Był się tam wam do niej dostać, pewnie u was dużo kupi. Treuemu aż oczy zabłyszczały.

— Dziękuję — zawołał podając rękę — za dobrą radę: na myśli mi to nie przyszło.

— Biedna to teraz kobieta — dodał Zaklika — ale jej resztki więcej warte, niż nasze bo a twa... A słuchajcie, panie Treue, jak się tam wprosicie do niej, to jej pocichu starego sługę przypomnijcie, bom ja niegdy u niej służywał.

— A cóż powiem? — zapytał Treue.

— Powiedzcie jej, że wierny jej sługa, co podkowy łamał, żyje i chodzi po bożym świecie. A z Nossen dokąd pociągniecie? — zapytał przy rozstaniu Rajmund.

— Z Nossen już chyba nazad do domu, bo i święta za pasem, to je z dziećmi i żoną przebywać trzeba! — rzekł w głowę się skrobiąc, Treue.

— No, to może do zobaczenia gdzie na gościńcu, bo ja za zajacami chodzę, to się może spotkamy.

Treue jak wszyscy handlarze, gdy im o zysk chodzi, umiał sobie radzić. Przybywszy do miasteczka, odpocząwszy, udał się zaraz na zamek.

Żołnierze go precz chcieli odpędzić; narobił wrzawy takiej, że aż oficer wyszedł. Z tym łatwiej się było porozumieć, ale posłał wprzód zapytać hrabiny, czyby co kupić chciała. Dla samej rozrywki i widzenia nowej twarzy Cosel kazała puścić przekupnia.

Nędzny był kramik biednego Treue i nie dla tak pańskich przeznaczony oczu, ale w osamotnieniu i niewoli wszystko rozrywką. Roztargnioną ręką rozrzucała pogardliwie te ubogie towary Cosel, gdy Treue dopatrzwszy chwili, w której nikogo nie było, zbliżył się do niej i rzekł pocichu:

— Kazano mi powiedzieć pani, że jej wierny sługa, co łamał podkowry, żyje i chodzi zdrów po bożym świecie.

Zdziwił się niezmiernie Treue, gdy ujrzał na twarzy hrabiny jakby blask nowego życia, promień radości, który ją przeleciał i oświecił.

— Kto ci to powiedział? — spytała.

— On sam, on sam, jasna pani — odparł Treue — spotkałem go tu w okolicy podobno na myśliwstwie.

Po tych słowach, hrabina szybko zakupiła, co jej pod rękę wpadło, i Treue zdziwił się niepomalu, jak mu szło w targu szczęśliwie. Nakupiwszy podarków dla służby, kazawszy sobie powtórzyć słowa te, które ją o Zaklikę uspokajały, hrabina odprawiła Treuego. Wyszedł z zamku uszczęśliwiony. Targ w gospodzie nie mniej mu się powiódł, aż zanocować musiał. Nazajutrz puścił się nazad drogą do Drezna, o milę od Nossen nastęrczył mu się znowu Zaklika. Stał wózek, powitali się jak dobrzy przyjaciele.

— A cóż? — zapytał Polak — powiedzieliście też o matce?

— Aha? a jakże! — rzekł Treue — i hrabina widocznie była ucieszona tą wiadomością. Zrobiłem w istocie dobry interes na zamku i w miasteczku: Bóg wam zapłać.

Zaklika chciał mu powiedzieć, że też dobry uczynek spełnił, ale z tem się powstrzymał.

W Dreźnie tymczasem ciągnięto śledztwo z uwięzionych. Herzog miał nadto rozumu, żeby się przyznał do czego, choć naówczas mogli go wziąć na pytki pierwsze i drugie i męczyć, póki by się nie przyznał. Zaniechano jednak tego, puszczone jednak obwinionego, odbierając mu miejsce tylko; kobiety wyszły z więzienia niewynagrodzone i wymęczone, ale przestroga w las nie poszła.

Król August, sam teraz obawiając się hrabiny, pilno czuwał nad jej losem. Znał ją nadto, by mu groźną nie była. Na pierwszą wiadomość o pogłosce, iż ucieczka zamierzona została, rozgniewany nakazał daleko warowniejszy zamek Stolpen przygotować na więzienie dla Cosel. Była to ta twierdza na bazaltowych słupach zbudowana, w której niegdyś biskupi meisseńscy swoich więźniów zamykali; to samo miejsce, które przed laty szczęśliwa Cosel zwiedzała z królem, gdzie z nim razem biesiadowali w zwierzyńcu; ten zamek, na którego drodze spotkała starą Mławę i wróżby pierwsze przyszłego losu...

W tejże chwili wysłano do Stolpen rozkazy, aby więźnię świętego Jana na mieszkanie oczyszczono i przygotowano. August gniewnym był i obrażonym. Nieugięty umysł tej kobiety urągał jego władzy i potędze, jedna niewiasta śmiała upominać się o dotrzymanie przyrzeczeń, o królewskie słowo i rzucać mu wiarołomstwem w oczy. Było to

zuchwalstwo niedarowane, nieprzebaczone, a kto gniew pański ściągnął na siebie, dla tego nie było litości.

Na dwa dni przed wigilią świąt ruch powstał w zamku niespodziany; z Drezna przysłano powóz i konie, straż nową i rozkaz króla, ażeby Cosel do Stolpen przewiezioną została.

Zdumiony oficer przez litość nie śmiał wejść do hrabiny z tym rozkazem nowym, który cięższy, jeśli być może, los jej jeszcze zwiastował.

Cosel na pierwszy szmer niezwyczajny w zamku zerwała się z siedzenia, na którym zatopiona w kartkach poszarpanych starej biblij siedziała. Rzuciła się ku drzwiom.

Były chwile jeszcze, w których po sercu Augusta (kochająca go nieszczęśliwa) spodziewała się litości, sprawiedliwości, uczucia. Zdało jej się, że na święta nadchodzące przyszłe jej w podarku wolność.

Drżąca stała w progu, gdy urzędnik w peruce wszedł z głębokim ukłonem. Zjawienie się podobnego gryziopórka było dla niej zawsze najgorszym zwiastunem. Trzymał papier w ręce, a okulary w drugiej; ręce mu dygotały.

— Czego ty chcesz? — zawołała Cosel.

— Rozkaz najjaśniejszego pana, który natychmiast spełnionym być musi — rzekł ochrypłym głosem urzędnik. — Pani hrabina przejeżdża do Stolpen, przeznaczonego jej najlaskawiej do dalszego pobytu.

Z okropnym krzykiem, ręką zasłaniając sobie oczy, hrabina rzuciła się ku ścianie, jakby się o nią rozbić chciała. Na widok tego szalu podbiegły wchodzące kobiety i pochwyciły ją pod ręce. Jednym ruchem pozbyła się obu. Wrzask dobył się z ust jakby obłąkanej, potem ryk i jęk... urzędnik stał wryty, przerażony, nie wiedząc co począć.

Niemal gwałtem musiano hrabinę sprowadzić do oczekującego na nią powozu.

W konwulsjach, bólu, płaczu i osłupiałem milczeniu naprzemiany wieziona, dnia 25 grudnia 1716... stanęła w bramie Jana i Donata i oczy załzawione podniósłszy, ujrzała przed sobą groźną wieżę święto-Jańską, przeznaczoną jej na więzienie.

X

Stary zamek Stolpeński był naówczas już napół ruiną... Kilkakroć wierzchołki jego wieżyc ogień z nieba druzgotał, paliły się sarsie budowy i podtrzymywane, opustoszałe, ledwie małą załogę pomieścić w sobie mogły. Dawne mieszkanie biskupów w części przerobione zostało, w części się rozpadło w gruzy; do wódcy zamku, Jan Fryderyk von Wehlen, zajmował sam niewygodną basztę; dla uwięzionej, nieszczęśliwej ulubienicy Augusta przeznaczono jedną wieżę, Johannisthurm, wieżę jeszcze za biskupów więzieniem będącą, której piętra, każde z jednej obszernej izby sklepionej składające się, nosiły dotąd nazwania świadczące o dawnem przeznaczeniu.

Dawnej pani pałacu czterech pór roku starczyć teraz musiały dwie jeszcze mieszkalne komnaty.

Niższe piętro, Burgverlies, już naówczas gruzem zasypane, dawno było niemieszkalnem. Dwa wyższe Johannis-gefängnis i Richtergehorsam... przygotowano dla hrabiny. Jedno z nich przeznaczonem było na kuchnię i dla ludzi, drugie dla niej.

Gdy wydobytą z powozu, niemal znowu siłą wwiedziono hrabinę do ciasnej sześciokątnej izby, naprzestrzał oknami wąskimi oświeconej, ubożej, nędznej, smutnej; gdy obejrziała się dookoła: rzuciła się ze wściekłością, którą hamować musiano, jakby

głowę zboleła roztrzaskać chciała o mury. Naprzemiany znowu to osłupienie, to łzy, to szal i wściekłość opanowywały ją, tak że nieustanna straż czuwać nad nią musiała. Świadomi jej losów, choć najobojętniejsi ludzie, od wzruszenia, patrząc na nią, powstrzymać się nie mogli. Jej piękność, niedola, rozpacz, wyciskały łzy. Dodani jej stróże i sługi, które dobrano umyślnie, aby ich przekupić ani litości obudzić nie mogła, stali osłupieni widokiem tego bezprzykładnego szalu, co chwila zdającego się grozić śmiercią.

Ile razy oczy jej zwróciły się na ściany izby, na wiszące nad nią ciężkie sklepienie, na drzwi zaparte... powracał ryk i szal a po nim omdlenie i łzy.

Wehlen, stary żołnierz, który nigdy z kobietami nie wojował, twarda natura zdrewniałego pod mundurem człowieka, tracił głowę i cierpiwość. Smutno mu było zostać wykonawcą wyroku nad kobietą, której niedola przechodziła siły. Pierwszy ten dzień święta, obchodzonego w całych Niemczech z taką radością i uroczystością rodzinną u domowych ognisk, zatruty został Wehlenowi widokiem scen rozpacz. Żołnierze pod murami chodzący na wartach stawali przerażeni głosem, który się z zamku dobywał. Zdało się, jakby dawne izby tortur odbrzmiewały jękiem wszystkich ofiar swoich z przed wieków.

Noc przeszła w tym niepokoju i dzień następny ze łzami, a potem omdlenie milczące trzymało ją na łożu wółumarłą zębkaniem. Kobiety szeptały między sobą, że nie wytrzyma i skona. Trzeciego dnia Cosel porwała się z łoża... zażądała papieru... chciała pisać do króla.

Przewidziano to żądanie, listy odsyłane być miały Löwendahlowi i niszczone natychmiast... z zakazem, aby je kto śmiał otwierać.

Zastrzegł się August od wpływu tych rozpaczliwych jęków, nie dopuszczając ich do siebie. A nużby one obudziły litość, poruszyły, zniecierpliwiły, czoło królewskie okryły wstydem.

Skazane więc były na spalenie. Ale nie broniono niewolnicy łzami je zlewać dnie całe. Wysłany list, który szedł w ogień, nie dochodząc rąk królewskich, dawał jej chwilę nadziei. Myślała, że choć jeden z wielu, choć trafem który dojdzie do Augusta. Wierzyła jeszcze w serce jego.

Gdy pierwsze wybuchy rozpaczły przeszły, z przerażeniem rzuciła oczyma dokoła. Z pierwszej bytności swej na zamku przypominała sobie te mury, które ją wówczas przeraziły posępными ścianami swymi. Z okien ich widać było zębate kurtyny, otaczające zamek, górę okrytą lasem i wdali sine wzgórza puste, a kraj jakiś jakby bez ludzi.

Rzucono ją tu na łup samotności, wspomnieniom, dozorowi żołdactwa, znęcaniu się sług, którzy byli razem klucznikami więzienia i oprawcami ofiary.

Za najmnijsem przewinieniem tego jej naznaczonego dworu grzmiał chrypliwy głos Wehlen'a, który nie rozumiał najmnijsego pobbazania wobec swoich rozkazów.

Z Drezna otrzymał on polecenie jak najsurowszego dozoru, pod odpowiedzialnością, która naówczas łatwo aż do utraty życia rozciągnąć się mogła. Ci co pisali instrukcje, nakazywali wprowadzić grzeczność dla kobiety, ale dla więźnia dozór, któryby nawet marzenia ucieczki rozproszył. I na pierwszy rzut oka była ona niepodobną. Zamek otaczały mury dokoła, wieża świętego Jana wznosiła się ponad niemi wysoko, oknami poprzeżynana tak, że straż, niemal co chwila mogła, podniósłszy oczy, widzieć niewolnicę. Dwa podwórce, bramami warownymi zamknięte, przejść było trzeba, aby się dostać do stóp wieży.

We wrotach chodziły straż, przy murach byli żołnierze; sam zamek na wysokiej górze panującej okolicy każdego doń przychodzącego wystawiał na widok mieszkańców nieopodal leżącego miasteczka.

Oprócz komendanta twierdzy i kilku oficerów na to wygnanie skazanych, oprócz niewielkiej garści żołnierzy, zamek prawie nie miał innych mieszkańców. Służba hrabiny stanowiła wyjątek. Ona także dzieliła jej więzienie. Nikomu z ludzi do miasteczka nawet wyjść bez pozwolenia nie było wolno. Bramy zamykały się wcześnie.

Twierdza wprawdzie, jako miejsce obronne, mogła mieć pewne znaczenie. Leżała blisko granicy Czech, broniła saskich rubieży, ale stąd dawno żadna nie zagrażała wojna i opuszczono ją powoli. Königstein i Sonnenstein, te za niezdobyte naówczas uważane fortece, odebrały Stolpenowi dawną jego ważność. Nie bardzo też pilnie strzeżono zamku aż do przybycia hrabiny. Ten więzień stanu, ta winowajczyni, co śmiała się mniemać królową i nie chciała zwrócić pisma pańskiego, ściągnęła dopiero czujność całą ku opuszczonym murom.

Stary Wehlen, który nie widział pono nigdy hrabiny, a z niewierności króla wnosząc, wystawiał ją sobie zestarzałą i zbrzydłą — osłupiał, gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Cosel miała naówczas trzydziesty szósty rok życia, lecz szczególny dar boży nadał jej wiekuistą młodość; śladu przebytych cierpień widać na niej nie było i nigdy może ani piękniejszą, ani ponętniejszą nie była. Blask jej oczów, białość i świeżość twarzy, majestatyczna postać, kształty snycerskie, wprawiały w zdumienie tych, co na nią patrzyli. Jakby urągając upokorzeniom, które ją spotykały, Cosel przybrała tu postawę, ohyerną, mowę panującej. Rozkazywała... a w sło-

wach jej przebijala się tem większa дума, im nie-
szczęśliwsze stawało się położenie.

Jakże tam dni płynęły nieskończenie długie, nie-
przeżyte, jednostajne. Cosel miała na zapelnienie
ich wspomnienie tylko... a czasem... czasem wraca-
jącą nadzieję. Przeklinała osrucieństwa Augusta
i nie umiała razem pojąć, aby ono trwać mogło,
aby ten, co ją zdawał się kochać tak czule, mógł
stać się dla niej tym niemym katem bez duszy.

Listy, które pisała, stały się dla niej potrzebą
i nałogiem. Po milczeniu domyślać się mogła, że
rzuciła je w otchłań bezdenna, a jednak, jednak
ulgę czuła, gdy myśl jej wylała się na ten papier,
który być mógł tylko urągawiskiem dla ludzi.

Zrobiłaż co tak złego, ażeby się wiecznie nad
nią znęcać miano? nawet pozbawić ją dzieci, pod
pozorem, że mogła w nie tchnąć tę nienawiść ku
ojcu, którą pałała przeciw niemu.

Gdy z Nossen chwymano naprędce, co należało
do uwięzionej, ktoś rozproszone kartki biblij zagar-
nął. Przyszły one tu z nią, i hrabina zaczytywała
się w nieśmiertelnej księdze, w której tyle ludzkich
wycisnęło się boleści. Te poszarpane karty, których
część wiatr poroznosił, wzbudziły żądanie całej
księgi. Posłała do Wehlena rozkaz, aby jej biblię
kupiono. Komendant odnósł się do Drezna, kaza-
no spełnić żądanie... biblia odtąd nie zeszła z jej
stołu. Na jej kartach znajdowała jeśli nie pociechę,
to zapomnienie. Uczyla się z niej, czem od lat ty-
siąców było życie: długą męczarnią przedgrobową.

Tak ją tu zastała wiosna... wiosna... w której
się wszystko budzi wesołe i młode do życia, a któ-
ra dla niej śmierć tylko przedłużać miała. W są-
siednich drzewach zaczęły przelatywać żwawe pta-
ki, jaskółki przybyły do starych gniazd na wieży
aby je łapieć na nowo, drzewa zaczęły zielenieć

i otwierac się listkami ku słońcu. Ponad światem falami płynęło wonne ciepło, kwiatów westchnieniami zaprawne. Nawet około pustego zamku rozbudziło się życie, polami szły pługi i ludzie się przesuwali wolni... gromadami, ona jedna była sama i przykuta. Stanawszy w oknie i goniąc oczyma zdalą ujrzaną postać, zgadując ją, wcielając się w jej byt: Cosel zadumywała się godzinami i nie wiedziała, jak czasem żołnierz stojący na straży, tak samo oślepiiony jej pięknnością, wpatrywał się w nią, zapominając o sobie i pytając, co tak piękna istota tak straszego popelnić mogła, by ją na niewolę skazano? Stary Wehlen, chodząc z łaską po wałach, nieraz sam patrzył ku górze i czuł, że mu się robiło w myślach gorzko, na sercu ciężko, że mniej kochał swego wspaniałego pana Fryderyka-Augusta.

Robiło mu się żal. Za całą przechadzkę wąskie wschody, i dziesięć kroków komnaty! i wiecznie to duszące sklepień powietrze, którego słońce ogrzać nie mogło... i wieczne listy, co szły na stos, lub biblia i łzy!

Wehlenowi nawet żal się z piersi dobywał.

U stóp wieży świętego Jana był mały klinek ziemi, opasany murem twierdzy i ścianą wieży: miejsca tyle jak na dostatni grób człowieka. W tym kątku kwitły piołuny i macierzanka i dzikie gwoździki różowe. Po murach czepiały się żdzibła trawy i posiane przez wiatry nienazwane kwiatki, ubogie... Wehlen pomyślał sobie: gdyby choć ten ogródek!... Ale na ogródek nawet trzeba było pozwolenia, bo on był ulgą, słodyczą, pociechą, a zbuntowanej kobiecie dać trochę litości, było ją uzuchwalić. Sam więc stary zrobił tu sobie ogródek, myśląc, że choć popatrzeć na kwiatki miło będzie tej, co sama jak kwiat pański zwiędła na łodydze.

Cosel wyjrzała w ten kątek i zobaczyła, że go

kopano; przyszedł jej na myśl grób; odwróciła się. Dopiero gdy wiosna co tak żwawo sieje i rod wyprowadziła tu kwiaty, Cosel się im uśmiechnęła. Nie takie miała w swych ogrodach i w Hespery ogrodzie i w Pillnitz, a teraz i tych mieć nie mogła.

Zdawało jej się, że gdyby zamiast na kamieniach, mogła choć usiąść na ziemi i przytulić się do niej odżyłaby znowu. Myślała, że kwiaty byłyby dla niej powiernikami i towarzyszami. Lecz prosić o nie nie mogła królowa, cierpieć wołała. Witała z ran ogródek i żegnała go, gdy pachniał wieczorem.

Stary Wehlen kazał jej powiedzieć słudze, że ten ogródek jest dla niej, że go sobie objąć może. W istocie uciec stąd było niepodobna, o trzy kroki chodziły aż dwie straże.

I jednego poranku Cosel zeszła ze schodów bez przeszkody, aby swój ogródek zobaczyć; powietrze zdało jej się upajającym, słońce nieznośnem, światłoślepiącym; potrzebowała czas jakiś wsparta o mur spocząć, póki nie przyszła do siebie.

Odtąd ogródek stał się jej całą zabawą i całe dnie w nim spędzała, rękoma własnymi pielęgnując kwiatki, które przywozić sobie kazała. Niewiele im było, mogła więc, znając krzaczek każdy i pielęgnując zosobna, wlać weń życie i oczyma go wychowywać.

Tak zeszła wiosna i lato, bez żadnej zmiany, bez żadnej nawet jej nadziei. Głucha cisza otaczała ją ciągle, na listy nie było odpowiedzi, z dwunastu znanych nikomu się nie zgłosił. Z ogromnych skarbów jej, zabranych dla dzieci, rozerwany przez chciwe ręce, płacono jej około trzech tysięcy talarów, które mogła na swoje obrócić potrzeby. Ale o tych komendant zamku wiedzieć musiał. Wpuszczano tylko osoby niepodważane, handlarzy i przekupniów, a i ci wprzód musieli się poddać.

staraniem opatrzenia, aby z sobą nie wnieśli pocięchy lub nadziei.

Od przybycia swego do Stolpen hrabina oczekiwiała Zakliki, ale upływały miesiące i ogródek przekwitał, a słyhu o nim nie było; aż jesienią późną żyd, który przyniósł jej coś na sprzedaż, gdy odeszły sługi, obejrzawszy się wokoło bojaźliwie, szepnął, że ten, co podkowy łamał, żyje i kiedyś się pokaże.

Dosyć było tych wyrazów, aby już uśpioną obudzić nadzieję. Przybyły poseł nic więcej nie wiedział.

Zaklika tymczasem ani na chwilę nie spoczywał. Zawiedziony w przygotowaniach swych do wykradzenia hrabiny z Nossen, musiał wszystko rozpocząć na nowo. Nie tajono bynajmniej, iż Cosel wywiezioną została do Stolpen i osadzoną na wieży.

Okrucieństwo to oburzające starano się przed ludźmi usprawiedliwić, rozpuszczając pogłoski, że Cosel jeszcze w Berlinie starała się uknuć spisek na życie króla, że się odgrażała na niego, i że doknięta oblakaniem, mieniła się być królową. Potem domawiano sobie, co żadną nie było tajemnicą, że August sam się wstydził słabości swej lekkomyślności, z jaką w jej ręce dał cyrograf na siebie, za życia żony, obiecując ją poślubić.

Tego przyrzeczenia w istocie, pomimo ciągle ponawianych żądań, odebrać jej nikt nie mógł, ani to nawet przez najściślejsze poszukiwania wynagrodzić.

Pierwszy to raz z takim okrucieństwem postąpił sobie August i przeraził niem nawet Denhoffową, chociaż ta ani tak wielkiem przywiązaniem do króla, ani tak wysoko sięgającymi nadziejami poślubić się nie mogła.

Dwór nowej pani wprowadził był dosyć świetny, ale bliższe jej otoczenie żadnego politycznego znaczenia nie miało; ona też oprócz zabaw i rozrywek nie panowała nad niczem.

Ci nawet, co ją wynieśli dla pozbycia się niebezpiecznej Cosel: Flemming, Mantouel, Friesen, Lagusco, Vitzthum, zdala się od niej trzymali. Jeden Watzdorf, któremu się śniło, że przez nią potrafi obalić Flemminga, przywiązał się do niej i zaślubiwał, wyrabiając od króla znaczne podarki, które Denhoffowa nieopatrznie rozpraszała, nieraz na jeden wieczór po dziesięć tysięcy talarów wydając na szumne zabawy.

Wtedy już nawet niewiele rachując na króla i myśląc o wycofaniu się z niebezpiecznych łask jego, oglądała się na Besenvala i na młodego Lubomirskiego, który się zdawał do niej przywiązywać.

Augusta zimne i obrachowane obejście się z temi, którzy w największych u niego wprzód byli łaskach, i innych faworytów ostrzegało, aby się zawczasu wycofać starali i zabezpieczyć od kaprysu, który ich mógł w jednym dniu pozbawić wszystkiego. Tak Hoym, mąż pani Cosel, którego król potrzebował ale nie lubił, zapatrzwszy się na los Beichlinga, na to, co spotkało Imhoffa po altrandstadzkim traktacie, wreszcie pierwszą jego żonę, nie miał pokoju, dopóki się nie zabezpieczył. Posprzedawał dobra swe w Saksonji, powywoził pieniądze i, wystąpiwszy ze służby saskiej, cofnął się na Śląsk. Taż sama obawa nie dawała spocząć marzałkowi Schulenburgowi. W tym roku, gdy hrabina uwięziona została w Stolpen, Hoym dobra ostatnie zamienił z Flemmingiem i pojechał z smutku i troski dokonać życia w Wiedniu.

Z Denhoffową kończyły się panowania wszech-

władnych mełes na Łódzowskiu dworze. Aktorowie tych dramatów i intryg, któremi żyło otoczenie Augusta, starzeli i wymierali, on sam tracił smak i ochotę szumnych rozrywek. Jeden jeszcze jarinark lipski po dawnemu rozrywać go umiał i na chwilę ożywić.

Zaklika długo myślał co począć z sobą i jakich użyć środków, aby się do Cosel przybliżyć. Stolpen prawie mu nie było znanem, pojechał je obejrzeć zbliska. W miasteczku stanąć mógł bez niebezpieczeństwa, nie zwracano bowiem zbyt wielkiej na podróżnych baczości; tu się też dowiedział, jak w zamku gospodarowano, kto na nim dowodził i że przystęp do niego nie był łatwym. Odjeżdżając, okrążył zamek i zwierzyńiec ze wszech stron, szukając doń łatwego przystępu. Nie znalazł żadnego.

W pierwszym zwłaszcza roku pobytu hrabiny czujność była wielka, a do środka, nie będąc osobście dowódcy znajomym, wcale się dostać nie było podobna.

Zaklika łamał sobie głowę nad zadaniem i powrócił do Drezna z postanowieniem ukazania się jawnego i szukania drogi, jakaby mógł Cosel usłużyć. Znajomych z dawnych czasów pozostało mu wielu, przyjaciół żadnych. Zjawiali się wszakże teraz codziennie przybywający z Polski panowie, przez których wpływ coś tu sobie wyrobić było można. Zaklika marzył, iż powinien wrócić do służby wojskowej, a raz wdziawszy mundur, starać się jakimkolwiek sposobem dostać do załogi w Stolpen stojącej. Droga była długa i trudna, lecz ten, co ją przedsiębrał, miał za sobą zezarzną wolę i poświęcenie bez granic. U panów polskich imię jego, starej rodziny, było już pewnem zaleceniem.

Ukazanie się jego na dworze obudziło zrazu

pewne zdziwienie. Wszyscy wiedzieli, że był przy hrabinie Cosel, nikt nie dopytywał; co się z nim stało po jej upadku. Zaklika oświadczył śmiało, że jakiś czas u rodziny w kraju przebywał. Chwilowe przybycie do Drezna Sienawskiego, biskupa kujawskiego, którego znał za młodu, dało mu pochop starania się przez niego o pozwolenie kupienia szarży kapitańskiej w wojsku saskiem. Król na wzmiankę o nim brew namarszczył, kazał mu się sobie przedstawić. Przez kilka lat go nie widział i dużo zmienionym znalazł; podejrzliwem okiem mu się przypatrywał, ale znalazłszy go śmiałym i spokojnym, dowiedziawszy się od niego, iż dobrowolnie hrabinę porzucił, przeciw wstąpieniu do wojska nic nie miał. Szło tylko o kupno szarży, które mu zaraz nastęrczono. Zaklika miał coś grosza powoli uzbieranego oszczędnością tam, gdzie się on często sypał obficie: dobito więc targu z Niemcem i nasz bohater wdział znowu, tym razem inny i wspanialszy mundur niż przedtem. Służba była z wielu miar nieznośna, chociaż dla ludzi, co rozrządzenia lubili, przyjemna. Wojska, które się w Polsce nie uganiały za konfederatami, więcej służyły do parady i zabawy niż do surowszych zajęć wojskowych.

W wojsku *) oficerowie często po całych latach pułków swoich nie widywali, czasu zimy oblegali przedpokoje, a latem w obozie wcale ich spotkać nie było można. Siedzieli po domach i żyli z pieniedzy zebranych na zimowe leże, opowiadając o cudach waleczności, jakich dokazywali, przed zdumieniem kobietami. Nie szanowano ani rozkazów, ani rozporządzeń, życie wiedziono bez skrupułu, a żołnierz, odarty z pierwszych potrzeb życia.

pokutował. Współcześni świadczą, że nowe pułki, które sztyftowano, na które brano pieniądze, wcale się nie ściągały, a rekrutowanie ich starym przekadzało się dopełniać. Nieustanna zmiana starszyzny rujnowała skarb, a szła na korzyść komisarjatu i oficerów. Co było w kraju najmniej zdolnego, znajdowało się w wojsku; awanturnicy, rajfury, gracze, lichwiarze, pieniacze, a procesa między oficerami były nieustanne. Generałowie żyli z żołnierzy, a ci, do rozpaczki przyprowadzeni, musieli na wzór oficerów szukać chleba powszedniego, nie patrząc, jak go dostawali.

Margrabia Ludwik Badeński, pod którego dowództwem był kontyngens saski w 1703 roku na wojnę o spadek hiszpański przysłany, tracił głowę, nie mogąc sobie z nim dać rady. Często w marszu, gdy pośpieszać było potrzeba, znajdował ich wywczasowujących się w szlafrokach. Historia pułkownika Görtza i jego wyjścia z Polski w roku 1704 stawia także dobry przykład karności wojska saskiego. Görtz, którego aresztować miano za nieporozumiałe prowadzenie oddziału, a zbytnie pamiętanie o sobie, tak dobrze manewrował, że tych, co jego mieli przytrzymać, osaczył i wziął.

Właśnie to rozprężenie posługiwało Zakliki zamiarom, wszystko tu było do zrobienia pieniędzmi... Towarzystwo, w które wszedł, nad hulankę i wesołe życie, prędko zarobek i roztrwonienie obojętne nic droższego nie miało. Obyczaj i przykład dworu szczepił się w wojskowych; patrząc na parady dawane dla pięknych pań i szturm przy pułharze do półmisków królewskich, nie brali powołania swego na serjo. Gdzie niegdzie wśród tej zbieranej drużyny, w większej części z obcych: Francuzów, Włochów i przybłędów różnych złożonej, trafił się rzadki człowiek, co żołnierzem być

chciał i umiał. Z takiego się tylko wysmiewano. Nic więc łatwiejszem nie było dla Zakliki jak wdziawszy mundur i zapoznawszy się z towarzyszami, przygotować sobie drogi dla dostania się na zamek stolpeński, w którym pobyt nikomu się nie uśmiechał...

Stary Wehlen, o którym zasięgnął wiadomości, człowiek spokojny, dobry w gruncie, po całych dniach grający w arcaby i palący fajkę, nie zdawał mu się trudnym do oszukania...

Cosel zdziwiła się mocno po milczących kilku miesiącach odbierając znowu poselstwo tajemnicze przez wędrownego Izraelitę, które jej zwiastowało przybycie tego, co łamał podkowry.

XI

Nadeszła druga wiosna i po raz wtóry zazienialało w ogródku, też same kwiatki podnosiły z grządek wskreszone głowy ku powracającemu słońcu. Cosel otworzyła okno, dzień był ciepły, cisza w powietrzu; zdawała w zwierzyńcu las i drzewa szumiały, ale ich szumu uchem tylko słuchać mogła. Ze schodków tuż schodziło się do małego wydzielonego jej kąka ziemi, a i ten dla niej był łaską człowieka, który się jej ulitował.

Niejeden raz już tak w ogródku swoim siedząc pod zbudowaną dla niej małą laubą, widywała przechodzących podwórzem, od którego niski przymurek ją dzielił, żołnierzy i oficerów załogi. Nie lubiła wprawdzie dumna pani, aby się jej upadłej wielkości przypatrywano, lecz znękana potem witała twarz ludzką, zapominając, że była królową. I niejeden żołnierz mimowolnie stanął, wpatrując się w nią z politowaniem, a młodszy oficerowie tracili głowy, gdy długo wystawieni byli na ogień czarnych jej oczów.

Jednym z tych, co się najdłużej zawsze prze-
chadzali, szukając pozoru jakiegoś, aby się zbliżyć
do ogródka i przypatrzeć pięknej Dianie, bo ją
tak zwano od czasu, gdy w osobie bogini wystę-
powała na wjeździe bogów, był młody Wehlen,
synowiec komendanta. Stary go tu trzymał przy
sobie, poczęści dlatego, żeby mieć kogoś musztro-
wać bezkarnie i sadzać godzinami do grania z sobą
w arcaby, w części dla skutecznego zajmowania
się jego wojskową karierą.

Henryk von Wehlen wcale w niej zamięłowania
nie miał, ale matka owdowiała, spodziewająca się
spadku po komendancie bezdzietnym, który ucho-
dził za majątnego, bo był dosyć skąpy, zmusiła
syna, by się poddał jego rozkazom.

Młody dwudziestoletni Wehlen nudził się śmier-
telnie na bazaltach stolpeńskich, lecz wyrwać się
stąd nie mógł.

Jakiemże to szczęściem dla młodego, rozma-
rzonego samotnością chłopaka było przybycie tego
nieszczęśliwego, a tak pięknego więźnia, do pu-
stego zamku! Z pierwszego wejrzenia na Annę
Henryk stracił głowę. Nie pojmował on, jak mógł
kto mieć odwagę tak piękną istotę, taki ideał bós-
twa ziemskiego zamknąć wśród murów tych i dać
mu zamierać powoli. Z młodzieńczą pierwszą mi-
łością, czystą, egzaltowaną, tajoną a gwałtowną,
czucił się Wehlen ku pięknej pani, aby jej służyć
przynieść ulgę w niedoli. Stary komendant wcale
nie dojrzał w synowcu rodzącego się uczucia, ani
się go mógł domysleć. On był najprozaiczniejszym
z ludzi, i dla niego dwie młode niewiasty zupełnie
obie były równe. Uśmiechał się dawniej do wszy-
tkich: teraz do żadnej.

Nieznacznie Henryk poddał mu owę litość, któ-
ra stworzyła ogródek u siop wieży, a później inne

drobne usługi dla hrabiny. Zastępując często komendanta, był tu niemal panem na zamku, i Cosel która rzadko nań okiem rzucić raczyła, wiedziała dobrze, iż na niego rachowaćby mogła. Wolano wszakże czekać na Zaklikę.

Jakież było podziwienie jej i radość, gdy pierwszy raz schodząc do wiosną ożywionego ogródka Cosel zobaczyła w podwórzu razem stojących i w dobrej zgodzie rozmawiających z sobą ludzi Henryka Wehlen i Zaklikę. Ostatniego poznała po głosie, bo go nowy strój wojskowy zmienił zupełnie.

Dochodziła ją rozmowa dosyć głośna. Zaklika opowiadał, że podjął się tu zająć miejsce kapitana Zitauera, któremu pilno było do rodziny pojechać.

Henryk i on zdawali się już dobrymi przyjaciółmi.

— Al kapitanie von Wehlen — mówił drugi kapitan, von Zaklika — niewesoło tu u was na tych starych gruzowiskach mniszych. Gdybym był wiedział, że tu na skale takie pustkowienie, taka nuda.

Henryk wszakże nie zdawał się wcale znudzony.

— Al mój panie—kto chce się bawić, temu się daj. Stolpen niema co wybierać, ale spokojnie patrzeć na piękną naturę i żyć sobie cicho... bardzo można.

Cosel słuchała, oczy odwróciła, aby nie dać poznać, że ją rozmowa obchodzi, ale serce jej uderzyło mocno.

— Kapitanie Wehlen — rzekł Zaklika — jeśli tu nie jest grzechem, tobyście mnie, jako nowego przybysza, powinni hrabinie przedstawić.

— Z całego serca — zawołał Wehlen, któremu pretekst ten zbliżenia się do pani Cosel był bardzo pożądanym.

Obaj razem podstąpili pod murek ogródka, znajdującego się znacznie wyżej niż podwórze, na którym stali. Kapitan Wehlen pozdrowił hrabinę

— Pozwolił pan przybyłego tu kolegę sobie przedstawić, kapitana von Zaklika.

Cosel zwróciła się niby obojętnie, lekkim skiewowaniem głowy pozdrawiając zaledwie przybyłego, który stał zbladły, wzruszony, wpatrując się w to łokieć, piękne oblicze, promieniejące jeszcze tym samym wdziękiem, jakim mu niegdyś zajaśniało między lip Laubegastu.

Hrabina nie odezwała się ni słowa zrazu.

— Jesteście tu gościem? — spytała po długiej chwili milczenia, zniżając się do kwiatków.

— Ale zdaje się, że nim pozostanę czas dłuższy, bom tu na służbie, a niełatwo się znajdzie, toby tu chciał zastąpić towarzysza.

— O! to pewna! okropniejszego więzienia nad to nikt wymyślić nie mógł — zawołała hrabina. — W lochu ciemnym nie widzi się świata i zapomina o nim, tu cały świat szeroki widnokrąg przed oczyma, ptaki, góry, lasy, drzewa, życie, a między nim a mną mur nieprzebity! Wojskowi stali niemi.

— Cóżeście wy zgrzeszyli, że was tu posłano? — dodała.

Zaklika umilkł.

— Los chciał — rzekł — jam już niemłody: nigdzie mi nie jest weselej.

Skłonili się i odeszli.

Wehlen, porwawszy pod rękę Zaklikę, poprowadził go żywo w trzecie podwórze zamkowe, gdzie zajmował parę izdebek obok stryja i towarzyszowi też postarał się blisko dać przytułek.

— Kapitanie Zakliko — zawołał, — wy pewnie widzieliście po raz pierwszy w życiu reichshrabinę Cosel. Cóż powiecie na tę królewską piękność? Nie jestże to kobieta tronu warta, co stracona jego stopni, jeszcze ma taki majestat na sobie? Co to za piękność! co za gwiazdzista twarz!!!

Mówił to z takim zapalem, czerwieniąc, iż odrazu wydał się ze swą tajemnicą, z którą może i ukrywać się nie myślał. Spojrzał na Zaklikę: ten stał zamyślony, oparłszy się o stół.

— Kapitanie Wehlen — rzekł krótko, — nie dziwię się nic wcale, lecz z twoich wyrazów, z twego zapалу, mógłby kto cię posadzić, żeś się zakochał.

Wehlen uderzył się w piersi.

— Obaśmy żołnierze — zawołał — i uczciwi ludzie. Na co się mam zapierać; straciłem głowę, patrząc na nią! Ani się wstydzę. Takich kobiet dwóch na świecie niema.

— Ale na cóż się to wam zdało? — uśmiechnął się Zaklika smętnie. — Kobieta, co była królową, oczu już na nikogo nie zwróci; tyle nieszczęść wysuszyło w niej serce, a w ostatku niewolnicą jest na wieki.

— Al na wieki! — przerwał Wehlen — cóż jest wiecznego na ziemi? Ona jeszcze tak mi się wydaje, że jest młodą!

Zaklika się uśmiechnął.

— A i wy mnie wydajecie się młodzi! — dodał.

Kapitan Wehlen zawstydzil się, podał rękę nowemu towarzyszowi z dobrodusznym uśmiechem i szepnął:

— W istocie, macie słuszość! ja nim jestem! Młodym, dziecinnyim to prawda; lecz oprzeć się urokowi tego wejrzenia nie jest w stanie żaden człowiek. Widzieliście mojego stryja, jego siwe wasy, pomarszczoną twarz i zgasłe oczy. Cóż powiecie? patrzy na nią zdaleka tak, jakby się grzał na słońcu i wdycha, odchodząc do swej izdebki, dopóki przy arcabach nie zaponni o bogini. Żołnierze godzinami patrzą się na nią, jak na obraz; a cóż mówić o dwudziestoletnim jak ja wartogłowie?

Wehlen ze swoim uwielbieniem dla Cosel był

razem pomocą Zaklice i zawadą. Tegoż dnia poszli razem obejrzyć zamek. A było w nim istotnie co oglądać, w siedmiowierzchniej wieży, w podziemnych galerjach i gankach.

Zaklika wszystko do jednego odnosząc celu, starał się już obmyślać środki ucieczki. I nie było pono innego nad wyjście podziemiami z wieży o siedmiu wierzchach do kapitulnej, a z kapitulnej do kaplicy, od której zapomniany korytarzyk wiódł niewygodną ciasną szyją nazewnątrz w stronę miasta.

Zaklika udawał, że go te gotyckie, starożytne szczątki wielce zajmują, aby się obeznać z niemi. Cały plan już snuł mu się po głowie: hrabina nocą przebrana po męsku mogła zniść ze schodów i przemknąć się na wewnętrzne podwórze. Tu nie chodziły straże, można było łatwo w cieniu nocy i murów dostać się do drzwiczek podziemia. W miasteczku nietrudno było o parę koni, a granica cesarska pod bokiem.

Myśli te zwijały mu się po głowie, Wehlen milczenie jego brał w innem wcale znaczeniu.

— Prawda — rzekł z lekkomyślnością młodzieńczą — wam się to wydaje strasznem, zamurowanem, nieprzebytem. Wszedłszy w te lochy zimno się robi nie tylko od powietrza, ale od myśli, że to ludzie na um czenie ludzi sobie podobnych budowali, że się kopali jak krety w tej górze, aby w niej ukryć występek lub zdradę, a jednak wierz mi, kapitanie, pomimo tych murów, co otaczają nas, i tych wież, i bram, i jam, i straży, łatwiej stąd wyjść i wniknąć, niżeli się zdaje.

Zaklika zamilkł.

W kilka dni potem znalazł już sposób dostania się do pokoju hrabiny Cosel, nie obudzając podejrzenia. Szło mu bowiem o to wiele, ażeby go na siebie nie ściągnął. Hrabina, milcząc, podała mu rękę do pocałowania.

— Długo, nadto długo—rzekła chmurno -- kaza-
leś mi na siebie czekać.

— Środka nie miałem — odparł Zaklika. — Kto
ostatek waży, jak ja, ten musi być ogędnym. Nie
o mnie mi szło, ani o życie moje; lecz o to, że po
mnie, gdybym się nieroztropnie rzucił i zawiódł,
nie będzie może nikogo.

Hrabina zamyśliła się.

— Miałeś słuszość — odpowiedziała — ciebie, jako
najwierniejszego sługę, muszę zachować naostatek!
Synowiec komendanta najprzód może być użyty.

— Jakto? do czego? — zapytał Zaklika.

— Taka jest wola moja — odparła Cosel. — Weh-
len się kocha we mnie... oszalał... on zna zamek
najlepiej... jest tu panem. Nie mieszaj się do ni-
czego, zostaw mu wolne pole, pomagaj, nie widząc,
lecz nie bierz udziału... zamknij oczy. Z nim spró-
buję uciec.

— Ale to nieopatrzny i szalony chłopiec — prze-
rwał Zaklika.

— A szalonym tylko szalone się przedsięwzię-
cia udają — rzekła Cosel.

— Lecz jeśli się nie powiedzie? — spytał chmur-
no Zaklika.

— Cóż mi tam? — zimno odezwiała się hrabina —
uczyniaj mi co więcej nad to, co robią? Żalby mi
było młodego człowieka. Wy, tak, macie słuszość,
wy powinniście zostać w odwodzie.

— Młody człowiek — po namyśle począł Zaklika,
z ostrożnością, oglądając się ku drzwiom umyślnie
trochę otworzonym — młody człowiek może nie mieć
odwagi począć cokolwiek sam, i nie sędzę, żeby
to miał na myśli.

— Zostaw to mnie — odezwiała się Cosel — ja tem
pokieruję, dobrze, iż was tu mam, ale ostatniego
mego talara nie postawię na kartę...

Szmer na schodach mówić im dalej nie pozwolił. Kapitan odwrócił rozmowę, odezwał się głosem i zeszedł zaraz na niższe piętro.

Ubodło go to, iż Cosel odrzucała pomoc jego; lecz zawsze posłuszny, choć mruczając, postanowił zastosować się do jej woli.

Wehlen od pierwszych dni wziął go sobie za powiernika, nie zwierzył mu się jednak nic więcej nad to, że szalenie był zakochany w hrabine i że dla oswobodzenia jej dałby życie.

— Wy przecież nie zdradzicie mnie?—zawołał rzucając mu się na szyję.

— Ja was nie zdradzę—szepnął Rajmund—tego możecie być pewni; lecz czy się wy nie zdradzacie co chwila sami, i czy nie wydacie się nieostrożnością waszą?

Zaklika dopatrzył się wkrótce, iż Wehlen i pod ogródek na rozmowę, i do wieży pod różnemi pozorami coraz częściej chodzić zaczął. Miotał się niespokojny, jakby w ciągłej gorączce. Zaklika musiał go przy starym stryju zastępować u stolika z arcabami i na gawędzie z komendantem, która zabawną nie była, bo zwykle toczyła się około historii familij saskich, obcych z rzeczy i imienia Zaklice. Henryk biegał nieustannie, a po zdwojonej jego ruchawości i jakichś przygotowaniach, których on tak łatwo mógł dojrzeć, domyslać się mógł, iż ucieczka rychło zapewne zostanie przedsięwziętą.

Niewtajemniczonemu, nie wypadło mu się narzucać, jednakże raz Henryka w dziedzińcu sam na sam spotkawszy, Zaklika szepnął:

— Na miłość Boga, panie kapitanie, nie wiem co macie w sercu i na myśli; lecz lękam się, aby drudzy jak ja nie dojrżeli u was zbyt jawnych i jakichś, a nadzwyczajnych przygotowań: nie wiem nie chcę się domyslać do czego.

Wehlen trochę nastraszony, wzięwszy pod rękę, wprowadził go w kąt ciemny.

— Jakto?—spytał—cóż widzicie? czego się domyślacie? mówcie.

— Nie chcę się domyślać nic, a widzę — rzekł Zaklika—iż przygotowujecie się jakby do jakiegoś *salto mortale*.

— Nie rozumiem! — podchwycił Wehlen — cóż jest we mnie niezwyčajnego? co obudza te podejrzenia? Całą moją winą, że jestem zakochany, że jestem szalony, że tą miłością żyję cały!

— Patrzcie, żeby ta miłość nie doprowadziła was do zapomnienia o tem, że ja ludzie dojrzeć mogą i po niej dojść do kłębka! To, co ja widzę, może drugi zobaczyć... i...

Zmieszał się Wehlen, ale znać było, że już panem siebie nie był. Niecierpliwa Cosel musiała naglić o przyspieszenie ucieczki. Tegoż dnia Zaklika dostał się na wieżę. Hrabina chodziła niespokojna, w ubraniu nieco odmiennem niż zwykle.

— Zaklika—rzekła—nie mieszaj się do niczego: bądź głuchym. Ze starym komendantem graj jak najdłużej. Jeśliby wypadkiem alarm powstał, staraj się go zatrzymać tylko.

— Jeśliby ucieczka się powiodła — przerwał— Zaklika—cóż mam czynić?

— Natychmiast tam się stawić, gdzie ja każę.

Słowa więcej wydobyć nie było można, wskazała mu ręką drzwi.

Ze smutnem przecuciem jakimś Zaklika wyszedł w podwórzec i długo do siebie przyjść nie mógł. Wehlen, którego spotkał, był niespokojny, rozgorączkowany, co chwila spoglądał ku słońcu, które mu zachodzić nie chciało.

Stary komendant, niedomyślający się niczego, skinął na Zaklikę, aby z nim szedł napić się piwa

i siaść do gry w arcaby, która się do nocy przeciągała. Wachmistrz, który zanosił bramy i przynosił klucze, zwykle ich jeszcze zastawał zatopionych w grze napozór bardzo prostej, a w istocie pochłaniającej człowieka, który się do niej przywiąże.

Wieczór był jasny i piękny, i jak zwykle w dniach pogodnych noc nagle po zachodzie słońca zapadać zaczęła. Zaklika grał tak nieprzytomnie, uchem łapiąc najmniejszy szmer dający się słyszeć na zamku, że komendant, wygrywający ciągle, śmiał się z niego.

— Co ci jest dziś, kapitanie?—pytał.

— Głowa mnie boli.

Po kilku partjach zaczęli rozmowę. Wehlen fajkę nałożył, noc się robiła ciemna; zapalono świece: Henryka, który zwykle w tej porze przychodził, nie było.

— Pewnie mi się wyrwał na miasteczko—odezwał się komendant—bo mu tu nudno, i wołałbym to z lichem—dodał zniżając głos—niż że mi się pod wieżą modli do tej dumnej pani, której w istocie zdaje się, że jest królową, że ledwie kogo skinieniem pozdrowić raczy.

Zaklika odwrócił rozmowę...

Na zamku cicho było, godzina, o której wachmistrz odnosił klucze, zbliżała się: zapukano do drzwi.

Stary żołnierz, który wyglądał raczej na rozbójnika, najemnik, który pono przeszedł służby wszystkie niemieckie, flandryjskie i holenderskie, nim się oparł w saskiej, zjawił się blady i z twarzą dziwnie wykrzywioną w progu. Wyraz jej uderzył Zaklikę: był straszny, usta mu się trzęsły.

Komendant, choć go używał, nie lubił: ale że w ostrzejszym rygorze ludzi trzymał, rozstać się z nim nie mógł. Zwał się Wurm.

— Panie komendancie, — odezwał się Wurm — mam mu donieść o ważnym wypadku...

— Cóż? pali się — porywając się z krzesła, krzyknął Wehlen.

— Nie, ale pański synowiec ucieka w tej chwili z hrabiną Cosel z zamku, ha! ha!

Stary komendant rzucił się jak szalony ku drzwiom.

— Il! niema się czego obawiać — roześmiał się dziko Wurm, — ja na to dawno czekałem, czatowałem: wiedziałem, że to nie minie i nagroda nie minie.

— Co za kłamstwo bezecne! — zawołał komendant — jak śmiesz...

— Ja spełniam mój obowiązek — zimno rzekł Wurm — w tej chwili żołnierze ich trzymają w ganku za kaplicą i kapitan Henryk, co mnie po pyskach trzepał, gdy zły był, głowę dał!

Z wyrazem piekielnej zemsty uśmiechnął się wachmistrz... Komendant drżał, chwytając to za broń, to za klucze i nie wiedząc co ma począć. Trwoga o los synowca, do którego był przywiązany, do szalu go doprowadzała.

— Kapitanie Zakliko! — zawołał — ratuj mnie, ratuj jego!

— Niema tu co ratować — odparł wachmistrz, — jutro całe miasto się dowie i król i dwór, nadto ludzi tą sprawę widziało. O, ja to dobrze urządziłem. Zemściłem się ja, a jak wy na mnie za niego się zemścić zechcecie, no, tom ja i na to gotów.

Mówili jeszcze, gdy hałas w podwórzu od podziemia wieży o siedmiu wierzchach dał się słyszeć. Żołnierze z wrzawą prowadzili pochwyconych więźniów, hrabinę, która szła przodem niema i błada, i Henryka związanego, bo pistoletem jedną był sobie zadał ranę i życieby pewnie sobie odebrał, gdyby mu ręk nie skrępowali żołnierze.

Cosel z wściekłą rozpaczą błęła, nie oglądając się, na wieżę. Henryk stał... Stary zbliżył się doń, łamiąc ręce i włosy sobie szarpiąc z głowy. Za nim szedł Zaklika z litością w sercu dla biednego chłopaka, który tak nieopatrznie wpadł w zasadzkę. Nikt się nie oglądał nawet na Wurma, który szydersko się prześmiewając triumfował.

Stary był zmuszony w tej chwili synowca osadzić w więzieniu i z raportem wysłać do Drezna.

Napisać go nie mógł stary żołnierz, drżał i lzy ciekły mu z oczów; zawołał zwykle go wyręczającego pisarza... Ze łkaniem i przekleństwem ledwie wyjąkane słowa usłyszeć było można. Oskarżał synowca, młody jego wiek stawiając jako powód do politowania, zasługi swoje kładł na szalę: obwinił sam siebie i ślepotę swą, ale naostatek winę też przypisał i zdrajcy wachmistrzowi, który nie-poczciwie zamiast zapobiec nieszczęściu, czekał na nie, by z niego korzystać.

Podwojono strażę przy wieży: noc ta zeszła na czuwaniu i niepokoju.

Komendant wachmistrza też oddał pod areszt. Z papierami wysłano kurjera do Drezna. Wschodzące słońce oświeciło stołpeński zamek smutniejszym niż kiedyś, niemym. Cosel leżała konwulsjami miotana.

Około południa już chmurą spadli z Drezna wysłani z rozkazami króla generał von Bodt i kilku urzędników.

Na samym wstępie stary Wehlen, nie mówiąc słowa, szpadę oddał, ale mu ją Bodt powrócił. Z rozkazu króla kapitan Henryk von Wehlen i wachmistrz Wurm oddani być mieli pod sąd wojenny.

Nim słońce zaszło, wyrok zapadły na śmierć miał być spełniony. Próżne były prośby i łkania

starego komendanta, odwoływania się do łaski, i żądania chociażby zwłoki.

Cosel usłyszała strzały i drgnęła: przecucie mówiło jej, że człowiek, co ją kochał, płacił w tej chwili swą miłość życiem.

Zaklika stał blady jak trup.

Tegoż dnia Wehlen porzucił służbę, list napisawszy do króla. Wachmistrza w kajdanach zesłano do robót w fortecy Königsteinie.

XII

To była pierwsza próba hrabiny Cosel uwolnienia się z narzuconych jej więzów. Płakała po biednym, młodym zapaleńcu, który dał za nią życie, ale zarazem nad sobą. Słudze kazała się dowiedzieć, gdzie pochowano Henryka, i zanieść na jego grób wszystkie ścięte w ogródku kwiaty. Po tym wypadku zmieniło się niemal wszystko w Stolpen. Po Wehlenie komendę objął surowszy od niego, ale mniej zdolny Bierling, człowiek namiętny, gwałtowny, samowolny, dumny, mający wszystkie wady starego żołdaka, któremu się wiodło lepiej, niż zasłużył. Świeży wypadek zrazu niezmierną surowość wywołał. Hrabinie z wieży krokiem ruszać się nie pozwolono, zmieniono dawną straż i Zaklice kazano powrócić do swego pułku.

Korzystając z uspokojenia komendanta, który co wieczora, po odebraniu kluczy, bezprzytomny padał na łożo, Zaklika, nim odjechał, poszedł pożegnać panią Cosel.

Znalazł ją nawpół obłąkaną i we łzach, mówić nawet nie mogła.

— Jakto? już i ty mnie opuszczasz? ty? ze strachu — zawołała z oburzeniem.

— Ja nie z własnej woli stąd idę — odezwał się

Zaklika cicho. — Kazano mi wracać do pułku, muszę. Odchodzę dlatego tylko, ażebym lepiej mógł służyć.

— A ja mam tu wieki czekać! — płacząc, wołała Cosel — umierać powoli!

— Rozkazuj pani — dodał Rajmund smutnie, — zrobię, co każesz; nie mnie to nie będzie kosztować.

Po chwili namysłu Cosel wstała z suchemi oczyma.

— Nie, tak jest dobrze, tak musi być — rzekła, — idź, myśl sam, co masz czynić: ty to będziesz wiedział lepiej; mnie rozum opuścił, Bóg opuścił, ludzie, wszystko; lecz pamiętaj, jeśli i ty mnie zdradzisz, pomsty na ciebie wołać będę do Boga: przeklnę cię.

Zaledwie chwilę mogła trwać ta rozmowa, którą sługi zdradzić, usłyszawszy, miałyby sobie za obowiązek; nie było czasu do stracenia: hrabina wskazała Zaklice drzewo w Pillnitz, pod którem sama zagrzebała, wyjeżdżając, w przewidywaniu potrzeby późniejszej szkatułkę małą, kosztowne zawierającą brylanty. Zaklika miał je wydobyć, starać się spieniężyć i sumę ze sprzedaży mieć na potrzeby hrabiny, jeśliby się ucieczka powiodła. Zaklika ledwie miał czas wysłuchać rozkazów, gdy szmer na schodach zmusił go do śpiesznej ucieczki.

Przez lat kilka potem wierny sługa nie mógł nic więcej uczynić nad to, iż dawał znaki życia i przez przekupniów oznajmywał o sobie. Surowość byłaby może wreszcie ustała, gdyby nie nowy, podobny zupełnie pierwszemu wypadek, powtórzony i równie nieszczęśliwie zakończony, jak pierwszy.

Tymrazem hrabina była pewną, iż ucieczka powieść się musi: nakazała Zaklice czekać na siebie w oznaczonem miejscu na granicy z końmi i pieniądze. Niespokojny kapitan znalazł jakiś pretekst dostania się do Stolpen i widzenia na chwilę z hrabiną.

Zwrócono jej wiele swobody, a tej użyła na zjednanie sobie porucznika Helma, który tak samo jak Wehlen, rozkochał się do szalu w pięknej zawsze hrabinie.

Ta miłość nieszczęśliwego była może poetyczniejszą niż pierwsza, gwałtowniejszą i więcej wypróbowaną. Trwała ona lat dwa, nim hrabina, poznawszy człowieka, wywiedziawszy się o całym planie jego, zbadawszy charakter, przystała na to, aby raz jeszcze próbować szczęścia.

Porucznik Helm, oprócz wdzięku pani Cosel, był ujęty umysłem jej, wymową, poetycznością, gdyż w tym czasie zatopiona w biblii, zaczytana w prorokach, rozmiłowana w księdze świętej Starego Zakonu, Cosel stała się niby natchnioną wieszczką i prorokinią. Mowa jej, strój, ruchy, spojrzenie zdradzały stan umysłu niezwykajny, któremu towarzyszyło takie zaufanie w siebie, taka wiara głęboka i powaga niezachwiana, iż ją to czyniło zjawiskiem, mogącym nie słabego człowieka jednego, ale tłumy za sobą pociągnąć.

Już ci, co ją słyszeli dawniej mówiącą o swem nieszczęściu, na łagodnem w Pillnitz wygnaniu, zachwycali się jej wymową z uczucia płynącą, urokiem słowa, tragicznością postaci. Późniejsze nieszczęścia w dziesięćkroć powiększyły wrażenie, jakie wywierała na ludzi. Zaklika zdziwił się, ujrawszy ją tak wielką; nadzwyczajną znalazł w niej zmianę. Była to ta sama piękność, ale z surowszym wyrazem twarzy, na której cierpienie wyrzyło swe piętno, nie śmiejąc dotknąć rysów, ani ująć wdzięku. Żywość ruchów ustąpiła teraz powadze, słowa nabrały jakiegoś namaszczenia, jakby z tajemniczego jakiegoś źródła płynęły. Wydawała się kapłanką jakąś i Pythonissą. Zaklika zastał ją z ołówkiem, zatopioną w biblii. Zmierzyła go oczyma i podała rękę do

pocałowania. Staremu słudze izer zakręciły się w oczach.

— Widzisz — rzekła — żyję, Bóg mi przedłużył dni wątku, a nie uczynił tego nadaremnie. Wiem, że tych wszystkich przeżyję, co mnie przesładowali, i że im kiedyś przebaczę. Bóg mi życie przedłużył, aby mi oczy otworzyć na wielkie prawdy dla innych zakryte. Ja muszę być jeszcze wolną, mam wielkie do spełnienia rzeczy.

— A, pani — przerwał nieśmiało Zaklika — czyliż się nie obawiasz, by znowu...

— Ja się nie obawiałam nigdy i nie obawiam niczego — rzekła spokojnie. — Ten człowiek jest moim, władam nim, robi, co mu powiem, a ja mam teraz jasnowidzenie środków i dróg. On mnie nie zdradzi i los mnie nie zdradził

Rajmund zamilkł. Umówiono dzień i miejsce na granicy. Nie śmiał wypytywać ani o środki, ani o plan; drżał w duchu, lękał się o swoją panią, przewidywał, że to może los jej pogorszyć.

Odprawiła go skinieniem monarchini, z zupełnym spokojem ducha. Helm, którego widział krótko, wydał mu się tak zapalonym, tak rozmarzonym, jak biedny Henryk, który padł ofiarą młodych swych marzeń. Posłuszny rozkazom Zaklika, wzięwszy urlop, gdyż służby wojskowej nie rzucił, znajdując w niej pewne zabezpieczenie, z końmi i Wendem, którego najął, stanął zawczasu na granicy.

W nocy tegoż dnia Cosel przybyć tu miała. Z niecierpliwością niewypowiedzianą Zaklika stanął na straży; w ciszy niczem nieprzerwanej upłynęła noc: nadszedł brzask... on czekał napróżno. Cały dzień następujący zszedł na czatach i noc jeszcze następna, i trzecia. Nikt nie przybył, nie było wieści. Czwartego dnia kupcy jadący od Stolpen, w gospodzie rozpowiedzieli, że zamknięta

w twierdzy hrabina, już po wysłiznięciu się z zamku, wraz z oficerem, który jej ucieczkę ułatwił, pochwyconą została.

Tyle tylko mógł się dowiedzieć o niej i natychmiast powrócił na kwaterę, aby wiadomość mieć o wypadku i wskazówkę tego, co mu czynić wypadało.

Niestety, opowiadanie było prawdziwe. Zaklika pojechał na miejsce do Stolpen. Nie potrzebował iść do zamku, w całym miasteczku nie mówiono o czem innem. Helm przez rok cały pracował nad wygrzebaniem pod murami wąskiego przejścia, które wprost wiodło za twierdzę od strony, gdzie nawet strażę nie chodziły. Tu choć urwisko stromem było, zniść z niego wyuczył się. Otwór zręcznie zasłonięty był zewnątrz lekko ułożonemi kamieniami. Podpojęne strażę, niebytność komendanta, wszystko się zdawało zapewniać powodzenie ucieczce. W ciemną noc dżdżystą, hrabina po męsku ubrana, wysunęła się z wieży niepostrzeżona; Helm czekał na nią w trzeciem podwórzu, z którego otwór miał ich na wolność wyprowadzić. Wszystko się tu powiodło szczęśliwie, kamienie pocichu odjęte zostały, hrabina pierwsza wysunęła się z gruzów, Helm szedł za nią. Pomimo ciemności i kilkakrotnego upadku, oboje się spuścili wzdłuż bazaltowych słupów do podnoża. Na gościńcu nieopodal czekać miały konie wierzchowe. Nim do nich doszli, na zamek uderzono na alarm.

Sługa, która weszła wypadkiem do sypialni pani Cosel, lękając się o swą panią, bo ją przez cały dzień, jakby rozgorączkowaną widziała, zobaczywszy okno otwarte tylko i łóżko puste, sądząc, że mogła się w przystępie szału rzucić z piętra na skały... narobiła krzyku. Co żyło zerwało się: komendant, żołnierze, pospólstwo w miasteczku.

W obszukiwaniu po zamku, dostrzeżono otwór pod murem... Puściła się pogoń w tej chwili. Człowiek, który z końmi miał czekać, powrócił z niemi co rychlej do miasteczka.

Cosel i Helm, nie wiedząc gdzie się schronić, za radą jej puścili się polami ku bliskim zaroślom, sądząc, że tam się ukryć potrafią; ale komendant, któremu szło o głowę, bo wiedział, że straciłby ją pewnie, gdyby mu ten więzień wymknąć się potrafił; spędził całą ludność, zapalono pochodnie, konnych wysłano na drożyny i miedze i nim się na brzask zabrało, odkryto zbiegów. Hrabina i Helm mieli pistolety, raniono żołnierza w obronie; lecz na strzał wnet nadbiegli inni, i pomimo oporu, wzięto znowu więźniów.

Tak samo, jak pierwszym razem, oficera oddano pod sąd wojenny.

Helm miał jednak krewnych i powinowatych u dworu, udano się do króla i do świetnej naówczas gwiazdy, do hrabiny Orzelskiej, o opiekę i łaskę: nic to nie pomogło.

Skazany na rozstrzelanie, Helm zawieziony został do Drezna, gdzie wszelkie tego rodzaju egzekucje odbywały się na Nowym Rynku, naprzeciw głównego odwachu.

Nowy Rynek sławny był z takich krwawych widoków, na których nigdy nie zbywało cizby, a nawet pięknych pań, przypatrujących się z ciekawością łamaniu kołem, ścinaniu i wieszaniu. Tym razem młodego wojskowego tylko rozstrzelać miano, a mimo to ciekawych było wiele, gdyż historia młodzieńca, szalenie rozkochanego w Cosel, który, jak opowiadano, w więzieniu kokardę jej całował, rażno gotując się na śmierć dla swego ideału, zajmowała żywo szczególnie kobiety.

Około południa uderzono w bębny, wyszedł

oddział wojska, wyprowadzono Helma... Uczy wszystkich skierowane były na pięknego złotowłosego młodzieńca, który nie stracił fantazji, idąc na śmierć. Z zamkowego skrzydła nawet widać było wyglądające głowy pań ślicznie u fryzowanych. Kilka powozów z liberją wspaniałą ustawiły się tak, aby ostatni akt dramatu życia ludzkiego dobrze z nich widzieć było można.

Helma, który prosił, aby mu oczów nie zawiązywano, postawiono przy murze; odkomenderowani żołnierze nabili bron, oficer, który miał dać znak do strzału, stanął... ofiara już była gotową, gdy od zamku konno nadbiegł wojskowy, adjutant króla, z przebaczeniem.

Nie znalazłby ludzi, ktoby sądził, że akt ten łaski powszechną wzbudził radość: wielu znalazło się zawiedzionych, przybyli bowiem na krwawe widowisko, a odeszli z niczem i nie mieli co opowiadać w domu. Helma nazad wprowadzono do koszar. Powozy rozjechały się w różne strony, ciżba rozplynęła się zwolna po ulicach.

Na zamku w Stolpen, oprócz podwojonych znowu straży i przedsięwziętych środków ostrożności, nic się nie zmieniło. Przysłano dowódcę nowego, obwarowano niektóre furty i słabsze mury, nie tknięto jednak hrabiny, ani ścieśniono tej małej części swobody, jaka jej była dana.

Cosel pokutowała dosyć, w sumieniu swem sądząc i będąc pewną niemal, że druga już ofiara padnie nadaremnie i cieniem swym prześladować ją będzie. Nierychło bowiem doszła tu wiadomość, iż Helmowi król raczył przebaczyć.

Nikt nie wiedział, jaki los mu był zgotowany.

Zaklika, powróciwszy na dawną swą kwaterę, jakiś czas pozostał na niej, nie ruszając się nigdzie, aby podejrzeń nie obudzać...

Czuł on, że teraz kolej przyszła na niego i mężnie się gotował do tego, co za swój obowiązek liczył.

Ale dojrzawszy od tych, co go poprzedzili, ich doświadczeniem nauczony, chciał być pewien, iż ostatnia próba ucieczki się powiedzie. Nie zrażało go to wcale, iż Wehlen życiem a Helm przypłacił całą przyszłością swą — szlachetną chęć ratowania uciśnionej, niemal oszalałej niewolą kobiety.

Przez czas pobytu w Stolpen i okolicy, kapitan miał zręczność rozpoznać tak zamek, wszystkie jego stare budowy, podziemia, chody, lochy, nawet innym niedobrze znane, iż mógł tu lepiej niż ktokolwiek gospodarzyć. Zastanawiał się tylko nad tem, czy zręczniejszy mu będzie jako wojskowemu w zamku ucieczkę przygotować, lub uwolniwszy się od służby, osiąść czasowo w miasteczku i zwolna się przysposobić do uwolnienia hrabiny.

Po głośnym wypadku z Helmem jakiś czas wypadło nie dawać znaku życia, ażeby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Zaklika więc dał tylko przez zwykłego posłańca znać, iż żyje i przybędzie, a sam czekał uspokojenia.

Kilka tak upłynęło miesięcy.

W załodze na Stolpach miał towarzyszków wojskowych znajomych sobie dobrze, pojechał ich odwiedzić.

Miedzy innemi był tam i przyjaciel jego niejaki von Kaschau, dobra dusza, ale hulaka niepomierne, z którym zawsze o Polsce mawiali, bo w niej kilka wypraw odbył i języka się był nawet poduczył.

Pod pozorem więc Kaschaua pojechał Zaklika na zamek. Stary żołnierz nudził się strasznie, więc ledwie go nie zdusił w uściskach, zobaczywszy u bramy, i natychmiast ze sobą do komendanta poprowadził, aby mu tu wolny pobyt wyrobić.

Komendant, który miał rany na nogach i ciągle prawie chory leżał, Kaschauem się wyręczał i byle mu spokój dano, zezwalał na wszystko. Dwaj więc przyjaciele poszli do mieszkania Kaschaua na gawędę przy kuflu piwa.

O czemże się miała wszczać rozmowa, jeśli nie o niewolnicy, z której przyczyny ciągle czuwać musiano.

— E! — rzekł stary żołnierz — nie chcę ja sądzić, co drudzy robią, a zwłaszcza król jegomość, pan nasz miłościwy, ale co do mnie, nie rozumiem tej srogości nad kobietą i tej obawy! Co ona dziś komu uczynić może? Tyle chyba, że jeszcze się kto jak ów Helm zakocha, bo zawsze piękna i piękna. Nic jej zmienić nie mogło, ani więzienie, ani łązy i męczarnie.

— A gdybyście ją byli widzieli w blasku jej chwały, jak ja, gdym przy dworze był — rzekł Zaklika — dopierobyście poznali niebezpieczeństwo. Myślicież, że król się lęka jej pistoletów? a! nie, obawia się oczów jej i władzy, jaką miała nad nim, bo wie, że gdyby godzinę z nim mówić mogła, u nóg jej leżałby prosząc o przebaczenie...

Kaschau się rozśmiał.

— Tak, a wyszedłszy położyłby się u nóg panny Dieskau albo Osterhausen: stary, z pozwoleniem, bałamut!

— Radbym też ją zobaczyć — odezwał się Zaklika — bo to zawsze ciekawa rzecz taką kobietę widzieć, a godną jest politowania.

— Któż ci broni? we dnie jej nie wykradniesz — rzekł Kaschau, — idź się pokłoń dawnemu bóstwu.

Otrzymawszy to pozwolenie, Zaklika poszedł na wieżę świętego Jana.

Na drugim piętrze był pokój Anny Cosel; gdy zapukał, długo nie otrzymał znaku życia i odpo-

wiedzi. Uchylił drzwi z bojaźnią i widok, którego w życiu swem nigdy zapomnieć nie mógł, przedstawił się oczom jego.

W pośrodku izby był stół, zarzucony książkami i papierami. Cosel ręką jedną na nim wsparta, drugą trzymając na ustach, stała nad rozwartą ogromną biblią... i dumiała. Ubrana była tak niezwykłym smakiem, iż Zaklika uląkł się, czy przytomną była. Miała na sobie suknie szerokie czarne, z rękawami długimi, pas, na którym stały kabalistyczne znaki, a na czarnych włosach po wschodniemu zawiązaną chustkę, w którą wpleciony był zwitek pergaminu, zapisany także głoskami hebrajskimi.

Piękna była w istocie, lecz niepodobną do owej Cosel, która przyjmowała króla duńskiego w stroju brylantami osypanym. Surowsze zdawały się jej rysy, czoło zmarszczone, a małe usta nabrały wyrazu zadumy i jakby pieczęcią milczenia stały zamknięte.

Już Zaklika wszedł i stał w progu, a ona słysząc kroki nie oderwała oczów od księgi, ciągle nieruchoma z wzrokiem wlepionem w karty, jak posąg trwając w osłupieniu.

I nierychło oczy zwróciła; jakby wypadkiem zatrzymały się one na Zaklice, ręka od ust się oderwała, zdumienie odmalowało w twarzy.

— Duchem jesteś czy żywą istotą? — zapytała.

— Wierny sługa, przychodzę po rozkazy — rzekł Zaklika.

— Są więc jeszcze słudzy wierni, i ja, niewolnica, mogę jeszcze rozkazywać komu?

— Mnie — odpowiedział Zaklika — dopóki żyję.

— Jakżeś się tu dostał? tu już nikogo nie wpuszczają?

Zaklika na mundur swój ukazał.

— Po tamtych kolej na innie — odezwał się, — ja postaram się być rozumniejszym, a może będę szczęśliwszym.

Cosel uśmiechnęła się boleśnie.

— O! nie — odpowiedziała — wszystko w życiu ludzkim jest zgóry napisane, przeznaczone, nieodmienne, nikt się ze swych wyroków nie wyłamie.

— A dlaczegoż nie miałoby być wyrokiem moim, że ja hrabinie zwrócę swobodę?

Potrząsa głową.

— Dlatego, że ja w inny sposób będę wolną — rzekła. — Dawniej ciemną byłam, teraz widzę jasno we własnem przeznaczeniu, czytam je w tej księdze. Łaski niema na świecie, jest tylko konieczność, żelazna, niezłamana, nieuchronna; trzeba się jej poddać, ją badać i uczyć się jej: w jednym Starym Zakonie mądrość cała.

Niespodziany ten zwrot rozmowy zamknął usta Zaklice: nie wiedział co mówić dalej.

— Zostaniesz tu? — zapytała Cosel.

— Sam nie wiem, mam-li zostać? powiedz, pani! jam na wszystko gotów...

Cosel szybko kilka kart w księdze przewróciła.

— Trzeba się wyroczni poradzić — rzekła — czekaj; nie tak!

Zamknęła klamry księgi, podniosła oczy do góry i poczęła szeptać jakby modlitwę; potem rozwarła biblią nagle, spojrzała na prawą stronę jej: oczy padły na księgi Jozue, rozdział dziesiąty, i głośno czytać poczęła:

„I znowu rzekł im: Nie lękaicie się, ani się trwóźcie, ukrzepcie się i bądźcie mocnymi: tak albowiem uczyni Pan wszystkim nieprzyjaciółom waszym, przeciwko którym walczyćcie...”

Zamyśliła się.

— Tak, rozumiem — poczęła po chwili — mocna

będę z tobą, ale nie poczynać nie trzeba, a czekać głosu bożego. Ale jakże ty tu możesz pozostać?

Zaklika, którego ta biblija wyrocznia zmieszała, nierychło zebrał się na słowo.

— Starać się będę o to, gdy potrzeba — rzekł — w ten lub inny sposób, dostanę się na zamek lub do miasteczka. Nikt mi tu mieszkać nie wzbrowni! Ale mamże pozostać w służbie i wojsku, czy rzucić?

— Zrzucić tę liberję ohydną, ten kaftan niewoli Amalecytów — przerwała żywo Cosel. — Niewierni są: poganie, bałwochwálcy, gwiazdokłóńce.

Znowu zamilkł Rajmund.

— Potrzeba mi niewielkiego czasu — rzekł ciszej po chwili — ażeby dostać uwolnienie, sprzedać szarżę, zebrać, co mam, i przybyć do Stolpen. Kaschau, który tu jest z załogą, przyjaciel mój stary; mam dobry pozór, ani mi innego potrzeba.

— Kaschau? — spytała Cosel — jak inni niewolnicy, sługa nieprawości, oprawca.

Zamknęła bibliję i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Wracaj więc — rzekła — ani się lękaj o mnie; ja wiem, że z przeznaczeniem walczyć nie powinna, ani ciebie do walki z niem szalonej będę wyzywać. Aleś ty jeden człowiek, który mi służysz wiernie. Twoje przeznaczenie Bóg w nagrodę lub za karę splótł z mojem, musisz cierpieć razem, a w chwili triumfu pójdiesz za mną się nim napawać.

Z tego nastroju trudno było rozmowę sprowadzić, Cosel, jakby przejęta czytaniem bibliji, zapominała o tem, co ją otaczało. Zaklika postawszy u drzwi i oznajmiwszy, że jeszcze przyjdzie po rozkazy, wyszedł smutny.

W dziedzińcu u studni czekał nań Kaschau.

— Cożes z nią mówił? — zapytał.

— Stałem u drzwi napróżno i rozmówić się nie mogłem — szepnął Zaklika, — zastałem ją nad bibliją; czekałem dosyć długo; nie mogła przerwać czy modlitwy, czy zadumy: przyjdę raz jeszcze.

— Wątpię, żebyś szczęśliwiej trafił — dodał Kaschau — ona w księgach świętych szuka pociechy teraz, a raczej rozrywki. To i lepiej... A jakżeście ją znaleźli? zmieniona?

— Zapewne — odparł Zaklika, nie chcąc się z tem wydać, że ją później widywał — jakże nie ma nią być? Cosel, królowa musi być odmienną w pamięci od Cosel niewolnicy, a jednak panią ona i dzisiaj.

Tak dzień skończyli, chodząc po wałach i dookoła murów, a rozmawiając z Kaschauem o Krakowie, w którym po dwakroć był przy królu, i o wojnie. Gdy bramy zamykać miano, pożegnawszy przyjaciela do jutra, Zaklika wyszedł do gospody w rynku, by tam przenocować. Usłużny gospodarz Niemiec, widząc wojskowego, nadskakiwał mu wielce i chciał bawić opowiadaniem, lecz kapitan pożegnał go wkrótce. Nazajutrz, gdy otwarto bramy, wrócił do Kaschaua, który go ze śniadaniem czekał.

Cosel była w ogródku przy kwiatkach, skinęła na przechodzącego. Tego dnia ubiór jej był zwyczajny i mowa nawet odmienną; weselszy promień igrał na czole.

— Patrz — rzekła — to są teraz moje dzieci. Moje własne mi wydarto! Co za okrucieństwo! matce odebrać jej własność! W godzinach długich niewoli myślą tylko odgaduję, jak porosły? Nie poznałabym ich pewnie, a oneby się ode mnie odwróciły z przerażeniem... Prosiłam, by mi je choć widzieć danol! Niestety! dzieci to króla, nie moje! Powiedziano mi, że ich widzieć i znać nie będę! I jest istot tro-

je, tak moinch jak tylko dzieci matce być mogą których te oczy nie zobaczą i te ręce nie uścisną! Czujesz ty to? rozumiesz... jak się serce pękać musi?.. Gdyby mi je Bóg zabrał, szukałabym ich na łonie Ojca niebieskiego; ziemski ojciec ich, wróg mój, stoi między mną a niemi... Litościwszy Bóg dał kwiatki, te mi się śmieją za dzieci. A gdybym im mogła posłać choć po kwiatku. Nie, odrzuciłyby je ze wstrętem! One się matki lękać będą, im powiedzą, że nieżywa, lub gorzej niż umarła, obłąkana, szalona...

Zaklice się łzy w oczach kręciły.

Rzadko wspominała Cosel o swych dzieciach, jakgdyby się wspomnienia ich lękała. Domówiwszy tych słów, zamikła.

— Idź — rzekła — idź i powracaj. Radziłam się losów biblijnych i wyroczni liczb: powrócić powinienś i dotrwać tu.

Skinęła jeszcze głową i ręką, ruchem królowej pożegnała Zaklikę.

Nie miał więc już tu co robić dłużej. Dla niepoznaki zabawił z Kaschauem godzinę i, pod pozorem służby, przed południem go pożegnał. Przechodząc podwórze, już nie zobaczył Cosel przy kwiatkach, stała w górnem oknie, ubrana jak wczoraj z książką w ręku, zadumana, rozmarzona. Nie rzuciła nawet okiem na niego, tak cała była w sobie i czytaniu zamknięta.

Nie pytając, jakie go tu losy czekać miały, Zaklika posłuszny, wróciwszy na kwaterę w Oszaciu, zajął się uwolnieniem ze służby. Łatwo mu przyszło pozbyć się munduru i stopnia. Zabrał, co miał, i jednego dnia smutnej jesieni zajechał na gospodę do Stolpen oświadczając gospodarzowi, iż tu na stronę myśli zamieszkać.

Trafiał się dworek do nabycia tania, i kapitan

kupił sobie chatę z ogrodem, w której za miesiąc już wraz z Kaschauem gospodarował.

XIII

W roku 1727, we trzy lata po nieszczęśliwej z Helmem ucieczce, Stolpen, zamek i miasto, już znowu zapomniawszy o tem, co przeżyły, dawnym spokojnym trybem wiejskiego żywota, jednostajnego i cichego, wegetowały jakby wśród pustyni.

Na świecie, na dworze, przy królu wiele się zmieniło rzeczy. Hrabina Cosel była prawie pomszczoną, nie wiedząc o tem ani się starając o to. Do jej smutnego schronienia jedna za drugą dochodziły wieści żałobne, nieprzyjaciele jej znikali z tego pola lub ze świata.

Nowi ludzie, twarze, kobiety i faworyci wyrastali na ich miejscu.

Wpółśród tych ruin jeden tylko August Mocny stał, zawsze wspaniale rzucając złotem, szukając zabawy, a znaleźć jej nie mogąc...

Piękna Marynia Denhoffowa, może lękając się losu Cosel, napróżno usiłując króla przywiązać do siebie, w ostatku bezpieczniejszem sądziła pójść za mąż. Król się temu nie sprzeciwiał wcale. Bawił się najweselej zawsze na lipskich jarmarkach i przekładał znajomości krótkotrwale nad więzy, coby dłużej krępować go mogły. Tak cudnej piękności, ale milcząca i jak posąg bez życia, Erdmuta Zofja Dieskau, córka tajnego radcy Dieskau z Czepina, zachwyciła go na chwilę i wydał ją król prędko za mąż za nadwornego swego marszałka von Lossa, znajdując, że jak bryła ze śniegu zimną była. Tak potem zakochał się August w Henryecie Osterhausen, której bierne posłuszeństwo go znużyło, a synowa wygnała ją do klasztoru, skąd później Stanisławski żoną ją wywiózł do Polski...

Po tych wszystkich przemijających zapalach nastąpiło panowanie Anny Orzelskiej, córki Henryetty Duval, dawne świetności przypominające.

Anusia Orzelska w huzarskim mundurze złotem szytym, z orderem Orła białego, jeździła z królem na mustry wojsk i polowania... Król przy niej odkwitał młodością. Nowe pokolenia zjawiały się na dworze. Hrabia Rutowski jaśniał obok siostry swojej, starzy faworyci do grobu się kładli. Fürstemberg, który swym zakładem z Hoymem sprowadził hrabinę na dwór drezdeński, a później stał się jej najzajadlejszym prześladowcą, nie żył oddawna. z wielkich łask pana zwolna schodził w zapomnienie. Towarzysze jego, ministrowie pierwsi, przeczuwając, co go czekało, wyparli ze swej rady, odejmując mu wszelki czynny udział w państwa sprawach: król się odwracał od niego. Nie pozostawało mu jak z alchemją, bigoterją i myśliwstwem siedzieć w lasach w Wernsdorfie i na łowach rozmyślać o niestałości łaski pańskiej.

Ten co namiestnikiem będąc, wszystkich zgóry wiódł i przez panią Reuss całemu dworowi chciał panować, a nawet samemu panu, zszedł do zupełnej nicości. Po śmierci żony marzył jeszcze o kardynalskim kapeluszu i wybierając się na jarmark do Lipska, pojechał na świat lepszy... tak cicho, iż król, który właśnie jarmarkował, nierychło się o zgonie dawnego faworyta dowiedział. Był to gorzej niż upadek głośny, było to przeżycie siebie samego.

Nawet hrabinę Reuss wprzód mu kuzyn Lützelburg odebrał. Wpływ tego kółka, w którem Hülchen, Reuss, pani Reichenbach, jej siostra i panie Scheellendorf i Callenberg królowały... znikł zupełnie. Rozpierzchnęło się to i powymierało.

Vitzthum nie żył także od roku, a kilka lat wprzód oddalony od króla, przebył w Szwecji; za

niego i za siebie czynną niezmordowanie była żona, owa siostra Hoyma, którąśmy widzieli dopomagającą Annie Cosel do łask królewskich, a wprędce pracującą nad jej straceniem. O ile sam Vitzthum był nieznaczącym, o tyle ona, pani Rachela, jak ją zwano, pracowała za dwoje, a przybrawszy sobie z nicości wyciągniętego Watzdorfa, twarz w twarz stawiała do boju nawet z Flemmingiem. Nienawiść jej ku feldmarszałkowi zrodziła się z niechęci i kobiecej intrygi przeciw pani Przebendowskiej, którą Sasi dla ułatwienia sobie, zwali panią Brebentau... W czasie poselstwa męża w Szwecji, Vitzthumowa pałac mu budowała na rogu Kreuzgasse, który później Rutowskiemu się dostał. Vitzthumowa uchodziła za najbogatszą panią w Saksonji, a wszystko, co miała, zebrała sama.

Vitzthum skończył tragicznie.

Na rok przedtem będąc w Warszawie z królem, przy którym szambelanem i adjutantem znajdował się naówczas niejaki markiz de St. Gilles, pono nieprzyznany syn sardyńskiego króla Wiktora Amadeusza, a wedle zwyczaju swojego grając dnie i noce, poważnił się z nim u kart w królewskim przedpokoju. Vitzthum miał lat pięćdziesiąt kilka, St. Gilles dwadzieścia i parę. Gra była gruba, zapalczywy młody przegrywał; zaczął przeciwnikowi przemawiać: od słowa do słowa przyszło do lajań i razów. Hałas się stał, król się dowiedział, faworytowi starszemu dał naturalnie słuszość, zgromił Włocha i skazał go za obojętne się grubijańskie na trzymiesięczne w lipskiej twierdzy więzienie. Była to kara i łaska, gdyż komendantem w Lipsku podówczas był hrabia Castelli, wuj markiza. Zakazano mu się jednak na przyszłość pokazywać u dworu.

St. Gilles, odsiedziawszy trzymiesięczne więzienie, zbiegł tajemnie do Polski i, dostawszy się do

Nadarzyna, posłał Vitzthumowi wyzwanie. Nie mógł on go nie przyjąć, nakazał wszystkim jak najsurowiej milczenie, aby się król nie dowiedział, i na-
zajutrz dnia 13 kwietnia 1726 roku przybyć obiecał.

Wieczorem Vitzthum u córki (księżny Lubomirskiej) był na kolacji, bawił się jak najwesелей i do północy grał w pikietę. We dwie godziny potem jechał potajemnie do Nadarzyna, wziawszy z sobą jednego tylko sekundanta, hrabiego Montmorency.

Zrana, między piątą a szóstą, stanął na miejscu, posłał do markiza z oznajmieniem oficera Freneuse i że naówczas obyczajem było z konia się strzelać, siadł na koń. Zapaśnicy wyjechali przeciw sobie z wielkiem męstwem, powoli, a zbliżywszy się na strzał, markiz strzelił i ugodził Vitzthuma śmiertelnie, iż ten trupem się z konia zwałił. W tejże samej chwili strzelił Vitzthum także, ale kula jego drasnęła tylko policzek markiza i perukę. St. Gilles, nie wiedząc co począć z sobą, uciekł do Warszawy i szukał schronienia w klasztorze teatynów. Król, rozżalony, nakazał, nie zważając na prawo schronienia, marszałkowi St. Gilles'a odebrać z klasztoru. Klasztor otoczyło półtorasta żołnierza, w tej samej chwili St. Gilles, za laika przebrany, umknął na Berlin i Lipsk do Włoch...

Ciało zabitego, we wszystkie dzwony na cześć mu bijąc po drodze, wywieziono do familijnych grobów.

Taki był koniec pierwszego faworyta.

Flemming trzymał się jeszcze, on jeden umiał się stać potrzebnym i obronić od losu, który spotkał innych jego współzawodników... Budował naówczas pałace, sprzedawał, handlował dobrami i złoto na beczki mierzył. Pozbywszy się Schulenburga, odradziwszy królowi oddanie dowództwa wojsk genjalnemu synowi Maurycemu Saskiemu, marzył

Flemming o księstwie Kurlandzkim dla siebie, a o ożenieniu pięćdziesięcioośmioletniego Augusta z siedmnastoletnią księżniczką pruską, która przymierze między Saksonją, Polską (na dziedziczną przerobioną i rozdzieloną) a Prusami umocnić miała. I gdyby August II zgodził się być na to małżeństwo, przyszloby było do skutku.

Nieczny Löwendahl, który hrabinie Cosel winien był wyniesienie swoje, trzymał się jeszcze, ale z każdym dniem tracąc na sławie i znaczeniu i walcząc z silniejszym stokroć od siebie Flemmingiem, trwoniąc łatwo zdobyte mienie, pędził ku widocznej już ruinie.

Watzdorf nareszcie, ów „chłop z Mansfeldu”, przerzucając się na różne strony u dworu, dostarczając pieniędzy, frymarcząc z Flemmingiem, nie rzucił klamki dworskiej, choć król na niego patrzeć nie mógł, ale go potrzebował.

Na dworze króla ten sam panował szal zabaw i potrzeba nienasyconą rozrywek. Przybycie Orzełskiej pobudziło do nowych wystąpień, tak jak przed kilku laty ożenienie syna odznaczyło się bajecznym zbytkiem i przepychem...

Wpółśród tych najróżnorodniejszych roztargnień, które królewska fantazja sama sobie dostarczała, przychodziły chwile, w których August miał się za wielkiego wojownika i wojskowych łaknął popisów.

W tym roku król wiosny pięknej w Pillnitz zażywał, wojsko stało obozem, strzelano z dział i próbowano półkartaunów siły. Hrabia Wackerbath towarzyszył Augustowi. Mówiono o twierdzy Königsteinie i o czynionych próbach na skałach, na których się ona wznosiła. Półkartauny w proch rozsypywały kamienną podstawę twierdzy.

— A jednak—rzekł Wackerbath—znam miejsce i kamienie, którychby one nie wzięły: za to ręczę.

— Gdzie? — zapytał August.

Wackerbath spojrział na króla, zdawał się zafasowany tem, że mu się to słowo wyrwało i milczał.

— Gdzie? — powtórzył król.

— W Stolpen, na bazaltach tamtejszych, które są jak żelazo twarde, kule nic nie mogą.

— Stolpen! — zawołał August i twarz mu się okryła chmurą — a, w Stolpen!

Była chwila milczenia, król się przechadzał niepokojnie, znać było, iż go jakaś fantazja dręczyła, której zadość czynić nie chciał, czy nie mógł.

— W Stolpen! — powtarzał kilka razy. — Można by kartaunów na skałach tamtych spróbować.

Wackerbath spojrział trwożliwie na króla, który, jakby ubodnięty tem wejrzeniem, zawołał:

— Dlaczego nie mamy kul na bazaltach spróbować? przecież zamku nie obalimy? a kilka strzałów...

Wackerbath zmilczał, jakby czekając rozkazów i nie dowierzając im. August widocznie oziębłością jego był dotknięty i chciał się wyższym nad pewne względy dziecinne, które mu ktoś mógł przypisywać, okazać.

— Poślij, waćpan, do Stolpen — odezwał się — dwa działa, każ mi przygotować baterję naprzeciw tych słupów: będę sam jutro rano próbie przytomny. Tak, zrana — dodał — póki gorąco nie przyjdzie, bo dnie już bywają skwarne.

Odwrócił się od niego i poszedł.

Rozkaz króla spełniał się zawsze, mimo wszelkich przeszkód możliwych, we mgnieniu oka. Na całą noc wysłano rozkazy i działa do Stolpen... Zaklika spał w swym dworku samotnym, gdy o północy rozruch niezwykły stał się w miasteczku. Konni, wozy, wojskowi z głośnemi krzyki wjeżdżali z pośpiechem wielkim i zuchwałością żołdacką. Kapitan wychylił z okna głowę, nie mogąc pojąć,

co się stało, i sądząc, że jaki nieznany nieprzyjaciel wtargnął w Saksonji granice. Z języka jednak poznał Sasów, którzy swem *Herr Jeses!* powtarzaniem nieustannie zdradzali się łatwo. Zobaczywszy oficera, kapitan ośmielił się go po koleżeńsku zapytać—co się stało? i skąd pośpiech był tak wielki?

— Król! Najjaśniejszy pan! — krzyknął oficer, pędząc ludzi — król przybywa jutro, to jest dziś rano tu będzie.

— Król? w Stolpen?

— Tak jest i jeśli macie ludzi, ślijcie ich z łopatami, trzeba naprędce usypać baterje do rana. Będą strzelać do słupów i próbować kul siły.

— Gdzie? — krzyknął zdumiony Zaklika.

— A! gdzie! tu na górę zamkową! — śmiejąc się, powtórzył oficer, — czyż mnie nie rozumiecie?

Rozmowa się przerwała. Zaklika pochwycił się co najprędzej odziewać. Uszom swym nie mógł dać wiary! Król, król strzelający do zamku, w którym więził tę nieszczęśliwą ofiarę od lat tylu, jakby na urągowisko. Rzecz była nie do uwierzenia, nie do pojęcia. Król w Stolpen!

Jaka chwila do przebycia dla hrabiny! Włosy powstały mu na głowie; omackiem począł chwytać odzież, ubierać bezprzytomnie, machinalnie. Chciał biec, oznajmić jej o tem, przygotować ją, nakłonić do przeżycia tej próby, na którą miała być wystawiona.

Zaklika miał łatwy wstęp do zamku, zdawało mu się, że w tym zamęcie powszechnym wciśnie się i na coś przecie przydać może. Los Coseł ścisnął mu serce, lzy dobywały się z oczów.

— Król! król! — powtarzał machinalnie — a! to nie może być! W ostatniej chwili zawstydzi się, zaboje, nie przyjedzie. To nie może być. Co się z nią stanie?

Szarżało na dworze, gdy zamykając swój dworek, Zaklika wybiegł jak oszalały, pędząc pod zamek.

Na zamku wszystko było rozbudzone; wiadomość, że król przybywa, jak piorunem odpoczywających żołnierzy i starszyznę poruszyła. Z miastą z wiosek sąsiednich, żołnierze gнали płazami ludność z chat powypędzaną do sypania baterji na przedce. Płacz, krzyki i głośno wydawane rozkazy rozlegały się dokoła; konni krzyżowali się na drogach: wszyscy potracili głowy.

Jedną baterję już sypać zaczynano w zwierzyńcu przy tak zwanej Röhrlpforte, drugą na Hanewaldzie, w ogródku skarbowym (Amts-Frohns-Gärtchen)...

Gdy Zaklika do bram przypadł otwartych na oścież, w zamku wszystko było na nogach. Czyszczono, zmiatano, znoszono gruzy; komendant chrzął od wołania, oficerowie nie wiedzieli od czego poczynać. Około wieży świętego Jana cała służba żeńska i męska hrabiny Cosel stała w najdziwniej ponarzucanych ubraniach, tak jak się ze snu zerwała, sądząc, że na zamku się pali. Stali w osłupieniu, pytając jedni drugich, nie wiedząc, co się stało i co przygotowywać mogło. W otwartem oknie błada pokazała się Cosel, Zaklika wbiegł po schodach półżywy, załamując ręce.

Spotkała go w progu Cosel z zaciśniętymi ustami, cała drżąca.

— Król! — zawołała — król! a! rozumiem! Król do mnie przybywa...

— Pani—przerwał Zaklika,—król przybywa ku swoich dział na słupach u góry próbować.

Cosel się roześmiała.

— Prosty, naiwny człowieku! — zawołała — i ty w to wierzysz? Ja śniłam o nim od tygodnia. Duch mój błądził nad nim i pociągnął go ku sobie. Szu-

kał pozoru... Chce mnie widzieć. On wie, że ja go kocham, że mu przebaczę. On jest wolnym, on chce mnie poślubić, jak dał słowo. Niech mnie ubiorę jak do ślubu, jak na największą uroczystość. Chcę być piękną! Chcę mu przypomnieć tę Annę, przez którą klękał... Król! — powtórzyła z zachwytem — mój król! mój pan!

I uderzyła w dłonie.

Zaklika ze spuszczoną głową, osłupiały, stali niemy.

— Wołaj sługi moje — dodała, — niech przyjdzie Lina, niech dobędzie z kufrów suknie.

I rozpuszczone włosy czarne, które jej na białą szyję spadały, ująwszy w dłonie, biegła po ciemnej izdebce.

— Wołaj mi sługi co prędzej! on może przybyć co chwila! a ja nie będę gotową! Mój król! mój pan... August.

Zaklika wybiegł, zawołał na sługi, a sam się na schodach i niemy, zbolwały, półmartwy, nie mógł już z miejsca się ruszyć.

W zamku wrzawa była niezmierna. Dniało. Liczono minuty, liczono sekundy; wieloletnie bicia serca smały dla pośpiechu pracujących: baterje rosły w oczach ale i dzień rosł straszliwie. Najpiękniejszy w świecie ranek majowy wschodził ponad dolinami i góry, z których lekkie mgły wstawały ku niebu. Drzewa pachniały rosą skropioną, dyszała wonią łąki rozkwitłe; cała natura, jak dziecię w kołysce szczęśliwe, budziła się z uśmiechem na ustach. Wśród tego wielkiego spokoju natury, w zamku jak w poruszonem osiem gnieździe syczało, ruszało się, roilo.

Żołnierze kładli mundury i zbroi kawałki, staszczyzna dobywała najświeższych rynnstunków; komendant dowiedział się z przerażeniem, iż, prz

ciwko obyczajowi, z Pillnitz ani stół, ani kuchnia królewska, ani zapasy przybyć nie miały, a tu przecież najjaśniejszego pana przyjąć czemś należało. Co tu znaleźć, żeby ust pańskich było godnem? Wzięto naturalnie kilka sztuk ze zwierzyńca, znalazła się flaszka wina, ale jak obozowa prostota zastawy stołu miała się wydać w oczach pana tak do wspaniałości nawykłego? Rzeczywiście jeden był tylko stary kieliszek z herbami saskimi, goździen ust pana, a misy i talerze i reszta ubóstwo gospodarza przypominała. Księża z kościoła pożyczili obrusa, gospoda dostarczyła wiele: bez reszty musiano się obejść.

Półkartauny stawiono na przeznaczonych do nich wprędce usypanych baterjach. Było już po czwartej, czas upływał z szybkością przerażającą... lada chwila można się było spodziewać najjaśniejszego pana, który zapowiedział, że z Pillnitz dodnia wyjedzie. Komendant posłał na wieżę „siedmiu wierzchów” wyrostka, aby mu dał znać, gdy na gościńcu od Pillnitz tuman pyłu zobaczy.

Artylerzyści wcześniej celowali półkartauny tak, aby kule napewno w słupy bazaltowe biły. Zapawka ta wydawała się im wcale pańską, bo na nic nieprzydatną, ale fantazji musiał król dogodzić. Utrzymywało się tu od dawnych wieków podanie między ludem o jakimś bajecznem oblężeniu, w czasie którego odbite kule na napastników padały.

Wszystko stało w porządku i komendant lustrował szczupłe swe siły, gdy z wieży chłopak dał sygnał.

W tej samej chwili burmistrz, ławnicy, mieszkanie z chorągwiami i w paradzie, niosąc zardzewiałe klucze od śpichlerza wójta miejskiego, wytapili na gościniec; na dzwonnicy ludzie oczekiwali znaku, ażeby powitać pana biciem we wszy-

stkie dzwony. W miasteczku co żyło, świętecznie ubrane, zalegało rynek i ulice.

Tuman kurzu, widny zdaleka, zbliżał się żywo; nareszcie dostrzeżono jadącego przodem wyciągniętym klusem dorodnego, pięknego, wspaniałej postaci mężczyznę. Za nim gonili adjutanci, szczupły dwór i kilku zaproszonych gości. W oddaleniu drugi orszak, jakby doganiając pierwszy, pośpieszał.

Milczenie głuche zaległo szeregi... oczekiwano. Coraz widoczniej rozeznac było można niebieską zastokor króla z haftowaną na nim gwiazdą Orła Białego.

W bramie król ledwie skinął burmistrzowi i ławnikom schyłym do samej ziemi, biegł wprost drogą na zamek. Tu u wrót stała załoga, bito w bęben i komendant wyszedł z raportem. Lecz król zdawał się pomieszany, niespokojny i w złym humorze. Nie odezwał się nawet do nikogo. Zwrócił konia ku baterji na Röhrpforte w zwierzyńcu i popatrzał chwilę, nie mówiąc nic; potem ruszył pod twierdzę na Hannevalde. Przed tą baterją najpotężniejsza masa czarnych słupów, jakby związanych w pełny ogromny się wznosiła. Widać stąd było wieże, mury i okna wieży Świętojańskiej, w których postać biała migiała. Ale król nie śmiał podnieść oczów. Po krótkiej chwili zawrócił do zwierzyńca.

W tej chwili dobiegł właśnie Wackerbarth z Dreżna i towarzyszył królowi roztargnionemu, zasępiotnemu widocznie. Wackerbarth stanął z tyłu, nie mówiąc nic. Augustowi śpieszno było; dał znak: przystąpili artylerzyści do dział i ogromny huk dał się słyszeć, odbity przez okoliczne góry.

Ucho czujne byłoby z nim razem pochwycić krzyk dziwny, jakby rozpacz i boleści. Król wszakże i towarzyszący mu nie mogli usłyszeć, ani zobaczyć nic, gdyż cała ich uwaga zwrócona była na

półkartaunę i bastjon, do którego podstawy dawano ognia.

Pierwszy strzał, skierowany na mur bazaltowy, wprawdzie wybił w nim dziurę, ale żelazna kula rozbryzgnęła się na kilka sztuk. Komendant przyniósł ją najjaśniejszemu panu, August popatrzał i głową ruszył w milczeniu. Drugi strzał wymierzono już na same słupy, rosnące z ziemi u stóp bastjonu; kula została strzaskaną i kilka tylko kawałków kamienia odpadło, śnać dawniej nadkruszonego.

Kazał król, jakby zapalając się coraz, strzelać raz trzeci i czwarty na skały nieco wyżej sterzące; skutek był ten sam: kule się roztrzaskiwały, a kamień opadał tylko w tem miejscu, gdzie go trafiły... słupy wytrzymały. Za każdym strzałem pękające kule i kamienia odłamy leciały w górę i opadały, nie raniąc nikogo, jednego tylko królewskiego konia, przy Röhrpforte trzymanego, uderzył kamień w nogę i trochę skaleczył. Za trzecim też strzałem kawał rozbitej kuli, około sześciu funtów wazący, przeleciał przez mury na miasteczko i padł na słodownię, przebijając dach, sufit i rusztowania, aż do ziemi. Komendant, zobaczywszy to, pobiegł zaraz zbadać szkodę i kulę z kawałkami drzewa przyniósł przy najpowinniejszym raporcie najjaśniejszemu panu, który raczył ją oglądać.

Nie strzelano już nawet z baterji na Hanneval-de; król miał tej próby dosyć.

Od pierwszej chwili, gdy posłyszała Cosel o królu, była jak nieprzytomna; najprzód serce jej chwyciła nadzieja, że August stęskniony dla niej tu przybywał. Ubrała się z gorączkowym pośpiechem, z największem staraniem, patrzyła długo w zwierciadło, uśmiechając się sama sobie.

— A! nie, to nie może być inaczej — szeptała, — jestem pewna, przybywa do mnie. Mógłżeby

strzelać do tych murów, w których ja siedzę zamknięta, dla zabawki?... Al nie! to koniec mojej niewoli, to mojego triumfu początek.

Biegała od okna do okna. Z jednego widać byłą pillnitzką drogę i na niej Nider-Thorn. Postrzegła tumany pyłu, serce jej biło, płakała. Wtem dały się słyszeć dzwony, bębny; król wjeżdżał... cisza. Przycisnęła serce dłonią, czekała. Zdawało jej się, że go usłyszy na schodach, że go ujrzy we drzwiach, pełnego łaskawości i litości. Długo trwało potem milczenie złowrogie... i sirzał się rozległ... strzał i krzyk. Cosel upadła na ziemię. Nagle porwała się ją wściekła, rozjuszona, z rozrzuconemi upadkiem włókami i pobiegła do stolika.

Ręce dygoczące ze wzruszenia odmawiały jej prawie posługi; odsunęła szuflady, rozwinęła jedwabne chusty, dobyła pistolet, który jej nigdy nie opuszczał i ukryła go w szerokim sukni rękawie.

Jak oblakana przybiegła do okna najbliższego, rozglądając się w prawo i w lewo. Z tej strony słychać było trzaskające strzały i skały gruchotań, których odłamy dolatywały do okna. Cosel wyprósowała się, oczy jej pałały ogniem, ręce drżały, pierś się podnosiła gwałtownie. Czekala.

Za każdym strzałem chwytala się za głowę i serce, jakby nie wierząc uszom, nie ufając oczom. Śmiech dziki błakał się po ustach, a łzy napęlały powieki.

Za czwartym strzałem ucichło.

I długo było cicho; Cosel się nie ruszała z miejsca, w prawej ręce trzymając i cisnąc pistolet.

Już prawie znużona tem oczekiwaniem pamiatała, gdy na drodze pod oknem tętent konia dał się słyszeć. Cosel wysunęła się do pół... patrz!

To był on! on! August! Jechał sam, pędząc konia drożyną pod murami.

Krzyknęła: podniósł głowę, stanął i rękę przyłożywszy do kapelusza, niemy, blady, stał, rwąc konia, który mu się wyrывał.

Hrabina wychyliła się ku niemu z okna, jakby się rzucić chciała.

— Królu! panie! litości!

August nie odpowiedział, Cosel się uśmiechnęła.

— Litości od ciebie się spodziewać, okrutniku nikczemny! ty, co słowa łamiesz i karzesz za nie tych, co się o nie upominają! Litości! od ciebie? Co dla ciebie ludzkie życie, czem serce ludzkie dla ciebie? Cosel, niewolnica, gardzi tobą, brzydzi się, przeklina. Ciebie i pokolenie twe, i kraj i imię. Giń, nikczemny!

W tej chwili dobyła pistoletu i... strzeliła do króla.

Głucho rozległ się strzał ten po zamku i śmiech: Cosel padła. Król jak osłupiały, usłyszawszy świst kuli, która mu kapelusz drasnęła, oprzytomniał; skłonił się z uśmiechem i konia puścił cwałem.

Nie dziw, że potem nie przyjąwszy śniadania u komendanta, chmurny, natychmiast nazad do Pillnitz odjechał *).

XIV

Gdy Zaklika, przerażony strzałem i hałasem, wszedł do pokoju Cosel, zastał ją bladą, bezprzytomną, leżącą na ziemi. Koło niej wystrzelony dygotał pistolet. Domyślił się wszystkiego. Sługi nadbiegły także ratować panią, która zdawała się jakby umarłą.

Ludzi wielu słyszało strzał, August wszakże ni-

*) Bei dieser Gelegenheit, hatte Sie nach dem Kurfürsten geschossen (Stolpen Stadt und Schloss 66).

komu o nim nie powiedział i zamilczał. Domyślano się stąd, iż o nim rozpowiadać nie należy.

Nierychło poruszona tym wypadkiem hrabina wróciła do sił i dawnego trybu życia. Wiedziała ona, iż teraz nie ma się już czego spodziewać: los jej był rozstrzygnięty na wieki.

Nie dziw też, że wśród tej długiej, jednostajnej niewoli, w umyśle jej chwilami czuć było jakby obłąd jakiś, jakby zwichnięcie i szaleństwo.

Napozór jednak poddając się swojemu przeznaczeniu, Cosel i po tym roku 1727 nie wyrzekła się nadziei oswobodzenia. W rok potem, mając przez Zaklikę znaczną sumę ze sprzedanych klejnotów, usiłowała, nie radząc się go, nie mówiąc mu nic, wyrwać się, przekupując otaczających. Jednego dnia późnej jesieni spuściła się z mieszkania swojego na wieży, mając przyrzeczoną pomoc do wdrapania się na mur przy ogródku. Żydzi handlarze, których do tego użyła, kazawszy sobie zapłacić sowicie, niezręcznie posilkowali jej do tej ucieczki. Już była na drugiej stronie muru, który po lekkiej drabinie ze sznurów miała odwagę przebyć, gdy warty, usłyszawszy ruch u stóp wieży, załogę zaalarmowały. Komendant przypadł, i nim hrabina miała czas oddalić się cokolwiek od zamku, pochwycono ją, odprowadzając zpowrotem do mieszkania, u którego odtąd znowu stały warty.

Nie wzbraniano jednak przybywającym do Stolpen widywać się z nią, a trochę później we dnie do ogródka wychodzić.

Zaklika siedział ciągle w miasteczku, nie obudzając szczęściem podejrzeń, gdyż zachowywał się spokojnie i w ostatnim wypadku posadzonym nawet być nie mógł. Cosel dawała mu różne rozkazy, ale dotąd nie żądała nawet pomocy do ucieczki.

W następnym roku podrażniły nieszczęśliwą nie-

wolnicę wiadomości o obchodzonem świetnie, świetniej może niż kiedykolwiek, karnawale w Dreźnie, z powodu przybycia Fryderyka Wilhelma wraz z synem Fryderykiem (Wielkim). Pobyt ich tutaj trwał cztery tygodnie.

W kilka dni po przybyciu Fryderyk pisał stąd do Seckendorfa: „Tutejsza magnificencja jest tak wielka, iż sędzę, pewnie u Ludwika XIV nie mogła być większą, a co się tyczy rozwiązłego życia, wprawdzie jestem tu dopiero od dwóch dni, ale muszę powiedzieć prawdę, że nic podobnego w życiu nie widziałem”.

Magnificencje te trwały cały miesiąc, rozpoczęte dnia 13 stycznia. Króla pruskiego przyjmował Flemming w Elsterwerday i stąd wysłano po syna Fryderyka, którego August zapraszał.

Nazajutrz król z synem z maskarady odbywającej się u feldmarszałka przyszli powitać przybywającego. Następne dni sływały na nużących zabawach, komedjach, baletach, pokazywaniu zbiorów i kosztowności. Na rynku wyścigi dnia jednego, potem gonienie do pierścienia, ciskanie dziurytów i t. p. Nie przeszkodziło zabawom, że wybuchły pożar w cehauzie zmusił gości do ucieczki z mieszkania. Sadzono się na karuzele, w których król występował po polsku w galonowanej sukni złotej z białymi i niebieskimi piórami. Myśliwstwo, oglądanie zamków nie ustawały. Cosel wiedziała o tych wszystkich wymysłach, które się powtarzały z dawniej jej dobrze pamiętnych.

Orzelska bałamuciła Fryderyka Wielkiego, który był nią mocno zajęty, a król zazdrosny wypłacał się figlami. Dlatego to później o nim pisząc Fryderyk, mówił: „Król polski jest ze wszystkich w świecie monarchów najfałszywszym i wzbudzającym we mnie wstręt największy; nie ma czci ani wiary:

oszukaństwo jest dlań jedynem prawem.. własny interes a różnienie drugich ciąglem staraniem. Ale raz mnie tylko potrafił podejść i więcej nie zdoła".

Pomimo tych uczuć obu Fryderyków pruskich dla Augusta, najczulej się ściskano, a trzpiotano. Jednego dnia król August z księżną Teschen grał rolę gospodarzy i prowadził zabawę, w której występowali chłopci francuscy (żona księcia następcy), włoscy komedjanci (Orzelska), górnicy (Rutowski i pani Manteufel z domu Błudowska), w ostatku chłopci norwescy (feldmarszałek Flemming i żona jego z domu księżna Radziwiłłówna). Król pruski był przebrany za *pantalona*, a Fryderyk Wielki za *norweskiego chłopca*!

Król szczególnie odznaczał się nadzwyczajną uprzejmością dla swych gości i niesłychanego bogactwa strojem, okrytym brylantami. Pomiedzy niemi jaśniał nabyty przed piętnastu dniami, blisko dwóchsetkaratowy brylant najczystszej wody.

Odbywszy całą miesięczną tę zabawę na dworze drezdeńskim, król pruski pisze poufnie do Seckendorfa: „Jestem w Dreźnie, skaczę i tańczę, a zmęczony daleko więcej, niż gdybym codzień po dwa jelenie uszczuł. Wracam do domu znużony przebytemi tu przyjemnościami. Z pewnością żyje się tu nie po chrześcijańsku, ale Bóg mi świadkiem, że w tem żadnej przyjemności nie czułem, i powracam tak czysty, jak przybyłem”.

Zabawom tym królewskim nie było końca.

Najwspanialszą i ostatnią pono był obóz w Mühlberg nad Elbą, który trwał miesiąc cały; opiewali go poeci, ale też i wysmiewano się z niego pocichu.

Miejsce na obóz oczyszczone z lasu, zajmowało mil trzy obwodu.

Spędzono chłopów i górników i wpień go wycięto. Dwadzieścia tysięcy piechoty i dziesięć jaz-

dy polskiej i saskiej stało obozem; wszystko na nowo wyekwipowane i na francuski sposób wyegzercytowane. Najwspanialsze były kawalergardy grands mousquetaires konni, grenadjerowie konni, gwardja konna, spahi i kozacy, a z piechoty janczarowie i bataljon lejbgwardji grenadjerów Rutowskiego.

Janczarowie mieli mundury z lamy złotej, a Rutowskiego bataljon z najogromniejszych ludzi zachwycił króla pruskiego nad wyraz wszelki. Król miał główną kwaterę w Zeitheyn, w drewnianym, naprędce wzniesionym, ale olbrzymim budynku, o dwóch piętrach z suterenami, okrytym zewnątrz płótnem malowanym. Do malowania tego sprowadzono umyślnie sześciu dekoratorów z Włoch. Na chorągwi powiewało godło: *Otia Martia*. Oprócz pałacyku, król miał dwa ogromne namioty.

Z gości przyjmował August znowu króla pruskiego z synem i mnóstwo cudzoziemców, piętnastu posłów samych a sześćdziesięciu dziewięciu hrabiów i trzydziestu ośmiu baronów.

Z Francji przybył nawet Marechal de Saxe.

Więcej się tu bawiono, muzyki słuchano, tańcowano i spalono ogni sztucznych, niż popisywano z wojskami. Na jednej z uczt tutejszych podano sławny ów olbrzymi pasztet, czy ciasto, długie na szesnaście łokci, a sześć szerokie, na które poszło siedmnaście szafli mąki. Przywieziono je na wozie ośmią końmi ciągnionym, a cieśla musiał je krajać. Wszystkie te pomysły płodny w nie August sam wynajdywał i wykonaniem ich się zajmował. Sławny Zucchi sztychował później ku podziwowi potomnych historję mühlberskich cudów; opiewał je König poeta nadworny, a Fryderyk Wielki z nich szydził nielitościwie.

O wszystkim tem donoszono i rozwożono wia-

domości po kraju, lud i słudzy je chciwie powtarzali, a Cosel także słuchać musiała, gorzko uśmiechając się fetom, które świętokradzko, bez czucia, powtarzały kropla w kroplę te, jakie August dawał dla niej.

Jątrzyła ją ta obojętność króla, rozbudzając chęć wyrwania się z więzów i pomszczenia może na nim swej niedoli a jego niewiary.

Przychodziły na nią takie dni szału i niepokoju, a potem znowu bezsilności.

Kilka razy miała już na ustach powiedzieć Zaklice: „na ciebie kolej”. On też spodziewał się tego i czekał. U niego zawsze w gotowości było wszystko, sam jeden był, mógł umrzeć.

Przez lat tyle pobytu w Stolpen miejsce i ludzie byli mu doskonale znani. Myślał po każdej nieudanej wyprawie, jakby przyszłej zapewnić powodzenie. Był to jedyny przedmiot, którym się zajmował. Wyzywać ją jednak na niebezpieczeństwo nie chciał: czekał.

Jednego dnia, gdy żydzi razem z innym towarem przynieśli jej hamburską gazetkę, w której było opisanie ostatnich zabaw czasu bytności króla pruskiego, a między innemi karuzelu, niegdyś dla niej po raz pierwszy wymyślanego, Cosel oburzyła się; oczy jej, jak zwykle, gdy bywała poruszona, zaiskrzyły się: odczytała dziwnym stylem napuszczonym opowiadanie... zmięła i zdeptała.

Zaklika na to nadszedł.

Chodziła długo zamyślona.

— Masz jeszcze ochotę życie swoje ważyć dla mnie? — zapytała pocichu.

— A! zawsze — poprostu odparł Zaklika.

— Masz jaki sposób ratowania mnie?

— Będę go szukał.

— Żal mi ciebie, najwierniejszym mi byłeś —

rzekła — ale nie żaluję siebie; gotowam zginąć sama. Muszę się stąd wyrwać... muszę.

Rajmund stał zamyślony.

— Potrzebujesz wiele czasu?

— Nie mogę się obrachować — odezwał się Zaklika — trzeba raz tak począć, aby dokonać, co się zamierzało.

Skinęła Cosel, Zaklika wyszedł i nie zachodząc do nikogo, wysunął się poza zwierzyniec, potrzebując sam na sam myśli zebrać. Rozmaite plany miał oddawna, wszystkie one najlepszymi się zdawały, a jednak każdy miał jakąś wadę.

Wszystkie poprzedzające próby chybiły przez to, że się zawczasu o próbie dowiedziano, należało tę obwarować, aby nie została odkrytą, aż gdy Cosel dostanie się za granicę: potrzeba było zatrzeć ślady ucieczki i omylić pogonie.

Nieszczęściem Zaklika nikogo nie miał do pomocy, oprócz kilku wiernych, znajomych Wendów, bojaźliwych i niezręcznych. Rachować mógł na ich uczciwość, lecz wcale nie na przebiegłość.

Pora, w której ucieczkę wykonać należało, zdala mu się ta najlepsza, gdy jak najmniej spodziewać się jej mogli na zamku.

Powiedział więc sobie: we dnie.

W bramach zamku ścisłej kontroli wchodzących i wychodzących nie utrzymywano, puszczano przekupniów do hrabiny, do komendanta i mężczyzn nie zwracali żadnej uwagi. Wnosił więc, że Cosel w chmurny lub słotny dzień, nad wieczorem, okryta jego płaszczem wojskowym, z czapką na oczy nasuniętą, śmiało wyjść mogła i straży jej nie zaczepiła. On zaś sam miał o kilka kroków iść za nią i przeprowadzić za zwierzyniec do koni wierzchowych, które tu dosiąść mieli i puścić się zaroślami i lasem bez drogi w góry. Lasy łączyły się

naówczas ze zwierzyncom królewskim, konie miały wpogotowiu trzymać Hawlik.

Przez kilka dni Zaklika ważył i rozważał... nic lepszego znaleźć nie mógł.

Przyszedł więc do hrabiny, poddając jej myśli swoją.

Chwyciła się jej gwałtownie, znajdując bardzo szczęśliwą.

— Pierwszy dzień dżdżysty, niema czego zwlekać — zawołała — trzeba próbować. Jestem zdecydowana się bronić, spodziewam się, że i ty nie dasz się wziąć im gołą ręką; trzeba się więc uzbroić.

— Ja mam nadzieję, że to nie będzie potrzebnem.

Cosel nic nie odpowiedziała.

Przez dni kilka niebo było wypogodzone i jasne. Zaklika przychodził codzień, czyniono przygotowania; przewidując, że tu już nie powróci, sprzedał za bezcen swój dworek i spieniężył, co tylko było można.

Naostatek niebo się chmurami zaciągnęło późno we czwartek i zdawało się, że na dni kilka stała się ślota zapowiada. Zaklika umyślnie płaszczem okryty kręcił się, wchodząc i wychodząc z twierdzy, ucząc żołnierzy, iż na zapytanie odpowiadać nie lubi. Szły próby jak najlepiej. W piątek padał deszcz od rana; gdy zaczęło zmierzchać, wszystko było wpogotowiu. Sługi Cosel otrzymały uwolnienie do miasteczka.

Okryta płaszczem żołnierskim, z czapką na głowę nasuniętą, zgarbiona, Cosel posunęła się ku pierwszej bramie świętego Donata i nikt na nią nie zwrócił uwagi; w drugiej żołnierz popatrzył i przepuścił, nic nie mówiąc.

W kilka minut potem, prawie podobnie okryty Zaklika śpiesznie szedł przez bramę pierwszą, w której nie spotkał nikogo; w drugiej żołnierz zaczął mruczeć:

— A wiele was tu jest? tylko co jeden, już drugi?
Zaklika odsłonił mu twarz.

— Djabeł cię zna — odezwał się żołnierz — tylko wiem, że jeden wszedł, a dwóch wychodzi.

— Jakich dwóch?

— Juściżem nie ślepy.

Zaklika, nie zważając, posunął się ku wyjściu: żołnierz go zatrzymał.

— Ależ mnie tu wszyscy znają — rzekł, śmiejąc się — czegoż chcecie?

— Idź się tłumacz do komendanta, a nie, to cię nie puszczę.

Zaczęli się z sobą kłócić, zrobił się gwar, nadbiegł wachmistrz. Poskarżył mu się grzecznie Zaklika, że tego jeszcze nigdy nie bywało: puszczono go.

W kilka chwil znikł w zaroślach za zwierzyńcem, ale żołnierz mruczał.

— Cóżes do niego upatrzył? — zapytał wachmistrz.

— Na straży muszę liczyć ilu wchodzi a ilu wychodzi: jeden w takim płaszczu wszedł, a dwóch ich wyszło. I ten pierwszy taką miał minę, jakby on wcale żołnierzem nie był. A nuż Cosel? — dodał, śmiejąc się.

— A no! pleciesz! — rzekł niespokojnie wachmistrz.

Staął, pomyślał i poszedł ku wieży świętego Jana. Tu dowiedział się od posługacza kuchennego, że kobietom wszystkim dane było pozwolenie na miasto.

Wbiegł na drugie piętro, pokój był ciemny i pusty; na trzecim też nikogo. W ogródku szukać w deszcz śmiesznem było, wachmistrz głowę tracił i pobiegł do komendanta. Ten wybiegł z ludźmi najprzód pod wieżę, przeszukano wszystkie kąty, a czas upływał. Zaczynało dobrze zmierzchać. Nie

ulegało już wątpliwości, iż Cosel uciekła. Uderzono na gwałt i komendant z ludźmi, rozdzielwszy ich na kilka oddziałów, wybiegł w pogoń zrozpaczony.

Cosel tymczasem biegła do koni, które w znaniem jej miejscu stać miały: omyliła się w pośpiechu i zbłądziła... Zaklika dobiegł do nich, gdy jej jeszcze nie było. W rozpaczy puścił się szukać, nie śmiejąc nawoływać, bo już bicie na alarm słyszeć było.

Straciwszy czasu niemało, spostrzegł ją stojącą pod drzewem, już w zwątpieniu: pochwycił ją za rękę i doprowadził do koni. Cosel, odzyskawszy przytomność umysłu, rzuciła się na siodło, Zaklika chwycił konia za cugle, gdy ludzie z załogi nadbiegli i otoczyli ich. Nie mógł się bezbronnie dać wziąć Zaklika i, wołając na nią, aby uchodziła, stanął z pistoletami i szablą do walki.

Kilka strzałów zahuczało i świsnęło, i poczciwy Zaklika rażony kulą w samo czoło, jęcząc, powalił się na ziemię... W tejże chwili żołnierz chwycił konia hrabiny, która napastnika trupem położyła, ale tuż przyszedł drugi i trzeci, poddać się było koniecznością.

Komendant nadbiegł, gdy już dwa trupy zimne leżały na ziemi skrwawionej, a trzeci ranny dogorywał.

— Pani hrabino — zawołał — licz pani, ile życia ludzkiego jej wycieczki daremne kosztują!

Skoczyła z konia i zbliżyła się do leżącego trupa Zakliki. Bładem usty pocałowała go w krwawe czoło. Rękę trzymał machinalnie przyciśniętą do piersi; gdzie był złożony i powierzony mu akt przyrzeczenia królewskiego, który Cosel zdjęła z niego i zabrała z sobą.

Odprowadzono ją na zamek milczącą i pogrążoną w myślach, z których nieprędko wyszła. Sie-

działała po całych dniach zanurzona w biblji i obudzała litość nawet w tych, którzy jak najobojętniej na jej los patrzyli. Zaklice kazała sprawić pogrzeb, na który posłała pieniądze.

— Mnie go nikt nie sprawi — rzekła, — nawet dzieci, bo te mnie nie znają. Sama jestem na świecie.

Cosel, w chwili, gdy to się działo, miała już lat czterdzieści dziewięć. Piękność jej, jak świadczą wszyscy współcześni, oparła się latom i cierpieniom; była jeszcze piękną, a rysy twarzy zachowały wdzięk dawny i oczy nie straciły blasku.

Od tej pory przestała wychodzić do swego ogródka, otoczyła się książkami, czytała biblję, studjowała kabałę; kazała sobie księgi hebrajskie tłumaczyć; zabijała czas, nie mogąc zabić siebie. Były to ostatnie lata panowania Augusta II, który je spędził, naśladowując pilnie pierwowzór swój, Ludwika XIV. Świetne zabawy i przepych ustąpiły nieco fantazji budowli olbrzymich, zakładaniu gmachów, wznoszeniu pałaców.

Drezno, drewniane dotąd i dość niepozorne miasto, rozkazano albo przebudowywać z muru, lub domy sprzedawać. Wzniesiono najprzód ratusz na starym rynku: Flemming, Vitzthum, Wackerbarth, Sułkowski, musieli wznosić pałace. Od Flemminga odkupił król pałac japoński, wprzód holenderskim zwany; zakładano ogrody, wznoszono koszary, projektowano monumenta; stał już piękny Zwinger, cacko w swoim rodzaju, który miał być tylko podwórcem do olbrzymiego pałacu nowego. Piękne drzewa pomarańczowe, które dziś zdobią latem Zwinger, mają bajeczną historję swoją. W tym roku 1731 król naukową ekspedycję wysłał do Afryki, jako balast wrzucono w okręt czterysta ściętych drzew, które do robót tokarskich miały być użyte; spróbowano je posadzić: większa ich część ożyła.

W okolicach Drezna wznosiły się zamki Moritzburg, Hubertsburg, domy letnie w Pillnitz i t. p.

W roku 1731 przedstawiono z wielkiem powodzeniem operę *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, w której występowała po siedmkroć piękna Faustyna, słynna śpiewaczka, a po siódmym przedstawieniu mąż jej uznał właściwem udać się do Włoch, dla dalszego muzycznego wykształcenia.

Chociaż Sasi niewiele mieli praw, o któreby się upominać mogli i śmieli, a August nie dopuszczał marzeń o swobodach podobnych tym, które mu Polskę obmierziły; wszakże sejm saski dla samej reprezentacji zebrać w tym roku pozwolił i z wielką ceremonją odbył się on w sierpniu; a Lubomirski, Sapieha, Czartoryski i podkanclerzy Lipski byli świadkami, jak to się tu te obrady cicho, porządnie, pięknie i programowo odbywały.

Jesienią król pojechał do Polski, przyjmowany przez wielu dygnitarzy w Łowiczu, i zamieszkał w Wilanowie. Tu obchodzono świętego Huberta. W następnym roku świetny znowu karnawał z gospodarstwami obchodzony był w Dreźnie. Król ruszył do Polski, skąd dwanaście par żubrów wyprowadzono do zwierzyńca w Krejern, ale te bezpotomnie tu wygasły. Najjaśniejszy pan nie lubił plotek, postąpiono sobie surowo z panem majorem d'Argelles, który paszkwile z Paryża słał do Warszawy. Złamano mu szpadę nad głową, oprawca go opoliczkował, potwarcze pisma w gębę mu zatkaną, a potem na całe życie posłano go do gdańskiej fortecy.

W Dreźnie budowano niezmiernie, zaczęto hotel inwalidów na wzór paryskiego i wiele innych budowli. Wilanów też dla króla odnowiono i tu zebrał się na podziw polski obóz, na wzór onego głównego pod Mühlbergiem.

Nie pomagało jednak wcale na chorobę i sam
stał zerwany. Szlachta wcale się na króla nie
zdała, a król też cierpieć jej nie mógł. Postanowił
iż jechał August z Fryderykiem i Karłem oglądać
głównie, które dwa tysiące robotników wznowiło
prace ziemie, japońskich palców, koczary, koczary,
wielkie. Król się starał, choć chciał zawsze mło-
dą udawać. Jeszcze w roku 1697, gdy padł był
zapewniając się przed księżną Lubomirską, ułaski so-
bie nogę niebezpiecznie. Kazało mu się wznosić,
o czym wcale nie myślał. W roku 1727 musiano
zgangrenowany palec u nogi odciąć, a Włost
ręce, który się podał operacji, głowę wzięł, gdyby
nie nie ułaski. Powiedziała się jednak szlachcie,
pomimo to, z trudnością mógł się tak na nogach
trzymał i rozmawiać z damami, na taborecie
przysiadł.

W ostatnim roku, w Lipsku jeździł, odwiedził
wielki swój jarmark noworoczny, oglądał przy-
prawione konie; potem karmował urzędników
w Dreźnie otworzył, a ze sobą się zbliżał, ruszy-
ł do Warszawy w dniu 16 stycznia.

Droga zimowa, uderzenie w nogę przy wywar-
daria, spowodowały gangrenę i w trzy dni król nie
żył. Bzdurna rzecz, że w takim czasie do lat sześć-
dziesiąt trzeci mógł wytrzymał.

Przywożiliśmy wyżej wale zdek o Augustynie
wielej więcej zgodnych w ocenieniu jego charakteru.

W kilka lat po zgonie króla Schultenburg wa-
żany przez Wolke, napisał o Augustynie I.

Pewną jest rzecz, że król August polski był
jednym z monarchów najwybitniejszych, jałch
sobie wyobrazić można protendentem, posiadał
sąd o rzeczach sprawiedliwy i dar rozróżniania
naprawdę, nadzwyczajną zręczność i energię. Był
bardzo pracowity i tak pilny (20), jak prywatny

człek, który się chce czegoś dobić: kto go w różnych okolicznościach nie widział, ledwieby mógł uwierzyć, do jakiego stopnia umiał udawać i dyssymulować; zdolny był bardzo pojąć wszystko i wedle swego sposobu widzenia rzeczy się kierować. Oprócz tego rozumiał wojnę wielką i małą, siedząc na koniu doskonale zdejmował plany, wszelkiego rodzaju fortyfikacje znał dobrze, napaści i obrony twierdz; — wybornie w każdym wypadku umiał należyte rozporządzenia wydawać i instrukcje, na-ostatek znał artyleryjską naukę jak ci, co się jej z powołania oddają".

Jedyny syn Augusta, który dziwne odebrał wychowanie między wyznaniem protestanckim a katolicyzmem trzymany, aby wedle potrzeby mógł jedno z nich wyznawać, na lat kilka oddalony był z Saksonji i w tej podróży przez jezuitę Salerno ostatecznie został nawrócony. Na dworze Ludwika XIV znajdowano go bardzo skromnym, bojaźliwym i rozsądnym. Dopiero 1717 roku ogłoszono publicznie nawrócenie go na wyznanie katolickie, któremu pozostał wiernym. Stwierdziło to ożenienie z księżniczką austriacką Marią Józefą. Po siedmioletniej niebytności młody kurfirst powrócił do Drezna z żoną.

August III różnił się od swojego ojca obyczajem i charakterem najzupełniej: był pobożny, skromny, nadzwyczaj leniwy, ale lubił też zabawy, a szczególnie polowania. Przyznawano mu rozsądek i zdrowe rzeczy pojęcie, lecz wstręt do wszelkiego zajęcia.

Panowanie Brühla i Sułkowskiego zwiastowało się już zawczasu, bo w ostatnich latach Augusta II; przypuszczano jednak raczej, że drugi z nich będzie owym wszechwładnym ministrem, jakim się później stał pierwszy.

Gdy wieść o śmierci Augusta II doszła z War-

szawy do Saksonji i obwieszczano ją po całym kraju, odbierając przysięgę na młodego kurfirsta, komendant ówczesny fortecy Stolpen sam ją przyszedł oznajmić hrabinie Cosel.

Stara długo niema i osłupiała, potem załamała ręce rozpaczliwie i rzuciła się, płacząc, na ziemię.

Niewola, okrucieństwo, zapomnienie, doznane krzywdy, nie mogły jej niewieściemu sercu odjąć miłości, jaką miała dla niego. Odtąd znowu był jej ukochanym Augustem, a wszystko złe poszło w zapomnienie!

W pięć czy sześć dni z Drezna przybył niejaki Hennicke, który później tak świetną zrobił karierę, kazał się zameldować do hrabiny Cosel, w poselstwie od kurfirsta. Siedziała jak zwykle nad książkami swojemi, gdy się ukazał w progu.

— Jestem przysłany do waszej ekscelencji — odezwał się — od najmiłościwszego pana, aby jej dobrą nowinę zwiastować, żeś pani wolną, i możesz, gdzie się jej podoba, zamieszkać.

Cosel ręką potarła po czole.

— Ja? wolną? — zapytała. — A na cóż mi dziś wolność?... Ludzie mi, ja ludziom i światu stałam się obcą. Gdzież pójdę? Nie mam kąta, zabrano mi wszystko! z kim żyć będę? nikt mnie nie zna! Chcecież mnie wystawić na pośmiewisko, aby tę hrabinę Cosel, przed którą wszyscy skłaniali głowy, palcami wytykano?

Hennicke milczał.

— A! nie! nie! — powtórzyła — nie, wolności nie chcę; nie mam gdzie się podziąć: proszę, zostawcie mnie tu. Przyrosłam do tych murów, wszystkie łzy moje w nich wylałam, nie umiałabym żyć gdzie indziej; zostawcie mi ten kąt, proszę: nie pożyję długo.

Hennicke odpowiedział tylko, że najjaśniejszemu panu odniesie prośbę hrabiny.

Łatwo się domysleć, że dozwolono jej tu pozostać. Hrabina w roku 1733 miała lat pięćdziesiąt i trzy. Po tylu przecierpianych kolejach nie spodziewała się już długiego życia.

Ale nikt nigdy nie odgadł swoich przeznaczeń.

Hrabina Cosel urządziła się wygodnie na wieży świętego Jana i przytykającym do niej ogródku. Głównem jej zajęciem i ulubionem czytaniem były książki hebrajskie, literatura Wschodu, kabała. Otaczała się też ciągle żydami i przez nich otrzymywała wszystko, czego potrzebowała. Pensja jej, wynosząca trzy tysiące talarów, starczyła na utrzymanie, na zakupno książek i wykupywanie niepoczciwych, satyrycznych medalów, które August II, o zakład z nią poszedłszy, wybijać kazał. Kupowała także rzadkie talary z herbem jej i króla. Uprosiła je sobie wówczas u niego, kiedy jeszcze sądziła, że ma prawa żony. Bito je w nadzwyczaj małej ilości. Po śmierci Cosel kilkadziesiąt sztuk tych monet znaleziono w jej fotelu.

W więzieniu i na swobodzie zachowała zawsze dumę i sposób obejścia się królowej. Miejscowych urzędników, duchownego i innych zwała: „ty”. Osobom, które Stolpen zwiedzały, oświadczać kazała „swą łaskę”. Po siedmnastu latach niewoli za życia Augusta II przeżyła hrabina tutaj całe panowanie Augusta III i Brühla, obie kampanje szlaskie i wojnę siedmioletnią całą.

Godne uwagi, że pierwszy strzał, który padł, rozstrzygając o przyszłych losach Saksonji, rozległ się o mury tego zamku. Pruski generał Warnery wypalił pierwszy do fortecy, zajętej przez kilku inwalidów, opanowując ją samotrzeć.

Fryderyk Wielki w czasie wojny wypłacał regularnie hrabinie Cosel jej pensję, ale w tej lichej monecie, którą zwano efraimitami. Z gniewu hra-

bina świeczkami do ścian, poprzybijając wszystkie talary.

XV

W czasie wojny siedmioletniej w roku 1762 i zajęcia Drezna przez Austriaków, księżę de Ligne, który naówczas był pułkownikiem dragonów, jeździł umyślnie do Stolpen, aby hrabinę zobaczyć. Oświadczyła mu przy pierwszym widzeniu się, iż przedsięwzięła wszystkie religje poznać i poznawszy je, wybrała żydowską. Wprzód była ona protestantką, jak hrabina Königsmark i Marechal de Saxe. Oświadczyła też księciu, że jeszcze za życia Augusta II mogła być wolność otrzymać, ale wolała w Stolpen zostać, bo jej nikt już na świecie nie znał, a nigdy się spodziewać nie mogła, ażeby żyła tak długo.

Przy rozstaniu miłemu gościowi darowała hrabina biblię, która jak wszystkie inne jej książki, cała była okryta przypiskami, grubym czerwonym ołówkiem, co ją wcale nie przyozdabiało. „Szukała tego skarbu—pisze księżę de Ligne—tak uroczyście, z taką troskliwością, żem sądził, iż chyba mnie najdroższymi diamentami obdarzy”.

Księżę de Ligne widział ją ośmdziesiąt dwa lat mającą. Wkrótce potem otrzymał od niej list ledwie dający się wyczytać, a trudniej jeszcze zrozumieć i powiada o nim, że go wysylabizować nie potrafił, tak był pełen mistycznych i magicznych formuł.

Z innych źródeł wiadomo, że sławnemu swego czasu orientaliście, superintendentowi Bodenschatz, kazała dla siebie tłumaczyć *Pirke aboth*, książkę rabiniczną. Posłała mu na to dwadzieścia talarów, a list podpisała jako Borromeus Lobgesang. W kilka dni to zrobiwszy, Bodenschatz otrzymał sześć dukatów i najpiękniejsze podziękowanie. Później żądano od niego tłumaczenia innych traktatów, pla-

cać mu za arkusz po luidorze. Bodenschatz zaciekawiony chciał wiedzieć, dla kogo to robi; powiedziano mu, że listy jego, adresowane do Drezn, posłaniec ze Schmidefeld zabiera i odpowiedzi przynosi, a o więcej się dowiadywać nie życzono. Wkońcu ów nieznany korespondent zaprosił pana Bodenschatza do Drezn, ofiarując mu podróż zapłacić. Jakoż znalazł go w istocie w Dreźnie. Cosel wystąpiła na przyjęcie go w zupełnym stroju arcykapłana starego przymierza. Kobiecą twarz poznał zaraz Bodenschatz.

Widywali się później częściej, hrabina przyjmowała go bardzo uprzejmie, dopytywała różne objaśnienia talmudu, o księgi hebrajskie i rabiniczne pisma.

Hrabina Cosel dla Bodenschatza miała się starać przez ojca swej synowej, hrabiego Holzendorfa, ówczesnego prezydenta rady konsystorza, aby go zrobić miejskim proboszczem w Stolpen. Nie przyszło to dlatego tylko do skutku, że go własny książę Baireuth zażądał.

Bodenschatz zraził się też tem, że hrabina wyrażała się bez pohamowania o wierze chrześcijańskiej. Oprócz tego żona pastora, mimo sześćdziesięciu lat pani Cosel, która jeszcze była bardzo piękną, uczuła zazdrość i nie puściła go.

Naostatek w roku osmdziesiątym piątym życia, dnia drugiego kwietnia 1765 roku, zmarła na zamku w Stolpen... a współcześni zostawili świadectwo, iż zwłoki jej zachowały jeszcze ślady tej nadzwyczajnej piękności: którą tak długo słynęła.

Śmierć była cichą... pogrzeb także. Dnia piątego kwietnia ciało złożone zostało w kościele zamkowym, bez kamienia, bez oznaki żadnej, w miejscu, o którym nikt nie wzmiankuje.

Troje dzieci zostawiła po sobie, przyznanych

przez króla: hrabiego Fryderyka Augusta Cosel, urodzonego w roku 1712, generała jazdy, szefa gwardji i pana na Zaborze nad Odrą w Śląsku... (pod Zieloną górą).

Jego to pałac nosił imię Cosel.

Cosel żonaty był z panną Holzendorf i zmarł w roku 1770, zostawiając jednego syna, który zeszedł bezpotomnie. Córka jedna, starsza, Augusta Konstancja, wydana za hrabiego Friesena, wniosła mu w posagu Königsbrück, a umarła w 1724 roku. Młodsza Fryderyka, urodzona w roku 1709, poszła za podskarbiego Fryderyka Krystjana Moszyńskiego. Mąż jej zmarł w 1737 roku, ona przeżyła go o lat prawie pięćdziesiąt i za panowania Brühla ona panowała nad Saksonją. Beczkę złota kosztował ją pałacyk, zwany Moszyńskich, który został niedawno rzucony.

Takie były losy tej kobiety, którą najsurowiej sądząc, na tle czasu, w jakim żyła, wśród ludzi, z jakimi obcowiała, niepodobna jej odmówić pięknego, szlachetnego, wzniosłego charakteru. Wśród powszechnego zepsucia, narażona na tysiące umyślnych pokus, wyzywana, aby się swej dostojności wyrzekła, Cosel wołała niewolę, męczarnie, niż wyrzeczenie się tego, co zdawało się jej honor zabezpieczać. W czasie najzłośliwszych plotek nikt nie śmiał i nie mógł nic przeciwko niej powiedzieć.

Miłość jej dla Augusta, który nigdy żadnej kobiety nie kochał, przetrwała lata i w chwili jego zgonu jeszcze z nową gwałtownością wróciła. W samych tych kabalistycznych obłędach biednej kobiety czuć umysł czynny, nie mogący wyżyć bez zajęcia i sięgający najwznioslejszych zagadnień, któreby niezrozumiałe jej życie wytłumaczyć mogły.

Nie sądzimy, abyśmy wkońcu potrzebowali za-

pewniać czytelników naszych, iż cała ta historia hrabiny Cosel w wszystkich zarysach, wypadkach, charakterach, jest jak najściślej prawdziwą. Taką ją nam podały mnogie pamiętniki epoki: Haxthausen, Pöllnitz, Loen i inni.

Wyobraźnia nie potrzebowała dodawać prawie nic do tak bogatego materiału, ale go tylko wypełnić. Jest to jedna strona epoki i panowania, które się i nam czuć dało, widziana z Saksonji i z profilu. Król August nie ma w niej pięknej roli, ale ta, jaką mu nadają dzieje, jest ściśle prawdziwą. Wielu szczegółów, pełnych charakteru, któreby dzieje ścierpiały, powieść znieść nie mogła.

Dwa te panowania saskie, jak już za Stanisława Augusta zdrowsze umysły uznawały, oddziaływały na kraj nasz w najzgubniejszy sposób. Dwór saski popsuł obyczaje polskie: widzimy tu rodziny niegdyś najzacniejsze, ubiegające się o pietno sromotne łask królewskich, Bielińskich, Denhoffów, Pocięjów, Lubomirskich. Zbytek i potrzeba rozrywek płochych, niepomierne bankietowanie, z Augustem przychodzą do Polski, ale z saską dynastją nie giną. Wielcy mężowie lat dawnych ustępują słynnym intrygantom, miłość kraju zmienia się w prywatę wyzyskującą wszystko; frymark szczepi się wszędzie, marnotrawstwo kraj niszczy. Blask dworu i elegancja jego, na umysły słabe i zawsze do naśladowania skłonne, fascynacyjny wpływ wywierają. *Regis ad exemplum* żyją wszyscy, niewidziane dawniej w rodzinach polskich zgorszenia, przechodzą niepostrzeżone, społeczność chwieje się w posadach. Smutny to widok tem bardziej, że tak napozór wesołą i świetną ma fizjognomję.

Nie mniejszemi ofiarami okupiła Saksonja świetności te dwóch panowań: jednego rozrzutność samowolną, drugiego nieudolność i opieszałość zdu-

nieuwajacą. Naśladowca Ludwika XIV zadał cios śmiertelny własnemu krajowi. Sasi przypisują zwykle staraniom o koronę polską, wojnom dla utrzymania się przy niej toczonym, finansową swą ruinę i osłabienie. Przekonać się można jednak łatwo z pobieżnych nawet rachunków, że nigdy korona, wojny, sejmy, polityczne targi nie kosztowały Augusta II tyle, co jego zabawy, fajerwerki, obozy, balet, opera, brylanty i pałace ulubienic.

Marnoprawstwo było olbrzymie, nieprawdopodobne i wprzód jeszcze nim Brühl począł wysysać Saksonję, Hoymy, Beichlingi, Fürstembergi wyciągnęli z niej dawną jej zamożność. Ani Sasi nam, ani my im, nic do zazdroszczenia nie mamy: oba kraje padły ofiarą fantazji Augusta Mocnego. Saksonja tylko rychlej obyczajowo dźwignąć się i pod wpływem otaczających ja Niemiec odrodzić mogła—nam na to dłuższego, dla wielu a wielu przyczyn, potrzeba było czasu.

Zamek w Stolpen pusty dziś, zamknięty, śliczna ruina milcząca, stoi, wspinając się wieżami do góry. Zachował się jeszcze dosyć cało i wieże świętego Jana, pokoje hrabiny Cosel, jej ogródek, wszystko to pokazuje grzeczny odźwierny, sprzedając małą książeczkę, służącą za przewodnika. Cicho tu i głucho. Oryginalną fizjognomję nadają zamkowi ogromne wieże słupów czarnego bazaltu, wyrastające z ziemi wszędzie. Do nich-to strzelał August II, niepomny, że tam wśród nich zamknięta siedziała kobieta, której zatrul życie. Na cmentarzu i w kościele u stóp góry próżno pytać o grób Cosel: nikt o nim nie wie.



